

Robbins Harold

Wspomnienia tamtych dni

W górach Zachodniej Wirginii Daniel poznaje cenę pracy, miłości i morderstwa, które było ostatnim ratunkiem.

Daniel, ukształtowany przez gwałtowną tragedię i namiętność do pięknych kobiet, przewyciężył ubóstwo i stał się potężnym i niebezpiecznym organizatorem związków zawodowych w Ameryce.

Za każdy sukces płacił krwią, zdradą i stratą.

Pewnego dnia, gdy Big Dan spoczął w grobie, jego syn rozpoczął własną podróż.

Teraz Daniel Jr podąży w ślady ojca z kopalni węgla do wyżyn związku, przesiąkniętego korupcją, by odnaleźć swe własne miejsce w imperium marzeń robotników.....

Gracji Marii z wyrazami miłości

TERAZ

Kiedy ostatni raz widziałem ojca, leżał spokojnie na wznak, z zamkniętymi oczami, w trumnie. Na surowej twarzy malowała się niezwykła u niego łagodność; gęste białe włosy i krzaczaste brwi miał starannie przyczesane. Stałem w ciszy kaplicy i przyglądałem mu się. Coś mi tu nie pasowało. Zupełnie nie pasowało. Po chwili zorientowałem się, co. Ojciec nigdy nie spał na wznak. Ani razu przez te wszystkie lata, jakie go znałem.

Zwykle ojciec sypiał na boku. Potężny tors i wielki brzuch wtapiał w materac, jednym ramieniem zasłaniał oczy, by uchronić je przed światłem, a jego twarz nawet w czasie snu była skupiona, nachmurzona i gniewna. Teraz nie wyrażała nic. Nawet nienawiści do poranka, który nadszedł, by wyrwać go z jego prywatnego świata. Potem wieko trumny opadło i już nigdy go nie zobaczyłem.

Opanowało mnie uczucie ulgi. Skończyło się. Byłem wolny. Oderwałem oczy od polerowanej miedziano-mahoniowej trumny i rozejrzałem się.

Pastor dał nam znak, byśmy wyszli. Ruszyłem. Mój brat D.J., czyli Daniel Junior, pociągnął mnie z powrotem.

— Weź matkę pod rękę — szepnął ochryple. — I przestań się tak głupkowato uśmiechać. Na zewnątrz czeka milion fotoreporterów.

Spojrzałem na niego. Miał trzydzieści siedem lat; był dwadzieścia lat starszy ode mnie i należeliśmy do różnych światów. Pochodził z pierwszego małżeństwa ojca, ja z ostatniego. Pomie-

dzy nimi ojciec miał inne kobiety, ale nie miał dzieci. Uwolniłem ramię.

— Odwal się — powiedziałem.

Wyszedłem do małej poczekalni przy kaplicy, w której rodzina miała oczekiwać do czasu, kiedy podjadą limuzyny orszaku pogrzebowego, i zapaliłem papierosa. Było już tam kilku bliskich przyjaciół i współpracowników ojca.

Podszedł do mnie jego asystent Moses Barrington; jego czarna twarz błyszczała z gorąca.

— Jak twoja matka to znosi?

Zaciągnąłem się papierosem, nabierając dym głęboko w płuca, *zanim* mu odpowiedziałem: — Dobrze.

Przyglądał się dymowi snującemu się z mojego nosa. — Możesz od tego dostać raka.

— Taak... — powiedziałem. — Czytałem ostrzeżenie na opakowaniu.

Otworzyły się drzwi i oczy wszystkich zwróciły się w ich stronę. Weszła matka, wsparta na ramieniu D.J., który drugą ręką obejmował jej plecy, jak gdyby ją podtrzymywał. Wyglądał raczej na jej starszego brata niż pasierba, co akurat było chyba w porządku, skoro był od niej o trzy lata starszy.

Wdowia czerń sprawiała, że matka wyglądała na nawet jeszcze młodszą. Jej biała skóra zdawała się bardziej przejrzysta, a długie blond włosy jeszcze jaśniejsze.

Kiedy drzwi zamknęły się za nimi, jej wdowia słabość zniknęła. Uwolniła się z objęcia D.J. i podeszła do mnie.

— Jonathanie, moje dziecko. Jesteś wszystkim, co mi zostało. Zdołałem się odsunąć. To nie mogła być prawda. Nie mogła,

jeśli miałbym uwierzyć w połowę brudów, jakie czytałem w gazetach o swoim ojcu. Gdzieś po drodze musiał coś sobie odłożyć. W związku, nie w związku, w Departamencie Sprawiedliwości czy innym, w więzieniu i na wolności.

Przez chwilę matka stała, łowiąc rękami powietrze. Potem opuściła je. — Daj mi papierosa.

Wyciągnąłem paczkę i zapaliłem jej jednego. Zaciągnęła się głęboko. — Od razu lepiej — powiedziała.

Widziałem, jak wracają jej kolory. Moja matka była przystojną kobietą i wiedziała o tym.

— Kiedy wrócimy do domu, musimy porozmawiać.

— W porządku. — Zdusiłem papierosa w skrzynce z piaskiem. — Będę tam na ciebie czekał.

— Będiesz tam na mnie czekał? — Jej głos zabrzmiał jak echo. Kiwnąłem głową.

— Nie idę na cmentarz.

— Co to znaczy: nie idziesz? — Za jej plecami pojawił się D.J. — Wyobrażasz sobie, jak to będzie wyglądało?

— Mam gdzieś, jak to będzie wyglądało — powiedziałem.

— Ale to ważne — nalegał D.J. — Pogrzeb dadzą w ogólnokrajowych wiadomościach. Związkowcy w całym kraju będą to oglądać.

— Więc rób tak, żebyś był cały czas z przodu, żeby cię mogli widzieć. Tylko to się liczy. To ty masz być ich następnym przewodniczącym, nie ja.

Obrócił się do mojej matki. — Margaret, lepiej zrób coś, żeby poszedł.

— Jonathanie...

— Nie, mam — przerwałem jej. — To po prostu strata czasu. Nie lubiłem go, kiedy żył, a teraz, kiedy zmarł, nie ma najmniejszego sensu udawać, że coś się zmieniło. To barbarzyński, obłudny zwyczaj i nie chcę brać w tym udziału. Kiedy wychodziłem, w pokoju zapadła śmiertelna cisza. Gdy obróciłem się, by zamknąć za sobą drzwi, zobaczyłem, jak wszyscy tłoczą się wokół matki. Tylko Jack Haney, oparty o ścianę, przyglądał się temu z boku. On nie musiał się spieszyć. Mógł ją mieć później. Oczywiście, jeżeli jeszcze miał na to ochotę, teraz, gdy nie była już żoną przewodniczącego związku i nie mogła mu się do niczego przydać. Odszukał mnie wzrokiem i kiwnął głową. Zrewanżowałem się ukłonem i cicho zamknąłem drzwi.

Nie był taki zły. Nie gorszy od innych, którzy otaczali ojca. Za to, co robił, nie mogłem winić go bardziej niż mógłbym winić matkę. Ojciec skorumpował cały świat wokół siebie.

Wyszedłem bocznym wyjściem, by uniknąć tłumów otaczających kaplicę. D.J. miał rację. Były tu setki ludzi. Na samym froncie kamery telewizyjne, a zaraz za nimi dziennikarze. Oparłem się o ścianę i obserwowałem ich.

Żałobnicy wychodzili teraz z kaplicy i wsiadali do swych

wielkich czarnych limuzyn. Pierwszy wiceprezydent Stanów Zjednoczonych. Zatrzymał się przed kamerami; jego jastrzębia twarz była smutna stosownie do okoliczności. Poruszał ustami, ale nie mogłem usłyszeć, o czym mówił; nie wątpiłem jednak, że są to wyłącznie odpowiednie słowa. W końcu członkowie związku wciąż jeszcze byli uprawnieni do głosowania. Za nim wyszli gubernatorzy, senatorzy, kongresmeni, burmistrzowie, inni oficjele i przywódcy związkowi. Po kolei przesuwali się w świetle reflektorów, z nadzieją, że stacja lokalna, nadając wiadomości, przynajmniej pokaże miejscowych bohaterów.

W alejce za plecami z piskiem opon zatrzymała się jakaś ciężarówka. Usłyszałem kroki i poczułem faceta, zanim odwróciłem się, by go obejrzeć. Nikt nie musiał mi mówić, że to była śmieciarka.

— Czy to pogrzeb Big Dana?

Przyjrzałem mu się. Na kieszeni kapiącej od brudu, poplamionej tłuszczem kurtki, miał przyczepiony białoniebieski znaczek związku.

— Tak.

— Niezły tłumek.

— Yhy.

— Przyszły jakieś ciekawe panienki? — Czemu o to pytasz? — zapytałem.

— Mówią, że Big Dan był też niezły pies na kobiety — odparł. — Nasz szef związku balował z nim parę razy.

Mówił, że gdzie by się Big Dan nie ruszył, wszędzie była masa dziewczyn i whisky.

— Nie widziałem żadnej — powiedziałem.

— Och! — Był rozczarowany. Ale zaraz ożywił się. — To prawda, co gadają, że kiedy się rozbił, była z nim w samolocie -młoda dziewczyna?

Spojrzałem na niego i postanowiłem nie sprawiać mu więcej zawodu. Zniżyłem głos do szeptu, chociaż nie było ku temu potrzeby. W promieniu stu stóp nie było nikogo.

— Mam prawdziwą bombę. — Wyjął z kieszeni paczkę papierosów i wyciągnął ją w moim kierunku. Zapaliliśmy.

Patrzył na mnie wyczekująco. — Słyszałeś kiedy o Powietrznym Klubie?

Potrząsnął głową.

— Co to takiego?

— Jeżeli posuniesz panienkę w samolocie, automatycznie zostajesz członkiem.

— Słodki Jezu! — powiedział z nabożeństwem. — I on to właśnie robił?

— Lepiej — odparłem. — To była taka blond dupa z dużym biustem. Klęczała przed nim, piersi wywalila mu na kolana, a między nimi sterczał jego kutas. Właśnie mu obciągała, gdy zesli z chmur wprost na szczyt przed nimi. Próbował ściągnąć do siebie drażek, by poderwać samolot, ale nie dał rady. Jej głowa blokowała drażek tak, że nie mógł nim ruszyć.

— O rany. Co za koniec! — Popatrzył poprzez płot na tłum. — Ale ludzi.

— Taak.

— Musiał być największy — powiedział z podziwem. — Mój stary mówił mi, że w czasie kryzysu miał dziewięć dolarów tygodniowo, a ja za tę samą robotę wyciągam sto dziewięćdziesiąt pięć. Dan był najlepszym przyjacielem, jakiego robotnicy mieli kiedykolwiek.

— Gówno prawda — rzekłem. — Robotnicy znaczyli dla niego tyle, że dawali mu siłę.

— Czekaj, no... — powiedział, zaciskając groźnie pięści. — Nie masz prawa mówić takich rzeczy.

— Mam do tego wszelkie prawo — odparłem. — On był moim ojcem.

Spojrzał na mnie zaskoczony i rozluźnił dłonie. — Przykro mi, chłopcze — powiedział i poszedł z powrotem do swojej ciężarówki.

Patrzyłem, jak wdrapał się do kabiny i szybko odjechał, potem odwróciłem się, by spojrzeć przez płot. Właśnie wychodziła matka i D.J. Fotoreporterzy rzucili się naprzód, chcąc zrobić im zdjęcia. Odszedłem aleją, gdy oni wsiadali do limuzyny.

— *Tak się nie mówi o swoim ojcu.*

— *Odejdź, starcze. Ty nie żyjesz.*

— *Nie umarłem. Będę żył tak długo, jak ty będziesz żył, jak długo będą żyły twoje dzieci i ich dzieci. Część mnie jest w każdej komórce twego ciała i nie ma sposobu, byś mógł się mnie pozbyć.*

— *Umarłeś, umarłeś, umarłeś.*

— *Masz siedemnaście lat i w nic nie wierzysz? prawda?*

— *Tak.*

— *Chciałbyś naprawdę wiedzieć, co zdarzyło się w tym samolocie, zanim się rozbił?*
— *Tak.*
— *Już wiesz. Opowiedziałeś to temu śmieciarzowi. — Ja to zmyśliłem.*
— *Nie, nie zmyśliłeś. Włożyłem te słowa w twoje usta. Nie zapominaj, że twój mózg jest również złożony z komórek:*
— *Nie wierzę ci. Okłamujesz mnie. Zawsze mnie okłamywałeś.*
— *Nigdy cię nie okłamywałem. Nie mógłbym. Byłeś częścią mnie. Byłeś mną. Byłeś inny niż twój brat. On jest moją kopią. Ale ty — ty jesteś sobą. Ty jesteś mną.*
— *Kłamstwo, kłamstwo, kłamstwo. Nawet w grobie nie możesz przestać.*
— *Oni niczego nie niosą do grobu. Ciało, pustą skorupę. Ja jestem tutaj, w tobie.*
— *Nie czuję cię, ojciec. Nigdy cię nie czułem i teraz też nie.*
— *W swoim czasie poczujesz.*
— *Nigdy.*
— *Jonathanie, mój synu.*
— *Odejdź, starcze. Ty umarłeś.*
Za rogiem skręciłem w swoją ulicę. Pierwsze, co zobaczyłem, to zaparkowane przed moim domem samochody. Kilku mężczyzn stało w cieniu drzew. Reporterzy. Myślałem, że do tej pory już sobie pójdą. Ale czekali. Widocznie Big Dan nadal był dla nich gratką.
Szybko cofnąłem się na ulicę za naszym domem i przeszedłem przez podjazd wiodący do Forbesów. Nasze tylne wejście znajdowało się tuż za płotem oddzielającym oba domy.
Ostrożnie przekraczałem rabatki przy płocie wiedząc, że pani Forbes jest zwariowana na punkcie swoich kwiatów. Postawiłem właśnie stopę na parkanie, kiedy zawołała mnie Anna. Równie ostrożnie zdjąłem nogę z płotu i odwróciłem się. Siedziała na werandzie z tyłu domu, trzymając w ręce szklaneczkę wina.
— *Myślałam, że będziesz na pogrzebie — powiedziała.*
— *Byłem na mszy — odrzekłem. — Na cmentarz nie; poszedłem. To za bardzo się ciągnęło. Przeszedłem tędy, bo reporterzy ciągle są przed domem, a nie chciałem z nimi rozmawiać;*

— Wiem. Już rano się tu kręcili. Chcieli wiedzieć, jakim sąsiadem był twój ojciec.

— Co im powiedziałaś?

— Nie rozmawiałam z nimi, tylko matka i ojciec. — Zachichotała. — Powiedzieli im, jaki to był wielki człowiek. No wiesz.

Musiałem się uśmiechnąć. Forbesowie i ojciec nie bardzo się kochali. Kiedy się tutaj sprowadziliśmy, Forbesowie toczyli z nim wojnę. Nie chcieli, by jakiś związkowy gangster komunista zatruwał ich czyste powietrze Westchester.

— Gdzie są twoi starzy? — zapytałem.

— Na pogrzebie. A myślałeś, że gdzie będą? — Znowu zachichotała.

Roześmiałem się. Cały świat był pełen brudu i hipokrytów.

— Chcesz szklaneczkę wina? — zapytała.

— Nie. Ale gdybyś miała, napiłbym się piwa.

— Mam. — Zniknęła w drzwiach kuchni, a ja wszedłem na werandę.

Za chwilę była z powrotem z puszką zimnego Millera. Oderwałem jęczyczek i zimne piwo trysnęło mi na rękę.

Szybko podniosłem ją do ust. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo byłem spragniony, dopóki nie poczułem lodowatego piwa w gardle. Dopiero, gdy osuszyłem połowę puszkę, oderwałem się od niej, by zaczerpnąć powietrza.

Oparłem się plecami o poręcz werandy, i — Jesteś bardzo spięty — powiedziała. : — Nie jest tak źle.

— Wystarczająco źle. — Jej oczy powędrowały w dół, do puszkę piwa w mojej dłoni. — Ręce ci się trzęsą.

Podniosłem puszkę do góry. Miała rację.

— Nie spałem za dużo tej nocy — powiedziałem. — Chcesz coś na uspokojenie? — zapytała. Potrząsnąłem głową. Nie byłem lekomanem.

— Mam pewne naprawdę dobre świństwo — powiedziała. — Mogę ci zrobić skręta.

— Nie, dziękuję. Nie jestem w nastroju.

— Wiec pozwolisz, że ja zapalę?

— Pal sobie.

Patrzyłem, jak podnosi z podłogi koło swojego krzesła mały, zamknięty sprężyną kapciuch, i zręcznie zwija skręta.

Zgrabnie

ubiła oba końce i zapaliła. Zaciągnęła się głęboko, ryknęła trochę wina i znowu głęboko się zaciągnęła. W jej oczach pojawił się promienny blask. Nie potrzebowała wiele, by odlecieć; ciągle znajdowała się w tym stanie.

— Rozmyślałam o twoim ojcu.

— Tak?

— Całe popołudnie byłam podniecona, myśląc o nim. W śmierci jest coś, że ludzie się podpalają.

— Nie wiem. — Pociągnąłem kolejny haust piwa.

— Naprawdę — powiedziała. — Czytałam gdzieś, że w czasie ostatniej wojny podczas bombardowań wszyscy się podpalali. Myślę, że to ma coś wspólnego z nieśmiertelnością.

— To bardzo głębokie. A nie przyszło ci do głowy, że może ludzie po prostu lubią się rznąć i był to dla nich dobry pretekst, żeby nie trzymać się konwenansów.

— W tym jest coś więcej — powiedziała. — Kiedy obudziłam się dziś rano, pomyślałam: jakie to smutne, że już go nie ma i nie będzie już miał okazji pozostawić czegoś więcej po sobie. Potem zaczęłam myśleć, jakby to było przyjemnie, gdybym zrobiła to z nim choć raz i zostawiłby dziecko w moim brzuchu. Tak mnie to podniecało, że onanizowałam się dzisiaj trzy razy.

— To rzeczywiście podniecające. — Roześmiałem się.

— Nie rozumiesz. — Popatrzyła na mnie z niechęcią.

— Mój ojciec miał siedemdziesiąt cztery lata — powiedziałem. — Ty masz dziewiętnaście.

— Wiek nie gra roli. Ty masz siedemnaście lat, a miałeś czternaście, kiedy zrobiliśmy to po raz pierwszy, i to nas nie powstrzymało.

— To było co innego.

— Nie, nie było. Robiłam to ze starszymi mężczyznami. To dokładnie to samo. Wszystko zależy od tego, jak to czujesz. — Znowu pociągnęła skręta i mały łyk wina. — Ale teraz już go nie ma i mogę tylko żałować, że nie zdążyliśmy tego zrobić.

Skończyłem piwo i zgmiotłem puszkę w dłoni. — Dziękuję za piwo.

— W porządku.

Zbierałem się do odejścia, ak jeszcze mnie zawołała. — Co masz zamiar teraz robić? To znaczy, tego lata.

— Chciałem wybrać się na stop, zanim szkoła ruszy jesienią. Ale teraz nie wiem.

— Wkrótce skończysz osiemnaście lat — powiedziała.

— Zgadza się. Prawo głosu i całe to pieprzenie. Jeszcze dwa miesiące i będę całkiem dorosły. Siedem tygodni. — Patrzyłem na dym wijący się z jej nozdrzy. — Powiedz mi coś.

— Tak?

— Skoro grzałaś się na mojego ojca, to czemu nie spróbowałaś?

— Chyba się bałam.

— Czego?

Zamyśliła się. — Że mnie odrzuci. Że mógłby mnie wyśmiać. Pomyśleć, że jestem głupim dzieciakiem. — Zawahała się przez chwilę. — Raz mi się to zdarzyło, z kimś innym. Minęły miesiące, zanim po tym doszłam do siebie.

— Z moim ojcem raczej by ci się to nie przytrafiło. — Przeskoczyłem poręcz i wylądowałem na miękkiej ziemi.

— Jonathanie — podeszła do poręczy i spojrzała na mnie w dół. — Czy nie czujesz się samotny? Taki okropnie samotny?

— Zawsze tak się czułem. Nawet kiedy żył.

Wyjąłem klucz spod wycieraczki i wszedłem do domu. Przeszedłem przez hol z tyłu domu do kuchni. Jedyne odgłosem w całym domu były moje kroki. Na piecu stały garnki, a na blacie przy zlewie równo poukładane talerze. Mógłby być koniec świata, a Mamie miałyby wszystko gotowe do kolacji o siódmej. Ojciec lubił jeść właśnie o tej godzinie. Byłem ciekaw, czy teraz ten obyczaj się zmieni.

< Nagle zrobiłem się głodny. Otworzyłem lodówkę, znalazłem w niej szynkę oraz ser i zrobiłem sobie kanapkę.

Wyciągnąłem puszkę piwa i siadłem przy kuchennym stole. Ugryzłem pierwszy kęs, kiedy zorientowałem się, że coś jest nie tak. W domu panowała kompletna cisza.

Wstałem i włączyłem stojący w kuchni telewizor. Wracając na miejsce, słyszałem jego pomruk, gdy się rozgrzewał. Chwilę później ekran rozblęsnął życiem i pojawił się na nim, groźnie na mnie spoglądając, ojciec. Jego ochrypły głos wypełnił kuchnię.

To było jego najsylniejsze przemówienie. „Wyzwanie rzucone przez demokrację”. Człowiek rodzi się, pracuje i umiera. Potem nie zostaje nic...

Ponownie wstałem i zacząłem zmieniać kanały. To przemówienie słyszałem już przedtem. Powtórka *Gwiezdnych podróży* była na 11 kanale. Zostawiłem ją. Potwory z obcych światów były o wiele przyjemniejsze od tych z naszego. Pan Spöck wykonał swoje zadanie i nawet się nie uśmiechnął.

Skończyłem kanapkę i wyszedłem z kuchni, zostawiając telewizor włączony. Jego dźwięk snuł się za mną po całym domu. Zanim poszedłem na górę do swojego pokoju, wyjrzałem przez okno. Reporterzy ciągle tam byli.

Zmieniłem garnitur na dżinsy i podkoszulek, a czarne skórzane buty na trampki. Później poszedłem do łazienki i wyczesalem z włosów cały lakier. Popatrzyłem w lustro. Moje lustrzane odbicie spoglądało na mnie krytycznie. Nie tak źle. Żadnych pryszczu.

Ukloniłem się sobie i zszedłem na dół. Drzwi do gabinetu ojca były otwarte. Czuć już go było stęchlizną. Jakby w jednej chwili stał się pokojem przeszłości. Można było wyczuć, że nie jest to już jego pokój.

Podszedłem i spojrzałem na biurko. Było zasłane gazetami i sprawozdaniami. W kilku popielniczkach leżały jeszcze niedopałki cygar, a kosz na śmieci był pełny. Niespiesznie obszedłem biurko i usiadłem w olbrzymim skórzanym fotelu. Był jeszcze uformowany potężnym dupskiem ojca, więc dosłownie w nim utonałem. Przesunąłem się do przodu i zacząłem przeglądać niektóre dokumenty.

Większość z nich była lokalnymi sprawozdaniami związków z całego kraju. Wykazy płatności, zaległości, zawiadomienia o zawartych kontraktach. Same śmieci. Zastanawiałem się, dlaczego ojciec tracił czas na zapoznawanie się z każdym z nich, skoro miał tyle innych rzeczy do zrobienia.

Kiedyś go o to spytałem. Teraz przypominałem sobie jego odpowiedź. — Synu, nie możesz prowadzić poważnych interesów, jeżeli nie znasz w każdej chwili stanu swoich finansów. A nie zapominaj, że ten związek jest jednym z największych w kraju. Tylko nasz fundusz emerytalny ma nadwyżkę blisko dwustu milionów dolarów, a inwestujemy wszędzie, od obligacji państwowych do Las Vegas.

— Więc niczym się nie różnisz od firm, z którymi walczysz — powiedziałem. — Obchodzi cię tylko zysk.

— Mamy inne motywacje, synu.

— Nie widzę różnicy — rzekłem. — Kiedy w grę wchodzi pieniądze, zachowujesz się dokładnie tak samo, jak wszyscy inni.

Ojciec zdjął wtedy swoje grube szkła do czytania i położył je na biurku. — Nigdy nie przypuszczałem, że interesuje cię to, co robimy.

— Nie interesuje mnie — powiedziałem szybko. — Tylko, że z tego, co widzę, wielkie związki i wielki biznes to jedno i to samo. Liczą się tylko pieniądze.

Niebieskie oczy ojca spoglądały na mnie przenikliwie.

— Któregoś dnia, kiedy będę miał czas, powrócimy do tego. Myślę, że potrafię cię przekonać, że się mylisz.

Kiedy jednak do tego wracałem, nigdy nie miał czasu. A teraz było za późno.

Z powrotem położyłem papiery na biurku i zacząłem otwierać szuflady. Środkowa też była wypełniona papierami. Podobnie górna lewa. Ale w prawej górnej szufladzie nie było nic. Absolutnie nic. To nie miało sensu. Wszystkie pozostałe były zapakowane tak, że się z nich wysypywało. Włożyłem rękę do szuflady i zbadałem jej wnętrze. Ciągle nic. Potem spostrzegłem małą zapadkę. Przycisnąłem ją i dno szuflady wysunęło się do przodu.

Zajrzałem do środka. Pod fałszywym dnem leżał czarnograna-towy, lśniący i śmiercionośny, wielki automatyczny kolt model Government. Powoli podniosłem go. W mojej ręce ważył ogromnie dużo. To nie była zabawka; to był potężny gnat. Czytałem gdzieś, że kula z automatycznego kolta kaliber .45, wychodząc z drugiej strony, robi dziurę wielkości srebrnego dolara.

Położyłem go z powrotem do szuflady i zamknąłem ją. Przez chwilę siedziałem wpatrzony w zamkniętą szufladę. Potem poszedłem do kuchni i z następną puszką piwa udałem się na werandę z tyłu domu.

Anna ciągle siedziała tam, gdzie ją zostawiłem. Pomachaliśmy do siebie, po czym siadłem w fotelu na biegunach. Łyknałem piwo i tak siedzieliśmy, każde z nas, po prostu przyglądając się sobie poprzez płot, oddzielający nasze podwórza.

- *Dlaczego przeszukałeś moje biurko?*
- *Nie wiem. Po prostu tam było, to wszystko.*
- *Nie mam nic przeciwko temu. Byłem ciekawy.*
- *Ty nie żyjesz. Nie powinno to już mieć dla ciebie znaczenia. Umarli nie mają sekretów.*
- *Ja nie umarłem. Myślałem, że zaczynasz to rozumieć.*
- *To zwykle pieprzenie. Umarły to umarły.*
- *Nie ma żadnego umarłego. Ty ciągle żyjesz.*
- *Ale ty nie.*
- *Dlaczego przełączyłeś na „Gwiazdne podróże”? Bałeś się patrzeć na mnie? To był lepszy program.*
- *Dlaczego tu siedzisz? Myślałem, że miałeś zamiar wyjechać.*
- *Jeszcze się nie zdecydowałem.*
- *Wyjedziesz.*
- *Co czyni cię takim pewnym?*
- *To ta dziewczyna. Jeszcze z nią nie skończyłem.*
- *Nic się nie zmieniłeś, prawda?*
- *A dlaczego miałbym? Przecież ty ciągle żyjesz.*

Puszka po piwie była pusta. Wstałem i wyrzuciłem ją do plastikowego wiadra na śmieci, stojącego koło drzwi do kuchni. Otworzyłem drzwi i zanim wszedłem do domu, obejrzałem się jeszcze na Annę.

Nie zmieniła pozycji. Dym z papierosa wił się w górę wokół jej twarzy; śledziła mnie wzrokiem. Teraz musiała być już zupełnie zaćpana. Po chwili kiwnęła głową i powoli wstała. Patrzyłem, jak znika za zasuwanyimi drzwiami; usłyszałem szcęk zasuwki. Ten dźwięk zdawał się wisieć w powietrzu, dopóki nie zamknąłem za sobą drzwi.

Poszedłem na górę do swojego pokoju, rzuciłem się na łóżko i niemal natychmiast zasnąłem.

Obudził mnie docierający przez podłogę szum głosów. Otworzyłem oczy. Popołudniowe słońce opuściło już okna pokoju. Gapilem się w sufit, nasłuchując odgłosów z dołu.

To było takie znajome i dziwnie krzepiące. Tyle nocy zasypiałem tak jak teraz, słuchając przytłumionego dźwięku rozmów.

Moja sypialnia znajdowała się dokładnie nad gabinetem ojca.

To było znajome, ale tym razem trochę inne; czegoś mi brakowało. Zajął mi trochę czasu, zanim zorientowałem się czego: jego głosu. Jakoś zawsze potrafiłem go wyłowić spośród innych.

Wstałem z łóżka i zszedłem na dół. Drzwi gabinetu były zamknięte. Kiedy je otworzyłem, w pokoju nagle zapanowała cisza.

Za biurkiem siedział D.J., obok niego stał Moses, tak jak zwykle stawał przy ojcu. Jack siedział obok biurka po prawej ręce D.J. Trzej inni mężczyźni, zwrócenii do mnie plecami, siedzieli przed biurkiem. Teraz odwrócili się i popatrzyli na mnie w milczeniu. Nie znałem ich.

— Mój brat, Jonathan — powiedział D.J. Zabrzmiało to bardziej jak wyjaśnienie niż przedstawienie mnie.

Nieznajomi ostrożnie skinęli głowami; ich wzrok nie zdradzał niczego. D.J. nie fatygował się, by ich przedstawić.

— Nie wiedziałem, że jesteś w domu.

— Przyszedłem tu prosto z kaplicy. — Stałem nadal w otwartych drzwiach. — Gdzie jest matka?

— Doktor dał jej lekarstwa i posłał ją do łóżka. Miała dziś ciężki dzień.

Skinąłem głową.

— Pomyślałem sobie, że przyjedziemy tutaj. Miałem parę spraw do wyjaśnienia przed wyjazdem do domu. Na ósmą mam rezerwację na samolot, a zaraz rano posiedzenie zarządu.

Wszedłem do gabinetu. — Organizujecie się? Dan spojrzał na mnie. — O co ci chodzi?

— Dzielicie cały świat i okolice? — Podeszedłem do biurka i obejrzałem je z góry. Wszystkie papiery, jakie widziałem w szufladach, były teraz rozłożone na blacie biurka. Rewolweru nie było. Zastanawiałem się, czy go znaleźli.

— Praca nie może zostać przerwana, tylko dlatego, że... — głos D.J. zawisł w powietrzu.

— ...umarł król. Niech żyje król — dokończyłem za niego. D.J. spašowiał. Ale głos Mosesa był uprzejmy.

— Jonathanie, mamy naprawdę masę pracy.

Spojrzałem na niego. W jego oczach dojrzałem napięcie, jakiego nigdy u niego dotąd nie widziałem. Niepewność.

Rozejrzałem się

po pozostałych. Nagle zrozumiałem, o co chodzi. Nie było już fundacji i obawiali się, że wszystko się rozpadnie. Zrobiło mi się ich żal. Zostali pozostawieni sami sobie, a w pobliżu nie było ojca, żeby im powiedział, co mają robić. — Nie będę wam przeszkadzał. — Spojrzałem na brata. — Nie martw się. Wszystko będzie dobrze.

Nie odpowiedział.

Wyciągnąłem do niego rękę. — Powodzenia. Popatrzył na rękę, potem na mnie. Kiedy ją ujął, jego głos był ochrypły, a w oczach miał coś bardzo podobnego do łez.

— Dziękuję ci, Jonathanie. — Szybko zamrugął oczami. — Dziękuję.

— Doskonale dasz sobie radę.

— Mam nadzieję. Ale to nie będzie łatwe. Sytuacja się zmieni.

— Zawsze się zmienia — odrzekłem i wyszedłem z pokoju. Zamknąłem za sobą drzwi i na chwilę oparłem się o nie plecami. Znowu słyszałem głosy. Zamknąłem oczy, nasłuchując głosu ojca. Ale nie było go tam.

D.J. kochał go. Ja nie. Dlaczego? Dlaczego dla każdego z nas było to coś innego? Obaj byliśmy jego synami. Co D.J. widział w nim takiego, czego ja nie dojrzałem?

Przeszedłem przez hol do kuchni. Była tam Mamie; hałasując garnkami i patelniami, mruzczała coś do siebie.

— O której kolacja? — zapytałem.

— Nie wiem — odpowiedziała. — Już nie mogę się w tym domu połapać. Wszystko stoi na głowie. Twój brat nie chce kolacji, a twoja matka na górze płacze oczy.

— Myślałem, że doktor dał jej tabletki nasenne.

— Może i dał, ale tyle wiem, że nie działają.

Zanurzyła chochlę w garnku i podsunęła mi parującą pod nos.

— Spróbuj — nakazała. — Ale najpierw podmuchaj, bo gorące.

Podmuchałem i spróbowałem. Dobry gulasz wołowy.

— Za mało soli.

Roześmiała się i zabrała chochlę. — Mogłam się tego spodziewać. Zupełnie jak twój tata. Zawsze tak mówił.

Przypatrywałem się jej. — Lubiałś mego ojca?

Włożyła chochlę do zlewu i obróciła się do mnie. ~ To najgłupsze pytanie, jakie kiedykolwiek słyszałam, Jonathanie. Uwielbiałam twego tatę. Był największym człowiekiem, jaki chodził po ziemi.

— Dlaczego tak twierdzisz?

— Dlatego, że to prawda. Zapytaj kogokolwiek. Wszyscy powiedzą ci to samo. Czarnych traktował jak ludzi, zanim prawo ich za takich uznało. — Podeszła z powrotem do pieca, zdjęła pokrywkę z garnka i zajrzała do środka. — Mówisz, więcej soli?

— Tak — potwierdziłem i wyszedłem. Poszedłem na górę i stanąłem pod drzwiami pokoju matki.

Mamie myliła się. Nie było nic słychać.

Kiedy jadłem kolację, do kuchni wszedł Jack Haney.

— Napiję się z tobą kawy — powiedział, przysuwając sobie krzesło.

— Zjedz trochę gulaszu. Jest tego tyle, że można by wykarmić całą armię.

— Nie, dziękuję — odpowiedział, kiedy Mamie postawiła przed nim kawę. — Przegryziemy coś w samolocie.

Patrzyłem, jak podnosi filiżankę do ust. — Lecisz do Waszyngtonu?

Kiwnął głową. — Dan chce, żebyśmy byli z nim na jutrzejszym posiedzeniu zarządu. Mogą wyniknąć jakieś kwestie prawne. Nagle nie było już D.J., ani nawet Daniela Juniora — był Dan.

— Jakieś kłopoty?

— Nie sądzę. Twój ojciec miał to wszystko dosyć dobrze zaprowadzone.

— Więc czym martwi się D.J.?

— Jest masa starszków, którzy mogą czuć się urażeni, że wszystko przejmuje taki młody człowiek jak on.

— Dlaczego mieliby się obrażać? Wiedzieli o tym cały czas.

— Wszystko się zgadza. Ale kiedy żył twój ojciec, nie śmieli mu się przeciwstawić. Teraz to zupełnie inna historia. Przede wszystkim nie rozumieją, że po raz pierwszy dostają kogoś, kto ma kwalifikacje do tej pracy i nie musi się jej dopiero uczyć; że

naprawdę nie ma żadnego znaczenia, czy kiedykolwiek pracował jako prosty robotnik, czy organizował pikietę lub brał w niej udział. Prowadzenie związku to jak prowadzenie olbrzymiego przedsiębiorstwa. Potrzebni są wykwalifikowani ludzie. To dlatego firmy biją się o prymusów w college'ach i na uniwersytetach. Twój ojciec zawsze uważał, że właśnie to powinniśmy robić. Dlatego pchał Dana do tych wszystkich szkół.

Wiedziałem, co miał na myśli. Ze mną chciał zrobić to samo. Najpierw prawo na Harvardzie, potem szkoła zarządzania. Miał już to wszystko zaplanowane. Nie wziął tylko pod uwagę, że nie chciałem być popychany.

Wytarłem resztę sosu kawałkiem chleba.

Mamie stanęła nad moim pustym talerzem. — Jeszcze?

Pokręciłem głową.

Zabrała talerz. — Dostyc soli?

— Akurat.

Roześmiała się i postawiła przede mną kawę. — Zupełnie jak twój tata. Najpierw narzeka, że za mało soli, a potem strasznie mu smakuje, chociaż nic nie dodałam.

Spojrzałem na Jacka. — A tak naprawdę, to co jutro się dzieje?

— Oczekujemy, że zarząd wyznaczy Dana do pełnienia obowiązków przewodniczącego do czasu następnych powszechnych wyborów wiosną. To jeszcze dziewięć miesięcy. Spodziewamy się, że do tego czasu wszystko będziemy mieli pod swoją kontrolą.

Skinąłem głową. Jeśli to ojciec zaplanował, to tak się stanie. Plany ojca zawsze się udawały.

Jack skończył kawę i wstał od stołu. — Czy mógłbyś wyjaśnić matce, dlaczego wyjechałem, i powiedzieć, że rano do niej zadzwonię?

Spojrzałem na niego w górę. — W porządku.

— Dzięki — powiedział, ruszając do wyjścia. Za chwilę usłyszałem na podjeździe trzaśnięcie drzwi samochodu.

Podszedłem do okna i wyjrzałem. Wielki czarny cadillac właśnie odjeżdżał. Patrzyłem, dopóki jego czerwone światła nie wykręciły na ulicę. Później poszedłem na górę i stanąłem pod drzwiami matki. Ciągle nie było nic słychać.

Delikatnie obróciłem klamkę i zajrzałem do pokoju. W słabnącym dziennym świetle dostrzegłem matkę leżącą na łóżku. Cicho wszedłem do środka i przyjrzałem się jej.

Śpiąc wyglądała tak mizernie i bezradnie, jak nigdy przedtem. Delikatnie okryłem ją kocem. Nie poruszyła się. Na palcach wyszedłem z pokoju i zszedłem na dół do holu. Z szafki wyciągnąłem plecak i zacząłem go pakować. Zajęło mi to dziesięć minut. Nie miałem wiele rzeczy do zabrania.

Obudziłem się minutę przedtem, zanim miał dzwonić budzik. Wyciągnąłem rękę i wyłączyłem go. Nie było sensu zrywać na nogi całego domu. Szybko ubrałem się i zszedłem na dół.

W holu było ciemno, ale do kuchni, wychodzącej na wschód, wpadały pierwsze poranne promienie. Włączyłem maszynkę do kawy. Jak zwykle Mamie wszystko już przygotowała.

Ojciec był rannym ptaszkiem. Zanim reszta domowników obudziła się, schodził rano samotnie na dół, siadał i pił kawę. Zwykł mówić, że są to jego godziny rozmyślań. Czas samotności. I jakkolwiek byłby to problem, duży czy mały, do czasu, gdy pozostali domownicy byli na nogach, zdążył go tak przemyśleć, że przestawał być problemem, stając się zaledwie zadaniem do wykonania.

Wróciłem do pokoju i zabrałem na dół plecak. Drzwi gabinetu były otwarte, więc wiedziony impulsem wszedłem do niego i wysunąłem szufladę.

Pistolet ciągle tam leżał. Nie zauważyli podwójnego dna. Wyjąłem go i przyjrzałem mu się. Był dobrze naoliwiony i miał pełny magazynek. To nadal nie miało sensu. Broń jest dobra dla ludzi przestraszonych, a mój ojciec nie znał uczucia strachu.

Ściagnąłem klapę plecaka i wsunąłem pistolet między bieliznę a koszulę. Wsunąłem szufladę kolanem. Kawa powinna być już prawie gotowa.

— Jonathanie. — W drzwiach stała matka. — Co robisz?

— Nic.

Klasyczna odpowiedź dziecka, złapanego przez rodziców w chwili, gdy wkłada rękę do pudła z ciastkami. Ciekawe, jak długo już tam stała.

Weszła do gabinetu.

— Ciągle czuję zapach jego cygar — powiedziała, właściwie bardziej do siebie.

— Airwick to usunie, jeśli można wierzyć reklamom — powiedziałem.
Obróciła się do mnie. — To będzie takie łatwe? Zastanowiłem się dłuższą chwilę. — Nie. Nie będzie łatwe, dopóki nie wyprodukują czegoś, co przewietrzy twoje myśli. Dostrzegła plecak. — Już wyjeżdżasz?
— Nie mam po co się tu kręcić. A zostało już tylko siedem tygodni wakacji.
— Nie mógłbyś trochę poczekać? — zapytała. — Jest tyle rzeczy, o których powinniśmy porozmawiać.
— Na przykład o czym?
— O szkole. Do jakiego chcesz iść college'u, co zamierzasz robić ze swoim życiem.
Roześmiałem się. — Mam mały wybór. Powie mi to komisja poborowa.
— Ojciec mówi... — poprawiła się. — Ojciec mówił, że cię nie wezmą do wojska.
— No jasne. Już to załatwił; jak zresztą wszystko inne.
— Czy nie czas, byś przestał z nim walczyć, Jonathanie? Teraz nie żyje i nic nie może już zrobić. — Jej głos załamał się.
— A ty? — spytałem. — Nie wierzysz w to bardziej niż ja. On zadbał o wszystko. Nawet o swoją śmierć.
Ciągle nie mogła wydobyć z siebie głosu, tylko stała milcząc, a łzy spływały jej po policzkach. Podszedłem do niej i niezgrabnie ją objąłem. Ukryła twarz na mojej piersi. — Jonathanie, Jonathanie.
— Spokojnie, mam... — powiedziałem, gładząc jej włosy. — Już po wszystkim.
— Czuję się taka winna. — Jej głos ginał, tłumiony, w mojej koszuli. — Nigdy go nie kochałam. Czciałam go, ale nigdy nie kochałam. Czy możesz to zrozumieć?
— Więc dlaczego wyszłaś za niego? — zapytałem. - Przez ciebie...
— Przeze mnie? Nie było mnie jeszcze na świecie.
— Miałam siedemnaście lat i byłam w ciąży — wyszeptwała.
— Nawet w tamtych czasach mogłaś coś z tym zrobić — powiedziałem.
Wysunęła się z moich objęć. — Daj mi papierosa.

Zapaliłem jej papierosa.

— Nastawiłeś kawę? — zapytała.

Kiwnąłem głową i poszedłem za nią do kuchni. Napełniła dwa kubki i usiedliśmy przy stole.

— Nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Nie musiałaś za niego wychodzić.

— Nie chciałby o tym słyszeć. Mówił, że chce syna.

— Dlaczego? Przecież już go miał.

— Dan mu nie wystarczał. Miał takie uczucie, a czasami wydawało mi się, że nawet Dan się tego domyślał. I dlatego zawsze tak bardzo starał się przypodobać ojcu. Ale Dan był miękki, nie tak jak ojciec.

Nawet matka nie nazywała go już D.J.

— Twój ojciec dostał to, czego chciał. Czy ci się to podoba, czy nie, jesteś dokładnie taki sam jak on.

Wstałem i przyniosłem ekspres do stołu. — Chcesz jeszcze kawy? Potrząsnęła głową. Napełniłem ponownie swój kubek.

— Pijesz za dużo kawy — powiedziała.

— Myślisz, że przestanę rosnać? — Roześmiałem się. Mierzyłem trochę ponad sześć stóp. Ona też musiała się uśmiechnąć.

— Wiesz, mam, jesteś bardzo ładną kobietą. Potrząsnęła głową. — Teraz się tak nie czuję.

— Daj sobie trochę czasu.

Zawahała się przez moment, potem spojrzała mi w oczy.

— Wiesz o Jacku i o mnie? Skinąłem głową.

— Zdawało mi się, że wiesz — rzekła. — Ale nigdy nic nie powiedziałaś.

— To nie moja sprawa.

— Teraz on chce, byśmy się pobrali — powiedziała. — Ale sama nie wiem.

— Nie musisz się spieszyć. Tym razem nikt cię nie pogania. Cień zastanowienia pojawił się w jej oczach. — Kiedy to

mówiłeś, wyglądałeś zupełnie jak ojciec.

— Nie mogłem tak wyglądać — roześmiałem się. — Gdybym był swoim ojcem, nie mógłbym pojąć, dlaczego nie dołączyłaś do mnie na stosie pogrzebowym.

— To okropne — powiedziała.

— Zawsze robię się okropny, kiedy jestem głodny — odrzekłem— To też tak jak on?

— Dokładnie. I mam zamiar rozprawić się z tobą dokładnie tak, jak to z nim robiłam. Zrobię ci takie śniadanie, jakiego w życiu nie jadłeś.

— Dosyć — powiedziałem. — Teraz nie będę musiał jeść przez tydzień.

— O to właśnie chodziło. — Uśmiechnęła się.

Postawiła puste talerze do zlewu i znowu napełniła kubki kawą.

— Wiesz, dokąd jedziesz?

— Nie bardzo. — Potrząsnąłem głową. — Najpierw na południe, potem może na zachód. Ale to wszystko zależy od tego, w którą stronę będzie większy ruch.

— Będiesz na siebie uważał? Kiwnąłem głową.

— Tylu różnych typów kręci się po drogach, — Nic mi nie będzie.

— Napiszesz i dasz mi znać, co się z tobą dzieje?

— No pewnie. Tylko się nie martw.

— I tak będę — powiedziała. — Gdybyś miał jakieś kłopoty, zadzwonisz do mnie?

— Ale na twój rachunek.

— Na mój — uśmiechnęła się. — Od razu czuję się lepiej. Zerknąłem na zegar kuchenny. Była za piętnaście siódma.

— Lepiej będę się zbierał.

Patrzyła na mnie, kiedy wstawałem od stołu. — Jestem za młoda. Zawsze byłam za młoda.

— Co masz na myśli?

— Najpierw byłam za młoda, by mieć ślub, potem za młoda, żeby być matką. Teraz jestem za młoda, żeby być samotną wdową.

— Każdy musi kiedyś dorosnąć — powiedziałem. — Może teraz czas na ciebie.

— To słowa twego ojca. Miał ten sam zimny, kliniczny sposób oddzielania się od swoich uczuć.

Jej twarz przybrała dziwny wyraz.

— Czy naprawdę jesteś moim synem, Jonathanie? Czy tylko, jak powiedział, jego przedłużeniem, które we mnie wszczepił?

— Jestem sobą. Twoim synem. I jego. Niczym więcej.

— Kochasz mnie?

Milczałem przez chwilę. Potem ująłem jej rękę i pocałowałem ją. — Tak, mamó.

— Masz dosyć pieniędzy?

Roześmiałem się. Miałem prawie sto dolarów. Z dziesięcioma dolarami tygodniowo nie miałem czym się przejmować. — Tak, mamó.

Zarzuciłem plecak na ramiona i ruszyłem podjazdem. Kiedy dotarłem do ciągle jeszcze sennej ulicy, obejrzałem się. Matka stała w drzwiach. Pomachała mi ręką. Odwzajemniłem ten gest i poszedłem dalej ulicą.

Poranek zapowiadał upalny dzień. Na trawnikach roilo się od wróbli łowiących poranne robaki; ich ćwierkanie mieszało się z rzadkimi trelami wędrownego drozda. Powietrze pachniało świeżością. Autostrada US 1 znajdowała się półtorej mili od domu, dokładnie po drugiej stronie mostu ponad Schuykill Creek.

Furgonetka Dairihome Milk wzięła zakręt równo ze mną. Pete zatrzymał ją, kiedy mnie zobaczył. — Jonathanie!

Obróciłem się i poczekałem, aż wysiądzie. W jednej ręce trzymał sok pomarańczowy, w drugiej puszkę piwa.

— Wybór należy do wędrowca — powiedział.

Wybrałem piwo. To był bardzo dobry ranek na piwo. Już robiło mi się gorąco. Pete odstawił sok pomarańczowy do furgonetki i wyciągnął puszkę dla siebie. Równocześnie wyszarpnęliśmy języczki; wystrzał otwieranych puszek był jedynym dźwiękiem na ulicy.

Pociągnął potężny łyk, potem otarł usta wierzchem dłoni.

— Przykro mi, że masz kłopoty — powiedział. Pete był Irlandczykiem.

Kiwnąłem głową.

— Gdzie się wybierasz?

— Dokładnie nie wiem. Po prostu wyjeżdżam.

— To przyjemnie tak wyjechać. Z twoją matką w porządku?

— Świetnie — odpowiedziałem. — To twarda kobieta;

Przyglądał mi się przez chwilę, zastanawiając się nad tym, co mu powiedziałem. Pete znał nas kawał czasu.

Piętnaście lat. W końcu odrzekł: — Tak.

Dokończyłem piwo i zgmiotłem puszkę. Wyjął mi ją z ręki.

— Jak długo cię nie będzie?

— Siedem tygodni.

— O, cholera — skrzywił się. — Osiemdziesiąt cztery kwarty. To już po mojej premii za mleko.

Roześmiałem się. — Tak czy siak, zostawiaj te dwie kwarty. Matka nigdy się nie zorientuje.

— Ona może nie. Ale założę się, że Mamie zdąży zostawić mi kartkę w butelce, zanim do was dotrę.

Wsiadł z powrotem do furgonetki. Chwilę szukał czegoś, wreszcie wyszedł, trzymając w ręce sześciopuszkowe opakowanie. — Lepiej zabierz to z sobą. Zapowiada się gorący dzień.

— Dzięki.

Spojrzał na mnie. — Będzie nam brakować twojego ojca. Dotknął znaczka związkowego, przypiętego do białego fartucha.

— Sprawił, że to dużo znaczy. Mam tylko nadzieję, że twój brat będzie choć w połowie tak dobry.

— Będzie jeszcze lepszy — powiedziałem.

Znowu przyglądał mi się przez chwilę. — Zobaczymy. Ale on nie jest twoim ojcem.

— A kto jest?

— Ty — powiedział.

Popatrzyłem na niego. — Ale ja nie jestem wystarczająco dorosły.

— Kiedyś będziesz — powiedział. — A my poczekamy. Ruszył swoją furgonetką, a ja patrzyłem, jak znika mi z oczu za

rogiem ulicy. Potem przeszedłem na drugą stronę.

— *Teraz mi wierzysz?*

— *Nie. To jest to, w co chciałeś, by ludzie wierzyli. Więc wtłoczyłeś im ten pomysł do głowy.*

— *Po co miałbym to robić?*

— *Bo jesteś kutas. I dlatego, że byłeś zazdrosny o D.J. Wiesz, że będzie lepszy, niż ty byłeś kiedykolwiek.*

- *Nagle kochasz swego brata.*
 - *W żaden sposób. Ale widzę, jaki jest. Jego to wszystko obchodzi.*
 - *Mnie też obchodziło.*
 - *Kiedy? Ile lat temu? Zanim ja się urodziłem, zanim zakochałeś się we władzy i pieniądzach?*
 - *Ciągle nie chcesz zrozumieć.*
 - *Rozumiem. Zbyt dobrze.*
 - *Tak ci się tylko wydaje. Ale w swoim czasie przekonasz się.*
 - *Daj spokój. Po śmierci jesteś tak samo nudny jak za życia.*
 - *Żyję, dopóki ty i twoje dzieci będziecie żyć. Jestem w twoich genach, twoich komórkach i myślach. Daj sobie trochę czasu. Przypomnisz sobie.*
 - *O czym mam sobie przypomnieć?*
 - *O mnie.*
 - *Nie chcę o tobie pamiętać.*
 - *Będiesz. Na tysiąc różnych sposobów. Nic na to nie poradzisz.*
 - *Ale nie akurat teraz, ojcze. Teraz są wakacje.*
- Siedziała na betonowej skarpie przy wejściu na most; obok niej leżał plecak, nogi zwieszała po stronie rzeki. Wpatrywała się w wodę, a wokół niej wiła się chmura gryzącego szarego dymu. Nie obracając się, powiedziała: — Dzień dobry, Jonathanie.
- Przystanąłem, ale nie odpowiedziałem.
- *Czekałam na ciebie — rzekła, ciągle się nie obracając. — Nie złość się na mnie.*
 - *Nie złoścę się.*
- Przerzuciła nogi, obracając się w moją stronę. Uśmiechnęła się. — *Więc zabierzesz mnie z sobą? Znałem ten wyraz jej oczu. — Jesteś naćpana.*
- *Tylko trochę. — Wyciągnęła skręta w moją stronę. — Chcesz pociągnąć? To naprawdę niezłe świństwo.*
 - *Nie, dziękuję — powiedziałem. — US 1 nie jest drogą, na której środku można sterczeć nieprzytomnym.*
 - *Złóścisz się na mnie — odezwała się urażonym głosem.*
 - *Powiedziałem ci, że nie.*

— Ale naprawdę tak nie myślałeś.

— Myślałem.

— Więc czemu nie chcesz, żebym jechała z tobą?

— Bo chcę być sam. Nie rozumiesz tego?

— Nie będę ci przeszkadzać. Będę trzymać się z boku.

— Idź do domu — powiedziałem, ruszając na most. — To nie ma sensu.

— Więc dlaczego wyznaczyłeś mi tutaj spotkanie? — krzyknęła za mną.

Obróciłem się, będąc w połowie schodów, i spojrzałem na nią z góry. — Kiedy ci to powiedziałem?

— Wczoraj po południu — odrzekła. W jej zamglonych oczach zajaśniało jakieś dziwne napięcie. — Zaraz po tym, jak skończyłeś rozmawiać ze swoim ojcem.

— Mój ojciec nie żyje — powiedziałem.

— Wiem.

— Więc jak mogłem z nim rozmawiać? Przez to świństwo, które palisz, chyba zupełnie zwariowałaś.

— Widziałam, jak z nim rozmawiałeś — powtórzyła z uporem. — Później wstałeś, podszedłeś do drzwi i obróciłeś się, by spojrzeć na mnie. Słyszałam, jak powiedziałeś: „Spotkaj się ze mną rano przy moście”. Skinęłam ci głową i wszedłeś do domu.

Milczałem.

— Miałeś identyczny głos jak twój ojciec.

Spojrzałem na nią. Żar poranka sprawił, że na jej twarzy pojawiły się, błyszcząc w blasku słońca, duże krople potu. Widziałem jego strużki, zbierające się między piersiami w wycięciu jej bluzki i rosnące wilgotne cienie pod pachami. — Czy mówiłem coś jeszcze?

— Tak. Ale jakoś niewyraźnie. Nie bardzo zrozumiałam. To było coś jakby: „Jeszcze z tobą nie skończyłem”. Tyle wiem, że mnie to strasznie podpaliło. Poszłam na górę, ściągnęłam całe ubranie i naga położyłam na łóżku. Nic sobie nie robiłam, ale przeżywałam orgazmy, jeden za drugim, aż do zupełnego wyczerpania.

— Daj mi skręta. — Wyciągnęłam rękę.

Anna wsunęła mi go między palce. Jej dłoń była gorąca i sucha. Cisnąłem skręta do rzeki. — Masz więcej tego świństwa?

Pogrzebała w swym plecaku i wyciągnęła kapciuch ze sprężynowym zamknięciem.

— To właśnie to?

Potaknęła głową, a ja wyrzuciłem go do rzeki. Obróciła się, by obserwować, jak przez moment płynie na powierzchni wody, potem, niesiony prądem rzeki pod most, powoli tonie.

— Więcej nie dostanę takiego towaru — powiedziała ze smutkiem. — Dlaczego to zrobiłeś?

— Nie mam ochoty, żeby mnie przyskrzynili i żebym przesiedział następne siedem tygodni w jakiejś dziurze w pudle.

Nagle jej oczy zaczęły napełniać się łzami. — Dotknij mnie — powiedziała.

Ująłem jej rękę, którą ona powiodła do swoich piersi. Zamknęła oczy, wyciskając łzy. — Boże, tak mi dobrze — wyszeptwała.

Zsunęła się ze skarpy. Skręciliśmy za róg i zeszliśmy pod most. Tam to zrobiliśmy, a ryk ciężarówek, dudniących po jezdni ponad naszymi głowami, zagłuszał jęki Anny. Potem była bardzo spokojna; leżała, przyglądając mi się, jak wciągam dzinsy. Sięgnęła do swojego plecaka po tampon, potem wstała i też naciągnęła dzinsy.

— Tak mi dobrze, w środku, że nie chcę nic z tego stracić — powiedziała. — To lepsze, niż bym nie wiem jak się naćpała.

Nie odpowiedziałem, a wtedy ona sięgnęła po moją rękę. — Jonathanie, czy nie uważasz, że może jestem w tobie zakochana?

Spojrzałem jej w oczy. Zobaczyłem w nich blask i jaśniejące zadowolenie. — Nie — odrzekłem krótko. — Nie kochasz mnie. Kochasz mojego ojca.

US 1 była już rozgrzana i zakurzona. Szarobłękitny całun spalin z rur wydechowych wisiał ciężko w powietrzu nad jezdnią. Poczekaliśmy na przerwę w ruchu i przeskoczyliśmy na zachodnią stronę. Staliśmy i obserwowaliśmy przewalający się, ryczący sznur pojazdów.

Odrzuciła z twarzy długie, wilgotne włosy. — Musi być już ponad osiemdziesiąt stopni.* Kiwnąłem głową.

— Może najpierw znaleźlibyśmy jakiś cień i ochłonęli trochę?

* W skali **Fahrenheita** (przyp. tłum.).

Poprowadziłem ją ku kępie drzew i rzuciliśmy się pod nimi na ziemię. Otworzyłem opakowanie, które dostałem od Pete'a. — To nam pomoże.

— Trawka mnie odwadnia, rżnięcie też. — Pociągnęła długi łyk.

— Będziesz musiała zwolnić obroty. — Roześmiałem się. Uśmiechnęła się do mnie. Przysłałem się do swojego piwa i wyjrzałem na drogę. Jeżdżące wcześniej ciężarówki już przejechały, a autostradę zajęli teraz jadący do pracy w Nowym Jorku. Wielkie auta z klimatyzacją, chroniącą przed upałem i spalinami, miały szczelnie zamknięte okna. Okna małych samochodów były szeroko otwarte, a ich pasażerowie mieli nadzieję ująć upałowi dzięki maksymalnie szybkiej jeździe, jakkolwiek w porannym ścisisku było to raczej senne marzenie.

— Dokąd jedziemy? — spytała Anna.

— Do Zachodniej Wirginii — odpowiedziałem bez zastanowienia.

— Dlaczego tam?

— Miejsce dobre jak każde inne — rzekłem. — Poza tym, nigdy tam nie byłem.

Nie powiedziałem jej, że to stamtąd pochodził mój ojciec. Z pobliza miasta Fitchville, które kiedyś znalazłem na mapie AAA*. Zastanawiałem się, jakie jest, bo ojciec w ogóle nigdy o nim nie opowiadał. Teraz nagle uświadomiłem sobie, że muszę tam pojechać, chociaż opuszczając rano dom, jeszcze nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Długim łykiem osuszyłem do końca piwo i wstałem. Zarzuciłem plecak na ramiona i spojrzałem na Annę. — Gotowa?

Sięgnęła do swojej torby, wyciągnęła filcowy kapelusz o miękkim rondzie i nasadziła go na głowę. — Jak to wygląda?

— Ślicznie.

Podniosła się z ziemi. — Chodźmy.

Godzinę później nadal wyciągaliśmy kciuki w stronę przejeżdżających samochodów. Anna, z zaczerwienioną i rozpaloną

* AAA (American Automobile Association) — Amerykański Związek Automobilowy (przyp. tłum.).

twarzą, przez cały czas siedziała na swojej torbie. Zapaliłem papierosa i podałem go jej.

— To nie takie łatwe, jak pokazują filmy — powiedziała. Skrzywiłem się, zapalając sobie papierosa. — Nigdy tak nie jest.

— Muszę siusiu.

— Tam możesz. — Ręką wskazałem jej kępę drzew. Spojrzała na mnie pytająco.

— Do tego również mogłabyś się przyzwycząić. Wyciągnęła z torby jakiś tampon i zniknęła za drzewami.

Obróciłem się, by obserwować drogę. Ruch zmniejszył się, było już po porannym szczycie. Mniej samochodów osobowych, więcej ciężarówek. Droga zaczęła błyszczeć w drgającym od upału powietrzu.

Mrużąc oczy przed słońcem, usłyszałem go za sobą. Olbrzymi transportowy fruehauf wspiął się na szczyt wzgórza i teraz zjeżdżał w naszą stronę. Automatycznie uniosłem dłoń w znanym geście. Usłyszałem syk potężnych hamulców pneumatycznych i ciężarówka zwolniła, zatrzymując się obok nas. Jej olbrzymi cień zasłonił nas przed słońcem.

Zobaczyłem, jak trzy stopy nad ziemią bezszelestnie otwierają się na zewnątrz drzwi kabiny. Usłyszałem głos mężczyzny, którego nie mogłem dostrzec: — Dzieciaki, chcecie jechać do miasta?

Poczułem, jak Anna, chcąc mnie powstrzymać, kładzie mi rękę na ramieniu, ale to nie jej głos usłyszałem: *Danielu, tata kazał nam iść.*

Ze złością straciłem jej rękę z ramienia. — Jasne, że chcemy, proszę pana — powiedziałem.

KSIĘGA PIERWSZA

WTEDY

Mała przestrzeń na zboczu wzgórza była zupełnie odkryta, jeśli nie liczyć kilku rzadkich kęp krzaków, które oparły się suszy i letniej gorąco. Ziemia zaczęła stygnąć wraz ze słabnięciem popołudniowego słońca, kiedy z małej nory pod jednym z krzaków ostrożnie wysunął głowę królik i wciągnął nosem nieruchome powietrze. Chwilę później wynurzył się na powierzchnię. Obrócił głową drobnymi, nerwowymi ruchami. Niczego nie dostrzegł. Było bezpiecznie.

Ciągle poruszał się ostrożnie. Z uszami rozplaszczonymi ku tyłowi głowy, trzymał się blisko ziemi, tak że jego białe nakrapiane, piaskowoszare futerko było niewidoczne na tle odsłoniętego, zalanego słońcem pola. Krótkimi, szybkimi skokami przesuwał się od krzaka do krzaka, przystając przy każdym z nieb, by zbadać sytuację, zanim puścił się w dół zbocza, w kierunku małego lasku opodal brzegu niemal wyschniętego strumyka.

Ostatnie sto jardów pokonał w nadzwyczajnym tempie, zatrzymując się w końcu w głębokim cieniu niewysokich drzew; serce biło mu jak oszalałe ze strachu, że go ktoś odkryje. Ale głód był zbyt wielki. A zapach świeżego dzikiego kopru, rosnącego w pobliżu korzeni akacji ostatecznie pokonał jego ostrożność.

Teraz jednak poczucie rozwagi wróciło. Trzymał się niziutko przy ziemi, jego futro tonęło w cieniu. Zapach kopru był coraz

silniejszy, ale odkąd był już w jego zasięgu, potrafił powstrzymać głód, dopóki nie upewnił się, że jest bezpieczny. Odczekał, aż dzikie bicie serca wróciło do normy i bardzo powoli ruszył pomiędzy akacje.

Odnalazł kępę kopru kilka jardów od sączącego się z wolna strumyka. Szybko zaczął grzebać w ziemi, by wydobyć soczyste, bardziej kruche pędy. Chwilę później chwycił przednimi łapami długą łodygę i usiadł na zadzie, trzymając ją przed nosem. Ostrożnie, niemal delikatnie, zaczął ją ogryzać. Była to najwspanialsza rzecz, jaką kiedykolwiek smakował. Jednocześnie była to rzecz ostatnia, bo w tym momencie ujrzał chłopca, stojącego w odległości prawie piętnastu jardów. Na krótką chwilę ich oczy spotkały się, a później, zanim zdążył zareagować na wybuchający w nim strach, kula kaliber .22 wdarła mu się w rdzeń kręgosłupa, druzgocąc go u podstawy czaszki. Fiknął w powietrzu kozła do tyłu, nieżywy zanim spadł na ziemię.

Daniel Boone Huggins odczekał, aż umilknie echo strzału i rozwieje się cienka smuga dymu z lufy karabinu, wtedy ruszył naprzód, by zabrać martwego królika. Podniósł go za uszy. Oczy królika były już nieruchome i szkliste. Ostrożnie przytroczył go do skórzanego rzemienia opasującego mu biodra, potem ukląkł i uważnie przyjrzał się śladom zwierzęcia.

Szybko chwycił garść pędów kopru i zaczął wracać tropem królika. Parę chwil później był już na zboczu wzgórza naprzeciw kępy zarośli, z których przedtem wyszedł królik. Znalazł w ziemi małą norę. Ostrożnie, bezszelestnie odpiął pasek i położył przy niej królika, owiniętego pędami kopru.

Chwilę później siedział przykucnięty, w odległości około dwudziestu metrów, i czekał. To tylko kwestia czasu, zanim zapach kopru i królika ściągną jego towarzyszkę, żeby wychyliła się z nory sprawdzić, co się dzieje.

Jeb Stuart Huggins siedział na rozklekotanych drewnianych frontowych schodach swego domu. Z kubkiem wieczornego bimbrowa obserwował idącego ku niemu najstarszego syna.

— Udało ci się? — spytał ochryplym głosem.

— Dwa króliki — odpowiedział Daniel.

— Obejrzyjmy je — nakazał ojciec.

Daniel odpiął rzemień opasujący biodra i podał je ojcu. Ten zważył je w ręce i oddał z powrotem.

— Trochę chude — powiedział. — Nadają się tylko na gulasz.

— W końcu susza nie bardzo sprzyjała zwierzynie — bronił się Daniel.

— Przecież nie narzekam — powiedział ojciec. — Bierzemy to, czym dobry Bóg uważa za stosowne nas obdarować.

Daniel kiwnął głową. To było pierwsze mięso, jakie mieli zjeść od ponad tygodnia.

— Zanieś je mamie i powiedz, żeby włożyła je do garnka. Daniel kiwnął głową i zamierzał odejść.

— Ile kul zużyłeś? — zapytał ojciec. Daniel zatrzymał się. — Dwie.

Jeb z aprobatą kiwnął głową. — Nie zapomnij dobrze wyczyścić broni.

— Nie zapomnę, tato.

Jeb patrzył, jak syn ginie za rogiem domu. Daniel powoli stawał się dorosłym chłopcem. Prawie czternastoletnią był wysoki jak on sam, i zaczynały mu puchnąć spodnie. Nadszedł czas, by wyprowadzić go z pokoju, który dzielił ze swoim bratem i siostrami. Nic dobrego nie mogło wyniknąć z tego, że młodzi to oglądali. Do głowy przychodziły im głupie myśli, a z tego powodu miał już dość kłopotów z Molly Ann.

Molly Ann była jego najstarszym dzieckiem (ponad rok starsza od Daniela) i już dorosłą kobietą, miesiączkującą od ponad dwóch lat. Czas, by pomyśleć o wydaniu jej za mąż. Ale w okolicy nie było młodych mężczyzn. Wszyscy młodzi zeszli ze wzgórz, by pracować w hucie szkła i zakładach włókienniczych w mieście.

Westchnął, podniósł kubek i pociągnął łyk. Przezroczysta piekąca ciecz wypaliła sobie drogę do żołądka i rozgrzała go. Problemy. Z siedmiorga n dzieci zawsze są problemy. A byłaby ich dziesiątka, gdyby troje nie urodziło się martwych. Dobry Bóg wiedział, co robi. Wyliczył, że Jeb Stuart Huggins będzie miał dosyć roboty z utrzymaniem tych, które miał. Ale jednak to nie było w porządku, szczególnie od czasu, gdy żona skrzyżowała nogi i odsunęła go od siebie. Koniec z dziećmi. To nie było łatwe dla mężczyzny,

zwłaszcza dla takiego mężczyzny jak on, przywykłego, że mu się to należy. A teraz, kiedy Molly Ann kręciła się wokół z tymi dojrzałymi, młodymi cyckami i krępą, tłustą dupą, nachodziły go wszelkiego rodzaju grzeszne myśli. Pociągnął jeszcze jeden łyk bimbrowy i zastanowił się, kiedy będzie przejeżdżał wędrownym kaznodzieją. Dobra, staromodna spowiedź pomogłaby rozpędzić grzeszne, świętokradcze myśli, jakie Szatan zagnieździł w jego głowie. Westchnął znowu. W tych ciężkich czasach niełatwo było być ojcem rodziny.

Marylou Huggins zajrzała do osmolonego żelaznego garnka, ustawionego na wiekowym, opalonym drewnem piecu. Woda wrzała i bulgotała, a na jej powierzchni zbierały się i pękały wielkie, żółte bańki tłuszczu. Widelcem na długim trzonku wyłowiła z wodnistego sosu kawałek boczku. Przyjrzała mu się, ociekającemu wodą na widelcu, i z zadowoleniem położyła na talerzu. Powinien jeszcze starczyć na dwa gotowania, zanim się zużyje. Szybko zrzuciła górę obranych ziemniaków, rzodkiewek i zieleniny do kipiącego wywaru i zaczęła go mieszać. Raczej wyczuła, niż usłyszała, że Daniel wchodzi do kuchni. Nie odwróciła się. — Mamo. — Jak zwykle odczuła wstrząs, słysząc coraz to niższy głos chłopca. Zdawało się, że jeszcze wczoraj był niemowlakiem.

— Tak, Danielu.

— Złapałem dwa króliki. Tata mówi, żebyś wrzuciła je do garnka.

Obróciła się w jego stronę. Miała zaledwie trzydzieści cztery lata, ale była chuda i wymizerowana; zmarszczki na twarzy sprawiały, że wydawała się jeszcze starsza. Wzięła króliki z jego wyciągniętej ręki.

— To przyjemna odmiana po wiewiórkach — powiedziała.

— Przecież nie jedliśmy wiewiórek przez więcej niż miesiąc — zaprotestował.

Jej pobrużdżona twarz odprężyła się w uśmiechu. Daniel był jednak zbyt poważnym chłopcem jak na swój wiek. — Tylko żartowałam, synku.

Jego oczy pojaśniały. — Tak, mamo.

— Idź i powiedz Molly Ann, żeby przyszła i pomogła mi oczyścić króliki. Znajdziesz ją za domem, gdzie zajmuje się dzieciakami.

— Dobrze, mamó. — Zawahał się przez moment i wciągnął nosem powietrze. — Naprawdę nieźle pachnie.

— To tylko boczek i zielenina — powiedziała. — Jesteś głodny? Skinął głową.

Wzięła kawałek suchego chleba z półki koło pieca, natarła go soloną wieprzowiną tak, że wsiąkł weń cały tłuszcz, i podała mu. Ugryzł potężny kęs, przeżuł go i przełknął.

— Już lepiej. Dziękuję, mamó. Uśmiechnęła się. — Teraz idź po siostrę.

Patrzyła, jak wychodzi, później odwróciła się, wyjęła nóż do oprawiania i zaczęła delikatnie ostrzyć go na osełce.

Daniel poszedł wolno w stronę tyłu domu. Zaczekał chwilę, zanim skręcił za róg, gdyż chciał skończyć swój kawałek chleba. Wolał, by inne dzieci go nie widziały, gdyż na pewno zaczęłyby wydzierać się o część dla siebie. Kiedy przełknął ostatni kęs, poszedł za róg.

Wybuch hałasu poraził go, gdy dwoje dzieci puściło się obok niego w kierunku odsłoniętego pola. Mase, szesnastomiesięczne niemowlę, zaczął wrzeszczeć ze swojej kołyski, zawieszanej na samotnej sośnie, stojącej obok stosu drewna. Molly Ann wyprostowała się. W jej ręce lśnił toporek do rąbania drzewa.

— Richard i Jane. Macie tu natychmiast wracać. Jeśli tata was usłyszy, na pewno wygarbuje wam skórę.

Dzieci zignorowały ostrzeżenie. Molly Ann odwróciła się do dziesięcioletniej Rachel, siedzącej na kłocu drewna i oglądającej książkę z obrazkami. — Rachel, złap je i przyprowadź tu z powrotem.

Rachel, rodzinny naukowiec, po zaznaczeniu strony wstała i pobiegła za dwojgiem młodszych dzieci, które teraz zginęły gdzieś w wysokiej trawie na polu.

Molly Ann odsunęła długie, brązowe włosy z zaczerwienionej twarzy, potem z drewna naciętego do podpalki podniosła jakąś uciętą gałązkę i wepchnęła ją niemowlakowi do ust. Mase od razu uspokoił się, żując mały kawałek drewna.

— Te dzieciaki doprowadzą mnie do szału — powiedziała Molly Ann i przyjrzała się bratu. — Gdzie byłeś cały dzień?

— Polowałem.

— Złapałeś coś?

— Dwa króliki. Mama mówi, żebyś przyszła pomóc je oczyścić. Nagle zdała sobie sprawę, że przypatruje się górze jej sukni.

Żeby lepiej machać siekierą, odpięła przedtem górne guziki na piersiach i była niemal zupełnie odsłonięta.

— Gdzie się tak gapisz? — powiedziała, chociaż nie wykonała najmniejszego ruchu, by się zakryć.

— Nigdzie. — Odwrócił wzrok z miną winowajcy, czując, jak rumieniec wypełza mu na twarz.

— Gapieś się na moje cycki — powiedziała oskarżycielskim tonem i zaczęła zapinać guziki. — Wystarczy tylko przyjrzeć się twojej twarzy.

— Nieprawda — wymamrotał ze wzrokiem ciągle wbitym w ziemię.

— Prawda. — Skończyła ze swoimi guzikami i podeszła do niego. — Musisz skończyć rąbanie drewna, jeśli ja mam iść pomóc mamie.

— Dobrze. — Ciągle unikał jej wzroku.

— Spodnie spuchły ci jak bania — powiedziała.

Daniel poczuł, że rumieniec pali go coraz bardziej. Nie mógł wykrztusić odpowiedzi.

Roześmiała się. — Jesteś zupełnie jak tata.

Teraz spojrzal na nią. — O co ci chodzi?

Znowu się roześmiała. — Dziś po południu myłam się nad strumieniem, kiedy kątem oka dostrzegłam, jak tata przygląda mi się zza drzewa.

i Nie potrafił ukryć zdumienia. — Wiedział, że go widzisz?

— Nie. Udawałam, że nie wiem, że tam jest, ale ciągle obserwowałam go kątem oka. Trzepał sobie tak, jak ty to robisz. Tyle, że ma większego. Jego dyszel wyglądał tak, jakby miał z dobry metr.

Wpatrywał się w nią z otwartymi ustami. — Słodki Jezu! — Nie bluźnij! — powiedziała ostro. Nie odpowiedział.

— Mama miała rację. Wszyscy mężczyźni są tacy sami. Myślicie tylko o jednym. Mama mówi, że macie w sobie szatana.

Wróciła Rachel, a za nią dwójka młodszych dzieci. — Wyszoruj

tę dwójkę — rozkazała Molly Ann. — Potem idź do ogródka warzywnego po Alice i powiedz im, żeby przyszli i skończyli swoje lekcje.

Dzieci posłusznie poszły do domu. Molly Ann sięgnęła w górę i wyjęła Mase z kołyski. Mały bulgotał radośnie z przyklepionymi do ust kawałkami kory. Molly Ann starła mu je ręką, potem wytarła ją w spódnice.

— Lepiej porąb to drzewo — ostrzegła. — Pan Fitch przyjeżdża dziś wieczorem i mama chce, by się dobrze paliło. Tata zamierza sprzedać mu trochę księżycówki.

Daniel patrzył, jak jego siostra zmierza do domu; w jednej ręce z łatwością trzymała niemowlaka, jej ciało pod bawełnianą suknią było pełne i silne. Potem obrócił się do sterty drewna i podniósł siekiere. Za chwilę słychać było jedynie dźwięk uderzającego ostrza i trzask rozszczepianych kłód drewna.

2

Właśnie mieli usiąść do stołu, gdy z podwórza przed domem dobiegło ich skrzypienie kół wozu. Jeb podniósł rękę.

— Przyszykuj jeszcze jedno miejsce przy stole, matko — powiedział, wstając i podchodząc do drzwi.

Zdążył zejść po frontowych schodach na podwórze, gdzie właśnie zatrzymał się muł.

— Dobry wieczór, panie Fitch — zawołał Jeb. — Dobrze pan trafił, bo akurat jemy kolację.

— Dobry wieczór, Jeb — odpowiedział pan Fitch. — Ale nie chciałbym sprawiać wam kłopotu.

— Nie ma mowy o żadnym kłopotcie. Żona zrobiła świetny gulasz z królika. Byłaby szkoda, gdyby pan tego nie spróbował.

— Gulasz z królika — powiedział z namysłem Fitch. Spodziewał się boczku i zieleniny. — Uwielbiam dobry gulasz z królika.

Ciężko oddychając, wysiadł z wozu. Pan Fitch był niezwykle otyłym mężczyzną. — Dołączę do was, gdy napoję i nakarmię swojego muła.

— Daniel się tym zajmie — powiedział Jeb. Zawołał syna, który wychodził właśnie z domu. — Znasz pana Fitcha...

Daniel uklonił się. — Dobry wieczór, panie Fitch. Olbrzym uśmiechnął się. — Dobry wieczór, Danielu.

— Zajmij się mułem pana Fitcha, synu.

— Worek z obrokiem znajdziesz z tyłu wozu — powiedział pan Fitch. — Ale nie pozwól mu pić za dużo wody, bo potem strasznie pierdzi, a przecież wieczorem będę musiał jechać za nim dwadzieścia mil.

Jeb podniósł dzbanek ze świeżym bimbrem. — Musi pan tego spróbować, panie Fitch. To spłucze podróżny kurz z pańskich ust.

— No, to naprawdę uprzejmie z twojej strony, Jeb — powiedział Fitch. Otarł dłonią brzeg kubka i pociągnął długi łyk. Gdy odstawił kubek, mlasnął wargami i uśmiechnął się. — Wygląda na to, Jeb, że temu mułowi* też nie dajesz zbyt dużo wody.

Dziesięć minut później siedzieli już za stołem i Marylou postawiła przed mężem wielki żelazny garnek gulaszu. Tuż za nią weszła Molly Ann z drewnianym talerzem załadowanym świeżo upieczonym, gorącym chlebem kukurydzianym.

Jeb złożył przed sobą ręce i opuścił wzrok. Wszyscy poszli za jego przykładem. — Prosimy cię, Panie, byś pobłogosławił ten stół, ten dom, tych, którzy tu mieszkają i naszego gościa, pana Fitcha. I za twoje dary i posiłek, który mamy spożyć, dziękujemy ci, Panie. Amen.

Chór „amen” rozległ się ponad stołem, a zgłodniałe dzieci podniosły wzrok. Jeb szybko nałożył pełną łyżkę na talerz pana Fitcha, później na swój. Dał znak Marylou. Wzięła łyżkę i zaczęła napełniać talerze dzieci. Kiedy zabrała się za swój, nie zostało już zbyt wiele mięsa, ale nie dbała o to. Zresztą nigdy dużo nie jadła.

Poza tym sprawiała jej przyjemność świadomość, że pan Fitch będzie opowiadał wszystkim sąsiadom, jak to u Hugginsów podano mu na kolację gulasz z królika, i że nie jedli cały czas boczku i zieleniny, tak jak niektórzy inni. Jedli w milczeniu, szybko, nie rozmawiając, wycierając talerze do czysta gorącym chlebem kukurydzianym, nie zostawiając nawet kropli sosu.

* *Mule* (ang.) — 1. muł; 2. amerykańska whisky z kukurydzy (przyp. tłum.).

Pan Fitch odsunął swoje krzesło od stołu i z zadowoleniem poklepał się po brzuchu. — Pani Huggins, to był najlepszy gulasz z królika, jaki kiedykolwiek jadłem.

Marylou splonęła. — Dziękuję, panie Fitch.

Wielki mężczyzna podłubał w zębach, ceremonialnie wyciągnął kieszonkowy zegarek i sprawdził, która godzina. — Jeb, zbliża się wpół do siódmej — powiedział. — Może wyjdziemy i przystąpimy do interesów.

Jeb skinął głową i wstał od stołu. — Chodź, Danielu.

Daniel podążył za mężczyznami po schodach na podwórze. Ojciec poprowadził ich na tył domu, potem na małe wzgórze do destylarni. Szli gęsiego wąską ścieżką.

— Ile dla mnie masz, Jeb? — zapytał pan Fitch.

— Około dwudziestu galonów. Pierwszorzędna księżycówka. Pan Fitch milczał, dopóki nie doszli do destylarni. — To niewiele.

— Panie Fitch, susza wypala kukurydzę — wyjaśnił przepaszająco Jeb.

— Właściwie nie warto było wlec się taki kawał na tę górę. To nie był już przyjemny pan Fitch, który siedział przy stole

podczas kolacji; to był pan Fitch handlarz, wierzyciel połowy ubogich dzierżawców w dolinie dzięki kredytowi, którego im udzielał w swoim domu towarowym i cenom, jakie płacił im za bimber i cokolwiek innego, co mieli do sprzedania.

Wielkie miedziane kotły i węże były zamaskowane splecionymi z sobą gęstymi gałęziami. Z jednej strony leżał stos porąbanego drewna.

— Danielu, wyciągnij dzban — rozkazał ojciec.

Daniel zaczął podnosić ze stosu kawałki drewna. W chwilę potem odsłonił brązowe gliniane dzbanki. Jeb podniósł jeden z nich i zębami wyciągnął korek.

— Niech pan tylko powącha tę whisky, panie Fitch — powiedział.

Fitch wziął od niego dzban i powąchał.

— Niech pan spróbuje — nalegał Jeb. Olbrzym przechylił dzban. Pociągnął łyk.

— Doskonała jakość, panie Fitch — powiedział Jeb. — Po prostu kryształ. Bez karbidu, bez ługu. Łagodna i naturalna. Może ją pan dać niemowlakowi.

— Niezła — przyznał pan Fitch, mrużąc oczy. — Ile za nią chcesz?

Jeb nie patrzył na niego. — Wyliczyłem, że przynajmniej dolara za galon. Fitch nie odpowiedział.

Jeb nie wytrzymał nerwowo. — Sześćdziesiąt centów?

— Czterdzieści — powiedział pan Fitch.

— Panie Fitch, czterdzieści za taki bimber to po prostu nie w porządku. Tyle się dostaje za szybką księżycówkę, nie za prawdziwą, porządnie zrobioną whisky jak ta — zaprotestował Jeb.

— Interes źle idzie — powiedział pan Fitch. — Ludzie po prostu nic nie kupują. W Europie jest wojna i wszystko stoi na głowie.

— Pięćdziesiąt centów za galon to nie jest dużo. — Jeb już prawie błagał. — Ugodźmy się przynajmniej na pół, panie Fitch.

Pan Fitch spojrział na niego przeciągle. — Ile jesteś mi winien, Jeb?

Jeb opuścił wzrok. — Chyba około czterech dolarów.

— Cztery dolary i pięćdziesiąt pięć centów — rzekł pan Fitch.

— Chyba coś koło tego — przyznał Jeb. Ciągle nie podnosił wzroku.

Daniel nie śmiał spojrzeć na ojca. Za bardzo się wstydził. Mężczyźni nie przystoi dać się tak poniżyć tylko dlatego, że jest biedny. Spoglądał gdzieś w pole.

— Coś ci powiem, Jeb — rzekł pan Fitch. — Jestem w dobrym nastroju. Możesz powiedzieć, że w szczodrym. I możesz dziękować żonie, że świetny gulasz z królika wprowadził mnie w taki humor. Zawsze mówię, że pełny żołądek stępią bystrość w interesach. Dam ci sześćdziesiąt centów za galon.

Jeb podniósł wzrok. — Nie dałby pan nic więcej?

— Powiedziałem „szczodry”, nie „głupi” — pan Fitch obwieścił koniec targu.

Jeb poczuł gorzki smak porażki. Trzy miesiące pracy, w dzień i w nocy, w deszczu i upale, dozoru aparatury, ściągania wolno skraplającego się w rurach bimbru; kropla po kropli, żeby każda kapka była krystalicznie czysta i idealna. Zmusił się do uśmiechu.

— Dziękuję, panie Fitch — powiedział, po czym obrócił się do syna. — Zanieś dzbany na wóz pana Fitcha. Daniel kiwnął głową. Bał się odezwać. Trawił go gniew, jakiego nigdy dotąd nie czuł. Gniew, który ścisnął mu żołądek jak stryczek szyję skazańca.

Jeb spojrzał na wielkiego mężczyznę. — Chodźmy do domu, panie Fitch — powiedział. — Do tej pory pani Huggins na pewno przygotowała kawę.

— Nie wiem, dokąd zmierza ten kraj — zaczął pan Fitch, trzymając w dłoni kubek gorącej kawy z cykorią. — Z interesami w tym stanie, w jakim są, z ludźmi opuszczającymi ziemię, bo nie stać ich na zapłacenie czynszu. Nawet nie wiesz, jakie masz szczęście, Jeb, że tu pracujesz i masz własny, nie obciążony kawałek ziemi.

Jeb kiwnął głową. — Możemy dziękować za to dobremu Bogu. Ale nie wiem. Dziewięć gąb do wykarmienia. Nie jest lekko, kiedy jest susza i marne zbiory.

— Myślałeś kiedyś o przyjeździe do pracy do miasta? — zapytał pan Fitch.

Jeb potrząsnął głową. — Nie jestem mieszczuchem. Nigdy me będę. Gdybym rano nie mógł wstać i spojrzeć na swoją ziemię, wolałbym umrzeć. Poza tym, co mógłbym tam robić? Jedyne, na jakiej się znam, to gospodarstwo.

Marylou weszła do pokoju i rozpałała trzaski w kominku.

— Robi się chłodno.

— Pani Huggins. — Uśmiechnął się Fitch. — Pani na pewno wie, jak sprawić, by mężczyzna czuł się dobrze.

Marylou splonęła i uśmiechnęła się. Patrzyła w dół na podłogę.

— Dziękuję, panie Fitch — powiedziała i wyszła z pokoju. W kuchni jednak pozostała blisko drzwi, tak że mogła słyszeć każde wypowiedziane słowo.

Fitch łyknął gorącej kawy. — Myślałeś kiedy, żeby wysłać najstarszą dwójkę do pracy do miasta?

Jeb był zaskoczony. — Daniela i Molly Ann?

Fitch skinął głową. — Chłopak ma czternaście lat, a córka, o ile dobrze pamiętam, jest starsza od niego.

— Ma piętnaście.

— Ludzie, którzy prowadzą przedziałnię i hutę szkła, to moi dobrzy przyjaciele. Zawsze potrzebują porządnych, młodych ludzi do roboty. Mogę im szepnąć słowo.

— Nie wiem. — Jeb był pełen wątpliwości. — Wydaje mi się, że są o wiele za młodzi, żeby być poza domem.

— Mogą zarobić cztery, może pięć dolarów tygodniowo. Pokój i utrzymanie w porządnym domu będzie ich kosztować tylko półtora dolara. Zostaje więc pięć, może siedem dolarów tygodniowo, które mogą posłać do domu. Dzięki temu spokojnie wyżywisz resztę.

Fitch spojrzał na niego. — Mógłbyś nawet zrobić w domu jakieś ulepszenia. Uważam, że elektrownia założyłaby ci światło, gdybyś zagwarantował im pięć dolarów miesięcznie.

— Nie podoba mi się to elektryczne światło — powiedział Jeb. — Nie jest naturalne. Jest za jasne. Nie jest takie łagodne jak światło lampy naftowej.

' Mówiąc to, zastanawiał się, że przynajmniej jego dom pierwszy w górach miałby elektryczność.

Do pokoju wszedł Daniel. — Wszystko zrobione, tato.

Pan Fitch sięgnął do kieszeni i wyciągnął nową, świecąca dziesięciocentówkę. — Dobry z ciebie chłopak. Tu masz taki drobiazg dla siebie.

Daniel potrząsnął głową. — Nie, dziękuję, panie Fitch. Nie ma powodu, by pan to robił.

Wszedł szybko z pokoju.

— Masz dobrego chłopaka — powiedział Fitch.

— Dziękuję, panie Fitch.

Fitch ruszył do drzwi. — Muszę już jechać. Ten stary muł nie widzi zbyt dobrze w ciemnościach na tych wiejskich drogach.

— Ma pan ciągle przynajmniej godzinę dziennego światła — powiedział Jeb. — Przez ten czas znajdzie się pan w dolinie. Nie będzie tak źle.

Fitch kiwnął głową. Podniósł głos, będąc pewnym, że Marylou stoi w drzwiach kuchni i słyszy go. — Proszę wyrazić moje uznanie żonie za tak doskonały gulasz z królika i jej łaskawą gościnność.

— Oczywiście, panie Fitch.

Fitch zszedł ze schodów i wdrapał się na wóz. Nachylił się jeszcze do Jeba i rzekł, nie zniżając głosu, by słyszała go Mary-

lou. — I pamiętaj, co powiedziałem. Cztery, pięć dolarów tygodniowo dla każdego dzieciaka, to nie byle co. Kiedykolwiek zechcesz, po prostu przyślij je do mnie, a ja znajdę im miejsce.

Jeb ponownie skinął głową. — Dziękuję, panie Fitch. Dobranoc.

— Dobranoc, Jeb. — Pan Fitch cmoknął na muła, ostro szarpiąc lejce. Muł powoli wyruszył z podwórza. Pan Fitch, zadowolony, zaczął mrużyć do siebie. Jeb miał rację. To był najlepszy bimber, jaki kiedykolwiek w życiu próbował. Powinien wyciągnąć z niego dolara za kwartę. Czyli sześćdziesiąt osiem dolarów czystego zysku. Miał także przeczucie, że dzieciaki Hugginsa wkrótce pojawią się w progu jego drzwi. To też będzie oznaczać pieniądze. Nie miał żadnego powodu, by mówić Jebowi, że przedsiębiorstwa płacą mu dwadzieścia dolarów za każdego zwerbowanego dzieciaka, jakiego im przyśle.

3 .

Migoczące żółte światło lampy naftowej rzucało chybotliwy blask na stół i wydawało się, że srebrne monety, ułożone na kupkę przed Jebem, są matowozłote. Liczył je powoli, starannie. Po chwili weszła Marylou i w milczeniu siadła naprzeciw niego. Nie odezwała się, dopóki nie skończył liczyć.

— Ile tego jest?

— Siedem dolarów i czterdzieści pięć centów.

— To niewiele — powiedziała. W jej głosie nie było narzekania, tylko stwierdzenie smutnego faktu.

— Byliśmy mu winni cztery pięćdziesiąt pięć — powiedział jakby na swoją obronę Jeb. — A ceny lecą w dół. Czasy są ciężkie. Pan Fitch mówi, że w Europie jest wojna.

— Nie bardzo pojmuję, jak wojna tak daleko stąd może sprawiać nam tyle kłopotu.

— Ja też — przyznał Jeb. — Ale jeśli taki człowiek, jak pan Fitch tak mówi, to chyba tak jest. Uważam, że możemy mieć tylko nadzieję, że prezydent Wilson wszystko to jakoś naprawi. Jeśli ktokolwiek miałby dać sobie z tym radę, to tylko on. Wiesz, on jest wykształconym profesorem college'u.

— Wiem. Ale nic się nie poprawia, kiedy on jest prezydentem. Jest rok 1914 i jest gorzej niż kiedykolwiek.

— Pewne sprawy wymagają czasu — powiedział Jeb. — Kobiety nie mają dla nich cierpliwości i zrozumienia, jakie mają mężczyźni.

Marylou nie odezwała się, przyjmując wymówkę bez komentarza. Czasami zastanawiała się, dlaczego dobry Bóg dał kobietom rozum, skoro nie miało być im dane go używać. Ale tę myśl trzymała tylko dla siebie; była nieprzyzwoita i podsunięta przez szatana.

— Pieniądzy ledwie starczy, żeby kupić ziarno na następny siew — powiedział.

Kiwnęła głową. Zawsze tak było. Chyba każdego roku popadali w coraz większe długi. — Potrzebuję trochę materiału, żeby uszyć dzieciom jakieś ubrania. Rosną tak szybko, że nie mogę za nimi nadążyć. A zaraz będzie jesień i będą potrzebować butów do szkoły. Będzie zbyt zimno, żeby mogły chodzić bosy. A poza tym, to nie wyglądałoby zbyt dobrze.

— Ja nie miałem butów, dopóki nie szło mi na szesnasty rok — powiedział Jeb. — I wcale mi to nie przeszkadzało. : — Ale do szkoły też nie chodziłeś — odparła. — Teraz jest inaczej. Dzieci muszą być wykształcone.

— Wszystkiego, co musiałem wiedzieć, nauczyłem się od swojego taty. — Nie wiem, jak czytanie może pomóc Danielowi być lepszym farmerem. To, że kończy teraz szkołę, nie daje mu nade mną żadnej przewagi. Znowu się nie odezwała.

— Molly Ann też chodzenie do szkoły w niczym nie pomogło. Jeszcze nie znalazła sobie męża; kiedy ty miałaś szesnaście lat, byliśmy już po ślubie.

— To nie jej wina — powiedziała Marylou. — Już od dawna mogłaby wyjść za mąż, tylko wszyscy młodzi mężczyźni wyjechali do miast do pracy.

Spojrzał na nią. — Pan Fitch mówi, że mógłby im znaleźć dobrą pracę, jeśli tylko byśmy chcieli.

Nic nie powiedziała. Słyszała propozycję pana Fitcha, ale nie musiała się do tego przyznawać.

— Mówi, że mogą dostać cztery, może pięć dolarów tygodniowo.

— To dobry zarobek — powiedziała.

Skinął głową. — I może Molly Ann znajdzie tam sobie jakiegoś chłopaka. Dziewczyna dojrzeła tak szybko, że nie wierzę własnym oczom.

Marylou kiwnęła głową. Widziała, w jaki sposób Jeb wodzi wzrokiem za poruszającą się córką. Znała swego męża. Jeb był dobry, ale był tylko człowiekiem, i miał w sobie wiele ziemskich żądy Szatana. Wiedziała też, że czasami żądze mogą zaprowadzić człowieka zbyt daleko. Na okolicznych wzgórzach było dosyć wypadków potwierdzających to. Wiele dziewczyn było wysyłanych do krewnych, bo ich ojcowie poddali się szatanowi. A bardzo długo trwało, zanim pojawił się ksiądz i oczyścił ich z grzechu.

— To mogłoby być dla nich dobre — powiedziała.

— Nie mam tu zbyt wiele do roboty dla Daniela. Co tu robić w taką suszę, gdy ziemia jest nieurodzajna. Północne pole niemal nie nadaje się do uprawy.

— Przy maluchach mogłaby mi pomagać Rachel, kiedy przyjdzie do domu ze szkoły — dodała Marylou.

— Moglibyśmy nawet założyć tu sobie elektryczność.

Gdy dotknął pieniędzy, przyglądała się jego ręką. — Może moglibyśmy trzymać kurczaki, maciorę lub dwie, może nawet krowę. Małym na pewno robiłoby dobrze, gdyby miały świeże mleko.

— Callendar, ten za wzgórzem, chce, żebym wziął jego drugiego muła za pięć dolarów — powiedział z namysłem Jeb. — To by nam na pewno ulżyło przy orce, a w niedziele moglibyśmy zaprzęgać go i odwiedzać rodzinę. Zamilkli. Każde z nich obmyślało swoje własne plany. Po chwili Jeb zaczął zbierać monety i wkładać je do ściąganego rzemieniem woreczka z miękkiej skóry.

— Może powinniśmy to zrobić — powiedział ostrożnie.

— Może — potwierdziła, unikając jego spojrzenia.

Wstał i położył pieniądze na najwyższej półce, wysoko nad kominkiem. Obrócił się i spojrzał na nią w dół. <— Możesz wziąć z tego dwa dolary na swoje potrzeby — rzekł.

— Dziękuję, Jeb. — powiedziała. To nie było dużo, ale więcej niż nic. — Chyba zajrzę do dzieci, zanim się położę. Pójdiesz wkrótce spać?

Uniknął jej spojrzenia. — Chyba usiądę sobie na chwilę i wypalę fajkę.

— Nie siedź zbyt długo — powiedziała. — Szczególnie, jeśli chcesz jutro z Danem uprzątnąć zachodnie pole. Ciężko usiadł i zaczął nabijać fajkę tytoniem ze słoika stojącego na stole. Oboje wiedzieli, dlaczego przychodził późno do łóżka. W ten sposób mogła udawać, że już śpi, on nie musiał już o nic prosić, a ona nie musiała mu odmawiać.

Daniel leżał spokojnie na łóżku, które dzielił ze swoim bratem Richardem. Richard spał od ściany, zwinięty w kłębek na grubej, bawełnianej pościeli. Z drugiej strony pokoju dochodziły go ciche odgłosy śpiących sióstr. Molly Ann spała z najmłodszą Alice, a Rachel dzieliła łóżko z Jane. Niemowlak Mase ciągle spał w kołysce w pokoju rodziców. Zamknął oczy, ale sen wciąż nie nadchodził. Czuł jakieś dziwne rozgoryczenie. Nieokreślone, nieukształtowane; wzięło się nie wiadomo skąd, ale nie ustępowało i dokuczało mu.

Nie chodziło o to, że byli biedni. Zawsze o tym wiedział, ale nie powodziło im się gorzej od innych rodzin, które znał. Jednak po dzisiejszym dniu uważał, że tak nie powinno być. Pan Fitch był tak zdecydowany i pewny siebie. A skrywany przez ojca strach nagle stał się dla niego zupełnie oczywisty. I właśnie to nie było w porządku.

Biały górski księżyc zajrzał w okno i Daniel obrócił się, by mu się przyjrzeć. Sądząc po miejscu, w którym wisiał na niebie, musiało być około dziewiątej. Poprzez cienką ściankę, oddzielającą ich pokój od pokoju rodziców, usłyszał odgłos kroków. To były kroki ojca. Usłyszał kłapanięcie butów spadających na podłogę, potem skrzypnięcie łóżka, kiedy ojciec położył się na nie. Później znów była cisza. Dziwna cisza.

Kiedyś tak nie bywało. Dopiero od czasu, gdy urodził się Mase. Przedtem nocami zawsze dobiegały stamtąd szeleszczące odgłosy. Odgłosy ciepła i miłości, czasem okrzyki rozkoszy i śmiech. Teraz zawsze panowała cisza. Prawie tak, jakby w sąsiednim pokoju nikt nie mieszkał.

Molly Ann wyjaśniła mu to kiedyś. Ojciec i matka nie chcieli

mieć więcej dzieci. Ale to nadal nie miało dla niego sensu. Czy to znaczyło, że zamierzali zrezygnować z dawania sobie nawzajem przyjemności? Dlaczego mieliby to robić? Seks nie był dla niego tajemnicą. Było go pełno wszędzie wokół. Zwierzęta na farmie ciągle się nim zajmowały. Założył więc, że jego rodzice też to robią. W tym, że mieli teraz tego zaprzestać, było coś nienaturalnego. Obrócił się na łóżku tak, że trzymał teraz stopy przy głowie brata i położył się na brzuchu, by móc spoglądać na księżyc. Nocny wiatr przyniósł z oddali ledwo słyszalne odgłosy spuszczonej psów. Leniwie zastanawiał się, kto mógł wypuścić się na polowanie na szopy, skoro każdy wiedział, że szopy przeniosły się dalej na północ, by być bliżej wody.

Powoli wysunął się z łóżka i podszedł do okna. Głosy ujadających psów zdawały się dochodzić ze wzgórza na zachód od domu. Wydało mu się, że rozpoznaje jednego z nich. Wielkiego yallera, należącego do pana Callendara z doliny.

Usłyszał za sobą delikatny szelest ubrania. Obrócił się.

— Też nie możesz spać? — zapytała Molly Ann.

— Tak — szepnął.

Stała przy oknie obok niego i wyjrzała.

— Tak sobie myślałam — powiedziała. — Słyszałeś, co pan Fitch powiedział tacie?

Skinął głową.

— Zawsze zastanawiałam się, jak by to było mieszkać w mieście — wyszeptała. — Słyszałam, jak mówią...

Dobiegło ich skrzypienie jednego z łóżek.

— Szszsz... — syknął. — Obudzisz dzieciaki.

— Chcesz wyjść na dwór?

Kiwnął głową i cicho wyszli na podwórko, bezszelestnie zamykając za sobą drzwi. W świetle księżycy było jasno niemal jak w dzień.

— Noc pachnie tak słodko — powiedziała.

— Rzeczywiście ładnie — przyznał.

I jest taka spokojna — dodała. — Noc jest zupełnie inna niż dzień. Wszystko wydaje się takie spokojne i kojące.

Poprowadził ją do studni, nappełnił czerpak wodą i napił się. Potem podał go Molly Ann. Potrząsnęła głową, więc go odłożył. Ujadowanie psów przeszło w ciche szczekanie.

— Myślisz, że osaczyły coś? — zapytała.

— Głupie psy — powiedział pogardliwie. — Może puchacza, nic lepszego.

— Słyszałeś, co mówiła mama? — powiedziała. — Jeśli pojedziemy do miasta, będą mogli kupić jakieś kurczaki, może nawet krowę. Tata mówi, że może dostać starego muła Callendara za pięć dolarów.

Daniel nie, odpowiedział.

— Co o tym myślisz? — zapytała.

Wypowiadał słowa wolno, jakby niechętnie. — Nie podoba mi się ten pan Fitch. Jest w nim coś takiego, że go nie lubię.

— To znaczy, że nie pojedziesz, jeśli tata cię wyśle?

— Tego nie powiedziałem. Po prostu ten człowiek mi się nie podoba.

— Wydaje mi się całkiem przyjemny — powiedziała.

— Nie daj się zwieść jego wesołości i górnolotnym manierom. To bardzo twardy człowiek.

— Czy myślisz, że tata nas wyśle?

Obrócił się, by jej się przyjrzeć. Po chwili skinął głową.

— Tak sądzę — powiedział. — Tata nie ma wyboru. Potrzebujemy pieniędzy, a nie ma innego sposobu, by je zdobyć.

Nuta podniecenia zakradła się do jej głosu. — Słyszałam, jak mówią, że w każdą sobotę wieczorem, po pracy, organizują tańce.

Popatrzył na nią przez chwilę. — Szatańskie myśli przychodzą ci do głowy.

Roześmiała się i wskazała w dół palcem. — Akurat ty możesz o tym mówić, kiedy ci tak sterczy, że wystaje z kalesonów.

Oblał go gorący rumieniec. Miał nadzieję, że w nocy tego nie zauważy. — Taki się robi, kiedy muszę w nocy robić siusiu — bronił się.

— Więc idź i zrób. Gwałtownie potrząsnęła głową i ruszyła w kierunku domu. — Tylko nie bądź za długo, bo będę wiedziała, co robisz.

— Molly Ann.

Odwróciła się i spojrzała na niego.

— Dlaczego tak bardzo chcesz stąd wyjechać? Przyglądała mu się. — Naprawdę nie wiesz, Danielu? Potrząsnął głową.

— Nie mam tu nic do roboty — powiedziała spokojnie. — Mogę tylko dorosnąć i zostać starą panną. Tam, w mieście, być może będę miała szansę, przestanę się czuć tak pusta i bezużyteczna. Chłopaki to co innego — powiedziała. — Mogą robić, co chcą. Nie muszą się żenić, jeśli nie chcą.

Podeszła z powrotem do niego. — Danielu, ja nie jestem złą dziewczyną, naprawdę nie. Ale właściwie nie jestem już dziewczyną. Jestem dorosłą kobietą; mam prawie szesnaście lat i jestem świadoma paru rzeczy, które powinnam zrobić. Myślę o założeniu własnej rodziny, zanim nie będę za stara.

Chwyciła go za rękę. Miała zimną dłoń. — Kocham mamę i tatę, ciebie i dzieciaki, ale mam własne życie. Rozumiesz to, Danielu?

Przyglądał się jej dłuższą chwilę. — Chyba tak — powiedział z wahaniem.

Puściła jego rękę. — Lepiej idź zaraz spać. Musisz wcześniej rano wstać, by pomóc tacie uprzętać zachodnie pole.

— Dobrze — powiedział. Patrzył, jak wchodzi do domu, potem poszedł za stertę drzewa załatwić się. Kiedy wrócił do ich pokoju, słychać było jedynie łagodne, senne odgłosy nocy.

Jeszcze zanim wszedł do kuchni, poczuł zapach smażonej kaszy. — Byłem na zachodnim polu — powiedział. — Ale tata nie przyszedł.

Marylou obróciła się, by mu się przyjrzeć. — Twój ojciec pojechał wcześniej rano zorientować się, czy mógłby pożyczyć od Callendara muła do pomocy. Powinien zaraz wrócić. Siadaj i zjedz choć trochę śniadania.

Przysunął krzesło do stołu i zajął się papkowatym jedzeniem.

— Tata i ja myśleliśmy o tym, że może ty i Molly wyjechalibyście do pracy do miasta — powiedziała matka. — Podobałoby ci się?

Wzruszył ramionami. — Za bardzo się nad tym nie zastanawiałem.

— Pan Fitch mówi, że moglibyście zarobić cztery, może pięć dolarów tygodniowo.

— A ile on z tego będzie miał?

— Kto?

— Pan Fitch.

Marylou była zgorziona. — Nic. Jak możesz w ten sposób o tym myśleć? Pan Fitch jest porządnym człowiekiem. Widzi, że sprawy kiepsko się mają i chce pomóc.

— Więc dlaczego nie daje tacie uczciwej ceny za whisky? — zapytał Daniel.

— To co innego — odpowiedziała matka. — To są interesy.

— Dla mnie to jest to samo. — Skończył jedzenie i wstał od stołu. — Wydaje mi się, że człowiek nie może zachowywać się w jakiś sposób w jednej sprawie i w zupełnie inny w drugiej.

Marylou rozgniewała się. — Nie masz prawa mówić w ten sposób o tak porządnym człowieku, jak pan Fitch.

Zawsze był dla nas dobry. Czy nie daje nam w sklepie kredytu, kiedy nie mamy pieniędzy?

— Dostaje je z powrotem, kiedy przyjeżdża do nas po bimer. Nie ponosi żadnego ryzyka.

— Danielu, ucisz się — powiedziała ostro. — Ojcu nie spodoba się, jeśli opowiem mu, co mówiłeś. Pan Fitch pomógł wielu rodzinom w okolicy. Znalazł również dobrą pracę wielu młodym ludziom. Więc po prostu uważaj na to, co mówisz, i na swoje zachowanie.

Daniel wyszedł, nie odzywając się ani słowem. Przeszedł na frontowe schody i usiadł. Wpatrywał się w drogę, którą miał nadejść ojciec. Może rzeczywiście będzie dobrze, jeśli pojedzie do miasta. Poza tym może Molly Ann ma rację. Tutaj także dla niego naprawdę nie było nic do roboty.

4

— Jeśli nie będziecie się guzdrać po drodze, powinniście dotrzeć do sklepu pana Fitcha przed zachodem słońca. —

Jeb łypnął na poranne słońce. — Nie zanosz się na zbyt upalny dzień, więc nie będzie tak źle. Daniel spojrzał na ojca.

— Nie będzie.

— Masz drugą parę spodni i porządną, czystą koszulę — powiedziała matka. — I pamiętaj, żeby codziennie prac kalesony.

— Będę pamiętał — odparł Daniel.

— Nie chcemy, żeby ludzie myśleli, że żyjemy jak świnie tylko dlatego, że mieszkamy w górach. Nosimy dobre nazwisko; stare i porządne jak każde inne, i nie chcemy, by o tym zapomnieli.

Daniel poruszył się niezgrabnie. Buty, które miał na nogach, już zaczynały go cisnąć. Zazwyczaj nie nosił butów aż do pierwszych zimowych mrozów.

Molly Ann zapewniła matkę: — Będę się nim opiekować, mamó. Nic się nie martw.

Marylou obróciła się do córki: — Bądź porządną dziewczyną. Pamiętaj, czego cię uczyłam. I nie wąż się słuchać pięknych bajeczek tych różnych obiboków, pamiętaj.

— Wiem, jak mam się zachowywać, mamó. Nie jestem dzieckiem.

Marylou spojrzała na córkę. Nie odezwała się. Molly Ann zaczerwieniła się. Wiedziała, co matka miała na myśli. — Będę się dobrze sprawować, mamó. Jeb sięgnął do kieszeni i wyciągnął kilka monet.

— Daję wam dolara na was dwoje, żebyście mogli zapłacić za jedzenie i mieszkanie, dopóki nie zaczniecie pracować. Nie przyjmujcie niczego od nikogo. Nie chcę słyszeć, że Hugginsowie biorą od kogoś jałmużnę.

Daniel w milczeniu wziął pieniądze od ojca i wsunął je do kieszeni.

— To jest dużo pieniędzy — powiedział Jeb. — Nie wyrzucicie ich nie wiadomo na co.

— Na pewno nie, tato — odrzekł Daniel.

Jeb znowu spojrzał w niebo. — Myślę, że powinniście już iść.

Daniel skinął głową. Popatrzył na rodziców, potem na braci i siostry zebranych wokół nich w komplecie na podwórku. — Chyba tak. v Dzieci też przypatrywały się im w milczeniu. To była uroczysta chwila, ale nie miały nic do powiedzenia.

Daniel lekko machnął ręką, potem podniósł swój mały, bawełniany worek z zapasową koszulą, spodniami i bielizną. Przez węzeł przepchał krótki kij i umieścił worek na ramieniu.

— Chodź, Molly Ann.

Dziewczyna spojrzała na niego przez moment, potem podbiegła do matki. Przez długą chwilę Marylou trzymała swoją najstarszą córkę w objęciach, później wypuściła ją. Molly Ann szybko ucałowała policzki wszystkich dzieci i dołączyła do Daniela. Powoli ruszyli w kierunku drogi.

— Danielu — powiedział ochryplym głosem Jeb. Zatrzymali się. — Tak, tato.

— Jeśli to nie wyjdzie — powiedział z zakłopotaniem, podchodząc do nich — nieważne z jakiego powodu, wróćcie do domu. Nie zapominajcie, że macie rodzinę, która was kocha i jest z was dumna.

Daniel poczuł ucisk w krtani. Twarz ojca była nieruchoma i nic nie wyrażała, ale jego jasne oczy szklily się.

— Wiemy o tym, tato — odpowiedział, doznając nie znanego mu dotąd uczucia męskiego zrozumienia. — Ale nie martw się. Wszystko się nam uda.

Jeb przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu, potem skinął głową.

— Wiem — powiedział w końcu. Zamrugął oczami. — Opiekuj się siostrą, synu.

— Dobrze, tato.

Jeb wyciągnął spracowaną dłoń, ujął i ucisnął dłoń Daniela. Potem nagłym ruchem puścił ją, odwrócił się i odszedł.

Daniel patrzył za nim do chwili, gdy ojciec zniknął za rogiem domu, wtedy obrócił się do siostry. — Chodź, Molly Ann — powiedział. — Mamy przed sobą daleką drogę.

Dokładnie były to trzydzieści cztery mile.

Dzień okazał się ciepły, o wiele cieplejszy niż to przepowiadał Jeb. Słońce wisiało wysoko nad ich głowami, a jego jasne promienie bezlitośnie padały na zakurzoną drogę.

— Jak myślisz, ile mniej więcej przeszliśmy? — zapytała Molly Ann.

Daniel przesunął kapelusz na tył głowy i otarł przedramieniem słony pot z twarzy. — Może jedenaście, dwanaście mil.

— Stopy mnie bolą — narzekała. — Możemy parę minut odpocząć?

Chwilę pomyślał, potem kiwnął głową. — Chyba możemy.

Zeszła za nim z drogi w pole, gdzie siedli pod drzewem. Szybko zdjęli buty i, leżąc na wznak, pozwolili rozruszać się radośnie uwolnionym palcom stóp. — Jedyna rzecz, jaka mi się nie podoba w wyjeździe do miasta, to buty — odezwała się Molly Ann.

— Też ich nie lubię — zgodził się, rozcierając stopy. — Ale chyba będziemy musieli się do nich przyzwyczaić.

— Zaszło mi w ustach — powiedziała. — Żebyśmy mieli trochę wody.

— Za jakieś trzy mile jest strumyk. Wtedy będziemy mogli się napić i zjeść kanapki.

— I umyć nogi też?

— Też. — Roześmiał się, po czym wstał. — Chodźmy. Spojrzała na jego stopy. — Nie nałożyłeś butów.

— Myślę, że musimy je oszczędzać — powiedział. — Inaczej zedrzemy je do cna, zanim dotrzemy do miasta.

Uśmiechnęła się. — Bardzo ładnie to wymyśliłeś. Niosąc buty, znowu zaczęli schodzić z góry. Po kilku minutach odezwała się: — Danielu.

— Tak?

— Czy myślisz, że pan Fitch wszystko to mówił tacie serio?

— Uważam, że tak.

— Nie lubisz go, prawda? Daniel nie odpowiedział.

— Zresztą, to nie ma znaczenia, jeżeli naprawdę może załatwić nam pracę, tak jak powiedział.

Daniel zastanawiał się przez chwilę. — Myślę, że nie.

— Danielu — powiedziała nagle głosem pełnym lęku. — Danie^ lu, nie czuję się zbyt dobrze.

Spojrzał na nią szybko. Nagle pobladła, a na czole pojawiły się krople potu. Natychmiast ściągnął swój kapelusz i nałożył jej na głowę. Jej długie, jasnobrązowe włosy parzyły go w palce. Ujął ją za ramię. — Chodź tu i usiądź.

Dostałaś lekkiego udaru słonecznego.

Pozwoliła mu zaprowadzić się powoli w cień innego drzewa. Delikatnie ułożył ją na ziemi. — Odpocznij trochę.

Słabo potrząsnęła głową. — Nie, musimy iść dalej, bo nie dojdziemy.

W jego głosie pojawił się ton rozkazu. — Leż. Jeśli dostaniesz prawdziwego udaru słonecznego, to też nie dojdziemy. Leż tu, a ja spróbuję znaleźć trochę wody.

— Dobrze, Danielu — powiedziała potulnie, zamykając oczy.

Zwinnie rozsuptał węzeł, na który zawiązany był worek, i znalazł blaszany kubek umieszczony między ubraniami. Pobiegnął w dół wzgórza, w kierunku większej grupy drzew. Przeważnie tam, gdzie było tyle drzew, powinna być woda. Ukląkł, zaczerpnął garść ziemi i powąchał ją. Była wilgotna.

Opadłszy na kolana i ręce, czołgał się w poszukiwaniu wody. Kiedy natrafił palcami na mokrą ziemię, zaczął ją wygrzebywać rękami i odrzucać na bok. Kiedy dotarł na jakąś stopę w głąb, pojawiła się woda.

Szybko wygrzebał okrągłą dziurę, potem mocno ubił ziemię na jej bokach. Położył dłoń z rozczapierzonymi palcami na dno dziury i naciskał ją całym ciężarem swojego ciała. Chwilę potem woda zaczęła zbierać się wokół jego palców. Dalej cisnął, aż woda sięgnęła nadgarstka i zaczęła wsiąkać w boki dziury; wtedy drugą ręką podstawiał kubek, aż zupełnie napełnił się wodą.

Trzymając go ostrożnie, pobiegł z powrotem do siostry. Molly Ann leżała spokojnie z zamkniętymi oczami. Chyba nie była już tak blada jak przedtem. Zmęczona otworzyła oczy i próbowała usiąść.

— Leż spokojnie — powiedział, klękając przy niej. Z worka wyciągnął małą chustkę. Zwilżywszy ją, przyłożył do czoła siostry i delikatnie wytarł jej twarz.

— Tak jest przyjemnie — szepnęła.

Wyjął chustkę i zwilżył ją ponownie. Tym razem wycisnął krople wody na spieczone wargi Molly Ann. Poruszyła ustami i oblizwała je językiem.

— Lepiej? — zapytał.

Kiwnęła głową. — Jestem taka spragniona. Mogę dostać coś do picia?

— Tylko troszeczkę. — Włożył rękę pod jej ramiona i podniósł ją. Przytrzymał kubek przy jej ustach.

Wzięła mały łyk, potem odetchnęła. Popatrzyła na niego. — Po prostu nie wiem, co mi się stało.

— Powinnaś nosić kapelusz — powiedział. — Bo to słońce jest okrutnie mocne.

— Mogę trochę odpocząć? — zapytała. — Wtedy zrobi mi się lepiej i będziemy mogli iść.

— Nie ma pośpiechu — odparł. — Pan Fitch nam nie ucieknie. Wyciągnęła się na wznak i zamknęła oczy. Chwilę potem

zasnęła. Ponownie delikatnie wytarł jej twarz chusteczką i pozwolił odpoczywać. Trochę snu jej nie zaszkodzi.

Usiadł i spojrzał na słońce, potem na drogę skrzącą się w upale. Musiało być około południa. Nie było sensu teraz wracać na drogę. Przez następne parę godzin będzie jak w piecu. Poczekają do drugiej. Do tego czasu słońce przejdzie na zachodnią stronę gór i na drodze będzie chłodniej. Położył się na plecach, podłożywszy ramiona pod głowę, i zamknął oczy. Chwilę później on też zasnął.

Obudziła go gajówka siedząca na gałęzi nad jego głową. Spozierając poprzez uliścione gałęzie na bezchmurne, błękitne niebo, przyjrzał się przez chwilę śpiewającemu ptakowi. Później usiadł. Ptak, zaskoczony poruszeniem, odfrunął.

Spojrzał na siostrę. Miała otwarte oczy.

— Jak się czujesz? — zapytał.

— Lepiej — odpowiedziała.

Podniósł się z ziemi. — Moglibyśmy wiec iść.

— Nigdy przedtem mi się to nie zdarzyło.

— Nigdy przedtem nie byłaś z gołą głową przez cztery godziny na słońcu.

— Pewnie tak. — Podniosła się i stała przez chwilę. Potem spojrzała na niego. — Już się dobrze czuję.

Kiwnął głową i zaczął pakować swoje rzeczy. — Napijemy się porządnie, kiedy dotrzemy do strumienia.

Tym razem podniósł również jej worek i ruszyli naprzód. Zrobiła gest, jakby chciała oddać mu kapelusz.

— Nie, zatrzymaj go — powiedział. — Jestem bardziej przyzwyczajony do słońca niż ty.

Szli tak w milczeniu około pół godziny, zanim doszli do strumienia. Zbiegli z drogi, uradowani umyli twarze i ugasili pragnienie.

— Ale dobra woda — powiedział Daniel. Uśmiechając się, przyznała mu rację. — Smakuje jak cukier.

Musimy iść dalej.

— Jestem gotowa.

Wyprowadził ją z powrotem na drogę akurat, gdy zza ukrytego za drzewami zakrętu pojawił się wóz ciągniony przez muła. Daniel zatrzymał się na skraju wąskiej drogi. Przystanęła za nim.

Szczupły, wysoki młody mężczyzna siedział na ławeczce woźnicy. Twarz miał prawie, schowaną pod szerokimi skrzydłami góralskiego kapelusza, z rąk luźno zwisały mu lejce. — Rusz no się — krzyknął do opornego zwierzęcia, mozolącego się w upale.

Muł wcale nie przyspieszył; dalej posuwał się z wielkim trudem. Młodzieniec zaklął wesoło. — Cholerne bydlę.

Wóz zatrzymał się przed nimi i młodzieniec spojrział na nich.

— Dzieciaki, chcecie podjechać do miasta?

Molly Ann położyła rękę na ramieniu brata, by go powstrzymać. — Danielu, tata kazał nam iść.

Niemal gniewnie strącił jej rękę. Głupia dziewczucha. Czy nie widziała, że się do tego nie nadaje? Spojrział w górę na szczupłego młodzieńca.

— Oczywiście, że chcemy, proszę pana — powiedział.

5

Jimmy Simpson miał jasnoblonde włosy, niebieskie oczy i żywy, promienny uśmiech. W ciągu dwudziestu lat swego życia nigdy nie zaczął się w żadnej pracy, bo nigdy jej nie potrzebował. Pieniądze nie były problemem. Mógł je zdobyć na wiele innych sposobów — grając w kierki z polskimi górnikami, siedmiokartowego pokera z ludźmi z gór albo w bilard z miejskimi cwaniakami. A poza tym, kiedy szło nie najlepiej, zawsze pozostawał drobny przemyt alkoholu. Jak dzisiaj.

Spędził cały dzień na wzgórzach. To nie była prosta sprawa. Stary Fitch zrobił objazd akurat wczoraj. Gdyby nie to, że Jimmy płacił dwa razy tyle co Fitch, wracałby teraz pustym wozem. Ale to była dobra cena. Dostawał za nią dobrą whisky, taką, jaką zostawiali dla siebie.

Patrzył, jak chłopiec kładzie oba worki, które niósł, na wóz,

później pomaga siostrze usiąść na ławce i wspina się, by siaść koło niej. Zsunął kapelusz na tył głowy; na czoło spadł mu niesforny kosmyk włosów. — Jestem Jimmy Simpson.

Chłopiec spojrział na niego poważnie. — Bardzo nam miło.

Miał niższy głos niż Jimmy mógł się spodziewać. — Jestem Daniel Boone Huggins, a to jest moja siostra Molly Ann.

— Bardzo mi przyjemnie was poznać — powiedział, uśmiechając się. Spojrział na dziewczynę. Z tego, na ile widział jej twarz schowaną pod szerokoskrzydłym kapeluszem, najwidoczniej będącym własnością jej brata, była bardzo ładna. — Długo tak idziecie?

— Około piętnastu mil od wczesnego rana. Ale w taki upał nie można iść szybko.

— Dokąd idziecie?

— Do Fitchville.

Jimmy znowu się uśmiechnął. — Właśnie też tam jadę. Odwiedziny?

Daniel potrząsnął głową. — Nie. Idziemy do pracy.

— Dostaliście już robotę?

— Jeszcze nie. Ale pan Fitch powiedział tacie, że ją nam załatwi.

— Wam obojgu?

— Tak,

Jimmy zamilkł. Stary Skurwiel trzymał okolicę w swoich łapach. Nic nie mogło dotrzeć na wzgórze, ani z nich wyjechać, żeby nie maczał w tym swych długich, zachłannych paluchów; nawet ludzie. Ale nie było sposobu, żeby pobić sukinsyna, kiedy nawet miasto nazwano po jego praprapradziadku.

Daniel zajrzał do wozu. Rozpoznał dzbany, mimo że były przykryte starymi workami po cukrze. Odwrócił się jednak szybko w, stronę drogi. To nie była jego sprawa.

Jimmy spojrział na dziewczynę. Oparta o brata, kiwała się łagodnie w rytm jazdy wozu. Miała zamknięte oczy, pewnie drzemała.

— Jeśli twoja siostra jest zmęczona, możemy urządzić jej posłanie wewnątrz wozu.

Molly Ann wyprostowała się. — Nie chcę sprawiać żadnego kłopotu — powiedziała szybko.

Zatrzymał muła. — To żaden kłopot, zwłaszcza że to dla tak ładnej dziewczyny.

Przez ławkę wdrapał się do środka wozu i przesunął rząd dzbanów na bok. Z bawełnianych worków po cukrze szybko ułożył materac, potem zamontował mały daszek nad częścią legowiska, by osłonić ją przed słońcem.

— Całkiem nieźle — powiedział, wyprostowując się. — Sam tu wczoraj w nocy spałem. — Wyciągnął do niej rękę. Molly Ann spojrzała na brata, oczekując przyzwolenia. Skinął głową. Ujęła rękę Jimmy'ego i przestąpiła siedzenie. Spojrzała na niego. — Jest pan bardzo uprzejmy, panie Simpson.

Uśmiechnął się do niej szeroko. — Jimmy. Wszyscy mówią mi Jimmy.

— Jimmy — powiedziała.

Nagle uświadomił sobie, że wciąż trzyma jej dłoń, więc ją puścił.

— Urządź się wygodnie — powiedział niezręcznie. Poczowała, że serce bije jej w piersiach jak oszalałe, a na twarz zaczyna wypływać rumieniec. Bała się odezwać. Chyba słońce poraziło ją mocniej, niż się jej to wydawało. Tylko skinęła głową.

Wdrapał się z powrotem na siedzenie. Szybki rzut oka przez ramię upewnił go, że już się położyła, więc szarpnął lejcami.

— Ruszaj, cholerny bydlaku — zaklął niemal szeptem, by nie przeszkadzać dziewczynie.

Molly Ann obudziła się nagle, czując chłód wieczornego powietrza. Siadając, zdała sobie sprawę, że była przykryta grubym kocem. Zsunęła go i głęboko zaczerpnęła powietrza. Czowała się już lepiej.

Obróciła się i na tle wieczornego nieba zobaczyła sylwetki siedzących tyłem do niej brata i młodego mężczyzny.

Rozleniwiona zastanawiała się, jak długo spała. Młodzieniec szarpnął lejcami. Znowu poczuła falę ciepła na twarzy.

Był sympatyczny.

— Nie śpisz już? — Daniel usłyszał ją.

— Nie.

Jimmy obrócił się do niej. — Chcesz przyjść tutaj?

Kiwnęła głową. Zatrzymał muła i wyciągnął rękę. Ujęła ją. Znowu poczuła przyspieszone bicie serca. Zmieszana, puściła jego rękę. — Jak daleko musimy jeszcze jechać?

— Jeszcze dwie godziny — powiedział Jimmy. — Nie mogę rozruszać tego bydlaka. To najbardziej leniwy muł w powiecie.

Spojrzała na Daniela. — Będzie późno, kiedy tam dotrzemy. Co się stanie, jeśli sklep pana Fitcha będzie zamknięty?

— To znajdziemy go rano — odparł Daniel.

— Macie gdzie się zatrzymać? — spytał Jimmy. — Jakaś rodzinę? *i*

— Nie — odpowiedział Daniel.

— Mogę wam załatwić spanie tam, gdzie ja mieszkam — powiedział Jimmy. — Wdówka Carroll prowadzi przyjemny pensjonat.

Z wahaniem spojrzeli na siebie.

— Nic od was nie weźmie za tę noc — szybko dodał Jimmy. — Jesteście moimi gośćmi.

— Możemy zapłacić. — Równie szybko powiedział Daniel. — Mamy pieniądze. Chodzi tylko o to, że chcieliśmy rozpocząć pracę tak wcześnie jak to możliwe.

— Gdzie będziecie pracować? — spytał Jimmy. — W przedzalni? Znowu Molly Ann spojrzała na brata.

— Tak dokładnie to nie wiemy — przyznał Daniel. — Po prostu pan Fitch powiedział naszemu ojcu, żebyśmy przyjechali do miasta, a on już zajmie się resztą.

— Fitch nie powiedział, jaką pracę będziecie wykonywać?

— Nie. Powiedział tylko, że nieźle zarobimy. Cztery, może pięć dolarów tygodniowo.

Jimmy roześmiał się wesoło. — Cały Fitch, ten to ma gadane.

— Chcesz przez to powiedzieć, że tu nie ma pracy? — W głosie Molly Ann słychać było niepokój.

— Tego nie powiedziałem. Pewnie, że jest praca. Ale kiedy płacą siedem centów za godzinę, musisz pracować przynajmniej dwanaście godzin dziennie, żeby zarobić tyle pieniędzy.

— Nie boimy się pracy — powiedziała Molly Ann.

— Pracowałaś kiedyś w fabryce?

— Nie.

— Stoisz cały dzień na nogach, zmieniając szpule w pracującej maszynie przez dwanaście godzin, i czujesz się, jakbyś miała się rozpaść na sto kawałków. To nie jest łatwe.

Nic nie szkodzi — powiedziała. — Jeśli mają dobrze płacić, to nie spodziewamy się, że praca będzie lekka.

— Dobrze płacić. — Znowu się roześmiał. — Nazywasz to dobrą płacą? Jak myślisz, dlaczego zatrudniają dzieci? Bo kiedy dorosłym muszą płacić piętnaście centów na godzinę, im mogą płacić siedem i z tej różnicy mają zysk. — To nie nasza sprawa, co robią inni — powiedział Daniel. — Nas obchodzi tylko to, żeby uczciwie wykonywać swoją pracę.

Jimmy chciał się znowu roześmiać, ale coś w wyrazie twarzy chłopca wstrzymało go. To nie był zwykły wieśniak. Gdzieś w głębi jego oczu kryła się naturalna dojrzałość, świadomość właściwa ludziom dużo starszym od niego. Po chwili powiedział: — Ludzie muszą robić to, co do nich należy.

Ale tak naprawdę Jimmy wiedział, że jest inaczej. Tutaj ludzie nie robili tego, co do nich należało, ale tańczyli jak marionetki, wprawiani w ruch przez innych ludzi dla ich celów i korzyści.

Było po dziewiątej, kiedy wjechali na Main Street i wóz zatrzymał się przed sklepem pana Fitcha. Drzwi były zamknięte, a w oknach panowały ciemności. Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

Jimmy czuł, że musi ich przeprosić. — Przykro mi. Gdyby ten stary muł nie był tak uparty, byłibyśmy godzinę wcześniej.

— To nie twoja wina — powiedział Daniel. Spojrzał na siostrę. — Może lepiej tu wysiadzimy.

— To zupełnie bez sensu — powiedział szybko Jimmy. — Chodźcie ze mną do wdówki. Dostaniecie kolację, spanie i przyjdziecie tu z samego rana.

Daniel spojrział mu w oczy. — Nie chcemy narobić nikomu kłopotu. I tak jesteśmy ci wdzięczni za życzliwość.

— Nikomu nie sprawicie kłopotu — powiedział Jimmy. — Pokoje z utrzymaniem to interes wdowy.

Wdowa Carroll była kościstą kobietą o ostrych rysach twarzy i równie ostrym języku, którego używała, by utrzymać w ryzach swoich pensjonariuszy. Nieokrzesaną, dziwną mieszaninę ludzi pracujących w zakładach, fabrykach i kopalniach, którzy przybyli tu z bliskich i odległych części świata. Słowianie z centralnej

Europy byli stłoczeni razem z zaciętymi, małomównymi góralami pracującymi w środowisku równie obcym dla nich, jak dla imigrantów. Pomimo to wdowa dawała sobie z nimi radę. W jej domu nie było bójek, pijaństwa czy bluźnierstw. Nie obchodziło jej, co robili poza domem, ale kiedy zamierzali usiąść przy jej stole, lepiej żeby mieli czyste ręce i umyte twarze. Każdy z nich żył w panicznym strachu przed nią, mówiąc dziwnie przyciszonym głosem, gdy znajdowała się w pobliżu, bo nie chciał stracić miejsca w jej pensjonacie. Jedzenie nie było wyszukane, ale prowadziła najlepszą kuchnię w okolicy.

— Spóźniłeś się na kolację — warknęła na Jimmy'ego. — Dobrze wiesz, że kolacja jest o wpół do siódmej.

— To przez tego starego muła — zaczął czarować Jimmy. — Po prostu w żaden sposób nie mogłem go zmusić, żeby przyspieszył. Potem znalazłem te dzieciaki idące drogą w taką gorączkę i przecież nie mogłem ich tak zostawić, prawda?

Wdowa Carroll spojrzała na Daniela i Molly Ann, i bez słowa pociągnęła nosem. Pod jej groźnym wzrokiem poczuli się nieswojo.

— Szli do pana Fitcha, żeby się u niego rozlokować, ale sklep jest zamknięty — powiedział.

— Żadnych kobiet — warknęła. Obróciła się do Jimmy'ego. — Znasz prawa obowiązujące w moim domu.

Daniel ujął siostrę za rękę. — Chodź, Molly Ann. Nie chcemy sprawiać ci kłopotu, Jimmy — powiedział. —

Dziękujemy za twoją uprzejmość.

Coś w jego głosie obudziło wspomnienia wdowy Carroll. Jej mąż był góralem i wiele lat temu, kiedy oboje byli młodzi, jego głos brzmiał jak głos tego chłopca, mocny i przepelniony poczuciem dumy. Ale to było dawno temu, zanim kopalnie nie zniszczyły jego płuc, a biała whisky żołądka; umarł, rzygając czarną krwią na jej czyste, białe prześcieradła.

— Poza tym mam tylko jeden pokój wolny — powiedziała. Daniel spojrzał jej spokojnie w oczy. — Nic nie szkodzi, proszę

pani. Siostra i ja całe życie spaliśmy w jednym pokoju, razem z naszymi braćmi i siostrami.

— Nie obchodzi mnie, co robiliście — odpowiedziała ostro. — Żaden mężczyzna w tym domu nie będzie dzielił pokoju z kobietą, nawet jeśli są rodzeństwem.

— Za pozwoleniem pani, mogę spać na ganku. Pokój będzie dla Molly Ann — powiedział Daniel.

— Sama nie wiem — ąparła pełna wątpliwości wdowa. — To niezbyt przystoi, by ktoś spał na ganku.

— Może spać na łóżku w moim pokoju — powiedział szybko Jimmy.

Wdowa Carroll zdecydowała się. Wyglądali na przyjemne, uczciwe dzieci z porządnej rodziny. — No, dobrze. Ale do jedzenia została tylko zimna wieprzowina i chleb.

— To niezwykle uprzejmie z pani strony — powiedział Daniel.

— To wyniesie po dziesięć centów od każdego z was — powiedziała, spoglądając na niego. Zawahała się przez moment i dodała. — W to jest wliczone śniadanie, które jest dokładnie o wpół do szóstej.

Daniel bez słowa wyjął z kieszeni parę monet. Położył na jej dłoni dwie piątki i dziesiątkę. — Dziękujemy pani. Jesteśmy wdzięczni, że zechciała się pani nami zająć.

Kiwnęła głową i obróciła się do Molly Ann. — Chodź ze mną, panienko. Pokażę ci twój pokój.

Molly Ann leżała na łóżku w małym, ciemnym pokoju i wsłuchiwała się w panującą ciszę. Było jakoś dziwnie. Znikąd nie dochodził żaden dźwięk. Po raz pierwszy w życiu spała sama w pokoju, bez znajomych odgłosów śpiących braci i sióstr. Trochę potrwało, zanim się do tego przyzwyczaiła.

Pomyślała o pozostałych w domu i czy tęsknią za nią. Nagle po policzkach zaczęły jej cieknać łzy. Od drzwi dobiegło delikatne pukanie. Wysunęła się z łóżka i przemierzyła pokój.

— Tak? — szepnęła.

— To ja, Daniel. — Cichy głos przeniknął przez drzwi. — Dobrze się czujesz?

— Tak — odpowiedziała.

Zawahał się przez moment. — Tak... więc, dobranoc.

— Dobranoc.

Usłyszała jego miękkie kroki oddalające się od drzwi i wślizgnęła się z powrotem do łóżka. Jeden krótki dzień, a tyle rzeczy się zmieniło. Wszystko się zmieniło.

Dotąd Daniel był jej młodszym bratem. Ale teraz, dźŚłaj_vnagk stał się kimś innym. Była w nim siła, o jakiej przedtem nie wiedziała. Jakby w jednej chwili błyskawicznie przerósł ją i stał się mężczyzną.

Ogarnęło ją dziwnie ciepłe poczucie odprężenia i bezpieczeństwa, łyzy przestały płynąć i zapadła w głęboki, spokojny sen.

6

Trochę po szóstej rano Daniel i Molly Ann czekali przed sklepem na Main Street, kiedy otworzyły się drzwi i wyszedł stary Murzyn, trzymając w ręce miotłę. Przyjrzał się im z zaciekawieniem, ale nie odezwał się, tylko zaczął zamiatać drewniany chodnik przed wejściem. Daniel podszedł do drzwi i zajrzał do sklepu.

— Jeszcze nikogo nie ma — odezwał się Murzyn. — Jeśli chcecie coś kupić, to pan Harry będzie tu za chwilę.

— Czekamy na pana Fitcha — powiedział Daniel.

— On nie przychodzi przed ósmą — rzekł Murzyn.

— Poczekamy. — Daniel podszedł z powrotem do siostry. Pod jednym z okien stała mała ławka. Usiedli na niej.

Chwilę później do sklepu przybiegł mały, nerwowo poruszający się człowieczek w wyczyszczonej marynarce i nakrochmalonej koszuli z krawatem. — Są już jacyś klienci, Jackson? — zapytał gorliwie ciekawym głosem.

Murzyn grzecznie odsunął się na bok, by zrobić przejście małemu człowieczkowi. — Nie, panie Harry.

Mężczyzna zatrzymał się i spojrzał na Daniela i Molly Ann, ale nie odezwał się do nich. — A oni czego chcą?

— Szukają pana Fitcha.

— Szukacie pracy, dzieciaki? — Teraz człowieczek zwrócił się do nich.

Daniel podniósł się. — Tak, proszę pana.

— Dobrze, ale nie możecie tu siedzieć. — Powiedział ostro. — Ta ławka jest przeznaczona dla klientów.

— Przepraszam... — zaczął Daniel, ale mały mężczyzna zniknął już w sklepie. Obrócił się więc do Molly Ann, która już wstała. Stali, nie bardzo wiedząc, co robić.

— Z drugiej strony sklepu stoi ławka, na której możecie usiąść — powiedział stary Murzyn.

Daniel podziękował i poszli za róg budynku.

Wokół nich zaczęło budzić się miasteczko. Otwierano sklepy, na ulicach pojawiali się ludzie, jeździło trochę wozów; potem coraz więcej, aż parę minut po siódmej miasto tętniło pełnią życia.

Z zaciekawieniem przyglądali się temu w milczeniu. Przechodzący ludzie nie zwracali na nich uwagi. Wszyscy byli zatopieni we własnych myślach. Mężczyźni szli do pracy, kobiety po zakupy, dzieci bawiły się. Wszyscy byli czymś zajęci.

— Ile jeszcze? — spytała Molly Ann.

Daniel zerknął na słońce. — Może z pół godziny.

— Widziałeś rano pana Simpsona? — zapytała.

— Kiedy wychodziłem z pokoju, jeszcze spał — odparł Daniel.

— Nie zszedł na śniadanie.

— Przed pójściem spać powiedział mi, że nigdy nie jada śniadań — rzekł Daniel. — Powiedział mi też, że gospodyni daje naprawdę dobre śniadania. Jajecznicą z owsianką, chleb kukurydziany z masłem i prawdziwa kawa. Nie bardzo rozumiem, jak może przepuszczać takie dobre jedzenie.

— Chciałam mu podziękować za jego uprzejmość — powiedziała Molly Ann.

— Nie musisz się tym martwić — odrzekł Daniel. — Podziękowałam mu za nas oboje.

— Był naprawdę miły — powiedziała miękko.

Daniel zerknął na siostrę i wykrzywił się w uśmiechu. — Coś mi się zdaje, że się w nim zabujałaś — zażartował.

Oblała się rumieńcem. — Nie bądź głupi. Czy dziewczyna nie może już powiedzieć, że ktoś jest miły, żeby jej źle nie zrozumiano?

Daniel uśmiechnął się. Mógł jej powiedzieć, że Jimmy chciał wiedzieć o niej wszystko, ale gdyby się o tym dowiedziała, mogło się jej przewrócić w głowie.

Zza rogu podszedł do nich stary Murzyn. — Jeśli chcecie widzieć się z panem Fitchem, to właśnie przyszedł.

Poszli za nim do sklepu. Po ostrym świetle słonecznym musieli trochę przyzwyczać wzrok do panujących tu ciemności, ale już po chwili dostrzegli ułożone wokół nich baryłki i worki, wysoko

ustawione półki, zastawione wszystkimi rodzajami artykułów: od żywności w puszkach do bel materiału. Poprowadził ich za długi kontuar, obok małego gorliwego człowieczka, do niedużego biura o szklanych ścianach. Pan Fitch siedział za biurkiem, jak zwykle w szerokoskrzydłym kapeluszu na głowie. Widać było, że ich nie poznał.

— Czego chcecie, dzieciaki? — zapytał burkliwie.

— Tata nam kazał tu przyjechać — odparł Daniel. — Powiedział, że pan obiecał mu załatwić nam pracę.

Twarz pana Fitcha ciągle nic nie wyrażała. — Wasz tata?

— Tak — powiedział Daniel. — Jeb Huggins.

Głos olbrzyma nagle zmienił się i stał się bardziej jowialny. Wstał zza biurka. — Dzieci Jeba Hugginsa. Cholera, że was nie poznałem w tych eleganckich ubraniach. No pewnie. To właśnie obiecałem waszemu tacie.

Daniel poczuł ulgę. Przez moment myślał już, że to nieporozumienie.

— To dobrze, panie Fitch.

Fitch przyjrzał mu się. — Ty jesteś Daniel? Daniel skinął głową.

Obrócił się do Molly Ann. — A ty jesteś Molly Ann. Molly Ann uśmiechnęła się. — Tak, panie Fitch.

— Ten gulasz z królika, który wasza matka podała na kolację, był wyśmienity — powiedział. — Nigdy go nie zapomnę.

Nie odpowiedzieli.

Usiadł i zaczął przewracać jakieś papiery na biurku. — Czekaj* cie, niech zobaczę. Aha, tu są. Wyciągnął je w kierunku Daniela.

— Dajcie te dokumenty do podpisania tacie i możemy dać wam pracę.

Daniel popatrzył na niego. — Tata nie mówił nam, że są do podpisania jakieś dokumenty.

— Zawsze trzeba podpisać jakieś dokumenty — powiedział pan Fitch. — W świetle prawa jesteście nieletni i póki nie skończycie dwudziestu jeden lat, rodzice muszą podpisywać za was.

— Ale, panie Fitch — zaprotestował Daniel. — To więcej niż trzydzieści mil w jedną stronę. Zajmie nam dwa dni, zanim będziemy mieli je podpisane.

— Nic na to nie poradzę — odrzekł pan Fitch. — Takie jest prawo.

Daniel poczuł, jak narasta w nim gniew. — Dlaczego nie powiedział pan o tym mojemu tacie, kiedy mu pan mówił, żeby wysłał nas tutaj?

Fitch spojrział na chłopca przez biurko. Oczy Daniela nagle pociemniały. Chłopak miał charakter. Nie nadawał się do pracy w przedziałniach i hucie szkła tu, w okolicy. Najlepszym miejscem dla niego będzie kopalnia węgla w Grafton, około dwudziestu mil dalej na południe.

Odetchnął głęboko. — Zupełnie zapomniałem — przyznał. — Ale ponieważ to moja wina, wezmę cię od razu do pracy i sam się zajmę, żeby wasz tata dostał dokumenty do podpisania.

Daniel uspokoił się. W milczeniu skinął głową.

— Ile masz wzrostu, synu? — Głos Fitcha był teraz bardziej przyjazny.

— Chyba prawie pięć stóp i dziesięć cali — odrzekł Daniel. — Tata mówi, że szybko urosłem.

— Jesteś wysoki — przyznał Fitch. Zastanawiał się przez chwilę. — Jesteś za wysoki do pracy w hucie szkła. Oni tam szukają niższych chłopców, bo muszą schylać się pod kanałami. Miałbyś coś przeciwko temu, żeby pracować w nadszybiu?

— W nadszybiu? — zapytał Daniel. — Co to takiego?

— W kopalni — odpowiedział Fitch. — Możesz zacząć od sprzątania chodników, później możesz dostać się już do samej kopalni.

— Nie mam nic przeciwko temu — powiedział Daniel.

— Dobrze. — Fitch kiwnął głową. — Jest taki dobry szyb w nowej kopalni koło Grafton. Dam ci list polecający i zaraz cię tam wyślę.

— Ale Grafton jest dwadzieścia mil stąd — zaprotestował Daniel.

Fitch osadził go wzrokiem. — Chcesz pracować, prawda, chłopcze?

Daniel przytaknął głową.

— Twój tata zaufał mi na tyle, że cię tu przysłał; teraz ty musisz mi zaufać, żebyś dostał najlepszą pracę, jaką mogę ci załatwić.

— Ale Molly Ann i ja... liczyliśmy, że będziemy mogli być razem.

— Jeśli chcesz, możesz tu zostać, ale tu w okolicy nie ma pracy. Jedyne w Grafton.

— A co w takim razie z Molly Ann? — spytał Daniel. Fitch spojrział na dziewczynę. — Mogę jej załatwić dobrą pracę

w przedzalni, tu, na miejscu. Daniel popatrzył na siostrę i zawahał się. — Nie wiem.

— Nie martw się, Danielu — powiedziała szybko Molly Ann. — Dam sobie radę.

— Sam się nią zaopiekuję, chłopcze — rzekł Fitch. — Moja żona zajmie się tym, żeby miała przyzwoite miejsce do zamieszkania.

Daniel spojrział na zwałistego mężczyznę za biurkiem, potem na siostrę. Nie podobało mu się to, ale nie miał zbyt wielkiego wyboru. Tata wysłał ich do pracy. Nie mógł wrócić i powiedzieć mu, że mu się tu nie podobało.

W tym momencie zdecydował się pójść z powrotem do domu wdowy Carroll i poprosić Jimmy'ego, żeby miał baczenie na siostrę. W młodym człowieku było coś takiego, że Daniel czuł, iż może mu zaufać. To było uczucie zupełnie różne od tego, jakie żywił w stosunku do pana Fitcha.

— Dobrze — powiedział z ociąganiem.

— To już lepiej. — Uśmiechnął się Fitch, wstając. — Dziś po południu jedzie do Grafton wóz. Możesz się nim zabrać.

Podszedł do drzwi małego biura. — Teraz, dzieciaki, poczekajcie tu chwileczkę, a ja w tym czasie coś załatwię. Kiedy wyszedł, spojrzeli na siebie.

— Nie podoba mi się — powiedział krótko Daniel. Molly Ann ujęła jego rękę.

~— Zbyt szybko dojrzewasz, Danielu — powiedziała. — Ale nie zapominaj, że ja też dorastam.

Było trochę po dziesiątej, kiedy Daniel i Molly Ann wrócili do pensjonatu. Słyszając ich pukanie, wdowa Carroll podeszła do drzwi.

— Pani Carroll, czy pan Simpson jest jeszcze w domu? — zapytał Daniel.

— Jest tam z tyłu, w stodole. Męczy się ze swoim mułem — odpowiedziała krótko, rzucając mu ostre spojrzenie. — Zamierzasz tu zostać na noc?

— Nie, proszę pani — odparł. — Po południu jadę do Grafton.

— Twoja siostra też?

— Nie, proszę pani. Dostała pracę tu, w przedzalni.

— No tak, ale nie może tu zostać — powiedziała ostro. — Dzisiejsza noc była wyjątkiem, ale nie pozwalam tu mieszkać dziewczynom. Prędzej czy później kończy się to kłopotami.

— Dziękujemy za pani gościnność — powiedział Daniel spokojnie, spoglądając kobiecie w oczy. — I nie mamy zamiaru jej nadużywać.

Pod jego spojrzeniem spuściła wzrok. Wyglądała na dziwnie zakłopotaną. — Oczywiście, jeżeli ona...

Przerwał jej. — Ufam, że nie będzie to potrzebne, proszę pani. Uprzejmie dziękujemy.

Obserwowała, jak schodzą ze stopni ganku i idą za róg budynku, potem zamknęła drzwi i wróciła do swoich porządków. Miała rację. Wiedziała, że ma rację. Dziewczęta zawsze sprawiają kłopoty. Prędzej czy później mężczyźni zaczęliby o nią walczyć. Ale to była taka miła dziewczyna z porządnej rodziny. Nie jakiś tani śmieć, jakie zwykle pracowały w przedzalni. Może za szybko odmówiła? Bezgłośnie przekleła swój jęzor. Zawsze był jej największą wadą. Wściekła, zaczęła wzbijać miotłą tumany kurzu.

Daniel i Molly Ann znaleźli Jimmy'ego w stajni. Bynajmniej nie krzątał się koło swego muła. Zwierzę z zadowoleniem chrupało siano leżące w przegrodzie, a Jimmy rozlewał bimber do butelek. Stał przed drewnianą ławą, zastawioną czystymi półlitrowymi szklanymi butelkami. Pod pachą trzymał dzbanek, a w drugiej ręce lejek. Szybko i z dużą wprawą, ruchami wyuczonymi przez lata praktyki, wsuwał dziobek lejka do butelki, przechylał dzbanek i wlewał do niej przezroczystą, białą ciecz. Kiedy butelka była pełna, przesunął się ku następnej. Daniel był zauroczony. Nie tyle samym napełnianiem butelek, ale faktem, że nalany do butelki przezroczysty bimber natychmiast przybierał brązowy, przydymiony kolor. Nigdy w życiu czegoś takiego nie widział. Stali w milczeniu, dopóki Jimmy nie opróżnił jednego dzbana i nie sięgnął po następny.

— Panie Simpson — powiedział.

Jimmy odwrócił się i uśmiechnął. Odstawił na ziemię pusty dzban. — Wszystko w porządku?

Daniel skinął głową. — Chyba tak — spojrzał na ławkę. — Nie chcemy przeszkadzać.

Jimmy roześmiał się. — Tyle czekali na whisky Simpsona, mogą poczekać jeszcze trochę.

— Whisky? — zdziwił się Daniel.

Jimmy pokiwał głową. — To właśnie robię. Parę kropli sarsapa-rilli, przypraw i nie odróżnisz mojej od kupowanej w sklepie. Dostaję też lepszą cenę niż za czysty bimber.

Daniel zawahał się. — Był pan już tak uprzejmy, że chciałbym pana prosić...

— Nie czekaj, tylko mów — powiedział szybko Jimmy. — Jeśli tylko będę mógł.

— Pan Fitch mówi, że jestem zbyt wysoki do roboty w tutejszej hucie szkła i daje mi pracę w kopalni koło Grafion.

Jimmy nie skomentował tego. — A twoja siostra?

— Ona idzie do przędzalni tu na miejscu. — Daniel spojrzał na Molly Ann. — To nie jest dokładnie tak, jak sobie wyobrażaliśmy. Myśleliśmy, że będziemy razem. Pan Fitch mówi, że będzie się nią opiekował.

Jimmy zerknął na Molly Ann. Skromnie opuściła wzrok. Zobaczył delikatny rumieniec wpełzający na jej policzki.

— Co o tym myślisz? — zapytał ją.

Nie odpowiedziała, więc ponownie obrócił się do Daniela. — Nie podoba ci się pan Fitch. — Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

— Właściwie nie lubię tego człowieka — przyznał Daniel. — Sam czułbym się o wiele lepiej, gdybym wiedział, że to pan się nią opiekuje, a nie pan Fitch.

Jimmy kiwnął głową. — Wiem, jak to jest.

Znowu zwrócił się do Molly Ann. — A jak byś ty się czuła, panno Molly Ann?

Odezwała się bardzo miękko głosem, nie podnosząc na niego wzroku. Gdyby był pan tak uprzejmy, czułabym się naprawdę dobrze.

— Więc z przyjemnością wam pomogę — powiedział z uśmiechem. — Po pierwsze, musimy znaleźć ci odpowiednie mieszkanie.

Mam takich przyjaciół, porządną rodzinę. Ich najstarsza córka właśnie wyszła za mąż i mają wolny pokój, a czynsz mieliby na co wydać. Chodźmy tam, to zobaczymy, czy się zgadzają.

Odłożył lejek na ławkę i ruszył w ich kierunku.— A co z whisky? — zapytał Daniel.

Jimmy roześmiał się. — Niech sobie postoi. Nie słyszałeś, że whisky najlepiej robi, jak się ją postarza?

7

Przez sen Daniel usłyszał odległy gwizd syreny w kopalni, oznaczający koniec pierwszej zmiany. Obrócił się na swojej wąskiej pryczy i otworzył oczy. Trzej inni chłopcy, z którymi dzielił mały pokój, ciągle byli zagrzebani pod grubymi kocami.

Cicho wysunął się z łóżka i bosy poszedł do umywalni. Zatkął zlew korkiem i nalał do niego trochę wody z olbrzymiego dzbana. Woda była zimna, więc pomogła mu dobudzić się. Spojrzał na wytarte, porysowane lustro nad zlewem. Twarz, która się w nim odbijała, była inna od tej, którą pierwszy raz ujrzał w lustrze trzy miesiące temu. Po opaleniznie zginął już wszelki ślad. Skóra była teraz dziwnie sinobiała i ściągnięta na policzkach. Oczy, osadzone w wielkich, czarnych dołach, wyglądały jak dwa kawałki antracytu, z którym miał do czynienia przez cały boży dzień. Potarł policzki. Pokrywała je delikatna szczecina bardzo czarnego zarostu. Nie dotykając jej, nigdy nie mógł być pewny, czy to broda, czy jedynie pył węglowy, który wniknął przez pory skóry i był już stałym elementem jego cery. Zagłębił palce w puszcze z Gresolwentem i wtarł ziarnistą pastę w pianę na twarzy. Ale nawet kiedy już ją zmył i wytarł się szorstkim ręcznikiem, nic się nie zmieniło poza tym, że twarz piekła go od twardych ziaren piasku w mydle. Pył węglowy zagnieźdżał się w ludzkiej skórze tak, jak chwasty w glebie.

Kiedy umył włosy i gładko je uczesał, poszedł z powrotem do łóżka i zaczął się ubierać. Niebieska robocza koszula i kombinezon były sztywne od węgla, podobnie jak ciężkie buty robocze. Podniósł drelichową górniczą czapkę i sprawdził przymocowaną

na jej szczycie lampkę. Knot był wilgotny, a w puszcze było dosyć nafty na cały dzień. Cicho podszedł do drzwi. Zanim wyszedł, ostatni raz spojrzął na tamtych, śpiących chłopców, ale nie zbudził ich. Zajmowali się sortowaniem węgla i mogli być w pracy pół godziny po nim, o siódmej.

Zamknął za sobą drzwi i wąskimi schodami zszedł na parter pensjonatu. Przeszedł przez hol do kuchni. Krępa kucharka

o czarnej, świecącej od żaru pieca twarzy, spojrzała na niego z uśmiechem. — Dzień dobry, panie Danielu.

— Dzień dobry, Carrie.

— Dziś rano, to co zwykle panie Danielu?

— Tak, poproszę. I nie zapomnij...

Wykrzywiła się w uśmiechu. — Nie ma obaw, proszę pana. Jaja dobrze wysmażone z masą soli i pieprzu.

Siadł przy stole i z wielkiego żelaznego garnka, stojącego na stole, nalał sobie kubek parującej kawy. Dolał trochę śmietany, wsypał trzy kopiaste łyżeczki cukru i pomieszał.

— Mam ładny kalafior i jeśli pan chce, mogę go usmażyć z jajami — powiedziała.

— To bardzo uprzejmie z twojej strony, Carrie. Na pewno będzie mi smakować.

Grubo posmarował masłem jeszcze gorący chleb domowego wypieku i ugryzł kęs. — Oświadczam, Carrie, że po mojej mamie pieczesz najlepszy chleb w Zachodniej Wirginii.

— O... proszę jeść, panie Danielu. — Jej twarz zmarszczyła się w pełnym zadowolenia uśmiechu, kiedy przyniosła jaja i szynkę na stół. Sięgnął po sól.

— Chwileczkę — ostrzegła go. — Dałam już dużo soli. Posmakował jajka i pokiwał głową. — Rzeczywiście.

Kiedy jednak obróciła się, dosypał więcej soli. Jadł szybko, starannie wycierając chlebem żółtka jaj z talerza. Dopił kawę

i wstał od stołu.

Carrie przyniosła mu jego czarną metalową puszkę z drugim śniadaniem.

— Wsunęłam panu dodatkowe jabłko i pomarańczę — powiedziała. — Wiem, jak bardzo brakuje wam świeżych owoców.

-Dziękuję, Carrie. — Wziął od niej puszkę ze śniadaniem i podszedł do drzwi. — Do zobaczenia wieczorem.

— Niech pan uważa na siebie, panie Danielu. Niech pan się zanadto nie zbliża do tych ładunków dynamitu.

— Nie będę — powiedział, a wychodząc, uśmiechnął się, bo na tym właśnie polegała jego praca strzałowego. Musiał założyć ładunek i odpalić go. Dawało mu to dodatkowego dolara tygodniowo i nie miał zamiaru się tego pozbywać. Siedem dolarów tygodniowo to było prawie tyle, ile zarabiali dorośli mężczyźni.

W ciszy powlókł się ulicą pokrytą rozmiękłą od deszczu gliną, wzdłuż rzędów budynków fabrycznych, brudnoszarych od kopalnianego pyłu, i skręcił w ulicę wiodącą do wejścia do kopalni. Droga zaczęła zapełniać się mężczyznami idącymi do pracy i z niej wracającymi. Niektórzy szli do łóżek ledwo zwolnionych przez dzienną zmianę. Łóżka były w cenie, więc wiele pensjonatów wynajmowało je dwom zmianom. W niedziele, kiedy kopalnie były zamknięte, panowało okropne zamieszanie i często dochodziło do bójek o to, która zmiana ma większe prawo do łóżek. Prawo domowe mówiło, że mają się zmieniać co niedzielę, ale to niewiele pomagało, bo wszyscy byli bardzo zmęczeni i zdenerwowani. Daniel uważał, że miał szczęście znaleźć wspólny pokój. Dorośli widocznie nie chcieli się dzielić.

Daniel jak zwykle przybył do kopalni pierwszy z brygady. Usiadł na drewnianej skrzyni i obserwował wychodzących mężczyzn. Ich twarze były czarne, ubrania nawet bardziej zakurzone niż jego, mrużyli oczy, przystosowując je do dziennego światła. Szli wolno, niemal z bólem, przyzwyczajając swe ciała do poruszania się w pozycji wyprostowanej, a nie zgarbionej, wymuszonej przez niskie sufity korytarzy kopalni.

Jeden z mężczyzn zatrzymał się przed nim. Był mocno zbudowany, o potężnej piersi; jego jasnoblonde włosy były pokryte pyłem węglowym. — Andy już jest?

— Nie, proszę pana. — Daniel potrząsnął głową. Andy był jego sztygarem. Mężczyzna, który się do niego zwracał, był sztygarem nocnej zmiany.

Sztygar rozejrzał się przez chwilę dokoła. — Powiedz mu, że zachodni tunel wymaga podstemplowania, zanim podłożycie następne ładunki. Ściany robią się coraz cieńsze.

Daniel skinął głową. — Powiem mu.

— Tylko nie zapomnij — ostrzegł go mężczyzna. — Bo może się okazać, że wszyscy będziecie gryźć ziemię.

— Nie zapomnę — przyrzekł Daniel. — Dziękuję panu.

Mężczyzna potrząsnął głową i odszedł ciężkim krokiem. Daniel pogrzebał w kieszeni i wyciągnął prymkę tytoniu. Odgryzł kawałek i zaczął go żuć w kąciku ust. Dużo śliny pozwalało wyłapać kurz, zanim dotarł do płuc. Fachowo strzyknął tytoniową śliną w pelzającą u jego stóp wodną pluskwę i zatopił ją w brązowym, trującym strumieniu. Spoglądał na oddalającego się sztygara. Nie był specjalnie przejęty. Ostrzeżenie było dla niego starą śpiewką. Każda zmiana starała się obciążyć stemplowaniem inną, gdyż czas, jaki to zabierało, wpływał na obniżenie tonażu urobku. Nie można wydobywać węgla, kiedy się podpira ściany.

Powietrze w kopalni było ciężkie i wilgotne, a ściany przesiąknięte wodą. Ziemia pod stopami była miękka i gąbczasta; ich ciężkie buty pogrążały się w niej, a pozostawione odciski nóg natychmiast wypełniała woda.

— Cholera! — zaklął sztygar. — Lepiej ściągnijmy tu na dół parę pomp, bo ani się nie obejrzymy, jak woda zaleje nas po same dupy.

— Wszystkie pompy są używane we wschodnim tunelu — powiedział któryś z mężczyzn.

Sztygar obrócił się do Daniela. — Idź do baraku nadzorca i powiedz mu, że musimy dostać parę pomp, bo nasze muły są zakopane po brzuchy i nie możemy wyciągać węgla.

Daniel kiwnął głową i odwrócił się. Szedł z powrotem w górę tunelu, w kierunku głównego wyjścia, przechodząc obok brygady robotników kładących tor dla wagonów z węglem.

— Jak tam na dole? — krzyknął jeden z mężczyzn.

— Mokro — odparł Daniel. — Idę po jakieś pompy.

— Jak już idziesz, to przynieś ptaszka — powiedział mężczyzna. — Nie podoba mi się ten zapach na dole.

Daniel uśmiechnął się szeroko. Przedtem posyłali go z takimi zadaniami. Kanarki miały niby wykrywać ulatniający się gaz lub brak tlenu, ale jak długo pracował w kopalni, nie widział jeszcze ani jednego :

— Wiecie cp, jak mi załatwicie wolne popołudnie, to przyniosę wam orła — odpowiedział.

Wybuch śmiechu gonił go, dopóki nie skręcił za róg. Wejście

znajdowało się u góry biegnącego ukośnie korytarza, około dwudziestu jardów przed nim. Patrzył przez nie w ciemnobłękitne niebo, na którym migotały tysiące gwiazd. Zaskoczyło go to. Na zewnątrz był dzień, ale niebo, oglądane przez wylot długiego, wąskiego korytarza, wyglądało jak w nocy. Widział gwiazdy znajdujące się poza słońcem. Bledły i zaczęły znikać w miarę jak zbliżał się do wejścia. Zatrzymał go dozorca. — Dokąd idziesz, chłopcze?

— Andy wysłał mnie, żebym zdobył jakieś pompy z biura kierownika.

— Tracisz czas — rzekł dozorca. — Wracaj do pracy.

— Andy mówi, że muły ugrzęzły po brzuchy i nie można wyciągnąć węgla.

Dozorca przyjrzał mu się. Po chwili wzruszył ramionami. — To idź — powiedział zadzierzyście. — Ale to ci nic nie da.

Daniel przeszedł do biura. Zapukał do drzwi i wszedł do środka. Urzędnik spojrzał na niego sponad biurka. — Czego chcesz?

— Andy mówi, że potrzebne są nam pompy w zachodnim tunelu — odparł. — Nie możemy wydobywać węgla.

— A to dlaczego?

Daniel przyjrzał mu się. Miał już w sobie zakorzenioną niechęć do urzędników biurowych, jaką czuli wszyscy górnicy. — Każdy wie, że muły nie potrafią jednocześnie pływać i ciągnąć węgla — rzekł.

Kancelista też mu się przyjrzał. — Jaki mądry dzieciak. Spojrzał na biurko. — Wracaj i powiedz Andy'emu, że tu nie mam pomp.

Daniel był uparty. — Powiedział mi, żebym widział się z kierownikiem.

— Nie ma go.

— Poczekam — Daniel rozejrzał się za krzesłem.

— Nie, nie poczekasz — powiedział urzędnik. — Wracaj do roboty albo będziesz zwolniony.

— Dobrze — odparł Daniel. — Wrócę i powiem mu, ale zna pan Andy'ego. On się nie pieprzy. Przyjdzie tu sam.

Urzędnik ustąpił. Każdy wiedział, jaki jest Andy. W kopalniach spędził całe życie i był bardzo porywczy. Nikt nie wchodził mu w drogę, jeżeli nie był przygotowany do walki.

— Dobrze — powiedział. — Powiedz mu, że przyślę na dół jakieś pompy.

Daniel kiwnął głową i obrócił się do wyjścia, ale urzędnik przywołał go siebie. — Jesteś tu nowy?

— Niezupełnie.

— Jak się nazywasz?

— Daniel Boone Huggins.

Kancelista zapisał coś na leżącej przed nim kartce papieru.

— W porządku — powiedział. — Zapamiętam to.

— Poświęciłeś na to swój własny drogocenny czas — powiedział kwaśno dozorca, kiedy Daniel przechodził obok niego.

Daniel nie odpowiedział. Zszedł na dół w ciemność. Andy podszedł do niego. — Co z pompami?

— Kierownika nie było — odparł Daniel. — Kancelista mówi, że przyśle nam je na dół.

Andy ponuro kiwnął głową. Kopnął ziemię pod stopą. Trysnęła woda. — Cholera, lepiej, żeby się pospieszyli. Mam przeczucie, że wchodzimy w podziemne źródło.

Spojrzał na Daniela. — A ty zaczynaj przynosić deski.

— Dobrze — powiedział Daniel. Poszedł wzdłuż tunelu, aż dotarł do stosu stempli. Potem ciągnął jedną po drugiej, w głębokim błocie, deski długości dziesięciu stóp aż do końca tunelu.

Minęła blisko godzina, a on przeciągnął prawie trzydzieści dech dwa na osiem cali, kiedy usłyszał krzyczącego kopacza.

— Sztygarze, trafiłem na wodę.

Na moment wszyscy zamarli, patrząc na Andy'ego. Sztygar był spokojny, oceniając oczami sytuację. Strumień wody tryskał z odległej ściany, wymywając ziemię.

— Przestańcie tak stać i gapić się jak osły — krzyknął po chwili Andy. — Zaczynajcie to zasypywać.

Natychmiast w powietrzu zaczęło fruwać tuzin łopat, rzucając ziemię z powrotem na ścianę, by zatrzymać wodę.

— Dajcie tam stemple — wył Andy. — Postawcie ścianę na dwie stopy.

Obrócił się do innego mężczyzny. — Kop rów odwadniający.

Wszyscy pracowali jak szaleni, ale zajęło im ponad godzinę, zanim źródło wody zostało zasypane; przez ten czas wszyscy sapali i pocili się z wysiłku. Teraz jeden po drugim padali na ziemię z wyczerpania.

Andy oparł się o stemple i patrzył na nich z góry. Powiódł

ramieniem po czole, ocierając kapiący pot. Głęboko nabrał powietrza. — Wstawać — powiedział. — Ruszamy z węglem. Mamy już ponad dwadzieścia ton zaległości.

Daniel z trudem podniósł się na nogi. Ubranie miał kompletnie przemoczone. — A co z pompami? — zapytał. Andy spojrzał na niego. — Pieprzyć. My już mamy spokój. Niech je ściąga nocna zmiana. Zresztą powinna była zrobić to już przedtem.

— Ale... — rozpoczął Daniel. Sztygar przygwoździł go groźnym spojrzeniem. — Zaczynaj ładować węgiel do wagonów — powiedział. — Albo wyrzucę cię stąd za dupę.

Daniel stał, nie mogąc się zdecydować.

— Ruszaj! — wrzasnął Andy. — To nie twoja sprawa martwić się o nich bardziej, niż oni martwią się o nas.

Daniel w milczeniu ruszył do roboty. Sztygar miał rację. Każdy sam musiał troszczyć się o siebie.

Tak wydawało się aż do trzeciej w nocy, kiedy niesamowity, płaczliwy głos kopalnianej syreny przerwał mu sen.

Usiadł na łóżku, przecierając oczy. Pozostali chłopcy w pokoju już się obudzili.

— Ciekawe, co się stało — powiedział jeden z nich.

Z zewnątrz dobiegały głosy biegających ludzi. Podszedł do okna i wyjrzał. Mężczyźni wysypywali się już z domów na ciemną ulicę. Podciągnął okno do góry i wychylił się. — Co się stało? — krzyknął w dół.

Jakiś mężczyzna zatrzymał się i spojrzał w górę na niego. W ciemnościach jego twarz była biała i blada. —

Tapnicie w kopalni — odkrzyknął. — Zawalił się zachodni tunel.

8

— Chłopcze! Daj mi tu jeszcze jedną pochodnię. — Głos kierownika odbijał się w głębi tunelu. Daniel przedarł się z powrotem przez błoto, chwycił pochodnię

ze ściennej podpórki i wrócił do ściany ziemi, dokąd sięgnęło tapniecie. Spojrzał na kierownika.

— Wejdz na tamte stemple i trzymaj światło nieruchomo — rozkazał kierownik.

Daniel wspiał się na drewniane bale, aż jego twarz znalazła się o cal od ściany mokrej ziemi. Wyciągnął jedną rękę, by zachować równowagę.

Kierownik skinął Andy'emu i obaj wdrapali się obok Daniela; spoglądali w dół na wilgotną ziemię. Pod sobą ujrzeli ciągły, wypływający z błota, strumień wody i usłyszeli syczący dźwięk ssących pomp. Obaj mężczyźni milczeli, obserwując ziemię poniżej.

Daniel przyglądał się im zafascynowany. Byli zupełnie różni. Andy był duży, potężny i nieokrzesany. Jego robocze ubranie kleiło się od błota i węgla, natomiast kierownik był nieduży, czysty, wymuskany. Jego krawat i biała koszula z nakrochmalonym kołnierzykiem oraz szare ubranie wydawały się nie tknięte przez muł i brud wokół niego. Oczy błyszczały mu spoza pince-nez w drucianych oprawkach. Daniel podążył za jego wzrokiem. W ciągu paru minut, kiedy tu stali, linia mułu na stemplach podniosła się prawie o cal.

— Ciągłe napływa — stwierdził beznamiętnie kierownik.

— Tak, proszę pana. — Zwykle grzmiący głos Andy'ego był teraz przyciszony.

— Dlaczego nie ściągnąłeś tu pomp? — spytał kierownik.

— Posłałem po nie Daniela—odparł Andy. — Ale ich nie przyniosł.

Kierownik zwrócił się do Daniela. — Dlaczego nie przyniosłeś ich z sobą?

Daniel odchrząknął. — Kancelista powiedział, że przyśle je na dół.

— Będzie chyba lepiej, jak pójdziemy na górę do biura. — Kierownik obrócił się do Andy'ego. Chciał już odejść, ale zatrzymał się jeszcze, - Zabierz z sobą chłopca.

Zszedł z zapory, potem stąpając ostrożnie po drewnianych balach, żeby nie zamoczyć butów, wyszedł z tunelu.

Andy patrzył za nim przez chwilę, potem splunął na ziemię śliną zmieszaną z tytoniem. Spojrzał na Daniela. —

Jesteś pewny, że rozmawiałeś z kancelistą, Danielu?

— Nie mam zwyczaju kłamać, panie Androjewicz — odparł spokojnie Daniel.

Andy nie odpowiedział. Zszedł z desek i poczekał na Daniela. Obrócił się do brygady. — Pompujcie dalej i zobaczcie, czy dacie radę usunąć trochę tego błota.

Mężczyźni kiwnęli głowami i wrócili do pracy. Jednak ledwo zdołali opróżnić jedną szuflę do beczki, mokra ziemia zsuwała się, wypełniając szczelinę. Andy stał przez chwilę, obserwując ich, potem ruszył, rzucając przez ramię: — Chodź, Danielu.

Na zewnątrz kopalni oczy Daniela poraziło dzienne światło i przygniotła go dziwna cisza oczekującego tłumu ludzi. Kiedy odzyskał wzrok, ujrzał kobiety z głowami przykrytymi wytartymi szalami, z ustami mocno zaciśniętymi ze strachu. Zobaczył dzieci z szerokimi, ciemnymi, milczącymi oczami i mężczyzn, po których spokojnych twarzach widać było, że są obznajomieni ze śmiercią w kopalniach.

Jeden ze starszych mężczyzn odezwał się do przechodzącego Andy'ego: — Jak tam jest na dole?

Andy potrząsnął głową i nie odpowiedział. Tłum wydał przyciszony jęk bólu. Potem znowu nastał spokój, okropny spokój rezygnacji.

— To już dwa dni — powiedział inny mężczyzna. — Dotarliście do nich bliżej?

— Nie — odparł Andy. — Ziemia jest zbyt mokra i wciąż się obsuwa.

Jakaś kobieta zaczęła płakać. Stojący obok natychmiast zgromadzili się, by ją uspokoić. Chwilę potem odprowadzili ją. To była stara zasada. Żadnych łez przy szybie. Nigdy nie można było okazać, że nie ma już nadziei.

Daniel wszedł za Andym do biura. Kancelista spojrzał na nich zza swego biurka. Wskazał na drzwi za sobą. — Pan Smathers prosił, byście od razu weszli.

W biurze poza kierownikiem było dwóch innych mężczyzn. Zajmowali krzesła obok pana Smathersa, który siedział za biurkiem. Otwarty szkic kopalni leżał na biurku przed nimi. Smathers przedstawił obecnych. — To jest pan Androjewicz, sztygar dziennej zmiany w zachodnim tunelu. Andy, panowie Carter i Riordan — rządowi inżynierowie do spraw bezpieczeństwa pracy.

Mężczyźni skinęli głowami. Nie wyciągnęli rąk na przywitanie. Andy też się nie ruszył.

— Ci panowie usiłują ustalić przyczyny tapnięcia — powiedział Smathers.

Andy kiwnął głową. Nie odezwał się. Byle cymbał powinien wiedzieć, dlaczego nastąpiło tapnięcie. Za dużo wody. Pompy mogłyby temu zapobiec, ale nie było żadnych pomp, więc teraz nikt nie mógł nic na to poradzić.

Pierwszy odezwał się Carter. — Rozumiem, że na swojej zmianie natrafił pan na źródło, odizolował je i umocnił chodnik. Dlaczego nie użył pan także pomp?

— Prosiłem o pompy, ale w ogóle nie przysłano mi ich na dół — powiedział Andy.

— Pan osobiście?

— Nie, proszę pana. Posłałem tam Daniela.

Obaj mężczyźni spojrzeli na Daniela. — Kogo prosiłeś? Daniel popatrzył na nich. — Tego urzędnika z biura.

Mężczyźni spojrzeli na siebie w milczeniu.

— Jeśli mi panowie nie wierzycie — powiedział szybko Daniel — dlaczego po prostu nie zawołacie go i nie zapytacie?

Pan Smathers powiedział spokojnie: — Już to zrobiliśmy, chłopcze. Mówi, - że w ogóle tu nie przychodziłeś. Tak więc, dlaczego po prostu nie powiesz nam prawdy? Potraktujemy cię łagodnie.

Daniel poczuł wzbierający w nim gniew. — Ja mówię prawdę, panie Smathers. Dwudziestu siedmiu mężczyzn z dołu nie żyje. Znałem niektórych z nich. Czy myśli pan, że kłamałbym, gdybym był winny ich śmierci?

— On upiera się, że nikt nie przychodził pytać o pompy — powtórzył pan Smathers.

— Byłem tu, na górze — powiedział z zapalem Daniel. — Nawet dozorca mnie wypuszczał.

— W jego raporcie nie ma o tym mowy. — powiedział kierownik. — Oglądaliśmy go.

Daniel poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Oni wszyscy byli w zмовie. Chcieli obciążyć tym jego, by ocalić własne karki. Myślał szybko, przerzucając wzrok kolejno po obecnych. — Panie Smathers, czy zapytał go pan o moje nazwisko?

— Jak mogłem, chłopcze?—zapytał rozdrażniony kierownik. — Nawet nie znam twojego nazwiska.

— A myśli pan, że pański kancelista mógłby je znać?

— W jaki sposób? On nie ma nic wspólnego z personelem.

— Zapisał moje nazwisko w książce na swoim biurku — powiedział Daniel. — Był wściekły, kiedy powiedziałem mu, że Andy się z nim policzy, jeśli nie przyśle nam pomp, więc uważał za konieczne zapytać mnie o nazwisko.

— Nawet jeśli będzie znał twoje nazwisko — powiedział Smathers — to niczego nie będzie dowodzić.

— To udowodni, że byłem tu, tak jak powiedziałem — odparł Daniel.

Nagle odezwał się Andy: — Ręczę za Daniela. On nie kłamie.

— Obawiam się, że pan się myli — powiedział grzecznie Smathers. — To, co mówi chłopak, nie ma znaczenia.

— Nic to pana nie kosztuje sprawdzić książkę na biurku — rzekł Andy. Zaczął już dostawać wypieków na twarzy. Smathers spoglądał na niego przez chwilę w milczeniu, potem wstał. — Chodźcie ze mną, panowie. Poszli za nim do biura. Urzędnik podniósł na nich wzrok.

— Hatch — zwrócił się do niego kierownik. — Znasz tego tu chłopca?

— Nie, proszę pana.

— Czy kiedyś już go widziałeś?

— Nie, proszę pana.

Smathers spojrział na dwóch mężczyzn. — Zadowoleni? Skinęli głowami.

Smathers ruszył z powrotem do swojego biura. W drzwiach obrócił się i spojrział na kancelistę. — Hatch, przynieś mi z kadr kartę personalną chłopca.

Weszli za nim do jego biura, a on zamknął drzwi za sobą. Obszedł biurko i usiadł. Daniel wpatrywał się w niego.

—Jeśli nie zna mojego nazwiska, jak może przynieść moją kartę?

Smathers spojrział na Daniela. W jego oczach pojawił się błysk zaskoczenia i uznania. — Myślisz, chłopcze — powiedział.

Chwilę później kancelista wszedł do pokoju. W ręce trzymał dokument. Położył go na biurku przed panem Smathersem i chciał wyjść.

— Hatch! — Pan Smathers podniósł papier i przyglądał mu się. — Przyniosłeś mi nie tę kartę. Hatch obrócił się, na jego twarzy pojawił się wyraz zmieszania. — Ależ nie, proszę pana. To są właściwe akta. Daniel Boone Huggins. To jest oznaczone tu, na... — nagle zamilkł, zdając sobie sprawę, że wszyscy wpatrują się w niego.

— Co z nim zrobią? — zapytał Daniel.

Andy poruszył się niezgrabnie na belce, na której siedzieli przed biurem kierownika. Jego zmrużone oczy śledziły wejście do kopalni. — Nic.

Daniel był wstrząśnięty. — Ale to była jego wina...

— Zamknij się. — powiedział ostro Andy. — Już o tym zapomnij. Przedsiębiorstwo nie ma zamiaru brać na siebie winy za to, co się stało. Bądź wdzięczny, że nie zwalili tego na ciebie.

— Ale muszą podać jakiś powód — upierał się Daniel.

— Podadzą — odparł Andy. — Zapamiętaj moje słowa. Podadzą.

Drzwi budynku otworzyły się i stanął w nich Smathers. — Chodźcie z powrotem.

Weszli do budynku. Hatch siedział przy biurku z głową pochyloną nad rejestrem. Nie podniósł wzroku, gdy przechodzili obok niego do biura kierownika.

Smathers zamknął za sobą drzwi, wrócił do swojego biurka i usiadł. Dwaj inżynierowie przysłani przez rząd stali niedbale oparci o ścianę. Smathers spojrzął na Andy'ego. — Ustaliliśmy przyczynę tąpnięcia i chcielibyśmy wiedzieć, czy zgadza się pan z nami.

Andy milczał.

Smathers chrząknął. — Okazało się, że dzienna zmiana odpaliła kilka ładunków dla uwolnienia węgla bez uprzedniego sprawdzenia ostemplowania. To była ich wina. Nie powinni być tak cholernie nieostrożni.

Andy spokojnie wytrzymał spojrzenie kierownika. — Cholernie nieostrożni — powiedział.

Smathers rozluźnił się. — To właśnie zostanie stwierdzone w raporcie, jaki napiszą ci panowie.

Andy spojrział na nich, potem znów na Smathersa. — Oni się na tym znają — rzekł sucho. — W końcu są rzeczoznawcami.

Zapadło niezręczne milczenie, które przerwał Smathers. — Ale przedsiębiorstwo zamierza być wspaniałomyślne. Pomimo to, że wypadek był zawiniony przez pracowników, każdej z rodzin górników damy po sto dolarów odszkodowania pośmiertnego i przez sześć miesięcy darmowe mieszkanie w budynkach firmy.

Andy nie odezwał się.

— Teraz musimy przywrócić kopalnię do takiego stanu, by można prowadzić wydobywanie. — Smathers podniósł się.

— Żaden z nas nie zarobi grosza, jeżeli nie zaczniemy wydobywać węgla.

— Ponowne przekopanie zachodniego tunelu zajmie miesiąc — powiedział Andy.

— Wiem o tym — stwierdził beznamiętnie Smathers. — Nie zamierzamy go przekopywać. Chcemy go zasypać.

Zaczniemy nowy tunel na South Vein.

— A co z ludźmi tam, na dole? — spytał Andy.

— Jakimi ludźmi? — Głos Smathersa nie zdradzał emocji. — Masz na myśli ich ciała? Oni już nie żyją i zostali pogrzebani. Nie możemy sobie pozwolić, by ryzykować życie innych tylko po to, by ich odkopać i pochować na nowo.

Andy milczał. Spojrział na Daniela. Daniel dostrzegł gniew i rozpacz w oczach sztygara. Po chwili obrócił się znowu do Smathersa. — Chyba ma pan rację, panie Smathers.

Smathers uśmiechnął się. — Możesz też powiedzieć swoim ludziom, że firma nie potrąci im za czas stracony w ciągu ostatnich dwóch dni, mimo że w ogóle nie wydobyliśmy węgla. Przedsiębiorstwo dba o swoich własnych ludzi.

Andy skinął głową. — Dobrze, panie Smathers.

Smathers zwrócił się do Daniela. — Ile masz lat, chłopcze?

— Szesnaście — odpowiedział Daniel, pamiętając, że skłamał w podaniu o pracę.

— Umiesz czytać i pisać?

— Tak, proszę pana. Sześć lat chodziłem do wiejskiej szkoły.

— Pan Hatch opuszcza nas dzisiaj — powiedział Smathers. — Chciałbym, żebyś przyszedł tu od jutra i zostałeś moim kancelistą.

Daniel nie potrafił ukryć zdumienia. Niezdecydowany spojrział na Andy'ego. Sztygar dyskretnie dał mu znak przymrużonymi

oczami, Daniel obrócił się więc do Smathersa. — Byłbym naprawdę wdzięczny za taką możliwość, panie Smathers. Atmosfera w biurze rozluźniła się. Nawet dwaj inżynierowie uśmiechali się. Tym razem uścisnęli dłonie wszystkim obecnym.

Daniel spoglądał na Andy'ego, gdy szli z powrotem do kopalni. Sztygar wydawał się być zatopiony w myślach. W końcu powiedział:

— Masz tytoń?

Daniel wyciągnął z kieszeni prymkę i podał mu. Andy odgryzł potężny kęs, żuł go przez chwilę i wypluł. — Sukinsyn! — wykrzyknął.

— O co panu chodzi? — spytał Daniel.

— Ten Smathers to cwaniak. Wszystkich ma z głowy. Nawet firmę. Nas tak w to wplątał, że nie możemy nic powiedzieć. I nawet rodziny tych biednych, martwych skurwieli na dole muszą być mu wdzięczne.

9

Syrena o szóstej zawyła przeraźliwie, oznaczając koniec dnia. Molly Ann cofnęła się na wąską platformę, z dala od szybko wirujących wrzecion. Starannie wyliczyła długość nici nawijającej się na szpulę, a potem, akurat we właściwym momencie, podniosła rękę i przekręciła pokrętło, wyłączając maszynę. Obserwowała, jak szpula zwalnia obroty i z zadowoleniem kiwnęła głową, kiedy zatrzymała się w pełni nawinięta. Szybko podniosła kłęb nici z wrzeciona i ułożyła go w koszu załadunkowym. Obejrząwszy się ostatni raz, zeszła z platformy. Powietrze było wypełnione syczącym szmerem przestających dudnić, wyłączanych, wielkich parowych silników generatorów. Była sobota i tej jednej nocy w tygodniu w fabryce zapanuje cisza.

Wmieszała się w tłum dziewczyn idących przez fabrykę obok milczących, olbrzymich maszyn, do okienka skarbnika tuż przy bramie. Czuło się wśród nich świąteczny nastrój. Dzień wypłaty. Sobotni wieczór. Ich głosy, jeszcze podniesione od stałych prób przekrzykiwania hałasu w ciągu dnia, były przepelnione podnieceniem, planami na wieczór i następny dzień.

— Molly Ann, idziesz dziś wieczorem na tańce do kościoła baptystów? — zapytała jedna z dziewcząt.

— W wesołym miasteczku jest jutro piknik— powiedziała inna.

— Kościół Uświęcenia organizuje jutro zgromadzenie. — powiedziała trzecia dziewczyna. — Mówią, że mają mnóstwo miedzianek i grzechotników, i że kilku świętych już przygotowuje się na spotkanie z Duchem Świętym. Molly Ann uśmiechnęła się, ale nie odpowiedziała. W ciągu sześciu miesięcy, które tu spędziła, nastąpiło wiele zmian. Z jej twarzy zniknęły delikatne ślady dziecinnej pulchności, nadając jej dziwnie egzotyczny wygląd. Jej wystające kości policzkowe podkreślały oczy koloru świeżej zieleni, a pełne wargi łączyły się z mocnym podbródkiem. Jej ciało również się zmieniło. Piersi były pełniejsze, talia węższa, a biodra przechodziły w długie, proste nogi.

— Molly Ann nigdy nie wie, co robi — powiedziała pierwsza dziewczyna. — Czeka na Jimmy'ego, żeby jej powiedział.

— Daj spokój — rzekła z uśmiechem Molly Ann.

— Kochasz się w nim — ciągnęła dziewczyna.

Znowu Molly Ann nie odpowiedziała. Były jeszcze dziećmi. Co one mogły wiedzieć o tym, co czuła do Jimmy'ego? A tym bardziej, co on czuł do niej? Wszystko, o czym wiedziały, to tańce i zabawy w sobotnie wieczory i niedziele, a po nich długie oczekiwanie na następny weekend.

Zajęła miejsce w kolejce do okienka skarbnika. Wkrótce nadeszła jej kolej. Stary urzędnik wyrzał na nią przez okno.

— Dobry wieczór, Molly Ann — powiedział, podsuwając jej przez okrato-wane okienko pokwitowanie do podpisania.

— Dobry wieczór, panie Thatcher — odpowiedziała, podpisując się na pasku papieru i oddając mu go.

Wziął pokwitowanie, sprawdził je, potem zaczął przeglądać pudło z kopertami, stojące obok na kontuarze, aż znalazł kopertę z jej nazwiskiem. Wyjął ją i wręczył dziewczynie. — Lepiej przelicz — poradził. — Z nadgodzinami masz dużą wypłatę. W tym tygodniu pracowałaś osiemdziesiąt godzin.

Skinęła głową i w milczeniu otworzyła kopertę. Pieniądze wysypały się jej na rękę. Szybko je przeliczyła. — Sześć dolarów czterdzieści centów — powiedziała, spoglądając na niego.

— Zgadza się — kiwnął głową, r— Osiem centów za godzinę. Tylko uważaj z takimi pieniędzmi. Nie wydaj ich wszystkich od razu.

— Nie wydam, panie Thatcher — obiecała. Z powrotem włożyła pieniądze do koperty i ruszyła w stronę bramy. Na ulicy zebrał się jak zwykle tłum mężczyzn i chłopców, oczekujących na wychodzące z pracy dziewczyny. Ojcowie czekający na córki, mężowie na żony, młodzi mężczyźni na narzeczone. Wszyscy myśleli tylko o jednym. Dzisiaj była wypłata.

Chłód wieczoru przeniknął jej mokrą od potu, bawełnianą sukienkę, klejącą się do ciała. Wzdrygnęła się i mocniej owinęła szalem. Przeszła obok pierwszego rzędu młodych ludzi. Usłyszała pokrzykiwania i gwizdy. Odwróciła głowę i przyspieszyła kroku.

Jeden z nich krzyknął za nią: — Co robisz dziś wieczór, Molly Ann? Nigdzie tu nie widzę Jimmy'ego.

Nie odpowiedziała. Nie spodziewała się, by Jimmy czekał na nią. Pojechał w góry po biber i wróci dopiero wieczorem.

Obróciła się, słysząc płacz dziewczynki. Zauważyła mężczyznę bijącego dziecko. To był solidny chłop i już dobrze podpity. Dziewczynka upadła na plecy w błoto ulicy i spoglądała na mężczyznę przestraszonymi oczami. Ten stał, chwiejąc się, a w zaciśniętej dłoni trzymał jej żółtą kopertę z wypłatą.

— To cię nauczy, do kogo należy twoja wypłata — krzyczał. — Jestem twoim ojcem i będziesz robić to, co ci każe. Idź i powiedz matce, że dam jej tyle, ile mi się spodoba.

Po chwili odszedł chwiejnym krokiem. Inni mężczyźni nie poruszyli się, po prostu stali w milczeniu. Molly Ann podeszła do dziewczynki i pomogła jej wstać. Mała wydawała się mieć nie więcej niż jedenaście lat i cały czas łkała ze strachu.

— Już dobrze ^- uspokajała ją Molly Ann. — Wszystko będzie dobrze.

— Nie — krzyknęła dziewczynka. — Matka powiedziała, że mnie spierze, jeśli nie przyniosę wypłaty do domu.

— Po prostu powiedz jej, co się stało — powiedziała Molly Ann.

— To nic nie da — odparła mała. Zaczęła czyścić sukienkę z ulicznego błota. Ciągłe ze łzami w oczach spojrzała na Molly Ann. — Nie mogę doczekać się, kiedy będę taka dorosła jak ty. Wtedy będę mogła robić, co zechcę, ze swoimi pieniędzmi. — Skończyła czyścić sukienkę. — Bardzo ci dziękuję.

Molly Ann patrzyła na dziewczynkę człapiącą ulicą. Westchnęła głęboko. W mieście działo się wiele zła. Jakie prawo mieli rodzice, żeby traktować swoje własne dzieci jak niewolników? Podziękowała Bogu za swoich dobrych rodziców.

Obok niej pojawił się jakiś chłopiec. — Chcesz dziś wieczorem pójść ze mną na tańce, Molly Ann?

Podniosła na niego wzrok. Był wysoki i miał, zgodnie z ostatnią modą, włosy zaczesane gładko do tyłu. Poczowała od niego zapach piwa. Potrząsnęła głową. — Nie.

Położył rękę na jej ramieniu. — Chodź, Molly Ann — powiedział. — Nie bądź taka ważna. Jimmy nie jest jedynym mężczyzną w mieście. Jesteś ładną dziewczyną. Powinnaś więcej się pokazywać i bawić.

— Zabierz rękę z mojego ramienia — powiedziała spokojnie — albo Jimmy się o tym dowie.

Ręka natychmiast opadła. — Jesteś głupia. Myślisz, że jesteś jedyną dziewczyną, jaką ma Jimmy, ale nie jesteś.

Jimmy ma więcej dziewczyn niż ktokolwiek w mieście.

— Kłamiesz — powiedziała. — A teraz zjeżdżaj. Zatrzymał się, a ona poszła dalej. — Poczekaj, Molly Ann — krzyknął za nią. — Przekonasz się.

Doszła do rogu i skręciła za nim w dół, w kierunku Main Street i sklepu pana Fitcha.

— To jest porządne miasto, panie Cahill. — Głos pana Fitcha był pełen ciepłej szczerości. — Dobrzy ludzie, prości, ciężko pracujący, bogobojni i uczciwi. Mamy tu ich masę. Wiele dużych rodzin. To żaden problem mieć w domu ośmioro czy dziesięcioro dzieciaków. Prędzej czy później wszystkie muszą dostać pracę. Dzieci nie sprawiają kłopotu. Pracują i nie żądają wiele. To nie tak jak na wschodzie czy tam na północy. Tu nie ma związków. Ludzie ich nie chcą, ludzie ich nie potrzebują. Są za bardzo niezależni. To górale. Nie ufają obcym.

— Ale panu ufają? — zapytał pan Cahill.

— A czemu mieliby nie ufać? — Fitch roześmiał się. — Jestem jednym z nich. Tu urodzony i wychowany. Mój praprapradziadzió założył to miasto. Każdy wie, że Sam Fitch jest ich przyjacielem.

Może pan przekazać swojemu towarzystwu w Filadelfii tę wiadomość. Sam Fitch zapewnia ich, że jeśli otworzą tu jeszcze jedną fabrykę, będą mieli tyle rąk do pracy, ile chcą, za cenę, jaką będą chcieli zapłacić, i że w Fitchville nie będzie podatków miejskich przynajmniej przez dwadzieścia pięć lat.

— Panie Fitch, z tego, co pan mówi, Fitchville wygląda na bardzo atrakcyjne miejsce. — Pan Cahill uśmiechał się teraz.

— Bo jest — powiedział Fitch. — Jest. Ludzie, nie narzekacie na pierwszą fabrykę. Budujcie następną i ta będzie jeszcze lepsza.

— Te same warunki, co przy pierwszej? — zapytał Cahill.

— Te same. Sam Fitch nie jest chciwy. Wszystko, czego chce, to dobro jego miasta.

Pan Cahill kiwnął głową. — Bardzo dobrze, panie Fitch. Omówię to ze swoimi współpracownikami i jestem pewny, że wywrze to na nich duże wrażenie. Może być pan pewny, że ma pan moje poparcie.

— Dziękuję, panie Cahill, dziękuję — Fitch podniósł się, a jego potężny brzuch wypełnił małe biuro. Przecisnął się zza biurka i przeszedł z Cahillem przez sklep na ulicę. Uścisnęli sobie dłonie i pan Cahill wsiadł do swojego powozu. Fitch stał, dopóki wóz nie odjechał, potem wrócił do sklepu. Zastanawiał się. Nowa fabryka oznaczała przynajmniej dwieście nowych miejsc pracy, a dla niego — masę pieniędzy.

— Panie Fitch — usłyszał jej miękki głos.

Odwrócił się zdziwiony. Nie zauważył, że weszła do sklepu. Był zbyt zajęty z panem Cahillem. — Słucham, Molly Ann.

— Dziś jest sobota wieczór, panie Fitch — powiedziała. Szybko doszedł do siebie. — Zgadza się. — Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. — Wejdz do mojego biura.

Ciężko usiadł za biurkiem i otaksował ją wzrokiem. Molly Ann state się bardzo zgrabną kobietą. Poczul, jak wilgotnieją mu usta, kiedy w myślach porównał ją ze swoją żoną. — Jak leci, moja droga?

— Świetnie, dziękuję, panie Fitch — odparła. Otworzyła swoją kopertę z wypłatą i odliczyła trzy dolary. — Chciałabym, żeby pan włożył to na konto mojego taty.

- Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności — powiedział. Podniósł pieniądze i włożył je do szuflady biurka. — Jak się ma twoja rodzina?

— Nie są zbyt skorzy do pisania, panie Fitch—powiedziała. — Ale widziałam się z nimi w tym miesiącu i wszyscy mieli się dobrze. Tata cieszy się swoim nowym mułem. Liczy, że w tym roku zbierze z pola co najmniej cztery razy więcej niż zwykle.

— Naprawdę powinni być dumni z ciebie i twojego brata — powiedział Fitch. — Pan Smathers mówi mi, że Daniel jest najlepszym urzędnikiem, jakiego miał.

Molly Ann kiwnęła głową. — Dziękuję, panie Fitch.

Podniósł się znowu. — Powinnaś częściej tu zachodzić, Molly Ann. Nie raz w tygodniu, w sobotę wieczorem, w interesach. Wiesz, że lubię się z tobą widywać.

— Pan jest ciągle zajęty, panie Fitch — powiedziała. — Nie chcę panu przeszkadzać.

Obszedł biurko i ujął jej rękę. — Tak śliczna dziewczyna jak ty, Molly Ann, nigdy nie przeszkadza. Niezgrabnie wycofała rękę. Nie wiedziała, co powiedzieć.

— Znasz tego człowieka, który właśnie odjechał? — spytał nagle.

Potrząsnęła głową. — Nie.

— To jest pan J. R. Cahill. Przyjechał tu, żeby pogadać ze starym Samem Fitchem o budowie nowej fabryki. Wiesz, co to oznacza?

Znowu potrząsnęła głową.

— To znaczy, że jeśli będziesz dla mnie grzeczna, zadbam o to, byś została kierownikiem w nowej fabryce.

Uśmiechnęła się nagle. Teraz go rozumiała. Spojrzała na niego.

— To rzeczywiście bardzo uprzejmie z pana strony, panie Fitch.

Znowu ujął jej rękę. — Jesteś naprawdę świetną dziewczyną, Molly Ann. Nie ma sensu, byś marnowała czas dla takich pętałów jak Jimmy Simpson, kiedy wystarczy, żebyś powiedziała tylko słowo, a zdobędziesz prawdziwego przyjaciela.

— Bardzo to sobie cenię, panie Fitch, naprawdę. A kiedy zostanie otwarty nowy zakład, niech pan się nie zdziwi, jeśli zapukam do pańskich drzwi.

Spoglądał na nią długo, wreszcie puścił jej rękę.

— Zrób tak — powiedział poważnie. — Po prostu zrób tak. Była już przy drzwiach jego biura. — Dobranoc, panie Fitch.

Skinął jej głowę, skrywając swoje myśli za oczami przykrytymi ciężkimi powiekami. Dobranoc, Molly Ann. Wpatrywał się w drzwi jeszcze długo po tym, jak wyszła. Podniósł cygaro i pożył je. Po chwili zapalił. Młode dziewczyny są takie głupie. Zaciągnął się głęboko ciężkim, szarym dymem i powoli wydmuchnął go. Patrzył, jak dym leniwie unosi się ku sufitowi. Zresztą, już dobrze, to naprawdę nie miało znaczenia. Prędzej czy później dostanie ją. Był bardzo cierpliwym człowiekiem.

Usiadła w żelaznej balii na środku kuchni. Jej gospodyni wzięła z gorącego pieca węglowego wielki kocioł i podeszła do niej.

— Więcej gorącej wody?

Molly Ann kiwnęła głową. — Tak, dziękuję, pani Wagner.

Przesunęła się do przodu, tak, żeby można było wlać wodę za nią, ale jej nie oparzyć. Kłęby pary uniosły się wokół jej twarzy. Po chwili z zamkniętymi oczami przechyliła się do tyłu. Czuła, jak opuszcza ją bolesne zmęczenie po całym dniu przy maszynie.

— Tak, Molly Ann.

— Czy taka balia jak ta jest bardzo droga, pani Wagner?

— Myślę, że kosztuje jakieś trzy, cztery dolary.

Molly Ann westchnęła: — Kiedyś, gdybym zdobyła jakieś dodatkowe pieniądze, chciałabym taką kupić mamie. Głowę daję, że by się bardzo cieszyła.

10

Niedziela była pogodna i słoneczna, a łagodny marcowy wiatr przynosił pierwsze oznaki wiosny. Na drzewach pojawiły się pąki, a żółtozielone pędy pokryły nagie gałęzie złotym blaskiem. Molly Ann zeszła po schodach werandy do czekającego na nią obok swego muła i wozu Jimmy'ego.

Odwrócił się do niej. Oczami pożerał ją w białej, luźnej sukni, z żółtymi wstążkami w talii i u kapelusza. Gwizdnął.

— To naprawdę ty, Molly Ann?

Uśmiechając się, splonęła rumieńcem. — Podoba ci się? Wyszczrzył zęby. — Ty jesteś piękna i ona też.
— Sama ją uszyłam — powiedziała. — Kupiłam materiał we francuskim sklepie. To oczywiście prawdziwy Paryż, Francja.
Ujął jej rękę. Nie wiem — powiedział pełen zwątpienia.
— Czego nie wiesz?
— Ten stary wóz, ten stary muł. Może szkoda pobrudzić taką śliczną, nową suknię.
— Tylko połóż koc na to stare siedzenie. I przestań już tyle gadać.
Roześmiał się i pomógł jej wsiąść. Stał teraz, spoglądając na nią z dołu. — Wyglądasz naprawdę ślicznie, Molly Ann.
— Dziękuję — powiedziała. — Teraz biegnij do kuchni. Przygotowałam dla nas kosz na piknik.
— Naprawdę? Skąd wiedziałaś, że będzie taki piękny dzień? Roześmiała się. — Wyjrzałam przez okno, głuptasie. Tylko spiesz się. Robi się coraz później.
Chwilę potem siedział koło niej na ławeczce, a muł wiózł ich ulicą. — Masz do wyboru: piknik w wesołym miasteczku, zgromadzenie w Kościele Uświęcenia i party nad Woodfield Brook.
— Party nad Woodfield Brook? — spytała. — O tym nie słyszałam. Co tam będzie?
— Nic — odpowiedział. — Tylko my.
Wsunęła rękę pod jego ramię i uśmiechnęła się. — Więc je wybieram.
Skończył ostatni kawałek szarlotki i oparłszy się na łokciu, przyglądał się Mally Ann. — To było najlepsze żarcie, jakie kiedykolwiek jadłem — powiedział.
Uśmiechnęła się. — Daj spokój. Prawie nic nie było. Trochę smażonego kurczaka, chleb kukurydziany i szarlotka.
— Zapomniałaś o wspaniałej lemoniadzie — powiedział. — Nie powinnaś była wydawać tyle pieniędzy. Zbyt ciężko na nie pracujesz.
Spojrzała na niego. — A jak chcesz się dowiedzieć, że umiem gotować?
— Może masz rację — roześmiał się.

— Zajechałeś odwiedzić mojego tatę? — spytała.

— Tak — odparł. — Wszyscy mają się dobrze i przesyłają wam pozdrowienia.

— Mały Mase pewnie robi się już całkiem duży?

— Rzeczywiście. Musiałabyś go widzieć, jak biega wkoło na tych swoich małych, tłustych nóżkach.

— Chciałabym ich zobaczyć. Ale to tak daleko — powiedziała głosem pełnym tęsknoty.

— Może twoja brygadzystka da ci następną sobotę wolną. Moglibyśmy tam pojechać i wrócić w niedzielę — powiedział.

Dziewczyna pojaśniała. — Byłoby cudownie. — Ale zaraz spochmurniała. — Nie da mi. Mają zaległości i wszystkie pracujemy w nadgodzinach.

Milczeli przez chwilę. Później znów odezwała się. — Może będzie łatwiej, kiedy otworzą nową fabrykę.

— Nową fabrykę? — spytał. — Jaką nową fabrykę?

— Tę, o której mówił pan Fitch. Byłam wczoraj w jego sklepie wpłacić trochę na konto taty i on wspomniał, że mógłby zrobić mnie kierowniczką, kiedy otworzą nową fabrykę.

— Wspomniał? — Głos Jimmy'ego brzmiał dziwnie twardo, jak nigdy przedtem. — Czy żeby dostać tę pracę, musiałas zrobić coś szczególnego?

Spojrzała na niego. Wiedziała doskonale, o co mu chodziło, ale pomyślała, że lepiej nie wspominać o tej części rozmowy. — Nie. Po prostu powiedział, że w swoim czasie powinnam się z nim skontaktować.

Jimmy milczał. Zadumany, wpatrywał się w koc. Nowa fabryka. Zastanawiał się, gdzie ją zbudują. Być może stary Fitch kupił już nieruchomość od któregoś z biednych, zbankrutowanych farmerów. Milczał tak długo, że sama znowu się odezwała.

— Czy coś nie tak, Jimmy?

Potrząsnął głową. — Nie. — Potem jego głos zgorzkniał. — Kiedy ludzie z tego miasta wreszcie zmadrzeją? Czy nie widzą, że ten człowiek ich wykrwawia i pije ich krew?

— Jimmy! — zawołała przerażona. — Jak możesz opowiadać takie okropne rzeczy?

— Bo to prawda — odpowiedział porywczo. — Patrz, co tydzień dajesz mu pieniądze na rachunek twojego taty, prawda?

Skinęła głową.

- Czy spytałaś go kiedyś, ile jest na koncie?

— Nie. To nie moja sprawa, tylko taty.

— Gdybyś te pieniądze wpłaciła do banku, zapłaciliby ci odsetki — powiedział. — On ci nic nie daje i założę się, że kradnie ci pieniądze. Daję głowę, że gdyby twój tata zapytał go, ile u niego ma, dowiedziałby się, że nie ma nic.

Nie odzywała się.

— Jak myślisz, ilu ma takich ludzi, którzy robią tak jak ty? Pewnie więcej niż setkę. To jest kupa forsy, którą stary Fitch zgarnia, w ogóle nic nie robiąc. — Roześmiał się chrapliwie. — A wy wszyscy, wiejskie ciemniaki, jesteście mu wdzięczni za załatwienie wam takiej pracy, że możecie zdechnąć z głodu, tonąc u niego w długach. A tylko spróbuj się z tego wyłamać, a przekonasz się, jakim przyjacielem jest Sam Fitch. Koniec z pieniędzmi. Koniec z pożyczkami. Koniec ze wszystkim. Zaraz przychodzi szeryf z nakazem sądowym i nie masz już ani domu, ani ziemi, ani miejsca do zamieszkania. Tak jak przytrafiło się Craigom w zakolu rzeki. Jednego dnia mieli czterdzieści akrów. Następnego już nic.

Nagle przerwał, gdy zdał sobie sprawę, o czym mówi. — Szlag by to trafił! — wybuchnął. — Tak właśnie jest.

— Nie bluźnij — powiedziała ostro.

Wlepił w nią wzrok. — To się właśnie stało. Nie rozumiesz? Planował to od ponad roku. Zupełnie bez żadnego powodu dzieciaki Craigów straciły pracę w przędzalni i hucie szkła. Jakby w ciągu jednego tygodnia wszystkie przestały się nadawać. Kilka miesięcy później pojawił się stary Fitch i kupił ich posiadłość za trochę więcej niż byli mu winni, a oni się wynieśli.

— Nie rozumiem — powiedziała.

— Nowa przędzalnia — rzekł. — Właśnie tam ma być. W dawnym gospodarstwie Craiga. Tam jest wszystko. Woda. Elektryczność. I miejsce. Masa miejsca.

— Dlaczego to wszystko tak cię denerwuje? — zapytała. — To nie ma z nami nic wspólnego.

— Może nie ma. Nie teraz. Ale za jakiś czas będzie miało. On staje się coraz bardziej i bardziej potężny, i wkrótce jego własnością będzie w dolinie wszystko, łącznie z ludźmi.

Przez chwilę patrzyła na niego, potem sięgnęła po dzbanek.

— Masz. Napij się jeszcze lemoniady. Wściekasz się zupełnie bez powodu.

Wziął szklankę z jej dłoni. Twarz mu złagodniała, ponure zmarszczki gniewu rozplynęły się w uśmiechu. Podniósł do góry szklankę lemoniady i spojrział przez nią na słońce.

— Jesteś kochanym, niewinnym dzieciakiem, Molly Ann — powiedział. — A któregoś dnia zostaniesz czyjaś wspaniałą żoną.

Wytrąciła mu szklankę z dłoni i wściekła zerwała się na równe nogi.

— Nie jestem dzieckiem. Mam skończone szesnaście lat i jestem kobietą — parsknęła. — A ty lepiej okaż się mężczyzną i poproś mnie o rękę, a jak nie, to możesz zabierać mnie do domu.

Patrzył na nią zaskoczony. Urażona i rozgniewana była jeszcze piękniejsza. Czuł, że serce bije mu tak, jakby miało go rozerwać. Jego własny głos dziwnie zabrzmiał mu w uszach.

— Molly Ann, proszę cię o rękę.

Teraz z kolei ona osłupiała. Nie mogła wykrztusić słowa.

— Proszę cię o rękę, Molly Ann — powtórzył. — Jaka jest twoja odpowiedź?

— Och, Jimmy! — powiedziała, rzucając na niego. Do oczu napłynęły jej łzy. — Tak, tak, tak!

Pobrali się trochę ponad miesiąc później, pierwszego maja 1915 roku w Pierwszym Kościele Baptystów w Fitchville. Z gór zjechała cała jej rodzina, wszyscy w odświętnych ubraniach. Nie było tylko Daniela. Nie dali mu wolnego w pracy.

Tego samego dnia zaczęto porządkować starą farmę Craigów pod budowę nowej przędzalni.

Molly Ann z twarzą zarumienioną podnieceniem weszła do sypialni. — Obudź się — powiedziała, szarpiąc go za ramię. — Obudź się!

Jimmy wyrzucił jedno ramię ponad głowę. — Daj mi żyć, kobieto — wymamrotał. — Jest niedziela rano. —

Przyszedł pan Fitch i chce się z tobą widzieć — powiedziała.

— Stary Fitch? — Już oprzytomniał. — Chce się ze mną widzieć?

Potaknęła głową.

— Ciekawe, czego chce?

— Nie wiem — powiedziała. — Ktoś zapukał do drzwi, otworzyłam i to był on. Powiedział, że to bardzo ważne.

— Bardzo ważne? — Gwałtownie rzucił się, ściągając ją na siebie. — Jest niedziela rano, a ja nie dostałem jeszcze porannego numeru.

Ramionami oparła się o jego pierś. — Za mocno spałeś. Wargami zamknął jej usta.

— Jimmy, proszę, co on sobie pomyśli? — szepnęła.

— Cholernie mnie to obchodzi.

Wyrwała mu się. — Nie bluźnij — rzekła ostro. — Tylko ubieraj się i schodź na dół. Zrobiłam świeżą kawę.

Kiedy wszedł do kuchni, pan Fitch siedział przy stole. Przed nim stał talerz z jajecznicą na szynce, parujący kubek kawy i gorące bułki z masłem. Zmiał jedzenie do ust tak, jakby wieki minęły od chwili, gdy jadł ostatni posiłek.

— Dzień dobry, panie Fitch — powiedział.

Pan Fitch przełknął jedzenie* zanim odpowiedział. — Dzień dobry, Jimmy. Oświadczam, że twoja mała żona jest tak dobrą kucharką, jak jej matka. Jesteś szczęściarzem, chłopie.

Jimmy kiwnął głową. Podeszedł do stołu i usiadł. Molly Ann postawiła przed nim kubek kawy i wróciła do pieca.

Jimmy podniósł kubek. Parująca kawa ładnie pachniała. — Wiem o tym — powiedział.

Pan Fitch wytarł bułką resztkę żółtka z talerza. Przełknął ją, popijając kawą. Rozparł się i poklepał delikatnie swój brzuch.

— To było naprawdę doskonałe śniadanie, pani Simpson. Molly Ann zaczerwieniła się podobnie jak jej matka. Jej uwadze

nie umknął fakt, że awansował ją z Molly Ann na panią Simpson.

— Dziękuję, panie Fitch. — Spojrzała na Jimmy'ego. — Jesteś już gotowy do śniadania?

— Jeszcze nie — powiedział Jimmy. — Na razie napiję się trochę kawy.

— Więc zostawię panów, żebyście porozmawiali o swoich sprawach — powiedziała uprzejmie i wyszła do pokoju. Ale ona

też, podobnie jak jej matka, pozostała blisko drzwi, żeby słyszeć rozmowę.

— Co pana przynosi w niedzielę rano? — zapytał Jimmy, nie czekając na Fitcha.

Fitch uśmiechnął się. — Nie spotkałem cię w kościele przez parę ostatnich niedziel.

Jimmy nie odpowiedział. Zdawał sobie sprawę, że Fitch wie, iż nie przepadał za niedzielnym chodzeniem do kościoła.

— Ale pomyślałem sobie — ciągnął gładko Fitch — młody człowiek, świeżo po ślubie, piękna, młoda żona. Co on w ogóle mógłby robić w kościele w niedzielę rano?

Jimmy podmósł kubek i przyjrzał mu się. — Molly Ann mówiła mi, że pan powiedział, że to jest coś ważnego.

— Bo jest — powiedział poważnie pan Fitch. — Bardzo ważnego — przerwał dla większego efektu. — Od dłuższego czasu przyglądam ci się, młody człowieku. I to, co zobaczyłem, spodobało mi się. Bardzo przypominasz mi mnie samego, kiedy byłem w twoim wieku. Jesteś pełen energii.

Jimmy skinął głową w milczeniu.

— Pomyślałem — mówił pan Fitch — że nie ubywa mi lat, a taki młody człowiek jak ty mógłby daleko zajść, pomagając mi w interesach. Nie mam nikogo, na kim mógłbym polegać, a jest zbyt dużo roboty dla mnie samego.

— Czy pan proponuje mi pracę, panie Fitch? — nie dowierzał Jimmy.

— W pewnym sensie — odparł pan Fitch. — A nawet więcej. Chciałbym, żebyś przejął ode mnie pewne rzeczy, tak, żebym mógł poświęcić więcej uwagi innym sprawom.

— Jakie to rzeczy, panie Fitch?

— Mów mi Sam — powiedział Fitch.

— W porządku, Sam. Jakie rzeczy?

— Ludzie w okolicy znają cię i lubią — rzekł Fitch. — Pomagasz w sklepie, kupujesz bimber, handlujesz z ludźmi różnymi rzeczami. Wiesz, o co mi chodzi.

T Nie wiem — odparł Jimmy.

— W interesach zawsze są jakieś problemy — powiedział Fitch. — Czasem ludzie nie rozumieją, że to, co robisz, jest dla ich własnego dobra.

Jimmy w milczeniu kiwnął głową. Pojmował to bez najmniejszych trudności. Nie zawsze było łatwo, żeby ludzie zrozumieli, że się ich oszukuje dla ich własnego dobra.

Fitch ocenił skinienie Jimmy'ego jako aprobatę. — Zawsze pracowałem ile sił dla tego miasta. Ale teraz zaczynają mówić, że robię to tylko dla własnych korzyści. Na przykład nowa przędzalnia. To dwieście miejsc pracy dla ludzi z okolicy. A mimo to mówią, że robię to we własnym interesie.

— To nic z tego nie masz? — zapytał Jimmy z udawaną naiwnością.

— Oczywiście, że mam z tego pewne korzyści — powiedział Fitch. — To przecież dobry interes. Ale dla miasta także. Organizuję tu coraz większy przemysł i więcej pracy, a ciągle tylko słyszę, jak Craigowie mówią, że wyrzuciłem ich z ich ziemi, żeby sprzedać ją przędzalni. Teraz twierdzą, że ciągle posiadają siedem akrów wzdłuż rzeki, których własność została przeniesiona na ich dziadka, a on ciągle żyje.

— Ale przecież robią już porządki nad rzeką — powiedział Jimmy. — Jak mogą to robić, jeśli nie są właścicielami tej ziemi?

— O to właśnie chodzi — rzekł Fitch. — Craigowie nie mają racji. Ale wygranie procesu w sądzie trwałoby bardzo długo. Do tego czasu przędzalnia nie zostałaby otwarta i ludzie z miasta nie mieliby pracy i pieniędzy. Więc wspaniałomyślnie złożyłem im propozycję, ale odrzucili ją.

— He im zaoferowałeś? — spytał Jimmy.

— Dziesięć razy więcej, niż ta ziemia jest warta. Pięćdziesiąt dolarów za akr. Trzysta pięćdziesiąt za działkę. I to za ziemię, do której nie mają nawet pewnego tytułu.

— Ale przędzalnia również nie ma, jeśli oni wystąpią z roszczeniem.

— Żaden sąd w tym kraju nie uzna pretensji Craigów przeciwko przędzalni. Rozmawiałem już z sędzią Hanleyem i właśnie tak mi powiedział.

— Więc czym się martwisz? — spytał Jimmy.

— Po prostu chcę uniknąć nieprzyjemności. Chcę, by ci ludzie widzieli, że to, co robię, jest dla ich¹ własnego dobra.

— Ale w dalszym ciągu nie widzę, jak mógłbym ci w tym pomóc — rzekł Jimmy.

— Craigowie znają cię i lubią — powiedział Fitch. — Ciebie by posłuchali.

Jimmy skinął głową. — Mogliby. A co ja będę z tego miał?

Fitch spojrzał na niego. — Będiesz ze mną, chłopcze. Uczynię cię bogatym. Zaczniemy od pensji dwudziestu pięciu tygodniowo.

To było przynajmniej o pięć dolarów tygodniowo więcej niż dostawał ktokolwiek w mieście. Jimmy wiedział o tym.

To było także dziesięć dolarów tygodniowo więcej niż on sam wyciągał w najlepszych nawet czasach. — Nie wiem

— powiedział ostrożnie. — To tylko praca, a wolałbym prowadzić własny interes.

— i Nigdzie nie zarobisz nawet w przybliżeniu takich pieniędzy.

— Ale za to nie muszę chodzić do pracy każdego dnia — rzekł Jimmy.

— To było dobre, kiedy byłeś sam, ale teraz ożeniłeś się i ustatkowałeś. Niedługo będzie was cała rodzina. Musisz już o niej myśleć,

Jimmy usiadł przy stole. — Nie wiem — powiedział.

Fitch uśmiechnął się. Czuł, że go ma. — Obgadaj to ze swoją żoną. Ona zgodzi się ze mną. To dobra, rozsądna dziewczyna. Możesz dać mi znać jutro.

Kiedy poszedł, Molly Ann wpadła z powrotem do kuchni.

— Czy to nie cudownie?

Spojrzał na nią. — Nie rozumiesz, prawda?

— Czego? — Była zdziwiona.

— Że on chce, żebym był takim bandytą, jak on. Oszukiwał i okradał ludzi takich, jak twoja rodzina i Craigowie.

Milczała przez chwilę. — Więc co zamierzasz zrobić?

— To samo, co dotąd — powiedział. — Zajmować się własnymi sprawami i sprzedawać whisky.

Ale nie miało się tak stać. Dwa dni po tym, jak Jimmy odrzucił propozycję pana Fitcha, ktoś strzelił z karabinu przez otwarte okno walącego się, drewnianego domu, w którym około jedenastu mil od miasta mieszkali teraz Craigowie, i zabił dziadka Craiga.

Pan Fitch był równie oburzony jak pozostali mieszkańcy miasta na to bezsensowne morderstwo starego człowieka i z własnych pieniędzy wyznaczył nagrodę pięćdziesięciu dolarów za aresztowanie i ujęcie zabójcy. I pomimo, że pretensje Craigów do ziemi nad rzeką zostały jeszcze bardziej poprzez śmierć starego za-

chwiane, podniósł swoją ofertę za ziemię do pięciuset dolarów, chcąc w ten sposób pomóc biednej rodzinie. Przynależał także wstawić się za nimi i załatwić, żeby dzieci Craigów odzyskały pracę w przędzalni i hucie szkła. Uważał, że jest to bardzo wspaniałomyślna propozycja. Miała tylko jedną wadę. Craigowie odrzucili ją. A kilka dni po pogrzebie strzał oddany z lasu przylegającego do ziemi Craigów zabił majstra budowlanego przędzalni, kiedy wydawał swojej brygadzie polecenie ponownego podjęcia prac porządkowych nad brzegiem rzeki. Wstrzymano wszystkie prace. Ludzie nie mogli przewidzieć, który z nich może być następny, i nie wrócili do pracy do czasu, kiedy sprowadzono uzbrojoną straż do patrolowania obrzeży posiadłości. Pierwszego dnia po przyjeździe strażników jednego z nich znalazł martwego na posterunku jego zmiennik. Został zabity z bliskiej odległości strzałem w tył głowy z rewolweru Smith & Wesson kaliber .44. Kiedy tego wieczoru Sam Fitch dowiedział się o zabójstwie, zacisnął mocno usta, a jego cała dobroć zniknęła. Po raz pierwszy został zagrożony porządek, jaki tu wprowadził. Nieuchronnie jego odpowiedź była odpowiedzią siły. Tej samej nocy dziewiętnastoletni John, najstarszy syn Craigów, został zastrzelony, kiedy szedł napoić muła. I tak zaczęła się w Fitchville wojna, znana jako wojna Craigów. Trwała prawie dwa lata i zabito w niej jeszcze wielu, w tym kobiety i dzieci. W pamięci ludzi utrwaliła się jako najbardziej krwawa górską wendeta w historii Zachodniej Wirginii.

11

Daniel poczuł burczenie w brzuchu i spojrzął na zegar na ścianie. Było wpół do pierwszej, a pan Smathers i jego goście jeszcze nie poszli na lunch. To musiało być bardzo ważne spotkanie, bo pan Smathers chodził na lunch punktualnie o dwunastej. Może miało to jakiś związek z krążącymi od paru miesięcy pogłoskami o sprzedaży kopalni.

W pewnej chwili drzwi biura otwarły się i stanął w nich pan Smathers.

— Jeszcze tu jesteś, Danielu? — W jego głosie zabrzmiała nuta zdziwienia.

— Tak, proszę pana — odpowiedział grzecznie Daniel. — Czekałem, aż pan wyjdzie na lunch.

— W porządku, Danielu. Nie ma potrzeby, żebyś czekał. Możesz teraz iść na lunch.

Daniel zamknął rejestr wysyłek i powstał. — Dziękuję, panie Smathers.

Schylił się i wyjął spod biurka pudełko z drugim śniadaniem. Kiedy wyszedł frontowymi drzwiami, pan Smathers wszedł z powrotem do swojego biura.

Daniel siadł na ławce tuż przy wyjściu z budynku i otworzył pudełko. Uśmiechnął się do siebie. Carrie była mu przychylna ponad miarę. Był tam świeży banan, obok zwyczajowo podawanego jabłka, a kanapka ze świeżego, pieczonego w domu chleba z wątrobianką i sałatką ziemniaczaną pachniały naprawdę wspaniale.

Oparł się o ścianę i żując kanapkę, z lubością przymknął oczy; Kołnierzyk zaczynał go cisnąć. Rozluźnił krawat i rozpiął koszulę. Wiele zmieniło się przez ten rok, kiedy pracował tu jako urzędnik. Być może najważniejsze, że było go stać na wynajęcie samodzielnego pokoju. Ponadto nie raziło go dzienne światło. To było ważniejsze od tego, że codziennie musiał nosić koszulę z krawatem. Odkręcił korek termosu i napił się gorącej, słodkiej kawy. Ta Carrie to prawdziwy klejnot. Była warta każdego centa z dodatkowego pół dolara, jaki wsuwał jej co tydzień.

Usłyszał zbliżające się kroki i obrócił głowę w stronę, skąd doszedł go ich dźwięk. Jego były sztygar Andy wyszedł z za rogu budynku i zatrzymał się przed nim.

— Chcę z tobą porozmawiać, Danielu — powiedział ostro.

— Więc nie czekaj, tylko mów, Andy. Słucham cię. — Zastanawiał się, co było tak ważne, że Andy wyszedł z kopalni, żeby o tym porozmawiać. Normalnie Andy jadł swój lunch w szybie z pozostałymi górnikami.

— Nie tutaj — powiedział Andy. — Zbyt wielu ludzi się tu kręci.

Daniel nie dostrzegł nikogo, ale jednak wstał.

— W porządku. Gdzie?

— Za narzędziownią — powiedział Andy, odchodząc. — Będę tam na ciebie czekał.

Daniel skinął głową. Skończył kanapkę i wolno skierował się w stronę narzędziowni. Andy stał za rogiem, opierając się o ścianę i pracowicie żując tytoń. Wypluł go, kiedy nadszedł Daniel. Zabrzmiało to jak wystrzał, gdy prymka uderzyła w skałę odległą o dziesięć stóp.

Daniel spojrzał na niego. Andy zachowywał się dziwnie. Nigdy przedtem go takim nie widział.

Andy rozejrzał się na obie strony, zanim się odezwał. — Czy ktoś widział, że tu szedłeś?

— Nie sądzę. — Daniel był zdziwiony. — A co by się stało, gdyby tak było?

Andy nie odpowiedział na pytanie. Zamiast tego sam zapytał:

— Czy kopalnia ma być sprzedana?

— Nie wiem — odpowiedział szczerze Daniel.

— Gadają, że tak — rzekł Andy. — Myślałem, że możesz wiedzieć.

— Ja też słyszałem pogłoski, ale nie wiem nic więcej niż kto inny.

— Ci ludzie u Smathersa. Są z Detroit.

— Nie wiem — powiedział Daniel. — Nikt mi nie mówił.

— Mówią, że kopalnia ma zostać przejęta przez przedsiębiorstwo samochodowe i pierwszą rzeczą, jaką zamierzają zrobić, będzie przejście na płacenie bonami, jak to zrobili w Parlee.

— Rozmawiasz nie z tym, co trzeba — rzekł Daniel. — Powinieneś zapytać o to pana Smathersa, nie mnie. Ja jestem urzędnikiem.

— Myślałem, że mogłeś coś słyszeć — powiedział Andy.

— Dlaczego miałbym? — spytał Daniel. — Nie podsłuchuję pod drzwiami.

— Nie mówię, że to robisz — powiedział pośpiesznie Andy.

— Nie wiem, czym się tak przejmujesz. Jaka różnica, kto jest właścicielem kopalni, dopóki nam płacą.

— Wielka — powiedział zimno Andy. — Płacą ci bonami, zamiast pieniędzmi, i trzymają krótko za pysk. Musisz wszystko

kupować w ich sklepach, po krótkim czasie dowiadujesz się, że jesteś zadłużony po uszy i nigdy z tego nie wyleziesz. — Ale przecież, jeśli sprzedadzą kopalnię, nic na to nie poradzisz poza tym, że jeśli nie spodoba ci się praca, możesz odejść.

— Im o to chodzi — rzekł Andy. — Wtedy będą mogli zastąpić nas tańszymi robotnikami. Nie, jest inne rozwiązanie. Lepsze.

— Jakie? — Daniel zapytał z zaciekawionym.

Twarz Andy'ego stała się czujna. — Teraz nie mogę jeszcze o tym mówić. Nie wiem, po której jesteś stronie. Daniel był zdziwiony. — Jakiej stronie?

— Zarządu czy naszej.

— Naszej?

— Górników — powiedział Andy. — To różnica, kiedy nie pracujesz na dole.

— Nie widzę, żeby to robiło różnicę — rzekł Daniel. — Pracuję na swoje utrzymanie, tak samo jak ty.

Andy przyglądał mu się przez chwilę. — Jesteś dziwnym człowiekiem. Daniel milczał.

— Powiesz mi, jeśli coś usłyszysz? — spytał Andy.

— Nie — odparł chłodno Daniel. — Nie podoba mi się szpiegowanie. Dla nikogo.

— Nawet dla słusznej sprawy?

— Musiałbym dokładnie wiedzieć, co to za sprawa — powiedział Daniel. — Wtedy mógłbym się zdecydować.

Nagle Andy uśmiechnął się szeroko i znowu stał się człowiekiem, którego Daniel znał. — Co porabiasz wieczorami, chłopcze?

— Nic specjalnego.

— Słyszałem, jak gadają, że masę wieczorów spędzasz z panną Andrews, nową nauczycielką ze szkoły.

Daniel poczuł, jak rumieniec wypływa mu ponad kołnierzyk. W górniczym miasteczku nie było żadnych tajemnic.

— Podciąga mnie w nauce.

— Na pewno tylko w tym cię podciąga? spytał przenikliwie Andy.

Daniel poczuł, że rumieniec wzmaga się. — Muszę się wiele uczyć.

— Na pewno musisz — roześmiał się Andy. Nagle spoważniał. — Może za parę dni znowu do ciebie wpadnę.

— Wiesz, gdzie mnie znaleźć — powiedział Daniel. — Ja nigdzie nie chodzę.

Patrzył za odchodzącym sztygarem, potem odwrócił się i wrócił do swojej ławki przed budynkiem. Usiadł, wyjął z pudła banana i starannie go obrał. Jadł wolno, smakując dojrzałą słodycz. Ta Carrie była naprawdę kochana.

Popił resztką kawy ostatni kawałek jabłka. Starannie zamknął pudełko i wrócił do biura. Drzwi pana Smathersa ciągle były zamknięte. Kładąc pod biurko puszkę, spojrzął na zegar. Miał dosyć czasu, żeby przejść się do sortowni i zobaczyć, co się dzieje.

Sortownia była ulokowana po drugiej stronie toru wiodącego z szybu kopalni, tam, gdzie węgiel wydobywany z kopalni był wyrzucany na pas transmisyjny. Stamtąd wędrował do zsypu, gdzie chłopcy ręcznie wybierali kamienie, a sam węgiel ładowali na jeden samochód, podczas gdy kamienie były wywożone i wyrzucane po drugiej stronie góry.

Daniel wszedł do szopy zbudowanej nad pomieszczeniem sortowni, wyciętym na stromym stoku góry, a potem i na wznoszącą się nad sortownią platformę. W hali po lunchu zaczynała się praca na pełne obroty. Nigdy zresztą nie zamierała zupełnie, bowiem kiedy połowa chłopców jadła lunch, pozostała połowa pracowała. Teraz wszyscy już wrócili na swoje stanowiska i węgiel toczył się do zsypu, wzbijając kłęby szaroczarnego pyłu i częściowo zaciemniając widok z platformy. Po chwili wzrok Daniela przyzwyczyił się i widział już chłopców poniżej.

Siedzieli rzędami po drugiej stronie zsypu. Stłoczeni na swych małych ławkach, cisnęli się nad skrzyniami zsypowymi. Zdawało się, że ich ręce dosłownie fruwały nad węglem, oddzielając kamienie bardziej za pomocą dotyku niż wzroku. Prędkość ich pracy była kontrolowana przez nadzorców, którzy podkreślali tempo, zwiększając strumień węgla w zsypie. Kiedy któryś z chłopców nie nadażał, jego ręce przysypywały zwały węgla.

Poprzez huk opadającego zsysem węgla Daniel słyszał głosy dozorców, chodzących w górę i na dół wąskimi schodami obok

zsyphu, słyszał, jak krzyczeli na chłopców, by się spieszyli i opróżniali skrzynie. To byh mali chłopcy, w wieku od dziewięciu do trzynastu, może czternastu lat, których wymizerowane, poczerniałe twarze i wiecznie zgięte plecy, sprawiały wrażenie, że to nie dzieci, ale miniatury starców.

Jeden z nadzorców wspiął się obok niego na platformę. Spojrzał na Daniela, skinął mu głową i podszedł do wiadra. Zaczerpnął wodę warząchwią i podniósł ją do ust. Napił się do syta i powiedział:

— Małe, leniwe skurwiele.

Daniel nie odpowiedział. Nadzorca podszedł i stanął obok niego, spoglądając w dół na chłopców. — Zastanawiam się, czy w biurze wiedzą, jak ciężko musimy się napracować, żeby chłopcy uwijali się z tym węglem.

Daniel obrócił się do niego. — Wydaje mi się, że dobrze pracują.

— Nie znasz ich — powiedział nadzorca. — Połowę czasu markują. Tylko wyglądają na zajętych. Nie tak jak wtedy, kiedy ją byłem młody. Wtedy chłopcy naprawdę wybierali kamienie.

Daniel wzruszył ramionami.

— Sprzedają kopalnię? — spytał nadzorca.

— Nie wiem — odpowiedział krótko Daniel.

— Możesz mi powiedzieć — rzekł poufałym tonem nadzorca.

— Powiedziałem, że nie wiem. — W głosie Daniela pojawił się ostry ton.

— No dobrze już, dobrze — powiedział szybko dozorca. — Nie musisz się wściekać tylko dlatego, że pracujesz teraz w biurze. Nie jesteś lepszy od nas.

Daniel spojrział na niego, teraz już chłodnym wzrokiem. — Co przez to rozumiesz?

— Myślisz, że nie wiemy, czemu przychodzisz tu na dół? Nie po to, żeby ci prędeej zleciał dzień.

Daniel zacisnął usta i poczuł w sobie rosnący gniew. Postąpił w kierunku mężczyzny, ale zatrzymał go dochodzący z dołu przeraźliwy krzyk. Krzyk bólu któregoś z chłopców.

— Zatrzymać węgiel! — krzyknął nadzorca.

Nadzorca stojący na platformie obok Daniela wysunął rękę i pociągnął zapadnię. Strumień węgla do zsyphu został natychmiast przerwany. — Cholera! I co teraz? — powiedział, wracając do poręczy i patrząc w dół do sortownika.

Słyszeli krzyczącego chłopca, ale nie mogli go dojrzeć, dopóki nie przejaśniły się trochę kłęby kurzu. Mały chłopiec w pobliżu dna zsypu miał uwięzioną rękę pomiędzy pasem transmisyjnym a swoją skrzynią, w której sortował węgiel.

— Głupi, mały skurwiel — zaklął nadzorca, kierując się w stronę schodów. Zbiegł na dół, biorąc po trzy stopnie naraz. Zanim dotarł do chłopca, była już tam gromada innych dzieci. Sam chłopiec zemdlął.

— Wracajcie do swoich skrzyń! — krzyknął. Dołączył do niego inny nadzorca, więc szybko i sprawnie wyzwolili rękę chłopca ze zsypu. Niezbyt delikatnie chwycił go na ręce i zaczął wchodzić z nim po stopniach. Kiedy dotarł z nieprzytomnym chłopcem na platformę, uwolnił jedną rękę, by znowu puścić węgiel do zsypu.

Daniel spojrział na chłopca. Wyglądał na mniej niż dziesięć lat; twarz miał bardzo bladą a poszarpaną, ociekająca krwią ręka zwisała bezwładnie z ramion nadzorcy.

Nadzorca spostrzegł wzrok Daniela. — Możesz powiedzieć w biurze, że to nie była nasza wina. Cholerny dzieciak nie mógł nadażyć.

Daniel nie odpowiedział.

— To nie była nasza wina — powtórzył nadzorca.

— Lepiej idź opatrzyć mu rękę — powiedział Daniel. Patrzył, jak nadzorca spieszenie wybiega z chłopcem z baraku. Nie było tu przychodni, ale stary górnik, szef narzędziowni, wiedział, co robić w razie wypadków. Obandażują mu rękę, a potem zostanie odesłany do domu. Oczywiście nie będzie otrzymywał wynagrodzenia do czasu, kiedy wróci do pracy. To znaczy, jeśli w ogóle będzie mógł wrócić do pracy.

Daniel zajrzał w dół. Węgiel staczał się w głąb zsypu, w powietrzu unosił się pył, nadzorcy krzyczeli, chłopcy oddzielali węgiel. Tak jakby się nic nie stało.

Nagle uświadomił sobie, że mocno zaciska ręce na poręczy platformy. Opuścił na nie wzrok. Wyobraził sobie własne ręce poszarpane i krwawiące. W tym było coś niedobrego. Para rąk musiała być warta więcej niż trzy dolary tygodniowo, jakie płacono tym chłopcom.

12

Kiedy nie pojawił się do dziewiątej, Sarah Andrews uznała, że nie przyjdzie tego wieczoru i przygotowała się do snu. Zwykle był tu przed wpół do ósmej, zaraz po kolacji. Zamknęła i zaryglowała frontowe drzwi niedużego domku, przylegającego do szkoły, w której uczyła, i przeszła z małego saloniku do jeszcze mniejszej sypialni.

Zaczęła się wolno rozbierać. Dziwne, że jej wczoraj nie uprzedził. Zwykle, kiedy miał nie przyjść, mówił jej o tym poprzedniego wieczoru. Może coś mu się stało. Słyszała, że w kopalni wydarzył się dzisiaj wypadek. Przez krótką chwilę przeszył ją dreszcz strachu, ale zaraz przypomniała sobie, że nie pracował w kopalni, tylko w biurze.

Starannie powiesiła suknię, zdjęła halkę i wyjęła szpilki z włosów. Długie i ciemnobrązowe, natychmiast rozsypały się na ramiona. W lustrze mignęła jej w przelocie twarz z głęboko osadzonymi, ciemnymi oczami. Stała i przyjrzała się sobie. Jej matka miała rację. Ale przecież jej matka zawsze miała rację.

— Saro Andrews — powiedziała jej matka. — Siedząc całymi dniami i nocami z nosem w książkach, zostaniesz starą panną.

I właśnie nią była. Trzydzieści lat. Niezameżna. Przed nią żadnych widoków. Po prostu stara panna. Tak jak przepowiedziała to jej matka.

Zdjęła stanik i jej piersi zdały się wypełniać lustro. Patrzyła nań nie zafascynowana. Kiedy im się przyglądała, brodawki nabrzmiały i piersi zaczęły ją boleć. Ujęła je w dłonie i trzymała ściśnięte. Wydawało się jej, że to łagodzi ból. Zamknęła oczy. To były jego dłonie.

Jednak to nie były one. Minęło pięć lat od chwili, kiedy ją zdobył, a potem zniknął. Matka powiedziała, że nigdy nie zamierzał jej poślubić. Chociaż „nigdy” to było zbyt mocno powiedziane. Po prostu był człowiekiem nie nadającym się do małżeństwa. Odpowiedzialność przeraziła go. Przekonała się o tym, kiedy było już za późno.

Jednak nigdy nie żałowała, że znała go i kochała. Po raz pierwszy wówczas miała świadomość, że jest kobietą, i nauczyła się czerpać radość ze swej kobiecości. Co prawda matka mówiła

jej, że jest ladaco, że wszyscy sąsiedzi wzięli ją na języki, i że już dłużej nie może chodzić z podniesioną głową wśród ludzi, dlatego było tylko kwestią czasu, żeby wyjechała. Potem niemal każdego roku była inna szkoła w innym mieście. Ani razu w ciągu pięciu lat nie pojechała do domu.

Byli inni mężczyźni. Szybkie, przelotne romanse, powodowane rozpaczliwym fizycznym pragnieniem gdzieś głęboko w niej. Kiedy już jej ciało było nasycone, w miejsce pragnienia pojawiał się głęboki niesmak. Za każdym razem przyrzekała sobie, że więcej to już się nie zdarzy. Ale zdarzało się. I ostatecznie rzucała ją z miasta do miasta; zmieniała szkoły, gdy tylko wyczuwała, że mieszkańcy miasta zaczynają zdawać sobie sprawę z jej obecności. Szczególnie mężczyźni. Oglądali się za nią tak, jak psy za suką. W małym mieście nie było tajemnic.

Minęło siedem miesięcy, odkąd przyjechała do tej małej górniczej osady nie opodal Grafton. Kiedy zobaczyła sąsiadujący ze szkołą mały domek, wiedziała, że tym razem będzie inaczej. Tu była sama, a nie, jak w zwykłym pensjonacie, przedmiotem pożądania i pokusą dla mężczyzn wokół. W samotności nic nie rozbudzi jej pragnień. Była zadowolona z pracy. Tym razem nie pozwoliła sobie na rozczarowanie, próbując wtłoczyć jakąś wiedzę w głowy dzieci, które wiedziały, że są tu tylko do czasu, kiedy znajdzie się dla nich praca w kopalni lub fabryce. Bez sprzeciwu przyjęła fakt, że chłopcy znikają, zanim skończą dziesięć czy jedenaście lat. Dziewczęta pozostawały trochę dłużej, ale także odchodziły przed ukończeniem dwunastu, trzynastu lub czternastu lat. Mimo to, w szkole nigdy nie zabrakło dzieci. W dobrym roku czy złym, był to jedyny zbiór, który zawsze się udawał.

Dlatego właśnie zdziwiła się, kiedy pewnego dnia w porze lunchu podniosła głowę znad biurka i zobaczyła go w drugim końcu pokoju. Z początku pomyślała, że to ojciec jednego z uczniów, który przyszedł zabrać swoje dziecko ze szkoły, by posłać je do pracy. Wypełnił sobą całe drzwi. Był potężny, wysoki na prawie sześć stóp, barczysty, o szerokiej piersi. Kilka loków spadało mu z niesfornej szopy czarnych włosów na krzaczaste brwi, poniżej których tkwiły głęboko osadzone, niesamowicie niebieskie oczy. A przycięta czarna broda ocieniała szerokie usta i wyrazisty podbródek. Kiedy wszedł do klasy, zorientowała się, że jest młodszy niż jej się z początku zdawało.

— Panna Andrews? — miał niski, ale przyjemny głos.

— Tak?

Wahając się, zrobił kilka kroków w jej stronę. — Przepraszam, że przeszkadzam, proszę pani. Nazywam się Daniel Boone Huggins.

Niemal się uśmiechnęła; tak widoczne było, że go onieśmiela.

— Nie przeszkadza mi pan; panie Huggins. Jak mogę panu pomóc?

Nie podszedł bliżej. — Jestem urzędnikiem w biurze pana Smathersa w kopalni. Nie odzywając się, skinęła głową.

— Pracuję u niego już około roku i zacząłem zdawać sobie sprawę, jak jestem głupi. Potrzebna mi jest dalsza nauka.

Przyjrzała mu się naprawdę zaskoczona. Po raz pierwszy w ciągu tych wszystkich lat wykonywania zawodu, zdarzyło się, że ktoś się jej w ogóle do tego przyznał. Nauka z książek, jak to nazywali, była uważana za stratę czasu.

— A czego konkretnie chciałby pan się uczyć, panie Huggins? — zapytała.

— Nie wiem — powiedział. A po chwili dodał: — Myślę, że wszystkiego.

— To dosyć trudna sprawa — stwierdziła z uśmiechem. Spoglądał na nią z powagą. — Jest tak wiele rzeczy, o których

nie wiem nic. Odkąd pracuję w biurze, słyszę rozmowy różnych-ludzi. Polityków, biznesmenów, ekonomistów. Nic z tych spraw nie rozumiem. Umiem czytać, pisać i trochę liczyć, ale są słowa, których znaczenia nie rozumiem, a kiedy przychodzi do mnożenia i dzielenia, wszystko mi się płącze.

— W ogóle gdzie się pan uczył?

— Tak, proszę pani — skinął głową. — Sześć lat w wiejskiej szkole. Ale to się skończyło, kiedy miałem czternaście lat, i to tyle.

Spojrzała na niego z zastanowieniem. — Czy pomyślał pan kiedyś o tym, żeby pójść do biblioteki?

— Tak, proszę pani. Ale najbliższa jest w Grafton; pracuję sześć dni w tygodniu, a w niedziele jest zamknięta.

Kiwnęła głową. Grafton było odległe o prawie szesnaście mil więc nie mógł chodzić tam w ciągu tygodnia. — Nie wiem, co mogę zrobić — powiedziała.

— Cokolwiek pani może, byłbym naprawdę wdzięczny — powiedział żarliwie. — To więcej, niż sam mógłbym zrobić.

Zastanowiła się przez chwilę. Przerwa na lunch się skończyła. Do klasy zaczęły z powrotem napływać dzieci.

Spoglądały na Daniela z zaciekawieniem malującym się na ich normalnie nic nie wyrażających twarzach. Spojrzała na niego. — Teraz niewiele możemy zrobić — powiedziała. — Zaczyna się lekcja. Czy może pan przyjść później?

— Pracuję do szóstej, proszę pani — odparł. — Mogę tu być zaraz po pracy.

Skinęła głową. — Tak będzie najlepiej, panie Huggins.

— Uprzejmie dziękuję, proszę pani.

Patrzyła, jak zamknął za sobą drzwi, potem obróciła się do klasy. Oczy dzieci przemknęły z drzwi z powrotem na nią. Z tyłu klasy dobiegło ją parsknięcie któregoś z większych uczniów. Z trzaskiem uderzyła wskaźnikiem o swoje biurko. — Wy, tam z tyłu — powiedziała ostro. — Otwórzcie książki na trzydziestej stronie. Geografia, druga lekcja. Jeszcze ostatnie z dzieci nie zdążyło opuścić klasy po godzinie czwartej, kiedy znowu o nim pomyślała. Zastanowiła się, jak mogłaby mu pomóc. Być może najlepszą rzeczą byłoby przekonać się, ile on właściwie umie. Przynajmniej na początek. Podeszła do szafy, wyjęła zestaw końcowych testów egzaminacyjnych po sześciu latach nauki i rozłożyła je przed sobą na biurku.

To było sześć miesięcy temu. Od tego czasu, z wielkim zdziwieniem, ale i zainteresowaniem, przekonała się, że ten duży, spokojny chłopak miał jasny, dociekliwy umysł, wchłaniający wiedzę jak żyzna gleba deszcz. Spędzali razem trzy wieczory w tygodniu i niedzielne popołudnie. Daniel czytał z ogromnym zapalem i bez przerwy pytał. W końcu napisała do matki i poprosiła ją, by przysłała jej podręczniki z college'u. Po raz pierwszy odczuwała przyjemność samego nauczania. Gdzieś w głębi swego umysłu wiedziała, że właśnie tak powinno być.

Wdzięczny, zaproponował jej zapłatę za lekcje. Odmówiła. Była zadowolona, że ma co zrobić z wolnym czasem.

Jednak on ciągle nalegał, więc w końcu zgodziła się, żeby w rewanżu w każdą niedzielę narąbał tygodniowy zapas drewna dla szkoły i jej małego domku. Zaczęła wyczekiwać niedzielnych poranków, kiedy budził

ją dźwięczny odgłos siekiery dochodzący z tyłu domu. Było w tym coś dziwnie uspokajającego i kojącego. Poczucie domowego ciepła. Echo dzieciństwa, kiedy jej starszy brat wykonywał te same prace. Jakoś nie czuła się już tutaj obca. Ani samotna.

To naturalne uczucie ciepła trwało w niej przez zimę aż do początku wiosny. Wtedy, pewnego słonecznego poranka wstała z łóżka i podeszła do okna.

Był rozebrany do pasa. Pot spływający po jego ciele lśnił w promieniach słońca. Mięśnie naprężyły się, kiedy siekiera podnosiła się i opadała. Sparaliżowana, patrzyła jak jego jasno-brązowe spodnie ciemnieją od potu na pośladkach i w kroku.

Zaskoczyła ją nagła fala ciepła i wilgoci zalewająca jej krocze. Poczwała, że nogi robią się coraz bardziej miękkie i chwyciła się parapetu, by nie osunąć się na podłogę. Ze złością potrząsnęła głową, by jej to przeszło. To nie tak miało być. Zaciśnęła mocno oczy i trzymała je zamknięte, aż odzyskała panowanie nad sobą.

Od tego dnia stała się bardziej przezorna, ostrożniej sza, by nie siadać zbyt blisko niego, bardziej uważna w doborze ubioru i formalna w doborze słów. Jeśli był świadom, że i dlaczego zachowywała się w ten sposób, nie dał tego po sobie poznać. Czasami, gdy zaskoczyła go spojrzeniem, oblewał się rumieńcem, ale przypisywała to jego wrodzonej skromności.

Tak też się stało poprzedniego wieczoru, kiedy spojrzała nad kuchennym stołem i dostrzegła, że ją obserwuje. Natychmiast rumieniec zaczął wpełzać mu na twarz.

— Danielu — spytała bez zastanowienia. — Ile masz lat? Rumieniec jeszcze się pogłębił. Zawahał się. — Osiemnaście, proszę pani — skłamał.

Milczała przez chwilę. — Wyglądasz doroślej. Ja mam dwadzieścia pięć — też skłamała.

Kiwnął głową.

— Z nikim się nie przyjaźnisz? — spytała.

— Owszem — odparł.

— Miałam na myśli dziewczyny. — Nie, proszę pani.

— W domu też nie? Nie masz swojej dziewczyny? Potrząsnął głową.

— Co robisz w wolnym czasie? Nie spotykasz się z nikim, nie chodzisz na tańce w sobotnie wieczory?

— Nigdy nie przepadałem za tańcami, proszę pani.

— To niedobrze. Jesteś młody, przystojny i...

— Panno Andrews — przerwał jej.

Spojrzała na niego zaskoczona. Zrobił coś takiego po raz pierwszy. Jego twarz była purpurowa.

— Nie nadaję się również do zabaw. Dziewczyny szukają zawsze kogoś na męża, a ja nie mam zamiaru się żenić.

Mam rodzinę na utrzymaniu.

— Przepraszam — powiedziała po prostu, przyjmując wyrzut. — Nie miałam zamiaru się wtrącać.

Podniósł się z krzesła. — Już późno. Czas na mnie.

Wstała razem z nim. Wyciągnęła rękę i zamknęła książkę, którą zostawił na stole. — Skończymy tę lekcję jutro wieczorem.

Ale teraz była dziewiąta, a on dotąd się nie pojawił. Wolno przygotowywała się do snu. Ostatnie, co przyszło jej na myśl, zanim zgasiła światło to, że go utraciła. Nigdy już nie przyjdzie.

13

Mały salon w domu Andy'ego był zatłoczony i wypełniony dymem czarnych, grubych jak powrozy cygar, jakie paliła większość górników. Daniel rozglądał się dokoła z kąta, w którym się usadowił. Panowała atmosfera napiętego wyczekiwania, a górnicy rozmawiali między sobą przyciszonymi, prawie tajemniczymi głosami, jak gdyby obawiali się, że ci, do których się zwracali, mogli ich usłyszeć.

Andy pojawił się w pensjonacie akurat wtedy, gdy Daniel zamierzał wyjść na lekcję u panny Andrews.

— Chodź ze mną — powiedział krótko sztygar. Daniel spojrzał na niego. — Po co?

— Przekonasz się — odparł twardo Andy. Ruszył w dół po schodach werandy, a potem obejrzał się na Daniela. — No więc?

Daniel kiwnął głową i zszedł po stopniach. Stał obok sztygara. Przeszli prawie cały blok, zanim Andy odezwał się:

— Dużo ryzykuję przyprowadzając cię. Większość ludzi myśli, że przeszedłeś na drugą stronę i trzymasz stronę kierownictwa.

— Wiec po co bierzesz sobie taki kłopot na głowę? — spytał Daniel.

Krępy sztygar zatrzymał się i spojrzał na niego; biała szopa jego włosów jaśniała w świetle lampy gazowej. — Proszono mnie, bym dopilnował, że tu będziesz.

— Kto?

— Przekonasz się — powiedział tajemniczo Andy i ruszył dalej. — Poza tym wydaje mi się, że jesteś z nami.

Pracowaliśmy w kopalni obok siebie, a jeśli już raz pracujesz w kopalni, nigdy nie przestaniesz być górnikiem, bez względu na to, że robisz coś innego.

Resztę drogi do jego domu pokonali w milczeniu. Krótco po tym jak przyszli, zaczęli schodzić się inni mężczyźni. Spoglądali na Daniela, ale nie odzywali się do niego. Stopniowo Daniel zaczął przesuwać się do kąta, gdzie oparł się o ścianę i zapalił cygaro. Zeszło się ponad tuzin mężczyzn, stłoczonych w małych grupkach.

Nagle usłyszeli nadjeżdżający samochód. Jeden z mężczyzn stojących obok okna wyrzwał na zewnątrz. — Już są. Wszyscy ruszyli do drzwi, które Andy otworzył. Daniel ujrzał zatrzymujący się czarny model T. Wysypało się z niego na werandę kilku mężczyzn. Daniel nie poruszył się.

Chwilę później Andy wszedł do domu w towarzystwie dużego, krępego mężczyzny. Daniel przyjrzał mu się z zaciekawieniem. Nie był wysoki, ale wyglądał potężnie. Miał silne ramiona i szeroką pierś; zadatki wielkiego brzucha, szopę gęstych, niesfornych czarnych włosów, opadających na krzaczaste brwi i głęboko osadzone, przenikliwe, niebieskie oczy. Czując swoją ważność, przeciskał się pewny siebie przez stłoczonych wokół niego mężczyzn, ściskając mocno ich dłonie i patrząc każdemu z nich prosto w oczy. Miał zadziwiająco drobne zęby schowane za grubymi, mięsistymi wargami.

— To jest Daniel — powiedział Andy, jakby to wszystko wyjaśniało. Mężczyzna wyciągnął rękę do Daniela. — John L. Lewis, wiceprzewodniczący związku zawodowego górników United Mine Workers*.

*** United Mine Workers (UMW) — nazwa związku zawodowego górników (przyp. tłum.).**

Ręka pana Lewisa była miękka, ale zadziwiająco silna. Spojrzał na Daniela. — Jesteś szwagrem Jimmy'ego Simpsona — powiedział. Jimmy dużo mi o tobie opowiadał.

Daniel nie zdradził zdziwienia. — Pan zna Jimmy'ego?

Pan Lewis skinął głową. — Także twoją siostrę Molly Ann. Świetna dziewczyna. Jimmy odwała dla nas świetną robotę w Fitch-ville. Miejmy wszyscy nadzieję, że tutaj pójdzie nam równie dobrze.

Zanim Daniel zdążył odpowiedzieć, tamten odwrócił się i poszedł do przodu sali. Nie tracił czasu. Podniósł głowę i mężczyźni zamilkli.

— Po pierwsze chciałbym sprostować to, jak przedstawił mnie Andy — powiedział. — Mój drogi przyjaciel zawsze przedstawia mnie jako wiceprzewodniczącego związku. Dziękuję mu za awans, ale tę pracę ciągle wykonuje Frank Hayes.

Chór głosów przerwał mu: — Już niedługo, John. To ty jesteś naszym człowiekiem.

Lewis uśmiechnął się. Podniósł rękę i znowu ucichli. — To rozstrzygnie przyszłość. Nie mam ambicji; wszystko czego chcę, to wykonywać dobrą robotę dla was, chłopaki. Takiej oczekuję nagrody. Widzieć, że macie pewną i bezpieczną pracę i zarobki równe najwyższym w przemyśle.

Mężczyźni zaczęli wiwatować. Lewis odczekał, aż ich krzyki ucichną. Po chwili zaczął znowu: — Jak wiecie, UMW jest już jednym z największym związków w naszym kraju, bo na początku tego roku mamy ponad ćwierć miliona członków płacących składki. O tym, że jesteśmy akceptowani przez rząd Stanów Zjednoczonych świadczy fakt, że prezydent Wilson mianował ministrem pracy jednego z przywódców i założycieli naszego UMW, pana Williama B. Wallace'a.

Mężczyźni znowu zaczęli wiwatować. Tym razem Lewis przekrzyczał ich: — Zeszłego roku reprezentowałem Sama Gompersa w komisji ustawodawczej w Waszyngtonie. W tym roku wróciłem do swojego starego okręgu UMW w Indianapolis, by raz jeszcze zaofiarować się ludziom, których kocham: górnikom. Dwa miesiące temu, po długich rozważaniach zdecydowaliśmy, że dla UMW nadszedł czas, by wejść w ostatni, pozostający bez związków, okręg kraju. Górniczy okręg Zachodnia Wirginia — Kentucky.

Nie będę opowiadał historii o tym, dlaczego nie zjawiliśmy się tu wcześniej. Wiele razy próbowaliśmy założyć związek, ale zawsze zostaliśmy pokonani. To nie była wasza wina. Wy, chłopaki, chcieliście związku. Ale sprzedajność właścicieli i taktyka terroru były dla was zbyt dotkliwie, więc by chronić wasze życia i zdrowie, cofaliśmy się. Nie zamierzam teraz się spierać, czy nasza decyzja była właściwa, czy błędna. To się działo osiem lat temu i, być może, tak wtedy trzeba było, żeby nie dopuścić do rozlewu krwi. Ale od tego czasu warunki nie poprawiły się, a wręcz przeciwnie, uległy pogorszeniu. Dzisiaj wam, górnikom tego okręgu, płacą za waszą pracę mniej niż wtedy, jesteście bardziej zadłużeni i pracujecie dłużej, więcej, ryzykując w bardziej niebezpiecznych warunkach. A teraz, ponieważ zakłady samochodowe w Detroit połączyły w konsorcjum dwadzieścia największych kopalni w tym okręgu, nie wygląda na to, żeby miało się poprawić. Znosi się na to, że będzie gorzej.

Ludzie milczeli. Lewis rozejrzał się po pokoju. — Teraz nadszedł czas, by zdecydować. Za kilka miesięcy może być za późno. Odkąd tylko konsorcjum przejmie kontrolę, będzie za późno. Wtedy będziecie naprawdę w ich mocy.

Wtedy, być może, nie będziemy w stanie wam pomóc.

— Żeby rozwiązać ten problem zarząd UMW utworzył nowy okręg dla tego terenu. Będzie nazwany okręgiem 100. Wykładamy pięć tysięcy dolarów na niezbędne wydatki organizacyjne, a pierwszą rzeczą, jaką musicie zrobić po wyjściu stąd, jest zwerbować wszystkich waszych braci do związku. Jeśli zdążycie zrobić to, zanim kopalnie zostaną oficjalnie przejęte, będziemy mieli dobrą pozycję do targu. Nasi ludzie działają już w całym okręgu. Dla każdego z was przyszła teraz chwila, by zademonstrować solidarność ze swoimi braćmi. Każdy z was tutaj musi stać się organizatorem. Nasz sukces, wasz własny sukces zależy od starań każdego z was.

Teraz nie było wiwatów. Mężczyźni milczeli. Z powątpiewaniem patrzyli jeden na drugiego. Co innego było wstąpić do związku, a co innego wysunąć się na front walki, która w przypadku przegranej mogła kosztować ich pracę i przyszłość.

— Czy jest pan pewny, że kopalnie mają zostać przejęte? — spytał jeden z mężczyzn.

Lewis skinął głową. — Tak pewny jak to, że tutaj stoję. Mamy informację, na podstawie której jesteśmy przekonani, że odkąd tak się stanie, właściciele rozpoczną największą w historii kampanię, żeby złamać związek i całkiem uzależnić pracowników.

— W tej kopalni nigdy nie mieliśmy kłopotów — powiedział inny mężczyzna.

— Trzydziestu czterech zabitych i ponad stu ludzi trwale okaleczonych w ciągu ostatnich dwóch lat, a ty mówisz, że nie macie kłopotów? Najgorsze warunki bezpieczeństwa w kraju i wszystko to za najniższą płacę w przemyśle, a ty mówisz, że nie mieliście kłopotów? Jeśli nie uważasz tego za kłopoty, to muszę wam, ludzie, powiedzieć, że wy nie wiecie, co to są kłopoty. Czy między wami jest ktoś, kto ma własny dom, czy jest wśród was ktoś, kto nie jest winny sklepom przyszlomiesięcznych zarobków za jedzenie i artykuły pierwszej potrzeby, czy może ktoś, kto gdyby został kaleką i nie mógł dalej pracować, byłby w stanie dalej mieszkać w domu, za który obciąża go fabryka? Co gorsza, kiedy kopalnie zostaną przejęte, nie będą wam nawet płacić w dolarach Stanów Zjednoczonych. Zawrócą bieg historii i będą wam płacić bonami przedsiębiorstwa. Dopiero wtedy zobaczycie, o ile bardziej zagonią was do dziury zarządy kopalń. Będziecie tak głęboko, że nigdy się nie wygrzebiecie, bo jedynym wyjściem będzie grób. — Lewis odczekał chwilę, zanim znowu zaczął. — Waszą jedyną nadzieją jest szybkość. Natychmiastowe zorganizowanie się, zanim właściciele zorientują się, co robicie. W przyszłym tygodniu może być za późno. Jutro każdy z was musi iść i zwerbować całą brać górniczą, zanim wieść się rozniesie. Bo kiedy się rozniesie, rozpęta się piekło. Jediną szansą dla nas wszystkich jest bycie razem w związku.

Lewis otworzył teczkę, którą przyniósł z sobą, i wyjął jakiś dokument. — Trzymam tu w ręce decyzję o włączeniu i postanowienie zatwierdzone przez radę główną UMW organizujące was z tej kopalni jako obwód nr 77 okręgu nr 100. Andy Androjewicz będzie waszym tymczasowym przewodniczącym do czasu, gdy będziecie mieć odpowiednią liczbę członków i wybierzecie swoją własną radę i urzędników.

Wyjął kolejny plik dokumentów. — Tu są deklaracje członkowskie. Spodziewam się, że każdy z was w tym pokoju podpisze

jedną, zanim stąd wyjdzie, a potem da do podpisania każdemu górnikowi, z którym się będzie widział. Zarząd zwolnił was z wpisowego i składek członkowskich za pierwsze trzy miesiące, co umożliwi wam korzystanie z waszych przywilejów, zanim za-, czniecie płacić, i nie spowoduje pogorszenia sytuacji materialnej członków. Pokażcie nam, że chcecie nas tutaj, werbując stu ludzi, a my przyślemy wam do pomocy organizatora z naszego zarządu. Reszta należy do was. Wspomóżcie swych towarzyszy z UMW, a oni wesprą was.

Wręczył deklaracje członkowskie Andy'emu, który zaczął je rozdawać. Przeszedł szybko cały pokój, za nim jego trzynastoletni syn, pracujący w baraku sortowni, który wręczał ołówki. Niemal bez słowa mężczyźni zaczęli wypełniać i podpisywać formularze.

Daniel wziął formularz, który podał mu Andy, i przyjrzał mu się. Nic nie powiedział. Andy powrócił do pana Lewisa. Podniósł rękę do góry. — Jeśli ktoś z was ma jakieś pytania, pan Lewis odpowie na nie.

Tylko Daniel podniósł rękę. Pan Lewis skinął głową. — Tak, Danielu?

— Jestem urzędnikiem w biurze dyrektora kopalni. Nie pracuję na dole. Nie jestem pewny, czy powinienem to podpisywać.

Lewis spojrział na Andy'ego. Ten kiwnął głową. Olbrzym obrócił się do Daniela. — Pracujesz w kopalni?

— Tak.

— Nie widzę żadnego problemu. To samo może przytrafić się tobie, co każdemu z nich. Potrzebujesz takiej samej ochrony pracy, co reszta.

— Może to prawda, panie Lewis. Ale jestem wtajemniczany w wiele rzeczy dotyczących górników. Nie bardzo wiem* jak mógłbym uczciwie pracować u pana Smathersa i jednocześnie być członkiem związku, skoro wykonywanie tej pracy mogłoby być sprzeczne z tym, czego chce związek.

Lewis milczał przez chwilę. — Dotykasz delikatnego problemu etycznego—rzekł. — Obawiam się, że twoje własne sumienie musi zdecydować co jest właściwe.

Daniel spojrział na niego. — Zgadzam się z tym, co pan powiedział o pracy w kopalniach, ale zapisać się mógłbym jedynie wtedy, gdybym zrezygnował z pracy w biurze. Nie mogę służyć

dwom panom i być uczciwym wobec obu, a nie będę szpiegiem i donosicielem. Mój tata zawsze mi mówił, że honor to rzecz dla mężczyzny najważniejsza.

— Z tego, co mówisz, wynika, że nie podpiszesz deklaracji.

— Zgadza się, proszę pana. Uważam, że nie byłbym wtedy uczciwy.

Przyciszony, pełen złości szmer poniósł się po pokoju. Kilku mężczyzn ruszyło groźnie ku Danielowi. Lewis powstrzymał ich podniesieniem ręki. — Danielu — powiedział ostro. — Szanuję twoją uczciwość. Kiedy opuścisz zebranie, czy mam twoje słowo, że nic z tego, o czym tu mówiono, nie dotrze do dyrekcji?

Daniel napotkał jego groźne spojrzenie. — Powiedziałem już, że nie jestem donosicielem i szpiegiem. Jeśli dowiedzą się czegokolwiek, to nie ode mnie.

Lewis rozejrzał się po pokoju. — Ja osobiście przyjmuję słowo Daniela. Znam jego szwagra Jimmy'ego Simpsona z Fitchville, który reprezentuje tam teraz włókniarzy i pomaga nam organizować kopalnie. Jimmy mówi, że Daniel jest najuczciwszym chłopakiem, jakiego kiedykolwiek spotkał. Uważam, że powinniśmy pozwolić Danielowi wycofać się z zebrania i mieć nadzieję, że przyszłość pozwoli nam pracować i być razem. Kto mnie poprze?

Nastąpiła chwila ciszy. Potem odezwał się Andy. — Popieram pana, panie Lewis. To moja wina, że Daniel jest tutaj. Kiedy rozmawiałem z nim dziś po południu, powiedział mi dokładnie to, co powiedział teraz. Powinienem wtedy wziąć od niego słowo. Ale wierzę mu. Pracowałem z Danielem ramię w ramię na dole i wiem, że w sercu jest z nami i nie zrobi nic, żeby nam zaszkodzić. Uważam, że powinniśmy go puścić.

Mężczyźni spoglądali po sobie przez chwilę, potem niechętnie wyszemrali przyzwolenie. Daniel położył na stole blankiet deklaracji i wolno podszedł do drzwi. Czuł ciężar ich spojrzeń na swoich plecach. Zamknął za sobą drzwi i usłyszał poprzez nie budzące się głosy. Wyszedł na ulicę. Wzdrygnął się przez moment; wieczór zrobił się chłodny. Spojrzał w niebo. Księżyc stał wysoko. Była dziewiąta.

Przez moment zawahał się, potem zdecydowany, szybko ruszył. Jeśli w domu panny Andrews będzie palić się światło, wyjaśni jej, dlaczego nie pojawił się wieczorem.

14

Molly Ann w milczeniu obserwowała, jak łamie rewolwer i dokładnie sprawdza bębenek, by zobaczyć, czy każda kpmora jest pełna. Zadowolony, z trzaskiem zamknął bębenek i wsadził rewolwer za pas. Obrócił się do niej i kiedy spostrzegł wyraz jej twarzy, powiedział:

— Nie martw się.

— Nic na to nie mogę poradzić — rzekła. — Rewolwery służą do zabijania. Jakoś sama świadomość, że codziennie nosisz rewolwer, powoduje u mnie dreszcze.

— Już dwa razy do mnie strzelali — odparł. — To co mam robić? Po prostu stać i czekać, aż mnie zabiją?

Nie odpowiedziała.

— Zabili ponad dziesięciu ludzi. Ludzi, którzy nie mieli przy sobie broni.

— Co ma się wydarzyć dzisiaj?

— Wiesz równie dobrze jak ja. Dzisiaj chcą otworzyć przędzalnię. Fitch sam ściągnął armię ludzi Pinkertona, żeby wprowadzili łamistrajków do fabryki. Jeśli ich tam wpuścimy, wszystko skończone. Nigdy nie wyjdą. Będzie im przysyłał jedzenie, zaopatt rzenie, wszystko, czego będą potrzebowali, dopóki my nie zaczniemy głodować i nie zostaniemy pokonani.

— Czy górnicy zaczną strajk, żeby wam pomóc? — spytała.

— Nie. — Potrząsnął głową. — Górnicy wpadli prosto w zastawioną pułapkę. Przyjęli dziesięcioprocentową podwyżkę, jaką zaproponowali im właściciele, nawet nie zdając sobie sprawy, że; wprowadzenie bonów zamiast pieniędzy zabrało im ją z procentem. Jeśli w UMW zostało więcej niż dziesięciu członków z całej doliny, byłbym zdziwiony.

— Mówiłam ci, żeby nie wierzyć temu Lewisowi.

— To nie jego wina. Jest takie stare powiedzenie: „Możesz poprowadzić konia do wodopoju, ale nie zmusisz go do picia”.

— Daniel był mądrzejszy od was wszystkich — powiedziała. — Trzymał się z boku.

— Nie — odparł krótko, ale wiedziała, że głęboko zraniła go wiadomość, że Daniel nie poszedł za jego przykładem.

— Och, Jimmy, boję się — powiedziała, rzucając mu się

w ramiona i kładąc głowę na jego piersi. — Byliśmy tacy szczęśliwi i tak dobrze ci szedł handel wódką i wszystko inne. Dlaczego musiałeś uwikłać się w to wszystko?

Chwyił ją mocno, mówiąc posepnym głosem: — Przychodzi taka chwila, że człowiek musi przestać mówić, a zacząć działać. Ci ludzie — farmerzy, robotnicy — to wszystko moi przyjaciele. Dorastałem z nimi. Co miałem robić? Stać i pozwolić Samowi Fitchowi zmienić ich wszystkich w niewolników, bo mu się tak podobało?

Zaczęła płakać. Delikatnie pogłaskał ją po głowie. — Przestań się bać — powiedział. — Kobiecie w ciąży takie zachowanie może zaszkodzić.

Zajrzała mu w twarz. — Będiesz uważał? Nie przeżyłabym, gdyby coś ci się miało zdarzyć.

— Będę uważał — obiecał. — Ja też nie chcę, żeby coś mi się stało.

Dzień jeszcze nie wstał, kiedy przyjechał do sklepu na Front Street, służącego jako kwatery przywódców związku. Było już tam kilku mężczyzn, czekających na niego na ulicy. Wyjął klucze z kieszeni i otworzył frontowe drzwi. Weszli za nim do środka. Wewnątrz było wilgotno i ciemno. Szybko zapalili kilka lamp gazowych. Elektrownia odmówiła podłączenia ich do sieci. Migające złote światło lśniło na napisach ustawionych pod ścianami transparentów. Obszedł sfatygowany stół, pełniący rolę jego biurka i usiadł.

— W porządku, Roscoe — powiedział. — Ty pierwszy. Co się dzieje przed nową fabryką?

Roscoe Craig przesunął w ustach prymkę tytoniu. — Ściągnęli około pięćdziesięciu ludzi Pinkertona i może z setkę łamistraków. Jimmy kiwnął głową i zwrócił się do kolejnego mężczyzny:

— A co z przędzalnią w mieście?

Mężczyzna odchrząknął. — Tu ściągnęli prawdziwą armię. Więcej niż stu od Pinkertona i pewnie trzystu łamistraków. Przyjechali w nocy ciężarówkami.

Jimmy milczał przez chwilę. Tamci mieli olbrzymią przewagę liczebną. On mógł liczyć w najlepszym razie na, być może,

siedemdziesięciu ludzi. Było też siedemset kobiet i dziewcząt, które można by użyć do pikietowania, ale w takim dniu jak dzisiaj nie chciał wystawiać ich tam, gdzie mogły zostać ranne. Bo zostałyby ranne. Ludzie Pinkertona byli uzbrojeni i mieli rozkazy dostać się do przędzalni za wszelką cenę. Odetchnął głęboko. Obawiał się, co się stanie, gdy nadejdzie dzień.

— O której zjawią się tam nasi ludzie? — spytał.

— Za chwilę — odparł Roscoe. — Będą tu wszyscy przed szóstą.

— Są gotowi?

Roscoe skinął głową. — Będą mieli dubeltówki i strzelby. Ci od Pinkertona nie wejdą po prostu, tak sobie.

— Będziemy musieli podjąć decyzję — powiedział Jimmy. — Nie damy rady pobić ich w obu miejscach. Musimy się zdecydować, które chcemy ochraniać.

Ludzie milczeli.

— Jestem za tym, żeby wpuścić ich do nowej przędzalni. Zamontowali tam ledwo dziesięć procent maszyn. Nawet jak wejdą, na razie będą z tego mieli małe korzyści.

— Nie podoba mi się to — powiedział beznamiętnie Roscoe. — Dwóch członków mojej rodziny zginęło, żeby utrzymać ich z dala od naszej ziemi. Kiedy pomyślę, że tak sobie wchodzi...

— Nie wejdą tak sobie — rzekł Jimmy. — Ulokujemy dziesięciu snajperów w lesie i na wzgórzach wokół wejścia, więc tamci, wychodząc na drogę, będą musieli bardzo uważać. — Przerwał na moment. — Poza tym, fabryka w mieście, to zupełnie co innego. Jeśliby tu weszli, mogliby produkować pełną parą. Wtedy wykończyliby nas. Jeśli przędzalnia zacznie pracować, pozostanie nam tylko wyć.

Jimmy stał na rogu, przyglądając się przędzalni po drugiej stronie ulicy. Przed zamkniętą bramą chodziły już pikiety, składające się przeważnie z kobiet maszerujących po cztery w rzędzie. Zza bram i drucianego płotu, biegnącego wokół fabryki, strażnicy przyglądali się w milczeniu hasłom noszonym przez śpiewających monotonicznie pikietujących.

— Lincoln wyzwolił niewolników. Jak to się stało, że u nas się nic nie zmieniło?

Odkrzyknęli odpowiedź sami sobie: — Bo nikt nie powiedział o tym przedzalni.

I zaraz rozległ się kolejny okrzyk. — Wolności!

Akurat, gdy zawyła syrena o siódmej, na ulicy pojawił się biegnący w stronę Jimmy'ego mężczyzna. W tej samej chwili zaczął padać deszcz. — Trzy ciężarówki wyładowane łamistrajkami! — krzyknął. — Właśnie skręcają w High Street.

Jimmy spojrział przez ulicę. Pikiety dalej maszerowały. Ludzie Pinkertona za płotem ruszyli w stronę bramy. Rozległ się zgrzyt żelaznego łańcucha i brama zaczęła się uchylać.

Jimmy poczuł skurcz bólu w żołądku, tak dotkliwy jak każdy ból, jaki mu kiedykolwiek dokuczał. Obrócił się do mężczyzn wokół siebie. Nagle wszystko stało się jasne. To na niego patrzyli. To na niego czekali. To w nim w czasie tego szaleństwa szukali przywódcy. Poczul się stary, tak bardzo stary. Molly Ann miała rację. Co on tu robił? Nie był bohaterem.

Skurcz przeszedł. Podniósł rękę i ruszył w kierunku pikietujących. Mężczyźni w milczeniu podążyli za nim.

Zatrzymał się przed pikietą. — W porządku, moje panie — powiedział zdecydowanym głosem. — Czas, byście poszły do domu.

Stały nieruchome, patrząc na niego. Powiedział więc znowu, tym razem bardziej przynaglającym tonem:

— Słyszaliście mnie, panie. Czas iść do domu.

Przez chwilę panowała cisza. Potem jedna z nich zawołała:

— Zostajemy tutaj, Jimmy. To również nasza wojna.

— Ależ, kobiety! — krzyknął. — Tu mogą strzelać.

— Więc będą musieli strzelać również do nas — odkrzyknęła jedna z nich. — Nie idziemy do domu.

Kobiety zaczęły podawać sobie ramiona i za chwilę stworzyły przed otwartą bramą żywy łańcuch. Znowu zaczęły monotonnie śpiewać. — Wolności. Chleba i masła, a nie łańcuchów,

Z daleka, zza zakrętu, wyjechały ciężarówki i skierowały się w stronę przedzalni. Były już w połowie budynku, a prowadząca ciężarówka nie zamierzała hamować. Jimmy wyskoczył przed Unię pikiety i stanął im naprzeciw. Nagle za nim zapanowała cisza. Ciężarówki ciągle jechały na nich.

— Z drogi — wydarł się strażnik zza drucianego płotu. — Wszystkich was zabiją.

Nikt się nie poruszył. Prowadzący pierwszą ciężarówkę nacisnął ' hamulce i zatrzymał ją zaledwie parę jardów przed linią pikiety. Ze [skrzyń samochodów zaczęli wyskakiwać mężczyźni. Ludzie Pinkertona, wielcy, okropni i groźni. Uformowali szereg naprzeciw pikiety, każdy z nich trzymał w ręce pałkę albo żelazną rurkę, a ich głowy zdobiły meloniki. Na dany znak ruszyli do przodu.

Jimmy podniósł rękę. — Ludzie, ostrzegam was. Tu są kobiety. | Nie odpowiadam za wasze życie, jeśli choć jedna z nich zostanie ranna!

Ludzie Pinkertona zatrzymali się niepewni. — Krycie się za ich spódnicami nie uratuje was — krzyknął jeden z nich. — Wyjdźcie i walczycie jak mężczyźni.

— Pozostaniemy tu, czy Wam się to, łamistrajki, podoba czy nie — krzyknęła jedna z pikietujących. Zaraz inne kobiety podchwyciły to, krzycząc: — Łamistrajki! Łamistrajki! Łamistrajki!

Żelazna rurka furkocząc, przecięła powietrze. Jimmy usłyszał za sobą krzyk kobiety. Obejrzał się szybko za siebie i zobaczył padającą postać. Z jej głowy płynęła krew. Odwrócił się do ludzi Pinkertona.

— Zabiję następnego, który to zrobi — zawył, wyciągając zza pasa rewolwer.

Jimmy zobaczył na ciężarówce mężczyznę ze strzelbą i niemal za chwilę usłyszał koło ucha świst kuli. Rozległ się kolejny krzyk. Tym razem Jimmy nie obejrzał się, by zobaczyć, kto jest ranny. Strzelił. Mężczyzna zwałił się ciężko z samochodu na ziemię. Przez okrągłą dziurę w meloniku, który w dziwny sposób nie spadł mu z głowy, sączyła się krew.

— Bierzmy go — krzyknął jeden z pinkertonowców. Wyciągnął broń i strzelił do Jimmy'ego.

Kula Jimmy'ego trafiła go jednak w pierś, odrzucając do tyłu, akurat gdy inny z ludzi Pinkertona wypalił z obu luf dubeltówki. Jimmy usłyszał krzyki i znowu strzelił. Dubeltówka wypadła z rąk mężczyzny, a on chwycił się za krtań.

Ruszył ku Jimmy'emu. Przez palce buchała mu krew, a z gardła dobywało się okropne rżenie. Potem upadł na twarz, obrócił się i leżał na ulicy na wznak; z przeciętej tętnicy krew tryskała jak czerwona pulsująca fontanna.

Strajkujący i ludzie Pinkertona spoglądali na siebie w milczeniu. Jimmy dał znak ręką. Zza niego spokojnie wyszli mężczyźni

i ustawili się po jego obu stronach, tworząc długi szereg przed kobietami. W ich rękach pojawiły się strzelby i dubeltówki. Ci mężczyźni o zawziętych twarzach byli góralami i farmerami, i to do ich żon strzelano i raniono je. Jimmy powoli otworzył rewolwer i uzupełnił trzy wystrzelone kule. Zatrzasnął bębenek i znowu zwrócił się do ludzi Pinkertona. Mówił niskim głosem, ale poprzez padający cicho deszcz mogli go słyszeć wyraźnie.

— Czy Pinkerton płaci wam premię za umieranie?

Bez odpowiedzi, pinkertonowcy zaczęli się powoli cofać. Kilka minut później ciężarówki ruszyły z powrotem ulicą. Poza trzema trupami leżącymi na bruku, ulica była pusta. Usłyszeli, jak skrzypiąc, zamknęły się wielkie żelazne wrota.

Wśród strajkujących rozległy się okrzyki radości: — Pobiliśmy ich! Wygraliśmy! Wygraliśmy!

Twarz Jimmy'ego była jednak posepna. Spojrzał na ciała na ulicy, potem na triumfujących robotników. — Nie — powiedział, doświadczając dziwnego przeczucia. — Przegraliśmy.

I miał rację. Dwa dni później Gwardia Narodowa wkroczyła do Fitchville i mogli jedynie w milczeniu przyglądać się, jak do przedzalni wchodzi pod ochroną rządu łamistrajki.

15

Małe biuro Sama Fitcha na zapleczu jego sklepu było zatłoczone, chociaż poza nim samym znajdowało się tam tylko trzech mężczyzn: przedstawiciel właścicieli przedzalni pan Cahill, jego wspólnik z Filadelfii i szeryf powiatu Jason Carter. Fitch wylewał się z niedużego krzesła, na którym siedział, a stojący przed jego biurkiem Cahill spoglądał na niego i mówił wściekłym głosem:

— Już miesiąc, odkąd otworzyliśmy przedzalnię. I zobacz, co się stało. Nowa fabryka na gruncie Craiga zamknięta, jej maszyny niszczeją; stara w mieście pracuje na ledwie dziesięć procent swoich możliwości. Wszystko dlatego, że robotnicy nie wrócili do pracy tak, jak mówiłeś, że to zrobią, kiedy otworzymy fabryki.

Ponadto pracownicy, których sprowadziliśmy, wyjeżdżają gromadnie. Zostało ich może dziewięćdziesięciu, kiedy potrzebujemy czterystu. Sam Fitch kiwnął głową. — Wiem — powiedział z ubolewaniem.

— Wiesz? — sarkastycznie spytał Cahill. — Wiem, że wiesz. Ale chcę wiedzieć, co zamierzasz z tym zrobić?

— Szeryf i ja robimy wszystko co w naszej mocy — rzekł Fitch. — Ale pan nie wiejący są ci ludzie. To już nie jest strajk, to wojna. Teraz są oni przeciwko przedsiębiorstwu. Mówiłem panu, żeby nie sprowadzać tych od Pinkertona, pozwolić szeryfowi i mnie to załatwić. To mogło potrwać dłużej, ale ściągnęlibyśmy ich z powrotem. A teraz dostali pomoc z Textile Union z północy, a na Jimmy'ego Simpsona patrzą jakby był co najmniej bogiem.

— Ale to morderca! — głos Cahilla był przepełniony oburzeniem. — Zabił trzech ludzi.

— Mówi pan o ludziach Pinkertona — poprawił go Fitch. — I to dopiero wtedy, kiedy strzelili do ich kobiet. Nam, ludziom z gór, nie bardzo się podoba, kiedy strzelają do naszych żon.

— Teraz jeszcze bronisz go — oskarżył go Cahill. — Po której stronie jesteś?

— Jestem po waszej stronie, panie Cahill — powiedział przymilnie Fitch. — Niech pan nie myśli, że mnie to wszystko wcale nie dotknęło. Obroty w moim sklepie spadły do zera.

— To działaj — szczechnął Cahill. — Zrób coś, żeby pozbyć się tego Simpsona i żeby ludzie wrócili do roboty, albo kończymy tutaj. Firma traci czterdzieści tysięcy dolarów miesięcznie i dano mi dokładnie miesiąc na ponowne otwarcie przędzalni albo zamykamy je i przenosimy fabryki gdzie indziej.

Fitch milczał przez chwilę. Spojrzał na filadelfijczyka. — Za dwa tygodnie Jimmy ma w sądzie sprawę o zabójstwa. Może oni go załatwią. Sędzia Harlan jest po naszej stronie.

— Ale ława jest w całości miejscowa. — Cahill roześmiał się pogardliwie. — Simpson wyjdzie z sądu nie tylko wolny, ale jako jeszcze większy bohater niż przedtem. Obojętnie, co zamierzasz zrobić, lepiej zrób to, zanim on wejdzie do sądu. Bo w dniu, kiedy z niego wyjdzie, zanikniemy przędzalnię i zaczniemy się wynosić.

Kiedy Cahill wyszedł ze swoim przyjacielem, Sam Fitch zapalił cygaro. Spojrzał na szeryfa, który przez całe spotkanie nie powiedział ani słowa. — Co o tym sądzisz, Jase?

— Ten pan Cahill to twardy człowiek — odezwał się szeryf. Fitch skinął głową. — Ludzie z miasta nigdy nas nie rozumieją.

— Nigdy — zgodził się szeryf.

— A co z Jimmym? Twoi chłopcy pilnują go?

— Nie możemy się do niego zbliżyć — rzekł szeryf. — Nigdzie się nie rusza bez sześciu, siedmiu mężczyzn uzbrojonej obstawy. A ten żydowski prawnik z Nowego Jorku też nam nie ułatwia życia. Za każdym razem, gdy aresztujemy kogoś z ich ludzi, zjawia się w sądzie z *habeas corpus**, zanim dobrze zdążymy zamknąć drzwi celi, i wyciąga człowieka.

— Ach, szlag by... — zaklął Fitch. — Zawsze wiedziałem, że z tym Simpsonem będą kiedyś kłopoty.

Popołudniowe słońce wpadało poprzez zakurzone okna sklepu, przecinając mrok promieniami światła. Dzwonek nad drzwiami zabrzączał zgrzytliwie, gdy je ktoś otworzył. Jimmy Simpson spojrział w tamtą stronę. To samo uczynili wszyscy pozostali mężczyźni w sklepie, podświadomie mocniej ujmując broń. Kiedy ujrzeli wchodzącego, rozluźnili się i podjęli rozmowę.

Morris Bernstein wtoczył się do sklepu. Nie szedł, ale człapał; buty numer jedenaście dudniły pod dwustu dziesięcioma funtami jego sześciu stóp i trzech cali. Patrząc na złamany nos, masę blizn pod oczami i kalafiorowate uszy, nikt nie pomyślałby, że jest adwokatem. Ale taką twarzą, walcząc jako półzawodowiec, opłacił swój college. Podszedł prosto do stołu, za którym siedział Jimmy.

— I co? — spytał Jimmy.

— Powiedzieli nie — odparł beznamiętnie.

Jimmy ukrył rozczarowanie. — Czy wyjaśniłeś im, że to tylko przez następny miesiąc?

— Zrobiłem wszystko. Mogłem jeszcze zagwizdać *Dixie*. — powiedział Morris. — Ciągłe odmawiali.

— Czy podali jakiś powód?

Morris spojrział na niego. — Chcę porozmawiać z tobą na osobności.

* ***Habeas corpus* (łac.) — nakaz doprowadzenia aresztowanego do sądu, dla stwierdzenia legalności aresztowania (przyp. tłum.).**

Jimmy przez chwilę nie odpowiadał. Potem wstał. — Wyjdziemy na uliczkę z tyłu domu. Ruszył do drzwi, ale jeden z mężczyzn zablokował mu drogę.

— Poczekaj chwilę. Najpierw sprawdzimy teren.

Jimmy poczekał, podczas gdy dwaj mężczyźni wyszli tylnymi drzwiami.

— Jesteście zbyt ostrożni — powiedział.

— Nie można być zbyt ostrożnym — odrzekł mężczyzna, który stanął mu na drodze. — Już cztery razy próbowali cię dostać. Nie mam zamiaru pozwolić, żeby piątym razem mieli szczęście.

Dwaj mężczyźni wrócili do sklepu. — W porządku. Człowiek stojący przed Jimmym odsunął się na bok. Jimmy zrobił krok, ale zatrzymał się. — Dziękuję, Roscoe — powiedział. Roscoe Craig uśmiechnął się, choć usta stale miał zaciśnięte.

— W ten sposób dostali mojego dziadka i brata. Więcej nikogo z nas nie dostaną.

Bernstein wyszedł za Jimmym na alejkę. Słońce świeciło jasno w porównaniu z ciemnościami panującymi w sklepie. Stali przez chwilę, potem Jimmy odwrócił się do niego.

— W porządku — rzekł Jimmy. — Mów. Bernstein spojrzał mu w oczy. — Jest po strajku. Jimmy nie odpowiedział.

— Ściągają mnie stąd. Nie będą przysyłać więcej pieniędzy — mówił beznamiętnym głosem. — Zarząd twierdzi, że nie mają pieniędzy na przegrane sprawy, muszą je dać tam, gdzie to się opłaci.

— Dlaczego tak mówią? — spytał Jimmy.

— Dowiedzieli się wczoraj w Filadelfii, że przedsiębiorstwo przygotowuje się do przeniesienia przędzalni dalej na południe. Wydali Cahillowi polecenie: albo otworzy fabryki w ciągu miesiąca, albo przenoszą się.

Jimmy milczał, więc Morris spojrzał na niego. — Przykro mi, Jimmy.

Głos Jimmy'ego był pełen goryczy. — Tak więc się sprawy mają. Przez rok nadstawialiśmy głowy. Zabijano nas, wyrzucano z domów, głodzono i obrzucano błotem. A teraz jacyś ludzie, którzy nigdy nie byli w tej dziurze, siedzący w jakimś wielkim mieście przy wygodnych stołach, orzekają, że jesteśmy skończeni.

— Takie są realia, Jimmy — rzekł Morris. — Nie możemy ich całkiem zwyciężyć.

— Ich wszystkich mam gdzieś — powiedział żarliwie Jimmy. — Chodzi mi tylko o jedno. Tu są moi przyjaciele, moje miasto, moi mieszkańcy. Co mam im teraz powiedzieć?

Adwokat dojrzał cierpienie w jego oczach. — Powiedz im, by wrócili do pracy — jego głos zmiękł. — Powiedz im, że jeszcze nadejdą lepsze czasy. Przegranie bitwy nie oznacza przegrania wojny. Pewnego dnia nastanie tu związek. Jimmy spojrzał na niego. — Związek nie oznacza nic dla tych ludzi. Zaczęli strajkować bez związku i dalej poradzą sobie bez niego — mówiąc to, ruszył z powrotem w kierunku budynku.

Jimmy — zawołał za nim adwokat. — Mam ich pozwolenie, żeby zostać na czas twojego procesu.

Jimmy zmęczony kiwnął głową. — Dziękuję, Morris — zawahał się i dodał: — Wiem, że robiłeś wszystko, co w twojej mocy, i bardzo to sobie cenię.

— Jimmy, co zamierzasz robić? — spytał adwokat.

— Nie mam wielkiego wyboru, prawda? Muszę przekazać im to, co mi powiedziałeś. To jest ich strajk. Ciągłe do nich należy decyzja, co chcą z nim zrobić.

— A ty, Jimmy? — spytał adwokat. — Co zamierzasz robić, kiedy to się skończy?

Jimmy uśmiechnął się szeroko. — Dobrze mi szedł handel whisky, zanim się to zaczęło. Zawsze mogę do tego wrócić.

— Tacy ludzie jak ty przydaliby się w związku — powiedział Morris. — Możesz jechać ze mną do Nowego Jorku. Powiedzieli mi, że znajdą dla ciebie miejsce.

Jimmy potrząsnął głową. — To nie dla mnie. Jestem chłopakiem z małego miasteczka. Przynależę tutaj, do wszystkich ludzi takich jak ja. Ale dziękuję, że pomyślałeś o tym.

Wszedł z powrotem do budynku. Adwokat poszedł za nim. Chwilę później Roscoe Craig wyszedł na alejkę. Spojrzał na dachy domów po drugiej stronie uliczki i zamachał ręką. Strażnicy, których umieścił tam dla ochrony Jimmy'ego, wykonali ten sam gest, potem zsunęli strzelby pod pachy i zeszli na ulicę.

Na generalnym zebraniu tego wieczoru, w tajnym głosowaniu, postanowiono kontynuować strajk. Nawet gdyby miało to oznaczać, że przedsiębiornie wyniosą się i wszyscy na zawsze stracą pracę.

Dzień procesu wstał jasny i czysty. Wczesnomajowy wietrzyk przyniósł świeży zapach powietrza, wpadającego przez otwarte okno kuchni, w której jedli śniadanie.

Morris Bernstein wyjął zegarek i spojrzał na niego. — Czas na nas — rzekł. — Rozprawa zaczyna się o dziesiątej. — Jestem gotów — powiedział Jimmy, wstając. Roscoe Craig i Morris podnieśli się razem z nim.

— Przyniosę ci marynarkę i krawat — powiedziała Molly Ann. Kiedy wyszła z pokoju, Jimmy spojrzał na Morrisa. — Jak

sądzisz, jak długo potrwa proces?

— Parę dni — odparł Morris. — Dzień lub dwa, żeby zebrać ławę przysięgłych, kolejne dwa dni na sam proces i będziesz wolnym człowiekiem.

— Mam nadzieję—odezwała się Molly Ann, wracając do kuchni.

— Nie może się stać inaczej — stwierdził z przekonaniem Morris. — Mamy setki świadków, by udowodnić, że to była samoobrona.

— Oni też będą mieli świadków — powiedziała Molly Ann.

— Agentów Pinkertona — rzekł pogardliwie Roscoe. — Nikt tutaj im nie uwierzy.

Jimmy skończył wiązanie krawata i nałożył marynarkę. Podeszedł do lustra w holu i przejrzał się w nim. — Nie wyglądam tak źle w tym kupionym w sklepie ubraniu — powiedział.

— Wyglądasz naprawdę przystojnie, kochanie — odparła Molly Ann.

Wrócił do kuchni i, otworzywszy szufladę, wyjął rewolwer. Kiedy zaczął wsuwać go za pasek, Morris powiedział:

— Nie. Odłóż go.

Jimmy spojrzał na niego.—Nie czuję się pewnie bez mojego gnata.

— Nie możesz wejść do sądu z rewolwerem. To nie wypada. Poza tym nie będą niczego próbować na oczach tylu ludzi. Całe miasto tam będzie.

Jimmy spojrzał z powątpiewaniem na Roscoe. —Co o tym myślisz?

— Może ma rację — odparł Roscoe, choć w jego głowie nie było pewności.

— Mam rację — powiedział Morris. — Czy wiesz, że sędzia może uznać to za obrazę powagi sądu, jeśli wejdiesz z bronią?

— Czy ja też będę musiał zostawić swój rewolwer? — spytał Roscoe.

— Co ty zrobisz, to twoja własna sprawa — odpowiedział Morris. — Ja muszę się martwić o swojego klienta, i tyle.

— Więc go zostaw — powiedział Roscoe. — Ja i chłopcy będziemy tam. — Nic się nie może zdarzyć.

Jimmy włożył broń z powrotem do szuflady. Molly Ann zdjęła fartuch i starannie złożyła go na oparciu kuchennego krzesła.

— Jestem gotowa — powiedziała.

Jimmy spojrzął na nią. Była w szóstym miesiącu i ciąża była wyraźnie widoczna. — Czy nie uważasz, że byłoby lepiej, gdybyś została w domu? — spytał. — Może zbyt emocje zaszkodzą dziecku?

— Idę — powiedziała twardo. — Miejsce żony jest przy boku męża.

— Chodźmy więc — rzekł Morris. — Robi się późno.

Plac Sądowy znajdował się dokładnie w środku miasteczka. Zanim Jimmy i Molly Ann dotarli tam, był już wypełniony ludźmi w odświętnych ubraniach. Panowała niemal piknikowa atmosfera. Dzieci biegały wkoło, bawiąc się i wrzeszcząc; dorośli rozmawiali z ożywieniem. Kiedy Jimmy i Molly Ann szli do sądu, zrobiło się przy nich tłoczno. Każdy chciał dotknąć Jimmy'ego, klepnąć go po ramieniu i życzyć wszystkiego najlepszego. Łatwo było dostrzec, po której są stronie.

Sam Fitch z szeryfem stał w drzwiach swego sklepu i poprzez ulicę obserwował tłum. Szeryf potrząsnął głową. — Nie wiem — powiedział. — Nie podoba mi się to.

Fitch spojrzął na niego. — Też mi się to nie podoba, ale czy masz lepszy pomysł?

Szeryf głęboko odetchnął. — Za dużo ludzi. To może przekształcić się w bunt.

— Nie mamy wyboru — powiedział Fitch. — Na własne uszy słyszałeś, co mówił ten człowiek. Chyba, że wolisz być szeryfem miasta bez mieszkańców.

Szeryf znowu spojrzął na plac. — Naprawdę mi się to nie podoba — rzekł. — Popatrz tam. Ma przy sobie Roscoe Craiga

i kilku ich chłopaków, a wokół nich jest masa ludzi. Nie ma sposobu, żebyśmy mogli się do niego dostać. Fitch podążył za wzrokiem szeryfa. — Prędzej czy później musi stanąć oddzielnie. Chociaż na chwilę. Mam nadzieję, że twoi chłopcy są na tó przygotowani.

— Jeśli tak się stanie — powiedział posepnie szeryf— moi chłopcy będą gotowi.

Z poklepywaniem po plecach, witaniem się i życzeniami, przejście placu do schodów sądu zajęło im prawie dwadzieścia minut. Drzwi budynku otworzyły się akurat, gdy dotarli do podnóża schodów. Dziki pęd ludzi, tłoczących się przed frontowymi drzwiami, był hamowany przez czterech zastępców szeryfa, którzy każdego z wchodzących do budynku sprawdzali, czy nie ma broni.

Duże drewniane skrzynie po jednej stronie drzwi powoli zaczęły zapełniać się bronią. Zastępcy byli grzeczni, ale stanowczy.

— Żadnej broni w sądzie — wyjaśniali. — Możecie ją odebrać w biurze szeryfa po rozprawie.

Niektórzy mężczyźni szemrali, ale jeśli chcieli wejść do sądu, musieli oddać rewolwery. Roscoe obserwował schody. — Nie podoba mi się to — powiedział.

Morris spojrzął na niego. — Nic się nie zdarzy, kiedy wejdziemy do środka.

— Nie boję się o to, co będzie w środku — rzekł Roscoe. — Obawiam się, co się stanie, kiedy wyjdziemy.

— Poczekamy w środku, aż odbierzecie swoją broń i wróćcie po nas — powiedział Jimmy.

— To już trochę lepiej — odparł Roscoe.

Jimmy spojrzął na tłum cisnący się do budynku sądu. — Ty i twoi chłopcy lepiej wejdźcie do środka, bo dla was wszystkich nie będzie miejsca.

Roscoe rozejrzył się po placu. — Wejdiesz po schodach z nami — rzekł. — Będę się lepiej czuł, kiedy zejdziemy już z ulicy.

Roscoe i jego ludzie weszli już do środka, kiedy zastępcy szeryfa zatrzymali Jimmy'ego. — Ty nie wchodzisz tędy, Jimmy — powiedział jeden z nich. — Masz wejść bocznym wejściem przez biuro pisarza sądowego.

Jimmy przyjrzał mu się. - Dlaczego?

— Chodzi o coś związanego z odbiorem pokwitowania twojej kaucji. Nie chcesz chyba stracić pięciuset dolarów, co? — odpowiedział zastępca.

Roscoe podsłuchał ich. — Idę z tobą — rzekł, ruszając z powrotem.

— Nie trzeba—powiedział Jimmy. — Zobaczymy się w środku. Molly Ann weszła już przed nim do sądu. Teraz wróciła. — Weź

Molly Ann i chodźcie za mną —. powiedział Jimmy do Morrisa i odszedł.

— Poczekaj — rzekł Morris i odwrócił się, by pomóc Molly Ann. Kiedy przeszli przez drzwi, Jimmy wyprzedził ich o dwadzieścia kroków i był już prawie przy narożniku obok bocznego wejścia.

Wtedy właśnie podeszli do niego zza rogu. Było ich trzech: dwóch od Pinkertona i Clinton Richfield, jeden z zastępców szeryfa. Był bez munduru.

Jimmy już nigdy ich nie zobaczył, gdyż pojawili się, strzelając z rewolwerów. Przeszyło go siedem kul, które już martwego rzuciły o narożny słup, po którym osunął się i leżał twarzą w dół, w połowie na ganku, w połowie na schodach.

Trzej mężczyźni strzelali dalej. Ciało Jimmy'ego podskakiwało uderzane kulami i zsuwało się w dół po schodach. Mężczyźni stali czekając, czy Jimmy się poruszy.

— Jimmy! — krzyknęła Molly Ann. Wyrwała się z objęć Morrisa i pobiegła do męża, rzucając się na jego ciało.

Obróciła go do siebie. Krew poplamiała jej suknię. Spojrzała w górę na mężczyzn; jej oczy były przepelnione przerażeniem i płynącymi łzami. — Proszę — błagała. — Proszę, nie strzelajcie już do mojego Jimmy'ego.

Ciało Jimmy'ego wstrząsnęło się w ostatnim, konwulsyjnym spazmie. Mężczyźni bez zastanowienia znowu otworzyli ogień. Oderwali Molly Ann od męża i zrzucili ją, martwą, staczając po białych, cementowych schodach na ulicę. Jej własna krew, zmieszana z krwią męża, poplamiała na czerwono prostą, białą sukienkę, którą świeżo uprała i uprasowała zaledwie parę godzin temu.

— Na Boga! Coście zrobili?! — krzyknął, patrząc na nich Morris.

— Napadł nas z bronią — powiedział Richfield.

— Jaką bronią?! — wrzasnął Morris. — On nie miał broni. Kazałem mu zostawić ją w domu.

Richfield podniósł swój pistolet i wymierzył go w Morrisa.

— Ty, Żydku, nazywasz mnie kłamcą?

— Tak, niech cię szlag trafi! — krzyknął Morris. Gniew i doznany wstrząs przełamały strach ściskający go w dołku.

— Jesteś kłamcą i mordercą!

Kula kaliber .38 zastępcy szeryfa przeorała ramię Morrisa, rzucając go w tył na kamienną posadzkę. Poprzez zamglone bólem oczy Morris zobaczył, jak zastępca ponownie podnosi swój rewolwer i starannie mierzy. To był koniec. Nie mógł już nic więcej stracić.

— Kłamca! Morderca! — krzyknął wyzywająco.

Ale nikt nie strzelił. Nagle na miejscu zjawili się szeryf i jego zastępcy, powstrzymując napierający tłum. Szeryf podszedł i przyjrzał mu się z góry.

— Żydku — powiedział zimnym głosem. — Masz pociąg, który odchodzi za godzinę. A ponieważ jesteśmy dobrymi chrześcijanami, zanim cię do niego wsadzimy, chcę, żeby opatrzył cię doktor. I zabierz z sobą na północ to ostrzeżenie. Jeśli ty lub inny żydowski agitator czy anarchista z północy pojawi się tutaj, z miejsca go zabijemy.

Obrócił się do zastępcy. — Ty i Mike, weźcie go do doktora Johnsa, a potem wsadźcie do pociągu.

Morris mało nie zemdlął z bólu, gdy zastępcy szarpnięciem postawili go na nogi. Ruszyli po schodach; tłum patrzył na nich z zaciekawieniem, ale ustępował im z drogi.

Za sobą usłyszał głos szeryfa. — A teraz, dobrzy ludzie, opuśćcie plac i idźcie do domów. Pozwólcie prawu zająć się tym, co do niego należy.

16

Jeb zaprzągnął właśnie muła do pługa na zachodnim polu, gdy w oddali na drodze zauważył wyłaniający się z lasu wóz. Z przodu siedzieli dwaj mężczyźni, a muł mozolnie ciągnął wóz za sobą. Byli

jeszcze za daleko, by Jeb mógł ich rozpoznać. Cmoknął na muła i zaczął orać pierwszą bruzdę. Zajmie im ponad pół godziny, zanim dotrą do niego.

Okazało się, że minęła prawie godzina, kiedy zbliżyli się, i Jeb zdążył już zacząć trzecią długą bruzdę. Zatrzymał muła, rzucił lejce i wyszedł na drogę, by ich przywitać. Jednego z mężczyzn rozpoznał po ciężkim czarnym kapeluszu o szerokich skrzydłach, jaki tamten nosił. Był to pastor Dan, wędrowny kaznodzieja, objeżdżający tereny wokół Fitchville. Jeb zadumał się, co mogło tu pastora sprowadzać. Zwykle pojawiał się tylko na śluby, chrzciny i pogrzeby. Gdy wóz wolno zbliżał się w jego kierunku, rozpoznał drugiego mężczyznę. To był Roscoe Craig. Zdjął kapelusz i otarł czoło gołym ramieniem. W porannym słońcu było bardzo ciepło. Wóz zatrzymał się, więc ruszył ku nim z uśmiechem. —Pastorze Dan — zaczął, ale nagle przerwał. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

Kaznodzieja, wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna, zszedł z wozu i podszedł do niego. — Mam dla ciebie złe wieści, Jebie.

Jeb spojrzał najpierw na niego, potem w górę na Roscoe. Twarz Roscoe była szara i wymięta. Bez słowa Jeb obszedł otwarty z tyłu wóz i zajrzał do środka. Dwie przykryte brezentem trumny stały obok siebie.

Słyszał ciężkie kroki podchodzącego do niego pastora. Nie patrząc na niego, spytał: — Molly Ann i Jimmy? Nie potrzebował potwierdzenia. On już wiedział.

Ciągle patrząc na tanie sosnowe trumny, zapytał stłumionym głosem: — Co się stało?

Pastor nie odpowiedział. To Roscoe obrócił się do niego z przodu wozu.

— Zostali zastrzeleni przed sądem, przedwczoraj — powiedział gorzko. — Przywieźlibyśmy ich wcześniej, ale koroner nie wydał nam ciała. Myśleliśmy, że raczej będziecie chcieli pochować ich koło domu niż w mieście.

Jeb skinął głową. — To prawda. Bardzo wam dziękuję — podniósł wzrok na Roscoe. — Kto to zrobił?

— Clinton Richfield i dwóch od Pinkertona.—odparł Roscoe. — Czekali na niego za rogiem przy wejściu. Nie miał żadnych szans. Nie miał nawet przy sobie broni. Molly Ann pobiegła mu na pomoc i ją też zastrzelili.

Rysy twarzy Jeba były jak wykute w kamieniu. Wszedł na wóz i zdjął brezent z trumien. Po kolei podniósł wieko każdej z nich i zaglądał do środka. Głęboko odetchnął; nagle zaschło mu w gardle. Powoli, drżącymi rękami opuścił pokrywy. Znowu spojrzął na Roscoe. — Czy szeryf zamknął ich?

Roscoe potrząsnął głową. — Twierdzili, że to była samoobrona. Jimmy wyciągnął broń.

— Ale powiedziałeś, że Jimmy nie miał broni — rzekł Jeb.

— Nie miał. Byłem przy tym, kiedy odkładał rewolwer do szuflady w kuchni — powiedział szybko Roscoe. — Kłamali.

Jasne oczy Jeba były zimne jak lód. — Gdzie oni teraz są?

— Ludzie Pinkertona wyjechali z miasta — odparł Roscoe. — Został tylko Clint.

Jeb kiwnął głową. Odwrócił się i spojrzął na pastora Dana stojącego na drodze obok wozu. — Chodź ze mną do domu powiedzieć to żonie. Kiedy będziesz podtrzymywał ją na duchu, Roscoe i ja przygotujemy groby.

Pastor Dan spojrzął mu w oczy. — Nie chcę, żeby przyszedł ci do głowy jakiś szatański pomysł. Było już za dużo zabijania. Pamiętaj. „Zemsta należy do mnie — powiedział Pan”.

Jeb nie odpowiadając, zszedł z wozu. — Przyprowdzę muła i pojedziemy do domu — powiedział, idąc na zachodnie pole. Przystanął na jego skraju, obejrzał się i rzekł: — Zabijcie trumny. Nie chcę, żeby żona widziała Molly Ann tak postrzelaną — głos załamał mu się. — Była taką ładną dziewczyną.

Ostatnia łopata piachu spadła na groby. Jeb wolno podniósł dwa małe drewniane krzyże i wcisnął je w ziemię.

Odszedł do tyłu i przyjrzał się im.

Napisy wypalone na drewnianych krzyżach rozpalonym żelaznym pogrzebaczem były proste. Jeden głosił: Molly Ann Simpson, nasza córka, drugi obok niego: Jimmy Simpson, jej mąż.

Spojrzął na Marylou, stojącą u stóp grobów, otoczoną dziećmi. Jej twarz była pomarszczona i przepięniona bólem. Bezwiednie wyciągnęła ramiona, widocznie chcąc przyciągnąć do siebie dzieci. Podniosła oczy i napotkała jego wzrok. — Przyszykuję panu Craigowi i pastorowi coś na lunch, zanim ruszą z powrotem.

Jeb skinął głową.

— Chodźcie, dzieci — powiedziała. Dzieci poszły za nią. Przez całe nabożeństwo były bardzo spokojne. Jeb zastanawiał się, czy naprawdę rozumiały, co się stało. Teraz wszystkie rozgadały się niemal równocześnie.

Tylko jedno pytanie nie dawało Jebowi spokoju. Zadane przez Alice, najmłodszą dziewczynkę, która skończyła właśnie osiem lat. — Czy to znaczy, że Molly Ann jest teraz w niebie i już więcej nie będzie mogła nas odwiedzać? Richard, z wyżyn swych jedenastu lat, odpowiedział: — Kiedy ktoś umiera, to nigdy nie wraca, chyba że jest duchem.

— A ona będzie dobrym duchem czy złym duchem? — chciała wiedzieć Alice.

Rachel, teraz najstarsza córka, odparła zniecierpliwiona: — Nie ma takiego czegoś jak duchy. Poza tym Molly Ann jest teraz w niebie aniołem przy boku Boga. A on nie ma zamiaru puścić jej tu z powrotem.

Kiedy Marylou z dziećmi zeszła już ze wzgórza poza zasięg głosu, Jeb obrócił się do obu mężczyzn. — Myślę, że trochę bimbrowo dobrze by nam zrobiło.

Pastor Dan kiwnął głową. — Nie może zaszkodzić. Jestem wyschnięty na wiór.

— Chodźcie za mną do destylarni — rzekł Jeb. — Poprowadzę was.

Po lunchu Jeb i Roscoe wyszli przed dom, a pastor Dan pozostał w kuchni, by porozmawiać z Marylou. Mężczyźni usiedli na schodach i zapalili małe, czarne cygara. — Nie rozumiem — powiedział Jeb.

Roscoe opuścił wzrok na ziemię. — Tylko w ten sposób mogli złamać strajk. Teraz, kiedy go nie ma, nie ma nikogo. Już niektórzy z nich wracają do fabryki.

— O tym nic nie wiem — rzekł Jeb. — Ale Richfieldowie zawsze byli naszymi dobrymi przyjaciółmi. Jak Clint mógł zrobić coś takiego?

— Jego tata jest majstrem w przędzalni. Cała rodzina pracowała w czasie strajku.

— To jeszcze nie powód, żeby zabijać — powiedział Jeb. — Nigdy nie zrobiliśmy im nic złego.

Roscoe zerknął na Jeba. Góral nie miał pojęcia o sporach robotników z właścicielami fabryk. Jeb tłumaczył sobie wszystko na zrozumiąły dla siebie język. Ale wendety to jedna rzecz — wychował się na nich; strajk był czymś innym. On nigdy tego nie zrozumie. Z drugiej strony, nie mógł za to winić Jeba. On sam nie rozumiał, dopóki jego ojciec i najstarszy syn nie zostali zabici. Z początku też prowadził bardzo osobistą wojnę, ale potem zrozumiał, czym to było naprawdę. Teraz było dla niego jasne, że to moc i pieniądze zasilane pracą ludzi dla stworzenia jeszcze większej potęgi i pieniędzy samych dla siebie.

— Wiem, co czujesz, Jeb — powiedział niezręcznie. — Ja straciłem ojca i najstarszego syna.

Jeb spojrzął na niego. — I co zrobiłeś?

— Wiesz, co zrobiłem — odparł Roscoe. — Walczyłem z nimi. Ale teraz nie wiem.

— Czego nie wiesz?

— Rozmawialiśmy z moją kobietą — rzekł Roscoe. — Nie widzimy tu teraz żadnej szansy. Może wyjedziemy do Detroit. Słyszeliśmy, że przedsiębiorstwa samochodowe zatrudniają ludzi.

Jeb milczał. Po chwili odezwał się. — Nie wiem, jak moglibyście dobrze się tam czuć. Jesteście farmerami, nie mieszczuchami.

— A co innego nam pozostaje? — spytał Roscoe. — To wybór między pracą i głodowaniem. Żona dostała listy od rodziny. Dobrze tam zarabiają. Trzy dolary dziennie, czasem więcej.

Zamilkli na dłużej. W końcu Jeb stwierdził: — Pojadę do miasta. Roscoe spojrzął na niego. Twarz Jeba była beznamiętna. — Kiedy? — powiedział.

— Jutro rano. — Jeb spojrzął na Roscoe. — Czy mogę na ciebie liczyć?

Roscoe milczał przez chwilę, potem wólno skinął głową. — Wiesz, że tak.

Słyszała, jak się wierci w nocy. Potem poczuła, jak wysuwa się z łóżka, i bezszelestnie wychodzi z pokoju. Leżała do chwili, kiedy nie mogła już dłużej wytrzymać. Wstała z łóżka i weszła do kuchni. Była pusta.

Otworzyła drzwi i wyjrzała na podwórze. Tam też go nie było. Wyszła w zimną noc i spojrzała na małe wzgórze w stronę cmentarza. Stał w bladym świetle księżycy, spoglądając na groby. Przeniknął ją nocny ziąb.

Szybko wróciła do domu i owinęła się ciepłym szalem, potem poszła do niego na wzgórze. Usłyszała jej kroki, ale nie podniósł wzroku. Małe drewniane krzyże srebrzyły się nocną rosą. Dopiero po chwili odezwał się: — Clint Richfield nie miał żadnego powodu, żeby ją zastrzelić. Była tylko dziewczyną i nie brała udziału w ich walce.

— Nie powinienes się tym zamartwiać — powiedziała. — Ja staram się tego nie robić.

— Richfieldowie i my byliśmy zawsze przyjaciółmi. Nic z tego nie rozumiem.

— Bóg tak zrząda — rzekła. — Pamiętajmy o tym, czym nas obdarował. Mamy pozostałe dzieci, a Daniel jest naszą dumą. Powinniśmy być za to wdzięczni.

Odwrócił się do niej. — Gadasz jak pastor Dan.

Spojrzała mu w twarz. — On jest mądry. Mówi, patrz w przyszłość, nie oglądaj się za siebie.

— Łatwo mu mówić — powiedział Jeb matowym głosem. — To nie jego córka leży w grobie. — I nagle ruszył w dół wzgórza do domu.

Patrzyła za nim, jak schodzi z góry, potem obróciła się, by przez chwilę spojrzeć na grób, zanim podążyła za mężem.

Kiedy weszła do kuchni, siedział przy stole z czarno lśniącym winchesterem w rękach i wsuwał naboje do magazynka. Przeszył ją zimny dreszcz strachu. — Nie — powiedziała. — Nie rób tego.

Spojrzał na nią zimnym wzrokiem kogoś zupełnie obcego. Nie odpowiedział.

— Dostyc zabijania. To jej nie wróci.

— Nie rozumiesz — powiedział. — To sprawa honoru. Jakby to wyglądało, gdyby Clint wyszedł z tego cało.

— Nie obchodzi mnie, jakby to wyglądało! — wściekła się. — Niczego nie udowodnisz, zaczynając wendetę przeciw Richfiel-dom. Zaraz tu przyjdą po nas, potem my będziemy ich ścigać, i w końcu nikt z nas nie wyjdzie z tego żywy.

— To nie ja zacząłem, nie zabiłem żadnego z nich — powiedział uparcie.

— To nie ma żadnego znaczenia, kto zaczął. Tylko, żebyś tego nie ciągnął. Mamy pozostałe dzieci, o których musimy myśleć. Nie chcę, żeby dorastały bez ojca.

— Nikt mnie nie zabije — powiedział.

<— Jak możesz być tego pewny? — rozpląkała się.

Przez chwilę nie odpowiadał. Potem wstał. — Lepiej, żebym nie żył i leżał tam na górze w grobie obok mojej córki, niżby wszyscy uważali mnie za tchórza.

Podeszła do niego i mocno przytuliła; rękami szarpała jego koszulę. — Możemy mieć jeszcze jedno dziecko, Jebie — szepnęła.

— Drugą Molly Ann.

Zaczerpnął głęboko powietrze, powoli oderwał jej ręce od siebie i ułożył je wzdłuż jej ciała. — Nie, Marylou. To nie jest żadne rozwiązanie i ty o tym wiesz.

Poprzez mgłę łez widziała, jak idzie do drzwi. Zatrzymał się i jeszcze raz spojrzął na nią. — Będę jutro przed zmrokiem.

Z trudem wydobyła z siebie głos. — Lepiej nałóż coś ciepłego

— powiedziała. — Noc jest zimna.

Kiwnął głową. — Wezmę wełniany płaszcz.

I już go nie było, a ona osunęła się bezwładnie w fotel. Po chwili usłyszała, jak cmoka na muła, a potem skrzypienie wozu, gdy wyjeżdżał z podwórza na ciemną nocną drogę.

17

Szeryf Jason Carter z wściekłością miotał się po biurze na tyłach sądu. Poprzez otwarte drzwi w głębi pokoju słyszał, jak jego zastępca serwuje kawę gościom cel małego aresztu. Tego ranka tylko cztery cele były zajęte. Normalny rezultat nocnych pijatyk i bójek. Nic specjalnego. Po raz pierwszy od ponad roku miasteczko było spokojne. Nie było demonstracji strajkujących. Niektórzy powrócili już do pracy. Nie było powodu, żeby czuł się tak, jak się czuł. A jednak miał poczucie zagrożenia, czyniące go nerwowym i kapryśnym.

Zastępca wrócił z aresztu. — Wszyscy nakarmieni, Jase rzekł. — Co chcesz z nimi zrobić?

Carter spojrział na niego chłodno. —Mają przy sobie jakieś pieniądze? Zastępca wzruszył ramionami.

— Jeśli mają, zabierz każdemu z nich po dolarze grzywny i wyrzuć ich — powiedział szeryf.

— A jeśli nie mają? — spytał zastępca.

— Tak czy owak, wyrzuć ich. Nie ma powodu, żebyśmy kupowali im lunch.

Kiedy zastępca wyszedł z biura, szeryf obrócił się w stronę sekretarzyka i wyjął z niego plik papierów. Przeklinając łagodnie w duchu, wrócił do biurka i usiadł, rozkładając dokumenty przed sobą. Podniósł ołówek i zaczął pracowicie gryzmolić na kartkach. To była najgorsza część pracy. Zbyt wiele formularzy do wypełnienia. Ten cholernie wścibski rząd stanowy. Co ich to w ogóle obchodzi, co się działo w jego powiecie?

Zajęty pisaniem, podskoczył niemal pod sufit, kiedy drzwi od ulicy otwały się z łomotem i do środka wpadł blady Clint Richfield. — Chyba Jeb Huggins jest w mieście.

Szeryf wybuchnął długo tłumionym gniewem. — Szlag by cię trafił, Clint — wrzasnął. — Czemu nie zniknąłeś z miasta, tak jak ci powiedziałem?

— Nie widziałem powodu, żeby uciekać — odparł Clint. — Przecież wykonywałem tylko swoje obowiązki, zgodnie ze złożoną przysięgą.

— Twoje wynikające z przysięgi obowiązki nie obejmowały zabijania dziewczyny — powiedział sarkastycznie szeryf.

— Mówiłem ci, że widziałem, jak sięga po broń — rzekł Clint. Szeryf przyjrzał mu się. — Umarli nie sięgają po broń.

— Skąd miałem wiedzieć, że nie żyje?

— Chryste! — wybuchnął szeryf. Spojrział na swoje biurko. Clint już tak nauczył się tej historyjki, że sam w nią uwierzył. Zepchnął papiery na biurku z powrotem na kupę i podniósł wzrok. — Skąd wiesz, że Jeb jest w mieście? — uniósł się ociężale. — Widział go ktoś?

— Mój młodszy brat, kiedy szedł dziś rano do szkoły, widział obcego muła i wóz przed domem Craiga. Zawrócił, żeby mi o tym powiedzieć.

— To mógł być ktoś inny — stwierdził szeryf. Przeczucie

mówiło mu jednak co innego. Głęboko zaczerpnął tchu, sięgnął po pas z rewolwerami wiszący za nim na kołku na ścianie i zapiął go na biodrach. Wyciągnął swego wielkiego Ingersolla i przyjrzał mu się.

— Pociąg o ósmej piętnaście będzie tu mniej więcej za pół godziny. Zapakuję cię do niego.

Clint wlepił w niego wzrok. — Muszę iść do domu i zabrać rzeczy.

— Przyślemy ci. Mam dosyć zmartwień i bez dalszego rozlewu krwi.

Z aresztu wrócił zastępca. — Poszli — powiedział, kładąc trzy pomięte banknoty dolarowe na biurko. — Zapłacili wszyscy poza Tutem. Nie miał pieniędzy.

— Tut nigdy nie ma pieniędzy — rzekł szeryf, podnosząc banknoty i wkładając je do kieszeni. — Cele czyste?

Zastępca kiwnął głową. — Kazałem im pozamiatać i umyć je, zanim ich puściłem.

— Dobrze — szeryf skinął głową. — Teraz obejmujesz tu komendę. Clint i ja wychodzimy na trochę.

— Nie zabierzesz któregoś z zastępców? — nerwowo zapytał Clint.

Szeryf potrząsnął głową. — Nie chcę zwracać uwagi. Znam Jeba Hugginsa, razem się wychowywaliśmy. Nawet armia nie utrzymałaby go z dala od twojej dupy. Najlepiej będzie, jeśli zwiejemy grzecznie i cicho tylnymi uliczkami, i dotrzemy na stację z drugiej strony miasta.

Pot ciekł po policzkach Clinta. — A co będzie, jeśli nas znajdzie?

— Wtedy lepiej zacznij się modlić — głos szeryfa brzmiał ponuro — żebym potrafił go uspokoić. Przez ostatnie dwadzieścia lat Jeb wygrywał wszystkie konkursy strzeleckie w okolicy. — Przerwał na chwilę i, widząc przestrach Clinta, dodał: — Ale nie martw się, nie znajdzie nas.

Clint kiwnął głową, ale jego jabłko Adama pracowało zawzięcie. Szeryf sięgnął po kapelusz. — W porządku, chodźmy. Chnt ruszył do drzwi. Szeryf zatrzymał go. — Nie tędy. Wyjdziemy drzwiami więzienia z tyłu budynku.

Wyszli na tyłach wieży sygnalizacyjnej po drugiej stronie stacji. Z daleka usłyszeli pi^łumiony gwizd lokomotywy.

— Poczekaj tu — powiedział szeryf — aż pójde na stację i rozejrzę się. Nie wychodź, dopóki nie dam ci znać.

— Dobrze, Jase.

— Ukryj się — przestrzegł szeryf. — Nie chcę, żeby ktoś się na ciebie natknął.

— Schowam się — powiedział Chnt, wycofując się w cień budki sygnalizacyjnej.

Szeryf spojrział na niego, potem przeszedł tory i skierował się na stację. Z tego, co widział, na stacji nie było nikogo poza normalną grupką podróżnych. Pokey, zawiadowca, stwarzał wrażenie człowieka zajętego ważnymi sprawami, mimo że nie miał nic do roboty. Kilku starszych mężczyzn i bagażowy George czekali na pociąg.

Pokey pierwszy zauważył go, gdy wszedł na drewniany peron przed budynkiem stacji. — Się masz, szeryfie — zawołał swoim śpiewnym kolejarskim głosem. — Co cię tu rano sprowadza? Opuszczasz miasto? — wybuchnął śmiechem, rozbawiony własnym dowcipem.

Szeryf nie roześmiał się. — Niezupełnie.

Z drzwi stacji za jego plecami jakiś głos zapytał: — To właściwie co cię tu sprowadza, Jase?

Szeryf obrócił się. W drzwiach, z winchesterem .30-30, spoczywającym lekko na ugiętym przedramieniu, stał Jeb.

— Cześć, Jebie — powiedział.

— Nie odpowiedziałeś na moje pytanie, Jase — rzekł Jeb zimnym głosem.

Szeryf ostrożnie zmierzył go wzrokiem. — Po prostu kręciłem się dzisiaj tu i tam. Teraz trafiłem tutaj.

— I w czasie tego kręcenia nie zdarzyło ci się spotkać Clinta Richfielda, prawda?

— Och, przestań, Jeb. Nie chcesz chyba do tego wracać? Ten strajk nie miał nic wspólnego z tobą.

— Nie miał też nic wspólnego z Molly Ann — powiedział Jeb. — Mimo to Clint zabił ją.

— To był wypadek — powiedział szeryf. — Myśleli, że Jimmy sięga po broń.

— Jimmy nie miał broni — odparł Roscoe, pojawiając się w drzwiach. — Poza tym każdy widział, że już nie żyje.

— W żaden sposób nie mogli tego wiedzieć — rzekł szeryf, spoglądając na Jeba. — Musisz w to uwierzyć. Nikt nie chciał skrzywdzić twojej Molly Ann. Poza tym na schodach, przy ręce Jimmy'ego, znaleziono rewolwer.

— Położyli go tam potem, kiedy już nie żył — stwierdził Roscoe.

— Jeśli to zrobili, nic o tym nie wiedziałem — rzekł szybko szeryf. — Znasz mnie od czasów, kiedy obaj byliśmy małymi chłopcami, Jeb. Wiesz, że nie przyłożyłbym ręki do czegoś takiego.

Jeb wyszedł na peron, oczami przeszukując okolice stacji. Szeryf obserwował go ostrożnie. Ponownie rozległ się gwizd lokomotywy, tym razem bliżej. Pokey ze swoimi dworcowymi kumplami przyglądali się im w milczeniu. Szeryf modlił się w duchu, żeby Clint pozostał za budką sygnałową i nie próbował niczego głupiego. Ale to była chyba płonna nadzieja, że będzie na tyle sprytny, żeby ukryć się za pociągiem po jego wjechaniu na stację i wsiąść do niego z tamtej strony.

Tym razem gwizd był głośniejszy. Jeb podszedł do skraju peronu, spoglądając wzdłuż torów w miejsce, gdzie pociąg wyłoni się spoza budki sygnalizacyjnej. Zaczął przekładać strzelbę z jednej ręki do drugiej, więc szeryf instynktownie przesunął się w bok. Nie miał zamiaru znaleźć się na linii strzału, a wiedział, że jeśli Jeb podniósł karabin, Clint pomyśli, że został wykryty.

Szeryf miał rację, ale poruszał się zbyt wolno. Pierwszy strzał Clinta trafił go w nogę i szeryf przewrócił się na peron. Zanim jeszcze dotknął desek, Jeb przeskoczył tory i biegł ku barakowi. Roscoe podążył za nim, przeskakując rozciągniętego szeryfa. — Jest za budką sygnalizacyjną — wrzasnął.

Szeryf obrócił się i podniósł się na rękach. — Niech to szlag trafi, Jeb! — ryknął. — Nie rób tego. To tylko zacznie dalszą wojnę. Oni przyjdą po ciebie, potem Daniel... — dalsze słowa utonęły w hałasie wjeżdżającego na stację pociągu, który zasłonił mu widok.

Odwrócił się i ujrzał wpatrujących się w niego zawiadowcę i George'a. Pierwszy ruszył się Murzyn. — Jest pan ranny, szeryfie?

— Sukinsyn trafił mnie w nogę — zawył. — Pewnie, że jestem ranny.

— Niech pan pozwoli, że panu pomogę — powiedział George, podchodząc do niego.

— Pokey może mi pomóc — krzyknął szeryf. — Ty zbieraj swoją czarną dupę, leć do mojego biura i ściągnij wszystkich zastępców, jakich znajdziesz!

George zawahał się przez moment, potem zeskoczył z peronu i zaczął biec ulicą, podczas gdy pociąg hamował. Jak zwykle, dwa worki z pocztą wypadły na peron, ale żaden z pasażerów ani nie wsiadał, ani nie wysiadał. — Pokey, chodź tu i pomóż mi — wrzasnął szeryf do zawiadowcy.

Pokey spojrział na niego, potem na pociąg, potem znów na niego.

— Ale ja muszę odprawić pociąg — powiedział cienkim, piszczącym głosem.

— Pieprz ten pociąg — zaklął szeryf. — Wykrwawię się na śmierć. Z budki sygnałowej dobiegł odgłos strzału. Potem nastąpiła cisza.

— O Jezu — wykrztusił szeryf. Wyciągnął rękę, chwycił się wystającego ze ściany budynku stacji gzymsu i podciągnąwszy się, stanął na równe nogi. Jedną ręką ściągnął pas od spodni i usiłował zacisnąć go na nodze, by powstrzymać krwawienie.

Pociąg znowu ruszył. Powoli odjeżdżał ze stacji. Zza torów dobiegł wrzask: — Szeryfie!

Spojrzał. Stał tam Clint; koszulę miał zbroczoną krwią. — W porządku Clint? — krzyknął, na moment zapominając o swojej ranie.

Clint stał przez chwilę, jakby zastanawiając się nad odpowiedzią. — Zabili mnie, szeryfie — zapłakał i przewrócił się na twarz w poprzek toru.

— O Jezu! Tylko ostrożnie, doktorze — jęknął szeryf, skręcając się na stole w gabinecie doktora Johna.

— Przestań wiercić się jak dziecko — powiedział doktor. — Według ciebie, jak inaczej mam wyjąć ci tę kulę?

— To boli, doktorze — skarżył się szeryf, wpatrując się w kleszcze w ręce lekarza.

— Oczywiście, że boli — powiedział uspokajającym tonem doktor John. — I tak masz szczęście, że kula weszła w mięśnie,

a nie strzaskała ci kości. — Obrócił się do stołu za sobą i podniósł butelkę whisky. — Masz, napij się jeszcze trochę tego. Szeryf pociągnął potężny łyk.

— Teraz uchwyc mocno brzegi stołu — rzekł doktor. Szeryf zrobił, co mu kazano. Doktor zadziałał zbyt szybko, by szeryf mógł zorientować się, co się stało. Nogę przeszył mu ogień rozpalonego do białości żelaza. Wrzasnął bezwiednie.

---Możesz przestać się ciskać — powiedział doktor. — Już po wszystkim. — Podniósł kleszcze, tak że szeryf mógł zobaczyć kulę trzymaną małymi szczypcami. — To wszystko narobił ten mały skurwiel.

Szeryf wyciągnął się na stole; jego przezroczysta twarz była mokra od potu. — Człowieku.... — powiedział.

Doktor odłożył kleszcze. — Teraz cię obandażujemy i za parę dni będziesz jak nowy.

Podniósł rulon bandaża i przystąpił do pracy.

Sam Fitch i ojciec Clinta, Mike Richfield, podeszli do stołu i spojrzeli na szeryfa. Czekali w drugim końcu pokoju, aż doktor skończy. — Zaprzysięgniesz policję, żeby ścigali tych, którzy zabili mego chłopca? — spytał Richfield.

Szeryf podniósł na niego wzrok. — Nie.

Richfield gapił się na niego. — Oni zabili mojego chłopca, szeryfie.

— Clint był skończonym osłem — powiedział beznamiętnie szeryf. — Mówiłem mu, żeby nic nie robił, ale on wiedział lepiej i musiał zacząć strzelać. Żadna na świecie ława przysięgłych nie skarże ich. To był czysty przypadek samoobrony, a na dowód tego mam kulę wyjętą z mojej nogi.

— Ale oni szukali go.

— Nawet nie wiedzieli, że tam jest, zanim nie strzelił. Wszystko co miał zrobić, to wślizgnąć się do pociągu, i nie byłoby żadnego kłopotu.

— Musisz ich ścigać, szeryfie — powiedział Sam Fitch. — To twój obowiązek, tak przysięgałeś.

Szeryf spojrział Fitchowi w oczy. — Moja władza sięga tylko do granic powiatu, Hugginsowie mieszkają dziesięć mil dalej.

— To nie ma znaczenia — powiedział Fitch. — Pozwolisz im ujść cało, to będą mieli nowych bohaterów. Znowu może się zacząć strajk.

— To nie moje zmartwienie — rzekł szeryf. — Zrobiłem już dosyć wbrew własnemu sumieniu. Hugginsowie mają gromadę dzieci. Nie mam zamiaru odpowiadać za dalsze zabójstwa.

— Krew mojego syna woła o zemstę — powiedział Richfield. Szeryf spojrział na niego. — Więc może potrafisz zrozumieć, jak

czuł się Jeb, patrząc na ciało swojej córki—powiedział, podnosząc się na łokciu. — Posłuchajcie mojej rady i dajcie już z tym spokój.

— Więc co zamierzasz zrobić? — spytał Fitch.

— Zawiadomić policję stanową — odparł szeryf. — Niech zrobią coś innego poza odsyłaniem mi formularzy, że je źle wypisałem.

— Wiesz, że nic nie zrobią — powiedział Fitch. Szeryf nie odpowiedział.

— Gotowe — rzekł doktor. — Możesz już opuścić nogi ze stołu. — Pomógł szeryfowi usiąść, a potem wstać. — Jak noga?

— Boli — odrzekł szeryf.

— Będzie boleć przez jakiś czas — zgodził się doktor. — Tylko za bardzo jej nie obciążaj.

— Nie możemy pozwolić, żeby znowu zaczął się strajk — powiedział Fitch.

Szeryf nie odpowiedział. Jeden z jego zastępców, opierający się dotąd o ścianę, podszedł, by mu pomóc. Zączył kuśtykać do drzwi.

— Zmuszasz mnie, bym znowu poszedł do agentów Pinkertona — rzekł Fitch. — Rezygnujesz z dobrej pracy, Jase. Robisz wielki błąd.

Szeryf przystanął w drzwiach. Całym ciężarem oparł się na ramieniu zastępcy. — To nie ja popełniam omyłkę, Sam — powiedział chłodno. — Ty to robisz i będzie to największa pomyłka w twoim życiu.

W milczeniu obserwowali, jak utykając, wychodzi z gabinetu. Usłyszeli, jak klnie, starając się zejść ze schodów.

Sam Fitch odwrócił się do Richfielda. — Mogę ściągnąć tu ludzi Pinkertona południowym pociągiem.

Richfield milczał.

— Jedna kula i z szeryfa zrobił się niedołęga — rzekł Fitch. — Spotkamy się w moim sklepie o pierwszej.

Richfield unikał jego spojrzenia. — Nie idę z panem, panie Fitch. Szeryf ma rację. Już dosyć krwi przelano. Nie ma sensu rozpoczynać kolejnej wojny.

Głos Fitcha rozbrzmiewał pogardą. — Wszyscy jesteście niedołęgi. Ale dam sobie radę bez waszej pomocy. Tylko nie przychodźcie lizać mi dupy, kiedy będzie już po wszystkim, bo nic nie dostaniecie.

Wścikły wypadł z gabinetu. Przez chwilę w pokoju panowała cisza, a potem Richfield zwrócił się do lekarza: — Zajmie się pan moim chłopcem?

Doktor, który był także miejscowym koronerem i przedsiębiorcą pogrzebowym, kiwnął głową. — Wyprawię mu naprawdę dobry pogrzeb.

— Dziękuję, doktorze John — powiedział Richfield.

18

Sara Andrews otworzyła oczy, gdy poczuła, że wstaje z łóżka. Był już jasny dzień i jego nagie ciało połyskiwało białą, kiedy bosy przechodził przez pokój do krzesła, na którym wisiały jego równo złożone spodnie. Kiedy je podnosił, widziała mięśnie poruszające się pod jasną skórą i poczuła w sobie podniecenie. Wstrzymała oddech. Kiedyś nigdy czegoś takiego nie odczuwała. Dopiero od tej pierwszej nocy, trzy miesiące temu, kiedy pojawił się pan Lewis, by organizować górników w związek zawodowy.

Prawie już wtedy spała, gdy usłyszała pukanie. Szybko wstała z łóżka, narzuciła na siebie szlafrok i podeszła do drzwi. — Kto tam? — zapytała, nie otwierając ich.

Zza drzwi dobiegł jego głos, dziwnie przyciszony przez grube deski. — To ja, panno Andrews.

— Ale już jestem w łóżku — powiedziała.

— Przepraszam, panno Andrews. W ogóle nie chciałem pani przeszkadzać. Przyszedłem tylko wyjaśnić, dlaczego się spóźniłem.

Przez chwilę panowała cisza. Potem znowu przez drzwi usłyszała jego głos: — Przyjdę do pani rano.

Nagle zdała sobie sprawę, że następnego dnia jest niedziela. A w niedziele przychodził narąbać drzewa. W niedziele nie było lekcji, więc nie miało znaczenia, że położy się trochę później.

— Chwileczkę — powiedziała szybko. — Już się obudziłam, więc właściwie możesz wejść. Mam jeszcze trochę zrobionej kawy.

Odsunęła zasuwę w drzwiach i otworzyła je. Stał wahając się.

— Ale naprawdę nie przeszkadzam?

— Nie. — Wejdz.

Wszedł do domu i zamknęła za nim drzwi. — Poczekaj tu. Zapalę lampę.

Łagodny blask stojącej na stole lampy zalał pokój. Odwróciła się do niego. — Zastanawiałam się, co się z tobą stało?

— Musiałem iść na zebranie — rzekł.

— Co to było za zebranie?

— Nie wiem, czy mogę powiedzieć — odparł z wahaniem. — Przyrzekłem nie mówić o tym.

— To nie było nic nielegalnego, prawda? — zapytała z nagłym zaniepokojeniem w głosie.

— Nie, proszę pani, to nie było nic takiego.

— Więc nie musisz mi o tym mówić — powiedziała. — Usiądź. Pójdę zagrzać kawę.

Ciągle stał, gdy wróciła do pokoju. Postawiła na stole dzbanek z kawą i filiżanki. — Dlaczego nie usiadłeś? — spytała.

— Właśnie spoglądałem na ten pani zegar — rzekł. — Jest po dziesiątej. Nie zdawałem sobie sprawy, że jest tak późno. Może lepiej już pójdę.

— Nie bądź głupi — powiedziała, nalewając kawę do filiżanki. Wyciągnęła ją ku niemu; przy tym ruchu rozsunał się jej luźny szlafrok. Zobaczyła, że gwałtownie się zaczerwienił, gdy odwracając wzrok, odbierał od niej filiżankę.

Dopiero po chwili dotarło do niej, co się stało. Zerknęła na siebie. Cienka bawełniana koszula nocna, jaką miała na sobie, była niemal przezroczysta. Nagle przebiegła ją fala ciepła, ożyły sutki, stercząc przez przejrzysty materiał.

Poczuła, jak słabną jej nogi; oparła rękę o stół, by się na nim wesprzeć, ale nie zasłoniła się. Kiedy odezwała się, miał ciągle odwrócony wzrok. — Danielu.

Przyglądał się swojej filiżance. — Tak, panno Andrews.

Poczuła, że serce waliło jej jak młotem. — Dlaczego nie patrzysz na mnie?

Przez chwilę nie odpowiadał. — Pani szlafrok... — nie dokończył.

— Chcę, żebyś patrzył — powiedziała głosem, który jej samej wydał się dziwny.

Powoli podniósł wzrok. W jego obcisłych spodniach dostrzegła nagle wybrzuszenie. Filiżanka kawy drżała mu w ręce.

Zbliżyła się do niego, wyjęła mu z ręki filiżankę i odstawiła ją na stole. — Miałeś już kiedyś dziewczynę?

Znowu spuścił oczy. — Nie, proszę pani — wyszeptał.

— Więc co robisz, kiedy się podniecisz? Nie odpowiedział.

— Musisz coś robić. Nie możesz przecież chodzić tak jak teraz. Ciągłe nie patrzył na nią. — Onanizuję się.

— Często?

Potrząsnął głową; rumieniec oblał mu twarz. — Rano i wieczorem. Czasem w południe, kiedy nie mogę wytrzymać.

Poczuła falę wilgoci. — O czym myślisz, kiedy to robisz? Podniósł nagle oczy i spojrzał na nią. — O pani.

— Chcę cię obejrzeć — powiedziała. Nie poruszył się.

Położyła rękę na jego kroczu. Przez materiał wyczuła palcami mocne pulsowanie. Szybko rozpięła mu rozporek. Sztywny, wilgotny fallus, uwolniony z więzienia, wyskoczył sprężyste wprost do jej dłoni. Delikatnie ściągnęła napletek i spojrzała.

Nabiegła krwią żołądz wyglądała tak, jakby za chwilę miała pęknąć. Gdy Sara spoglądała na nią, wstrząsnął nim orgazm i zaczął tryskać rzęsim, białym nasieniem.

— Mój Boże — szepnęła; dłużej nie była w stanie utrzymać się na nogach. Upadła przed nim na kolana; jej własny orgazm pustoszył jej krocze. Jak oszalała, wolną ręką ściągnęła szlafrok, odsłaniając piersi. Nasienie bryzgało na jej ciało.

Pół godziny później leżeli nadzy w łóżku, a on wypełniał szczelnie jej biodra. Uniosła ją fala wspomnień. Nigdyjak nie było. Zawsze w pewien sposób czuła, że od niej brano; teraz wiedziała, że daje. Poczuła, jak znowu porusza się w niej, a zaczynające się drżenie zapowiadało zbliżający się orgazm. Szybko zsunęła rękę w dół pomiędzy nich, obejmując jego wielkie, okrągłe, twarde jak kamienie jądra; drugą ręką przytuliła jego twarz do piersi. — Jeszcze nie, Danielu — szepnęła. — Powoli. Zupełnie powoli.

Wstrzymał się, nieruchomiejąc na długą chwilę. Kiedy znowu zaczął się poruszać, były to długie, miękkie pchnięcia; jakie uwielbiała.

— Właśnie tak— wyszeptała, dostosowując ruchy swego ciała do jego rytmu.

Poczuła jego usta wędrujące po jej piersi. — Proszę mi tylko mówić, co mam robić, panno Andrews — szepnął. — Nauczę się.

Daniel okazał się niezmordowanym kochankiem. Urodzony lubieżnik, silny, skoro już uwolniony, to niepohamowany, wydawał się nigdy nie męczyć. Zdawało się, że nie było dla niego żadnym wysiłkiem mieć cztery czy pięć, a czasem więcej orgazmów w trakcie nocnego kochania się. Niejeden raz bywała zaskoczona jego gotowością. Kiedyś dotknęła go niechcący i stwierdziła, że ma erekcję. Roześmiała się. — Mój Boże, Danielu, czy chodzisz tak cały czas?

Ciągle nie stracił zdolności czerwienienia się. Zarumienił się więc i tym razem, mówiąc z uśmiechem: — Czasami rzeczywiście na to wygląda, prawda, panno Andrews?

Jedynym zwyczajem, jakiego nie mogła go oduczyć, było zwracanie się do niej per panno Andrews. Nawet w czasie najbardziej intymnych chwil, w momentach wspólnego wspaniałego orgazmu, nie mogła skłonić go, by nazywał ją po imieniu. Po pewnym czasie poddała się. Gdzieś w głębi jego myśli zawsze pozostała jego nauczycielką.

Poza sypialnią nigdy nie pozwolił sobie na poufałość. Czytał, przerabiał książki i ćwiczenia, jakie mu zadawała. Jego rosnąca zdolność uczenia się i rozumienia tego, czego go uczyła, zdumiewała ją prawie tak, jak jego możliwości seksualne. Prędkość, z jaką chłonał wiedzę, spowodowała, że zaczęła zastanawiać się, na ile dobrze była przygotowana do nauczania takiego umysłu jak on. Już przerabiali podręczniki z jej młodszego roku w college'u.

Wkrótce dojdzie do kresu jej możliwości.

Ale miesiące, kiedy byli kochankami, zdawały się przemijać jak tyle innych dni, i przestała myśleć o tym, co się stanie z nauką. Zbliżał się koniec maja i niedługo szkoła zostanie zamknięta, a ona pojedzie do domu i, być może, nigdy nie wróci do szkoły. Ani do niego. Na myśli o tym również nie powinna sobie pozwalać.

Zamknęła oczy, kiedy on nałożył spodnie i wyszedł. Parę chwil później usłyszała dźwięczny brzęk siekiery i zapadła w błogi sen.

To nie wpadające przez otwarte okno światło obudziło ją, ale cisza. Przez chwilę leżała nieruchomo, aż zorientowała się, że nie słyszy już dźwięku siekiery. Zerknęła na zegar stojący koło łóżka. Było zaledwie parę minut po ósmej. Zazwyczaj kończył pracę o dziesiątej.

Wstała z łóżka i wyjrzała przez okno. Daniel, ciągle z siekierą w rękach, rozmawiał z jakimś nieznajomym. Mężczyzna był zwrócony do niej plecami, więc nie mogła zobaczyć, jak wygląda, ale jego ubranie było porwane i brudne. Kiedy tak się przyglądała, Daniel odłożył siekiere i ruszył do domu. Mężczyzna podążył za nim. Szybko chwyciła szlafrok, potem przeszła do drugiego pokoju, by ich przywitać.

Drzwi otwarły się akurat, gdy tam weszła. Najpierw pojawił się Daniel, a tuż za nim nieznajomy. Daniel spoglądał na nią przez chwilę. Miał dziwnie nieruchome spojrzenie i szaroblada twarz. Prawie tak, jakby jej nie widział.

— Danielu — powiedziała, zdając sobie nagle sprawę, że stało się coś straszego.

Szybko zamrugał oczami kilka razy. — Panno Andrews. — Je, go głos brzmiał matowo. — Panno Andrews, to jest mój przyjaciel, Roscoe Craig.

Spojrzała na tamtego. Był prawie tak wysoki jak Daniel, ale znacznie szczuplejszy. Dwu-, trzydniowa szczecina pokrywała mu twarz, pod oczami miał ciemne wory. Koszula i spodnie były porwane i zakurzone, a buty pokryte błotem. Zdjął lepiaący się od potu kapelusz, jaki noszą ludzie z gór, odsłaniając rzadkie, ciemne włosy na łysiejącej głowie. — Dzień dobry pani — powiedział.

— Dzień dobry, panie Craig — odpowiedziała i ponownie odwróciła się do Daniela. — Danielu, czy stało się coś złego?

Nie odpowiedział na jej pytanie. — Pan Craig był w podróży przez trzy dni i dwie noce. Czy moglibyśmy przygotować mu coś do jedzenia.

— Oczywiście — odparła szybko. — Ja się tym zajmę.

— Dziękuję, panno Andrews — powiedział ciągle tym samym, bezbarwnym głosem. A potem nagle wypadł przez otwarte drzwi.

— Danielu! — krzyknęła, ruszając za nim. Powstrzymało ją wyciągnięte ramię przybysza. — Proszę go zostawić samego — powiedział łagodnie. — On wróci.

Wpatrywała się w niego zdezorientowana. — Co się stało?

— Jego cała rodzina nie żyje, proszę pani — rzekł Roscoe spokojnym głosem. — Zostali zamordowani.

Było już wtedy po północy, kiedy Roscoe, śpiący w stodole, posłyszał jakieś głosy. Powoli podniósł głowę i zaczął nasłuchiwać. Usłyszał ochryple głosy mężczyzn, bardziej przyzwyczajonych do krzyku niż do rozmowy. Wciągnął buty i podniósł się. Bezwiednie sięgnął do pasa po rewolwer. Zaklął w duchu, kiedy zdał sobie sprawę, że zostawił go w domu Hugginsów, na stole w kuchni.

Głosy zbliżały się teraz. Wściekły rozejrzał się za kryjówką. Jedyne, co znalazł, to sterta siana za stojącym w boksie mułem. Szybko wślizgnął się pod nią. Zaniepokojony muł zaczął trącać siano nosem.

— Cholerny muł — zaklął, wkopując się jeszcze głębiej w siano. Kroki dotarły już do stodoły. Wyjrzał i zobaczył buty kilku mężczyzn. Wstrzymał oddech.

Mężczyźni stali tam przez chwilę; potem para butów zbliżyła się do niego. Zmartwiało. Człowiek zatrzymał się blisko muła i wrócił do swoich. Roscoe usłyszał chrapliwy szept. — Poza mułem nie ma tam nic.

— Idź, powiedz Fitchowi — powiedział inny głos. — My pójdziemy na to małe wzgórze z tyłu domu, tak jak mówił. Mężczyźni wyszli ze stodoły. Roscoe wolno wypuścił powietrze i wypełził spod siana. Czołgał się po brudnej podłodze, aż dotarł do miejsca, z którego mógł wyrzeć na zewnątrz.

Stało tam dwóch ludzi Pinkertona w swoich sztywnych melonikach mocno nasadzonych na głowy. Każdy z nich trzymał w ręce karabin. Roscoe zerknął poza nich ku domowi.

Tam było więcej ludzi; naliczył przynajmniej dziewięciu, a pewnie jeszcze więcej było ich po drugiej stronie domu. Kiedy ich obserwował, mężczyźni zdawali się zajmować pozycje. Po pewnym czasie jeden z nich dał znak, podnosząc rękę.

Sam Fitch wynurzył się z cienia, poruszając się cicho pomimo swej olbrzymiej wagi. — Wszyscy na stanowiskach? — Jego ochryply szept dotarł z powrotem do stodoły.

Jeden z ludzi Pinkertona, ten, który dał znak ręką, kiwnął głową.

— Zanieście pochodnie blisko schodów na werandę i zapalcie je — rzekł Fitch.

Dwóch ludzi w milczeniu podbiegło do domu i wetknęło drewniane pochodnie w ziemię koło schodów. Wtedy przytknął zapalną do nasyconych naftą szmat i cofnął się, gdy buchnęły jasnożółtym ogniem.

Sam Fitch zwrócił się w stronę domu. — Jeb! — krzyknął. — Ty i Roscoe macie dokładnie jedną minutę, żeby wyjść z domu z podniesionymi rękami, albo przyjdziemy po was.

Przez chwilę panowała cisza. Potem drzwi uchyliły się.

— Roscoe nie ma tu — odwrzasnął Jeb. — Ja wyjdę, ale nie chcę tu żadnego strzelania. W domu jest moja żona i dzieci.

— Wyjdź tylko wolno z podniesionymi rękami, to nie będziemy strzelać — powiedział Fitch.

Powoli drzwi otworzyły się, odsłaniając Jeba, stojącego tylko w spodniach; jego blade ciało lśniło w migającym żółtym świetle pochodni. Ręce trzymał nad głową. Zamrugał oczami, chcąc dojrzeć coś poprzez światło stojących przed nim pochodni. Powoli wyszedł na werandę i zaczął schodzić ze schodów.

Roscoe ujrzał, jak Sam Fitch opuszcza rękę, dając znak. — Teraz.

— Wracaj, Jeb! — zaczął wrzeszczeć. Ale jego głos utonął w huku karabinowego ognia.

Kule obróciły Jeba wkoło i spadł z najwyższego stopnia w bok na jedną z pochodni, przewracając ją na ziemię pod drewnianą werandę. Chwilę później suche drewno buchnęło płomieniami, a ogień zaczął lizać ściany domu.

Przez otwarte drzwi wdarł się do domu i stał się ścianą dymiących płomieni.

Muł wystraszony zapachem dymu, wyrwał się ze swego boksu i wypadł na podwórze, wpadł w środek ludzi

Pinkertona, którzy rozsypali się przed nim w popłochu. Potem pogalopował jak szalony drogą.

Agenci Pinkertona zbili się z powrotem w kupę. — Musimy próbować ich wyciągnąć! — powiedział jeden z nich.

- Nie bądź skończonym głupcem — odparł inny. — W tym domu nie ma już nikogo żywego!

— Więc co zrobimy? — spytał pierwszy.

— Zmyjemy się stąd — rzekł ten drugi. — Nie chcę być w tej okolicy, kiedy ludzie dowiedzą się, co się stało, Podszedł do Sama Fitcha, którego ogień zdał się sparaliżować. — Panie Fitch.

— Tak — powiedział głucho Fitch. Nie odrywał oczu od ognia.

— Myślę, że lepiej by było, żebyśmy już poszli — rzekł agent. Fitch obrócił się do niego. — To był wypadek. Widzieliście. To był wypadek.

— Nikt w to nie uwierzy, kiedy znajdą ciało człowieka naszpikowanego kulami — powiedział agent.

Nagle Fitch odzyskał siły. — Załatwimy to. Chodźcie mi pomóc. Wrzucimy jego ciało w ogień. Ludzie Pinkertona nie poruszyli się.

Fitch spojrzał na nich. — Wszyscy jesteście winni tak samo jak ja. Chcecie zostawić tu dowód, żeby was powiesili? W ciszy kilku mężczyzn poszło z nim. Podnieśli ciało Jeba za ręce i nogi, i wrzucili je do środka płonącego budynku. Fitch jeszcze przez chwilę obserwował ten widok, potem odwrócił się, mówiąc: — Teraz chodźmy stąd.

Kilka minut później odjechali, a Roscoe z trudem podniósł się na nogi. Podszedł do wciąż palących się ruin, które były kiedyś domem Hugginsów. Po chwili upadł na kolana, po policzkach popłynęły mu łzy i zaczął się modlić. — O Boże — łkał. — Dlaczego musiałeś pozwolić, by to się stało tym wszystkim wspaniałym dzieciom.

19

— Kiedy wzeszło słońce, zszedłem do doliny, do Callendarów — mówił Roscoe. — Stary Callendar i jego chłopak zawieźli mnie swym wozem z powrotem w góry i wyprawiliśmy im chrześcijański pogrzeb. Callendar miał z sobą biblię, przeczytał z niej, i to wszystko.

Twarz Daniela była niewzruszona. — Jestem wam za to wdzięczny. Sara spojrzała na niego. Minęło prawie pięć godzin, zanim wrócił. Wydawało się, że w tym czasie postarzał się o dziesięć lat.

Bruzdy, jakie pojawiły się na jego twarzy, w jednej chwili usunęły młodość. W to miejsce pojawił się dojrzały mężczyzna. Poza tym jeszcze coś. Coś dziwnego i nieprzejechanego. Stał się mocny i już odległy, jakby jakaś jego część zniknęła, by nigdy nie powrócić.

— Zrobiłem wszystko, co mogłem — powiedział Roscoe. — Zabrało mi dobre trzy dni, by tu dotrzeć. W dzień trzymałem się z dala od drogi i obszedłem Fitchville szerokim łukiem. Nie bardzo mi się podobało pozwolić Samowi Fitchowi, żeby mnie złapał.

— Co zamierza pan teraz robić, panie Craig? — spytał Daniel.

— Moja żona i ja rozmawialiśmy o Detroit. Tam jest praca. Pewnie tam się udam. Mam krewnych, którzy mnie przyjmą. A jak tylko dostanę pracę, ściągnę rodzinę.

Daniel milczał.

— Nie wiem, co innego mógłbym zrobić dla rodziny — rzekł Roscoe. — Wszystko przypadło, odkąd sądy orzekły przeciwko nam i oddały naszą ziemię przędzalni.

— Nie winię pana, panie Craig — powiedział Daniel. — Zrobił pan wszystko, co w pańskiej mocy. Pomyślałem tylko, że to strasznie daleko.

— Dojdę tam — rzekł Roscoe.

— Ma pan jakieś pieniądze? — zapytał Daniel.

— Dosyć — powiedział Roscoe. — Dam sobie radę.

— Ile? — Daniel był uparty.

Roscoe nie patrzył na niego. — Jakiś dolar sześćdziesiąt.

— To za mało — powiedział Daniel. — Mam dwadzieścia dolarów, których nie będę potrzebował. Zamierzałem posłać je swoim rodzicom. Myślę, że tata byłby bardzo zadowolony, gdyby pan pozwolił mi je sobie pożyczyć.

— Nie mógłbym tego zrobić — rzekł szybko Roscoe.

Sara ciągle milczała. Duma ludzi z gór pozostawała czasem poza granicami jej zdolności rozumienia. Nie przyjęliby niczego, co mogłoby wyglądać na jałmużnę.

— Może mi pan oddać, kiedy dostanie pan pracę — powiedział Daniel.

Roscoe zastanowił się przez chwilę, potem skinął głową. — Skoro tak, Danielu, to właściwie nie widzę, czemu miałbym odmówić.

- Kiedy zamierza pan wyruszyć, panie Craig? — zapytała w pewnej chwili Sara.

Spojrzał na nią. — Chciałbym być już w drodze przed zmrokiem, proszę pani — odparł.

— Więc niech pan pozwoli, że przygotuję panu gorącą kąpiel — powiedziała szybko. — Potem odpocznie pan trochę, a kiedy pan będzie spał, wyszczotkuję i wyczyszczę pańskie ubranie.

— To bardzo uprzejmie z pani strony — odparł Roscoe. Śledził ją oczami, gdy wychodziła z pokoju. Odwrócił się z powrotem do Daniela. — To naprawdę świetna kobieta. Nikt by nie pomyślał, że to nauczycielka. Jest zupełnie jak inni ludzie.

Daniel skinął głową. Jego myśli błądziły gdzie indziej. Opanował się i wrócił do rzeczywistości. — O północy z kopalni wyjeżdża pociąg z węglem — powiedział. — Jedzie do Detroit, a maszynista to mój przyjaciel. Może pozwoli panu dojechać tam w wagonie kierownika pociągu,

— To by mi bardzo pomogło — rzekł Roscoe.

— Pójdziemy tam około jedenastej, kiedy zajeżdża pociąg — powiedział Daniel.

Roscoe spojrzał na niego. — A ty, Danielu, co ty zamierzasz robić?

Daniel spokojnie wytrzymał jego spojrzenie. — Nie wiem, panie Craig — powiedział powoli. — Najpierw pójdę do domu, na groby, pożegnać ich. Potem... po prostu nie wiem.

Ale Roscoe, spoglądając w oczy chłopca, wiedział lepiej. To były takie same oczy, jakie Jeb miał zaledwie parę dni temu.

Resztę popołudnia Daniel spędził przy stercie drewna; siekiera dźwięczała rytmicznie, gdy podnosił ją i opuszczał na dół. Po pewnym czasie zaczął układać narąbane drewno w sągi pod ścianą budynku szkoły. Kiedy skończył, niemal cały bok budynku był zasłonięty. Robiło się ciemno, kiedy wszedł do domu.

— Jesteś głodny? — spytała. Potrząsnął głową.

— Musisz coś zjeść — powiedziała. — Nie jadłeś kolacji.

— Nie jestem głodny — odparł. Nagle dostrzegł wyraz jej twarzy. — Przepraszam, panno Andrews, nie chcę, by się pani denerwowała.

— Już dobrze. — Napijesz się ze mną kawy?

Kiwnął głową. Wróciła do pokoju z kawą. Wsypał trzy łyżeczki cukru do swojej filiżanki i wolno zamieszał. —

Ciągle śpi — powiedziała.

Upił trochę kawy. — Żeby tu dotrzeć, przeszedł ponad siedemdziesiąt mil.

— Długo go znasz? — spytała.

— Odkąd byłem małym chłopcem. On i mój tata znali się bardzo dobrze od dziecka, ale nie widywaliśmy się za często. Mieli farmę nad rzeką nie opodal Fitchville, a my mieszkaliśmy w górach. Zanim pojawiły się fabryki, chyba wszyscy tutaj znali się. Potem zmieniło się. Gospodarzenie szło kiepsko i fabryki zaczęły przejmować ziemię, a ludzie wyjeżdżać. Tak jak on to zamierza.

— Co się stało z jego farmą? — spytała.

— Wyrzucili go z niej, a na jego ziemi pobudowali przędzalnię. Do jego ojca należało siedem akrów nad rzeką i wszczęli o nie spór. Fabryka i on.

— I co się wtedy stało?

Spojrzał na nią chłodnym wzrokiem. — Zabili jego ojca i najstarszego syna, a sądy zabrały im ziemię. Teraz nie ma dokąd pójść. Chyba, że do Detroit.

— Masz szczęście — powiedziała. — Ty masz dokąd pójść.

— Mam?

— Tak. Masz tutaj dobrą pracę. I przyszłość. Możesz ją sobie ułożyć.

Jego twarz nic nie wyrażała. — Dobrą pracę? Za czterdzieści miesięcznie? Czy to jest dobra praca?

— Niektórzy nie zarabiają tyle — powiedziała.

— To prawda — odparł. — Wszystko sprowadza się do tego, jaki głód ktoś jest w stanie wytrzymać. Górnik, farmer i robotnik jadą na tym samym wózku. Jedyne, co mogą wybierać, to jak bardzo chcą być głodni.

Milczała, więc on spoglądając na nią, ciągnął: — Naprawdę tego nie rozumiem, panno Andrews. Widziałem, jak tyrał mój ojciec, bo pan Fitch nie zapłacił mu tyle, ile trzeba za dzban whisky. Widziałem w szybach górników harujących za półtora dolara dziennie. Słyszałem historie o dziewczynach, którym maszyny urywały ramiona, pracujących za dziesięć centów na godzinę, i chłopców sortujących węgiel, którym za tę samą stawkę miażdżyło ręce. Nie mogę pojąć, dlaczego ludzie, którzy decydują o tych sprawach, nie mogą po prostu dać im trochę więcej, żeby ci, pracując, dla nich, mogli z tego wyżyć.

To była najdłuższa mowa, jaką słyszała z jego ust. Po raz pierwszy też pozwolił jej zajrzeć w swoje myśli. Nie mogła mu odpowiedzieć. Pierwszy raz odczuła, że nie potrafi być przydatna.

— Zawsze tak było — powiedziała.

— Nie musi tak być — rzekł łagodnie. — I kiedyś nie będzie. Milczała.

— Dużo rozmyślałem — powiedział. — Musiała być jakaś przyczyna, powód tego wszystkiego. Tego, co stało się moim bliskim. Jimmy to rozumiał. Ja nie. Są tylko dwa rodzaje ludzi na świecie: ci, którzy mają, i ci, którzy na to pracują. Teraz wiem, do którego rodzaju należę.

Spojrzała na niego. — Danielu, czy w ogóle myślałeś o tym, żeby dalej się uczyć? Iść do college'u, wykształcić się?

— Kiedy zdałem sobie sprawę, jak mało umiem, myślałem o tym. Ale na to potrzeba pieniędzy.

— Może nie tak wiele, jak ci się zdaje — rzekła szybko. — Mam przyjaciół na uniwersytecie. Jestem pewna, że mógłbyś dostać przynajmniej częściowe stypendium.

— Mimo to potrzeba pieniędzy — powtórzył.

— Może mógłbyś sprzedać farmę ojca? — podsunęła.

— Nikt jej nie kupi — odparł spokojnie. — Ziemia jest wyjałowiona, bezwartościowa. Ojciec tylko dlatego był w stanie tam wyżyć, że Molly Ann i ja poszliśmy do pracy i przysyłałiśmy pieniądze do domu. Gdybyśmy tego nie zrobili, wszyscy głodowalibyśmy.

Wyciągnęła rękę nad stołem i dotknęła jego dłoni. — Danielu — powiedziała łagodnie. — Wiem, co musisz czuć. Jest mi bardzo przykro.

Spojrzał na jej dłoń, potem na nią. — Dziękuję za współczucie, panno Andrews. — Podniósł się. — Pojdę do pensjonatu po pieniądze dla pana Craiga. Wrócę za chwilę.

Roscoe wyszedł z sypialni około ósmej, sennie pocierając oczy; miał na sobie wytarty szlafrok używany przez Daniela, kiedy tu zostawał.

— Już ciemno — powiedział lekko zdziwionym głosem. — Gdzie jest Daniel?

— Poszedł do pensjonatu po parę rzeczy — odparła. — Powinien zaraz wrócić.

Przeszła przez pokój do kuchni i wróciła z jego ubraniem.

— Zrobiłam, co mogłam, panie Craig — rzekła, wręczając mu je.

— Wygląda świetnie — powiedział, dostrzegając starannie wyprasowaną koszulę i spodnie oraz świeżo wyczyszczone buty.

— Przygotuję kolację, kiedy będzie się pan ubierał. I zrobię panu jakieś kanapki na drogę.

— Nie powinna się pani aż tak mną przejmować.

— To żaden kłopot, panie Craig — powiedziała. Ruszyła w stronę kuchni, ale odwróciła się z powrotem do niego. — Panie Craig, co się teraz stanie z Danielem?

Popatrzył na nią z zadumą. — Naprawdę nie wiem — odparł. Jest teraz sam i sam będzie o sobie decydował.

Daniel wrócił, gdy jeszcze przygotowywała kolację. To był Daniel, jakiego przedtem nie widziała. Zniknęły biała koszula, krawat, wyprasowane, kupione w sklepie, spodnie i lśniące czarne buty. Ich miejsce zajął wytarty i wyblakły drelichowy kombinezon, podtrzymywany szelkami, skrzyżowanymi na czystej, ale znoszonej niebieskiej bawełnianej koszuli. Na nogach miał ciężkie buty farmerskie, na głowie wciśnięty szerokoskrzydły, spłowiały czarny kapelusz ludzi z gór. Nagle jakby przestał być chłopcem, a stał się mężczyzną. Zmęczonym, zgorzkniałym, pobitym przez życie. Poczula w sobie ból, bo ostatecznie dotarło do niej to, o czym wiedziała od samego rana: że wyjeżdża.

Kolację zjedli w milczeniu. Potem zebrała naczynia i zniosła je do kuchni, pozostawiając bez umycia w zlewie.

Kiedy weszła do pokoju, Daniel wstał od stołu. — Jest prawie dziesiąta — powiedział. — Będziemy musieli się zbierać.

Przyjrzała mu się przez chwilę. — Przygotowałam parę kanapek — rzekła. Poszła z powrotem do kuchni; wróciła z wielką papierową torbą i podała ją Roscoe.

Farmer przyjął ją z wdzięcznością. — Bardzo uprzejmie pani dziękuję.

Ona jednak nie patrzyła na niego, ale kierowała wzrok na Daniela.

Poczekam ha zewnątrz, Danielu — powiedział Roscoe grzecznie, wykazując zrozumienie, i wyszedł frontowymi drzwiami.

Przez długą chwilę stali w milczeniu, tylko się sobie przyglądając. W końcu głośno wypuściła powietrze. — Jedziesz z nim do Detroit?

Potrząsnął głową. — Jadę do domu. Mogę wysiąść z pociągu przy Turner's Pass. To tylko osiem mil od naszego domu.

— A potem?

— Nie wiem.

— Czy wrócisz? — Poczula ból w sercu. Spojrzał jej w oczy. — Nie, panno Andrews.

Jej oczy zaczęły napełniać się łzami. — Danielu, chociaż teraz, ten jeden raz, proszę, nazwij mnie Sarą.

Zawahał się przez chwilę, potem skinął głową. — Dobrze... Saro.

Padła mu w ramiona, opierając głowę o jego pierś. — Czy kiedykolwiek cię jeszcze zobaczę? — szepnęła.

Obejmował ją delikatnie, ale nie odpowiedział.

Uniosła głowę i spojrzała na niego. — Danielu, czy mnie kochasz? Chociaż trochę?

— Tak — odparł, patrząc jej w oczy. — Nie wiem jak mocno. Po raz pierwszy w ogóle kochałem dziewczynę.

— Nie zapomnij mnie, Danielu — łkała. — Nie zapomnij mnie.

— Jak mogę? — odpowiedział. — Nigdy cię nie zapomnę. Tyle ci zawdzięczam.

Objęła go mocno. A potem, kiedy już go nie było i sama w łóżku usłyszała o północy gwizd pociągu, wcisnęła twarz w poduszkę i ciągle czuła obejmujące ją jego ramiona.

— Kochałam cię, Danielu — płakała, wypowiadając słowa, na których powiedzenie mu nigdy nie mogła się zdobyć.

— O Boże, nigdy nie dowiesz się, jak bardzo cię kochałam.

20

Krótko po ósmej rano lokomotywa, ciągnąca dwadzieścia dwa wagony z węglem, sapiąc, z trudem drapała się na górę ku Turner's Pass. Kiedy Daniel i Roscoe załadowali się do pociągu, było tylko osiem węglarek, ale po drodze były przystanki w jeszcze trzech

kopalniach. Mały wagonik kierownika łagodnie kołysał się na końcu pociągu.

Hamulcowy wystawił głowę przez okno, potem schował się do środka. — Dojeżdżamy do Turner's Pass, Danielu.

Daniel podniósł się. — Dziękuję, że był pan tak uprzejmy, parne Smali.

— Zawsze do usług, Danielu — odparł kolejarz z uśmiechem. Daniel odwrócił się do Roscoe. — Powodzenia, panie Craig.

Mam nadzieję, że wszystko się panu uda.

Roscoe wyciągnął rękę. — Tobie też życzę powodzenia, Danielu.

Daniel kiwnął głową i ruszył do drzwi z tyłu wagonu. Kiedy Roscoe zawołał go, odwrócił się.

Starszy mężczyzna powiedział niezręcznie: — Tylko ty zostałeś, Danielu. Sądzę, że twój ojciec nie chciałby, żeby coś ci się stało.

Daniel spoglądał na niego w milczeniu.

— Chodzi mi o to — dodał Roscoe — że jeśli coś ci się stanie, zniweczysz życie twojego ojca.

Daniel kiwnął głową. — Będę o tym pamiętał, panie Craig.

— Zwalniamy — powiedział hamulcowy. — Musisz już wyskakiwać, Danielu.

Daniel wyszedł na małą platformę i na najniższym stopniu poczekał, aż pociąg zwolni, niemal zatrzymując się.

Roscoe i hamulcowy wyszli za nim na platformę. Daniel skoczył, przebiegł parę kroków, zjechał po nasypie po drugiej stronie torów, potem pozbierał się i pomachał im ręką, dając znak, że wszystko w porządku. Też machnęli do niego i pociąg znowu zaczął nabierać szybkości. Parę chwil później zniknął za zakrętem, a Daniel ruszył poprzez góry do domu.

Stare ścieżki wyglądały tak, jakby nigdy stąd nie wyjeżdżał. To tutaj dorósł i znał teren jak własną dłoń. Pamiętał, kiedy był mały i ojciec pierwszy raz zabrał go na polowanie. Jak bardzo był dumny, kiedy przyniósł do domu upolowanego królika.

Pochłoniętemu wspomnieniami, dwie godziny, w jakie pokonał osiem mil dzielące go od domu, wydały się zaledwie paroma minutami, więc nie był przygotowany na wstrząs, jaki przeżył, wyszedłszy na drogę, przy której kiedyś stał dom.

Zmartwiało. Została spopielona skorupa. Tylko komin i szkielet domu były nietknięte. W porannym słońcu powietrze zdawało się

drgać nad ruiną. W tyle stała nietknięta, pełna życia stodoła. Odetchnął głęboko i zmusił się, by wejść na coś, co było podwórzem z przodu domu.

Z tyłu dobiegł go dychawiczny głos. Obrócił się błyskawicznie. Z krzaków po drugiej stronie drogi wyłonił się muł. Okrągłymi oczami pytająco spoglądał na Daniela.

Muł pierwszy się ruszył. Przeszedł przez drogę do Daniela i trącił go nosem. Daniel ustąpił na bok, a muł poszedł dalej, przez podwórze do stodoły. Daniel podążył za nim. Muł grzebał nosem w sianie. Daniel zajrzał do koryta. Było suche. Wrócił na podwórze do studni. Wielkie wiadro ciągle wisiało na pompie. Zaczął pompować. Minęło kilka chwil, zanim trysnęła woda i można było napełniać ceber. Daniel zaniósł go z powrotem do koryta.

Muł podniósł głowę i spojrział na niego. Daniel powoli wlał wodę do rynny. Ciągle chrupiąc żdźbła siana, muł podszedł do koryta. Obejrzał je, potem spojrział w górę na Daniela.

Daniel kiwnął głową. — Tak, głupi muł. Tak właśnie woda trafia tutaj. Pij.

Wydawało się, że muł uśmiechnął się, pozbywszy się siana z zębów. Potem delikatnie wsadził pysk do wiadra i zaczął pić. Daniel odwrócił się.

Nie oglądając się już na dom, poszedł z boczem małego wzgórza na cmentarz. Spojrział na groby, na czarną i ciągle świeżą ziemię. Zdjął kapelusz i z gołą głową stał w słońcu. Nigdy nie był na pogrzebie, więc nie znał modlitwy, jaką należy odmówić. Jedynej, którą pamiętał, nauczyła go matka, gdy był małym dzieckiem. Poruszał cicho ustami.

Teraz kładę się i gdy będę spał,

proszę cię, Boże, byś przy mnie stał.

A gdybym nie obudził się i zmarł,

proszę cię, Boże, byś mą duszę w opiece miał.

Boże, błogosław mamę, Boże, błogosław tatę,

Boże, błogosław moje siostry i braci...

Głos nagle mu się załamał i po raz pierwszy łzy nabiegły mu do oczu, zamazując obraz grobów. Stał bez ruchu.

Groby i małe drewniane krzyże wypalały piętno w jego umyśle; strata, krzywda

i pustka drażyły jego duszę. Aż nagle było po wszystkim. Ból ustał. Zamknął oczy na długą chwilę. Wiedział, co musi zrobić.

Nie oglądając się za siebie, opuścił mały cmentarz i poszedł ścieżką na wzgórze. Przeszedł kawałek i dotarł do niej. Była tam, gdzie zawsze — destylarnia ojca: mała szopka, miedziane rurki, kamienne dzbany. Wyglądała tak, jakby nic się nie zdarzyło.

Otworzył drzwi i wszedł do środka. Było tam ciemno, przez otwarte drzwi wpadało bardzo mało światła. Sięgnął na najwyższą półkę i znalazł to, po co przyszedł. Poszperał dalej palcami i wyciągnął małe pudełko, o którym wiedział, że leży obok. Wyszedł do światła z owiniętą brezentem dwulufową dubeltówką kaliber.20 i kartonem naboju. Spiesznie odwinął brezent. Broń była czysta i lśniąca. Naciągnął oba kurki i pociągnął języki spustu. Szczęknęły gładko; kurki uderzyły z trzaskiem w iglice. Ojciec zawsze pilnował, by broń była utrzymana w czystości i gotowa do użycia. Otworzył pudło z nabojami. Było prawie pełne.

Położył je na drewnianej ławce i wszedł z powrotem do szopy. Tym razem wyszedł z piłką do cięcia metalu i pilnikiem. Starannie umocował dubeltówkę w imadle na warsztacie i zaczął ucinąć lufę do około ćwierci jej długości. Kiedy to zrobił, wygładził pilnikiem brzegi, potem wytarł je do czysta lekko naoliwioną szmatą. Inną szmatą usunął pozostawione ślady oleju i wyjął broń z imadła. Zważył dubeltówkę w dłoni i przyjrzał się jej. Cała strzelba, łącznie z drewnianą kolbą, nie miała dwóch stóp długości. :

Położył ją na ławce, podniósł dwa kamienne dzbany i umieścił je w słońcu na płocie. Potem następne, aż było ich dziesięć, rozstawionych na płocie co około dwie stopy. Podniósł dubeltówkę i włożył do obu komór naboje. Potem odwrócił się, chcąc ocenić odległość do płotu. Około pięciu stóp. Akurat. Trzymając strzelbę na wysokości pasa, opartą o biodro, pociągnął oba cyngle. Odrzut obrócił go prawie dookoła, a huk omal nie rozdarł mu uszu. Odwrócił się, by sprawdzić cel. Paskudnie spudłował. Dzban, do którego celował, pozostał nietknięty.

Podszedł do płotu, szukając na drzewie za nim śladów strzałów. Znalazł je. Wysoko z lewej strony, szeroko rozrzucone. Drzewo stało parę stóp za płotem, co oznaczało, że aby osiągnąć lepszy

skutek, musiałby mocniej trzymać broń. Ruszył powoli. Nie było pośpiechu. Miał całe popołudnie. Kiedy wreszcie był z siebie zadowolony, pozostały mu tylko cztery naboje. Dwa z nich wsunął do dubeltówki, dwa do kieszeni. Słońce zaczęło chować się na zachodzie, gdy schodził w dół. Nie zatrzymując się, przeszedł obok cmentarza prosto do stodoły. Zadowolony muł stał w swoim boksie.

Zdjął z kołka w ścianie stodoły uzdę i lejce, i podszedł do muła. Zwierzę obserwowało go nieufnie.

— Chodź, mule — powiedział Daniel. — Czas, żebyś zarobił na swoje utrzymanie.

Tego ranka Jackson zaczął zamiatać drewniany chodnik przed sklepem pana Fitcha o siódmej. Nie zwracał uwagi na człowieka siedzącego na ławce na placu po drugiej stronie ulicy. Pewnie znowu jakiś farmer, ucinający sobie drzemkę. Kapelusz opuścił na oczy, by osłonić je przed porannym światłem. Również muł, uwiązany do pobliskiego drzewa, nie był wart tego, by mu się lepiej przyjrzeć.

Krótko potem Harry, ruchliwy urzędnik szefa, przyszedł do sklepu i począł ustawiać przed drzwiami reklamy.

Akurat skończył swoją pracę, kiedy pojawił się pan Fitch. Harry zerknął na wielki zegar w tyle sklepu. Ósma. Dokładnie na czas.

Pan Fitch był w dobrym humorze. — Wszystko w porządku, Harry?

Mały urzędnik گیا się w ukłonach. — Tak, panie Fitch. Wszystko w najlepszym porządku.

Pan Fitch zaśmiał się cicho i przeszedł obok niego do sklepu. Harry podążył za nim. — Panie Fitch, mamy tę nową fasolę w puszkach. Czy chce pan żebyśmy zaczęli ją sprzedawać?

Fitch przystanął, potem kiwnął głową.

— Po ile, panie Fitch?

— Trzy za dziesiątkę, Harry. To dosyć tanio, ale jednak z dobrym zyskiem. Nas kosztują tylko dwa centy za sztukę.

— Zaraz się tym zajmę, panie Fitch — powiedział Harry. Fitch poszedł dalej do swego biura na tyłach sklepu, a Harry krzyknął na Jacksona, żeby przyniósł z piwnicy fasolę w puszkach.

Mężczyzna po drugiej stronie ulicy podniósł się z ławki. Przez chwilę rozejrzał się po ulicy. Nie kręciło się zbyt wielu ludzi. Wolno przeszedł przez ulicę do sklepu, szczelnie otulając się kurtką; kapelusz miał ciągle opuszczony na oczy. Wszedł do środka.

Harry wyskoczył zza kontuaru. — Czym mogę panu służyć? Farmer nie spojrzał na niego. — Czy jest pan Fitch? — Jest w biurze z tyłu.

— Dziękuję — powiedział grzecznie mężczyzna i natychmiast zniknął za stosem drewnianych pak, złożonych koło drzwi biura.

Sam Fitch, siedząc za swym biurkiem, spojrzał na wchodzącego mężczyznę. — Witaj, przyjacielu — odezwał się. — Czy mogę ci w coś pomóc?

Mężczyzna zatrzymał się przed biurkiem. Przesunął kapelusz z twarzy na tył głowy. Jego głos nie zdradzał żadnych emocji. — Chyba tak.

Sam Fitch zbladł. — Daniel!

Daniel milczał.

— Nie poznałem cię, chłopcze. Tak urosłeś — powiedział Fitch. Daniel spoglądał na niego spokojnie. — Dlaczego pan to zrobił, panie Fitch?

— Co zrobiłem? — Fitch próbował udawać zdezorientowanego. — Nie wiem, o czym mówisz.

Daniel mierzył go zimnym spojrzeniem. — Myślę, że pan wie, panie Fitch. Co kiedykolwiek panu zrobiliśmy, że zabił pan ich wszystkich?

— Wciąż nie wiem, o czym mówisz — nie ustępował Fitch.

— Roscoe Craig był tam, ukryty w stodole, i wszystko widział. Powiedział mi o tym. — Głos Daniela był ciągle beznamiętny.

Fitch wlepił w niego wzrok. Przestał udawać, ale nie przestał kłamać. — To był wypadek, Danielu. Musisz mi uwierzyć. W ogóle nie mieliśmy zamiaru niczego podpalać.

— Ani nigdy nie miał pan zamiaru zabijać mego ojca, prawda? Tylko dał pan znak, by strzelać, kiedy wyszedł z domu?

— Próbowałem powstrzymać ich. To właśnie chciałem zrobić. Zatrzymać ich. — Oczy Fitcha rozwarły się szeroko, gdy płaszcz Daniela rozchylił się i wyrzuciła z niego dubeltówka z oberżniętą lufą. Nie przestając mówić, wysunął szufladę biurka i sięgnął po

broń. — Próbowałem ich zatrzymać, ale nie słuchali mnie. To było straszne.

— Kłamie pan, panie Fitch. — Głos Daniela brzmiał spokojnie i ostatecznie.

Fitch trzymał już dłoń na rewolwerze. Błyskawicznie, jak na człowieka jego postury, wyciągnął broń i skoczył ze swojego krzesła na bok, w stronę szyb oddzielających jego biuro od sklepu: Nie poruszał się jednak wystarczająco szybko.

Huk wystrzału z obu luf zagrzmiał w małym biurze jak uderzenie pioruna. Ciało Fitcha zostało rozdarte od piersi do brzucha, gdy pociski rzuciły go do tyłu przez szklane przepierzenie.

Daniel podszedł wolno i spojrzał na poszarpane ciało Fitcha. Ciagle tak stał, gdy do sklepu wpadł szeryf, a za nim jego zastępca.

Szeryf obrzucił szybkim spojrzeniem Sama Fitcha, potem przeniósł wzrok na Daniela. Schował rewolwer do kabury.

Wyciągnął rękę do Daniela. — Chyba będzie lepiej, jeśli oddasz mi tę broń, Danielu — powiedział.

Daniel oderwał wzrok od ciała Sama Fitcha. — Szeryfie — rzekł. — On zabił całą moją rodzinę.

— Oddaj mi broń, Danielu — powtórzył łagodnie szeryf. Daniel wolno skinął głową. — Dobrze, proszę pana.

Szeryf odebrał strzelbę i wręczył ją swemu zastępcy. — Chodź, Danielu.

Daniel wyszedł z biura, ale raz jeszcze zatrzymał się, by spojrzeć na ciało Sama Fitcha. Kiedy podniósł głowę, by spojrzeć na szeryfa, jego oczy przepełnione były udręką. — Szeryfie — spytał zbolalym głosem. — Czy w całym mieście nie było nikogo, kto by go powstrzymał?

Sędzia spojrzał zza swego stołu. Daniel milcząc, stał przed nim w niemal pustej sali sądu.

— Danielu Boone Huggins — zaczął sędzia uroczyście. — Ze względu na okoliczności łagodzące, śmierć twojej rodziny i twoją niezwykłą młodość, i w nadziei, że śmierć i przemoc, będące plagą tego powiatu przez ostatni rok, zakończyły się ostatecznie; biorąc to wszystko pod uwagę, orzeczenie sądu jest takie, że zostaniesz posłany do stanowego domu poprawczego dla chłopców na dwa

lata lub do czasu ukończenia osiemnastu lat, zależnie od tego* który okres wcześniej upłynie. Jest też nadzieją tego sądu, że pilnie przyłożysz się do nauki zawodu i skorzystasz z wielu okazji, jakie tam znajdziesz, by stać się pożytecznym członkiem społeczeństwa.

Dwukrotnie uderzył młotkiem w stół i powstał. — Rozprawa zakończona.

Zszedł ze swego podium, podczas gdy szeryf podszedł do Daniela i wyjął z kieszeni kajdanki. — Przepraszam, Danielu. Przepisy nakazują ich użyć w stosunku do skazanych.

Daniel spojrział na niego, potem milcząco wyciągnął ręce. Kajdanki trzasnęły i zamknęły się wokół jego nadgarstków.

Szeryf popatrzył na niego. — Nie jesteś zły, prawda, Danielu?

Daniel potrząsnął głową. — Nie, szeryfie. Dlaczego miałbym być? Już po wszystkim. Teraz, być może, potrafię o tym zapomnieć.

Ale nigdy nie zapomniał.

TERAZ

Hamulce pneumatyczne zasyczały, gdy wielka ciężarówka z przyczepą zjechała na pobocze autostrady. Drzwi otworzyły się na zewnątrz i kierowca patrzył, jak wyskakuję z kabiny. Wyciągnąłem rękę, by pomóc zejść Annie.
— Dzieciaki, powariowaliście — powiedział szofer. — Wysiadać w szczerym polu. Stąd jest trzydzieści pięć mil do Fitchville, a w drugą stronę pięćdziesiąt mil do następnego miasta. Pomiedzy nimi nie ma nic, może poza jakimiś dzierżawcami.

Anna wyskoczyła z kabiny, a ja zabrałam plecaki, mówiąc: — Dzięki za podrzucenie.
Popatrzył na mnie. — W porządku. Ale uważajcie. Ludzie tutaj nie są tak całkiem przyjaźni wobec obcych. Czasem strzelają, zanim o coś spytają.

— Nic się nam nie stanie — powiedziałem.

Kiwnął nam głową i zamknął drzwi. Obserwowaliśmy, jak ciężarówka nabiera szybkości i po chwili zginęła w ruchu na autostradzie. Obróciłem się do Anny. Dotąd się nie odezwała.

— Czy wiesz, dokąd idziemy? — spytała. Skinąłem głową.

— A może powiedziałbyś mi? — Jej głos rozbrzmiał sarkazmem. Spenetrowałem wzrokiem okolice, potem wskazałem małe wzgórze, wznoszące się ponad drzewami jakąś milę od drogi. — Tam.

Spojrzała na wzgórze, potem znów na mnie. — Dlaczego?

— Będę wiedział, kiedy się tam dostanę — powiedziałem. Zsunąłem się w dół nasypu autostrady. Kiedy odwróciłem się, Anna ciągle stała, gapiąc się na mnie w dół. — Idziesz?

Kiwnęła głową i zaczęła schodzić za mną. W połowie drogi poślizgnęła się. Złapałem ją i zatrzymała się z głową na mojej piersi. Drżała. Po chwili podniosła głowę i popatrzyła na mnie. — Boję się.

Spojrzałem jej w oczy i powiedziałem: — Nie bój się. Jesteś ze mną.

Dostanie się na grzbiet wzgórza zajęło nam prawie dwie godziny, dalsze pół — zejście w dół około ćwierci zbocza do małego pagórka po drugiej stronie wzgórza. Rzuciłem plecak i usiadłem na ziemi. Odetchnąłem głęboko, potem na kolanach zacząłem szperać w ziemi pod wysoką dziką trawą.

— Co robisz? — spytała.

— Szukam czegoś — powiedziałem i w tej samej chwili ręką natrafiłem na kamień. Ostrożnie obmacałem go. Miał prostokątny kształt i górną powierzchnię lekko nachyloną ukośnie w moją stronę. Szybko odgarnąłem trawę i zielsko wokół niego. To był kamienny blok nie dłuższy niż dwie stopy i nie szerszy niż stopa. Ręką ścierałem ziemię i pokrywający go brud, aż wyryte w kamieniu litery stały się czyste i wyraźne: HUGGINS.

— Co znalazłeś? — usłyszałem za sobą jej łagodny głos. Spojrzałem jeszcze raz na kamień, potem podniosłem wzrok na nią.

— Grób mojego dziadka.

— Wiedziałeś, gdzie on jest? — spytała. Potrząsnąłem głową. — Nie.

— Więc jak?

— Nie wiem — powiedziałem.

— *Powiedz jej, synu. To ja ci powiedziałem.*

— *Ty nie żyjesz. I nigdy niczego mi nie powiedziałeś, nawet kiedy żyłeś.*

— *Wszystko ci powiedziałem. Ale ty nie słuchałeś.*

— *Więc dlaczego sądzisz, że teraz będę słuchał?*

Roześmiał się niskim, dudniącym, zduszonym chichotem, jaki słyszałem całe życie. Teraz już nie masz wyboru. Jestem w tobie.

— Odejdź, ojcze. Ty nie żyjesz. A ja mam przed sobą własne życie.

— Jesteś jeszcze młody. Masz czas. Najpierw musisz żyć moim życiem. Potem będziesz mógł poprowadzić swoje.

— Cholera.

— No właśnie. — Znowu niski, zduszony chichot. — Ale zanim umie się biegać, trzeba najpierw nauczyć się chodzić.

— I ty masz zamiar mnie uczyć?

— Zgadza się.

— Jak chcesz to robić, leżąc pod siedmioma stopami piachu tam, w Scarsdale?

— Powiedziałem ci. Jestem w każdej komórce twojego ciała. Jestem tobą, a ty jesteś mną. Jak długo będziesz żył, będę tam tkwił.

— Ale kiedyś też umrę. Gdzie będziesz wtedy?

— Z tobą. W twoim dziecku.

Za nami rozległ się głos mężczyzny: — Odwróćcie się wolno i nie róbcie żadnych gwałtownych ruchów.

Wstałem. Anna wsunęła dłoń w moją rękę i powoli obróciliśmy się w stronę mężczyzny. Był wysoki i szczupły, na sobie miał wytarty kombinezon i roboczą koszulę, twarz wokół oczu poznaczoną drobnymi zmarszczkami, na głowie szerokoskrzydły słomiany kapelusz, a w zgięciu łokcia trzymał wycelowaną w nas dwulufową dubeltówkę.

— Nie widzieliście przy ścieżce napisu, że przejście jest wzbronione?

— Nie przyszliśmy ścieżką. Podeszliśmy na wzgórze z autostrady.

— Odwróćcie się i wracajcie drogą, którą przyszliście. Obojętnie czego szukaliście, tego tu nie znajdziecie.

— Już znalazłem to, czego szukałem — odparłem, wskazując na leżący kamień nagrobny.

Podszedł bliżej i przyjrzał mu się. — Huggins — powiedział łagodnie, wymawiając „g” jak „dż”. — A co to ma wspólnego z tobą?

— On był moim dziadkiem.

Mężczyzna milczał przez chwilę, bacznie mi się przyglądając.

— Jak się nazywasz?

— Jonathan Huggins.

- Syn Big Dana. Skinąłem głową.

Wylot lufy strzelby opadł ku ziemi. Jego głos jakby złagodniał. — Chodźcie, dzieciaki, ze mną do domu. Żona trzyma w studni zapas zimnej lemoniady.

Poszliśmy za nim ścieżką wśród drzew po przeciwległej stronie wzgórza. Wyszliśmy na mały kopiec tuż powyżej pola kukurydzianego. Po drugiej stronie pola stał dom. Jeśli można było nazwać to domem. Wyglądał bardziej jak szopa zbita gwoździami z rozmaitych kawałków drewna; szpary były pozalepiane papierem i smołą. Dach pokrywały ułożone na plastiku, zbite z sobą deski. Przed domem stała w porannym słońcu zakurzona, zrujnowana półciężarówka. Jeśli miała kiedyś jakiś kolor, to zupełnie wyblakł i był niemożliwy do określenia. Mężczyzna poprowadził nas wzdłuż pola, obok samochodu, do drzwi.

Otworzył je i zawołał: — Betty May, mamy gości.

Po chwili w drzwiach pojawiła się dziewczyna. Nie mogła mieć więcej niż szesnaście lat. Miała okrągłą twarz, okrągłe niebieskie oczy, długie blond włosy i była w ciąży. Przyjrzała się nam uważnie, ze śladem lęku w oczach.

— Wszystko w porządku — uspokoił ją. — Są z północy.

— Dzień dobry - Miała dziecinny głos.

— Cześć — powiedziałem. Obrócił się do mnie, wyciągając rękę. — Jestem Jeb Stuart Randall. To moja żona, Betty May.

— Miło cię poznać, Jeb — ucisnąłem mu rękę. — To jest Anna.

Lekko zgiął się w staroświeckim ukłonie. — Jestem zaszczycony, proszę pani.

— Nie pani, panno...

— Proszę mi wybaczyć, panienko — powiedział. Zdaje się, że nie robiło mu to żadnej różnicy.

Uśmiechnęła się do niego. — Miło mi pana spotkać, panie Randall, panią również.

— Betty May, wyciągnij lemoniadę ze studni. Nasi goście musieli nieźle się przypiec w popołudniowym słońcu. Betty May przemknęła obok nas, gdy szliśmy za nim do budy. W środku było ciemno i chłodno w porównaniu z palącym żarem na zewnątrz. Usiedliśmy wokół małego stolika w jedynym pomieszczeniu. Przy jednej ścianie stał starodawny piec węglowy i zlew z zawieszonymi nad nim szafkami, przy drugiej ścianie — stara drewniana szafa, komoda z szufladami i łóżko zarzucone pstrokatą kołdrą. Na środku stołu królowała mała lampa naftowa. Jeb Stuart wyjął z kieszeni połówkę papierosa i wsadził ją do ust, ale nie zapalił. Betty May wróciła do domu z dzbanem lemoniady. W milczeniu napełniła trzy szklanki i postawiła je przed nami. Sobie nie wzięła nic, nie usiadła też z nami przy stole, ale podeszła do pieca i stojąc obok niego, przyglądała się nam. Spróbowałem lemoniady. Była bez smaku, wodnista i bardzo słodka, ale zimna. — Świetna, proszę pani.

— Dziękuję — powiedziała zadowolonym głosem dziecka.

— Słyszałem w wiadomościach, że twój ojciec zmarł — powiedział Jeb Stuart. — Współczuję.

Kiwnąłem głową.

— Raz widziałem twój tatę — rzekł. — Doskonale wypadł. Pamiętam, kiedy go słuchałem, myślałem, że ten facet potrafiłby przekabacić nawet anioła.

Roześmiałem się. — Pewnie właśnie teraz to robi. Albo to, albo zmusza szatana, by skrócił u siebie czas pracy. Nie wiedział, czy się uśmiechnąć, czy nie. — Twój tata był bogobojnym człowiekiem. Jest pewnie tam, u góry, wśród aniołów.

Kiwnąłem głową. Musiałem pamiętać, że nie rozmawialiśmy tym samym językiem. — Twój tata był jednym z nas. Urodził się dokładnie tutaj. Wyrobił sobie taką pozycję, że szanowano go w całym kraju.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął znajomy znaczek związkowy z niebieską czterolistną koniczyną na białym tle, i białe lśniącymi literami CALL na każdym listku. Confederated Alliance of Living Labor. — Kiedy stworzył konfederację, byliśmy jednym z pierwszych związków, które do niego dołączyły.

— Co to był za związek?

— SFWU.

Zgadzało się. Southern Farm Workers Union. Zupełny chłam w związkowej sieci. Ani CIO, ani AFL* nie interesowały się nimi bardziej niż było trzeba, żeby ściągnąć z nich składki. Prawdziwych pieniędzy tu nie było. Ale ojciec wiedział lepiej. Wiedział, że gdzieś musi zacząć. Przede wszystkim szukał członków, nie pieniędzy, a Południe dojrzało do zbioru. Dlatego właśnie obstawał przy słowie konfederacja, a nie międzynarodowy. Miał rację. Po roku miał za sobą wszystkie związki Południa i opierając się na nich jako swojej bazie, przesuwiał się szybko na północ, wschód i zachód. Trzy lata później mógł powołać ogólnokrajową organizację siedmiuset związków, do której należało ponad dwadzieścia milionów robotników.

Jeb Stuart kiwnął w stronę żony, a ta bez słowa napełniła ponownie jego pustą szklanekę. — Dotąd pamiętam każde jego słowo. Twój tata mówił: „Jestem jednym z was. Urodziłem się w tych górach. Pomagałem swemu ojcu orać i pędzić bimber. Kiedy miałem czternaście lat, dostałem pierwszą pracę w kopalni węgla. Przeganiałem bydło w Teksasie, pracowałem w szybach naftowych w Oklahomie, ładowałem barki rzeczne w Natchez, jeździłem śmieciarką w Georgii, pakowałem pomarańcze na Florydzie. Zwalniano mnie w tylu miejscach pracy, że żadnemu z was, chłopaki, nie śniło się, że w ogóle istnieją". Spod wielkich, krzaczastych brwi rozejrzał się po sali. Wszyscy śmialiśmy się. Dostał nas. Wiedział o tym, i my też o tym wiedzieliśmy. Ale on się nie śmiał. Cały czas był w pracy. „Nie żądam, byście opuścili CIO i przeszli do nas. CIO czyni dla was wiele dobrego. Pomimo że stary John L. starzeje się tam coraz bardziej i ciągle popija, a ci chłopcy Reuthera to żółtodzioby i potrzebują nauki, to jednak robią dla was wiele dobrego. Ale nie są w stanie zrobić wszystkiego. Nawet jeśli dogadają się z AFL — a zobaczycie, że się dogadają — nie mogą załatwić wszystkiego. Nie żądam od was, ludzie, jeszcze większego obciążenia opłatami i składkami. Bóg

*** CIO — Committee (Congress) of Industrial Organizations (Kongres Przemysłowych Związków Zawodowych) i AFL — American Federation of Labour (Amerykańska Federacja Pracy) — dwie największe (obecnie połączone) centrale związków zawodowych (przyp. tłum.).**

wie, że już teraz płacicie dosyć. Żądam od was, ludzie, byście przystąpili do konfederacji. Każdy na Południu wie dokładnie z książek do historii, co to jest konfederacja. To grupa ludzi łączących się z własnej woli dla strzeżenia ich jednostkowych interesów. Tak jak to lata temu zrobili nasi pradziadowie w czasie wojny pomiędzy stanami. Celem CALL jest pomoc wszystkim związkom z osobna dla zachowania ich niezależności i uzyskania dla ich członków jak największych korzyści. Dajemy wam obsługę. Konsultacje, planowanie, zarządzanie. Tak, byście mogli zdecydować, co jest dla was najlepsze. Tak, jak to robią wielkie związki i wielkie przedsiębiorstwa, zatrudniając specjalistów, kiedy mają problemy. Nie będziecie uiszczać żadnych opłat, zupełnie nic, dopiero gdy wezwiecie nas, byśmy coś dla was zrobili. A więc płacicie nam tylko wtedy, gdy pracujemy; kiedy robota zostanie skończona, przestajecie płacić. Podniósł lemoniadę i pociągnął mały łyk. — Nie wiedziałem, o czym mówił, i nie sądzę, żeby ktokolwiek na sali wiedział, ale to nie miało znaczenia. Wszystkich nas owinął wokół palca.

Roześmiałem się w duchu. Znałem to przemówienie na pamięć, słyszałem je miliony razy. Wydawało się, że ojciec nawoływał do Konfederacji: Południe znowu powstanie. Ale zawiązanie związku było jedynie początkiem; później następował program sprzedaży usług. Wydaje mi się, że nie było związku, który zdawałby sobie sprawę, jak wiele potrzebuje pomocy. Kiedy myśleli, że mają jeden problem, CALL uświadamiał im, że mają ich dziesięć. Więc rezultat był z góry przesądzony. A najlepsze było to, że AFL i CIO nic nie mogły na to poradzić, bo przecież CALL im również miał pomagać. — Więc co się stało potem? — spytałem.

— Później tego lata było wiele gadania o rozpoczęciu strajku, bo zapowiadały się rekordowe żniwa. CALL przekonał nas, że stracilibyśmy na tym więcej niż farmerzy, bo istniała poważna szansa, że po raz pierwszy od trzech lat wszyscy będą mieli pracę.

i jeśli odpuścilibyśmy te wielkie żniwa, potrzeba by ponad sześciu lat zwiększonych zarobków, żeby nadrobić tę stratę. Natomiast wszystko wskazywało na to, że w następnym roku będą kiepskie zbiory. To miał być właściwy moment, by przycisnąć farmerów, którzy będą wtedy w większej potrzebie niż my, bo połowa naszych członków tak czy owak byłaby bez pracy. I mieli rację.

W dwa tygodnie było już po strajku. Farmerzy poddali się, gdyż nie mogli pozwolić sobie na stratę wszystkiego. .
Spojrzałem na niego. — A potem w biurze związku zawsze siedział ktoś z CALL, pracując nad jakimś ważnym projektem.

Przyjrzał mi się. — Skąd to wiedziałeś?

Uśmiechnąłem się. — Tam się wychowałem. Znałem swojego ojca.

— Był wielkim człowiekiem — powiedział z nabożeństwem.

— Wciąż tak myślisz, teraz, kiedy gospodarujesz na swoim? Wyglądał na zdziwionego. — Nie rozumiem.

— Widziałem tam pole kukurydzy — powiedziałem.

— Tyle co nic — odparł. — Ledwo trzy akry. Sam daję sobie z tym radę.

— A co by się stało, gdyby zjawił się tu związek i powiedział, że potrzebujesz dwójkę ludzi do pomocy?

— Nie przyjdą tu. I przez długi czas nikt się tu nie pojawi. Nikt nawet nie wie, że tu gospodaruję. Ziemia wokół jest do niczego.

Przypomniałem sobie te słowa, które zacytowałem z mowy ojca sprzed lat: „Pomagałem swemu ojcu orać i pędzić bimer”. Już wiedziałem. — Destylarnia dziadka. Nagle zbladł pod opalenizną. — Co powiedziałeś?

— Destylarnia mojego dziadka — powtórzyłem. — Znalazłeś ją?

Wahał się przez moment, potem kiwnął głową. Teraz wszystko to zaczęło mieć sens. Bimer z trzech akrów kukurydzy to był niezły majątek. — Chcę ją obejrzeć.

— Teraz? — zapytał.

— Teraz.

W milczeniu wstał z krzesła, podniósł dubeltówkę i ruszył do drzwi. Wstałem i ruszyłem za nim.

Głos Betty May nie był już głosem dziecka. — Nie, Jeb, nie. Nie rób tego.

Spojrzałem na niego, potem znowu na nią. — Niech się pani nie martwi. On nie zamierza nic zrobić.

Jeb Stuart kiwnął głową i wyszedł za drzwi. Spojrzałem na Annę. — Ty zostań tutaj i czekaj na mnie.

Anna skinęła głową.

— Dziękuję — powiedziałem i wyszedłem za Jebem Stuartem.

Szedł szybko przede mną, nie obejrzawszy się ani razu. Nie odezwał się słowem, gdy przedzieraliśmy się przez lasek na zboczu wzgórza na ścieżkę niemal zupełnie zarośniętą przez chwasty. Nagle zatrzymał się. — To tutaj.

Spojrzałem na coś, co wyglądało jak niemal lita ściana leśnych zarośli. — Tak — powiedziałem.

— Skąd wiedziałeś? — spytał.

— Ty mi powiedziałeś — rzekłem.,

— Nie rozumiem.

— Nieważne — powiedziałem.

Przeszedł jeszcze kilka kroków, odsunął na bok kępę krzaków i przeszedł przez nie. Podążyłem za nim i krzaki zamknęły się za nami. Destylarnia znajdowała się na małej polanie, częściowo wcinając się w stok po drugiej stronie; drewniane kłody dachu były przykryte leśnym gąszczem. Czarny żelazny kocioł wyglądał na czysty i nie naruszony przez czas, a miedziane rury lśniły jak nowe. Dziesięć czterdziestogalonowych beczek z wypalanego dębu stało w szeregu tuż przy destylarni, a po drugiej stronie leżał długi stos równo pociętych i ułożonych kłód do palenia.

Usłyszałem ciche szemranie małego strumyka i poszedłem za destylarnię. Był tam. Migotał w nikłym świetle, płynąc w dół po kamieniach i skałach. Włożyłem ręce do wody i nabrałem jej trochę, by spróbować. Była słodka i świeża.

— Ta woda płynie niżej do naszej studni — powiedział.

— Jak to znalazłeś? — spytałem.

— Dwa lata temu w czasie polowania. Mój pies zapędził szopa na drzewo. Schwyciłem go i podążyłem w dół strumienia do miejsca, gdzie stał stary dom. Od razu wiedziałem, co mam robić. Trzy dobre lata i będę bogaty.

Koniec z zasranym gospodarstwem. Będę mógł żyć jak normalny człowiek.

Poszedłem z powrotem do destylarni. On zrobił to samo. Przyjrzałem się błyszczącym miedzianym rurom. — Rury są nowe?

Kiwnął głową. — Musiałem to wszystko naprawić. Betty May i ja pracowaliśmy przez cały rok. Uprzątailiśmy pole pod kukurydzę, budowaliśmy chatę. Zakupy sprzętu i materiałów zjadły całe nasze oszczędności. Ponad sześćset dolarów. Dopiero, gdy ostatniej wiosny mieliśmy już whisky, uwierzyliśmy, że to się naprawdę stało. Wszystko szło świetnie. Nikt nawet nie wiedział, że tu

jesteśmy. Nigdy nie pojechaliśmy do Fitchville, by cokolwiek kupić. Raz w tygodniu jeździmy na zakupy do Grafton, pięćdziesiąt parę mil autostradą. Było naprawdę świetnie. Aż tyś się pojawił.

Popatrzyłem na niego bez słowa.

Odłożył na ziemię dubeltówkę i, rozglądając się wokół z zadumą, wyciągnął papierosa z kieszeni koszuli. Papieros był pognieciony i pocięty, jak gdyby spoczywał tam dłuższy czas. Ostrożnie wyprostował go, potem zapalił. Wolno wypuszczał dym, który wił się wokół jego twarzy, potem obrócił się w moją stronę.

— W głębi duszy chyba wiedzieliśmy z Betty May, że to było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Żeby się naprawdę zdarzyło. — Przerwał na moment. W jego głosie wyczuwałem napięcie. — Nie mamy tu zbyt wiele.

Możemy się stąd wynieść do jutra rana.

— Czemu myślisz, że chciałbym, żebyście to zrobili?

— To twoja własność, prawda? — Spojrzał mi w oczy pytająco. — Widziałem w rejestrach powiatu, kiedy poszedłem tam sprawdzić, kto jest właścicielem. Widziałem tam twoje imię, wyraźnie jak cholera. Twój ojciec przepisał to na ciebie trzy lata temu. Ale wszyscy tam w urzędzie mówili, że nikogo tu nie było przez ponad trzydzieści lat, poza prawnikami, którzy przyjechali zarejestrować przekazanie.

Odwróciłem się od niego. Nie chciałem, by widział, jak walczyłem z łzami, które nagle napłynęły mi do oczu. Po prostu jeszcze jedna rzecz, o której ojciec mi nie powiedział. Jedną spośród wielu.

— Wracaj do domu i powiedz Betty May, że się nie wyprowadzacie. Ja tam będę za chwilę.

Usłyszałem, jak zatrzymuje się za mną.

— Na pewno trafisz z powrotem?

— Na pewno.

Po chwili doszedł do moich uszu szelest zarośli i, kiedy obróciłem się, już go nie było. Słyszałem jeszcze oddalające się skrzypienie jego kroków na ścieżce. Potem ono też umilkło i pozostała tylko cisza oraz łagodny szum wiatru pomiędzy drzewami. Usiadłem na ziemi. Palcami czułem, że jest zimna i wilgotna. Zagłębiłem rękę i wyciągnąłem pełną garść ziemi.

Spojrzałem. Była czarna i mokra. Przycisnąłem ją do twarzy i pozwoliłem łzom spływać na nią. Po raz pierwszy od śmierci ojca zacząłem płakać.

Ciągle jeszcze było jasno, kiedy skończyliśmy jeść. Wędzona szynka wieprzowa, groszek i włoszczyzna w rzadkim ciemnym sosie, wypiekany w domu chleb kukurydziany i kubki gorącej kawy. Kątem oka spostrzegłem, że Betty May obserwuje mnie.

— To naprawdę dobre — powiedziałem, wycierając chlebem sos z talerza.

Uśmiechnęła się zadowolona. — Nie jest tego wiele, ale za to prawdziwe, domowej roboty.

— Takie jest najlepsze, Betty May — powiedziałem.

— Zawsze to mówię — rzekł szybko Jeb Stuart. — Betty May stale czyta te wydumane przepisy w gazetach, ale one nie mają nic wspólnego z prawdziwym jedzeniem; można je tylko czytać.

Anna roześmiała się. — Betty May nie ma czym się martwić. Coś mi się wydaje, że potrafi ugotować wszystko, co jej tylko przyjdzie do głowy.

— Dziękuję, Anno — powiedziała Betty May, a na jej policzki wypłynął lekki rumieniec.

Jeb Stuart odsunął talerz od siebie. — Jak widzicie, nie mamy tu dużo miejsca, ale możecie mieć dla siebie łóżko.

Betty May i ja prześpimy się na tyle półciężarówki.

— Nie musicie tego robić — powiedziałem szybko. — Mamy z Anną śpiwory. Poza tym lubimy spać na dworze.

— Jeśli tak, to najlepszym miejscem jest pole kukurydziane. Moskity tam was nie dostaną. Jest dobrze opryskane. —

Podniósł się od stołu. — Chodź, znajdę wam dobre miejsce, gdzie będziecie osłonięci przed nocnym wiatrem.

Wstałem, by pójść za nim. Anna też się podniosła. — Może pomogę ci zmywać naczynia.

Betty May potrząsnęła głową. — Nie ma ich dużo. Usiądź sobie i odpoczywaj.

Szybko zrobiło się ciemno i dziesięć minut później, kiedy wróciliśmy z Jebem Stuartem z pola, na stole paliła się stara,

osłaniana kloszem lampa naftowa. Zerknąłem na swój zegarek. Była prawie ósma.

— Macie radio? — spytałem.

Jeb Stuart potrząsnął głową. — Gdybyśmy nawet mieli, nie mamy zbyt dużo czasu na słuchanie. Zwykle idziemy spać zaraz po kolacji.

— Chciałem złapać wiadomości — powiedziałem. — Dziś po południu mój brat miał zostać tymczasowym przewodniczącym CALL.

— Przykro mi.

— Nie ma sprawy. — Obróciłem się do Anny. — Chodź, pokażę ci, gdzie położyłem śpiwory.

Podeszliśmy do drzwi. — Dzięki za kolację, Betty May. Do jutra.

W milczeniu poszliśmy w stronę śpiworów. Zanim do nich doszliśmy, zrobiło się zupełnie ciemno, a gdy się do nich wślizgnęliśmy, ostatni strzęp światła zniknął już z nieba.

— Nie mają żadnej elektryczności — powiedziała Anna.

— Nie potrzebują jej.

— Brakuje jej telewizji. Powiedziała mi. Nie odezwałem się.

— Czy zamierzasz pozwolić im tu pozostać, Jonathanie? — spytała.

— Tak.

— Cieszę się. Bała się, że każesz im się wynieść.

— Powiedziała ci?

— Tak. Znaleźli twoje nazwisko w księgach. Czy wiedziałeś, że ojciec dał ci tę ziemię?

— Nie.

— Więc czemu tu przyjechałeś?

— Nie wiem. I nie pytaj o nic więcej. Nic nie wiem. Dlaczego jesteśmy tu dzisiaj, ani gdzie będziemy jutro.

Ręką poszukała mojej i chwyciła ją mocno. Obróciłem się do niej. Księżyc wszedł już wcześniej i mogłem ujrzeć jej twarz.

— Jesteś dziwny, Jonathanie — powiedziała. — Z każdą chwilą stajesz się coraz bardziej podobny do swojego ojca. Nawet głos masz taki sam.

— A, cholera — powiedziałem. Milczeliśmy przez chwilę. —

Żałuję teraz, że kazałem wyrzucić ci całą tę trawkę. Teraz pociągnąłbym sobie parę razy. Zachichotała. — Mówisz serio?

— Nie żartuję.

Wysunęła się ze swojego śpiwora i usiadła. Chwilę później w jej rękach pojawił się mały kapciuch i bibułka. — Moja apteczka — powiedziała. — Nigdzie się bez niej nie ruszam.

Nie odzywałem się, patrząc, jak zgrabnie zwija skręta i skleja go szybkim dotknięciem języka. Sięgnęła po zapalną.

— Lepiej pozwól mi to zrobić — powiedziałem. — Nie zaproszmy gdzieś ognia.

Zapaliłem zapalną i zaciągnąłem się głęboko skrętem, potem dałem go jej, podczas gdy sam zagrzebywałem zapalną w ziemi. Pociągnęła dwa razy, potem oparta na łokciu, westchnęła zadowolona. Znowu ja się zaciągnąłem, dałem jej skręta jeszcze raz, potem zdusiłem go i schowałem w kieszeni koszuli.

— Widziałeś kiedyś tyle gwiazd? — spytała.

Spojrzałem w niebo. — Nie. — Raczej intuicyjnie wyczułem niż poczułem ruch w jej śpiworze i obróciłem się do niej.

Jej twarz miała ten szczególny wyraz skoncentrowania, jaki już rozpoznawałem. Nagle gwałtowny oddech przedarł się przez jej zaciśnięte wargi. — O. Jezu — westchnęła. Zdała sobie sprawę, że ją obserwuję. — Nic na to nie poradzę. Nagle strasznie się nagrzałam.

Wyciągnęła rękę i przyciągnęła moją twarz do siebie. Pod wargami czułem jej poruszające się usta. — Danielu — szepnęła. Odepchnąłem ją ze złością.

— To nie ja jestem dziwny, tylko ty. Próbujesz rznąć się z duchem.

Nagle rozplakała się. — Przepraszam, Jonathanie.

Teraz byłem wściekły na siebie. — Nie przepraszaj. — Przyciągnąłem jej głowę do swego ramienia. — To nie twoja wina.

Odwróciła do mnie twarz. — Rozmawiałeś z nim, prawda, Jonathanie?

— Nie tak naprawdę — odparłem. — To wszystko odbywa się w mojej głowie.

— Rozmawiasz z nim — powiedziała. — Czuję to. Znam się na tym.

— Ja nie.

Roześmiała się. Jej usta ocierały się o moje. Miękkie i wprawne.

— Jonathan Huggins.

— To moje imię.

— Pewnego dnia zrozumiesz.

— Co zrozumiem?

— Że jesteś dokładnie taki sam jak twój ojciec.

— Nie. Jestem sobą.

Jej oczy zająrzyły w moje, a usta zbliżyły się do mojej twarzy. — Jonathanie Huggins. Chcę, żebyś się ze mną kochał. Proszę cię.

— A z kim będziesz się kochać? Ze mną, czy z moim ojcem?

— Z tobą, Jonathanie. Nie ma sposobu, żeby zerznąć ducha.

Stałem w oszklonej budce telefonicznej na skraju parkingu i czekałem na zamówioną rozmowę do domu. Napis na supermarkecie po drugiej stronie parkingu był prosty — wielkie czerwone litery w białym kole: FITCH. I w linii pod nazwą: OD 1868.

W słuchawce coś trzasnęło i usłyszałem głos matki. Zacząłem mówić, ale telefonistka z centrali rozłączyła mnie: Słyszałem jej głos. — Mam rozmowę do pani Huggins na jej rachunek od jej syna, Jonathana. Nie słyszałem odpowiedzi matki, ale telefonistka włączyła się znowu.

— Może pan teraz mówić.

— Cześć, mamó — powiedziałem.

Usłyszałem napięcie w jej głosie. — Jonathanie! Gdzie jesteś?

— W Zachodniej Wirginii, w małym mieście, które zwie się Fitchville. Słyszałaś kiedyś o nim?

— Nie. — Jej głos był ciągle napięty. — Odchodziłam od zmysłów. To już cztery dni jak wyjechałeś.

— U mnie wszystko dobrze.

— Mogłeś zadzwonić. Rodzice Anny dostali szału. Nie zostawiła nawet kartki. Domyśliliśmy się, że pojechała z tobą. — Dobrzeście się domyślili.

— Jej matka chce, by do niej zadzwoniła.

— Powiem jej.

- Mam nadzieję, że wy dwoje nie robicie jakichś głupstw — powiedziała.

Roześmiałem się. — Nie ma czym się martwić, mamó. Ona bierze pigułki.

— Nie o tym mówię. — Jej głos stawał się gniewny.

— Powiedz im też, że się nie szprycuje. Kazałem jej wyrzucić trawkę. — Zmieniłem temat. — Nie słuchałem wiadomości. Co z Danem?

— Wybrali go przewodniczącym. Stało się dokładnie tak, jak to przewidział twój ojciec.

— Cieszę się — powiedziałem. — Jeśli go zobaczysz, przekaż mu moje gratulacje.

Milczała.

— Mamó? Telefon dalej milczał.

— Mamó, co się stało?

Mówiła łamiącym się głosem. — Dom jest pusty. Taki cichy. Nikt tu już nie przychodzi.

— Król umarł.

Teraz już płakała. — Jonathanie, proszę, przyjedź do domu. Czuję się taka samotna.

— Nawet gdybym tam był, nic bym na to nie poradził.

— Zawsze było tu tyle ludzi. Zawsze coś się działo. Teraz gapimy się na siebie z Mamie przez całe dni albo oglądamy telewizję.

— Gdzie jest Jack? — spytałem.

Zawahała się przed odpowiedzią. Jeszcze musiała przyzwyczajać się do myśli, że wiedziałem o nich. — Będzie mógł przyjechać dopiero na następny weekend. Dan chce, żeby został z nim w Waszyngtonie.

— Czemu ty tam nie pojedziesz? Ciągle tam mamy apartament.

— On nie jest już nasz. To apartament przewodniczącego konfederacji.

— Jestem pewny, że Dan nie miałby nic przeciwko temu.

— To nie wyglądałoby dobrze. Ludzie by gadali. — Więc wyjdź za niego, jeśli tym się przejmujesz.

— Nie chcę. — Przerwała na chwilę. — Byłam żoną twojego ojca. Jeszcze się nie pogodziłam z jego stratą.

— Wierzę ci, mamó. Ale musisz zacząć budować swoje życie od nowa. On nie żyje. Nie musisz chodzić w czerni do końca życia.

— Jonathanie — powiedziała nagle przyciszonym głosem. — Czy jesteś moim synem, czy twojego ojca? Mówisz dokładnie to co on mówił.

— Jestem twoim synem. I jego. Pamiętaj o tym, mamó. Kiedyś wszyscy musimy dorosnąć. Dotąd, kiedy on był, nie musieliśmy. Podejmował za nas wszystkie decyzje. Teraz musimy znaleźć własną drogę.

— Czy właśnie to robisz, Jonathanie?

— Próbuję, mamó. I dokonam tego, jeśli on mi pozwoli.

— Nigdy nie było z nim łatwo.

— Wiem.

— Ja też. — Nastąpiła kolejna krótka przerwa. — Gdzie się zatrzymujesz? Czy w jakiś sposób mogę się z tobą skontaktować?

— Nie, mamó. Kręcę się tu i tam. Nie wiem dokładnie, gdzie będę.

— Zadzwoń do mnie znowu? Ale szybko.

— Gdzieś w połowie przyszłego tygodnia — powiedziałem.

— Potrzebujesz jakichś pieniędzy?

— Jeszcze mam. Ale jak mi się skończą, wiem, gdzie dzwonić.

— Uważaj na siebie, Jonathanie. — Kocham cię.

— Też cię kocham, mamó — powiedziałem i odwiesiłem słuchawkę. Usłyszałem, jak moja dziesiątka z brzękiem spada do pojemnika na zwrócone monety. Wyłowiłem ją i wyszedłem z budki.

Anna czekała na mnie przed drzwiami sklepu. Otworzyła papierową torbę. — Czy te nasiona są dobre? Spojrzałem na nalepki. Fiołki, bratki, róże.

— Wyglądają dobrze. W ogóle nie znam się na kwiatkach.

— Ja też nie. Ale pomyślałam, że wyglądałyby ładnie wokół cmentarzyka. Sprzedawca powiedział, że rosną same.

— To pewnie tak jest.

— Jeb Stuart mówił, że będzie czekał na nas zaraz za stacją Exxonu, na skraju miasta.

— Dobrze — powiedziałem. — Twoja matka chce, żebyś do niej zadzwoniła.

— Powiedziałeś swojej matce, że ze mną wszystko w porządku? Skinąłem głową.

— To wystarczy.

— Chodźmy więc — rzekłem — Poczekaaj chwilę. Tu, za drzwiami, mam na wózku dwie wielkie torby jedzenia. Wydawało mi się, że nie bardzo przepadasz za groszkiem i włoszczyzną;

— Zrobiłaś to wszystko dla mnie?

Uśmiechnęła się. — Dziecku Betty May zmiana też nie zaszkodzi.

— Jest tu dwanaście grobów — powiedział Jeb Stuart. Spojrzałem na świeżo skopaną ziemię. Była czarna i wilgotna.

— Nie — powiedziałem. — Tylko jedenaście.

— Skąd wiesz? — Nie ma tu kamieni, ani żadnych znaków.

— Wiem. Tu jest miejsce dla mojego ojca, ale on leży gdzie indziej.

Pociągnąłem motykę po ziemi i wyrysowałem prostokąt w narożniku cmentarza. — To miało być jego miejsce.

Jeb Stuart spojrzał w niebo. — Robi się późno. Możemy skończyć jutro.

— Dobrze — powiedziałem.

Oparł grabie o drzewo. — Dam znać Betty May, że schodzimy.

Kiwnąłem głową i obróciłem się do Anny, która siedziała, oparta plecami o drzewo. — Masz papierosy?

Skinęła głową, zapaliła jednego i podała mi go. Nie odzywaliśmy się do siebie, dopóki Jeb Stuart nie opuścił nas. — Boję się — powiedziała.

— Czego się boisz?

— Śmierci.

Nie odpowiedziałem, tylko zaciągnąłem się dymem.

— Śmierć jest tutaj — powiedziała. — W tym miejscu. Ktokolwiek tu mieszka, umrze.

— Każdy umiera — odparłem.

— Wiesz, o czym mówię — rzekła. Wstała i podeszła do mnie. — Jonathanie, wyjedźmy stąd. Zaraz. Dziś w nocy.

— Nie — powiedziałem. — Jutro. Kiedy to skończę.

— Obiecujesz?

— Obiecuję.

— To dobrze. Idę na dół zobaczyć, czy Betty May czegoś nie potrzebuje.

— I nie pozwól jej przypalić steków.

— Nie pozwolę. Roześmiała się i zaczęła schodzić ścieżką w dół.

Wróciłem na cmentarzyk i kantem motyki wyryłem w ziemi imię mego ojca nad jego pustym grobem.

— *Dziękuję ci, synu.*

— *Ojcie, jak się nazywali?*

— *Ich imiona nie mają już znaczenia. Byli twoimi ciotkami i wujami, a moimi braćmi i siostrami. Ale oni już odeszli.*

— *Ale ty istniejesz.*

— *Tak. Bo widzisz, mam ciebie. Oni nie mają nikogo.*

— *To nie ma sensu.*

— *Nie musi mieć. Nic nie musi. Na przykład twoja dziewczyna.*

— *A co z nią?*

— *Jest w ciąży. — Usłyszałem jego cichy śmiech. — Ostatniej nocy otworzyła się przed tobą. Zatrzymała w sobie twoje nasienie.*

— *Cholera!*

— *To będzie krótko trwało. Potem je wyrzuci. To jeszcze nie czas. Dla żadnego z was.*

— *Dużo wiesz jak na zmarłego.*

— *Tylko umarły zna prawdę.*

Kiedy zszedłem ze wzgórza, usłyszałem muzykę dochodzącą z chaty. Jeb Stuart siedział na stopniu półciężarówki.

— Nie wiedziałem, że macie radio — powiedziałem. Spojrzał na mnie. — Myślałem, że wiesz. Anna je kupiła. Betty May cieszy się nim jak dziecko.

— Będę potrzebował pomocy, żeby wysiać nasiona. W ogóle się na tym nie znam.

— Betty May ci pomoże. Kocha kwiaty i naprawdę ma do nich rękę.

— Będę wdzięczny.

Patrzył na pole kukurydzy ciągnące się za mną. — Pięć, sześć tygodni. Potem zaczniemy żniwa.

— Potrzebujesz pomocy? Pokręcił głową. — Damy sobie radę.

— Kiedy Betty May spodziewa się rozwiązania?

— Liczymy, że za dwa miesiące. Mniej więcej wtedy, gdy zaczniemy destylować bimber.

— I chcesz go sprzedawać?

— Nie. Jest zbyt surowy. Przechowam go przez zimę w beczkach. Wtedy będzie dobry i dostanę najwyższą cenę. Surowa whisky nie jest nic warta.

Drzwi chaty otworzyły się i wyszła z niej Anna. — Kolacja gotowa.

Jeb Stuart podniósł się. — Już idziemy.

Steki były niezłe, ale Anna była rozczarowana. Betty May i Jeb zdawali się nie bardzo za nimi przepadać. Patrzyli przerażeni na krew tryskającą z naszych steków, a swoje postawili z powrotem na ogniu, by je dosmażyć, aż spaliły się niemal na węgiel. Dopiero wtedy wyglądali na zadowolonych. Właśnie piliśmy kawę, kiedy po raz pierwszy usłyszeliśmy zbliżający się, dudniący, rytmiczny dźwięk.

Betty May zamarła z filiżanką w ręce. — Co to? Nawet nie podniosłem wzroku. — Śmigłowiec. Znałem dobrze ten dźwięk. Ojciec miał jeden, używając go do krótkich wypadów. Nagle spostrzegłem zdziwienie na twarzy Jeba.

— Helikopter.

Łoskot stawał się coraz bliższy. — Jest całkiem nisko nad nami — powiedziałem.

— Może pójde mu się przyjrzeć. — Jeb podniósł się, zabrał dubeltówkę opartą o ścianę i otworzył drzwi.

Wyszliśmy za nim. Helikopter podchodził nad polem do lądowania, kierując się na małą polankę niedaleko chaty.

Zobaczyliśmy czarne litery namalowane na jego boku, gdy na krótko zawisł nad nami, a potem usiadł na ziemi.

POLICJA.

Otworzyły się drzwi i wyskoczyło z niego dwóch mężczyzn ubranych w mundury khaki i kawaleryjskie kapelusze.

Pilot pozostał za sterami w kabinie. Też nosił mundur, ale był bez kapelusza. Gdy obrócili się w naszą stronę, wieczorne słońce błysnęło na ich srebrnych gwiazdach przypiętych do koszul.

Jeb odezwał się pierwszy. — Cześć, szeryfie.

W głosie wyższego mężczyzny zabrzmiała nuta zdziwienia. — To ty, Stuart?

— Nikt inny.

Policjant uśmiechnął się i podszedł do Jeba, wyciągając rękę. Drugi policjant pozostał koło helikoptera. — Naprawdę cieszę się, że cię widzę, Jeb.

Jeb kiwnął głową, ściskając rękę szeryfa. — Właśnie skończyliśmy kolację. Trafił pan akurat, żeby napić się z nami kawy.

— Dziękuję. Byłbym naprawdę wdzięczny. — Obrócił się do policjanta za nim. — Wszystko w porządku. Za moment będę z powrotem.

Poszedł za nimi do chałupy. Tym razem Betty May nie siadła z nimi przy stole. Szybko postawiła przed szeryfem kubek gorącej kawy.

Szeryf napił się trochę. — Świetna kawa, Betty May. Uśmiechnęła się bez słowa.

— Naprawdę cieszę się, że was tu znalazłem — powiedział szeryf. — Mieliliśmy informację, że ktoś tu się osiedlił ponad rok temu, ale dopiero w zeszłym tygodniu dostaliśmy nowy helikopter. Do tej pory nie mieliśmy czasu, żeby to sprawdzić. Myśleliśmy, że będziemy musieli przepędzić stąd jakichś czarnuchów.

Jeb bez słowa kiwnął głową.

— Wszyscy zachodziliśmy w głowę, gdzie przepadłeś — powiedział szeryf. — To już ponad półtora roku, odkąd widziano cię w mieście.

— Doprowadzałem to miejsce do porządku — odparł Jeb.

— Widzę. Masz tu około trzech akrów kukurydzy. — Spojrzał bystro na Jeba. — Oczywiście, tę ziemię dzierżawisz legalnie.

Jeb zawahał się i zerknął na mnie. Kiwnąłem głową.

— Tak — odpowiedział.

— Od prawowitych właścicieli. Odezwałem się po raz pierwszy. — Zgadza się.

Szeryf spojrzał pytająco na Jeba. — To jest Jonathan Hug-gins — powiedział Jeb. — Syn Big Dana. Jonathanie, to szeryf Glay z powiatu Fitch.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. — Szeryfie Clay.

Szeryf skinął głową. — Twój tata był jednym z nas. Wszyscy bardzo go szanowaliśmy. Moje kondolencje.

— Dziękuję, szeryfie.

— Jesteś prawowitym właścicielem? — spytał.

— Tak. Powinien pan wiedzieć. — Ledwo to powiedziałem, uświadomiłem sobie, że nie było możliwości, by mógł wiedzieć. — Dokumenty są w urzędzie powiatu.

Wyglądał niewyraźnie. — Oczywiście.

— W Sentryville — powiedziałem. — Ta nieruchomość leży w powiecie Sentry.

Szeryf kiwnął głową.

— To sześćdziesiąt mil stąd. Pan po prostu wyręcza tamtejszego szeryfa, bo jest pan bliżej. Zgadza się?

— Zgadza się — powiedział szybko szeryf.

Schyliłem się z krzesła, podniosłem opartą o ścianę dubeltówkę Jeba, położyłem w poprzek stołu lufą w stronę brzucha szeryfa i odbezpieczyłem ją. — Narusza pan czyjeś posiadanie, szeryfie — powiedziałem. — Mógłbym pociągnąć za spust i rozwalić pana na pół, i nie ma sądu w całym kraju, który uznałby, że nie miałem prawa tego zrobić. Nie ma pan tutaj władzy ani niczego do szukania.

Wpatrywał się w strzelbę; twarz mu nagle pobladła. Pozostali jakby zamarli na swoich krzesłach. Tylko Jeb zaczął się podnosić.

— Nie ruszaj się, Jeb — warknąłem i spojrzałem na szeryfa. — A teraz, mam nadzieję, powie nam pan, dlaczego pan tu przyszedł.

Przełknął ślinę. — Żona Jeba oskarża go i Betty May o cudzołóstwo.

— To nie wystarczy, żeby przekraczał pan granice powiatu — powiedziałem. — Niech pan spróbuje jeszcze raz. Milczał.

— To nie mogły być trzy akry kukurydzy — rzekłem. — Zielony skrawek pośrodku nieużytków, jaki ujrzał pan sponad autostrady, prawda?

Ciągle milczał.

— A może miały tu być czarnuchy, których mógłby pan przepędzić. Trzy akry kukurydzy mogły być warte kupę pieniędzy. Pan jest szeryfem, zna pan ludzi, którzy mogliby się tym zająć.

Na twarzy szeryfa pojawił się szacunek pomieszany z irytacją.

— Masz rację — przyznał. — To nie moja sprawa, co się tutaj dzieje.

Zabrałem strzelbę ze stołu i oparłem ją z powrotem o ścianę.

— I tu właśnie jest pan w błędzie — powiedziałem. — Pan i Jeb macie ważne sprawy do omówienia. — Anna i ja wyjdziemy na dwór i zostawimy was, panowie, byście to omówili.

Szeryf spojrział na mnie. — Z tego, co słyszałem o twoim tacie, musisz być do niego cholernie podobny.

— W ogóle nie jestem do niego podobny — powiedziałem i wyszedłem.

Anna podążyła za mną. Oparłem się o półciężarówkę i zapaliłem papierosa, następnie podałem go jej, a sobie zapaliłem następnego. — Jutro wyjdziemy — powiedziałem. — Jak tylko zasadzimy kwiaty.

— Dokąd pojedziemy? — spytała.

Zamknąłem oczy i spojrzałem w przeszłość. — Dalej na południe.

Milczała dłuższą chwilę. — Czy wrócisz tu znowu?

— Tak. W drodze powrotnej do domu.

— Ja jutro jadę do domu.

Powróciłem z przeszłości. Otworzyłem oczy i zobaczyłem helikopter. Pilot wysiadł i rozmawiał teraz z zastępcą szeryfa; obaj gapili się na nas. Obróciłem się w jej stronę.

— Chciałabym tu kiedyś z tobą wrócić. Czy mogę? — W jej oczach pojawiły się łzy.

— Wiesz, że tak — powiedziałem.

Sięgnęła po moją rękę i chwyciła ją mocno. — Ten szeryf ma rację! Jesteś swoim ojcem!

— Szeryf tego nie powiedział.

— Ale ja to mówię.

Nie powiedziałem jej, że to samo powiedział ojciec.

— Widziałam go tyle, odkąd tu przyjechaliśmy, że chcę jechać do domu. Nie chcę widzieć nic więcej. Boję się.

Wydaje mi się, że mogę dostać pomieszania zmysłów.

Podniosłem jej rękę do ust i pocałowałem ją.

— Nie gniewasz się na mnie? — zapytała.

— Nie; — Spojrzałem na nią. — Wszystko gra.

Drzwi za nami otworzyły się i wyszli z nich Jeb z szeryfem. Obeszli półciężarówkę do miejsca, gdzie staliśmy. Jeb uśmiechał się. — Szeryf i ja doszliśmy do porozumienia.

— To dobrze — powiedziałem.

— Teraz nie będzie już kłopotów.

Obróciłem się do szeryfa, który powiedział szybko. — Niemożliwe, żeby Jeb mógł zrobić to sam. Czarnuchy i makaroniarze mieli go już namierzonego. Tylko czekali, aż skończy pracę, żeby potem się wprowadzić.

Kiwnąłem głową.

— Zamierzasz tu zostać, synu? — spytał szeryf.

— Jutro wyjeżdżam.

Zerknął w niebo. Słońce zaczęło kryć się na zachodzie. — Lepiej wracajmy. W nocy nie ufam żadnym maszynom.

Odwrócił się do Jeba. — Możesz przyjechać do miasta w sobotę. Oskarżenie przeciwko tobie zostanie już wycofane.

— Dziękuję, szeryfie.

Szeryf znowu spojrział na mnie. — Ile masz lat, synu?

— Siedemnaście.

Skinął głową. — Cały czas tak myślałem, kiedy trzymałeś dubeltówkę wymierzoną w mój brzuch. Siedemnaście. I ten wyraz, twojej twarzy. Tak samo musiał wyglądać twój tata, kiedy blisko pięćdziesiąt lat temu rozwalił starego Fitcha na tyłach jego sklepu. Miał wtedy siedemnaście lat. Posłali go do domu poprawczego do ukończenia osiemnastu lat. Ale nie został tam. Była wojna, a on zaciągnął się do armii i pojechał do Europy. Do Fitchville wrócił dopiero dwadzieścia lat po wojnie. Wtedy pojawił się pewnego dnia na stacji kolejowej w wózku inwalidzkim. Był cały połamany. Nie mógł chodzić. Była z nim kobieta. Nie była jego żoną. Mówiono, że gdzieś na Zachodzie ma małego synka. Kobieta kupiła za gotówkę samochód od dealera Dodge'a i przyjechali tu, w góry. Potem nikt już go nie widział, tylko tę kobietę, kiedy przyjeżdżała do miasta na zakupy. A jakieś sześć miesięcy później on pojawił się na stacji kolejowej, ucałował kobietę na pożegnanie, wsiadł do pociągu do Nowego Jorku i to był ostatni raz, kiedy ktokolwiek z miasta widział go tutaj.

— A ta kobieta? — spytałem.

— Czekala, aż pociąg ruszy ze stacji, potem odjechała samochodem i jej też nikt już potem nie widział.

— Widział pan kiedyś mojego ojca? — zapytałem.

— Nie, ale słyszałem tę historię od swojego ojca. Był zastępcą

szeryfa w 17 roku i szeryfem w 37. A słyszałem tę historię pewnie z tysiąc razy, bo kiedy tylko padało nazwisko twojego ojca, mój ojciec zawsze ją opowiadał.

Spojrzał na mnie. — Był bardzo dumny z twojego ojca, jednego z naszych chłopców, który stał się jednym z najważniejszych ludzi w kraju.

Znowu zerknął w niebo i wyciągnął do mnie rękę. — Jeśli chcesz o tym przeczytać, miejska biblioteka ma wszystkie stare wydania „Fitchville Journal” aż do wojny secesyjnej.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. — Jeśli będziesz czegoś potrzebował, po prostu zadzwoń.

— Dziękuję, szeryfie.

Obserwowaliśmy, jak helikopter oderwał się od ziemi i poleciał wprost na zachodzące słońce. Kiedy umilkł jego huk odbijający się o wzgórza, weszliśmy z powrotem do chaty. Podniosłem nasze śpiwory. — To był długi dzień — powiedziałem. — Myślę, że pozwolimy wam pójść wcześniej do łóżka.

Niebo było jeszcze złote, kiedy usiedliśmy w polu. — Nie wiedziałam, że nie mają ślubu — powiedziała Anna. — Ja też nie.

W milczeniu skręciła papierosa, zapaliła, potem dała mi go. Zaciągnąłem się parę razy i oparłem się na łokciu.

Czułem, jak spływa na mnie spokój. Oddałem jej skręta.

— Jonathanie — rzekła, wypuszczając dym nosem.

— Tak?

— Jedź ze mną do domu.

Spojrzałem na nią. — Nie mogę. Jeszcze nie teraz.

— Dlaczego?

— Ciągłe mnie o to pytasz, a ja ciągle odpowiadam ci tak samo. Nie wiem dlaczego.

Podawała mi skręta. Znowu pociągnąłem kilka razy, potem położyłem się na wznak i patrzyłem jak mrok przykrywa niebo jak koc. Skończyła skręta i zdusiła go starannie, zakopując w ziemi. Przysunęła się i położyła głowę na moim ramieniu.

— Będzie mi ciebie brakować. Nie odpowiedziałem.

— Wiesz, gdzie mnie znaleźć. Będę siedziała na werandzie w ogrodzie, patrząc na twój dom.

— Wiem.

— Nie bądź za długo — rzekła. — Chciałabym być z tobą jeszcze trochę, kiedy jestem młoda. Wszyscy dorastamy zbyt szybko.

Stałem przed chatą i patrzyłem, jak półcieżarówka zjeżdża w dół zakurzoną drogą. W tylnym oknie widziałem twarz patrzącej na mnie Anny. Podniosła rękę na pożegnaniie. Ja też podniosłem rękę. Potem już zniknęli, a ja podniosłem plecak i wsunąłem go na ramiona. Była prawie jedenasta i słońce już mocno grzało. Autobus o wpół do pierwszej dowiezie ją do Nowego Jorku na piątą. Jeśli na Grand Central złapie pociąg piętnaście po piątej, będzie w domu przed siódmą.

Ruszyłem w górę zbocza. Ścieżka wiodąca do autostrady doprowadziła mnie do cmentarza na pagórku.

Zatrzymałem się tam na chwilę, spoglądając na świeżo skopaną ziemię i równe rządkie sadzonek wokół grobów.

— Nie martw się, Jonathanie — obiecała Betty May. — Będę pilnować, żeby codziennie dostały wodę. Zanim się tu zjawisz, będą już kwiaty.

Spojrzałem w dół na chatę i zastanowiłem się, czy rzeczywiście kiedykolwiek tu powrócę. Może będę gdzie indziej.

— *Nie zastanawiaj się, synu. Wrócisz.*

— *Jesteś pewny, ojcze? Ty nigdy nie powróciłeś.*

— *Raz wróciłem. Szeryf opowiadał ci o tym.*

— *Ale nie zostałeś.*

— *Ty też nie zostaniesz.*

— *Więc po co? Równie dobrze mógłbym nie wracać.*

— *Będziesz musiał. Z tego samego powodu, dla którego ja wróciłem. Żeby się pozbierać.*

— *Nie rozumiem, ojcze.*

— *Zrozumiesz, Jonathanie. W swoim czasie. Wrócisz po swoje dziecko.*

— *Moje dziecko, ojcze?*

— *Tak, mój synu. Dziecko, którego nigdy nie miałeś.*

KSIĘGA DRUGA

WTEDY

1

Była druga w nocy. Resztki wiosennego śniegu, stopione w ciepłe dnia, teraz, w nocnym wietrze zamieniły autostradę w tafłę szklistego lodu. Chmury, pędzone przez wiatr, zasłoniły księżyc, pograżyły w ciemnościach nawet skraj drogi i nie było żadnego światła, które uchroniłoby go przed ślizganiem się na niepewnych nogach. Zaklął w duchu i idąc, szczelnie otulał się cienką kurtką.

Dziesięć mil na zachód od St. Louis. Autostrada 66. Jeszcze trochę i dojdzie do Kalifornu. Uśmiechnął się gorzko do siebie. To znaczy, jeśli po drodze nie zamarznie na śmierć. Starał się przejrzeć ciemność przed sobą. Szedł już prawie godzinę. Gdzieś tu powinien być parking dla ciężarówek. Przynajmniej tak mu powiedzieli, kiedy wyrzucili go z auta. Dwie mile drogą na zachód.

Nagle przystanął. A co będzie, jeśli okłamali go i nie ma tam nic? Zaczynał marznąć. Jeszcze jakieś pięć godzin i skończą się zmartwienia. Będzie martwy i sztywny jak karton w przydrożnym rowie. Wszyscy by się cieszyli. John L. z UMW, Big Bill z Carpentera, Murray i Green z centrali AFL. Nawet Hillman i Dubiasky, którzy nie znosili się wzajemnie, byłiby po prostu szczęśliwi, gdyby go nie było.

— Jedziesz do Kansas City — powiedzieli mu. — Jeśli ktokolwiek potrafi zorganizować związek w przemyśle mięsnym, to tylko ty.

To jak jazda na Syberię. Jak wynikało z jego rachunku, z czterech organizatorów, których tam ostatnio wysłali, tylko on jeszcze żył. Choć nie wiadomo, ile tego życia przed nim. Nie będzie parkingu, to z nich czterech nie zostanie nikt. Równie dobrze mogli go powiesić w zamrażarce na haku rzeźnickim, jak to zrobili z biednym Samem Mastersem. Trzy dni w samochodzie z trzema makaroniarzami. Trzy dni jedzenia kanapek z kielbasą z czosnkiem, tak że smród mógłby lepiej napędzać samochód niż benzyna. Trzy dni srania na poboczu z dupą marznącą na wietrze i zastanawiania się, czy mają zamiar podejść go z tyłu i przestrzelić łeb czy dupę. Trzy dni wyczekiwania pod budkami telefonicznymi, kiedy oni dzwonili po instrukcje. Dopiero ostatniej nocy, kiedy tamci wrócili do samochodu, wiedział, że czekanie się skończyło. Nagle przestali rozmawiać. Nawet między sobą. Samochód ruszył na zachód autostradą 66. O północy przemknęli przez St. Louis. Dwadzieścia minut później zatrzymali samochód na pustej autostradzie.

Drzwi otworzyły się, ciężki but kopnął go w bok, aż wyleciał na oblodzoną drogę. Wylądował płasko na plecach, rozrzucając obie ręce na boki. Widział mężczyznę wychylającego się przez drzwi; w jego ręce majaczył rewolwer, wielki jak armata. Instynktownie zwinął się w kłębek, by stać się możliwie najmniejszym celem. Słyszał huk strzałów, gdy tamten opróżnił magazynek rewolweru. Prawie czuł rozdzierające go kule. A potem rewolwer zamilkł. Cisza. Nie mógł uwierzyć. Obrócił się, wpatrując się w strzelca.

Włoch wyszczerzył zęby. — Zerznąłeś się w gacie. Czuję to.

— Taak... — powiedział.

— Masz szczęście — powiedział rewolwerowiec. — Nie wracaj do Kansas City, bo następnym razem nie poczujesz już smrodu własnego gówna. Będiesz martwy.

Drzwi auta trzasnęły, silnik zawył i samochód, zawróciwszy na drodze, pomknął w kierunku Kansas City. Nagle zatrzymał się i na wstecznym biegu jechał szybko w jego kierunku. On tymczasem zdążył już się podnieść.

Szofer zatrzymał się naprzeciw niego. Wychylił się, wskazując ręką w odwrotnym kierunku niż jechał samochód. — Idź w tamtą stronę. Dwie mile stąd jest parking dla ciężarówek.

Potem samochód znowu ruszył, a jego tylne światła szybko zniknęły w oddali na autostradzie.

Wydostał się z pobocza na drogę i wyczyścił się, na ile mógł, roztopionym w rękach śniegiem. Wytarł się lodowatymi, kruchymi strzępami jakiejś gazety, którą przywiał tu wiatr, potem ruszył przed siebie. Minęły dwie godziny, gdy nagle zobaczył światła. Zajęło mu to dalsze pół godziny biegu i marszu, zanim do nich dotarł.

Białe i czerwone żarówki świeciły jak szyld nad wrotami do nieba. PARKING. PALIWO. POSIŁKI. NOCLEGI. KĄPIEL. Sześć wielkich ciężarówek, zasnurowanych brezentem, stało zaparkowanych po drugiej stronie stacji, schronionych w zaciszu przed żywiołem. Zanim wszedł do budynku, obszedł je ostrożnie. Nie było żadnych samochodów osobowych. Nie mógł na nic liczyć na wypadek, gdyby makaroniarze zmienili plany i wrócili tu po niego. Poza tym, to mogła być zasadzka. Ktoś mógł tu na niego czekać.

Cicho podszedł do okna z boku budynku i zajrzał do środka. Restauracja była pusta, jeśli nie liczyć kelnerki, zajętej nakrywaniem stołów do śniadania, i bufetowego, który czytał gazetę, oparłszy swój wielki brzuch o kasę. Jeszcze raz dla pewności rozejrzał się dookoła, podszedł do frontowych drzwi i otworzył je, ale nie wszedł do środka. Stał w otwartych drzwiach.

— Kurwa, zamknij te drzwi! — krzyknął bufetowy. — Jest mróz,

— Proszę wejść — zawołała kelnerka.

— Przede wszystkim muszę się wykapać — powiedział. Mimowolnie zaczął szczekać zębami.

Kelnerka przyjrzała mu się. — Bardziej potrzebuje pan czegoś gorącego od środka. Przygotuję kubek kawy.

— Gdzie jest łazienka? — Proszę mi tam przynieść kawę. -Spojrzał na bufetowego. — Nie masz jakichś wolnych spodni na sprzedaż?

Bufetowy rzucił mu krótkie spojrzenie. — Dobrze się czujesz?

— Pewni makaroniarze zdrowo mi dokopali, a potem zostawili na drodze jak psa — powiedział. — Przemarzę na kość.

Bufetowy milczał przez chwilę. — Mam parę spodni roboczych, które mogłyby na ciebie pasować. Ale to cię będzie kosztować dwa dolary. Są prawie nowe.

Mężczyzna włożył rękę do kieszeni kurtki i wyjął banknot. Wyciągnął go w stronę kelnerki.—Tu jest pięć dolarów. Proszę mi przynieść kawę i spodnie do łazienki. I brzytwę, jeśli może mi pani pożyczyć!

Kelnerka wzięła banknot z jego ręki. — Łazienka jest tam, w budynku po lewej, obok pokojów noclegowych.

— Dziękuję pani — powiedział uprzejmie.

Drzwi zamknęły się za nim i zobaczyli, jak idzie wzdłuż okien za róg budynku. Kelnerka przyjęła pięciodolarowy banknot do kasy i podała go bufetowemu.

— Te spodnie nie są więcej warte niż dolar i dobrze o tym wiesz — powiedziała z wyrzutem.

— Może dla ciebie albo dla mnie. Ale dla niego są warte dwa dolary. — Bufetowy zapisał w kasie dwadzieścia pięć centów, wziął resztę, schował do kieszeni dwa dolary i oddał jej pozostałe pieniądze. — Policzyłem za kąpiel i brzytwę.

— W porządku.

— Spodnie wiszą w szafce za drzwiami.

— Wiem, gdzie są — powiedziała, przechodząc obok niego do kuchni.

Gdy go mijala, klepnął ją po pełnych pośladkach. — Gdybyś była mądra — zaśmiał się. — Mogłabyś tak zrobić, żeby w ogóle nie dostał reszty.

Rzuciła mu spojrzenie pełne pogardy. — On to nie ty, głupcze — powiedziała złośliwie. — On może mieć to za darmo.

Brał właśnie gorącą kąpiel, gdy weszła do łazienki. Głowę odchylił to tyłu i zamknął oczy. Pierwsze, co dostrzegła, to czarnoniebieskie siniaki na jego ciele. Potem zauważyła podbite i opuchnięte oko, policzek i szczękę.

— Rzeczywiście się nad panem napracowali — powiedziała cicho.

Otworzył oczy. — Miałem szczęście, że mnie nie zabili — stwierdził rzeczowo. Wskazał na podłogę przy wannie.

Leżały tam jego pogniecione spodnie. Marynarka i koszula schły, wisząc równo ułożone na oparciu krzesła przed grzejnikiem. — Proszę wyrzucić spodnie na śmietnik. Koszulę już wyprałem.

— Dobrze — powiedziała, schylając się, by je podnieść.

— Lepiej wziąć najpierw jakąś gazetę. Nie żartuję.

Weszła do sąsiedniego pokoju i wróciła z gazetą. Ostrożnie podniosła spodnie, nie dotykając ich, i owinęła je w papier. Położyła brzytwę i jego resztę na krześle, na którym wisiała marynarka. -

— Wyrzucę je. Potem przyjdę panu pomóc.

— Dziękuję pani, ale chyba dam sobie radę.

— Niech pan nie będzie głupi — powiedziała ostro. — Wychowywałam się z pięcioma braćmi i dwa razy wychodziłam za mąż, więc wiem, kiedy mężczyzna potrzebuje pomocy, a kiedy nie.

Obrócił się, by na nią spojrzeć. Pomimo opuchniętych oka i policzka, czuła w jego twarzy jakąś siłę. — I myśli pani, że potrzebuję pomocy?

— Ja to wiem.

Skinął głową. — Więc grzecznie dziękuję i z wdzięcznością przyjmuję propozycję.

Po powrocie przyciągnęła krzesło do wanny i zaczęła go delikatnie myć małym, namoczonym w wodzie z mydłem, ręcznikiem. Był potłuczony na całym ciele i mimowolnie krzywił się z bólu, gdy go dotykała. Dwa razy zmieniła wodę w wannie, myjąc mu na końcu twarz i głowę. Potem ostrożnie ogoliła go. Z rany nad krzaczastą brwią zaczęła płynąć krew.

—^y Kiepsko to wygląda — powiedziała. — Rano musimy wezwać doktora, żeby to zszyl. Bo inaczej zostanie panu wielka blizna.

Z czystej ścierki oderwała pasek materiału i przycisnęła go do rany. — Proszę to tak trzymać, a ja przyniosę jakiś plaster, żeby to przykleić.

Za chwilę była już z powrotem. Wprawnie rozdarła szeroki plaster pośrodku i zrobiła mu nad okiem zgrabny opatrunek w kształcie krzyża.

— No dobrze, może pan teraz wstać i się wytrzeć. Krzywiąc się z bólu, podniósł się, wziął z jej rąk ręcznik i owinął się nim. Podążyła mu ręką, żeby nie stracił równowagi, wychodząc z wanny.

— Dobrze się pan czuje? Skinął głową.

— Może'powinien pan położyć się na trochę. Mogę przynieść coś do jedzenia.

— Nic mi nie będzie — powiedział wycierając się. — Czy w restauracji jest telefon?

Potaknęła głową.

— Najpierw muszę zadzwonić. — Powiódł palcem po swym policzku, spojrzął w lustro, potem odwrócił się do niej.

Wie pani — powiedział niemal zawstydzony. — Po raz pierwszy w życiu goliła mnie jakaś kobieta.

— No i jak?

Uśmiechnął się do niej; wyglądał teraz niemal młodo.

— Naprawdę dobrze. Mężczyznę można zepsuć czymś takim. Roześmiała się. — Wracam i przygotuję panu śniadanie. Czy

mogą być bułki pszenne, kielbaski i jajka?

— Doskonale — powiedział. — Będę dokładnie za dziesięć minut.

2

Spodnie bufetowego były na niego o dwa numery za duże; pomarszczone, trzymały się na pasku, opiętym wokół talii. Kiedy już spałaszował drugą furę płatków pszennych, jaj i kielbasek, rozparł się na krześle, z zadowoleniem popijając drugi kubek kawy. — To było dobre.

Kelnerka uśmiechnęła się do niego. — Już myślałam, że chce pan tyle zjeść, żeby spodnie nie były na pana za duże.

Uśmiechnął się smutno. — Nie wiedziałem, że jestem taki głodny. Macie jakieś cygara?

— No jasne. Tampa Specials. Prawdziwe hawańskie. Piątka za sztukę.

Uśmiechnął się szeroko. — Tego właśnie mi trzeba. Dobrego cygara za piątkę. Wezmę dwa.

Poszła za kontuar i wróciła z pudełkiem. Wyjął dwa cygara, jedno włożył do ust. Zapaliła zapałkę i podała mu ogień, a on mocno pociągnął. Spod krzaczastych brwi spojrzął na nią w górę poprzez chmurę dymu. — Dziękuję. A teraz, gdzie jest telefon?

Wskazała mu automat na przeciwległej ścianie. Łyknął znowu trochę kawy, potem podszedł do telefonu. Sprzątnęła stół i poszła za kontuar, gdzie bufetowy opierał się o kasę. Umieściła talerze w zmywarce. Jeszcze pół godziny i przyjdzie poławiacz pereł, to będzie mógł je umyć.

Podeszła z powrotem do bufetowego. — Jestem wykończona. Nie mogę się doczekać, kiedy pójde do domu.

— Nie wiem dlaczego — odparł. — Nic nie robiłaś. Dziś w nocy nic się nie działo.

— Takie noce są właśnie najgorsze. Jak się jest zajęтым, to przynajmniej czas się nie wlecze.

— Jeszcze pół godziny i koniec.

Usłyszeli brzęk monety w aparacie telefonicznym i obejrzel się. Miał niski głos, ale było go dobrze słyhać.

— Zamiejscową, proszę. Na rachunek abonenta w Washington D.C. Numer Capitol 2437.

Zwrócona moneta zadźwięczała w rynience. Wyłowił ją i, paląc cygaro, czekał. Po chwili odezwał się znowu. — Proszę dalej dzwonić. Ktoś tam na pewno jest i podniesie słuchawkę.

Cierpliwie palił cygaro. Znowu zgłosiła się międzymiastowa. Nagle w jego głosie pojawił się władczy ton. — Po prostu dzwoń dalej, panienko. Telefon jest w holu na dole, a oni śpią na górze. Dzwoń odpowiednio długo, to cię usłyszą.

Chwilę później ktoś odpowiedział. Ściszył głos.

— Moses, tu Daniel B... Nie, nie jestem martwy. Z piekła nie można się dodzwonić... Tak, wrócili do pracy w Kansas City. Wiem o tym. Powiedz Johnowi L. i Philowi, że pojechaliśmy tam jak banda amatorów. Fabrykanci zdążyli już wszystko ustawić. Gliny i makaroniarzy. Nie mieliśmy szans. Ostatnie trzy dni spędziłem, jeżdżąc samochodem z bandą pozeraczy czosnku. Wiedziałem, że w chwili, kiedy wyrzucili mnie z samochodu, strajk się zakończył. Nie żyłbym teraz, gdyby dalej trwał. Wyrzucili mnie pod St- Louis. Dzwonię z przydrożnego zajazdu. Biuro jest mi winne nowe ubranie.

Palił teraz cygaro, podczas gdy mówił ktoś po drugiej stronie. Gdy znowu się odezwał, jego głos był lekko ochrypły.

— Czuję się dobrze. Jestem tylko trochę obity; miałem gorsze... Nie, tak szybko nie wracam. Cztery lata jestem bez urlopu

i odpoczynku. Czas, żebym wziął go trochę. Chcę coś robić na własną rękę. Mam dość wykonywania czyichś rozkazów.

Znowu słuchał swojego rozmówcy po drugiej stronie drutu. Tym razem jego głos brzmiał zdecydowanie. — Koniec z tym... Nic mnie nie obchodzi, co dla mnie przygotowali. Pewnie jakąś nową samobójczą pracę... Chyba do Kalifornii. Jestem już w połowie drogi. Może będę mógł zerwać parę pomarańczy z nasłonecznionych drzew i zjeść je świeże i słodkie... Tak, będę w kontakcie. Nie, pieniądze mam... Nie będę się tu kręcił, czekając, aż John L. oddzwoni. Z tego, co wiem, zjadacze czosnku mogli zmienić plany. Jadę dalej, póki sytuacja jest jeszcze dobra... Tak, wiem. Sytuacja się poprawi, tylko nie wiem, co my z tego będziemy mieli. John L. upiera się przy Landonie, a Roosevelt nie potraktuje go za to zbyt dobrze... Roosevelt wygra drugą kadencję... W porządku, zadzwonię do ciebie, kiedy dojadę do Kalifornii.

Odłożył słuchawkę i wrócił do swojego stolika. Podniósł rękę, a kelnerka przyniosła mu następną filiżankę kawy. — Jest tu w okolicy jakiś hotel, gdzie mógłbym wynająć pokój? — spytał.

— Najbliższy jest w St. Louis.

Potrząsnął głową. — To w złym kierunku. Jadę na zachód, a nie na wschód. — Upił trochę kawy. — Czy myśli pani, że mógłbym zabrać się którąś z tych ciężarówek jadących na zachód?

— Może pan spytać. Oni wcześniej wstaną.

— Zapytam. Dziękuję.

Ruszyła z powrotem do bufetu. W połowie drogi odwróciła się i wróciła do niego.

— Mówił pan serio? Jedzie pan do Kalifornii? Skinął głową.

— Nigdy tam nie byłam. Słyszałam, że jest tam naprawdę ładnie. Cały czas świeci słońce i nigdy nie jest zimno.

Spoglądał na nią bez słowa.

— Mam samochód — powiedziała. — Taki sobie. Stary Jewett. Ale jeździ. Możemy podzielić na pół koszty i wydatki.

Przez chwilę palił w milczeniu cygaro. — A co z pani pracą?

— Taką pracę mogę dostać wszędzie. Nie płacą mi pensji, mam tylko napiwki.

— A rodzina?

— Nie mam żadnej. Mój ostatni mąż odjechał, zostawiając za

sobą kłęby dymu, kiedy dotarło do niego, że nie lubi płacić rachunków. Rozwiodłam się z nim w zeszłym roku.

— A co z tymi braćmi, o których mi pani opowiadała?

— Żaden tu nie został. Wszyscy się rozsypali. Tu nie ma tyle pracy.

Z namysłem kiwnął głową. — Ma pani pieniądze?

— Jakies dwieście dolarów gotówki. Mam człowieka, który chce kupić mój dom. Daje mi czterysta w gotówce, jeśli dodam meble.

Znowu milczał. Badał ją oczami. — Ile ma pani lat?

— Dwadzieścia sześć.

— Nie zamierza pani zostać gwiazdą filmową — powiedział. Uśmiechnęła się. — Nie przewiduję tego. Po prostu chcę znaleźć

sobie miejsce, gdzie będę mogła przyzwoicie żyć. Przechylił się do tyłu na krześle.

— Jak szybko może pani wyjechać?

— Dzisiaj. Mogę się spakować, spotkać z kupcem domu, odebrać pieniądze i możemy być w drodze dziś po południu.

Nagle uśmiechnął się, cała jego twarz pojaśniała. Wyciągnął rękę. — Dobrze. Jedziemy do Kalifornii.

Roześmiała się. Niespodziewanie dotyk jego ręki zelektryzował jej ramię i poczuła, że się rumieni. — Jedziemy do Kalifornii.

Ciągle trzymając jej rękę, spojrzał na nią do góry. — Nie wiem nawet, jak masz na imię.

— Tess Rollins.

— Miło mi cię poznać. Ja nazywam się Daniel. Daniel B. Huggins.

Lekarz wyprostował się i obciął końcówkę szwu.

— Tak dobrze zszyć to nie udało się nigdy nawet mojej starej na jej Singerze. Niech pan tylko popatrzy.

Daniel spojrzał w lustro, które przytrzymał mu lekarz. To, co było przedtem szeroką i głęboką raną, teraz stało się cienką, jakby narysowaną ołówkiem linią z małymi, czarnymi kropkami poniżej i ponad nią, w miejscach, gdzie wystawały nici. Jediną rzeczą, która wyglądała chyba inaczej, była jakby lekko podniesiona brew. Dotknął jej.

— Czy brew już tak zostanie?

— Opuści się trochę, kiedy wyjmą szwy. Po jakimś roku będzie wyglądała jak ta druga.

Daniel wstał z krzesła.

— Jeszcze chwilę. Chcę na to nałożyć bandaż. — Lekarz pracował szybko. — Ważne, żeby utrzymywać czystość.

Proszę przyjść za sześć dni, wtedy zdejmemy szwy.

— Nie będzie mnie tu — powiedział Daniel.

Lekarz skończył zawijać bandaż i przyczepił go zgrabnie cienkimi paskami plastra. — Mogą to panu zrobić w każdym szpitalu czy klinice.

Daniel sięgnął do kieszeni.

— Ile jestem panu winien, doktorze?

— Czy dwa dolary to nie będzie za dużo? — spytał z wahaniem lekarz.

— Dwa dolary to akurat — powiedział Daniel. Z kieszeni wyciągnął zwitek i odliczył dwa banknoty. — Dziękuję, doktorze.

Spostrzegł, że lekarz ogląda banknoty. — Coś nie tak, doktorze?

Lekarz uśmiechnął się i potrząsnął głową. — Nie. Tylko właśnie sobie pomyślałem, że od dwóch miesięcy był pan pierwszym pacjentem, który zapłacił mi gotówką.

Daniel roześmiał się. — No, to niech pan jej tylko nie przepuści.

Doktor też się roześmiał. — Bez obaw. Może je po prostu oprawię, żeby przypominać sobie, jak wyglądają prawdziwe pieniądze.

Wyszedł za Danielem do poczekalni, gdzie siedziała Tess. Podniosła się. — Czy to było coś poważnego, doktorze?

Lekarz uśmiechnął się. — Widziałem wiele gorszych rzeczy. Proszę tylko pilnować, żeby było tam czysto.

Kiwnęła głową. — Dopilnuję tego.

Daniel poszedł do jej samochodu. Był to Jewett combi z przymocowanymi celuloidowymi osłonami szyb na zimę.

Wsiadł do auta. Ona obeszła je i wsiadła od strony kierowcy.

— Gdzie teraz? — spytał, kiedy siedziała już za kierownicą.

— Prosto do banku, podpisać dokumenty i przenieść hipotekę. Potem pojedziemy do domu oddać klucze nowemu właścicielowi.

Włożył cygaro do ust. — Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? Ciągle jeszcze możesz się rozmyślić. Jak podpiszesz papiery, nie będziesz miała wyboru.

— Już się zdecydowałam.

Prawnik w banku poradził jej zostawić pieniądze na koncie kazać je przesłać, kiedy będzie już w Kalifornii.

Spojrzała na Daniela.

— To dobry pomysł. Nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć w drodze, kiedy masz wszystkie pieniądze przy sobie.

— Jak uważasz, ile gotówki mogę potrzebować?

— Może setkę. Pewnie mniej. Ale to powinno nam wystarczyć. Poza tym, jeśli będziemy mieli jakieś problemy, ja mam pieniądze przy sobie. Rozliczyć się możemy później.

— Dobrze — powiedziała do prawnika.

Wyruszyli po lunchu i jechali całe popołudnie aż do późnego wieczoru. Kiedy zjechali z drogi, by poszukać miejsca na noc, byli trzysta trzydzieści mil od St. Louis. Zatrzymali się przed starym domem z szyldem POKOJE DO WYNAJĘCIA, oświetlonym pojedynczą żarówką. Wysiedli z auta, zapukali do drzwi i weszli do środka.

Pałący fajkę starszy mężczyzna przyjrzał się im.

— Witajcie, ludzie. Czym mogę służyć?

— Potrzebujemy pokoju na noc — powiedział Daniel.

— Ze śniadaniem? Daniel kiwnął głową.

— Mam dla was naprawdę dobry pokój. Wielkie podwójne łoża. Dolar pięćdziesiąt ze śniadaniem — powiedział mężczyzna i zaraz dodał: — Płatne z góry.

— W porządku — powiedział Daniel, sięgając do kieszeni. — Można gdzieś tu zjeść kolację?

— Jeżeli nie szukacie czegoś niezwykłego, moja stara może wam coś przygotować. To będzie dodatkowo po pięćdziesiąt centów od osoby.

Daniel odliczył pieniądze. Mężczyzna podniósł się. — Pomóc panu zanieść torby?

— Dam sobie radę.

Staruszek wyciągnął klucz z szuflady biurka i wręczył go Danielowi.

— Pierwszy pokój na górze przy schodach — powiedział. — Ja tymczasem pójde powiedzieć żonie, żeby przygotowała wam koła-cję. Zanim umyjecie się i zejdziecie na dół, będzie już gotowa.

Kolacja nie była wyszukana. Smażony kurczak z ziemniakami. Zielona fasola z puszki i kukurydza. Świeży chleb i kawa.

— Śniadanie jest punktualnie o siódmej — powiedział staruszek, gdy szli schodami na górę.

Weszli do pokoju. Daniel rozejrzał się po nim, potem zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła.

— W następnym mieście, do którego dojedziemy, muszę kupić jakieś koszule, skarpety, bieliznę, garnitur i drugą parę butów — rzekł.

— Dobrze.

Zaczął rozpinąć koszulę, ale przerwał i spojrzał na nią.

— Chcesz się rozebrać?

Skinęła głową. — Myślałam, że poczekam, aż pójdziesz do łazienki. Ja pójdę po tobie. Mnie to zabierze więcej czasu. Wiesz, muszę zmyć makijaż i zdjąć rzeczy.

— W porządku — powiedział i wyszedł z pokoju. Białe kalesony wystawały mu ze spodni, kiedy szedł korytarzem do otwartej łazienki. Wrócił, nim minęło dziesięć minut.

Ona już się rozebrała i miała na sobie biały szlafrok.

— Może wyciągniesz się i odpoczniesz trochę? Spróbuję nie być zbyt długo.

Kiwnął głową, zdjął spodnie i wyciągnął się w bieliźnie na łóżku. Spojrzał na sufit. Życie miało czasem zwyczaj rozdawania kart ze spodu talii. Tydzień temu w Kansas City miał doskonały apartament w najlepszym hotelu w mieście. Wszystko, co musiał robić, to podnieść słuchawkę i już miał to, czego sobie życzył. Najlepszą whisky, najlepsze dziewczki. A śniadanie podawano mu, kiedy tylko miał na nie ochotę.

Wróciła do pokoju dwadzieścia minut później. — Nie myślałam, że zejdziesz tak długo.

Nie odpowiedział. Dopiero zauważyła, że śpi jak zabity.

— Danielu — powiedziała, ale on nie poruszył się.

W milczeniu zdjęła szlafrok i położyła go w nogach łóżka. Spojrzała na siebie. Cholera! Zaklęła w duchu. Włożyła swoją najbardziej seksowną koszulę nocną.

Zgasiła światło i w pokoju zapanowały ciemności. Obeszła i wśliznęła się do pościeli. Ostrożnie wyciągnęła rękę i dotknęła go. Też się nie poruszył. Cofnęła rękę i wpatrywała się w niego

w ciemnościach. Miał odprężoną twarz. Kiedy spał, wyglądał o wiele młodziej. Był o wiele bardziej bezbronny.

Nagle uśmiechnęła się do siebie. Po tych wszystkich facetach w zajeździe, próbujących wleźć do jej łóżka, pierwszy, z którym poszła od czasu, gdy zostawił ją mąż, zasnął w czasie pierwszej wspólnej nocy.

Spontanicznie przesunęła się w łóżku i pocałowała go w policzek.

— Mam nadzieję, że jazda do Kalifornii zajmie nam dużo czasu— szepnęła. Potem odsunęła się z powrotem na swoją stronę i zamknęła oczy. Zanim zdała sobie z tego sprawę, już spała.

3

Wjechali do Tulsy następnego dnia, około pierwszej w południe, w samym środku burzy zacinającego deszczu ze śniegiem. Wycieraczki nie mogły już czyścić przedniej szyby, gdyż na szkle tworzył się lód, a plastikowe osłony właściwie nie chroniły przed zimnem wdzierającym się do samochodu. Raz jeszcze wyciągnął rękę, próbując oczyścić przednią szybę za pomocą ręcznego pokrętła. Nic to nie dało, pióra wycieraczek tylko ślizgały się po lodzie.

— Lepiej zatrzymajmy się tutaj — powiedział. — Nie ma sensu jechać dalej, zanim burza nie przejdzie.

Kiwnęła głową, szcękając zębami pomimo grubego swetra, jaki miała na sobie pod płaszczem.

— Miej oczy szeroko otwarte — powiedział. — Rozglądaj się za jakimś przyzwoitym hotelem.

Poruszali się wolno prawdopodobnie główną ulicą i wjechali do handlowej części miasta. Chodniki były prawie puste, burza wystraszyła większość pieszych. Sklepy, z oświetlonymi w dzień wystawami, wyglądały dziwnie smutno.

— Tam jest jakiś szyld — powiedziała. — Hotel Turystyczny Browna. Prosto przed nami.

Szyld przed hotelem wskazywał drogę na przyległy parking. Wjechał tam autem, możliwie najbliżej bocznego wejścia do hotelu. Wyłączył silnik. — Nie wygląda źle — stwierdził.

— Chodźmy do środka. Zupełnie przemarzłam.

Pędem przebiegli drogę z samochodu do wejścia. Hol był mały i skromny, ale wyglądał czysto i przyjemnie. Podeszli do recepcjonisty stojącego za kontuarem. Na ścianie za nim, ponad półkami na klucze, widniał prosty napis: CZARNUCHOM I INDIANOM WSTĘP WZBRONIONY.

— Słucham pana? — powiedział recepcjonista.

— Macie podwójny pokój? — spytał Daniel. Recepcjonista zajął do spisu pokoi. — Ma pan rezerwację? Daniel po prostu spojrzał na niego i recepcjonista nagle zupełnie stracił głowę. — Ależ oczywiście, proszę pana. Życzy pan sobie podwójny luksusowy z łazienką za dolara, czy zwykły podwójny z łazienką w holu za sześćdziesiąt centów.

— Weźmiemy ten luksusowy — stwierdził Daniel.

— Dziękuję panu — powiedział recepcjonista, podsuwając mu rejestr. — Proszę się wpisać.

Zadzwoił na chłopca hotelowego. — To będzie jeden dolar, płatny z góry.

Daniel spojrzał na Tess i wpisał do książki: *Pan i Pani D. B. Huggins, Washington D.C.* Zjawił się chłopiec.

Recepcjonista wręczył mu klucz.

— Pokój 405, proszę pana — powiedział grzecznie, zerkając do rejestru. — Jestem pewny, że się panu spodoba, panie Huggins. To przyjemny, narożny pokój. Chłopiec pomoże panu zabrać bagaż.

Daniel obrócił się do bagażowego. — Najpierw zaprowadź nas do pokoju, potem możesz wziąć naszą torbę z samochodu. To Jewett stojący tuż pod drzwiami.

Podążyli za chłopcem do windy, potem do pokoju. Recepcjonista nie mylił się. Ledwo weszli, Tess pobiegła do łazienki. Daniel zwrócił się do chłopca. — Kiedy już przyniesiesz torbę, jakie są możliwości, żeby dostać duży dzbanek kawy i butelkę whisky?

— W tym powiecie jest bardzo sucho, proszę pana — powiedział z kamienną twarzą chłopiec.

Daniel wyciągnął z kieszeni dolara. — Ciągle tu tak sucho? Chłopiec kiwnął głową. — Tak, proszę pana. Daniel dodał jeszcze jednego dolara. — A teraz? Chłopiec, biorąc dwa dolary, uśmiechnął się szeroko. — Zobaczymy, co się da zrobić. Zaraz wracam. Dziękuję panu.

Drzwi zamknęły się za nim, gdy Tess wyszła z łazienki.

— Jezu — powiedziała. — Już myślałam, że mi tama puści.

Roześmiał się. — Wiem dokładnie, jak to jest. Zaraz też tam idę.

Chłopiec był z powrotem ze wszystkim przed upływem dziesięciu minut. Waliza, dzban kawy, półlitrowa butelka whisky, szklanki, lód, kubki i spodki. — Czy coś jeszcze, proszę pana?

— Jest tu jakaś dobra restauracja? — zapytał Daniel.

— Tuż obok. Do wpół do trzeciej dostanie pan pełny trzydaniowy lunch za trzydzieści pięć centów.

Daniel rzucił mu ćwierć dolara. Podniósł butelkę, odpięczętował ją, potem zębami wyciągnął korek. Spojrzał na Tess. — To nas rozgrzeje.

— Dosłownie odrobinę. Bardzo szybko się upijam. Nalał jej trochę do szklanki, potem solidną porcję sobie.

— Do dna. — Wypił whisky jednym łykiem, potem drugą porcję, podczas gdy ona kończyła swoją. Odstawił szklankę i nalał kawę. Popijali powoli.

— Teraz lepiej się czujesz? — spytał. Skinęła głową.

Rozejrzał się po pokoju. — Nieźle tu.

— Naprawdę przyjemnie — powiedziała. Spojrzała na niego. — Wiesz, nigdy przedtem nie spałam w takim eleganckim hotelu.

Roześmiał się i wstał. — Ruszaj się. Chodźmy na dół coś zjeść. Potem muszę porobić zakupy.

Stał przed wysokim lustrem i przyglądał się sobie. Ciemnopopielate ubranie w wąską jodełkę dobrze na nim leżało.

Obrócił się do Tess. — Co o nim sądzisz?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, ekspedient odezwał się pełen entuzjazmu. — Najnowszy nowojorski styl, proszę pana. Proszę zwrócić uwagę na zakładki na spodniach. Najprawdziwsza wełna i jedwabna podszewka. Tylko czternaście dziewięćdziesiąt pięć z jedną parą spodni, siedemnaście pięćdziesiąt z dwiema.

— Wyglądasz cholernie przystojnie — powiedziała Tess. Wezmę je. Z dwiema parami spodni. Ile zajmie zrobienie mankietów?

— Dziesięć minut, proszę pana.

— Dobrze. Kiedy będę czekał, proszę o trzy koszule Arrows, dwie białe, jedną niebieską, trzy pary czarnych skarpetek, trzy pary kalesonów, parę czarnych butów i ciemny krawat z popielatym albo czerwonym ukośnym paskiem.

Szeroki uśmiech rozjaśnił twarz ekspedienta. — Oczywiście, proszę pana. I byłoby nam przyjemnie, gdyby przyjął pan krawat jako prezent od nas. Lubimy dbać o naszych dobrych klientów.

Piętnaście minut później Daniel wiązał krawat przed lustrem. Wsunął się w marynarkę, którą przytrzymał mu ekspedient.

— Gdybym mógł coś panu zaproponować? — powiedział sprzedawca, zawieszając głos.

— Tak?

— Brakuje jeszcze jednej rzeczy. Kapelusza. Jesteśmy bezpośrednimi agentami Adam Hats z Nowego Jorku i mamy okazjnie nowy model z opadającymi kresami. Dolar dziewięćdziesiąt pięć.

Kiedy Daniel opuścił sklep, kapelusz spoczywał równo na jego głowie. Szli ostrożnie pod występami budynków. Nie chciał za bardzo zmoknąć, kiedy pierwszy raz go założył. Tess, dumna, trzymała go pod rękę. Był naprawdę przystojnym mężczyzną.

Kilka wejść dalej znajdował się sklep sportowy. Daniel zatrzymał się raptownie i zajrzał przez okno. Sklep był pełen karabinów i dubeltówek. Weszła za nim do sklepu.

— Witam — powiedział mężczyzna za kontuarem w głębi sklepu. — Czym mogę panu pomóc?

— Interesuje mnie broń krótka. Coś niedużego.

— Kaliber .22, .38, .45?

— Wolałbym .38, ale to zależy od rozmiarów. Mężczyzna skinął głową. Wyciągnął z kieszeni pęk kluczy i otworzył szufladę pod ladą. Położył na niej Colt Police Positive z długą lufą. — Co pan o tym powie? Daniel pokręcił głową. — Za duży.

Mężczyzna wymienił go na Smith & Wesson Military and Police Model. Spojrzał na Dana. Daniel znowu pokręcił głową.

— A Colt Government Automatic?

— Nie lubię ich — powiedział Daniel. — Używałem ich w wojsku. Nie strzelają tam, gdzie się celuje. Poza tym za mocno kopią.

— No więc, z .38 mam już tylko jeden. Jeśli ten panu nie będzie odpowiadał, będzie pan musiał wybrać coś z .22.

— Proszę mi pokazać.

Tym razem mężczyzna wyciągnął mały skórzany futerał. Otworzył go pełen szacunku. Lśniący metalicznie srebrnobłękitny rewolwer miał rękojeść wyłożoną masą perłową. — Smith & Wesson Snub-nose .38 Terrier — powiedział z nabożeństwem. — W komplecie z kaburą pod pachę z prawdziwej skóry. Ale jest drogi.

Daniel przyjrzał się rewolwerowi. — Ile kosztuje?

— Trzydzieści dziewięć pięćdziesiąt.

— To rzeczywiście drogo — przyznał Daniel. Podniósł go i zważył w ręce. — Nie czuje się tego.

— Tylko pozornie. Potrafi wszystko to, co duże rewolwery. A nawet więcej.

Daniel złamał rewolwer i kciukiem pokręcił bębenek. Potem zatrzasnął go i podniósł do góry.

— Ile ostatecznie kosztuje?

— Trzydzieści pięć.

— Może się pan lepiej postara.

— Trzydzieści dwa pięćdziesiąt. Więcej opuścić nie mogę.

— Macie tu strzelnicę?

— Na dole w piwnicy. — Nacisnął guzik pod ladą. Z zaplecza wyszedł młodzieniec w poplamionym smarami ubraniu roboczym. Sprzedawca wręczył mu rewolwer i garść nabojów.

— Zaprowadź pana na dół. Chce przestrzelać broń.

Zeszli za młodzieńcem po schodach na tyłach sklepu. Na dolnym podeście zapalił światło. Po drugiej stronie znajdowała się jasno oświetlona strzelnica. Okrągłe tarcze, oklejone białym papierem stały na stojaku, oparte o worki z piaskiem. Młodzieniec podał Danielowi rewolwer i sześć nabojów.

Daniel szybko załadował broń. Obrócił bębenek, sprawdził naprężenie spustu i spuścił kurek. Zadowolony z tego, że spust jest czuły, wyciągnął rewolwer przed siebie, trzymając go oburącz, i wymierzył do celu.

— Proszę opuścić lufę — powiedział młodzieniec. — Niesie wyżej o stopę na każde dwadzieścia stóp, a odległość wynosi tu trzydzieści stóp.

— To niedobrze — powiedział Daniel

— Zadziiera nosa — rzekł młodzieniec. — Coś za coś, bo jest nieduży. Ale jest naprawdę dobry. Szybko się pan przyzwyczai.

Daniel wymierzył i oddał jeden strzał. Rewolwer lekko kopnął. Sprawdził cel. Zupełnie chybił.

— Niech pan go trzyma nisko. I mierzy, patrząc na kurek, a nie na muszkę.

Daniel oddał kolejny strzał. Tym razem trafił zewnętrzny krąg celu. Kiwnął głową i szybko, jeden po drugim, wystrzelił pozostałe kule. Trzy trafiły idealnie w środek, jedna tuż obok. Zwrócił rewolwer młodzieńcowi. — W porządku.

Odwrócił się do Tess. Wpatrywała się w niego zupełnie blada. Wyciągnął rękę i ujął ją za ramię. Trzęsła się.

— Dobrze się czujesz? — spytał. Zaczerpnęła głęboko tchu. — Taak... Trzymał ją za ramię, kiedy szli na górę.

— Wezmę go, jeśli dorzuci pan pudełko naboju — powiedział mężczyźnie za kontuarem.

— Tego nie mogę zrobić — odparł mężczyzna. — Ale dorzucę szmatę, wycior i butelkę oliwy.

— Zgoda. A ja kupię pudełko naboju.

— Dobrze. — Mężczyzna wyciągnął formularz. — Przepisy — rzekł przepraszająco. — Muszę tu wpisać pańskie nazwisko, adres i numer identyfikacyjny.

— Nie ma problemu. — Daniel wyjął portfel i położył na ladzie swoje prawo jazdy. — Wystarczy?

Mężczyzna potaknął głową. — Proszę mi dać chwilę na wypełnienie tego, potem wyczyszczyć panu broń.

Czekając, aż mężczyzna wypełni formularz, Daniel zdjął marynarkę, nałożył przez ramię kaburę i silnie zaciągnął mocujący ją rzemień. Do czasu, gdy go dopasował, mężczyzna wypełnił już formularz i wyczyścił broń.

— To będzie trzydzieści siedem pięćdziesiąt z pudłem pięć[^]dziesięciu naboju.

Daniel odliczył pieniądze i wziął broń z ręki mężczyzny. Szybko załadował ją i wsunął do kabury, potem nałożył marynarkę. Lekko ją poklepał. Leżała na rewolwerze gładko, jakby pod spodem zupełnie nic nie było.

Wyszli z powrotem na ulicę. Spojrzał na zegarek. — Jeszcze wcześniej. Chcesz obejrzeć jakiś film, zanim wrócimy do hotelu?

Potrząsnęła głową. — Nie — powiedziała napiętym głosem. Wracajmy zaraz do hotelu.

— Jesteś pewna, że się dobrze czujesz? — zapytał zdziwiony. W jej głosie pojawił się ślad zdenerwowania.

— Dobrze się czuję, głupcze. Tylko myślisz, że jak długo można kazać kobiecie czekać?

Budziła się wolno, czując wspaniałą obolałość pomiędzy nogami. Odnosiła wrażenie, że jest pełna i opuchnięta. To było przyjemne. Otworzyła oczy.

Stał plecami do niej, nagi, wyglądając zza zasłon przez okno. W jednej ręce trzymał cygaro, w drugiej szklanekę whisky. Był wielki; miał potężne ramiona i korpus, biodra wsparte na grubych, mocnych nogach. Był mocny.

Przekonała się o tym. Ciągle czuła jego siłę. Wiedziała, że nie jest ułomkiem i waży około stu pięćdziesięciu funtów, ale on trzymał ją i obracał nią tak, jakby była szmacianą lalką. Tyle, że szmaciane lalki nie mogą czuć się tak, jak za jego przyczyną ona się czuła.

— Która godzina? — spytała. — Zasnęłam.

— Dochodzi szósta — powiedział. Odwrócił się i spojrzał na nią. — Deszcz właśnie przestał padać.

— To dobrze. — Siadła na łóżku, okrywając prześcieradłem nagie, pełne piersi. Niespodziewanie wylała się z niej ciepła wilgoć i pociekła w dół pomiędzy udami. W jej głosie zabrzmiało lekkie zdziwienie. — Ciągle ze mnie wychodzisz.

Nie odpowiedział.

— Lepiej podaj mi ręcznik z łazienki — powiedziała.

— Po co?

— To nie wygląda przyjemnie, kiedy twoja sperma jest na całej pościeli.

— W hotelach spodziewają się tego. Nawet małżeństwa rzną się częściej w hotelach, niż gdy są w domu.

— Mówisz, jakbyś wiedział. Byłeś kiedyś żonaty? Potrząsnął głową. — Nigdy.

— Czemu?

— Chyba dlatego, że w żadnym miejscu nie byłem dość długo, żeby poczuć się z nim związany.

— Nigdy nie chciałeś się ożenić?

— Myślałem o tym. Może kiedyś.

— Ja byłam zamężna dwa razy.

— Wiem. Mówiłaś mi o tym.

Poczuła, jak twardnieją jej sutki i oblała się rumieńcem, gdy przypomniała sobie, co robili. — Ale z żadnym z nich nie robiłam tego, co z tobą.

— A co robiłaś?

— No wiesz. Zwyczajne rżnięcie. Wtykanie. Czasem z przodu, czasem z tyłu — i to wszystko. Nigdy przedtem nie obciążałam mężczyźnie.

Roześmiał się. — To nie było takie złe, prawda? Też się roześmiała. — Nie. — Spojrzała w jego oczy. — Czy byłam dobra? — zapytała skromnie.

— Byłaś po prostu świetna. Gdybyś mi nie powiedziała, to myślałbym, że przedtem robiłaś to całe życie.

— Bo robiłam — powiedziała niespodziewanie. — W myślach. Ale zawsze bałam się robić to z mężczyznami, bo mogli pomyśleć sobie, że jestem dziwką.

— To źle, że tego nie robiłaś. Mogłabyś być ciągle mężatką.

— Cieszę się, że nie robiłam. Żaden z nich nie potrafił kochać jak ty. Oni po prostu rżnęli.

Łyknał whisky ze swojej szklanki. Chcesz się napić?

— Nie, dziękuję. — Podniosła szlafrok z podłogi, na którą przedtem spadł i, wysunawszy się z łóżka, nałożyła go na siebie. Podążyła za Danielem do łazienki. — Teraz się wykąpię.

Położył rękę na jej ramieniu i zatrzymał ją. — Nie kap się.

— Dlaczego?

— Lubię, jak cała tak pachniesz.

— O Jezu! — Dojrzała chęć w jego oczach. — Znowu przez ciebie jestem cała mokra.

Roześmiał się i sięgnął po jej rękę. — To popatrz, co ty mnie narobiłaś.

Jej ręka zamknęła się wokół jego rosnącego wzvodu. Poczuła, jak słabną jej nogi, i nie potrzebowała już na swych ramionach jego rąk pchających ją na dywan. Skierował się do jej otwartych ust. Jedną rękę oparł z tyłu jej głowy. — Chwyć moje jaja i ściśnij je.

Poczuła, że w jej dłoni stwardniały na kamień, a potem nagle skurczyły się. Jego nasienie bryzgnęło do jej ust i dalej do gardła. Zaczęła się dławić, niemal dusić, próbując przełknąć wypływającą z niego rzekę. I nagle, kiedy myślała, że już dłużej nie wytrzyma, skończyło się.

Ciągle nie mogąc złapać oddechu, ze spermą w kącikach ust i na brodzie, spojrzała w górę. — Nigdy nie znalazłam takiego mężczyzny jak ty.

Spojrzał na nią, ale nie odpowiedział. Sięgnął po whisky i wychylił resztę jednym haustem. Potem schylił się, by ją podnieść.

— Nie. — Potrząsnęła głową. — Najpierw mnie uderz. Trzaśnij mnie w twarz.

— Dlaczego?

— Bo chcę czuć się przez ciebie jak dziwka. Bo jeśli nie będę tak się z tobą czuła, to się w tobie zakocham.

Otwartą dłonią uderzył ją w policzek i wyróciła się na podłogę. Upadła na bok, przygniatając do podłogi pierś, która wysunęła się z rozpiętego szlafroka. Powoli sięgnęła palcami do policzka. Ciągle było tam widoczne białe odbicie jego ręki, z wolna czerwieniejące i nabiegające krwią.

Spojrzała na niego w górę niemal gniewnie. — Zrób to za każdym razem, kiedy mnie zerzniesz. Tak, żebym się nie zapomniała.

Przez chwilę nie poruszył się. Potem wyciągnął rękę i pomógł jej podnieść się. — Ubierz się — powiedział niemal łagodnie. — Lepiej zjedzmy kolację, jeśli chcemy ruszać wcześniej rano.

Właśnie skończył zakładać kaburę na ramię, kiedy wyszła z łazienki. Stała tam przez chwilę, patrząc, jak sprawdzał bębenek i wkładał rewolwer do kabury. Spojrzał w lustro nad komodą, przed którą stał, i zobaczył ją. Kiwnął głową z zadowoleniem.

— Masz na sobie naprawdę ładną suknię.

— Dziękuję. — Sprawilo jej przyjemność, że zauważył. To była jej ulubiona, beżowo-czarna. Wyglądała w niej szczupłej, piersi i biodra nie wydawały się takie duże.

Skończył wiązać krawat.

— Ty też nieźle wyglądasz.

Dotknął bandaża na czole. — Poza tym.

— Jeszcze parę dni. Potem znajdziemy klinikę i ci to zdejmą. Przeszła pokój, by wziąć płaszcz, podczas gdy on nakładał

marynarkę. — Danielu.

— Tak?

— Może nie powinnam pytać, ale przed czym uciekasz? — Starła się nie zdradzić w głosie zdenerwowania, jakie czuła.

— Przed niczym nie uciekam.

— Ale kupiłeś rewolwer.

Odwrócił się od niej bez słowa. Zapiął marynarkę i sięgnął po kapelusz. Podeszła blisko do niego.

— Jeśli nie chcesz, nie musisz mi mówić. Ale jeśli masz kłopoty, może mogę ci pomóc.

Ujął jej rękę i ścisnął łagodnie. — Nie mam kłopotów. Ani z prawem, ani z niczym innym. I nie uciekam. Po prostu potrzebowałem czasu, żeby wyjechać i pewne rzeczy przemyśleć.

— I rewolwer pomaga ci lepiej myśleć?

— Nie. — Roześmiał się. — Ale mam niebezpieczną pracę. Właśnie parę dni temu jacyś mężczyźni w samochodzie porwali mnie, kiedy wychodziłem z biura. Wozili mnie przez trzy dni, zanim zdecydowali się, co ze mną zrobić. Mogli mnie w każdej chwili zabić i nic nie mógłbym na to poradzić. Ostatecznie wyrzucili mnie z samochodu i opróżnili cały magazynek w ziemię obok mnie. Myślałem, że mnie zabiją, i byłem tak wystraszony, że się zrąbałem w spodnie. Coś takiego nigdy mi się nie przytrafiło, nawet w czasie wojny, a byłem w oddziale sierżanta Yorka we Francji i widziałem tam niejedną śmierć. I właśnie tam i wtedy zdecydowałem się, że nikt nigdy nie weźmie mnie bez walki.

— Nie rozumiem. Co to w ogóle za praca, że jacyś ludzie chcieliby ci robić takie rzeczy? To zdarza się tylko gangsterom.

— Jestem związkowym organizatorem — powiedział.

— Nie wiem, co to jest.

— Jestem przydzielony z UMW do CIO, do pomocy w organizowaniu nowych związków w różnych branżach.

— Więc jesteś jednym z tych komunistów, o których czytałam w gazetach?

Roześmiał się znowu i pokręcił głową. — Nic z tych rzeczy.

Większość ludzi, u których pracuję, to republikanie, chociaż ja skłaniam się ku demokratom.

— Nigdy przedtem o czymś takim nie słyszałam.

— Chodź — powiedział, biorąc ją za ramię i prowadząc do drzwi. — Postaram się wytłumaczyć ci to w czasie kolacji.

5

Zanim dotarli do Los Angeles, Tess była pewna tylko jednego: zakochała się w nim. Nigdy przedtem nie знаła takiego człowieka jak on. Nie rozumiała połowy tego, o czym mówił, i niemal nigdy nie wiedziała, o czym myśli. Był ze świata, o którego istnieniu nie miała pojęcia. Organizacja pracy i polityka były jej obce. Wiedziała tylko, że ma się pracę, chodzi się do niej i że za nią płacą. Czasem więcej, czasem mniej, ale ile by to było, musiało wystarczyć i trzeba było być z tego zadowolonym.

Padał deszcz, gdy późnym popołudniem wjeżdżali na Hollywood Boulevard. Światła teatrów i sklepów były już zapalone, rzucając tańczące blaski na mokry chodnik.

— Widziałeś kiedyś tyle światel? — spytała przejętym głosem, gdy jechali przez Chinese Theatre Graumana.

— W Nowym Jorku jest więcej — mruknął. Spojrzała na niego. — Nie wyglądasz na zadowolonego.

— Jestem zmęczony — powiedział krótko. — Lepiej znajdziemy sobie jakiś nocleg.

— Tam jest jakiś przyjemny hotel. — Wskazała na Hollywood Roosevelt.

— Wygląda na zbyt drogi — powiedział. — Lepiej poszukajmy czegoś z dala od głównej ulicy.

Znaleźli mały hotel na bocznej ulicy od La Brea on Fountain. Pokój kosztował dolara za noc, łącznie z opłatą za łazienkę. To był nowy typ hotelu, zwany motelem. Samochód parkowało się tuż obok swojego pokoju.

Pierwsze, co dostrzegła, kiedy weszli do pokoju, to była mała kuchenka z piecykiem, zlewem, lodówką i naczyniami.

— Chciałbyś, żebym zrobiła nam parę steków wieczorem?

Otworzył swoją walizkę i wyjął butelkę whisky. Wyciągnął zębami korek i pociągnął dobry łyk. Potem bez słowa odstawił butelkę.

— Pewnie, tak jak ja, masz dość jedzenia w restauracjach — powiedziała szybko. — Poza tym, jestem naprawdę dobrą kucharką i chciałabym przygotować dla nas kolację.

Ciągle nie odzywał się i pociągnął kolejny łyk z butelki.

— W sąsiednim budynku widziałam sklep — powiedziała. — Mogę tam pójść i przynieść, co potrzeba. Ty weź gorącą kąpiel i odpocznij po jeździe.

— Na pewno tego chcesz? — spytał. Kiwnęła głową.

Sięgnął do kieszeni i podał jej banknot dziesięciodolarowy oraz kluczyki do samochodu. — Jak już tam idziesz, to przynieś mi jeszcze jedną butelkę whisky i jakieś cygara.

Zwróciła mu banknot. — Teraz ja funduję. Ty wydałeś już dosyć.

Szybko wyszła z pokoju. On stał jeszcze przez chwilę, wsłuchując się w dźwięk zapalnego silnika, a potem odjeżdżającego samochodu. Napił się jeszcze raz i potem zmęczony zaczął się rozbierać. Rzucił ubranie na krzesło, nagi wszedł do łazienki i zaczął napuszczać wodę do wanny. Wrócił do pokoju, z kieszeni marynarki wyjął cygaro i zapalił je. Zamyślony potarł policzek. Musiał się jeszcze raz ogolić. Z walizki wyjął brzytwę i mydło do golenia.

Zwrócił uwagę na jej walizkę stojącą pod oknem. Podszedł, podniósł ją i położył na półce na bagaże, potem wyrzwał przez okno. Padał naprawdę solidny deszcz i zdawało się, że nie jest popołudnie, ale noc. Chwilę przyglądał mu się, potem zabrał butelkę whisky i wszedł do łazienki. Wanna była niemal pełna. Podsunął blisko do niej krzesło, postawił na nim popielniczkę i butelkę whisky, i wszedł do wanny. Gorąca woda rozgrzała go. Znowu się napił, potem wsadził cygaro do ust i oparł głowę na krawędzi wanny, wpatrując się w sufit.

Kalifornia. Musiał chyba zwariować. A poza tym, co on tu robił? Tu w ogóle nie było dla niego roboty. Wszystko działo się tam, na Wschodzie. Czytał we wczorajszej gazecie, że Lewis i Murray zawiązują komitet organizacyjny związku zawodowego hutników. Tam właśnie powinien być. Gdyby tam był, byłby w samym środku ognia.

Sięgnął po butelkę, pociągnął długi łyk, potem odstawił ją na krzesło i z westchnieniem wyciągnął się w wannie. Rzeczywiście, musiał zwariować. Także dlatego, że myślał o powrocie na Wschód. Jak zwykle wplątałby się pewnie w jakieś gówno i skończyłoby się tym, że nakopiliby mu i wyrzucili na bruk. Siedział już w tym dwadzieścia lat, więc dosyć długo. Od pierwszego razu, kiedy spotkał Phila Murraya i Billa Fostera wtedy, w 1919.

Właśnie został zwolniony z wojska i dostał pracę jako strażnik w wielkiej fabryce US Steel w Pittsburgu.

Wyposażyli go w podobny do wojskowego mundur, rewolwer i pałkę policyjną zwisającą u pasa na biodrach. Był jednym z oddziału dwudziestu ludzi pod dowództwem byłego sierżanta, który był ostry jak cholera i trzymał swój oddział w surowej dyscyplinie.

Pierwsze dwa miesiące były łatwe. Nie miał nic innego do roboty, jak stać osiem godzin dziennie przy bramie i patrzeć, jak robotnicy wchodzi i wychodzą między zmianami. Byli to przeważnie wschodni Europejczycy i Polacy; mówili słabo, albo wcale nie mówili po angielsku. Zdaje się, że byli w porządku — nie wtykali nosa w nie swoje sprawy, nigdy nie sprawiali kłopotów, mimo że raczej za często się nie uśmiechali. Potem atmosfera zaczęła się stopniowo zmieniać.

Teraz w ogóle się nie uśmiechali, a kiedy na niego patrzyli, na ich posępnych twarzach malował się wyraz niechęci. Nawet w barze, do którego chodził po skończeniu zmiany, milkli, gdy wchodził, by się napić jednego i dyskretnie odsuwali się od niego, aż wokół nie zostawał nikt.

Pewnego dnia właściciel baru odwołał go na bok. Był to mały Włoch, który odezwał się pełnym napięcia głosem. — Jesteś dobrym chłopcem, Danny — powiedział. — Wiem o tym. Ale wyświadczyć mi przysługę i nie przychodź więcej do baru.

— Hej, Tony — powiedział zaskoczony. — Dlaczego?

— Znosi się na solidne kłopoty. A ludzie stają się nerwowi. Myślą, że przychodzisz tu ich szpiegować.

— Cholera — powiedział. — Jak mogę ich szpiegować, jeśli nawet nie rozumiem o czym mówią?

— Zrób mi przysługę, Danny. Nie przychodź więcej. — Mały człowiek oddalił się.

Tej nocy sierżant zwołał zebranie oddziału.

— No, chłopaki do tej pory prowadziliście tu przyjemne życie. Ale już niedługo przyjdzie wam zarobić na swoje utrzymanie.

— Teraz już każdego dnia można się spodziewać, że czerwoni? i IW W* wywołają strajk wśród imigrantów. Będą próbowali zamknąć fabrykę. Naszym zadaniem będzie dopilnować, żeby im się to nie udało.

— Jak mamy to zrobić, sierżancie? — wykrzyknął jeden ze strażników. — Nie mamy pojęcia o pracy w odlewni.

— Nie bądź głupi — powiedział ze złością. — Kiedy przestaną pracować, znajdą się inni na ich miejsce. Strajkujący będą próbowali ich powstrzymać. My musimy dopilnować, żeby ci, którzy chcą pracować, dostali się do środka.

— To znaczy, że będziemy pomagać łamistrajkom — powiedział Daniel.

Sierżant przygwoździł go pogardliwym spojrzeniem. — To znaczy, że będziecie wykonywać swoją pracę. A myślisz, że za co płacą wam piętnaście dolarów na tydzień, dają mieszkanie i utrzymanie? Ci imigranci pracują w odlewni po dwanaście godzin dziennie za mniej niż dziesięć dolarów tygodniowo. Teraz im się wydaje, że mają prawo do takich pieniędzy, jakie wy macie, albo i większych. A większość z nich nie umie nawet mówić, czytać i pisać po angielsku.

Daniel wytrzymał jego wzrok. — A jak mamy wpuścić łamistrajków przez linię pikiet, skoro będziemy w środku?

— Dostaniecie solidne posiłki. Jest ponad dwustu ludzi zaprzysiężonych przez szeryfa, którzy poza bramą będą utrzymywać wolne przejście.

— A co będzie, jeśli to nie wystarczy?

Sierżant uśmiechnął się. — Wtedy my wyjdziemy im pomóc.

Wyciągnął z za pasa swą pałkę policyjną. — To niewiarygodne, jak ten nasz mały przyjaciel potrafi dobrze perswadować.

Daniel milczał. Sierżant ciągle mu się przyglądał. — Jeszcze jakieś pytania?

Daniel pokręcił głową. — Nie, sir, ale...

* **IWW (Industrial Workers of the World) — Światowa Organizacja Pracowników Przemysłu (przyp. tłum.).**

— Ale co?

— Nie podoba mi się to. Widziałem, co się działo w czasie strajku. Tam, skąd pochodzę, mieliśmy kłopoty. W przedzalni, w kopalniach. Wielu ludzi zostało rannych. Nawet tacy, którzy nie mieli z tym nic wspólnego.

— Nikomu nic się nie stanie, jeżeli będzie pilnował własnego nosa.

Daniel pomyślał o siostrze. O Jimmym. Odetchnął głęboko.

— Nie podoba mi się to. Zostałem zatrudniony jako strażnik do ochrony zakładów. Nie po to, żeby bić ludzi. Nie, żeby być łamistrajkiem.

Sierżant wybuchnął. — Jeśli ci się nie podoba, to wypieprzaj stąd.

Daniel stał przez chwilę nieruchomo, potem skinął głową. Obrócił się i, dalej milcząc, ruszył do wyjścia. Głos sierżanta zatrzymał go.

— Zostaw tu swój rewolwer i pałkę.

Daniel w milczeniu odpiął pas i położył broń oraz pałkę na stole. Potem odwrócił się i znowu ruszył do drzwi.

Doścignął go głos sierżanta. — Masz się wynieść z baraku w ciągu piętnastu minut. Jeśli cię tu znajdę, kiedy wrócimy, to tak dostaniesz, że się nie pozbierasz.

Daniel otworzył drzwi i wyszedł. Zanim zamknął drzwi, usłyszał głos sierżanta, zwracającego się do pozostałych: — Nigdy skurwielowi nie ufałem. Mieliśmy informację, że to zakamuflowany czerwony. A teraz, jeśli jest was tu więcej komunistycznych tchórzy, to mówcie od razu i zjeżdżajcie, póki jeszcze możecie.

Daniel wszedł przez hol do podobnego do izby koszarowej pokoju, który dzielił z pięcioma innymi ludźmi. Szybko ściągnął mundur, złożył go równo i położył na swojej pryczy. Z szafki wyciągnął i nałożył swoje stare wojskowe spodnie i bluzę. Szybko pozbierał swoje inne rzeczy, włożył je do podłużnego worka, przerzucił go przez ramię i wyszedł.

Przeszedł przez hol i opuścił budynek. Spokojnie zmierzał do frontowej bramy. Strażnicy na służbie wypuścili go bez słowa. Już im powiedziano.

Ułożył worek równo na ramieniu, przeszedł ulicę i skręcił za róg. Wyszli z bramy, obok której właśnie przeszedł. Usłyszał ich kroki

i zaczął się odwracać, ale było już za późno. Pałka trafiła go z boku w głowę, potknął się i upadł na kolana.

Rozpaczliwie próbując się podnieść, usłyszał głos sierżanta: -Bierzcie sukinsyna.

Rzucił się w stronę głosu, ale pięść przecięła jedynie powietrze. Jego ciało zamieniło się w ognisko bólu pod gradem ciosów pałek i pięści. Znowu upadł na kolana, zwijając się w kłębek, by jak najbardziej się osłonić. Ciężkie buty zaczęły kopać go po bokach, więc przeturlał się do rynsztoka. Próbował ująć ciosom, ale to było niemożliwe.

Wszystko w środku go bolało. Nie miał w ogóle sił, nawet żeby się bronić.

W końcu ciosy ustały. Leżał półprzytomny; w głowie mu wirowało. Z daleka usłyszał znowu głos sierżanta: — To oduczycy tego komunistycznego skurwiela próbowania swoich sztuczek.

Wtedy odezwał się jeden z pozostałych mężczyzn. W jego głosie brzmiała nuta strachu. — Sierzancie, on chyba nie żyje.

Daniel poczuł na boku but sierżanta, którym ten obrócił go na wznak. Przewrócił oczami, starając się spojrzeć w górę. Czuł na swojej twarzy oddech sierżanta, ale nie mógł skupić na nim wzroku.

— Żyje — powiedział sierżant. — Ale jeśli znowu gdzieś się na nas natknie, będzie się modlił o śmierć.

Daniel jeszcze raz poczuł gwałtowny, ostry, przeszywający ból, gdy sierżant kopnął go w głowę. Potem już wszystko ogarnęła ciemność. Przez długi czas było cicho.

Powoli zaczął odzyskiwać świadomość. Część po części, jego ciało zaczęło wysyłać mu sygnały bólu. Po paru chwilach spróbował się poruszyć. Mimowolnie jęknął. Próbował zrobić coś, żeby mu przestało szumieć w głowie. Podniósł się na kolana, potem, trzymając się latarni, zdołał wstać. W jej świetle przyjrzał się sobie. Koszulę miał podartą i zakrwawioną, jedną nogawkę spodni rozdartą do dołu. Ostrożnie obracał głowę. Jego rzeczy były porzrzucone po całej ulicy, worek otwarty i opróżniony.

Zaczerpnął głęboko powietrza, potem zaczął powoli iść. Każdy krok i poruszenie sprawiało mu ostry, przeszywający ból. Pomimo to próbował zbierać swoje rzeczy i upychać je z powrotem do worka. Potem zrobił przerwę, by złapać nieco tchu.

Spojrzał w niebo. Księżyc stał wysoko. Musiała być już północ. Była ósma, kiedy wyszedł przez bramę. Okna we wszystkich

domach były ciemne. Powoli cofnął się do rogu i spojrzał w stronę bramy. Strażnicy ciągle tam byli w swojej małej budce. Przez otwarte okno widział ich, jak rozmawiali. Wiedzieli, że sierżant czeka na niego na zewnątrz, ale nic mu nie powiedzieli. Przez chwilę myślał, żeby wrócić i dać im szkołę, ale zaraz porzucił tę myśl. Nie był w stanie dawać czegokolwiek. Będzie miał szczęście, jeżeli dojdzie gdzieś, gdzie ktoś nim się zajmie. Spróbował podnieść torbę i zarzucić ją na ramię, ale to było dla niego za dużo. Musiał się zadowolić tym, że będzie ją ciągnął za sobą.

Przez ciemne ulice dotarł do baru Tony'ego. Światła w oknach były zgaszone, a drzwi zamknięte, ale widział przez nie małego Włocha robiącego porządki za barem. Zapukał do drzwi.

Nie podnosząc głowy, Tony machnął ręką, dając do zrozumienia, że tej nocy było już zamknięte. Daniel znowu zapukał do drzwi, tym razem mocniej. Tony spojrzał w jego kierunku, ale nie mógł zobaczyć, kto tu stoi. Wyszedł więc zza baru i wyrzwał przez szybę w drzwiach.

— Mamy zamknięte — zaczął mówić. Wtem urwał zdumiony. Szybko zdjął łańcuch z drzwi i otworzył je. — Danny! Co się stało?

Daniel wtoczył się przez drzwi. Tony wyciągnął rękę, by mu pomóc. Daniel wciągnął za sobą torbę i opadł na krzesło. Pochylił się, położył ramiona na stoliku i oparł na nich głowę.

Tony szybko udał się za bar, skąd wrócił z butelką whisky i szklanką, którą od razu napełnił. — Pij. Poczujesz się lepiej.

Daniel musiał trzymać szklankę obiema rękami. Whisky wypaliła sobie drogę przez gardło. Czuł jej wlewający się w niego żar. Tony ponownie napełnił szklankę, a Daniel wypił ją znowu. Poczuł, że powoli z powrotem wstępuje w niego siła.

— Ostrzegalem cię — powiedział Tony. — Ci imigranci chcieli cię dopaść.

— To nie byli oni — wymamrotał Daniel. — To sierżant. Odszedłem dziś w nocy, kiedy zorientowałem się, że oczekują ode mnie, że bym był łamistrajkim. Czekali na mnie za rogiem przed fabryką.

Tony milczał.

— Mógłbym się gdzieś tu umyć?

— Potrzebujesz doktora.

— Nie potrzebuję żadnego doktora. Muszę się umyć. A póź-

niej muszę załatwić pewne sprawy — powiedział Daniel i sięgnął po butelkę whisky. — To jest jedyne lekarstwo, jakiego potrzebuję.

— Chodź ze mną. — Tony zaprowadził go do umywalni na zapleczu. To była prywatna umywalnia, nie ta używana przez klientów baru. Zapalił światło. — Przyniosę jakieś czyste ręczniki.

Kiedy poszedł, Daniel przyjrzał się sobie w lustrze. Nos wyglądał na złamany i zmiądzony; policzki rozplątane i pocięte, podobnie jak skronie. Oczy zaczynały wyglądać na podbite, szczęka już była opuchnięta, a twarz pokryta maską zakrzepłej krwi.

— Jezu! — powiedział półgłosem Daniel.

Wrócił Tony. Kiwnął głową. — Naprawdę dobrze cię opravili. Daniel napuścił wodę do zlewu.

— Zapłacą za to — powiedział spokojnie. Potem zdarł z siebie koszulę i zaczął się myć. Kiedy się wyprostował, zobaczył, że żebra i boki ma czarnogranatowe.

Szybko namydlił całą górną część ciała i wytarł się wilgotnym ręcznikiem. Potem wsadził głowę pod kurek z zimną wodą i poczekał, aż przestało mu szumieć w głowie. Zaczął się wycierać.

— W torbie powinna być jeszcze jedna koszula i spodnie — powiedział do Tony'ego.

— Przyniosę je. — Tony wrócił do baru.

Daniel zrzucił spodnie. — Przynieś mi też czysty kombinezon! — krzyknął przez otwarte drzwi. Na bokach i biodrach miał znacznie więcej ran, ale szczęśliwie udało mu się uniknąć kopnięcia w krocze. Pewnie dzięki temu, że upadł; nie pamiętał, żeby w jakikolwiek sposób się osłaniał.

Umył resztę ciała mokrym ręcznikiem i wytarł się. Gdy Tony wrócił z ubraniem, pił whisky prosto z butelki.

— W swojej torbie masz bałagan — powiedział Tony. Daniel kiwnął głową. — Rzeczy były rozrzucone po całej ulicy.

Po prostu je podniosłem i upchnąłem do środka.

— A co mam z tym zrobić? — zapytał Tony, wskazując na podarte ubranie.

— Wyrzuć je — odparł Daniel. Nic innego nie można było z nim zrobić. Nie nadawało się do reperacji. Ubrał się szybko.

Tony spojrział na niego. — Lepiej idź do lekarza. Masz złamany nos, a niektóre rany mogą wymagać szycia.

Daniel obrócił się i spojrział w lustro. — Nie jest tak źle. Z nosem nic nie może zrobić, a rany zagoją się same.

Miałem gorsze, kiedy byłem dzieckiem.

Pociągnął kolejny łyk whisky i zaniósł butelkę z powrotem do baru. W milczeniu zaczął przepakowywać worek.

Kiedy skończył, spojrział na Tony'ego.

— Gdzie mieści się siedziba związku?

— Na rogu State i Main — powiedział Tony. — Czemu pytasz?

— Idę tam.

— Zwariowałeś. Jest pierwsza w nocy. Mają zamknięte. Nikogo tam nie ma.

— A więc ja tam będę, kiedy ktoś przyjdzie rano.

— Dlaczego nie trzymasz się od tego z daleka? — zapytał Tony. — Jesteś dobrym chłopakiem. Nie musisz dawać się wciągać do takich spraw.

— Już jestem wciągnięty — Daniel urwał na moment, myśląc: Jimmy, jego siostra, jego rodzina, kopalnie. — Może zawsze byłem, ale o tym nie wiedziałem.

6

Była druga w nocy, kiedy Daniel dotarł do rogu State i Main. Nad frontowym wejściem wisiał ciągle napis:

Amalgamated Association of Iron, Steel and Tin Workers. Jednak biuro w środku wyglądało na ciemne i opuszczone, a kiedy przycisnął twarz do szyby, wewnątrz nie dostrzegł nic, nawet krzesła czy biurka, tylko sporo papierów zaśmiecających podłogę. Przeszedł obok okna do drzwi. Tkwiła tam napisana na maszynie kartka:

„Przeniesione do 303 Magee Bldg”.

Odetchnął głęboko. Magee Building był dwie mile stąd, po drugiej stronie miasta. Rozejrzał się na obie strony po ulicy. We wszystkich oknach było ciemno. Nigdzie w okolicy nie było miejsca, gdzie, gdyby chciał, mógłby znaleźć pokój lub łóżko. Otworzył worek i wyciągnął butelkę whisky, którą dał mu Tony. Pociągnął długi łyk, potem schował ją z powrotem do torby, którą przewiesił przez ramię, i znowu ruszył przed siebie.

Zbliżała się trzecia, kiedy tam dotarł. Budynek tonął w ciemnościach, a drzwi wejściowe były zamknięte. Wyszedł na ulicę i spojrzał w górę. W jakichś oknach na trzecim piętrze paliły się światła. Wrócił do wejścia i odnalazł dzwonek, by wezwać nocnego portiera. Przyciskał go tak długo, aż po jakichś dziesięciu minutach przy drzwiach pojawił się zaspany Murzyn.

— Nie widzi pan, że dom jest zamknięty? — zganił go Murzyn.

— Mam interes do załatwienia w biurze związku— powiedział Daniel.

Murzyn niechętnie otworzył drzwi. — Wy naprawdę powariowaliście. Chodźcie w tę i z powrotem przez dzień i noc. Nie można ani chwili odpocząć.

Daniel spoglądał na niego bez słowa.

— Schody po'lewej — powiedział śpiesznie Murzyn. — Trzecie piętro. Trzysta trzy.

Daniel poszedł schodami w górę. Nie mylił się. Światła, które widział z Ulicy, paliły się w biurze związku. Położył rękę na klamce i obrócił ją. Drzwi otworzyły się. W sekretariacie nie było nikogo. Przeszedł przez następne drzwi na korytarz. Dobiegł go dźwięk głosów, niosących się po holu. Ruszył w ich stronę. Dochodziły spoza zamkniętych drzwi na końcu korytarza.

Zatrzymał się, położył swój podłużny worek na podłodze, zapukał raz i otworzył drzwi. W zadymionym cygarami pokoju siedziało wokół biurka czterech mężczyzn. Popatrzyli na niego zdziwieni.

Jeden z nich zerwał się na nogi i groźnie ruszył w stronę Daniela z zaciśniętymi, gotowymi do ciosu pięściami.

Daniel spojrzał na niego. — Nie rób tego — powiedział spokojnie. — Już raz tej nocy mi to zrobili, a zabiję następnego, który tego spróbuje.

Mężczyzna zatrzymał się. — Czego, do cholery, chcesz? Co to^v ma znaczyć, że się tu wdierasz?

— Drzwi były otwarte — stwierdził Daniel. Spojrzał obok mężczyzny na pozostałych, ciągle siedzących przy biurku.

— Przyszedłem porozmawiać z szefem tego waszego związku. Mam dla niego ważną informację.

Tym razem odezwał się mężczyzna siedzący na środkowym miejscu za biurkiem. Powiedział łagodnie: — Jestem Bill Foster, sekretarz zarządu związku.

— Pan jest szefem?

Foster rzucił szybkie spojrzenie na swoich sąsiadów. Lekko uśmiechając się, kiwnął głową. — Chyba można by mnie tak nazwać. Co to za sprawa, o której chcesz ze mną rozmawiać?

Daniel podszedł do biurka. — Nazywam się Daniel B. Huggins. Do dziś w nocy byłem specjalnym strażnikiem w zakładzie numer pięć US Steel.

Jeden z pozostałych mężczyzn chciał mu przerwać. Foster uciszył go machnięciem ręki. — Tak? — powiedział łagodnie.

— Dziś w nocy powiedziano nam, że spodziewają się strajku, a my mamy pomagać łamistrajkom przedostać się przez pikiety, nawet gdybyśmy musieli użyć przy tym pałek i rewolwerów. Powiedziano nam, że nie będziemy sami, że wielu mężczyzn zostało już zaprzysiężonych przez szeryfa i będą na zewnątrz, żeby nam pomóc.

Foster powiedział łagodnie: — Wiemy już o tym. Co jeszcze możesz nam opowiedzieć?

Daniel potrząsnął głową. — Nie wiem. Chyba nic. Przepraszam, że wam przeszkodziłem. — Odwrócił się i ruszył do drzwi.

— Chwileczkę. — Głos tego człowieka był przywykły do komenderowania. Daniel zatrzymał się. Tamten miał pociągłą twarz z niemal patrycjuszowskim nosem i ustami, ciemne włosy i głęboko osadzone oczy. — Dlaczego tu przyszedłeś?

— Zrezygnowałem z pracy, powiedziano mi, żebym się pakował i wynosił. Może nie pomyślałbym, żeby przyjść tutaj. W końcu, wasza wojna to nie moja sprawa. Ale oni czekali na mnie za rogiem przed fabryką. Potem już wiedziałem, że to moja sprawa.

Milczeli przez chwilę, wpatrując się w jego potłuczoną twarz. Potem mężczyzna o szczupłej twarzy odezwał się znowu; — Wygląda na to, że odwalili przy tobie kawał porządnej roboty.

— To nic w porównaniu z tym, co się przydarzy sierżantowi, kiedy dostanę go w swoje ręce — powiedział Daniel.

— Tam, skąd pochodzę, nie pozostawiamy takich rzeczy bez odpowiedzi.

— A skąd pochodzisz?

— Z Fitchville, proszę pana.

— Z Fitchville — powiedział z namysłem szczupły mężczyzna. Nagle spojrział na niego ostro. — Powiedziałeś, że jak się nazywasz?

— Huggins, proszę pana. Daniel B.

Mężczyzna szybko kiwnął głową. — Ty jesteś tym chłopcem, który pracował w kopalni w Gratfton, który...

— Tak, proszę pana — powiedział szybko Daniel. — To ja.

Mężczyzna milczał przez chwilę. — Czy mógłbyś chwilę poczekać na zewnątrz? — spytał. — Chciałbym porozmawiać z moimi przyjaciółmi.

Daniel wyszedł z powrotem na korytarz, zamykając za sobą drzwi. Cichy szum toczącej się za nimi rozmowy narastał. Nie starał się wsłuchiwać w to, o czym mówili. Wyciągnął butelkę z torby i pociągnął kolejny łyk. Jeden nie wystarczył; zaczynał czuć się wykończony. Pociągnął więc jeszcze raz.

Drzwi otworzyły się i mężczyzna, który pierwszy do niego się zbliżył, zaprosił go do środka. Wszedł do pokoju, ciągle trzymając butelkę w ręku. Spojrzeli na butelkę, potem podnieśli wzrok na niego.

— Tylko to trzyma mnie na nogach. Inaczej bym się wyrócił. Odezwał się mężczyzna o szczupłej twarzy. — Nazywam się

Philip Murray. Jestem z United Mine Workers, AFL. Rozmawiałem o tobie z moim przyjacielem Fosterem i, jeśli chcesz pomóc, myślę, że będzie miał dla ciebie miejsce.

— Dziękuję, panie Murray — obrócił się w stronę Foster.

— Nie dostaniesz tyle, ile płacili ci w fabryce — powiedział szybko Foster. — Nie mamy tyle pieniędzy. Osiem dolarów tygodniowo i utrzymanie, to wszystko, co możemy zrobić.

— Mnie to odpowiada — powiedział Daniel. — Ale co mam za te pieniądze robić?

— Znasz strażników, znasz ich metody, sposób, w jaki pracują. Kiedy zacznie się strajk, będziesz musiał być z nami na Unii pikiet, mówiąc nam, co mamy robić, żeby ich pokonać.

— Nie wiem, czy potrafię, panie Foster, ale oczywiście spróbuję — powiedział Daniel. — Ale wydaje mi się, panowie, że jeśli naprawdę szybko się stąd nie wyniesiecie, to zanim ogłosicie strajk, ściągną na was całą armię USA.

Foster spojrział na niego. Jego głos wezbrał gniewem. — Wiemy o tym tak samo dobrze jak ty. Strajk zostanie rozpoczęty jutro. Daniel spoglądał na niego bez słowa.

— Teraz idź już lepiej do domu i trochę odpocznij — powiedział szybko Murray.

— Nie mam dokąd iść — stwierdził Daniel. — Mieszkałem w baraku w zakładzie. — Poczuł, że zaczyna lekko chwiać się i położył rękę na biurku, żeby się oprzeć.

Foster podniósł się szybko.

— Tam, w sąsiednim biurze, jest łóżko. — Wskazał ręką człowiekowi, który podszedł przedtem do drzwi. — Zaprowadź go tam i dopilnuj, żeby lekarz przyszedł go obejrzyć z samego rana.

— Dziękuję — powiedział Daniel. Pokój zaczął wokół niego wirować. — Dziękuję. Poczuł, jak mężczyzna bierze go pod rękę. Zanim zasnął, zdołał jednak dojść do łóżka w sąsiednim pokoju. Było to 22 września 1919 roku. Tydzień później strajkowało ponad trzysta tysięcy ludzi w ośmiu stanach. Ale centrum było w Pittsburgu, siedzibie największej ze wszystkich firm United States Steel.

Dzień po tym, w którym zaczął się strajk, Elbert Gary, prezydent US Steel, wydał oświadczenie, które zostało przedrukowane przez wiele gazet w Pittsburgu i całym kraju.

„Czerwoni, anarchiści i agitatorzy nakłonili część amerykańskich robotników, żeby opuścili pracę po to, by zniszczyć przemysł stalowy i podkopać polityczną stabilność Stanów Zjednoczonych. Na szczęście dla Ameryki jest nas dość takich, którzy nieugięcie będą spełniać patriotyczny obowiązek i bronić nasz kraj przed wdarciem się tych zmij. Apeluję więc do wszystkich robotników, których zbałamuciono i przyłączyli się do tego zdradzieckiego strajku, by wrócili do swojej pracy, a ja jako prezydent US Steel daję słowo, że nie będą podjęte przeciwko nim żadne środki prawne, ani nie będą dyskryminowani, kiedy przyjdą do pracy. W żadnych okolicznościach żadna ze stalowni nie ugnie się przed dyktaturą obcych, komunistycznych anarchistów. Strajk już upadł, jest to przegrana sprawa.

Wracajcie do pracy i okażcie swój patriotyzm i wiarę w nasz wspaniały kraj.”

Dwa dni później we wszystkich gazetach i plakatach na ścianach w całym mieście pojawiły się ogłoszenia, wszystkie obwieszczające w zasadzie to samo posłanie. Pod narysowaną karykaturą Wujka Sama, demonstrującego zaciśniętą pięść, obnażone muskularne przedramię i biceps, posłanie „Wróćcie do pracy” było wydrukowane nie tylko po angielsku, ale także w siedmiu innych językach, tak żeby wszyscy robotnicy mogli je przeczytać.

Daniel codziennie stawał przed hutą, kiedy demonstrowały pikiety. Początkowo było bardzo spokojnie. Strażnicy pozostawali wewnątrz* za bramą, policja stała, obserwując pikietujących, którzy w milczeniu maszerowali tam i z powrotem. Co jakiś czas strajkujący spoglądali, czy z kominów wielkich pieców hutniczych wciąż wydobywa się dym. Ciągłe się sączył — cienki i szary, świadcząc o tym, że wciąż podtrzymywano ogień. Ale kiedy produkowano stal, kominy wyrzucały gęsty i czarny dym z sadzą, która pokrywała całą okolicę.

Minał już prawie tydzień, kiedy jeden z pikietujących podszedł do Daniela, który z cygarem w zębach stał przy narożniku budynku.

— Myślę, że wygramy — powiedział pikietujący. — Piece nie pracowały już tydzień.

Daniel przeszedł z rogu na miejsce, z którego mógł wejrzeć na teren za bramą fabryczną. Na posterunku było więcej strażników niż zwykle. Pikietujący przyszedł za nim. — Co o tym sądzisz, Danny?

— Nie wiem — powiedział z namysłem Daniel. — Coś się będzie działo. Dostyc już czekali, żeby się przekonać, czy wrócimy do pracy. Teraz znowu muszą zacząć pracować.

— Nie mogą — powiedział mężczyzna. — Bez nas nie potrafią uruchomić piecy.

Daniel nie odpowiedział. Nie miał nic do powiedzenia. Po prostu czuł, że to wszystko pęknie. I to niedługo. Tego wieczoru siedział w milczeniu w siedzibie związku, słuchając krzątania wokół. Z licznych ośrodków strajku w różnych stanach nadchodziły telefoniczne meldunki. Wszystkie takie same. Spokój.

Nagle jeden telefon zmienił cały obraz. Czterystu Murzynów z Południowej Karoliny zmierzało pociągiem do Pittsburgha i mieli dojechać o ósmej rano następnego dnia.

7

O szóstej rano linie pikiet, czuwających przez noc przed zakładem numer pięć, zaczęły rosnać. Trzydziestu paru mężczyzn dotarło do swych towarzyszy, którzy stopniowo zaczęli zapelniać ulice wiodące do fabryki. Chociaż byli zmęczeni po długiej nocy,

napięcie wiszące w powietrzu wstrzymało ich od udania się do domu do łóżek. Do ósmej rano w pikiecie było czterystu ludzi, wolno chodzących tam i z powrotem ulicami przed bramą odlewni. O dziewiątej było ich już ponad siedmiuset i zabrakło miejsca na formowanie Unii; teraz była to już lita ściana pikietujących, stojąca od przeciwległej strony ulicy do bramy zakładu. Poruszali się wolno w miejscu, nie mając możliwości, by posuwać się do przodu lub do tyłu.

Daniel stał na północnym rogu ulicy naprzeciw bramy. Na stopniach małego budynku za nim stali przywódcy związku, Bill Foster i kilku jego pomocników, więc Daniel wdrapał się wyżej na stopnie, za nich, tak że mógł patrzeć nad głowami pikietujących. Za bramą fabryki sierżant uformował wszystkich swych ludzi na wzór plutonu wojska. Było dziesięć oddziałów po ośmiu ludzi, ubranych w mundury strażników, każdy z pałąką i rewolwerem.

Daniel nachylił się do Fostera. — Ściągnęli dodatkowo czterdziestu ludzi. Kiedy tam byłem, nie było ich wszystkich więcej niż czterdziestu.

Foster skinął ponuro głową, jego usta zacisnęły się mocno na nie zapalonym cygarze.

— Kiedy tylko otworzą bramę, sierżant zamierza wykorzystać ich jak klin, żeby utorować drogę łamistrajkom.

— Tak właśnie myślałem — powiedział krótko Foster.

— Gdybyśmy przesunęli Unię pikiety do samej bramy, nie mogliby jej otworzyć — powiedział Daniel. Brama otwiera się na ulicę.

Foster spojrział na niego zdziwiony. — Jesteś pewny? Nikt mi o tym nie mówił.

— Jestem pewny — rzekł Daniel.

Foster odwrócił się i szepnął swoim dwóm asystantom: — Przekażcie wszystkim: Przesunąć się pod samą bramę.

Parę minut później mały chodnik przed bramą i płotem był — podobnie jak ulica — zajęty przez pikietujących.

Daniel widział przypatrującego się im sierżanta, który odwrócił się do swoich ludzi. Za chwilę każdy z nich uniósł w ręce swoją pałąkę pohcyjną.

Człowiek z wielką odznaką związku w klapie wyłonił się zza rogu i przedostał do Fostera. Mówił gardłowym głosem ze środkowoeuropejskim akcentem.

— Wiozą łamistrajków załadowanych na ośmiu ciężarówkach. Mają około czterdziestu Kozaków na koniach, a przed nimi dwustu ludzi zaprzysiężonych przez szeryfa. Szeryf i kilku ludzi w wojskowych mundurach jadą w samochodzie z przodu. W każdej chwili pojawiają się na uUcy.

Ledwo skończył mówić, z ulicy dobiegł ich krzyk.

— Nadchodzą! Nadchodzą!

Większość pikiety odpłynęła od bramy w stronę ulicy.

— Powiedz im, żeby tam zostali! — krzyknął Daniel. Fostef wyprostował się, machając rękami. — Stójcie twardo, ludzie! — krzyknął. — Nie ruszajcie się spod bramy.

Ale było za późno. Strajkujący hutnicy, chcąc koniecznie zobaczyć, kto nadchodzi, opuścili już swoje pozycje i szli ulicą.

Pierwsza grupa policjantów na koniach, po sześciu w rzędzie, wyłoniła się zza rogu. Każdy policjant trzymał w ręce krótką, grubą pałkę. Strajkujący i policjanci zatrzymali się i w milczeniu przyglądali się sobie. Za nimi stało odkryte kombi.

Szeryf i mężczyzna w wojskowym mundurze wysiedli z samochodu, przeszli linie konnych policjantów i stanęli naprzeciw strajkujących. Szeryf wyjął z kieszeni jakiś dokument, rozłożył go i zaczął czytać donośnym głosem, który dochodził do miejsca, gdzie stali Foster i inni.

— Jest to nakaz sądowy, podpisany przez sędziego Sądu Najwyższego Federacji Pensylwanii, Cartera Glassa, nakazujący wam, strajkujący, rozejść się i pozwoUć tym ludziom, którzy chcą pracować, iść do pracy.

Na moment zapadła cisza. Potem z gardeł tłumu dobył się chrapliwy ryk. Ze względu na wiele języków, którymi mówiono równocześnie, nie można było rozróżnić słów, ale ich znaczenie było jasne. Nie było mowy, żeby mieli przepuścić łamistrajków. Groźnie ruszyli w kierunku szeryfa.

Na razie szeryf zachował spokój. — Jest tu ze mną generał brygady, Standish, z Gwardii Narodowej Pensylwanii. Ma bezpośrednie rozkazy od gubernatora, by zmobilizować Gwardię Narodową Pensylwanii, jeżeli będą tu jakieś kłopoty.

— Nie będzie żadnych kłopotów, jeżeU wy ich nie sprawicie, szeryfie. — Rozległ się donpśny głos na tyłach strajkujących. — Po prostu zawróćcie ciężarówkę i odeśUjcie czarnuchów tam, skąd przyjechali!

Strajkujący podchwycili to. Zaczęli skandować: Odesłać łamistrajków, skąd przyjechali! Odesłać łamistrajków, skąd przyjechali!

— Ludzie, ostatni raz do was apeluję! — krzyknął szeryf. — Rozejdźcie się teraz w spokoju, a nikomu nic się nie stanie.

W odpowiedzi strajkujący, znajdujący się najbliżej szeryfa, splekli ramiona i zaczęli skandować: — Na zawsze solidarność! Na zawsze solidarność!

Szeryf starał się ich przekrzyczeć, ale zagłuszyli go. Stał więc, patrząc się na nich.

Daniel spojrział na Fostera. Twarz przywódcy związku była blada, usta zaciśnięte. — Panie Foster, lepiej niech im pan powie, żeby się wycofali. Ci policjanci chcą się po prostu po nich przejechać.

— Nie ośmielą się — powiedział pełen napięcia Foster. — To pokazałoby całemu światu* kim naprawdę są.

Narzędziem w rękach kapitalistów.

— To nie pomoże strajkującym, których pobiją — powiedział Daniel.

— Może dzięki temu kraj się przebudzi i ludzie zaczną zwracać uwagę na to, co się im dzieje pod nosem — odparł Foster. Odwrócił się do strajkujących i krzyknął: — Trzymajcie się mocno, chłopcy! Na zawsze solidarność! —

Podniósł zaciśniętą pięść, a ramię zgiął w komunistycznym pozdrowieniu.

— Solidarność! — krzyknęli strajkujący.

Szeryf odwrócił się i wraz z idącym za nim generałem wsiedli do samochodu. Strajkujący zaczęli się śmiać i szydzić, myśląc, że zmusili szeryfa do odwrotu. Chwilę potem ich śmiech przerodził się w gwałtowną panikę i przerażenie.

Nie czekając na sygnał, konni policjanci skierowali swoje konie prosto na linię strajkujących; wymachiwali i tłukli wkoło pałkami, bijąc wszystkich po kolei. Nie minęło dziesięć minut, a na ulicy leżało czternastu półprzytomnych i skrwawionych mężczyzn. Policjanci obojętnie skierowali konie w stronę następnego szeregu strajkujących. Za konną policją szła setka ludzi szeryfa, wymachując pałkami. Coraz więcej strajkujących upadało na ulicę, a przez wrzawę zaczęły przebijać się okrzyki bólu i strachu. Nagle strajkujący złamali swe szeregi i rozbiegli się na boki i na sąsiednie ulice. Policja ścigała ich bezlitośnie. Teraz było już swobodne przejście do bramy.

Daniel zobaczył, jak sierżant wydaje rozkaz i wrota zaczynają się uchylać. Chwilę potem strażnicy wyszli na tyły pozostałych strajkujących; oni też wymachiwali pałkami.

Daniel obrócił się i spojrzął na Fostera. Przewodniczący związku wyglądał jak sparaliżowany, niezdolny do ruchu. — Chyba powinniśmy się stąd zbierać — powiedział Daniel.

Foster nie poruszył się. Daniel zwrócił się do dwóch pomocników Fostera: — Lepiej zabierzcie go stąd.

Dwaj mężczyźni chwycili Fostera za ramiona i zeszli ze schodów, ciągnąc go za róg. Poszedł z mmi bez oporu, prawie jakby był nieprzytomny.

Daniel patrzył, jak pierwsza ciężarówka wjeżdża przez bramę huty. Około pięćdziesięciu czarnych, o poszarzałych ze strachu twarzach, stało zbitych w stado. Sierżant wyszedł przed bramę i zaczął machać w kierunku pozostałych ciężarówek, by wjeżdżały. Daniel zszedł ze schodów, ruszył szybko pomiędzy stojącymi z rzadka strajkującymi i wyszedł z tłumu tuż za sierżantem. Sierżant, zajęty kierowaniem ciężarówek, wymachiwał w powietrzu swą pałką. Daniel wyrwał mu ją z ręki. Sierżant odwrócił się zdumiony. — Co, u diabła?

— Cześć, sierżancie — powiedział z uśmiechem Daniel. I zanim sierżant miał możliwość zareagować, wyrznął go pałką dokładnie w 'środek twarzy. Usta sierżanta, jego nos i podbródek zamieniły się w papkę krwi i połamanych kości. Zatoczył się. Gdy padał, Daniel kopnął go i sierżant poleciał w tył, prosto pod koła przejeżdżającej ciężarówki. Rozległ się trzask, gdy koła przejechały przez pierś sierżanta, łamiąc mu żebra i kręgosłup. Po chwili Daniel wiedział, że spogląda na umarłego. Ciągle trzymając pałkę policyjną w ręce, odwrócił się i powoli zaczął iść w kierunku bocznej ulicy.

Zastępca szeryfa podbiegł w jego stronę. Dojrzał pałkę w ręku Daniela i wziął go za jednego z tajnych policjantów. — Co tam się stało?

Daniel spojrzął na niego. — Zdaje się, że jedna z ciężarówek przejechała jakiegoś kutasa.

— Cholera! — zaklął zastępca. — Widziałeś kiedyś coś takiego?

— Nigdy — powiedział Daniel i ruszył dalej. Kiedy skręcił w boczną ulicę, wrzucił pałkę do rynsztoku. Przeszedł pięć bloków

do najbliższego baru i od razu zamówił dla siebie całą butelkę whisky. Wypił trzy szybkie. Wtedy podszedł do niego barman.

— Wiesz coś, co tam ze strajkiem w fabryce?

Daniel nalał sobie kolejną szklanekę. — Jakim strajkiem? — spytał. — Ja tu jestem obcy.

8

Było już późne popołudnie, kiedy Daniel wrócił do biura związku. Spodziewał się rozpaczy po sromotnej porażce tego ranka. Ale tak nie było. Zdawało się, że wręcz przeciwnie — panuje atmosfera podniecenia, prawie triumfu, kiedy Foster i jego pomocnicy skakali od jednego telefonu do drugiego, śpiesznie rozmawiając z ośrodkami strajku w innych miastach. Daniel stanął w drzwiach, słuchając jak Foster rozmawia przez telefon.

— Relacja jest rozsyłana telegraficznie po całym kraju — mówił. — Jutro cały świat będzie o tym wiedział.

Propozycje pomocy nadchodzą z Nowego Jorku, Chicago, a nawet z San Francisco. Pojutrze planujemy wielką demonstrację przed hutą. Sidney Hillman przyjeżdża z Nowego Jorku, Lewis i Murray z Waszyngtonu, także Hutchinson z Carpenters. Matka Jones powiedziała, że też będzie, a wraz z nią Jim Maurer, miejscowy szef AFL w Pensylwanii. Huty prędko się przekonają, że nie damy się zastraszyć, a w kraju będzie wiadomo, że wszyscy pracujący popierają nas. To nie wszystko: do jutra przyjedzie z Nowego Jorku około czterdziestu ochotników, żeby pomóc nam w kampanii i dopilnować, żeby gazety miały stały dopływ wiadomości o nas.

Przerwał na moment. — Dobrze. Pięćset dolarów bardzo nam pomoże. Wiedziałem, że będę mógł na ciebie liczyć. Dzięki.

Odłożył słuchawkę, podniósł wzrok i dostrzegł Daniela, stojącego w progu. — Gdzie, do cholery, byłeś? — zapytał gniewnie. — Cały dzień ludzie szukali cię po szpitalach, żeby sprawdzić, czy coś ci się nie stało.

— Jestem już — powiedział po prostu Daniel.

- Powinieneś być dopilnować, żebyśmy byli lepiej przygotowani na to, co się stało — powiedział Foster. — To było twoje zadanie.

— Powiedziałem panu wszystko, co wiedziałem — rzekł Daniel. — Nie można było kontrolować ludzi. Nie było dyscypliny.

— Dyscypliny? — Głos Fostera był pełen pogardy. — Oni są robotnikami, a nie żołnierzami. Czego od nich oczekujesz?

— Niczego — powiedział zwięźle Daniel. — Poza lepszym dowodzeniem. Wydawało mi się, jakby to było ukartowane, że mają stać się ofiarami.

Foster zerwał się wściekły. — Oskarżasz mnie, że rozmyślnie poświęciłem tych ludzi? Daniel powiedział spokojnym głosem: — Nie oskarżam pana

0nic. Po prostu mówię, jak to wyglądało w moich oczach. Foster spojrział mu w oczy. — Gdzie byłeś, kiedy dowódca straży zakładowej wpadł pod koła ciężarówki? Daniel wytrzymał jego wzrok. — Dlaczego pan pyta?

— Niektórzy ludzie mówili, że widzieli cię blisko niego tuż przed tym, jak to się stało.

— Ale kto?

— Niektórzy z nich — Foster celowo odpowiedział wymijająco.

— Pieprzą bzdury — powiedział Daniel. — Byłem zajęty, biegnąc ulicą za panem, ale nie dałem rady. Jak na mnie, biegł pan zbyt szybko.

— Policja zamierza pojawić się tutaj, by cię tu szukać — stwierdził Foster.

— Lepiej niech pan im powie, żeby zamiast mnie szukali ludzi, którzy wpakowali naszych biednych palantów do szpitala — odparł Daniel. — Na pewno gliny na koniach jeżdżą teraz tam

1 z powrotem po dzielnicy imigrantów, waląc po łbie każdego, kto jest na ulicy, rozmawiając z sąsiadami. Zanim nadejdzie noc, nie będzie już tam człowieka, który nie będzie się bał wyjść z domu.

— Skąd o tym wiesz? — zaatakował Foster.

— Właśnie stamtąd przychodzę.

— Jak to się stało, że dotąd o tym nie słyszałem?

— Wszyscy pana pomocnicy są zbyt zajęci odgrywaniem ważniaków tu, w biurze, zamiast wyjść i przekonać się, co się dzieje.

— Gadasz tak, jakbyś myślał, że potrafisz to lepiej robić od nas — powiedział ze złością Foster. — Takiś sprytny, co?

— Może nie jestem dość sprytny — odparł Daniel. — Po prostu wiem, jak takie rzeczy mają być robione.

Foster uspokoił się i wyciągnął na krzesło. — No więc, uwierz mi na słowo. Zajmujemy się tym właściwie. To jest wielki strajk. Obejmuje prawie osiem stanów. Nie zostanie wygrany lub przegrany przez jeden wypadek w jednej parszywej hucie tu, w Pittsburghu. Wierz mi, kiedy wiadomość o tym rozejdzie się, wyjdziemy z tego mocniejsi niż przedtem.

Daniel patrzył na niego w milczeniu.

— Dam ci dwóch lub trzech ludzi. Idźcie na ulicę i przynieście mi raporty na piśmie o szczególnych szykanach policji. Nazwiska, miejsca, czas. Chcę to nadać w telegraficznych wiadomościach dziś w nocy.

Daniel skinął głową. — Dobrze, proszę pana.

Daniel nigdy nie sporządził raportu. Tę noc on i trzystu innych strajkujących spędziło w więzieniu. Dwaj ludzie, których posłał z nim Foster, znaleźli ważne powody, żeby wrócić do biura związku, kiedy tylko zobaczyli konną policję wjeżdżającą na chodnik, żeby wyrzucić z foteli trzech klientów u fryzjera w dzielnicy imigrantów.

— Będziemy potrzebowali więcej posiłków — powiedzieli. Daniel patrzył z pogardą, jak zmykali ulicą. Potem odwrócił się

i wszedł do fryzjera. Jeden z policjantów, wyciągający akurat na ulicę imigranta, który miał jeszcze pianę na twarzy, zablokował Daniela w drzwiach.

— A tobie, cholera, wydaje się, że gdzie idziesz? — szczechnął.

— Ogolić się i obciąć włosy — odparł Daniel. — A ty, cholera, jak myślisz, po co się chodzi do fryzjera?

— Jaki mądry facet — warknął policjant.

Drugi policjant zatrzymał się koło niego. — Czekaj, Sam — powiedział. — Ten facet mówi jak Amerykanin, a nie jak obcy.

Obrócił się w stronę Daniela. — Słuchaj, chłopie, idź do fryzjera w jakiejś porządnej dzielnicy. To miejsce nie jest bezpieczne dla Amerykanina.

— A ci ludzie to nie Amerykanie? — spytał Daniel.

— To są przeklęci komuniści z Europy — powiedział policjant. — To tacy jak oni sprawiają te wszystkie kłopoty w hucie.

Daniel spojrział na imigranta, któremu mydło zaczęło skapywać z policzków. — Tacy rzeczywiście jesteście?

Imigrant spojrział na niego obojętnie.

— Widzisz? — powiedział policjant. — Sukinsyn nawet nie mówi po angielsku.

— Nie wygląda na człowieka sprawiającego kłopoty w hucie — powiedział Daniel. — Wygląda na biednego tumana, który akurat przyszedł ogolić się i obciąć włosy.

— A czego ty chcesz, do cholery? Napytać sobie biedy?

— Nie, proszę pana — powiedział niewinnie Daniel. — Właśnie próbuję wyjaśnić fakty. Jakby to powiedzieć, do rejestru.

— Do rejestru? — powiedział policjant. — Jesteś dziennikarzem z gazety?

Daniel spojrzął na niego. — Można tak powiedzieć. Jestem tu, żeby się przekonać, co tu się dzieje.

— No więc zmiataj z powrotem do tego swojego szmatławca i powiedz im, żeby nie wtykali nosa w nie swoje sprawy!

— Ale dlaczego, nigdy nie słyszał pan o wolności prasy? — spytał złośliwie Daniel.

Policjant potrząsnął pałką pod nosem Daniela. — Naprawdę szybko zabieraj stąd swoją dupę albo poczujesz smak tej wolności.

Daniel patrzył na niego przez chwilę, celowo błędząc oczami w dół, na kurtkę policjanta, i spoglądając na jego numer identyfikacyjny. — Dobrze, proszę pana — powiedział, wycofując się z progu. — Prosto stąd zaraz wracam do gazety i opowiem im, co widziałem.

— Nic nie widziałeś — powiedział policjant.

— To prawda — powiedział Daniel, ciągle cofając się. — Nic nie widziałem. To właśnie powiem im w biurze.

Dostrzegł porozumiewawcze spojrzenie, jakie wymienili policjanci. Ruszył szybko, ale zapomniał o trzecim człowieku na ulicy. Oberwał pałką po głowie, a kiedy przyszedł do siebie, siedział już w celi z około sześćdziesięcioma aresztantami.

Imigrant, którego widział u fryzjera, siedział koło niego. Daniel obrócił głowę i próbował usiąść, ale wydał z siebie tylko jęk.

Imigrant odwrócił się i włożył ramię pod jego plecy, pomagając mu usiąść z plecami opartymi o ścianę. — Teraz dobrze? — spytał.

— Dobrze — potarł tył głowy. Miał tam guza wielkości kaczego jaja. — Jak długo byłem nieprzytomny?

Imigrant wyglądał niewyraźnie. Wtedy Daniel przypomniał sobie, że ten człowiek nie mówił po angielsku. Ostrożnie poruszył

głową, rozglądając się dookoła. Większość mężczyzn wydawała się spać albo próbowała zasnąć. Żaden z nich nie rozmawiał.

— Która godzina? — spytał, czyniąc ruch, jakby patrzył na zegarek.

Imigrant kiwnął głową i podniósł dwa palce. Druga w nocy. Potem wsadził rękę do kieszeni i wyciągnął paczkę papierosów. Wyjął jednego i ostrożnie przełamał go na pół, oferując połówkę Danielowi. Daniel wziął ją, a imigrant zapalił je obie jedną zapalką. Kiedy Daniel zaciągnął się papierosem, kwaśny dym pomógł mu rozjaśnić myśli.

— Wypuszczą nas rano — powiedział. Imigrant nie odpowiedział, tylko kiwnął głową.

— Gdzie jest toaleta?

To zrozumiał. Wskazał na drugą stronę, potem chwycił nos dwoma palcami i pokręcił głową.

Daniel spojrział na drugą stronę celi. W rogu był jeden ustęp i przynajmniej pięćdziesięciu ludzi w celi. Daniel wiedział, o co chodzi imigrantowi, i nawet nie próbował wstać. Mógł poczekać. Dokończył niedopałek, potem oparł się głową o ścianę i zdrzemnął się.

Kiedy znowu otworzył oczy, przez małe okno celi wpadało dzienne światło. Dwaj policjanci stali na zewnątrz, za otwartymi drzwiami celi i krzyczeli: — No już, irriigranckie skurwysyny, wyłazić!

W milczeniu przechodzili rzędem obok policjanta i opuścili budynek małym bocznym wyjściem, prowadzącym na aleję. Przez chwilę mężczyźni kręcili się w kółko, spoglądając na siebie; potem bez słowa rozeszli się, każdy do swojego domu.

Daniel wyciągnął rękę do swojego imigranta. — Dzięki — rzekł.

Imigrant uśmiechnął się i ujął ją. Powiedział coś w obcym języku, jednocześnie potrząsając energicznie ręką Daniela.

Daniel nie wiedział, co ten człowiek mówi do niego, ale poczuł ciepło zarówno dłoni mężczyzny, jak i jego uśmiechu. Uśmiechnął się więc też. — Powodzenia.

Imigrant znowu skinął głową, potem pośpieszył ulicą, a Daniel skierował się do biura związku. Przechodząc obok restauracji, nagle zdał sobie sprawę, że jest głodny. Wszedł do środka, siadł przy kontuarze i zamówił solidne śniadanie.

Dziewczyna za ladą spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

— Wstrzymam się chwilę z jajkami, jeśli chciałby pan najpierw się umyć.

— Dobrze— powiedział. Poszedł do łazienki, ale dopiero, gdy spojrzał w lustro, zrozumiał, dlaczego mu to zaproponowała. Miał skrzepniętą krew na policzku, we włosach, na szyi i karku. Szybko umył się, wycierając się papierowym ręcznikiem. Śniadanie było gotowe akurat, gdy wyszedł.

Kelnerka uśmiechnęła się do niego. — To dopiero musiała być walka.

Pokręcił jjonuro głową. — Nawet nie widziałem, czym oberwałem.

Postawiła przed nim kubek gorącej kawy. — Czyż nie jest tak zawsze? Nikt nigdy nie widzi.

9

Biura związku były zatłoczone ludźmi, których Daniel nigdy przedtem nie widział. Byli rozrzućeni po różnych pokojach, mężczyźni i kobiety, mówiący wyrafinowanym wschodnim akcentem, zajęci pisaniem i gryzmoleniem notatek, a wyglądający jakby[^] w swoim życiu nigdy nie przepracowali nawet dnia.

Daniel dojrzał jednego z etatowych organizatorów. — Co to za jedni? — spytał.

Organizator wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Brygada zbawców. Zawsze pojawiają się wtedy, gdy dzieje się coś, co dostanie się do gazet.

— Nie wyglądają mi na związkowców. †

— Bo nie są — odparł organizator. — Ale to taka moda; mówią, że popierają ruch liberalny. Po tym widać, że nie pozwalają swoim pieniądzom przeszkadzać ich poczuciu sprawiedliwości społecznej.

Daniel wyczuł w głosie organizatora nutę złośliwości. — W ogóle na coś się przydają?

Organizator wzruszył ramionami. — Naprawdę nie wiem. Ale Foster uważa, że to ważne, żeby tu byli. W końcu, nie tylko sami tu przyjeżdżają, ale wszyscy mają pieniądze i przywożą je z sobą.

Sięgnął do kieszeni po cygaro i zapalił je, oczami śledząc jedną z modnie ubranych młodych dziewczyn, przechodzącą z mnóstwem notatek w dłoni. — Ale ja nie narzekam. To taki słodki, zgrabny kociak; wszystkie one piszą w obronie naszej sprawy. Jest też inny sposób, w jaki demonstrują swoją solidarność z robotnikami. Daniel, obserwując dziewczynę, uśmiechnął się szeroko. Wiem, o co ci chodzi. Czy Foster jest w biurze? Powinien być. Właśnie się zbierają, żeby iść na linię pikiet przed fabrykę robić zdjęcia. Matka Jones i Maurer już tam są.

Daniel poszedł korytarzem do biura Fosterera i wszedł do środka. Foster i Phil Murray byli sami w biurze. Foster podniósł wzrok, na jego twarzy pojawił się wyraz poirytowania.

— Przepraszam — powiedział Daniel, zaczynając się wycofywać do drzwi. — Myślałem, że jest pan sam.

Ale to Phil Murray się odezwał: — Wejdz. Właśnie rozmawialiśmy o tobie.

Daniel zamknął za sobą drzwi i pozostał na miejscu.

— Policja szukała cię tu w nocy i wcześniej dziś rano — rzekł Foster.

Daniel wyszczerzył zęby. — Powinni byli szukać w więzieniu na Piątej Ulicy. Trzymali mnie tam całą noc w celi. Byłeś sam?

Potrząsnął głową. — Trzymali tam ze mną około pięćdziesięciu innych ludzi. Kozacy zdejmowali ich w nocy z ulicy. Wzięli mnie, kiedy wszedłem za nimi do fryzjera, gdzie zdjęli dwóch imigrantów dosłownie z foteli.

— Ludzie, którzy poszli z tobą, wrócili i powiedzieli, że zniknąłeś. Powiedzieli, że nie wiedzą, gdzie poszedłeś.

— No, pewnie — odparł drwiąco Daniel. — Zerwali się jak lecące na południe gęsi, kiedy tylko zobaczyli Kozaków wjeżdżających na chodnik. Powiedzieli mi, że wracają po pomoc.

— Powiedzieli, że ich zostawiłeś, żeby działać na własną rękę. Daniel nie odpowiedział.

— Policja chce porozmawiać z tobą o tym strażniku, który zginął. Gazety robią wokół tego straszny gwałt. — Pchnął kilka gazet przez biurko.

Daniel zerknął na tytuły. „Times” i „Herald Tribune” z Nowe-

go Jorku, „Star” z Waszyngtonu i „Bulletin” z Filadelfii. Nagłówki i relacje były bardzo do siebie podobne. Nagłówek na pierwszej stronie głosił: „Strażnik zabity przez strajkujących w hucie”. Potem zajmowali się relacją, a gdzieś w jej końcu była ukryta dodatkowa wiadomość, że około trzydziestu robotników znajdowało się w szpitalu. W relacji nie było ani słowa o tym, że policja i ludzie zaprzysiężeni przez szeryfa rozpoczęli atak.

— Sprawiają wrażenie, jakbyśmy to my wszystko zaczęli — powiedział Daniel.

— Huta tylko czekała, aż wydarzy się coś takiego — powiedział Foster. — Od razu to wykorzystali.

— Wydaje mi się, że byli lepiej przygotowani od nas. Pod każdym względem — rzekł Daniel.

Foster wiedział, o co mu chodzi. — Z tym już koniec — rzekł szybko. — Mamy teraz pomoc, żeby nasza wersja wydarzeń ukazywała się pierwsza.

— To' naprawdę musi iść bardzo szybko, żeby zdążyć przed nimi. Zanim opublikuje pan swoją relację, tamta zdąży się rozejść po całym kraju — powiedział Daniel.

Foster był podrażniony. Wyjął zegarek i spojrzał na niego.

— Robi się późno. Wszyscy fotografowie powinni być już gotowi. Lepiej zejdźmy robić zdjęcia. — Murray podniósł się, a Foster zwrócił się do Daniela: — Znajdź tam jakiegoś reportera i opowiedz mu o nocy w więzieniu. Kiedy wrócę, porozmawiam z tobą.

Daniel spojrzał na niego. — Mnie tu nie będzie. Foster spojrzał na niego ostro. — A gdzie będziesz?

— Wyjeżdżam — powiedział Daniel. Nie mam zamiaru, żeby policja mnie chwyciła. A wydaje mi się, że nie mógłbym spodziewać się żadnej pomocy od tych facetów, którzy się tu kręcą.

— Jeśli uciekniesz, to będzie tak, jakbyś się przyznał, że jesteś winny.

— Do niczego się nie przyznaję — powiedział Daniel. — Po prostu nie podoba mi się wisieć na krzyżu pomiędzy wami dwoma.

Foster milczał przez chwilę. — Dobrze, idź na dół do skarbnika i weź swoją pensję do końca tygodnia.

— Dziękuję — powiedział Daniel. Odwrócił się, by wyjść z biura, ale zatrzymał go głos Murrraya, który w wyciągniętej ręce trzymał klucz.

— To jest klucz do mojego pokoju w hotelu Perm State. Kiedy pozbierasz swoje rzeczy, spotkamy się w moim pokoju. Dziś po południu jadę do Waszyngtonu. Możesz pojechać ze mną.

— Dzięki — powiedział Daniel. Wziął klucz z ręki Murraya. — Będę czekał na pana.

Było parę minut po czwartej, gdy wielki czarny Buick wyjechał z miasta na autostradę międzystanową numer 5 z Danielem siedzącym obok prowadzącego Murraya. Minęło pół godziny od wyjazdu z miasta, zanim Murray odezwał się.

Nie odwrócił głowy, obserwując bacznie drogę. — Zabiłeś tego strażnika?

Daniel odpowiedział bez wahania. — Tak.

— To nie było zbyt mądre — rzekł Murray. — Gdyby policja mogła cię o to oskarżyć, mogłoby to nam bardzo poważnie zaszkodzić. Być może nawet złamać strajk.

— Strajk już jest przegrany — powiedział Daniel. — Wiedziałem to w chwili, gdy Foster stracił kontrolę nad swoimi ludźmi. Po prostu zmroziło go tak, że nie mógł nic zrobić. Przez chwilę myślałem, że strajk nic dla niego nie znaczy. Że obchodzi go coś innego.

— Co?

— Nie wiem — odparł Daniel. — Nie znam się wystarczająco na strajkach i polityce, żeby mieć własną opinię, ale na pewno wyczuwam, kiedy coś nie jest tym, czym ma być.

— Czy uważasz, że można było uniknąć walki?

— Nie, proszę pana, ale nie było potrzeby, żeby ci wszyscy ludzie zostali tak zmasakrowani. Gdybym był na jego miejscu, zszedłbym z podwyższenia i wyperswadował szeryfowi, żeby poczekał. Nie wydawało mi się, żeby szeryfowi zależało na zaczynaniu czegokolwiek; on też szukał pretekstu, żeby się wycofać i nie wszczynać niczego, ale nie daliśmy mu szansy.

— Naprawdę myślisz, że strajk jest przegrany?

— Tak, proszę pana — powiedział z przekonaniem Daniel. — Huty są zbyt dobrze zorganizowane. Z tego, o czym mogłem się przekonać, wynika, że mają w kraju ponad osiem tysięcy zaprzysiężonych ludzi dla powstrzymania strajkujących w miejscu.

Gliny jeżdżą tam i z powrotem po - całej dzielnicy imigrantów, szykanując ich i aresztując, a nie przestaną, dopóki strajk się nie skończy. I nie mogę uwierzyć, że Foster nie wie o tym. Ale jest coś innego, z czym nie może się pogodzić, i dlatego nie przerywa strajku. Murray zerknął na niego. — Jakie masz plany? .

— Jeszcze nie wiem. — powiedział Daniel. — Pojeżdżę po kraju, znajdę jakąś pracę.

— A co byś powiedział na pracę w UMW?

— Co bym miał tam robić?

— Chodzić do szkoły przez pierwsze dwa lata. Zdobyć jakieś wykształcenie i wiedzę, które pomogą ci w bardziej inteligentny sposób zgłębiać problemy, z którymi styka się świat pracy.

— Co to za szkoła?

— College w Nowym Jorku. New School for Social Research. Spróbuj nawet zrobić dyplom. My zapłacimy za wszystko.

— O co w tym chodzi? Dlaczego?

— O nic. Kiedy skończysz, dostaniesz u nas pracę. Jeśli ci się ona nie spodoba, zawsze możesz zrezygnować.

Daniel pomyślał przez chwilę. — Nie chodziłem zbyt długo do prawdziwej szkoły. Myśli pan, że dam sobie z tym radę?

— Tak uważam. Musisz nauczyć się tylko jednego, zanim zaczniesz.

— Co to takiego? — spytał Daniel.

— Ważną rzeczą w tym, co robimy, jest działanie na korzyść robotników, którzy powierzają nam reprezentowanie siebie. Nie stać nas na luksus odgrywania się na ludziach, którzy skrzywdzili, albo i nie skrzywdzili nas, lub stali się naszymi wrogami. Ludzie, których reprezentujemy, nie zasługują na to.

Daniel milczał przez chwilę. — Myśli pan... o tym, co zrobiłem? Murray powiedział krótko. — Tak. Tego więcej być nie może.

— Ale mimo to ciągle chce pan spróbować ze mną? Dlaczego?

Murray rzucił mu bokiem spojrzenie, potem ponownie obserwował drogę. — Bo mam przecucie. Więcej, myślę, że masz dużo naturalnej mądrości. Nie znając się na tym, wskazałeś najważniejszą problemę strajku. Coś czuję, że kiedyś będziesz w ruchu związkowym ważnym człowiekiem. W pewien sposób przypominasz mi Johna L., kiedy go pierwszy raz spotkałem. Masz charakter i intuicyjną wiedzę.

To wielki człowiek powiedział z szacunkiem Daniel. — Nie sędzę, żebym kiedykolwiek był taki jak on.

Nikt tego nie wie — odparł Murray. — Poza tym, nie musisz być taki jak on. Może jeśli po prostu będziesz sobą, możesz okazać się większy od kogokolwiek z nas.

Nie mam nawet dwudziestu lat.

— Wiem o tym — rzekł Murray. — Kiedy wyjdiesz ze szkoły, będziesz miał dwadzieścia dwa. To właśnie dobry wiek, żeby zacząć.

— Myśli pan serio? — spytał Daniel.

— Gdybym tak nie myślał, nie proponowałbym ci tego — odparł Murray.

— Zrobię to — powiedział Daniel, wyciągając rękę. — Mam nadzieję, że nie rozczaruję pana.

Murray ujął jego rękę, drugą przytrzymując kierownicę — Nie rozczarujesz mnie. . — Dziękuję — rzekł Daniel.

— Nie dziękuj mi — powiedział Murray. — Tylko się dobrze sprawuj.

Cofnął rękę i położył ją na kierownicy. — Cholera! Zaczyna padać.

To było dawno temu. Jakies siedemnaście lat temu. A teraz Daniel siedział w gorącej kąpieli w kalifornijskim motelu, paląc cygaro, pociągając z butelki whisky, stojącej na krześle obok wanny, i czekając na Tess, aż wróci ze sklepu z dwoma stekami. A na Wschodzie znowu się zaczynało. Strajk w hutach. Ale tym razem było inaczej. Lewis podpisał porozumienie z Big Steel dokładnie rok temu. Teraz Phil Murray zamierzał wziąć się za Litde Steel. I jedyną rzeczą, która martwiła Daniela, było przeczucie, że Murray zdązał ku podobnej klęsce, jakiej doświadczył Foster siedemnaście lat temu.

10

— Jesteśmy tu już prawie trzy miesiące — powiedziała, odstawiając ze stołu ostatnie naczynia z kolacji. — Chyba już czas, żebyśmy znaleźli sobie apartament.

Daniel odłożył wieczorną gazetę. — Po co? Tu jest mi bardzo dobrze.

— Za pieniądze, które płacimy w tym hotelu, moglibyśmy mieć całkiem przyzwoity własny dom.

Nie odpowiedział. Podniósł gazetę i zaczął znowu czytać.

Usiadła naprzeciw niego i włączyła radio. Właśnie zaczynało się *Fibber McGee i Molly*. Słuchała przez parę chwil, potem niecierpliwie przekręciła gałkę. Naprawdę nic ją nie interesowało i z odrazą wyłączyła radio.

— Danielu — powiedziała.

Opuścił gazetę i ponad jej górnym brzegiem spojrzął na nią.

— Nie zamierzasz znaleźć jakiejś pracy? — spytała.

— Mam pracę — powiedział.

— Mam na myśli taką, do której się wychodzi — rzekła. Wiedziała, że czek ze Wschodu przychodził co tydzień.

— Staram się — powiedział. — W tym tygodniu miałem trzy spotkania z różnymi związkami.

— To nie jest praca — stwierdziła.

Złożył gazetę i położył ją na stole obok swojego krzesła. Milczał.

— Inni mężczyźni wychodzą każdego ranka do pracy i wracają wieczorem. Ty tego nie robisz. Zamiast tego ja wychodzę rano i wracam wieczorami. I każdego dnia jest to samo. Zostawiam cię siedzącego na tym krześle, czytającego poranną gazetę, a kiedy przychodzę, siedzisz w tym samym miejscu i czytasz wieczorną gazetę. To nie jest normalne.

Sięgnął po butelkę whisky i nalał sobie szklaneczkę. Wychylił ją i nalał jeszcze raz.

— To jest osobna sprawa — powiedziała. — Pijesz butelkę whisky dziennie.

— Widziałas mnie kiedyś pijanego? — spytał.

— Nie o to chodzi. Tyle whisky nie może wyjść na zdrowie żołądkowi.

— Czuję się świetnie — powiedział.

— Kiedyś cię to dopadnie — rzekła. — Widziałam, jak to wygląda. Przełknął drugą porcję, przypatrywał się jej przez chwilę, potem

powiedział: — No, dobrze. Dajmy temu spokój. Co cię gnębi?

Zaczęła płakać. Kilka razy próbowała się odezwać, ale łkanie stawało się silniejsze, aż łzy zaczęły spływać jej po policzkach.

Wyciągnął do niej rękę, dosłownie uniósł ją z krzesła i posadził sobie na kolanach. Oparł jej twarz o swoje ramię i delikatnie głaskał jej włosy.

— Spokojnie, kochanie — powiedział łagodnie. — Nie jest przecież tak źle.

— Nie? — Spojrzała na niego zamglonymi przez łzy oczami. — Jest wystarczająco źle. Jestem w ciąży.

Jego głos był spokojny i nie zdradzał zdziwienia: — Jak długo?

— Doktor mówi, że jakieś dziesięć do dwunastu tygodni — odpowiedziała. — Przed następnymi badaniami nie może nic dokładnie powiedzieć.

Milczał przez chwilę, nadal w zamyśleniu głaszcząc ją po głowie. — Jeśli się nie mylę, na aborcję jest za późno? — Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

— To pierwsze, o co go spytałam. Powiedział, że nie podjąłby się. Powiedział mi też, że w Tijuana są lekarze, którzy by to zrobili, ale tego nie poleca.

Spojrzał na nią. — Jak to się stało, że wcześniej niczego nie zauważyłaś?

Napotkał jej wzrok. — Zawsze miałam nieregularnie okres. Czasem nie miałam go przez dwa miesiące. Szczególnie, kiedy często się kochałam.

— My robiliśmy to często — zgodził się.

Podniosła się, poszła do kuchenki i wróciła ze szklanką. Wyciągnęła ją do niego. — Chyba muszę się napić.

Spojrzał na nią. — Czytałem gdzieś, że picie nie wychodzi dzieciom na zdrowie.

— Jeden mały nie zaszkodzi — powiedziała.

Nalał jej whisky mniej niż na grubość palca i napełnił swoją szklankę. Podniósł ją i stuknął o szklankę Tess. Zdrowie Daniela B. Hugginsa, juniora.

Trzymała już szklankę przy ustach, zanim dotarła do niej waga tego, co powiedział. Szklanka znieruchomiła w jej ręce. — Mówisz serio?

Skinął głową.

--Nie musisz — powiedziała. — Nie obwiniam cię za nic, to moja wina.

— To niczyja wina — rzekł. — Myślałem o tym, zanim jeszcze mi o ciąży powiedziałaś.

— Szczerze? — Jej głos był pełen niedowierzania.

— Szczerze. Jesteś dobrą kobietą i jesteś z tego samego gatunku, co ja. Będzie nam razem dobrze.

Opadła przed nim na kolana i położyła mu głowę na kolanach. Z oczu znowu popłynęły jej łzy.

— Tak się bałam, Danielu. Tak bardzo cię kocham. Podniósł jej twarz w swoją stronę. — Nie było czego się bać. Ja też cię kocham — powiedział i pocałował ją.

Następnego dnia rano wzięli ślub przed sędzią pokoju w Santa Monica.

Był to mały dom, położony na bocznej ulicy od San Vincente, na północ od Santa Monica Boulevard w Hollywood. Dwie sypialnie połączone z łazienką, salon i duża kuchnia z niszą jadalną. Mały podjazd, prowadzący do garażu przy bocznej ścianie domu, oddzielał go od sąsiedniej posesji. Podwórza, zarówno frontowe, jak i za domem, wydawały się podobnych rozmiarów: szerokie jak dom na trzydzieści stóp i około dwudziestu pięciu stóp głębokie.

Pośrednik handlu nieruchomościami zostawił ich dyskretnie w salonie, by mogli to przedyskutować. — Co o tym sądzisz? — spytał Daniel.

— Podoba mi się — powiedziała. — Szczególnie ten pokój po drugiej stronie łazienki. Możemy go naprawdę ładnie urządzić dla dziecka. Ja mogę zrobić nowe pokrycia na resztę mebli, a po małym malowaniu mogłoby tu wyglądać naprawdę przyjemnie. Jedyna rzecz to cena. Tysiąc czterysta dolarów to dużo pieniędzy.

— Trzeba jeszcze dodać na inne rzeczy. Meble, kuchnię, piec, lodówkę.

— Takie miejsce, jak to, możemy wynająć za jakieś dwadzieścia pięć miesięcznie — powiedziała.

— Ale wtedy wydasz trzysta rocznie, a na koniec nie będziesz miała nic. A tak mamy majątek. To jak polisa ubezpieczeniowa.

— Ile pożyczki da nam bank?

— Żaden bank nie da mi pożyczki — powiedział. — Banki nieszczególnie lubią związkowców.

Spojrzała na niego. — Mam te pieniądze, które dostałam za

sprzedany dom na Wschodzie — powiedziała. — Czteryście. To już będzie coś.

Uśmiechnął się. — Twoje pieniądze nie są mi potrzebne. Dam sobie radę. To znaczy, jeśli się decydujesz.

— Decyduję się — powiedziała.

— Dobrze, więc pozwól, że złożę mu propozycję — powiedział, wołając agenta z powrotem do pokoju.

Dobili targu na tysiąc dwieście siedemdziesiąt pięć dolarów i wprowadzili się do domu pod koniec miesiąca. Zajął im potem trochę więcej niż miesiąc, żeby zrobić w domu to, co chcieli. Daniel odmalował dom i meble, ona uszyła nowe zasłony i draperie na starej maszynie do szycia, którą któryś z byłych właścicieli zostawił na poddaszu.

Kiedy wróciła z pracy, jak zwykle siedział w salonie, czytając wieczorną gazetę. Odłożył gazetę i spojrzał na nią.

Była w piątym miesiącu i zaczynało to być widoczne. Miała wymizerowaną i zmęczoną twarz.

— Spóźniłam się — powiedziała. — Mieliśmy dużo roboty i szef mnie nie puścił. Zaraz zabiorę się do kolacji.

— Nie przejmuj się — powiedział. — Weź kąpiel i trochę odpocznij. Zabieram cię na kolację. Zjemy coś po chińsku.

— Nie musisz — powiedziała. — Nie ma problemu, żebym zrobiła kolację.

Ale widział, że pomysł się jej spodobał. — Zrobisz, jak powiedziałem.

Później, w czasie kolacji, kiedy pałaszowali chińską zupę, powiedział dość niedbale: — Chyba już czas, żebyś zostawiła swoją pracę. To nie fair wobec juniora, żebyś była na nogach przez cały dzień, jak dotąd.

— Pieniądze naprawdę się przydają — powiedziała. — Dwanaście, czternaście dolarów tygodniowo pokrywa sporo domowych rachunków.

— Więcej wydaję na whisky i cygara — stwierdził. Milczała.

- Poza tym, wrócę chyba do pracy. Jeśli tak zrobię, będziemy mieli o wiele więcej pieniędzy niż teraz.

Wpatrywała się w niego. — Co zamierzasz robić?

— To, co zawsze robiłem: organizować.

— Nie wiedziałam, że tutaj też możesz dostać taką pracę.

— To nie tutaj — rzekł. — Na Wschodzie. Sam Phil Murray dzwonił do mnie. Chce, żebym poprowadził Steelworkers Organizing Committee* w Chicago. Będą mi płacić pięćdziesiąt pięć dolarów na tydzień plus wydatki. W jej głosie pojawiło się przerażenie. — To znaczy, że ledwośmy się tutaj zaczepili, musimy przenosić się tam z powrotem.

— Nie — powiedział. — Nie na stałe. Cała praca nie powinna potrwać w najgorszym razie dłużej niż kilka miesięcy. Potem wrócę.

— Będę sama. A co zrobię, kiedy będę miała rodzić, a ty ciągle tam będziesz?

Roześmiał się. — Będę z powrotem dużo wcześniej — powiedział z przekonaniem.

— Nie lepiej, żebyś znalazł jakąś pracę tutaj?

— Wiesz, ile tutaj płacą. Nigdzie nie zarobię nawet połowy tego, co tam. A im więcej zarobimy teraz, tym lepiej będzie się nam powodziło, kiedy dziecko się urodzi. Jeśli będą pokrywać moje wydatki, całą pensję możemy odkładać do banku.

Spojrzała mu w oczy. — To właśnie chcesz zrobić, prawda? Powiedział po prostu: — Tak.

Zaczerpnęła głęboko tchu. — Dobrze. Ale będę za tobą tęsknić. Uśmiechnął się i, sięgając ponad stołem, dotknął jej policzka.

— Też będzie mi ciebie brakowało — powiedział. — Ale zanim się obejrzysz, będę z powrotem.

Podniosła rękę, przyciskając jego dłoń do policzka. Chciała mu wierzyć, ale w głębi duszy wiedziała, że to potrwa dłużej niż sądził.

— Czy to niebezpieczne? — spytała.

Wzruszył ramionami. — Nie bardziej niż inna praca.

— Nie chcę, żeby coś ci się stało.

Poklepał się po marynarce pod pachą, gdzie wygodnie spoczywał rewolwer. — O to się nie martw. To, co się wtedy stało, nie zdarzy się już nigdy. Mam przyjaciela.

Zajrzała mu w oczy. — To dobrze. Ale nie zapomnij o tym, że masz też żonę.

* **Steelworkers Organizing Committee (SWOC).**

11

Dwa dni później stał rta peronie, przygotowując się do wejścia do pociągu na Wschód. Odwrócił się do Tess. — A ty uważaj na siebie. Rób to, co mówi doktor, i przestrzegaj diety. Będę za sześć tygodni.

Zarzuciła mu ręce na szyję. — Bądź ostrożny. Nie chcę, żeby ci się coś stało, jak wtedy, gdy się spotkaliśmy.

— Nic takiego się nie zdarzy — powiedział i pocałował ją. — Tylko uważaj.

— Kocham cię — powiedziała.

— Ja też cię kocham — rzekł i wszedł do pociągu. Stał na stopniach i kiwał jej, kiedy pociąg ruszył. Widział, jak przesłała mu pocałunek, gdy pociąg skręcał, oddalając się od peronu, i zginęła mu z oczu. Wszedł po stopniach i podniósł walizkę akurat, gdy z wagonu wyszedł bagażowy.

— Proszę pozwolić sobie pomóc, sir — powiedział, błyskając zębami w szerokim uśmiechu. Wyjął walizkę z ręki Daniela.

— Proszę o pański bilet.

Daniel podał mu swój bilet. Bagażowy spojrzał nań i kiwnął głową. — Proszę za mną, sir.

Daniel podążył za nim przejściem, kołysząc się lekko, bo pociąg zaczął nabierać szybkości. Bagażowy znowu sprawdził bilet i zatrzymał się w środku wagonu. Wskazał na miejsce i ostrożnie umieścił walizkę na półce nad głową.

— Może pan zająć dwa miejsca, proszę pana — powiedział. — Nie mamy przepelnienia. Postaram się, żeby nikt nie siedział obok pana. Będzie się pan mógł w nocy wyciągnąć.

— Dziękuję — powiedział Daniel, wręczając mu półdolarówkę.

— Dziękuję, proszę pana — powiedział z zachwytem bagażowy. — Gdyby pan czegoś chciał, proszę mnie tylko zawołać. Mam na imię George.

Daniel spojrzał na niego. — Czy bar jest otwarty?

— Tak, proszę pana. Wagon dla palących jest trzy wagony do tyłu, zaraz za wagonami sypialnymi. — Bagażowy zaczął się zbierać. — Przyjemnej podróży, proszę pana.

Przechodząc przez drugi wagon sypialny, zobaczył dziewczynę. Bagażowy właśnie wychodził z jednego z prywatnych przedziałów.

Odruchowo zajrzał przez otwarte drzwi. Stała tam, z ręką przy górnym guziku bluzki. Podniosła wzrok. Przez moment ich oczy spotkały się, potem lekko uśmiechnęła się i drugą ręką pchnęła drzwi, by się zamknęły. On podążył do wagonu dla palących.

Bar był już zatłoczony. Był tylko jeden wolny stolik z dwoma krzesłami pod oknem. Usiadł. Podeszedł do niego kelner.

— Słucham pana.

— Ile kosztuje butelka bourbona? — spytał Daniel.

— Dolar osiemdziesiąt półlitrowa, dwa sześćdziesiąt za trzy czwarte, proszę pana.

— Wezmę trzy czwarte.

— Dobrze, proszę pana. Z lodem i imbirem?

— Po prostu z wodą, dziękuję.

Był właśnie w trakcie drugiej • szklaneczki, kiedy weszła do wagonu. Jej oczy przebiegły wagon w poszukiwaniu wolnego stolika. Nie było żadnego. Przez chwilę wydawała się wahać, jakby miała zawracać, potem dojrzała wolne miejsce przy jego stole i podeszła do niego.

— Czy nie miałby pan nic przeciwko temu, żebym tu usiadła? — powiedziała cichym głosem osoby kulturalnej i wykształconej.

Podniósł się. — Cała przyjemność po mojej stronie, proszę pani. Usiadła, a za chwilę podeszedł kelner. — Czego się państwo napiją?

— Bourbon z wodą — powiedział Daniel. — Czy mógłbym dostać jeszcze jedną szklanekę?

Potrząsnęła głową. — Wytrawne martini — powiedziała do kelnera. Odwróciła się z powrotem do Daniela. — Nie bardzo mi się podobało popijać samotnie w przedziale.

Daniel uśmiechnął się.

Wyciągnęła rękę. — Jestem Christina Girdler. Kelner przyniósł jej martini. Podniosła kieliszek. — Za przyjemną podróż.

Wypił bourbona jednym haustem. — Za przyjemną podróż, panno Girdler.

— Przyjaciele mówią mi Chris — powiedziała.

— Daniel.

— Jadę do Chicago — rzekła. — Byłam z wizytą u paru przyjaciół na Wybrzeżu.

— Przesiadam się w Chicago w drodze do Pittsburgha, ale za jakieś dwa, trzy tygodnie będę znów w Chicago — powiedział.

— Co to za praca, Danielu?

— Jestem organizatorem związków zawodowych. Teraz mam akurat specjalne zadanie od Steelworkers Organizing Committee z CIO.

— SWOC?

— Słyszałaś o nas? — W jego głosie słychać było zdziwienie. Normalnie ludzie z jej kręgów nie wiedzieli nic o związkach. Zachichotała. — Mój wuj Tom by się wściekł, gdyby wiedział, że tu siedzimy i rozmawiam z tobą. Tylko mu coś powiedz o SWOC, od razu wybucha.

Girdler. Teraz skojarzył nazwisko. Prezydent Republic Steel. Czołowy przedstawiciel ruchu antyzwiązkowego Little Steel. — Ten Girdler?

Znowu się roześmiała. — Ten Girdler. Chcesz, żebym teraz odeszła od stołu? Zdusił śmiech. — W żadnym wypadku.

— Nawet, jeśli ci powiem, że pracuję w dziale prasowym jego firmy i jestem jedną z tych, którzy publikują wszystkie te antyzwiązkowe informacje?

Potrząsnął głową. — To nie ma znaczenia. Akurat teraz żadne z nas nie jest w pracy.

— Nie dacie rady wygrać. Wiesz o tym, prawda?

— Nie jestem w pracy — powiedział.

— O czym więc chcesz rozmawiać? — spytała.

— O tobie — odparł.

— Co o mnie? — spytała.

— Stoi mi cały czas, odkąd tylko tu usiadłaś — powiedział. — Chcę cię zerznąć.

Wstrzymała oddech. Raptem na jej twarzy pojawiły się delikatne krople potu i lekko zarumieniała się. Wpatrywała się w niego.

— Dobrze się czujesz? — spytał.

Zwilżyła wyschnięte wargi językiem. — Właśnie miałam orgazm.

Roześmiał się. — To prowadzisz jednym punktem. Roześmiała się razem z nim. — Czy mogłabym poprosić jeszcze coś do picia?

Dał znak kelnerowi. Kiedy martini stało już na stoliku, a kelner odszedł, powiedział: — Najpierw zjemy kolację. Potem pójdziemy do twojego przedziału.

— Dlaczego nie do twojego?

Zaśmiał się. — Bo go nie mam. Związkowcy jeżdżą w wagonach bez przedziałów.

Z Los Angeles pociąg jechał prawie czterdzieści godzin do Chicago i tylko jeden jedyny raz wyszli w ogóle z jej przedziału coś zjeść. W Chicago przytuliła się do niego, gdy przygotowywał się do przesiadki, i nie puściła go, dopóki nie przyrzekł, że zadzwoni do niej, jak tylko przyjedzie.

Na zawsze pozostało dla niego tajemnicą, skąd się dowiedziała, ale kiedy dwa tygodnie później wysiadł w Chicago z pociągu, czekała na niego i pozostała z nim dotąd, aż był gotowy do powrotu na Wybrzeże.

Pewnego dnia w samochodzie jadącym z powrotem do Chicago z Gary w Indianie, dokąd pojechał dokończyć pomiary gruntu, położyła mu rękę na ramieniu. — Chcę za ciebie wyjść.

Zerknął na nią. — Jesteś szalona.

— Mówię poważnie.

— Wiesz, że jestem żonaty. I że Tess spodziewa się dziecka za mniej niż miesiąc.

— Mogę na ciebie poczekać, zanim nie dostaniesz rozwodu.

— Zapominasz o tym, ile zarabiam. Nie stać mnie, żeby utrzymywać Tess i dziecko, i mieć drugą żonę.

— Ja mam pieniądze.

— Nie, dziękuję.

— Nie musisz zostawać w związkach. Ty i wuj Tom przypadlibyście sobie do gustu. Jestem pewna, że natychmiast dałby ci pracę. Za wiele więcej, niż zarabiasz teraz.

Spojrzał na nią znowu. — Jest nam ze sobą wspaniale. Nie nalegaj, bo to zepsujesz.

— Kocham cię — powiedziała. — Nigdy nie znałam mężczyzny, który potrafiłby dać mi tyle przeżyć, ile ty mi dajesz.

— Mylisz miłość ze rżnięciem. To, że się nam doskonale pieprzy, jeszcze nie znaczy, że się musimy zakochać.

— Ale ja cię naprawdę kocham. — Upierała się jak dziecko.

— Dobrze. Chcę, żebyś mnie kochała, ale nie zakochuj się we mnie.

— Kochasz mnie? — spytała.

— Tak — odparł. — Ale nie jestem w tobie zakochany.

— Nie widzę różnicy. Czy jesteś zakochany w swojej żonie?

— Nie. Ale naprawdę ją kocham.

— Naprawdę nie widzę różnicy.

— Daj sobie czas, to zobaczysz — powiedział.

Milczała przez chwilę. — Dlaczego z nią jesteś, jeżeli nie jesteś w niej zakochany?

— Jesteśmy tym samym rodzajem ludzi — rzekł. — To samo pochodzenie, te same przekonania. To proste. Nigdy nie pasowałbym do twojego towarzystwa, a ty nigdy nie czułabyś się dobrze w moim. A ponieważ nie ma możliwości, żebyśmy resztę naszego życia mogli spędzić w łóżku, więc to po prostu nie ma sensu.

— Mylisz się — powiedziała. — Wszędzie bardzo dobrze byś pasował. Wuj Tom wcale się od ciebie nie różni.

Zaczynał z niczym, dorobił się i pasuje.

— Nasza filozofia jest z gruntu inna — powiedział Daniel. — Widziałem, jak z powodu takich ludzi, jak twój wuj Tom, ginie cała moja rodzina. Widziałem zbyt wielu ludzi skrzywdzonych i głodnych z powodu czegoś, zwanego polityką firmy. Nigdy nie mógłbym być tego częścią.

— Może gdybyś był, mógłbyś to zmienić.

Roześmiał się. — Teraz zachowujesz się naiwnie i wiesz o tym. To nie tylko twój wuj Tom, albo jakiś inny człowiek, który prowadzi tę politykę. Przyczyn tego jest wiele. Banki, Wall Street, coś, co zwane jest zyskami akcjonariuszy. Oni wywierają nacisk tak, że albo się zgadzasz, albo znajdują kogoś innego, żeby to zrobił. Gdyby twój wuj próbował zmienić politykę, nie przetrwałby nawet tygodnia w swojej pracy. Nie ma większej możliwości, żeby robić to, co chce, to znaczy, jeśli chce cokolwiek zmienić — niż zwykły człowiek.

— Pomimo to chcę za ciebie wyjść — powiedziała.

Zdjął rękę z kierownicy i przykrył nią jej dłoń. — Jest pięknie tak jak jest — powiedział łagodnie. — Zostawmy to tak. Nagle odezwała się głosem pełnym napięcia: — Chcę się rznąć.

Widziałam napisy, że za jakieś dziesięć mil będzie hotel. Zatrzymajmy się tam na noc.

— Ale rano muszę być w Chicago.

— To mnie nie obchodzi — powiedziała ochrypłym głosem. — Chcę mieć ciebie w sobie.

Spojrzał na nią i po chwili skinął głową. Zjechali z drogi, a do Chicago dotarł dopiero następnego dnia późnym popołudniem.

12

Kiedy Daniel wszedł z walizką w rękę do biura Philipa Murraya, przewodniczącego United Steelworkers CIO, siedziało tam'wraz z Murrayem kilku mężczyzn, ale szybko odprawił ich i zwrócił się do Daniela.

— Co znalazłeś? — spytał krótko.

Daniel postawił walizkę na podłodze. Był równie rzeczowy.

— Nie spodoba ci się to, co powiem — przerwał na moment. — Masz whisky?

Murray w milczeniu sięgnął do dolnej szuflady biurka i na stole pomiędzy nimi postawił butelkę bourbona i szklankę. Począł, żeby Daniel napił się i ponownie nalał sobie do szklanki.

— Mów — powiedział spokojnie.

— Byłem w terenie przez sześć tygodni. Byłem w czternastu miastach ośmiu stanów i nie podoba mi się to, co widziałem. Wciągają nas w pułapkę. Są w pełnej gotowości i czekają na nas. Girdler z Republic Steel czeka na nas z całą armią, a tam, gdzie jej nie ma, ma nagrą lokalną policję, która za niego odwali brudną robotę. W szykanowaniu robotników i członków związków posunął się tak daleko, jak to tylko możliwe. Teraz czeka na ogłoszenie strajku, żeby móc dać związkowi szkołę.

— To aż tak źle, co? — spytał Murray.

Daniel kiwnął głową, wychylając kolejną whisky. — Może gorzej.

— Skąd dowiedziałeś się aż tyle o tym, co robi?

— Od członka jego rodziny.

— Dziewczyny?

Daniel skinął głową. — Ona także pracuje w jego biurze.

— Czy wie, kim jesteś?

— Tak.

— Więc dlaczego ci powiedziała? Daniel milczał. Znowu się napił.

Murray przyglądał mu się przez dłuższą chwilę. — Mogła cię celowo wypuszczać.

— Nie sądzę. Chce wyjść za mnie.

— Nie wie, że jesteś żonaty?

Daniel skinął głową. — To jej nie przeszkadza. Uważa, że rozwody to prosta sprawa.

— A co ty o tym myślisz?

Daniel potrząsnął głową. — Jestem żonaty. Mniej więcej za jakiś tydzień zostanę ojcem. Powiedziałem jej o tym.

Mówi, że może poczekać, aż będę wolny.

Murray milczał, więc Daniel mówił dalej: — Powiedziałeś, że będę mógł jechać do domu, gdy dziecko będzie miało się urodzić. Zamierzam wyjechać jutro.

— Nie wiem, czy mogę obejść się bez ciebie właśnie teraz — powiedział Murray.

— Dałeś mi słowo — rzekł Daniel. Murray kiwnął głową. — Dałem.

— Więc wyjeżdżam.

Murray znowu milczał. Miał wymęczoną i bladą twarz. Zaczął postukiwać ołówkiem o biurko. — Cholernie mnie naciskają, żebym ogłosił ten strajk.

— Nie rób tego — powiedział Daniel. — Pamiętaj, co dawno temu powiedziałeś mi o Billu Fosterze. Nigdy nie zaczynaj strajku, dopóki nie wiesz, że możesz go wygrać. Teraz chcesz zrobić tę samą rzecz. A nie ma sposobu, żeby wygrać ten strajk.

— Naprawdę tak uważasz? Daniel w milczeniu skinął głową.

— Szlag by to! — Ołówek trzasnął na pół w palcach Murraya. — Dupa mi się pali. Lewis ułożył się z Big Steel prawie rok temu, a mnie obwiniają, że pozwałam tu Little Steel trzymać się tak długo. Coraz mniej ludzi zapisuje się do związku, bo żądają czynów.

— Jeśli chcą wojny, to ją będą mieli — powiedział Daniel. —

Ale w ten sposób nie wygrają strajku. Jedyne, co zdobędą, to czas spędzony w więzieniu i w szpitalach.

— Reuther ułożył się z General Motors. To jest numer. Teraz mówią, że my możemy to zrobić.

— Ciągle pozostaje Ford — powiedział Daniel. — Reutherowi dużo brakuje, żeby się z nim dogadać. A Girdler jest tak samo dobrze zorganizowany jak Ford.

Murray przyjrzał mu się. — Co mam zrobić?

— Co mówi Lewis?

— Nic nie mówi. Rozmyślnie. Po prostu siedzi tam sobie spokojnie jak spasiony kocur i czeka, aż zrobię ruch. Jeśli wygramy, wskoczy na wóz z orkiestrą.

— A jeśli przegramy?

Murray wzruszył ramionami. — Zawsze może powiedzieć, że zaczęliśmy, nie pytając go o to.

— Więc dlaczego nie zapytasz go wprost?

— Próbowałem. Ale wiesz, jaki on jest. Nie ma mowy, żeby zmusić go do rozmowy o czymś, jeśli nie ma na to ochoty.

Butelka była już do połowy opróżniona, ale Daniel znowu sobie nalał. — Graj na zwłokę.

— Nie mogę już dłużej grać na zwłokę — odparł Murray.

— Dwa tygodnie — powiedział Daniel. — Do tego czasu wrócę z Wybrzeża. Chcę być w South Chicago, kiedy to się zacznie. Jeśli będę mógł dopilnować wszystkiego na miejscu, nie powinno być tak źle.

— Jak możesz być pewnym? — spytał Murray. — Dzieci są znane z tego, że rodzą się i trzy tygodnie po terminie.

— Ale nie to — powiedział Daniel. — Gdyby się na to zanosilo, wezmę doktora, żeby zrobił cesarskie cięcie. Będę tu z powrotem do połowy marca.

Murray spojrzał na niego. — Dwa tygodnie? Daniel kiwnął głową.

— Dobrze. Ale nie będę w stanie wstrzymać tego dłużej. Komuchy zaczynają właśnie kampanię, żeby wywalić mnie z pracy.

— Lewis powinien o tym wiedzieć — powiedział Daniel.

— Oczywiście, że wie — rzekł ze złością Murray. — Ale znasz jego taktykę. Od wszystkiego z dala. Przyjmie pomoc z zewsząd,

jeżeli zwiększa to liczbę członków. To dlatego wpuścił ich, kiedy Greenwich nie przyjął ich do AFL.

— Dają sobie radę z Textile Workers?

Murray kiwnął głową. — Hillman dostarcza im wszelkiej pomocy poza Nowym Jorkiem. Zamierzają rozpocząć obstrukcję na Południu, ale to dopiero za rok. Na razie umacniają się.

Daniel podniósł się. — Wrócę za dwa tygodnie. Dzięki za whisky, szefie.

Murray wstał zza biurka. — Naprawdę myślisz, że nie możemy wygrać tego strajku?

— Mamy na to mniej szans niż lód w piekle.

Murray wyciągnął rękę. — Mam nadzieję, że w domu wszystko pójdzie dobrze.

— Dzięki — powiedział Daniel, ujmując jego rękę. — Zadzwoń, jak tylko się urodzi.

Kiedy wyszedł z budynku, niosąc w ręku walizkę, zaczął deszcz ze śniegiem. Rozejrzał się po ulicy, szukając taksówki. Przy krawężniku stał zaparkowany czarny Chrysler limuzyna. Drzwi otworzyły się z rozmachem i dziewczęcy głos zawołał go: — Danielu.

Przyglądał się przez chwilę, potem podszedł do samochodu. Stojąc w śniegu, spojrzał na nią. — Co ty, do cholery, tutaj robisz?

— Wsiadaj do auta — powiedziała. — To bez sensu stać tak na śniegu.

Wrzucił walizkę do samochodu, po czym sam wsiadł. Drzwi zamknęły się i samochód ruszył. Obrócił się do niej. — Miałś być w Chicago.

— Zaczęłam się tam nudzić. — Przechyliła się i pocałowała go. — Zdziwiłeś się?

— Jak się tu dostałaś? Nie było cię w pociągu.

— Samolotem. Jest regularna linia pomiędzy Chicago i Wschodem.

— Podrzuc mnie do Chelsea. Muszę się trochę przespać.

— Mam apartament w Mayfair — powiedziała. — Zostaniesz ze mną.

— Powiedziałem, że muszę się trochę przespać.

— Jutro ruszysz w dwudniową podróż pociągiem. Wtedy nadrobisz zaległości w spaniu.

— Jesteś zwariowana. Wiesz o tym, prawda?

— Jestem w tobie zakochana. Wiesz o tym, prawda?

— Patrz, Chris, było tak wspaniale. Ale to niedobrze do tego wracać. Żyjemy w różnych miejscach. Nie ma mowy, żebyśmy kiedykolwiek mogli to wszystko połączyć.

— Mogę żyć w twoim świecie. Nie potrzebuję pieniędzy rodziny. Spojrzał na nią. — A co z samochodem i Mayfair?

— Możemy zostawić samochód, wziąć taksówkę i pojechać do Chelsea. Nie dbam o to, dopóki jestem z tobą.

Wolno pokręcił głową. — Nie powinnaś była przyjeżdżać. Kiedy twój wuj się o tym dowie, zrobi cholerne piekło.

— Mam gdzieś, co o tym myśli wuj Tom. Niech prowadzi swoje huty. Nie będzie mi mówił, co mam robić.

Samochód zatrzymał się przed hotelem. Portier otworzył drzwi, sięgnął do środka i wziął walizkę Daniela. Potem czekał, gdy wysiadali z auta.

— Poślij walizkę na górę do mojego apartamentu — powiedziała Chris.

— Dobrze, panno Girdler — odparł portier.

Daniel wszedł za nią do hotelu. Wjechali windą na piętnaste piętro. Nacisnęła dzwonek u drzwi. Otworzył je kamerdyner. Skłonił się.

— Panno Girdler.

— Przyślą na górę walizkę. Połóż ją w pokoju gościnnym.

— Oczywiście, panno Girdler.

— I napiję się wytrawnego martini. To co zwykle? — Spojrzała na Daniela.

Kiwnął głową.

— Butelkę bourbona dla pana Hugginsa.

— Dobrze, panno Girdler. — Ukłonił się kamerdyner.

— Dziękuję, Quincy — rzekła, udając się do salonu. Ręką wskazała Danielowi, by siadł na kanapie. — Rozgość się. Za chwilę zjemy jakiś lunch.

Daniel rozejrzył się po apartamencie. Był w wielu hotelach, ale nigdy nie widział czegoś tak urządzonego. To był jakby własny dom dokładnie w środku hotelu. — Nieźle — rzekł.

— To wuja Toma — powiedziała. — Trzyma ten apartament przez cały rok.

— Oczywiście — powiedział Daniel. — To jedyna możliwość.

— Mówi, że to taniej, niż za każdym razem próbować dostać dobry apartament.

— Jest widać oszczędny — powiedział. — Nie myślałem, że przywiązuje wagę do takich rzeczy.

— Jesteś złośliwy.

Udawał niewiniątko. — Oczywiście, że nie. To pasuje do jego charakteru. W końcu, przeciętnie pracownik jego huty zarabia rocznie prawie pięćset sześćdziesiąt dolarów, pracując sześćdziesiąt godzin w tygodniu. To nie może być wiele droższe. Dziennie.

— Teraz nie jesteś przyjemny — powiedziała. Kamerdyner przyniósł im alkohol na srebrnej tacy, którą postawił na stoliku do kawy przed kanapą.

— Czy mogę nalać, proszę pana?

— Ja się tym zajmę — powiedział Daniel.

— Dziękuję panu — odparł kamerdyner i wyszedł z pokoju.

Daniel napełnił swoją szklanke. Uniósł ją w kierunku dziewczyny. — Przepraszam. Nie mam prawa tak mówić o człowieku, kiedy piję jego whisky.

— Zapominasz o jeszcze jednej rzeczy. — Uśmiechnęła się szeroko.

— O czym?

— Że również rzniesz jego ulubioną siostrzenicę.

Roześmiał się i wlał whisky do gardła. — Punkt dla ciebie.

Wypiła martini jednym haustem. Widział rumieniec wypływający na jej policzki, gdy przełknęła alkohol, i zaczął nalewać sobie kolejną porcję. Wyciągnęła rękę, by go powstrzymać.

— Co byś powiedział na numer przed lunchem?

— Pozwolisz, że najpierw wezmę prysznic? Siedziałem w tym pociągu całą noc i śmierdzę.

— Nie — powiedziała. — Uwielbiam zapach twoich spoconych jaj.

13

Siedział, wyglądając przez okno, gdy pociąg wolno wytaczał się ze stacji w Pasadenie. Jeszcze czterdzieści minut i będą w Los Angeles. Pasażerowie wokół niego byli już zajęci zbieraniem

swoich rzeczy, ściągnęli na dół walizki i przygotowywali się do wyjścia. Pojawił się konduktor, przechodząc przez wagon.

— Los Angeles. Następna stacja Los Angeles.

Jasne słońce raziło go, więc położył głowę na oparciu siedzenia i przymknął oczy. To już dwa miesiące, kiedy był w domu i ostatni raz widział Tess.

Była wtedy w końcu szóstego miesiąca; już ogromna, miała wielki brzuch, piersi jak olbrzymie, przejrzałe winogrona, i mocne, krępe, obrosłe tłuszczem ciało, także twarz miała okrągłą i nalaną.

Spędził wtedy w domu pięć dni i kiedy zauważył, że może powinna poradzić się doktora, bo za bardzo przybiera na wadze, powiedziała, że to nie ma znaczenia. Zgubi to, skoro tylko będzie mogła się znowu ruszać. Jedyńm powodem, że nabrała wagi, jest to, że poza jedzeniem i chodzeniem do kin, nie ma nic innego do roboty. Poza tym jest sama i nie widziała się nawet z kilkoma przyjaciółmi, których zdążyła poznać, bo jest za duża, żeby usiąść za kierownicę i gdziekolwiek pojechać.

Tamtej nocy, kiedy poszli do łóżka, sprawdziła go ręką. Był miękki. — Co się stało? Normalnie jesteś twardy jak skała.

Nie mógł jej powiedzieć, że go nie podniecała. — Jestem zmęczony. Spędziłem pięć tygodni, pracując dzień i noc, a podróż pociągiem też mi nie pomogła. Nie mogłem dostać nic innego, jak miejsce siedzące przez całą drogę z Chicago.

— To musi być coś więcej. Nie podniecam cię, kiedy tak wyglądam.

— To nie to — powiedział. — Poza tym boję się, żeby coś ci się nie stało. To mogłoby zaszkodzić dziecku.

— Lekarz powiedział, że możemy się kochać aż do ostatniego miesiąca — powiedziała, ciągle go głaszcząc.

Zmusił się do tego, by poczuć dotyk jej palców. Jedyne, co mogła zrobić, to wziąć go w obroty. A w tym była ekspertem. Poczuł, że rośnie i twardnieje.

Po chwili spróbował dotknąć jej. Ale pozycja ta była zbyt niewygodna ze względu na rozmiary jej brzucha. W końcu obróciła się na bok i wziął ją od tyłu. Niemal natychmiast zaczęła jęczeć i przeżywać orgazm, ale on w ogóle nie mógł jej poczuć. To było tak, jakby włożył kutasa do wielkiej baryłki napełnionej ciepłym olejem. Nie było mowy, żeby sam mógł osiągnąć orgazm,

ale nie przerywał, dopóki ona, wyczerpana orgazmem, nie zaczęła ciężko dyszeć.

Odwróciła się, by spojrzeć na niego i pocałowała go. — Nie wiesz, jak bardzo cię potrzebowałam. Nikt nigdy nie potrafił mi tego zrobić tak, jak ty.

Nie odzywał się.

— Było ci dobrze? — spytała zaniepokojona. — Nie czułam twojego orgazmu.

— Jak mogłaś? — Skłamał. — Byłaś tak zajęta własnym orgazmem, że nie poczułabyś niczego, nawet gdyby sufit zawalił ci się na głowę.

— Kocham cię — powiedziała i zasnęła, zanim jeszcze skończyła mówić.

Następnego dnia poszedł z nią do lekarza. Kiedy się ubierała, doktor wyszedł z gabinetu. — Pan Huggins? Daniel podniósł się. — Tak?

— Nie ma nic niepokojącego — powiedział lekarz. — Ale jest poważna możliwość, że dziecko mogło ułożyć się pośladkowe

Daniel wpatrzył się w niego. — Co to dokładnie oznacza, doktorze?

— Jeśliby się tak okazało, będziemy musieli odebrać dziecko poprzez cesarskie cięcie. Ale to nic groźnego. Takie operacje robimy każdego dnia.

— Jeżeli to nic groźnego, dlaczego mi pan o tym opowiada? — spytał Daniel.

Doktor uśmiechnął się. — Uważamy, że przyszli ojcowie również potrzebują, żeby ich uspokajano.

— Jestem spokojny — powiedział Daniel. — Wspomniał pan, że to możliwość. Kiedy będzie pan wiedział na pewno?

Lekarz przybrał ceremonialną pozę. — Mamy problem. Pańska żona waży zbyt wiele. Nakazałem jej ścisłą dietę. Odtąd, aż do urodzenia dziecka, musi stracić wagę — a przynajmniej nie przybrać ani trochę. Będzie musiał pan pilnować, żeby ściśle przestrzegała diety.

Daniel nie odpowiedział. Nie było możliwości, żeby mógł to zrobić z drugiej strony kraju. Skinął głową.

— Jeszcze jedna rzecz — powiedział doktor. — I znowu muszę powtórzyć, że nie ma powodu do niepokoju, ale zauważyłem, że

u pani Huggins pojawiło się lekkie wieńcowe migotanie przedsionków. To znaczy migotanie serca. Może to być rezultatem nadwagi i uważam, że może zniknąć samo, jeśli zrzuci wagę, tak jak jej zalecam.

— Do porodu ma jeszcze dwa miesiące? — spytał Daniel.

— Mniej więcej — rzekł doktor. — Uważam, że sześć, siedem tygodni. Do tego czasu będziemy dokładnie wiedzieli, jak czuje się dziecko, i przygotujemy się do zrobienia wszystkiego, co okaże się konieczne. Jeżeli dziecko znajduje się w trudnej pozycji pośladowej, wolałbym je odebrać, zanim żona zacznie rodzić.

— Za sześć tygodni? — spytał Daniel.

Doktor skinął głową. — Wolałbym to zrobić. Ale proszę się nie niepokoić. Nie ma w tym nic groźnego. Dziecko ma się dobrze, a pańska żona jest ogólnie dobrego zdrowia. Cokolwiek by się zdarzyło, nie powinno być żadnych problemów.

Daniel spojrzął na niego i skinął głową. — Dziękuję, doktorze.

Lekarz wszedł z powrotem do gabinetu, a za parę minut wyszła Tess. — Co powiedział? — zapytała.

— Powiedział, że nie ma powodu do obaw. Jesteś zdrowa. Musisz po prostu zrzucić trochę wagi, to wszystko.

To było prawie dwa miesiące temu, a teraz pociąg wjeżdżał do Los Angeles. Podniósł się, kiedy konduktor przeszedł przez wagon.

— Los Angeles. Ostatnia stacja. Proszę wysiadać.

Zdjął walizkę z półki nad głową, wyszedł na platformę i wysiadł z pociągu, ledwie ten się zatrzymał. Kazał Tess czekać na siebie w domu. Nie chciał, by ściśnięto ją w tłoku stacji kolejowej. Szybko przeszedł przez dworzec do postoju taksówek. Już w taksówce, po podaniu kierowcy swego adresu, znużony oparł głowę o siedzenie.

— Przyjeżdża pan ze Wschodu? — spytał szofer.

— Tak — odparł.

— Z Nowego Jorku?

— Z Pittsburgha.

— Pewnie dużo tam śniegu?

— Trochę.

— Nie mają takiej pogody jak tutaj — powiedział szofer. — Bez przerwy słońce. Zawsze mówię, że to najlepsza pogoda na świecie.

Daniel nie odpowiedział. Zamknął oczy. Nagle poczuł się bardzo zmęczony. W takim stanie nie może wrócić do domu. Wyprostował się i klepnął szofera w ramię. — Niech pan się zatrzyma przy pierwszym sklepie z alkoholem. Kiedy wyszedł ze sklepu z małą butelką bourbona w kieszeni, dostrzegł tuż obok kwiaciarnię. Wybrał duży bukiet róż, potem wsiadł do samochodu i zębami wyciągnął korek z butelki. Wypił ćwiartkę whisky i kiedy taksówka zatrzymała się przed domem, nie czuł się już zmęczony.

— Zmieniłeś się — powiedziała Tess, kiedy siadł przy stole do kolacji. — Kiedy mówię do ciebie, wydaje się, że w ogóle nie słuchasz.

— Mam różne sprawy na głowie — powiedział. — Murray zamierza ogłosić strajk, a ja myślę, że wszyscy skończymy w latrynie.

— Czy to ci zaszkodzi? — spytała, biorąc stek z rusztu i kładąc go przed nim.

— To nikomu nie przyniesie nic dobrego — odciął kawałek steku i spróbował go. Był półsurowy i soczysty, dokładnie taki jak lubił. Uśmiechnął się do niej. — Nie ma nic lepszego od domowego jedzenia.

Była zadowolona. — A od domowego rżnięcia? Spojrzał na jej wielki brzuch. — Powiem ci, jak tylko wrócisz do interesu — zażartował.

— To długo nie potrwa — rzekła. — Doktor powiedział, że może parę tygodni od urodzenia dziecka.

Siadła naprzeciw niego i zaczęła jeść swój stek, szczerze nakładając sobie tłuczone ziemniaki, polane sosem.

Obserwował ją. — Co z dietą?

— Musiałam z niej zrezygnować. Stawałam się za bardzo nerwowa — powiedziała. — Poza tym, niektórzy moi przyjaciele mówili, że lekarze zawsze chcą, żeby kobiety zrzucały wagę po to, żeby ułatwić im pracę, a nie dla swojego zdrowia.

Milczał.

— Ty schudłeś — powiedziała.

— Dużo jeździłem tu i tam.

— Byłoby dobrze, gdybyś mógł znaleźć pracę gdzieś bliżej. Dzwonił do ciebie człowiek, który nazywa się Browne. Mówi, że ze związku filmowców, IA czy coś takiego. Chce, żebyś do niego zadzwonił.

— Zostawił numer?

— Zapisałam. Może chce dać ci pracę.

— Może.

— To by było dobrze — powiedziała. — Wtedy nie musiałbyś wracać. -

— Muszę wrócić. Dałem Murrayowi słowo.

— Ale jeśli masz przegrać, jakie to ma znaczenie?

— Bo dałem słowo. — Spojrzał na nią. — Poza tym, nawet gdyby George Browne proponował mi pracę, nie przyjmę jej. To zwykły opryszek, działający na zlecenie mafii. Właściwym szefem jest facet, który nazywa się Willie Bioff, a instrukcje dostaje prosto z Chicago.

Przyglądała mu się. — Jeśli to prawda, dlaczego nie zrobią z tym porządku?

Wzruszył ramionami. — Nie wiem. Ale tak czy owak to nie moja sprawa. To związek AFL. Do nich należy trzymanie w ryzach swoich i stowarzyszonych z nimi związkowców. W centrali CIO mówiło się coś, żeby wkroczyć i się za nich zabrać, ale na razie mamy dość własnych zmartwień. Może później, kiedy część naszych spraw się wyjaśni, spróbujemy coś z tym zrobić.

— Mimo to powinieneś z nim porozmawiać — powiedziała. — Może nie jest tak źle, jak myślisz.

— Zadzwonię do niego — rzekł.

Zebrała puste talerze i postawiła je w zlewie, — Na deser mam jabłecznik i lody.

— Spasuję. Jestem napchany.

— Ja wezmę tylko mały kawałek. Nigdy nie czuję się syta, dopóki po posiłku nie zjem czegoś słodkiego. Kawy?

Skinął głową. Poczekał, aż postawi przed nim filiżankę kawy.

— O której mamy jutro wizytę u lekarza?

— O dziesiątej.

Wstał z krzesła, podszedł do kredensu i nalał sobie do szklanki porcję whisky, Przyniósł ją ze sobą do stołu. .i

— Powinieneś ograniczyć picie. To ci szkodzi na wątrobę.

— Czuję się dobrze — powiedział. Przełknął whisky, potem siedział przy kawie, kiedy ona kończyła deser. — Nie pogniewasz się, jeśli się wcześniej położę? Jestem skonany po podróży.

— Idź od razu — odparła. — Ja pozmywam i może posłucham trochę radia. Dziś wieczorem jest *Rudy Valke Hour* i *Lux Theaire*. Potem przyjdę do łóżka.

— Dobrze. — Wszedł do sypialni i zaczął się rozbierać. Ułożył równo spodnie na oparciu krzesła i położył na nich koszulę. Zegarek i pieniądze położył na kredensie obok wazonu z różami, które przyniósł do domu. W przyćmionym świetle pokoju róże wyglądały na ciemnoczerwone, a ich delikatny zapach unosił się w powietrzu. Siadł na brzegu łóżka, rozsznurował buty i ściągnął skarpetki. Potem, jeszcze w bieliźnie, wyciągnął się na łóżku.

Pozwalał swym oczom błędzić powoli po pokoju. Miała rację. Ale to nie tylko on się zmienił. Wszystko się zmieniło. A może nie. Od samego początku nigdy nie udawała, że rozumie to, czym on się zajmuje. I dalej nie udaje.

Pojał to na moment przed tym, zanim zamknął oczy i zasnął. Że już dawno zdawał sobie ze wszystkiego sprawę, ale nigdy się przed sobą do tego nie przyznał. Byli sobie obcy. I zawsze będą.

— Nie ma sensu czekać — powiedział lekarz. — Ona nie przestanie jeść, a z każdym dniem przybiera na wadze.

— Mówił jej pań? — spytał Daniel.

Lekarz skinął głową. — Powiedziała, że nie może sobie z tym poradzić. Poza słuchaniem radia i jedzeniem nie miała co robić. Kiedy pana nie było w domu, po prostu się nudziła.

— Kiedy chce pan to zrobić?

— Jutro rano — odparł lekarz. — Niech pan ją przywiezie do szpitala dziś wieczorem. Zarezerwowałem półprywatny pokój.

— Zgodziła się?

— Tak — powiedział doktor. — Prawdę powiedziawszy mówi, że czuje się lepiej teraz, kiedy wie, że to już się skończy.

Daniel milczał.

— Nie ma nic, czym trzeba by się niepokoić — powiedział lekarz. — Cesarskie cięcia robimy każdego dnia. Wiele kobiet nawet je woli, żeby nie cierpieć bólu podczas normalnego porodu.

Po zabiegu będzie zupełnie normalna. Będzie mogła mieć następne dzieci. Nic się nie zmieni.

— Nie mamy wyboru, prawda?

Lekarz pokręcił głową. — Obawiam się, że nie. Nie przy tym typie ułożenia.

— Dobrze — powiedział Daniel.

— Siostra da panu kartę wstępu do szpitala — rzekł lekarz. — Niech pan ją tu przywiezie przed piątą. I niech pan się nie martwi. Będziemy się nią dobrze opiekować.

Szpital Sunnyside Maternity znajdował się w trzypiętrowym budynku z różowego stiuku przy Pico Boulevard niedaleko Fairfax i był otoczony przyjemnym trawnikiem i ogrodem. Daniel wjechał samochodem na parking tuż za budynkiem, na cześć oznaczoną PACJENCI I ODWIEDZAJĄCY. Wysiedli z auta, a on wziął małą walizkę z niezbędnymi jej rzeczami.

Wychodząc z samochodu, spojrzała na niego. — Dziwnie się czuję. Nigdy przedtem nie byłam w szpitalu.

— To miejsce wygląda naprawdę przyjemnie — powiedział, kiedy szli w stronę wejścia. — Nie tak jak szpitale, w których byłem. Tamte były szare i brudne.

— Ale to jednak szpital.

— Specjalny typ szpitala — rzekł. — Taki, w którym rodzą się dzieci. Przez to jest przyjemniejszy.

Milczała, kiedy przechodzili przez wejście. Korytarze były pomalowane na łagodny różowy kolor, a na ścianach znajdowały się pogodne malowidła i obrazki. Recepcjonista w białym mundurze uśmiechnął się do nich. — Izba przyjęć jest prosto na końcu korytarza.

Izba przyjęć była równie ładnie urządzona jak wejście. Było tu kilka biurek ze stojącymi przed i za nimi krzesłami.

Wzdłuż ścian stały wygodne kanapy.

Ubrana na biało pielęgniarka weszła do pokoju z sąsiedniego pomieszczenia. Usiadła za biurkiem i gestem wskazała im krzesła przed sobą.

— Witajcie w Sunnyside — uśmiechnęła się. — Jesteście pan i pani Huggins.

— Tak — odparł Daniel.

— Oczekiwaliśmy państwa. Mamy ładny pokój, cały zarezerwowany dla państwa — powiedziała. — Ale najpierw muszę wypełnić kilka formularzy.

Wypełnianie formularzy zajęło dwadzieścia minut. Kiedy je skończyła, przeprosiła ich na moment i wyszła do sąsiedniego pomieszczenia. Wróciła po paru chwilach.

— Wszystko chyba jest w porządku — powiedziała, podsuwając im przez biurko kilka dokumentów. — Proszę, by i pani, i mąż byli tak uprzejmi i oboje podpisali każdy z nich. To są standardowe formularze, dające nam zgodę na opiekowanie się panią Huggins i zrobienie wszystkiego, co jest konieczne dla zapewnienia jej dobrego samopoczucia.

Podpisali. Zebrała formularze i sprawdziła podpisy, potem przypięła dokumenty do akt, w których już przedtem umieszczono kilka innych formularzy.

— Jeszcze jedna rzecz, panie Huggins — powiedziała. — Czek depozytowy na dwieście dolarów jest wymagany z góry. To pokrywa koszty pokoju za osiem dni, korzystania z sali operacyjnej, anestezjologa i innych usług szpitalnych. Oczywiście, przy opuszczaniu szpitala otrzymacie państwo dokładny rachunek i natychmiast będziecie mogli dostać należną refundację.

Daniel wyjął portfel. Odliczył dwieście dolarów w banknotach dwudziestodolarowych. Przeliczyła banknoty i odłożyła je do skoroszytu, potem nacisnęła guzik na biurku.

— Za chwilę zejdzie siostra, która zabierze panią do pani pokoju — powiedziała. Spojrzała na nich i uśmiechnęła się.

— Co to będzie, chłopiec czy dziewczynka?

— Daniel mówi, że chłopiec — powiedziała Tess.

— Jestem pewna, że nie będzie narzekał, jeśli to będzie dziewczynka — odparła pielęgniarka.

Roześmiali się, a w tym momencie weszła siostra, pchając przed sobą fotel na kółkach. Tess przyjrzała mu się przez chwilę. — On nie jest potrzebny. Mogę chodzić.

— Regulamin szpitala, pani Huggins — powiedziała pielęgniarka. — Jest pani teraz naszym pacjentem, a my odpowiadamy za panią. Te podłogi bywają śliskie.

Tess niezgrabnie usiadła w fotelu. — Czy Daniel może pójść ze mną?

— Oczywiście — powiedziała pielęgniarka. Uśmiechnęła się znowu, a oni ruszyli do pokoju. Daniel szedł za fotelem, niosąc małą walizkę.

— Powodzenia. Mam nadzieję, że to będzie chłopiec. Wjechali windą na drugie piętro. Siostra zatrzymała się na korytarzu przed pokojem i odwróciła się do Daniela. — W końcu holu jest poczekalnia. Proszę dać nam dosłownie chwilę; poproszę pana, jak tylko wygodnie urządzimy pańską żonę.

Daniel kiwnął głową, a siostra zabrała Tess do pokoju. Poszedł korytarzem do poczekalni. W środku było trzech mężczyzn. Dwóch z nich grało w karty, trzeci siedział skulony na krześle. Miał znudzoną i zmęczoną twarz. Gracze nawet nie podnieśli wzroku.

Daniel rozsiadł się na krześle. Chciało mu się palić, ale powstrzymał się. Siostra powiedziała, że to tylko kilka minut, a korytarze były wypełnione znakami zakazu palenia.

Po chwili trzeci mężczyzna wyprostował się na swoim krześle i spojrzał na Daniela. — Pewnie przywiózł pan właśnie żonę?

Daniel skinął głową.

— Jestem tu od zeszłej nocy — ciągnął mężczyzna. — Mam nadzieję, że pan będzie miał więcej szczęścia.

Daniel nie odpowiedział.

— Lekarze to oszuści — rzekł mężczyzna. — Za każdym razem mi mówią, że to potrwa kilka godzin i zawsze kończy się tym, że siedzę tu dwa dni.

— Był pan tu przedtem? — spytał Daniel.

— Trzy razy — odparł mężczyzna rozgoryczonym głosem. — To nasze czwarte dziecko. Muszę być chyba masochistą. Ale to już ostatnie, mówię panu.

Jeden z graczy wybuchnął ochrypłym śmiechem. — Pod warunkiem, że najpierw odetną panu dziurkacz.

— Cholera — zaklął mężczyzna i spojrzał na Daniela. — Lekarz powiedział, że pańskie kiedy się urodzi?

— Jutro rano.

— Mówi pan, jakby był pan pewny.

— Ma cesarskie — powiedział Daniel.

Mężczyzna wpatrywał się w niego. — Hej, czemu ja o tym nie pomyślałem? Za każdym razem tracę pieniądze, płacąc w końcu za trzy dni. Muszę porozmawiać z doktorem.

W drzwiach pojawiła się siostra. — Może się pan teraz zobaczyć z żoną, panie Huggins.
Gdy wszedł do pokoju, Tess siedziała na łóżku; na ramionach miała krótki jedwabny szlafrok. Jej łóżko stało pod oknem, drugie było puste. Przeszedł przez pokój i pocałował ją. — Jest tu naprawdę przyjemnie.
Uśmiechnęła się. — Oni są rzeczywiście bardzo mili — zachichotała półświadomie. — Kazali mi nasiusiać w butelkę. I patrz...
Podniosła ramię. W zgięciu łokcia miała biały opatrunek.
— Wzięli mi też trochę krwi. W ogóle nie bolało. Daniel, nic nie mówiąc, kiwnął głową.
— Nie pozwolą mi jeść kolacji — opowiadała dalej. — Powiedzieli, że chcą mnie wyczyścić. Mój brzuch musi być pusty.
— To prawda, pani Huggins — powiedziała siostra, wchodząc do pokoju. — Zrobimy to zaraz.
Otworzyła szafkę obok łóżka i wyjęła pojemnik oraz wąż do lewatywy, potem spojrzała na Daniela. — Będzie pan musiał już iść, panie Huggins. Chcemy, żeby potem spała, tak aby rano była mocna i świeża.
W głosie Tess zabrzmiała nuta strachu. — To znaczy, że przed operacją go nie zobaczę?
Siostra uśmiechnęła się. — Oczywiście, że go pani zobaczy. Rano, zanim pojedzie pani na górę. Ale na razie ważniejsze jest, żeby pani odpoczęła. — Spojrzała na Daniela. — Jeśli przyjdzie pan tu o siódmej rano, będzie pan miał dużo czasu.
— Przyjdę — powiedział Daniel. Pochylił się nad Tess i pocałował ją. — Bądź grzeczną dziewczynką i rób, co ci każą. Zobaczymy się rano.
— Nie spóźnisz się? — spytała niespokojnie Tess. — Lepiej nastaw budzik.
— Nastawię — powiedział uspokajająco. — Tylko o nic się nie martw. Wszystko pójdzie świetnie.

14

Kiedy otworzył frontowe drzwi, usłyszał dzwoniący telefon. Zostawiając je za sobą otwarte, wszedł do salonu i podniósł słuchawkę. — Halo?

To był męski głos. — Pan Huggins?

— Tak. — Mówi George Browne.

— Tak, panie Browne?

— Czy żona wspomniała panu, że dzwoniłem?

— Owszem.

— Chciałbym się z panem zobaczyć.

— To właśnie Tess mi powiedziała.

— Nie zadzwonił pan — rzekł Browne.

— Akurat przyszedłem ze szpitala — powiedział Daniel. — Moja żona ma właśnie rodzić.

— Rozumiem. Mam nadzieję, że wszystko przebiegnie pomyślnie.

— Dziękuję.

— Jak pan uważa, kiedy moglibyśmy się spotkać?

— Może kiedy już dziecko się urodzi — zaproponował Daniel.

— To ważne — powiedział Browne. — Proszę nie odkładać słuchawki.

Daniel słyszał go, jak rozmawia z kimś innym, a potem odezwał się znowu. — Ma pan jakieś plany na dzisiejszą kolację? Daniel rozejrzał się po domu. Wydawał się przygnębiająco pusty. — Nie.

— To dobrze. Zna pan restaurację Lucey's na Melrose?

— Znajdę ją — powiedział Daniel.

— Mogę wysłać po pana samochód.

— Mam samochód.

— Za godzinę. Dobrze?

— Będę tam.

— Proszę tylko spytać o mój stół — powiedział Browne. — Czekam na pana.

Daniel odłożył słuchawkę, wrócił do frontowych drzwi i zamknął je. Telefon znowu zaczął dzwonić.

Tym razem była to Chris. Mówiła przyciszonym głosem, jakby nie chciała, żeby ktokolwiek słyszał, co mówi.

— Musiałam do ciebie zadzwonić.

— To dobrze.

— Gdyby twoja żona odebrała telefon, odłożyłabym słuchawkę

— Żona jest w szpitalu.

— Dobrze się czuje?
— Świetnie.
— Cieszę się — powiedziała. — Chryste!
— Co się stało? — spytał.
— Nie mogę z tobą rozmawiać nawet przez telefon, żeby mi się nie robiło mokro.
Roześmiał się. — W Chicago znajdziesz wielu chętnych.
— Nie jestem w Chicago — odparła.
— Więc gdzie, do cholery, jesteś? — spytał, właściwie znając już odpowiedź.
— Tutaj. Jestem w hotelu Ambassador na Wilshire Boulevard. Mam własny domek.
— Jesteś szalona.
— Nie, nie jestem — powiedziała. — Ty jesteś, jeżeli myślisz, że zamierzam zostawić cię samego na tydzień, kiedy twoja żona jest w szpitalu, a wokół kręcą się te wszystkie filmowe kociaki.
— Nie widziałem żadnego.
— W każdym razie nie będę ryzykować. Co z dzisiejszą kolacją? Mam tu wspaniałe wyposażenie — jadalnię i wszystko, co trzeba.
— Mam spotkanie.
— Nie wierzę ci.
— Naprawdę — rzekł. — Z George'em Browne'em, prezydentem tutejszego IA.
— Więc wpadnij po kolacji — powiedziała.
— Nie. Muszę być w szpitalu o siódmej rano.
— Obudzę cię na czas.
— Nie.
— Całą noc sama będę się masturbować i zwariuję. Roześmiał się. — Myśl o mnie.
Raptem jej głos stał się poważny. — Danielu, twój głos brzmi inaczej. Dobrze się czujesz?
— Świetnie.
— Więc o co chodzi? Martwisz się o Tess?
— Tak. Jutro rano robią jej cesarskie cięcie.
Milczała przez chwilę. — Och, ale nie martw się. Moja starsza siostra dwa razy tak rodziła. Mówiła, że to o wiele łatwiej niż w naturalny sposób. I czuje się świetnie.

— Będę się dobrze czuł, kiedy będzie już po wszystkim — powiedział.

— No pewnie. Czy wtedy zadzwonisz do mnie?

— Tak.

— Powodzenia, Danielu. — Zawahała się przez moment. — Wiesz, że mówię to poważnie, prawda?

— Wiem.

— Danielu, kocham cię. Milczał.

— Daniel?

— Tak?

— Zadzwon do mnie jutro.

— Zadzwonię — powiedział i odłożył słuchawkę. Przeszedł do jadalnianej części pokoju i wyjął butelkę bourbona z kredensu. Nalał go do kubka i zastanawiając się, upił trochę. Była zwariowana, ale mógł z nią robić jedną rzecz, jakiej nigdy nie mógł robić z innymi kobietami. Mógł z nią rozmawiać.

Zamyślony potarł brodę. Szczecina drapała mu palce. Musiał się jeszcze raz ogolić. Zabrał ze sobą whisky, wszedł do sypialni i zaczął się rozbierać. W łazience przyjrzał się swojej twarzy w lustrze.

Miał trzydzieści siedem lat i wkrótce miał zostać ojcem. Ten fakt wiele zmieniał. Już złapał się na tym, że myśli więcej o przyszłości. Gdzie pojedzie, co będzie robił. Nie będzie łatwo wychować dziecko z takimi pieniędzmi, jakie zarabiał. Prędzej czy później będzie musiał załatwić z Murrayem, żeby dał mu własny okręg. Od tego będzie mógł zacząć. Oni wszyscy zrobili to w ten sposób. Lewis, Murray, Green; nawet Browne miał tu bazę, z której mógł działać. Właśnie wybrano go wiceprzewodniczącym AFL.

Dziecko nie powinno też wychowywać się bez ojca. Może Tess miała rację. Jeśli Browne zaproponuje coś sensownego, może powinien to przyjąć. To musiało być lepsze od dręczenia się, tak jak to robił teraz.

Albo to, co powiedziała Chris. Przejść na drugą stronę. Wielu związkowców to zrobiło i zarabiali niezłe pieniądze. Ciągłe zamyślony, skończył się golić. Na koniec zmył z twarzy resztki mydła i talkiem przysłonił niebieski cień ogolonego zarostu, jaki zawsze mu pozostawał na policzkach. Nałożył koszulę, cały czas myśląc, ciągle niezdecydowany.

Kiedy starszy kelner prowadził go do stolika w rogu, w głębi restauracji, Daniel zastanawiał się, dlaczego tylu gości siedzących przy stolikach wydawało mu się znajomych. W końcu zrozumiał dlaczego. W większości byli to aktorzy i aktorki, których widział przedtem na ekranie wiele razy. Kilku nawet rozpoznał. Przy jednym stoliku Joel McCrea, przy innym Loretta Young; imion innych nie pamiętał.

Przy stoliku siedziało dwóch mężczyzn. Podnieśli się. Wyższy, lekko łysiejący mężczyzna wyciągnął rękę.

— Jestem George Browne. Proszę przywitać się z moim zastępcą. Willie Bioff.

Kiedy przywitali się i usiedli, Browne spojrzał na niego.

— Słyszałem, że pan nieźle pije. Czy to prawda?

— Jeszcze nie słyszano, żebym odmówił jednego — powiedział Daniel.

— Ja sam piję piwo — rzekł Browne. — Wrzody. Nie mogę pić nic mocniejszego. Ale proszę sobie zamówić.

— Dziękuję — powiedział Daniel. Podniósł wzrok na kelnera, który ciągle stał nad nimi.

— Proszę o Jacka Danielsa.

— Pojedynczą czy podwójną.

— Żadną. Butelkę. I proszę przynieść dzban wody. Bez lodu. Browne przypatrzył mu się. — Jeśli reszta tego, co o panu

słyszałem, jest także prawdą, musi być z pana świetny mężczyzna.

— Co pan słyszał?

— Że jest pan najlepszym organizatorem, jakiego ma Murray. Że ciągle przerzuca pana z jednego punktu zapalnego do drugiego, żeby kontrolować lokalne związki. Że również panu SWOC zawdzięcza powodzenie w prowadzeniu naboru członków.

— Nieprawda — rzekł Daniel. — Wszędzie mamy dobrych ludzi. Ja jedynie pomagam koordynować ich wysiłki.

— Ma pan także powodzenie u kobiet.

Powrócił kelner z whisky. Daniel nie odpowiedział, zanim kelner nie nalał mu i nie odszedł. Uniósł szklanekę do góry.

— Na zdrowie — powiedział, wlał whisky do ust i natychmiast nalał sobie jeszcze raz. — Ja również wiele słyszałem o panu i tu obecnym pańskim przyjacielu.

— Co takiego? — spytał Browne.

— Że obaj bierzecie łapówki. Że połowę odpalacie chłopakom w Chicago. Że za dziesięć centów sprzedalibyście własną babcie. — Daniel wciąż się uśmiechał.

— Co do cholery...! — zaczął ślinić się Browne. Powstrzymała go ręka Bioffa na jego ramieniu.

— Czy słyszał pan też, że nasi członkowie otrzymują najwyższe pensje i zasiłki dla bezrobotnych, jakie dostawali kiedykolwiek w życiu? — spytał Bioff.

— Tak.

— Czemu pan o tym nie wspomniał?

Daniel sączył whisky. — Zakładałem, że nie muszę, bo wy mi o tym powiecie.

Skończył szklaneczkę i nalał sobie następną.

— A teraz, kiedy już skończyliśmy prawić sobie komplementy, może moglibyście powiedzieć mi, dlaczego chcieliście się ze mną widzieć.

— Najpierw coś zamówmy — rzekł Bioff. — Mają tu świetne spaghetti.

— Ja zjem stek — powiedział Daniel.

Jedli szybko, prawie w milczeniu. Daniel wyczyścił swój talerz; tamci tylko podjadali. Na koniec, kiedy kelner przyniósł im kawę, Daniel wyciągnął cygaro. — Pozwolicie panowie, że zapalę?

Nie protestowali. Zapalił cygaro i rozparł się na krześle.

— Panowie, jedzenie było świetne. Normalnie nie chodzę do takich wykwintnych miejsc jak to. Przeważnie jadam w tanich restauracjach i brudnych jadłodajniach. Dziękuję.

Bioff spojrział na Browne'a. — Pozwolisz, że zacznę? Browne kiwnął głową. — Proszę.

Bioff odwrócił się do Daniela. — W przemyśle filmowym jest około siedmiu tysięcy urzędników. Jakies trzy tysiące w tutejszych wytwórniach, reszta porzrzucana po kinach w całym kraju

i domowych studiach w Nowym Jorku. Właśnie zaczęliśmy ich organizować, ale musimy pokonać wiele uprzedzeń, przede wszystkim ze strony samych pracowników biur. Oni myślą, że pracownicy umysłowi są ponad to. Firmy wiedzą o tym i utrzymują ich w tym przekonaniu. Zaczynamy robić pewien postęp, ale to idzie powoli. Teraz słyszymy, że włącza się okręg 65 i ma sporo pieniędzy do wydania. Rozmawiali już z krytykami filmowymi

w Nowym Jorku, ale to przecież komuniści, a sami też damy sobie radę. Więc nie chcemy, żeby się dalej wepchnęli.
— Dlaczego nie robicie tego, co przedtem? Nie naciskacie kin, żeby namawiały wytwórnice do werbowania ludzi?
— Nie możemy tego robić — powiedział Bioff. — Po pierwsze, mamy umowy, które musimy dotrzymywać, i nie możemy narażać na niebezpieczeństwo naszych członków w kinach. Po drugie, jeśli zmuszą nas do głosowania na NLRB, nie zwerbujemy dosyć członków, żeby nam się udało. Dlatego przychodzimy do pana.

Daniel milczał.

— Ma pan świetną opinię — rzekł Bioff. — Całe życie był pan człowiekiem Lewisa i Murraya. Wie pan, jak pracuje CIO i okręg 65. Jestem pewny, że jeśli pan do nas dołączy, opanujemy cały przemysł filmowy.

— Ale dokładnie, to co mi proponujecie? — spytał Daniel.

— Prezydenturę National Film Office Workers Union, związku zawodowego IATSE, AFL. Na początek piętnaście tysięcy dolarów rocznie i wydatki.

Daniel spojrzął na niego. — Wie pan, ile zarabiam teraz?

— Sześć tysięcy rocznie — powiedział Bioff.

— Zgadza się — rzekł Daniel. Znowu nalał sobie whisky. — Chciałbym dostać wasze pieniądze, panowie. Ale jestem niewłaściwym człowiekiem do tej pracy. — Wypił whisky jednym haustem. — Wszystkie przyczyny, dla których próbujecie mnie kupić, są chybione. Że jestem z CIO i mam dobrą opinię. Zapominacie jednak, że mam tę opinię dlatego, że pracuję z ludźmi, spośród których pochodzę. Ze wschodnimi Europejczykami, Polakami i góralami, wśród których dorastałem. Mówię ich językiem, oni mnie rozumieją. Między pracownikami biurowymi jestem jak ryba bez wody.

Nalał do swojej szklanki resztę whisky. — Nie wiedzieliby, o czym mówię, a ja nie zrozumiałbym nic z tego, co mówiliby do mnie.

— Czy sądzi pan, że nie myśleliśmy o tym? — spytał Bioff. — Ale wiemy także, że jest pan na tyle bystry, żeby się nauczyć. Nikt, kto kończy z pierwszą lokatą college związków zawodowych w Nowym Jorku, nie może być tak nijaki, jakiego pan z siebie robi. Uważam, że popełnia pan błąd.

— Ja tak nie uważam — powiedział Daniel.

— A gdyby miało to być dwadzieścia tysięcy?

— Nie. Najlepsze, co możecie zrobić, to znaleźć do tej pracy kogoś we własnej organizacji. Kogoś, kogo uważali i szanowali. Taki ktoś zrobi o wiele więcej niż ja.

— Nie traktujemy pańskiej odpowiedzi jako ostatecznej — rzekł Bioff. — Niech pan to przemyśli. Jutro, kiedy będzie pan ojcem i pomyśli o pożytkach, jakie może zapewnić pan rodzinie dzięki tej pracy, być może zmieni pan zdanie.

— Wątpię — powiedział Daniel, podnosząc się. — Jeszcze raz dziękuję, panowie.

Bioff podniósł na niego wzrok. — Czasem można być zbyt sprytnym.

- Zgadzam się z panem — powiedział spokojnie Daniel. — Ale trudno powiedzieć, żeby można być zbyt uczciwym.

15

Kiedy wszedł do pokoju, zdawało mu się, że śpi. Siostra odwróciła się do niego i przyłożyła palec do ust, żeby się nie odzywał.

— Daliśmy jej łagodny środek usmierzający, żeby odpoczęła — szepnęła. — Będzie senna.

Kiwnął głową na znak, że zrozumiał, przysunął krzesło do łóżka i usiadł na nim. Twarz śpiącej Tess wyglądała dziwnie dziecinnie i bezbronne. Oddychała wolno. Przykrywająca ją pościel wznosiła się i opadała. Spojrzał ponad nią w okno. Niebo było niebieskie, a jasne słońce napełniało pokój odcieniem złota.

Raczej wyczuł, niż zauważył, że się porusza, i spojrział na nią. Miała otwarte oczy i patrzyła na niego. Za chwilę, nie odzywając się, znowu je zamknęła. Ale jej ręka popęzła po prześcieradle w jego kierunku. Ujął ją i poczuł, jak mocno zaciska się wokół jego palców.

Upłynęło pięć minut, zanim się odezwała. — Boję się — szepnęła wciąż z zamkniętymi oczami.

— Nie bój się — powiedział łagodnie. — Wszystko jest dobrze.

— Ciężko mi oddychać — szepnęła. — I czasem czuję ostry ból w piersi.

— Odpręż się. To po prostu nerwy. Ucisnęła jego rękę. — Cieszę się, że tu jesteś.

— Ja też.

Pielęgniarka wyszła z pokoju, a oni siedzieli przez chwilę w milczeniu. Nagle otworzyła oczy i spojrzała na niego.

— Przepraszam — powiedziała.

— Nie ma za co przepraszać.

— Okłamałam cię — szepnęła. — Wiedziałam, że jestem w ciąży sześć tygodni przedtem, zanim ci powiedziałam.

— To teraz nie ma znaczenia — rzekł.

Znowu zamknęła oczy i na chwilę znieruchomiała. — Przeczuwałam, że się zbierasz, żeby mnie zostawić, a nie chciałam, żebyś odszedł.

— Nie miałem zamiaru cię zostawić. Ale teraz to wszystko już minęło. Nie myśl o tym.

— Nie chciałam mieć dziecka, nie mówiąc ci prawdy. — Przerwała na chwilę. — Jeśli tam na górze coś mi się stanie, chcę, żebyś wiedział, że kocham cię tak bardzo, że nie mogłam pozwolić ci odejść.

— Tam na górze nic się nie stanie poza tym, że urodzisz dziecko i będziesz się dobrze czuć.

Znowu na niego spojrzała. — Nie gniewasz się na mnie? — Nie gniewam się.

— Cieszę się — powiedziała i zamknęła oczy. Spała, dopóki do pokoju nie wróciła pielęgniarka, Za nią wszedł salowy, pchając przed sobą łóżko na kółkach.

— Pani Huggins — powiedziała pogodnie pielęgniarka. — Czas na nas, by pojechać na górę.

Tess otworzyła oczy. Zobaczyła nosze i w jej oczach pojawił się strach. — Co to?

— Łóżko na kółkach — powiedziała pielęgniarka, przysuwając nosze do łóżka. — Wysyłamy panią na górę pierwszą klasą.

Stała za głową Tess. Po chwili razem z salowym zrecznie przesunęli Tess na nosze. Szybko przykryli ją kołdrą i zawiązali płócienne pasy, mocując ją do łóżka.

Tess spojrzała na pielęgniarkę. — Czy on może iść ze mną na górę?

— Oczywiście — powiedziała z uśmiechem pielęgniarka. — Będzie czekał tuż obok pokoju, w którym pani urodzi dziecko. Zobacz go pani, jak tylko pani wyjedzie.

Wyjechali z noszami na korytarz. Daniel szedł obok nich, ciągle trzymając Tess za rękę. W jadącej na górę windzie spojrzała na niego. Śmiesznie się czuje. Jakbym płynęła i kręciło mi się w głowie.

— To normalne — uspokoiła ją pielęgniarka. — To pentothal. Proszę z tym nie walczyć, tylko odprężyć się i dać się unosić. To zupełnie jak spanie. A kiedy się pani przebudzi, będzie pani matką.

Wyszli z windy i pojechali innym korytarzem. Pielęgniarka zatrzymała nosze przed salą operacyjną.

— Tu pana zostawimy — zwróciła się do Daniela. — Tam, w końcu korytarza, jest poczekalnia. Potem zobaczy się tam pan z doktorem.

Tess zwróciła ku niemu twarz. — Przyrzeknij mi, Danielu, że jeśli coś mi się stanie, zaopiekujesz się dzieckiem.

— Nic ci się nie stanie.

— Przyrzeknij mi — nalegała.

— Przyrzekam.

Wyglądało, że się uspokoiła. — Kocham cię. Nie zapomnisz o tym, prawda?

— Tylko ty nie zapomnij, że ja cię kocham. — Pochylił się nad noszami i pocałował ją. Patrzył, jak pchają nosze przez wahadłowe drzwi, potem poszedł korytarzem do poczekalni.

Wydawało się, że trwało to dłużej, ale niecałą godzinę później doktor wszedł do poczekalni. Uśmiechając się, wyciągnął rękę.

— Gratulacje, panie Huggins. Ma pan syna. Dużego chłopca, jak pan. Dziesięć funtów i cztery uncje.

Daniel uśmiechnął się szeroko, z zapalem ściskając dłoń doktora. — Nie mogę w to uwierzyć.

— Uwierzy pan, kiedy go pan zobaczy — powiedział z uśmiechem doktor.

— A Tess? Dobrze się czuje?

— Po prostu świetnie. Teraz jest w sali pozabiegowej. Powinna być z powrotem na dole za jakieś dwie godziny. Ma pan więc czas, żeby wyjść, kupić pudło cygar i wszystkich obdzwonić. Kiedy pan wróci, będzie pan mógł zobaczyć ich oboje.

Daniel głęboko odetchnął. — Dziękuję, doktorze.

Przeszedł przez ulicę przed szpitalem do restauracji i baru na przeciwległym rogu. Kiedy wszedł, nikogo tam nie było poza człowiekiem za kontuarem, zajętym czyszczeniem szkła. Daniel podszedł do baru.

— Podwójnego czystego Jacka Danielsa, wodę osobno. Barman zrećźnie nalał whisky i postawił ją przed nim. Drugą ręką wyciągnął spod lady szklanekę wody. — Co to było? — spytał. — Chłopiec czy dziewczynka?

— Chłopiec. — Daniel przyjrzał mu się. — Skąd pan wiedział? Barman roześmiał się. — Jedyni klienci, jakich tu mamy

o dziewiątej rano, są ze szpitala z naprzeciwka.

Sięgnął ręką pod kontuar i wyciągnął cygaro. — Gratulacje. Z pozdrowieniami od firmy.

— Dziękuję. — Daniel spojrział na cygaro. Miało opaskę z wydrukowanym złotym napisem: TO CHŁOPIEC.

— Sprzedajemy je także w pudłach po dwadzieścia pięć sztuk — dodał barman. — Dwa dolary.

— Wezmę pudło — powiedział Daniel. — I proszę mi pozwolić postawić panu jednego.

Barman uśmiechnął się do niego szeroko. — Mam zasadę nigdy nie pić przed dwunastą. Ale tym razem zrobię wyjątek. W końcu jestem z Nowego Jorku, a tam już jest dwunasta.

Nalał sobie trochę i jednocześnie postawił pudło z cygarami na barze. — Jak ma na imię?

— Daniel. Daniel B. Huggins Junior. Barman podniósł szklanekę. — Jego zdrowie.

Odstawili szklanki, Daniel poprosił, by mu nalać jeszcze raz. Wypił pół, potem popił to wodą.

— Jeśli chce pan gdzieś zadzwonić, to tam w rogu jest aparat — powiedział barman.

Daniel spojrział przez pokój, potem pokręcił głową.

— Mam czas — powiedział, podnosząc szklanę. — Proszę mi nalać jeszcze jednego. Sobie też.

Barman pokręcił głową. — Nie, dziękuję, panie Huggins. Mam jeszcze osiem godzin przed sobą. Jeśli zacznę teraz pić, nie dotrwam nawet do lunchu.

Daniel kiwnął głową. Ściągnął opaskę z cygara i zapalił je. Wydmuchnął pod sufit chmurę dymu. Było niezłe.

— Dobre cygaro.

— Kuchnia już działa, jeśli chciałby pan zjeść śniadanie. Daniel nagle zdał sobie sprawę, że był głodny jak wilk.

— Stek z jajkiem i gorące ziemniaki.

Barman uśmiechnął się i odwróciwszy się, krzyknął w stronę kuchni na zapleczu: — Hej, Charlie! Rusz się i przygotuj stół. Mamy urodziny.

Po drodze do szpitala kupił bukiet wiosennych kwiatów. Drzwi pokoju Tess były zamknięte. Ostrożnie obrócił klamkę i otworzył je.

Tess leżała na łóżku, podparta z tyłu poduszkami. Nałożyła już jakiś makijaż i umalowała usta, ale pod spodem jej skóra była blada i prawie przezroczysta. Miała zamknięte oczy i zdawała się odpoczywać, nie zwracając uwagi na pielęgniarkę po drugiej stronie łóżka, poprawiającą jej pościel.

Przeszedł na palcach przez pokój i stanął z boku łóżka, spoglądając na nią. Otworzyła oczy. Uśmiechnął się, wyciągając w jej kierunku kwiaty.

— Gratulacje, mamó.

Spojrzała na kwiaty. — Są piękne — powiedziała. Wydawało się, że nie ma siły mówić. Pocałował ją. — Jak się czujesz?

— Dobrze. Jestem słaba. Nie mogę złapać oddechu. Jakbym miała wokół piersi obręcz.

— Poczuj się pani lepiej, jak tylko pani trochę odpocznie — wtrąciła siostra. — Może bandaż wokół brzucha powodują, że tak się pani czuje.

Odwróciła się do Daniela. — Panie Huggins, wstawię pańskie kwiaty do wazonu.

— Widziałeś już dziecko? — spytała Tess.

— Nie. A ty? Pokręciła głową.

— Doktor powiedział, że jest duży — powiedział Daniel. — Dziesięć funtów i cztery uncje.

— Wszyscy moi bracia mieli po dziesięć funtów albo więcej — rzekła Tess. Spojrzała na pielęgniarkę. — Możemy?

Pielęgniarka uśmiechnęła się. — Właśnie miałam to zrobić. Za chwilę będę z powrotem z państwa synem. —

Zamknęła za sobą drzwi.

Daniel przyciągnął krzesło do boku łóżka i ujął jej rękę.

— Kupiłem pudło cygar. Popatrz. — Wyciągnął jedno. — Widzisz banderolę? Jest na niej napisane, że to chłopiec.

Uśmiechnęła się słabo. — Byłeś tu dziś rano, zanim pojechałam na górę?

— Oczywiście, że byłem. Nie pamiętasz? Nawet odprowadziłem cię na górę do sali operacyjnej.

— Wydawało mi się, że chyba mnie odprowadziłeś, ale wszystko było takie niewyraźne. Dali mi zastrzyk, zanim tam pojechałam, i zbyt dobrze nie pamiętam.

Spojrzała na niego niespokojnie. — Czy mówiłam coś głupiego? Pokręcił głową. — Nie. Tylko, że mnie kochasz.

Może uważasz, że to coś głupiego.

— To nie było głupie. — Ścisnęła jego rękę. — Naprawdę cię kocham. Zawsze byłeś dla mnie taki dobry.

Roześmiał się. — Ty też mnie źle nie traktowałaś.

Drzwi za nimi otworzyły się i do środka weszła pielęgniarka, niosąc dziecko, okryte szczelnie kocem. Obeszła łóżko, stając po jego drugiej stronie, naprzeciw Daniela. Uniosła okrycie z głowy dziecka i wyciągnęła niemowlę w stronę Tess. — Pani Huggins, to jest pani syn.

Tess z niedowierzaniem wzięła dziecko. Ostrożnie przysunęła je do siebie i zajrzała w malutką twarz. Z promiennym uśmiechem spojrzała na Daniela.

— Och, Danielu, on jest taki piękny. Wygląda dokładnie jak... Nagły paroksyzm bólu wykrzywił jej twarz. —

Daniel! — krzyknęła. — Och, mój Boże!

Dziecko zaczęło wysuwać się z jej słabych palców. Daniel złapał je akurat, gdy bezwładnie opadła na poduszki, a na jej ustach

pojawiły się pęcherzyki piany. Obróciła się, by spojrzeć na niego jasnymi, zdumionymi oczami. Poruszyła ustami, jakby próbowała coś powiedzieć, potem jej oczy znieruchomiały. Głowa osunęła się w bok, na poduszkę, z oczami wpatrującymi się w wieczność i otwartymi ustami pełnymi słów, których już nigdy nie wypowiedzą.

Pielęgniarka przebiegła wokół łóżka na jego stronę, bezceremonialnie odsuwając go z drogi, by nacisnąć przycisk w ścianie. Na korytarzu na zewnątrz zaczął dzwonić dzwonek. Chwilę później pokój był wypełniony pielęgniarkami i lekarzami; wtaczano pojemniki z tlenem i inne urządzenia.

Daniel stał pod ścianą, przyglądając się im przez chwilę. Pielęgniarka podniosła głowę, napotykając jego wzrok. Pokręcił głową.

— To nic nie da — powiedział spokojnie, nie zwracając się do nikogo. — Odeszła.

Potem delikatnie schował twarz dziecka pod koc.

— Chodź, mój synu — powiedział, wnosząc dziecko na korytarz.

16

Stojąc z gołą głową w zacinającym deszczu, Daniel szczelnie otulił się płaszczem. Głos pastora był głęboki i donośny, jakby zgromadził się tłum żałobników, a nie dosłownie jeden samotny człowiek.

— Z prochu powstałaś, w proch się obrócisz.

Daniel wpatrywał się w czerwonawą mahoniową trumnę, w krople deszczu padające na jej lakierowaną na wysoki połysk powierzchnię i ściekające po jej bokach do otwartego grobu. Tak małego, tak bardzo małego. To wydawało się niepojęte. Nigdy nie była małą kobietą.

Pastor umilkł i obrócił się do Daniela. — Może pan zmówić własną modlitwę.

— Nigdy za dużo się nie modliłem, ojciec — rzekł Daniel.

— To nie ma znaczenia; Pan usłyszyci cokolwiek powiesz.

Daniel odetchnął głęboko. — Byłaś dobrą kobietą, Tess. Pewnie Bóg przyjmie cię z radością.

Dwóch grabarzy patrzyło wyczekująco na pastora. To była ich ostatnia praca tego dnia i chcieli już ją skończyć.

Pastor spojrział na Daniela, żeby upewnić się, czy skończył modlitwę, potem odwrócił się do nich i skinął głową.

Dwaj mężczyźni/sprawnie usunęli stalowe tyczki, na których spoczywała trumna, potem zaczęli ją opuszczać do otwartego grobu, aż z pacnięciem usadowili ją na podszłym już wodą dnie. Sięgnęli po łopaty.

— Ja to zrobię — powiedział Daniel, występując naprzód. W odpowiedzi na ich pytający wzrok rzekł: — U nas w domu zawsze sami chowaliśmy swoich bliskich.

W milczeniu wycofali się. Dotyk łopaty w rękach był przyjemny; cofnęło go to w czasie. Był po prostu chłopcem, a w kopalniach było mroczno. Zajrzał do grobu, gdy pierwsza łopata ziemi spadła na trumnę i rozsypała się po kwiatach leżących na zamkniętym wieku. Wkrótce ją też ogarnie ciemność. Przyspieszył tempo. Ziemia była ciężka, nasączona deszczem, więc wkrótce poczuł występujący na niego pod ubraniem pot, a razem z nim poczucie lekkości i siły. Nagle znowu zjednoczył się z ziemią. Potem, zanim dobrze się obejrzał, skończył; na grobie leżał równy kopczyk ziemi.

Wręczył łopatę jednemu z mężczyzn. — Dziękuję — rzekł. Mężczyzna, nie odpowiadając, kiwnął głową.

Pastor wrócił razem z nim do samochodu. Przy drzwiach auta Daniel zatrzymał się i wyjął z kieszeni banknot dwudziesto-dolarowy.

— Nie musi pan tego robić — powiedział pastor. — Forest Lawn wliczyło już koszt moich usług.

— Mimo to proszę wziąć — rzekł Daniel. — Jestem pewny, że ktoś w pańskiej parafii będzie mógł z nich skorzystać. Daniel usiadł za kierownicą.

— Dziękuję — powiedział pastor. — Nie bądź rozgoryczony, mój synu.

— Nie jestem rozgoryczony, ojcze — odparł Daniel, zapalając silnik. — Śmierć i ja nie jesteśmy sobie obcy. I nigdy nie będziemy.

Żeby wjechać na podjazd pomiędzy swój i sąsiadujący budynek, musiał objechać wielką czarną limuzynę, zaparkowaną przy krawężniku. Rzucił okiem na szofera siedzącego niewzruszenie za jej kierownicą i w strugach deszczu pobiegł do otwartych drzwi swego domu.

W salonie leżały równo zamknięte i związane tekturowe pudła, poukładane jakby w oczekiwaniu, żeby je ktoś zabrał. Przeszedł przez pusty pokój do sypialni. Była tam Chris z jakąś inną kobietą w średnim wieku, mocno zbudowaną, z jasnymi włosami, równo ściągniętymi w tyle głowy w kok. Gdy usłyszały jego kroki, odwróciły się. Głos Chris nie zdradzał zaskoczenia. — Na stole jest świeża butelka bourbona — powiedziała. — Nalej sobie. Za chwilę będziemy gotowe.

Spoglądał na nią przez chwilę, potem jego wzrok przeniósł się na otwartą szufladę kredensu i stojący obok karton. Kończono pakować ostatnie części garderoby Tess. Bez słowa poszedł z powrotem do salonu.

Kiedy weszła do pokoju, stał przy oknie z na pół opróżnioną szklanką whisky w rękę, wpatrując się w deszcz.

— Ktoś musiał to zrobić — powiedziała.

— Wiesz, że pierwszego dnia, kiedy przyjechaliśmy do Kalifornii, padało — powiedział. Odwrócił się, by na nią spojrzeć. — Rzeczywiście, deszcz to chyba jedyna stosowna na dziś pogoda.

— Ciężarówka Goodwilla będzie tu za jakieś pół godziny, żeby zabrać rzeczy — powiedziała. — Zamówiłam też trochę nowych mebli do pokoju dziecka i nową rozkładaną kanapę do salonu, taką, z której robi się łóżko.

— Na cmentarzu byłem tylko sam. Nigdy nie spotkałem żadnego z jej przyjaciół, których ona poznała, kiedy tu pracowała, więc nie wiedziałem, do kogo zadzwonić. Nie wiedziałem też, gdzie mieszka w ich stronach ktokolwiek z jej rodziny.

— Malarze będą tu od samego rana. Powiedzieli, że zajmie im to tylko jeden dzień. Nowe meble dostarczą następnego dnia.

— Nie miała nikogo poza mną.

— Danielu — powiedziała ostro. Spojrzał na nią.

— Ona miała syna. Twojego syna. Ale teraz jej nie ma i nic nie

można na to poradzić. Więc daj z tym spokój. Jesteś odpowiedzialny za swojego syna i musisz teraz o tym pamiętać. W jego oczach pojawił się ból. — Boję się. Nie wiem, jak zacząć.

— Pomogę ci — powiedziała. — Dlatego przywiozłam z sobą panią Torgensen.

— Panią Torgensen?

— Tę panią w pokoju. Jest doświadczoną pielęgniarką i niańką. Zajmie się za ciebie dzieckiem.

Spoglądał na nią z rosnącym szacunkiem. — Chris. Uśmiechnęła się.

— Dziękuję.

Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. — Kocham cię. A to więcej niż tylko rżnięcie się.

Zajrzał na chwilę w jej oczy, potem wolno pokiwał głową. — Powoli się uczę. — Sięgnął po butelkę i znowu nalał whisky do szklanki. — Ale mam inne problemy. Nie wiem, czy na to wszystko mnie stać. Może powinienem wziąć tutaj tę pracę, którą proponowali mi Bioff i Browne.

— Ale mówiłeś, że to łobuzy.

— To nie znaczy, że ja muszę nim być.

— Wiesz dobrze, jak jest — powiedziała. — Bądź uczciwy przynajmniej wobec siebie. Jeśli chcesz przejść na drugą stronę, zrób to w prosty sposób. Przyjmij pracę u wuja Toma. Nie zaczynaj niczego tylko po to, żeby odwlec podjęcie decyzji.

— Może byłoby lepiej, gdybym zabrał dziecko z sobą na Wschód?

— Nie bądź głupi — powiedziała. — I co będziesz robił? Trzymał dziecko w walizce? A jak będziesz się nim opiekował?

Nie odpowiedział.

— Masz tu wspaniały dom i jest to bardzo dobre miejsce dla wychowywania dziecka. Przy twoim trybie życia nie masz możliwości zajmowania się nim. Najlepsze, co możesz zrobić, to zgodzić się na panią Torgensen. Ma doświadczenie w zajmowaniu się sprawami, o których ty nie masz pojęcia. Dziećmi mojej siostry zajmowała się przez lata.

— Ile muszę jej płacić?

— To nie będzie dużo. Chciała wyjechać do Kalifornii. Miała dość zimna i śniegu na Wschodzie. Weźmie dwieście miesięcznie. Siostra płaciła jej trzysta pięćdziesiąt.

— To wychodzi dwa czterysta rocznie — powiedział. — Liczę, że jedzenie i inne wydatki to przynajmniej tysiąc sześćset, dwa tysiące. Nie zostanie mi zbyt wiele.

— Na co ci pieniądze? — spytała. — Kiedy jesteś w terenie, związki pokrywają twoje koszty. A stale jesteś w terenie.

Upił trochę whisky. — Już zdążyłaś to wszystko przekalkulować, co?

— Nie wszystko.

— A co pominęłaś?

W jej głosie pojawił się cień gniewu. — Jeśli jesteś zbyt głupi, żeby wiedzieć, nie mam zamiaru ci mówić.

Przez moment milczał, badając ją wzrokiem. Potem raptownie odwrócił się od niej do okna, mówiąc głosem pełnym napięcia: — Nie jestem jeszcze gotowy, żeby o tym mówić.

Podeszła do niego i łagodnie położyła mu rękę na ramieniu.

— Wiem. Ale za jakiś czas będziesz.

Pani Torgensen była energiczną kobietą. Zbliżała się do pięćdziesiątki. Owdowiała dwadzieścia pięć lat temu, kiedy jej mąż, drugi oficer marynarki handlowej, poszedł na dno ze swoim statkiem, rozerwanym na pół przez torpedę niemieckiej łodzi podwodnej. Mówiła po angielsku niemal bezbłędnie; w jej głosie ledwie wyczuwało się rdzenny szwedzki akcent i nie było chyba rzeczy, której nie potrafiłaby zrobić. Gotowanie, szycie, prowadzenie auta, sprzątanie domu, pranie, praca w ogrodzie. Wszystko to robiła tak sprawnie, jakby zupełnie bez wysiłku.

— Nie musi się pan martwić, panie Huggins — powiedziała. — Jestem porządną i odpowiedzialną kobietą. Nie zajmuję się głupstwami. Zadbam o pańskie dziecko, jakby to było moje własne.

— Jestem tego pewny, pani Torgensen — powiedział Daniel. — Chcę tylko się upewnić, że ma pani wszystko, czego pani potrzebuje.

— Nic nie przychodzi mi do głowy. Dom jest bardzo wygodny i bardzo dobrze się tutaj czuję.

— Jutro rano, zanim pojedziemy zabrać dziecko ze szpitala, zatrzymamy się w banku. Chcę otworzyć pani rachunek, żeby nie musiała pani czekać co tydzień na pieniądze — powiedział Da-

niel. — Będę dużo jeździł i czasem może się zdarzyć, że nie będę mógł przysłać pieniędzy wtedy, kiedy bym chciał.
— Zrobi pan, jak pan uważa — powiedziała. — A kiedy będzie pan przyjeżdżał do domu,, mogę spać na tej nowej kanapie.

Uśmiechnął się. — Nie musi pani tego robić. Przez parę dni chyba na niej wytrzymam.

Przez moment zawahała się, zanim spytała. — Czy panna Chris jedzie z nami do szpitala?

Spojrzał na nią zdziwiony. — Nie zastanawiałem się nad tym. Nic o tym nie mówiła.

— Proszę mi wybaczyć, panie Huggins — powiedziała niemal przepaszająco. — Ale znam pannę Chris prawie dziesięć lat, od czasu, kiedy miała piętnaście lat. Nie powiedziała tego, ale sądzę, że chciałyby pojechać.

Wolno pokiwał głową. — Dziękuję, pani Torgensen. Spytam ją wieczorem przy kolacji.

— Nie — powiedziała. — Rano wracam do Chicago. Zdziwił się. — Myślałem...

Przerwała mu. — Przepraszam. Zrobiłam wszystko, co mogłam. Więcej już nie zniosę. — Wstała od stołu i pobiegła do sypialni.

Podążył za nią. Stała w rogu pokoju z twarzą ukrytą w dłoniach. Położył ręce na jej ramionach i obrócił ją do siebie.

— Czy powiedziałem coś niewłaściwego? W milczeniu pokręciła głową.

— Więc co?

— Po prostu dobrze się sobie przyjrzałam. Muszę być szalona, że wpakowałam się w to wszystko.

Spojrzała na niego zamglonymi od łez oczami.

— Czym innym były rozmowy o tym, żebyśmy byli razem. Ale to było, zanim tu przyjechałam. To była prawie abstrakcja. Ale przebywanie z tobą tutaj nie było abstrakcją. To było naprawdę. Widziałam twój ból. Widziałam twoją troskę. Kocham cię. Wiem, że to, co mi powiedziałeś, to prawda. Że potrzebujesz czasu. Ale jestem człowiekiem. Za bardzo cierpię. Lepiej pojedę do domu, żeby być z dala od ciebie. Może wtedy nie będzie tak źle.

Milcząc, przytulił ją do siebie i mocno objął. — Nie chciałem, żeby tak się stało.

— To nie twoja wina. To wszystko przeze mnie. Nigdy nie powiedziałeś mi niczego, żebym myślała inaczej — powiedziała stłumionym przez jego marynarkę głosem.

Zadzwonił telefon. Spojrzała na niego, potem przeszła przez pokój i podniosła słuchawkę.

— Halo! — powiedziała, potem przez chwilę słuchała. — Powiem mu.

— To była pani Torgensen. Powiedziała, że właśnie dzwonił pan Murray i chce, żebyś do niego zaraz zadzwonił.

Powiedział, że to pilne.

— Nie mogę dłużej zwlekać. Za bardzo mnie cisną. — Głos Murraya zdradzał zdenerwowanie. — Kiedy będziesz z powrotem?

— Mogę wyjechać w niedzielę — odparł.

— Przyjedź do Chicago — powiedział Murray. — Tam się spotkamy.

— Dobrze.

— Wszystko w porządku? — spytał Murray. — Co było? Chłopiec czy dziewczynka?

Nagle Daniel zdał sobie sprawę z tego, że nic mu nie powiedział, co się stało. — Chłopiec.

— Gratulacje. Przekaż pozdrowienia żonie i spotykamy się w poniedziałek w Chicago.

Odłożył słuchawkę i odwrócił się do Chris.

— Chyba pójde już do domu — powiedział zmęczonym głosem.

— Nie.

Spojrzał na nią.

Patrzyła mu w oczy. — Powiedziałam ci, że jestem szalona. Nie ma mowy, żebyś stąd wyszedł i nie zerznął mnie na pożegnanie.

17

Zanim Daniel wysiadł na Union Station, nagłówki gazet ogłosiły już strajk przeciwko Little Steel. Kupił „Tribune” i czytał ją w milczeniu w taksówce, wiozącej go prosto do biura związku.

Na pierwszej stronie zamieszczono dwa wywiady. Jeden z Tomem Girdlerem, prezydentem Republic Steel, rzucał się w oczy, gdyż zamieszczony był niemal na szczycie strony; drugi, mniejszy, z Philem Murrayem, prezydentem SWOC, CIO, znajdował się w małej ramce w dolnym rogu oraz na ostatnich stronach, gdzie niemal nie można było go znaleźć.

Komuniści, anarchiści i agitatorzy, którzy próbują przejąć ten kraj i oddać go nienaruszony w zachłanne szpony i moc Związku Sowieckiego, gorzko się rozczarują, kiedy staną twarzą w twarz z rzeszą prawdziwych Amerykanów, gotowych bronić swoich ideałów i amerykańskiego stylu życia dla siebie i swoich dzieci. Nie będziemy uchylać się ani wzdragać przed wykonywaniem naszych zadań. Jesteśmy do nich przygotowani i będziemy o nie walczyć na polach i ulicach, aż do bram naszych zakładów, i pobijemy ich tak, jak amerykańscy żołnierze pobili Niemców w czasie wojny. Zwracam się do wprowadzonych w błąd strajkujących.

— Nie słuchajcie fałszywych proroków, którzy zdradzą was dla waszych wrogów. Powróćcie do swoich zakładów i pracy. Jesteśmy Amerykanami, zawsze gotowymi wybaczyć i przyjąć naszych bliźnich jak braci.

Dla odmiany, oświadczenie Murraya było umiarkowane, a nawet powściągliwe.

Wszystko, o co prosimy dla człowieka pracy, to sprawiedliwość, zapewnienie pracy i świadczenia przyznane już jego braciom pracującym w US Steel i innych przedsiębiorstwach, które zrozumiały już, że ich żądania były po prostu przyzwoite i słuszne. Nie mamy zamiaru przekazywać czegokolwiek w ręce obcej potęgi czy ideologii, tylko uczynić lepszym życie pracującego Amerykanina, którego trud czyni możliwym i realnym prowadzenie naszego amerykańskiego stylu życia.

Daniel, wysiadłszy przed centralą związku, zostawił gazetę w taksówce. Idąc z walizką przez całe piętro, wynajęte regionalnym biurom SWOC, nie mógł przestać myśleć, jak różna była

organizacja obecnej i ostatniej próby wprowadzenia związków do hutnictwa w roku 1919. Wtedy wszystko wydawało się przypadkowe i improwizowane. Teraz wszystko było zaplanowane. Istniał rozbudowany dział informacji, z ponad czterdziestoma pracownikami, dostarczającymi gazetom i agencjom informacyjnym bieżące wiadomości o działaniach organizacyjnych; dział statystyki, trzymający rękę na pulsie wszelkich trendów ekonomicznych, mogących mieć wpływ na pozycję związku; dział funduszu pomocy strajkującym, udzielający członkom związku pomocy finansowej i wszelkiej innej. Nie było wątpliwości. Teraz było zupełnie inaczej. Ale czy na pewno?

Pomimo zastosowania najnowocześniejszej techniki i największego wsparcia finansowego, jakie otrzymało jakiegokolwiek przedsięwzięcie związku, czegoś brakowało. Daniel czuł, co to jest, ale nie potrafił tego dokładnie określić. Może to było to, że sam związek płynący na fali prozwiązkowych nastrojów w ostatnich latach, był zbyt pewny siebie i nie zdawał sobie sprawy ze zdecydowania przeciwników. Nagły upadek Big Steel w zeszłym roku, sukces kampanii Textile Workers na Południu, zorganizowanie pracowników przemysłu samochodowego w General Motors przedstawiały orientację wiodącą prawdopodobnie donikąd. Wszędzie, gdzie zwyciężono, podpisano porozumienia z największymi firmami, których udziały w rynkach, na których działały, były tak duże, że w bardzo małym stopniu mogło wpłynąć to na ich ostateczne wyniki. Ale mniejsze firmy, dla których ustępstwa miałyby decydujący wpływ na ich zysk, miały poważny powód do dalszej walki. Ford Motor Company była tak daleka od zawarcia porozumienia jak nigdy dotąd. Podobnie Little Steel. A każdy z zarządów tych przedsiębiorstw traktował to jako osobistą walkę o utrzymanie tego, co uważano za kontrolę własnej firmy i wolność. Ani Henry Ford, ani Tom Girdler nie zamierzali padać na kolana przed swymi poddanymi. Przeciwnie, uważali, że ci, którzy u nich pracowali, winni być im wdzięczni za możliwość pracy w ich królestwach, zwłaszcza po tym wszystkim, co dla nich zrobili. Biura zarządu znajdowały się na końcu piętra, daleko od wind. Ich okna wychodziły na miasto, pokoje były porządnie, jeśli nie wystawnie umeblowane, na podłodze leżały dywany. Kontrastowało to z większością biur, w których znaczna część urzęd-

ników pracowała w wielkich otwartych pokojach, w których stało-trzydzieści lub czterdzieści biur, stłoczonych na przestrzeni odpowiedniej dla połowy tej liczby. Przywódcy związkowi byli teraz skutecznie oddzieleni od szeregowych pracowników swych organizacji, jak dyrektorzy firm, z którymi toczyli wojnę. Nagle Daniel pojął, co to jest. Rozwijała się nowa hierarchia. Wcześniej czy później człowiek za zamkniętymi drzwiami w takim biurze musiał stracić kontakt z ludźmi na zewnątrz, których reprezentował. Nie było już związku emocjonalnego. Było to teraz wykal-kulowane przedstawicielstwo ideału, które samo przekształciło się w nową formę wielkiego przemysłu. Teraz Daniel mógł zrozumieć, dlaczego naciskano Phila Murraya, żeby działał. Ich organizacja była podobna do jakiegokolwiek wydziału General Motors. Mieli cele do osiągnięcia, a jeśli z jakiegoś powodu, obojętnie co by to było, nie zostałyby osiągnięte, znaleziono by nowych dyrektorów, którzy doszliby do tych celów. Wojna musiała się rozpocząć, nawet jeśli jej rezultat był wątpliwy. Murray musiał udowodnić, że się nie bał i nie unikał wykonywania swoich obowiązków. A przez ten cały czas był świadomy tego, że siedzący w Waszyngtonie Lewis chce zachować swoją pozycję człowieka, który ułożył się z Big Steel bez strajku i z tego powodu unika zajmowania na posiedzeniach komisji związkowych stanowiska za lub przeciw ogłoszeniu strajku. Wolał po prostu zostawić to Murrayowi. Jeśli przegra, może się powiesić. Jeśli wygra, Lewis wkroczy, by podzielić się chwałą, bo to on wskazał drogę i ufał, że Murray tego dokona.

Daniel zatrzymał się przed drzwiami, na których złotymi literami namalowano: MR. MURRAY, i zwrócił się do sekretarki, siedzącej przy biurku tuż przy drzwiach. To była nowa dziewczyna, nigdy przedtem jej nie widział.

— Czy jest pan Murray?

Spojrzała na niego znad maszyny do pisania.

— Czy mogę spytać, kto się chce z nim widzieć?

— Daniel Huggins.

Podniosła słuchawkę. — Panie Murray, jest tu pan Huggins, który chce się z panem zobaczyć.

Po chwili odłożyła ją. W jej głosie pojawił się wyraz szacunku. — Może pan od razu wejść, sir.

Daniel stwierdził, że Murray wygląda mizernie i jest zmęczony. Mocno uściśnął dłoń Daniela. — Cieszę się, że wróciłeś.

— Ja też — powiedział Daniel. I mówił serio.

— Klapnij sobie na krzesło — powiedział Murray, wracając na swoje miejsce. — Jak dziecko?

— Świetnie.

— Twoja żona musi być bardzo dumna. Przepróż ją ode mnie, że ściągnąłem cię tutaj tak szybko.

Daniel spojrział mu w oczy. — Moja żona nie żyje. W oczach Murray a pojawił się wyraz osłupienia. — Nic nie mówiłeś.

— Nie było nic do mówienia. To się stało i koniec. Murray milczał przez chwilę. — Przepraszam, Danielu. Gdybym wiedział, nie naciskałbym cię.

— W porządku. Zrobiłem to, co do mnie należało, i jestem znowu w pracy.

— Czy twoje dziecko jest w dobrych rękach?

— Mam świetną panią, która zajmuje się nim i domem. Wszystko będzie dobrze.

Murray nabrał głęboko powietrza. — Jeśli w jakiś sposób mogę ci pomóc, daj mi znać.

— Dziękuję. — Daniel wstrzymał się. Pomoc została szybko zaoferowana, ale od chwili, gdy wszedł do biura, czuł, że coś było nie w porządku. Nie mógł tego stwierdzić namacalnie, po prostu wyczuwał, że Murray nie był przy nim zupełnie swobodny.

Murray przerzucał jakieś dokumenty na biurku, w końcu wyciągnął ten, którego szukał. Trzymając go w ręce, rzucił nań okiem, mówiąc:

— Mam dla ciebie nową pracę. Przyjmuję cię tu do biura jako koordynatora biur okręgowych na Środkowym Zachodzie. Twoim zadaniem będzie dopilnować, żeby żadne z nich nie wymknęło się nam bez uprzedzenia.

— Nie wiem, czy się nadaję do biura — powiedział Daniel. — Jestem przyzwyczajony do działania w terenie.

Dlaczego po prostu nie mogę zostać przy swojej pracy?

— Stajesz się zbyt ważny, żeby kręcić się po terenie z organizatorami. Potrzebujemy kogoś tutaj, żeby sprawował dla nas ogólny nadzór nad sytuacją.

— Komu podlegam?

— Davidowi McDonaldowi w Pittsburghu. On przejmuje bieżące kierowanie. Ja wracam do Waszyngtonu, gdzie mogę naciskać na rząd.

Daniel kiwnął głową. McDonald był właściwym człowiekiem, weteranem w hutnictwie. Już przedtem krążyły pogłoski, że jest pewnym następcą Murraya, tak jak mówiono, że Murray jest następcą Lewisa. Teraz została potwierdzona przynajmniej pierwsza część pogłoski. Ale Daniel nie mógł nic temu zarzucić. To, że kandydatem był McDonald, było logiczne.

— Czy mam w nowej pracy jakieś szczególne uprawnienia?

— Myślałem, że spotkacie się z Dave'em i ustalicie to między sobą — odparł Murray.

Daniel wyciągnął cygaro z wewnętrznej kieszeni płaszcza. Odgryzł koniec i nieśpiesznie je zapalił, cały czas przypatrując się Murrayowi. W końcu, gdy cygaro już się paliło, wyciągnął się na krześle.

— Dobrze, Phil — powiedział spokojnie. — Znamy się od dawna. Możesz mi powiedzieć prawdę. Dlaczego dostałem kopa w górę?

Murray zaczerwienił się. — To niezupełnie tak.

— Ale też niezupełnie nic innego — rzekł Daniel.

Murray pokręcił powoli głową. — Przez ciebie miałbym ciągle kłopoty, wiesz o tym? Daniel milczał.

— Zbyt wielu ludzi słyszało, jak mówisz, że jesteś przeciwko strajkowi. Zbyt wielu ludzi wie o twoim romansie z panną Girdler. Oni po prostu ci nie ufają.

— A ty mi ufasz?

— To głupie pytanie! — wybuchnął Murray. — Gdybym ci nie ufał, nie dałbym ci innej pracy.

— Może lepiej by było, gdybym mimo to odszedł — rzekł Daniel. — Nie podoba mi się grzeźnięcie w ślepym zaułku.

— Nie wycofasz się — Murray powiedział gwałtownie. — Nie chcę tego. David i Lewis też nie chcą. Jesteś jedynym człowiekiem, jakiego znamy, który pracował we wszystkich biurach okręgowych, jedynym, na którym możemy polegać, że przedstawi nam jasny obraz tego, co się tam dzieje. Poza tym, to nie na długo. Kiedy ten strajk się zakończy, mamy coś dla ciebie.

— On się nie skończy przez długi czas — powiedział Daniel. — Zdaje się, że nie będę w stanie dokonać tego, żeby ktokolwiek z was zrozumiał, jak twardy jest Girdler. Potrafił stworzyć diabelskie przymierze z innymi niezależnymi przedsiębiorcami, a oni go całkowicie popierają.

Murray zastanawiał się. — Diabelskie przymierze. Mogę użyć tego powiedzenia na konferencji prasowej, którą będę miał w przyszłym tygodniu w Waszyngtonie.

— Bardzo proszę — powiedział Daniel.

— Memoriał Day¹ jest za jakieś trzy tygodnie. Planujemy masowe demonstracje w całym regionie. Myślę, że diabelskie przymierze, o którym mówisz może namyślić się, kiedy zobaczą za nami tłum robotników.

— Uważam, że ich to nie będzie nic obchodzić — powiedział Daniel. — Zamierzają złamać ten strajk bez względu na koszty.

— Danielu, przestań walczyć ze mną — powiedział Murray nagle zmęczonym głosem. — Mam już dość ludzi na plecach. Nie sprawiaj, żebym nie mógł cię tu utrzymać. Po prostu pomóż mi.

Po raz pierwszy Murray odkrył się i rozmawiał z nim tak otwarcie. Tylko przyjaciele rozmawiają ze sobą tak szczerze. Murray zawsze tu był, kiedy on potrzebował pomocy. Murray był tu przez prawie dwadzieścia lat. Teraz przyszła kolej na niego.

— Dobrze. Co chcesz, żebym zrobił najpierw?

— Zajmij się demonstracją na Memoriał Day. Dopilnuj, żeby wyszli z tego bez szwanku.

— Zrobię, co w mojej mocy — powiedział Daniel, podnosząc się. — Jeśli mam zostać w Chicago, lepiej pójdę i znajdę sobie jakieś mieszkanie.

Murray spojrzał na niego. — Dziękuję, Danielu.

— Nie musisz mi dziękować, Phil — rzekł Daniel. — Jestem ci to winien.

Murray uśmiechnął się blado. — Kiedyś możemy się posprzeczać, kto komu jest winien. Ale teraz najważniejsze jest, żeby robota była wykonana. A nawiasem mówiąc, zapomniałem wspomnieć, że zarząd zatwierdził twoją pensję w nowej pracy — osiem i pół tysiąca dolarów rocznie.

¹Memorial Day — dzień pamięci poległych na polu chwały (30 maja).

Daniel roześmiał się. — Trzeba było powiedzieć o tym na początku. Może nie miałbyś ze mną tak ciężko. Murray roześmiał się razem z nim. — Jeśli chodziłoby ci o pieniądze, mógłbyś przyjąć tę pracę w IA. Ale ja wiedziałem lepiej.

18

Biuro, które mu wyznaczono, było małe. Znalazło się w nim miejsce jedynie na biurko i dwa krzesła, jedno za biurkiem, a drugie przed nim. W rogu pokoju stał mały wieszak. Wymalowane na biało ściany były zupełnie gołe. Na szczęście pokój miał jedno okno, bo jeśliby go nie było, mógłby zwariować w ciągu pierwszego tygodnia.

Wszystko go zawodziło. Zaczął dzwonić do biur okręgowych, żeby nawiązać kontakty z lokalnymi organizatorami. Byli dość przyjaźni, ale nie na tyle, żeby bez konkretnej dyrektywy zrezygnować z jakichś swoich pełnomocnictw czy uprawnień na rzecz kogoś innego, a jak dotąd nie otrzymali z centralnego biura żadnej informacji o mianowaniu go na to stanowisko. Dzwonił nie-zliczenie wiele razy do McDonalda w Pittsburghu, ale nigdy go nie zastał. Za każdym razem był zapewniany przez sekretarkę, że McDonald oddzwoni, ale pod koniec tygodnia pogodził się z tym, że tak się nie stanie.

Piątkowe popołudniowe gazety komentowały konferencję prasową Murraya w Waszyngtonie. Podchwycono powiedzenie „Diabelskie przymierze”. To był szowinistyczny język dziennikarski. Dziennikom spodobało się to. Nawet Gabriel Heatter użył je w swoich krajowych wiadomościach wieczornych. Daniel podniósł słuchawkę i zadzwonił do Murraya do Waszyngtonu.

Poczuł lekkie zdziwienie, kiedy Murray podszedł do telefonu.

— Gratulacje — rzekł Daniel. — Konferencja prasowa poszła doskonale. Tutejsze gazety nadały jej duży rozgłos. Murray był najwidoczniej zadowolony. — To dobrze. Wydaje mi się, że robimy jakieś postępy. Opinia publiczna zaczyna przechodzić na naszą stronę. Jak dajesz sobie radę?

— Dostaję szalu — powiedział zwięźle Daniel. — Nie robię nic i jestem odizolowany.

— Nie rozumiem. — Murray był szczerze zdziwiony. — Rozmawiałeś z Dave'em?

— Nie mogę go dostać przez telefon. A biura okręgowe nie zostały oficjalnie poinformowane o mianowaniu mnie na to stanowisko. Tkwię tu w martwym punkcie, w którym się nic nie dzieje.

— Porozmawiam z nim — powiedział Murray.

— Nie chcę, żebyś robił sobie kłopoty — rzekł Daniel. — Masz dosyć na głowie. Może byłoby lepiej, żebym wyjechał.

— Nie — powiedział stanowczo Murray. — Zostaw to. Ja to załatwię.

— Nic mi nie jesteś winien — odparł Daniel. — Poza tym czuję, że powinienem być w Kalifornii ze swoim dzieckiem. Jest wystarczająco źle, że nie ma matki; nie powinien zostawać również bez ojca.

— Daj mi czas do końca miesiąca — rzekł Murray. — Jeśli do tego czasu nie potrafimy tego załatwić, możesz jechać, gdzie chcesz.

— To dosyć uczciwe — powiedział Daniel. Odłożył słuchawkę i z dolnej szuflady biurka wyjął butelkę whisky. Nalał sobie i, obróciwszy się do okna, wyglądał przez nie i popijał whisky. W Chicago padał deszcz i zapadał zmrok. Kiedy patrzył, jak nikną w nim budynki i zapalają się światła, zaczął czuć się osaczony i zamknięty w pułapce. Podniósł się i z rozmachem otworzył drzwi swego biura. Ku jego zdziwieniu, olbrzymie biuro było puste, poza jedną dziewczyną, zgarbioną nad maszyną do pisania w odległym końcu sali. Zerknął na zegarek. Piąta.

Czasy się zmieniają. Jeszcze nie tak dawno pracownicy związku nigdy nie szli do domu. Po pracy rozsiadali się, rozmawiając o tym, co robią i co mają nadzieję osiągnąć. Ale teraz była to praca jak każda inna. Piąta godzina i każdy szedł do domu.

Trzymając szklanekę w ręce, przeszedł przez pokój do dziewczyny. Słyszając, że podchodzi, uniosła głowę.

— Co robisz? — spytał.

— Pan Gerard chce mieć ten raport na biurku w poniedziałek rano, kiedy przyjdzie do pracy.

— Pan Gerard? — To było jakieś nowe nazwisko. — Który to dział?

— Prawny.

— Jak ci na imię?

— Nancy.

— Nancy, podoba ci się praca w związku?

Rzuciła wzrokiem na swoją maszynę do pisania. — To po prostu praca.

— Ale dlaczego w związku? — spytał. — Czy uważasz, że pomagasz ruchowi pracowniczemu i wpływasz na poprawę warunków pracy?

— Nić o tym nie wiem. Odpowiedziałam na ogłoszenie w gazecie, chociaż płacili tylko piętnaście dolarów tygodniowo.

— Czy to przyzwoita płaca za to, co robisz?

— Przeważnie za taką pracę płacą około dziewiętnastu tygodniowo — odparła. — Ale gdzie indziej nie ma pracy.

— Może właśnie tobie potrzebny jest związek — powiedział, uśmiechając się szeroko. Dokończył whisky. — Chcesz się napić, Nancy?

Pokręciła głową. — Nie, dziękuję. Muszę to skończyć.

— W porządku — powiedział i ruszył w stronę biura. Jej głos zatrzymał go. — Panie Huggins.

Odwrócił się, by spojrzeć na nią.

— Czy mogę pana o coś spytać?

— Oczywiście.

— Odkąd umieścili pana nazwisko na drzwiach i zaczął pan urzędować, każdy zastanawiał się, co pan właściwie robi i w którym dziale pan pracuje. Jest pan tutaj dość tajemniczym człowiekiem.

Roześmiał się. — Słyszałaś kiedyś o dziale limbo? — Limbo? — zdziwiła się. — Nie sędzę.

— Właśnie w nim pracuję — powiedział i wrócił do swojego biura, zamykając drzwi.

Ciągle siąpiło, kiedy wyszedł z biura i poszedł na parking do samochodu. Włączył silnik i światła, ale nie ruszał.

Myśl o powrocie do pustego mieszkania wcale go nie pociągała. Żeby

przetrwąć dzień, przeczytał wszystkie gazety, a nie zamierzał spędzić wieczoru, siedząc samotnie z butelką whisky i słuchając radia. Pomyślał, żeby pójść do kina, ale to było zbyt nijakie i nie gwarantowało prawdziwej ucieczki przed niepokojem.

Nagle zdecydował się pojechać do południowego Chicago, do baru w pobliżu zakładów Republic Steel, w których pomagał organizować związek. Bar był zatłoczony ludźmi, hutnikami, którzy większość dnia spędzili w zalanych deszczem liniach pikiety. Przy ścianach, równo ułożone, leżały transparenty ich pikiety. STRAJK W REPUBLIC STEEL! BY MIEĆ GODZIWAŃ PŁACĘ, IDŹ CIO! Niektóre napisy były drukowane, ale wiele z nich było napisanych odręcznie przez robotników.

Dopchał się do bufetu i zamówił podwójną whisky. Czekaając na nią, rozejrzał się po barze. W morzu kufli piwa były może dwie szklanki whisky. Strajk spowodował już zmiany w robotniczych upodobaniach do picia. Hutnicy zwykle pili whisky. Piwo było jedynie do popicia.

Barman postawił przed nim whisky i wziął banknot dolarowy. Kiedy Daniel podniósł szklanekę, położył na kontuarze ćwierć dolara reszty. Daniel zabrał whisky i zamierzał wycofać się do boksu pod ścianą, kiedy z końca baru ktoś zawołał.

— Hej! Big Dan!

Rozpoznał go, posiwiąłego weterana huty, jednego z pierwszych, którzy wstąpili do związku.

— Jak się masz, Sandy?

Sandy zabrał swoje piwo i przedarł się do niego wzdłuż bufetu.

— Dobrze, Big Dan. Nie spodziewałem się, że cię tu znowu zobaczę.

— Czemu nie? — spytał Dan.

— Słyszeliśmy, że wyjechałeś do Kalifornii.

— Wyjechałem. Ale wróciłem ponad tydzień temu.

— Nie byłeś w biurze związku. — Mówił o biurze okręgowym.

— Trzymali mnie w centrali w Chicago — powiedział Daniel. — Dali mi nową pracę.

— O tym też mówią — rzekł surowo Sandy.

Daniel spojrział na niego. — Nie wiedziałem, że ludzie tak się mną interesują. Co jeszcze słyszałeś? Sandy zmieszał się. — Różne rzeczy.

— Daj mi jeszcze jedną whisky — Daniel zwrócił się do barmana. Kiedy ją dostał, wziął do ręki obie szklanki. — Chodź, Sandy, usiądźmy gdzieś.

Hutnik podążył za nim do boksu i usiadł naprzeciw niego. Daniel pchnął w jego stronę szklanekę whisky. — Na zdrowie. Wypili.

— Jesteśmy przyjaciółmi, Sandy. Możesz mi powiedzieć, o czym mówili.

Sandy przyglądał się szklance, potem podniósł na niego wzrok.

— Wiedz, nie wierzyłem w to, co mówią. Daniel milczał.

Sandy znowu upił whisky. — Mówili, że jesteś przeciwny strajkowi i że jesteś bardzo blisko z kimś z rodziny Girdlera.

i z tego powodu trzymają cię w centrali.

Daniel wskazał ruchem głowy mężczyzn przy barze.

— A co oni myślą?

Głos Sandy'ego był pełen pogardy. — To Polaczki, Szwedzi i czarnuchy. Oni nie potrafią myśleć. Wierzą w to, co im się powie.

— I powiedziano im, że nie powinno mi się ufać?

Teraz przyszła kolej Sandy'ego na milczenie. Daniel gestem wskazał, by napełniono im szklanki. Kiedy przyniesiono whisky, upił łyk.

— Jak to stąd wygląda? — spytał. — Zamknęli fabrykę?

— Niezupełnie. Chodzi na jakieś czterdzieści procent. Wielu ludzi bało się wyjść na ulicę, kiedy Girdler powiedział, że nie zatrudni z powrotem żadnego ze strajkujących. — Łyknął ze swojej szklanki. — A jak to wygląda z centrali?

— Rozmawiałem dziś z Murrayem — odparł Daniel. — Wydaje mu się, że zaczynamy brać górę. Liczy, że demonstracje w całym kraju podczas Memorial Day spowodują nacisk opinii publicznej na huty, żeby się ugięły.

Sandy kiwnął głową. — W ten dzień mamy zaplanowane wielkie zebranie. Będą tam wszyscy nasi z zakładów Republic. Oczekujemy, że w Sam's Place pojawi się może trzystu ludzi.

— To ta wielka sala posiedzeń, której używaliśmy kiedyś? Sandy skinął głową i podniósł szklanekę. — Czułbym się lepiej,

gdybyś wrócił tu do nas.

— Ja też — powiedział Daniel.

— A ten facet, Davis, którego tu przysłali zamiast ciebie, to typ księgowego. Gość po college'u. Nie wydaje mi się, żeby w życiu choć raz machnął łopata. — Sandy dokończył whisky. — Wiem, że pewnie jest dobry. Mówi same mądre rzeczy. Ale ja mam uczucie, że tego wszystkiego nauczył się gdzieś w szkole. Czy sądzisz, że jest możliwe, żeby przysłali cię tu z powrotem?

Daniel podniósł się.

— Nie wiem — powiedział zmęczonym głosem. — Naprawdę nie wiem, co zamierzają zrobić.

Wyciągnął rękę. — Powodzenia.

— Tobie też — rzekł Sandy.

Daniel przeszedł w deszczu ulicę do swojego samochodu i otworzył drzwi. Z cienia budynku wynurzyło się trzech mężczyzn i podeszło do niego. Daniel poczuł, że włosy jeżą mu się na głowie.

Zatrzymali się parę stóp przed nim. — Big Dan?

— Tak — powiedział.

— Więcej tu nie wracaj — rzekł jeden z nich. — Nie lubimy tu obrońców łamistrajków i kapusiów.

— Jestem ciągle szanowanym członkiem związku — powiedział Daniel. — A moja praca polega na tym, że mogę chodzić, gdzie chcę.

— Mamy to gdzieś — powiedział mężczyzna. — Jesteś, kurwa, szpiegiem, który sprzedał nas za kawałek dupy Girdlerówny. Nie potrzebujemy tu takich kutasów jak ty.

Ruszyli w jego stronę. Daniel wysunął rewolwer z kabury na ramieniu. — Zatrzymajcie się — powiedział spokojnie.

— Jeżeli nie chcecie, żebym odstrzelił wam jaja.

Mężczyźni zamarli, wpatrując się w niego.

— Teraz przejdźcie z powrotem na drugą stronę ulicy rzekł. — I nie róbcie niczego, czego moglibyście potem żałować.

Obserwował ich jak przechodzą przez ulicę, i kiedy weszU na chodnik, wsiadł do samochodu i zapuścił motor.

Kiedy usłyszeli silnik, odwrócili się i, gdy ruszał, wybiegli za nim na ulicę. Słyszał, jak krzyczą: — Kapuś!

Piździelec!

Potem skręcił za róg i nic już nie słyszał.

Huta była po drodze do domu. Wolno przejechał wzdłuż niej. W nocnej linii pikiety było tylko kilku wymęczonych mężczyzn chodzących po deszczu. Za bramą stali umundurowani strażnicy,

wyglądający elegancko i sucho w swych przeciwdeszczowych płaszczach. Naliczył przynajmniej dwudziestu strażników na czterech ludzi w pikiecie. Skręcił za następnym rogiem i pojechał z powrotem do Chicago. Miał właśnie włożyć klucz do drzwi swego apartamentu, kiedy uchyliły się, zanim ich dotknął. Znowu z rewolwerem w rękę, pchnął je dalej, by się otworzyły do końca i wszedł do środka. Z kuchni dobiegł go głos Chris. — Danielu, gdzie, do cholery, byłeś? Od prawie trzech godzin robię wszystko, żeby ci kolacja nie wystygła.

19

Było około drugiej w nocy, kiedy nagle otworzył oczy. Zamknął je na chwilę. Nic z tego. Był zupełnie rozbudzony. Poruszał się ostrożnie, żeby jej nie obudzić. Kiedy się obrócił, widział zarys śpiącej Chris, czuł zapach jej perfum pomieszany z zapachem ich kochania się. Wysunął się z łóżka i, zamknawszy cicho za sobą drzwi, wszedł do salonu. Nie zapalał światła. Wiedział, gdzie stała butelka, wyciągnął ją i nalał sobie. Przełknął whisky, usiadł przy oknie i wyglądał na deszcz, padający złotymi kroplami na zalaną żółtym światłem ulicę. Znowu sobie nalał. Ale to nie pomogło. Głęboko w sobie czuł się wypalony, wyczerpany i pusty. Nawet myśl o kochaniu się nie usunęła tego uczucia tak zupełnie.

Drzwi sypialni otworzyły się i pokój zalało światło. Odwrócił się i zobaczył ją stojącą nago.

— Nie chciałem cię obudzić — powiedział cicho. — Lepiej włóż szlafrok. Jest chłodno.

— Danielu, co cię gryzie?

— Najpierw włóż szlafrok.

Zniknęła i wróciła za chwilę, dalej naga. — Nie masz szlafroka, a ja nie zabrałam swojego.

Roześmiał się. Miała rację. Nigdy nie miał szlafroka, ani piżamy. Jeśli w ogóle w czymś spał, to w kalesonach. — Weź którąś z moich koszul.

Koszula sięgała do kolan. — Czuję się dziwnie.

— Lepiej to, niż się zaziębić. — Znowu sobie nalał. — Chcesz jednego?

Pokręciła głową i odczekała aż przełknie whisky. — Danielu, co się dzieje? Nigdy przedtem cię takim nie widziałam.

— To tak, jakby nagle wszyscy przestali mnie widzieć.

— Mówisz o tej nowej pracy? — spytała. Spojrzał na nią. — Wiesz o tym?

— Tak, oczywiście.

— Skąd się dowiedziałaś?

— W ten sam sposób, jak to gdzie mieszkasz. Z poufnych akt w biurze wujka Toma.

— Wiedzą o takich rzeczach?

— Prowadzą rejestry wszystkiego i wszystkich — odparła.

— Wie o nas? Skinęła głową.

— Mówił coś?

— Najpierw był wściekły, potem się uspokoił. Dalej mu się to nie podoba, ale powiedział, że mogło być gorzej.

Mógłbyś być żydowskim komunistą albo czarnuchem.

Roześmiał się gorzko. — Czy zdziwiłoby cię, gdybyś się dowiedziała, że wie o mojej nowej pracy więcej niż większość członków związku?

— Powiedział mi, że odsunęli cię na bok, ponieważ uważałeś, że nie powinni ogłaszać strajku. Powiedział też, że jeśli nie zaczęliby strajku, zwolniliby cię z miejsca, ale teraz obawiają się dodatkowych kłopotów. Wiedzą, że pozbycie się ciebie, zaniepokoiłoby zbyt wielu ludzi, których zorganizowałeś.

Pokręcił głową. — Więc źle kalkulowali. Dziś w nocy przekonałem się, że tak naprawdę wszyscy mają to gdzieś.

Ktoś naprawdę zabrał się za mnie. Wszystko, co powiedziałem, zostało przekreślane i puszczone jako pogłoska.

Nawet o tobie i o mnie. Że zdradzam ich z twojego powodu.

— Powinni cię chyba lepiej znać.

— Może Phil Murray. Ale wątpię, czy ktokolwiek inny podziela jego przekonanie.

— Przykro mi — powiedziała. — Co zamierzasz zrobić?

— Szczerze mówiąc, nie wiem — rzekł. — Murray chce, żebym odczekał. Mówi, że to się wszystko wyjaśni. A ja nie jestem pewny,

czy potrafię czekać, tak jak on tego chce. Nie jestem przyzwyczajony do bezczynnego siedzenia w biurze.

— Dlaczego nie porozmawiasz z wujkiem Tomem? — spytała.— Z tego, co powiedział, wiem, że cię szanuje, chociaż może cię nie lubi.

Spojrzał na nią. — Nie mogę tego zrobić. Żyłem tak długo po tej stronie barykady, że nie mógłbym przejść na drugą stronę. Poza tym, gdybym to zrobił, wszystko co o mnie mówili byłoby prawdą.

Przysunęła się bliżej do niego. — Kocham cię. Ciężko mi, kiedy widzę, że jesteś tak rozbity.

Nie odezwał się, tylko spojrzał na nią.

— Wiem, że powiedziałam, że poczekam, aż do mnie zadzwonisz. Ale nie mogłam, za bardzo do ciebie tęskniłam. Danielu, chcę tu z tobą zostać.

Odetchnął głęboko. — Też bym chciał. Ale to by tylko wszystko pogorszyło.

— Więc co zrobimy?

— Poczekamy. Tak jak mi powiedział Phil Murray. Może kiedy to wszystko się skończy, będzie lepiej.

— A co się stanie, jeśli nie mógłbyś czekać, tak jak on chce, i zdecydował się wyjechać? — spytała.

— Coś ci obiecuję. Jeśli zdecyduję się wyjechać, zabiorę cię z sobą.

Zobaczył w jej oczach łzy i przytulił ją do siebie. — Nie bądź niemądra — powiedział i pocałował ją w policzek.

— Nie jestem niemądra — szepnęła przez łzy. — Jestem po prostu szczęśliwa.

Podniosła na niego wzrok. — Kochasz mnie, prawda? Uśmiechnął się, żartując. — To zbyt osobista sprawa.

— Chociaż troszkę? — spytała cichutko.

— Nie chociaż trochę — roześmiał się, całując ją w usta. — Bardzo.

Spojrzał na stojący na biurku kalendarz. Piątek, 28 maja 1937. Ostatnie dwa tygodnie ciągnęły się w nieskończoność. Czekał na telefon, ale się nie doczekał. Pomimo obietnicy Murraya, McDonald nie zadzwonił. Tymczasem w biurze wyczuwał rosnące,

kłębiące się wokół niego podniecenie. Wiedział, że przygotowywano plany na Memorial Day, ale nikt się do niego nie odezwał, ani nie włączył go do rozmów o nich. O postępkach strajku więcej dowiadywał się z gazet niż w biurze. Spojrzał na zegarek. Minęła już wpół do szóstej.

Otworzył drzwi i wyrzwał. Wielkie zewnętrzne biuro było już puste. Zamknął drzwi i wrócił do biurka. Sięgnął po telefon i zadzwonił do Phila Murraya w Waszyngtonie. Dowiedział się, że pan Murray pojechał do Pittsburgha i do poniedziałku nie będzie go w biurze. Spróbował złapać Murraya w domu w Pittsburghu, ale nikt nie odpowiadał. Wyciągnął z biurka butelkę whisky. Była prawie pusta. Podniósł ją do ust i opróżnił do końca. Nie było nawet tyle, żeby wyciągać szklanekę. Znowu spojrzął na kalendarz. Murray prosił go, żeby zaczekał do końca miesiąca. A to był właśnie koniec miesiąca. Przyszło mu coś do głowy.

Trzydziestego pierwszego było w poniedziałek. Czy możliwe więc, że trzymali go tu, bezpiecznie na uboczu, aż odbędzie się demonstracja w niedzielę? Że to, co Girdler powiedział Chris, było prawdą? Bali się, że może narobić im dodatkowych kłopotów?

Zastanowił się, co się stanie w poniedziałek. Czy zadzwoni Murray i powie, że przykro mu, ale nie mógł nic załatwić? A może będą uważali, że jest na tyle bezpieczny, że można dać mu prawdziwą pracę? Obojętnie, co się stanie, teraz nie miało to znaczenia. Rozpostarł dłonie na blacie biurka i przyjrzał się im. W nim samym coś się zmieniło, ale nie było tego widać po rękach. Ciągłe były takie same. Wielkie, kwadratowe ręce robotnika, a nie ręce człowieka mogącego myśleć i czuć. I nimi właśnie zawsze były. Rękami robotnika. Poruszonymi i kierowanymi przez czyjś mózg, myśli i życzenia.

Wzrastała w nim dławiąca fala gniewu. Zacisnął pięści i uderzył nimi w biurko. Poczuł ostry ból w rękach. Podniósł pięści do twarzy i przyjrzał się im. Kostki były zbielełe, a z rozciętej skóry sączyła się krew. Powoli rozwarł pięści. Obojętnie, co według własnego wyobrażenia w nich trzymał, teraz musiał to już wypuścić.

Czas, żeby odszedł, żeby przeniósł się, żeby odkrył, co się dzieje w jego własnej głowie. Zaczął wysuwać szufladę, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

— Panie Huggins. — To był dziewczęcy głos.

Podszedł do drzwi i otworzył je. Stała tam Nancy z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

— Tak? — burknął.

— Wróciłam, żeby zabrać coś ze swojego biurka — powiedziała szybko. — I nagle usłyszałam huk w pana biurze.

Dobrze się pan czuje?

Wolno pokiwał głową. — Dobrze.

Wyraźnie jej ulżyło. — Więc pójdę. Przepraszam, że panu przeszkodziłam.

— Nic nie szkodzi, Nancy. Dziękuję ci, że się zainteresowałaś. Odwróciła się, żeby odejść. Zatrzymał ją. — Nancy.

Odwróciła się z powrotem. — Tak, panie Huggins.

— Miałabyś czas napisać mi list na maszynie?

— Czy to zajmie dużo czasu? Wieczorem jestem umówiona i muszę jechać do domu się przebrać.

— To nie trwałoby długo. A dla mnie to bardzo ważne.

— Dobrze. Za chwilę, tylko wezmę notes.

On w tym czasie wrócił do własnego biurka i zaczął opróżniać szuflady.

20

Było tuż po lunchu, kiedy przyjechała do apartamentu. Weszła do sypialni i zobaczyła go schyłego nad otwartą walizką. — Pomóc ci?

Potrząsnął głową. — Prawie skończyłem. Nie było tego dużo.

Opróżnił ostatnią szufladę biurka i z trzaskiem zamknął walizkę. — To wszystko.

Odsunęła się na bok, a on zaniósł walizkę do salonu i postawił ją obok drugiej koło drzwi wyjściowych. — Moje torby są w samochodzie — powiedziała.

Wyprostował się. Pociąg odjeżdżał dopiero o szóstej. — Mam pół butelki whisky. Nie ma sensu tego zostawiać.

Pokiwała głową, a on wyjął butelkę i dwie szklanki. Dał jej jedną i wyciągnął w jej stronę butelkę.

— Tylko troszeczkę — powiedziała.

Wlał trochę whisky do jej szklanki i napenił swoją. — Za pomyślność.

Upiła łyk i wykrzywiła twarz. — Jak możesz pić to świństwo? To okropnie smakuje.

Roześmiał się. — Lepiej się do tego przyzwyczajaj. To trunek dla biednych. Te wytrawne martini kosztują dwa razy tyle.

Milczała.

Spojrzał na nią. — Jesteś pewna, że chcesz jechać? Dla ciebie to będzie zupełnie inne życie. Możesz się jeszcze rozmyślić. Zrozumiem.

Uśmiechnęła się. — Nie zamierzam wypuścić cię tak łatwo. Znowu upiła łyk. — Ta whisky naprawdę nie jest taka zła. Roześmiał się.

— Czy rozmawiałeś z panią Torgensen? — spytała.

— Tak- Już się przeniosła do sypialni dziecka, tak że drugą sypialnię możemy mieć dla siebie. Była bardzo zadowolona, że przyjeżdżasz ze mną. Bardzo cię lubi.

— Zna mnie bardzo długo — powiedziała. — Co z dzieckiem? W jego głosie zabrzmiała nuta dumy. — Mówi, że po prostu

świetnie. Jest coraz większy. Przytył prawie funt i nie ma z nim żadnych kłopotów. Przesypia całą noc.

— Chciałbyś go już zobaczyć?

Spojrzał na nią, potem kiwnął głową. — Tak. To śmieszne, ale nigdy nie myślałem o sobie jako o ojcu. Ale kiedy go trzymałem i spoglądałem na niego, zdałem sobie sprawę, że po części jestem jego stwórcą, i poczułem, że będę żył wiecznie.

Wyciągnęła szklankę w jego kierunku. — Napiję się jeszcze troszeczkę.

Zalał dno jej szklanki. — Jak jest na zewnątrz?

— Słonecznie i ciepło.

— To dobrze — rzekł. — Przynajmniej strajkujący mają szczęście. Nie jest łatwo wyglądać na pewnego siebie, kiedy deszcz zacina ci w twarz. Dziewczyna, która napisała mi list, powiedziała, że jej szef był bardzo zadowolony. Kronika filmowa wytwórni Paramount przyjeżdża robić relację z demonstracji w południowym Chicago. W przyszły wtorek puszczą to w sześciu tysiącach kin.

— Cieszę się, że nie będziesz z nimi. Dziś rano przy śniadaniu słyszałam, jak wuj Tom rozmawiał przez telefon. Rozmawiał z kimś z głównej komendy policji południowego Chicago. Mówił, że spodziewają się kłopotów w fabryce i prosił o stu pięćdziesięciu policjantów do ochrony. Kiedy wrócił do stołu, uśmiechał się i powiedział ciotce, że jeśli komuniści szukają guza, to oberwą mocniej niż się spodziewają.

Przyglądał się jej. — Ma prawie stu ludzi przy bramach. Po co mu gliniarze na zewnątrz?

— Nie wiem — odparła. — Byłam zbyt zajęta kombinowaniem, jak wynieść się z bagażami ^ domu tak, żeby się nie zorientowali.

— Rozczaruje się — powiedział Daniel. — Spotkanie odbędzie się w hali parę ulic dalej. Nawet nie zamierzają zbliżyć się do fabryki.

Nie odpowiedziała.

Przez głowę przemknęła mu myśl. — Twój wuj Tom wydawał się pewny, że zamierzają pojawić się koło fabryki? Skinęła głową.

Wypił whisky. — Lepiej tam pojedę, żeby upewnić się, że się nie zbliżą do huty.

— Danielu, to już nie twoja sprawa. Wycofałeś się, pamiętasz?

— Pamiętam Pittsburgh w 1919 roku — rzekł. — Wielu ludzi zostało rannych, bo nie było nikogo, kto umiałby przemówić im do rozumu.

— Teraz jest rok 1937 — powiedziała. — I to nie jest już twoja wojna.

— Może nie jest. Ale wielu z tych ludzi, którzy będą tam dzisiaj, wciągnąłem do związku i nie chcę mieć na sumieniu tego, że zranią choć jednego z nich.

Nie odpowiedziała.

— Daj mi kluczyki do samochodu — powiedział.

— Danielu, daj sobie spokój. Mamy zacząć nowe życie. Tak mi wczoraj powiedziałeś.

— Chris. Nie ma mowy, żebym mógł zacząć nowe życie, przekraczając zwłoki moich przyjaciół. Nie mogę, jeśli mam możliwość temu zapobiec. Daj mi kluczyki.

— Pojadę z tobą.

— Nie. Poczekasz tu na mnie.

— Powiedziałeś, że gdziekolwiek byś pojechał, zabierzesz mnie z sobą — powiedziała stanowczym głosem. — To zaczyna się teraz.

Ulice przed Sam's Place były zatłoczone samochodami i ludźmi, więc nie było miejsca, gdzie Daniel mógłby zaparkować auto. Zatrzymał się na środku ulicy i wysiadł. — Zaparkuj samochód na następnej przecznicy i poczekaj na mnie.

Twarz Chris była blada. Skinęła głową.

Daniel odwrócił się i torował sobie drogę w kierunku hali. Zrobiło się nadspodziewanie gorąco i tłum przelewający się przez ulicę wyglądał raczej na grupę ludzi na rodzinnej wycieczce niż na poważną grupę strajkujących. Wielu ludzi przyprowadziło z sobą na spotkanie rodziny i kobiety z dziećmi krążyły w tłumie mężczyzn, ubranych w same koszule bez marynarek.

Daniel przepchał się przez tłum do hali. Była solidnie nabita ludźmi. Na małym podwyższeniu w jej przeciwległym końcu siedziało kilku mężczyzn, a jeden stał przy mównicy.

— Jest tylko jeden sposób, żeby pokazać glinom, że nas nie zastraszą, że to nie Girdler stanowi prawo. Muszą zobaczyć, że my, ludzie strajkujący, jesteśmy wystarczająco mocni i odważni, żeby spojrzeć im w oczy i napluć w twarz.

W tłumie rozległ się pomruk aprobaty.

Mówca spojrział na kartkę papieru, którą trzymał w dłoni.

— Uchwalamy, że my, członkowie Steelworkers Union, Okręg, potępiamy samowolne i gnębicielskie postępowanie policji Chicago, usiłującej zastraszyć robotników i odwieść ich od korzystania z konstytucyjnego prawa do wolności słowa i od strajku o lepsze życie Amerykanów. Wszyscy, którzy są, za mówią: Tak.

Rozległ się ogłuszający chór „Tak”.

— Pokażmy im teraz! — krzyknął ktoś z tłumu.

— Tak! — krzyknął ktoś inny. — Pokażmy im, jak wygląda prawdziwa pikietka. Nie dziesięciu ludzi, ale tysiąc.

Daniel dopchał się do podwyższenia właśnie w chwili, gdy sala rozbrzmiała krzykami aprobaty dla tej propozycji.

Zepchnął mówcę z mównicy. — Poczekajcie! — krzyknął do tłumu. — Czekajcie.

Na sali ciągle panowała wrzawa. Mówca obrócił się do Daniela. — Zjeżdżaj stąd, Huggins. Nie chcemy cię tutaj. — Jego głos docierał tylko do Daniela.

— To ty jesteś Davis — rzekł Daniel. — Więc masz mnie słuchać. Dowiedziałem się, że mają tam stu pięćdziesięciu gliniarzy tylko czekających, żeby coś się stało. Utrzymaj ludzi tutaj. Jeśli wyjdą przed fabrykę, wielu z nich zostanie rannych. Nie tylko mężczyźni, ale także kobiety i dzieci.

— Robotnicy mają prawo do wyrażania swoich poglądów — rzekł Davis.

— Ale ich przywódcy są odpowiedzialni za to, żeby im się nic nie przydarzyło. W 1919 roku widziałem, co się stało, kiedy przywódcy zrzekli się tej odpowiedzialności. To samo może stać się tutaj.

— Nie — powiedział Davis. — Jest nas zbyt wielu. Poza tym gliny nie ośmielią się niczego próbować przed kamerami kroniki. Dlatego właśnie zaplanowaliśmy ich tam poprowadzić.

— Kamery nie powstrzymają kul — powiedział Daniel i odwrócił się do tłumu. — Bracia! — krzyknął. — Znacnie mnie. Wielu z was wprowadziłem do tego związku. Bardziej niż kto inny chcę, żeby ten strajk zwyciężył. Ale nie wygramy poprzez demonstrację przed chicagowską policją. Wygramy, gdy zatrzymamy produkcję w fabryce, gdy nakłonimy resztę robotników, żeby dołączyli do nas. Skierujmy nasze wysiłki w tę stronę, żeby wszelkimi sposobami przekonać naszych braci, że nasza walka jest ich walką. To ta sala jest miejscem, gdzie walka zostanie wygrana. Nie tam, na ulicy przed fabryką.

Ktoś z tłumu krzyknął złośliwie: — Znamy cię, Big Dan. Wiemy, jak sprzedałeś nas za kawałek dupy tej Girdler. Wiemy, że nie chciałeś, żebyśmy strajkowali.

— To nieprawda! — krzyknął Daniel.

— Jeśli to nie jest prawda — krzyknął ktoś inny — to przyłącz się do nas i nie walcz przeciwko nam.

Daniel rozejrzał się po nagle uciszzonej sali. — Przyłączę się do was. Ale pójdą tylko mężczyźni. Dopilnujcie, żeby wasze kobiety i dzieci nie poszły za nami.

W tłumie rozległy się krzyki. Dwóch młodzieńców wskoczyło na podwyższenie, podnieśli flagi amerykańskie, odwrócili się i ruszyli do wyjścia.

Daniel spojrzął na Davisa. — Musisz mi pomóc, chłopie. Spróbujemy zatrzymać ich przynajmniej przecnicę przed fabryką.

Nie czekał na odpowiedź, tylko zeskoczył z podwyższenia i ruszył przejściem między dwoma młodzieńcami niosącymi flagi.

Na zewnątrz mocno grzało słońce. Daniel zerwał z siebie marynarkę i przerzucił ją przez ramię.

— Przez pole! — krzyknął któryś. — Ulice są zablokowane przez policję.

Wolno, wytrwale zaczęli iść w kierunku fabryki, do której była jakaś mila przez otwarte pole. Daniel odwrócił się i spojrzął za siebie. Mężczyźni rozlewali się za nimi nie zorganizowaną, bezkształtną ławą. Pomimo ostrzeżenia Daniela, dołączyły do nich kobiety i dzieci. W tłumie panował nastrój niemal dziecięcej wesołości, zupełnie jak wśród ludzi idących na piknik szkółki niedzielnej, a nie w linii pikiety.

— Zabierzcie kobiety i dzieci! — krzyknął do nich, ale jego głos zginął we wrzawie. Ktoś go pociągnął za ramię. Odwrócił się.

— Big Dan, wiedziałem, że się pojawisz. — Obok niego stał Sandy z Davisem.

Daniel nie odpowiedział. Spojrzął na Davisa. — Popatrz tam. Czekają na nas armia glin. Teraz mi wierzysz?

Davis przyjrzał się. — Widzę ich. Ale nic nie zrobią. Samochód kroniki stoi tuż za nimi. Musimy dojść do nich na tyle blisko, żeby mogli sfilmować, jak wielki stanowią tłum.

— Co jest ważniejsze? Ludzkie życie czy kronika?

— Kronika rozgłosi nasze posłanie po całym kraju — rzekł Davis.

Daniel spojrzął na niego. To było bezcelowe. Nie miało sensu. Szli jak jagnięta na rzeź. — Przecnicę przed fabryką — powiedział zmęczonym głosem. — Postaraj się zatrzymać ich przecnicę wcześniej. \

Ale nie było można ich zatrzymać. Tłum za nimi naciskał i pchał ich do przodu. Daniel zobaczył, że policjanci zaczęli wyciągać rewolwery i pałki. Przez moment w myśli mignął mu obraz: Niemcy czekający tuż za strefą neutralną.

Byli w połowie ostatniej części otwartej przestrzeni, jakieś dwieście stóp od policji, kiedy Daniel odwrócił się do nich plecami i podniósł ręce, żeby zatrzymać tłum.

— Uwaga! — krzyknął. — Tutaj utwórzcie pikietę. Nieoczekiwanie poparł go jakiś głos.

— Tak! — krzyknął Davis. — Utwórzcie linię tutaj. Jedna flaga na prawo, druga na lewo, i ustawcie się za nimi.

Tłum zakłębił się niepewnie, nie wiedząc, co robić. Daniel pchnął jednego z niosących flagi. — Idź, chłopie!

Ten zaczął się przesuwać. — Właśnie tak. Idźcie za nim! — Daniel krzyknął do tłumu.

— Idźcie za nim! — krzyknął również Davis. Daniel spojrzął na niego. — Dzięki.

— Nie dziękuj mi — powiedział ponuro Davis. — Mam pietra.

— Przy odrobinie szczęścia może się nam powieść — odparł Daniel.

Ale szczęście nie miało im sprzyjać. Usłyszał huk kilku pierwszych wystrzałów. Potem młot kowalski trafił go w plecy i upadł do przodu na ziemię. Próbował podnieść się na rękach, ale nogi nie mogły go utrzymać. Słyszał kobiety i mężczyzn krzyczących w panice. Nagle wokół niego zaroilo się od umundurowanych na niebiesko policjantów, tłukących pałkami gdzie popadnie. Widział, jak Davis i Sandy padają pod gradem ciosów ludzi w mundurach, bijących ich jeszcze długo po tym, jak leżeli rozciągnięci nieruchomo na ziemi.

Poczuł łzy napływające mu do oczu. — Och, kurwa! — krzyknął, czując większy ból w duszy niż w ciele. — Kurwa, kurwa, kurwa!

Potem ramiona odmówiły mu posłuszeństwa i ogarnęły go ciemności.

TERAZ

Może dlatego, że była to niedziela, a może dlatego, że pora obiadowa. A może dlatego, że nałożone wiosną przez Arabów embargo na ropę naftową odcisnęło swoje piętno na psychice zmotoryzowanych Amerykanów. W każdym razie siedziałem na niskim kamiennym murku już prawie godzinę i nie przejechał żaden samochód.

Pamiętam oburzenie ojca, kiedy przed stacjami benzynowymi tworzyły się kolejki i zaczęto zamykać fabryki, pozbawiając pracy, przynajmniej na jakiś czas, tysiące robotników. Miał konferencję prasową, na której przeklinał wszystkich. Prezydenta, kongres, kompanie naftowe. — Znowu ta sama historia — grzmiał. — Oni wszyscy zmówili się, żeby podnieść ceny i wyczyścić kieszenie amerykańskich robotników, którzy wypracowali tym samym nafciarzom zyski, których teraz im się odmawia. Daliśmy Arabom możliwość wydobywania ich zasobów naturalnych na nasz koszt i koszt amerykańskiego robotnika, ponieważ powiedziano nam, że tak będzie taniej. Teraz przekonujemy się, jakie to naprawdę tanie. Kosztem jest szantaż i zdzierstwo. A jest tylko jeden sposób traktowania szantażystów i zdzierców. Trzeba ich zniszczyć. Mamy ku temu jak najbardziej słuszne i prawnie uzasadnione powody. Nasze bezpieczeństwo narodowe, życie nas samych jest zagrożone. Wyślijcie tam piechotę morską.

Oskarżony przez wiele gazet i komentatorów o staroświecki szowinizm i podżeganie do wojny, o zajmowanie stanowiska prosyjonistycznego i antyarabskiego, odpowiedział pogardliwie: — Nie po to walczyliśmy w dwóch wielkich wojnach, żeby świat uczynić bezpiecznym dla Arabów, a koncerty naftowe mogły bogacić się naszym kosztem. Historia naszego kraju to powstania i walka o jego prawa. Jeśli nie zrobimy tego teraz, może minąć pięć lat i przekonamy się, że oddaliśmy się, a być może całą cywilizację zachodnią, w ręce Kaina.

To nie było tak dawno temu, ale teraz były to wieki. Przynajmniej dla mego ojca. Odszedł i więcej nikt już nie słyszał jego głosu. Może poza mną. Zastanawiałem się, jak długo mi to zajmie, zanim przestanę go słyszeć.

— *Kiedy mnie poznasz, Jonathanie.*

— *Znam cię, ojcie. Zawsze cię znałem.*

Powiedział cicho: — Tak ci się tylko zdawało. Ale teraz zaczniesz poznawać.

— *Co poznawać?*

— *Skąd pochodzę. Kim jestem.*

— *Kim byłeś — powiedziałem zjadliwie. Zachichotał. — To zależy od punktu widzenia.*

— *Nic się nie zmieniło. Jesteś ciągle taki, jakim wydawało mi się, że jesteś.*

— *Nigdy nie twierdziłem, że jestem kimś innym. I nigdy nie będę, obojętnie co o mnie myślisz. Ty też nigdy nie będziesz, bez względu na swoje wyobrażenie o tym, kim jesteś.*

— *Zbieram się do domu, ojcie. Zaczynam być zmęczony wysiadywaniem na murkach, słupkach płotów i wystawianiem na poboczach dróg. Nie odkrywam niczego nowego.*

— *Jesteś sam, ale bądź cierpliwy. Podróż wkrótce się skończy. Wtedy pojedziesz do domu i poukładasz razem wszystko, czego się nauczyłeś.*

— *Nie wiem, czego miałem się nauczyć.*

— *Miłości, synu. I tego, że tylko głupiec ją odtrąca.*

— *Ojcie, jestem już zmęczony tymi bzdurami. Jadę prosto do domu.*

— Nie — powiedział ostrym, zdecydowanym głosem. — Obserwuj drogę i powiedz, dlaczego przez tę ostatnią godzinę nie przejeżdżały żadne samochody i dlaczego właśnie teraz siedziałeś? Właśnie na tym murku.

Miłą ode mnie jakiś samochód wjechał na grzbiet wzgórza i szybko zbliżał się w moją stronę. Widziałem, jak słońce błyska wesoło na jego srebrnej chłodnicy. Przeleciał obok mnie; biały kabriolet Rolls Corniche z opuszczonym dachem. Prowadziła go dziewczyna o słonecznie jasnych włosach, powiewających za nią na wietrze. Zobaczyłem, że kilkaset jardów dalej zapalają się światła stopu, potem, kiedy samochód zatrzymał się, białe światła cofania, i Rolls tyłem ruszył w moją stronę.

Zjechał na pobocze i zatrzymał się przede mną. Dziewczyna w samochodzie i ja siedzieliśmy dalej, przyglądając się sobie. Nie odzywaliśmy się, tylko się sobie przyglądaliśmy.

Była piękna. Opalona na brąz; niemal białe włosy, nie targane już wiatrem, opadały poniżej ramion. Miała wydatne kości policzkowe, szerokie usta i wyraźnie zarysowany podbródek. Ale o całym jej uroku świadczyły oczy — jasnoszare z cętkami błękitu. Widziałem je przedtem tysiąc razy, ale nie wiedziałem gdzie.

W końcu uśmiechnęła się; białe zęby i zmarszczki w kącikach oczu uczyniły je bardziej błękitnymi. Odezwała się głosem łagodnym i niskim, ale jasnym i wyraźnym.

— Humpty Dumpty na murze siadł.

— Humpty Dumpty z wysoka spadł — odpowiedziałem.

— I żaden z królewskich koni...

— Ani żaden z królewskich żołnierzy... Dokończyliśmy razem. — Nie mógł go ponownie złożyć jak należy. Roześmialiśmy się.

— Czy jesteś Humpty Dumpty? — spytała.

— Nie wiem — odparłem. — A myślisz, że jestem?

— Mógłbyś być — powiedziała poważnie.

— Nie. To tylko dziecinny wierszyk.

— To dlaczego siedzisz tak na tym murku?

— Nie wiedziałem, zanim się nie pojawiłaś. Teraz wiem. Czeka-

lem na ciebie. Już prawie zrezygnowałem, ale kazano mi czekać dalej.

Rozejrzała się szybko dokoła. — Kto ci kazał? Nikogo nie widzę.

— Przyjaciel. Ale już sobie poszedł.

Jej oczy znowu spoczęły na mnie. — Wydawało mi się, że wołałeś za mną. Dlatego się zatrzymałam. Nie odezwałem się.

— Naprawdę słyszałam, że ktoś mnie woła — powiedziała. Zszedłem z muru. — Ja cię wołałem, księżniczko.

Podniosłem swój plecak, wrzuciłem go na tylne siedzenie samochodu, potem wsiadłem obok niej.

— Księżniczko — powtórzyła zamyślona. — Tylko matka mnie tak zawsze nazywała. Na imię mam...

Przerwałem jej. — Nie mów mi, księżniczko. Nie chcę wiedzieć.

— A jak mam ciebie nazywać? Humpty Dumpty?

— Jonathan.

Skinęła głową. — Podoba mi się. Pasuje do ciebie. Wrzuciła bieg i samochód cicho, bez wysiłku wjechał na szosę.

Zanim się obejrzałem, jechaliśmy sześćdziesiąt mil na godzinę. Zabieram cię do domu.

— Dobrze.

Zerknęła na mnie. — Ile masz lat?

— Osiemnaście — odpowiedziałem. Za bardzo nie mijałem się z prawdą. Zaledwie o dwa miesiące.

— Wyglądasz na więcej.

Nie odpowiedziałem, a ona sięgnęła do pojemnika pomiędzy fotelami i wyciągnęła złote pudełko z papierosami.

Otworzyła je machnięciem ręki. — Zapal mi jednego.

Cienkie skręty marihuany; zwinięte w automacie, czekoladowo-brązowy papier, złote ustniki. Wywarło to na mnie wrażenie. Zapaliłem skręta. To był naprawdę dobry towar, kto wie, czy nie najlepszy, jaki kiedykolwiek paliłem.

Zaciągnąłem się dwa razy i już mnie wzięło. Oddałem jej skręta. Wsadziła go w kącik ust i pozwoliła mu tam zwisać.

Dwie sekundy później, kiedy spojrzałem na szybkościomierz, jechaliśmy już osiemdziesiąt pięć na godzinę.

Przechyliłem się i wyciągnąłem papierosa z jej ust.

— Dlaczego to zrobiłeś? — spytała.

Wskazałem na szybkościomierz. — Mówiłaś, że zabierasz mnie do domu. Po prostu chcę być pewny, że tam dojedziemy. Zwolniła do sześćdziesięciu. — Dam sobie radę.

— Na pewno — powiedziałem, gasząc skręta. — Ale z natury jestem ostrożny.

Milczała. Krótco potem skręciła na zjazd do West Palm Beach i z wyłączonym silnikiem zjechała przed budkę, gdzie pobierano opłaty. Wydawało się, że zna ją cała obsługa.

— Mamy przyjemny dzień, pani Ross. Jak się sprawuje nowe auto?

— Dziękuję, dobrze — powiedziała.

— Patrol drogowy złapał panią na radar przy dziewięćdziesiąt-ce, ale naprawdę jechała pani bardzo szybko.

Powiedzieliśmy im, żeby to skasowali.

— Dziękuję, Tom — powiedziała, wyciągając do niego rękę. Tym razem trzymała w niej dwadzieścia dolarów.

— Niech pani nie kusi losu, pani Ross — powiedział grzecznie. — Nigdy nie wiadomo, kiedy na służbie może być ktoś, kto pani nie zna.

— Będę o tym pamiętać — obiecała, uruchamiając samochód. Ruszyliśmy dalej zjazdem i wjechaliśmy na autostradę. Dziesięć minut później przejechaliśmy przez mostek nad rzeką i pojechaliśmy dalej wąską prywatną ulicą. Nacisnęła guzik w osłonie przeciwsłonecznej i wrota elektrycznej bramy otworzyły się przed nami, a my wjechaliśmy na podjazd. Zamknęły się, zanim zatrzymaliśmy się przed domem.

Odwróciła się do mnie. — Jesteśmy w domu.

— To dobrze. — Wysiadłem z samochodu, obszedłem go i otworzyłem jej drzwi.

— Będziesz musiał sam zanieść swój bagaż — rzekła. — Jest sierpień i cała służba, poza ogrodnikiem, jest na wakacjach.

— Dam sobie radę. — Wyciągnąłem plecak z samochodu i podążyłem za nią do domu. Poprowadziła mnie przez hol i otworzyła jakieś drzwi. Wszedłem za nią do pokoju.

— To twój pokój — powiedziała. — Tamte drzwi są do łazienki. Drzwi obok okna prowadzą bezpośrednio na zewnątrz, na basen lub plażę, zależy, co wolisz. Szafki są na ścianie po lewej.

Były jeszcze jedne drzwi, o których nic nie powiedziała.

— A te?

— To drzwi do mojego pokoju — powiedziała. — Ten pokój zajmował mój były mąż. Czy chcesz jeszcze coś wiedzieć?

Spoglądałem na nią przez chwilę. — Gdzie jest pralka? Muszę przeprać parę rzeczy.

Przewróciłem się w łóżku i otworzyłem oczy. Słońce już zniknęło i pokój utonął w mroku. Wolno poruszyłem się, czując wspaniały dotyk pościeli. Już bardzo dawno nie spałem w łóżku. Aż dotąd nie zdawałem sobie sprawy, jakie to będzie przyjemne.

Usiadłem na łóżku. Wszystkie swoje rzeczy wrzuciłem wcześniej do pralki. Miałem jeszcze czas na włożenie ich do suszarki, żebym wieczorem mógł się w coś ubrać zamiast szortów, które sobie zostawiłem. Wyszedłem z łóżka i włożyłem jeansowe szorty. Ze zdziwieniem zauważyłem na kanapie pod ścianą moje rzeczy, wszystkie starannie wyprasowane i złożone.

Rzeczywiście musiałem spać jak zabity, bo w ogóle nie słyszałem, jak wchodziła do pokoju. Dotknąłem ubrania. To nie mogło być dawno temu, bo było jeszcze ciepłe. Potarłem policzek. Ogolić się, kolejny prysznic i znowu będę mógł czuć się jak człowiek. Prysznic, który wziąłem tuż przed pójściem do łóżka, był tylko po to, żebym się domył. Stałem pod prysznicem, rozkoszując się gorącą wodą. Para pokryła szklane drzwi kabiny. Kiedy wyszedłem, w powietrzu unosił się słaby zapach marihuany, a w zasięgu ręki wisiał wielki ręcznik kąpielowy. Zdjąłem go, zacząłem się wycierać i poszedłem z powrotem do sypialni. Jej drzwi były ciągle zamknięte. Podeszedłem do okna i wyjrzałem na frontowy podjazd. Samochodu nie było. Skończyłem się ubierać i zapukałem do jej drzwi.

Nie było odpowiedzi. Znowu zapukałem. Dalej cisza. Otworzyłem drzwi i wszedłem do środka. Pokój był pusty. Wróciłem do swojego pokoju, potem wyszedłem na korytarz. Przeszedłem cały dom, ale nigdzie jej nie znalazłem. Wyjąłem puszkę piwa z lodówki, otworzyłem ją i przez salon wyszedłem na werandę. Rozsiadłem się w fotelu i obserwowałem ocean. Na horyzoncie wolno kierował się na południe frachtowiec; podczas gdy go obserwowałem, zapadła noc i zniknął mi z oczu.

Z wolna zaczęły wschodzić gwiazdy i wkrótce niebo wyglądało jak granatowy aksamit obsypany diamentami. Wszystko do siebie pasowało. Rolls Corniche, ten dom, teraz to niebo pokryte diamentami. Bogactwo do bogactwa.

Z tyłu dobiegł mnie jej głos: — Jesteś głodny?

Wstałem i odwróciłem się. Miała wielką białą torbę z nadrukowaną uśmiechniętą twarzą pułkownika po obu stronach.

— Mam żeberka, kurczaka, sałatę i frytki — powiedziała. — Nigdy nie lubiłam gotować.

— Nie narzekam — stwierdziłem, sięgając po torby. — Pomogę ci. Jedzenia było cztery razy więcej, niż moglibyśmy zjeść. Na

koniec odsunąłem się od stołu. — Jak nie przestanę jeść, to pękne.

Roześmiała się. Ona wcale dużo nie zjadła. Może żeberko i kawałek kurczaka. Nie więcej. — Resztę włożymy do lodówki. Może później będziesz miał na coś ochotę.

Wstawiliśmy naczynia do zmywarki, a ona naląła sobie kieliszek czerwonego wina. Ja wziąłem następne piwo i wyszliśmy znowu na werandę. Usiadła w fotelu obok mnie. Nie wiadomo, skąd pojawiła się złota kasetka z papierosami. Patrzyłem, jak zapala czekoladowy pręcik.

— Dużo tego bierzesz? — spytałem.

— To lepsze niż valium.

Podążyła mi go. Zaciągnąłem się kilka razy. To było nawet lepsze niż wtedy. Rozjaśniało umysł, dawało poczucie lekkości i świetnie nastrajało. — Nie mogę się z tym nie zgodzić. Ale po co?

Nie spojrzała na mnie. — Łagodzi ból samotności.

Jeszcze raz mocno się zaciągnąłem i oddałem jej skręta.

— Dlaczego miałabyś być samotna? Masz chyba wszystko.

— No pewnie — powiedziała. Znowu zaciągnęła się czekoladowym skrętem. — Biedna mała bogata dziewczynka.

— Nie to miałem na myśli — powiedziałem szybko. — Jesteś piękna. Nie musisz być sama.

Powiedziała gorzko: — Nie mam zwyczaju podrywania młodych chłopców na Sunshine State Parkway.

— Hej, spokojnie. Coś ci się pokręciło. To ja cię zawołałem, pamiętasz?

— Byłam naćpana — powiedziała. — Wszystko to mi się zdawało, a trafiłam akurat na ciebie.

— Księżniczko.

Z jej głosu sączyła się złość. — Nie nazywaj mnie tak! Mam na imię...

Przechyliłem się w jej stronę. Jedną ręką wyjąłem z jej palców czekoladowego skreta; a drugą przytrzymałem jej głowę i pocałowałem ją. Z początku jej wargi były twarde, potem stały się miękkie, ciepłe, a kiedy oderwałem się od nich, drżały. W jej oczach dostrzegłem błękitne cienie.

— Christina, masz oczy jak twoja matka — powiedziałem. Mogłem usłyszeć zaskoczenie w jej głosie. — Jeśli cały czas

znałeś moje imię, dlaczego nazywałaś mnie księżniczką?

Ja wypowiedziałem te słowa, ale to mówił mój ojciec. — Gdybyś była moją córką, tak bym cię nazywał.

Przestraszona ścisnęła palcami moją rękę. — Jonathanie, o co w tym wszystkim chodzi? Albo wariuję, albo w tym narkotyku jest coś, co powoduje halucynacje.

Złożyłem jej ręce razem i podniosłem do ust.

— Nie bój się — powiedziałem. — Po prostu prowadzimy dogrywkę.

— Dogrywkę?

— Kończymy coś, czego nie dokończyli nasi rodzice. Podniosłem się i pociągnąłem ją za sobą. — Czy w bibliotece ciągle są albumy twojej matki?

Skinęła głową. — Na najwyższej półce w rogu.

Było tam pięć albumów. Ciężkie, oprawione w skórę, jeden na drugim. Zdjąłem je wszystkie i położyłem na biurku. Ale otworzyłem tylko drugi i od razu otworzyłem na stronie, której szukałem.

— Proszę bardzo — powiedziałem, wskazując na fotografię. Patrzyła na zrobione z półprofilu zdjęcie uśmiechających się do

siebie młodej kobiety i młodego mężczyzny. W jej głosie pojawiła się nuta zdziwienia. — To moglibyśmy być ty i ja.

— Moglibyśmy, ale tak nie jest — powiedziałem. — To twoja matka i mój ojciec — zacząłem odwracać kartki. — Tu jest więcej fotografii.

Nagle wpadła w złość. — Nie chcę nic więcej widzieć. — Wybiegła z pokoju, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Ostrożnie zamknąłem księgę i poszedłem za nią. Znalazłem ją łkającą na łóżku w swoim pokoju. Stanąłem tam na chwilę.

- Przepraszam — powiedziałem. — Chyba lepiej będzie, jeżeli wyjadę.

Odwróciła się i siadła na łóżku. — Nie.

— Nie przyszedłem tu, żeby cię niepokoić.

— Wiem. Jestem zaniepokojona sobą. Jestem od ciebie o dziesięć lat starsza. Powinnam dać sobie radę z własnymi uczuciami.

Nie odzywałem się.

— Danielu — powiedziała. I kiedy zająrzałem w znajomą głębię jej oczu, wiedziałem, że to nie ona mówiła, tylko jej matka. — Ciagle cię kocham i pragnę.

Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby nie dać się wciągnąć w wir jej oczu. Pochyliłem się nad łóżkiem i delikatnie pocałowałem ją w czoło. — Postaraj się trochę przespać.

— Nie chcę spać — powiedziała. — Mam ci tyle do powiedzenia.

Pociągnęła mnie obok siebie na łóżko. — Byłeś pełen gniewu. Nigdy nie znałam człowieka tak przepelnionego gniewem jak ty. Dlatego cię zostawiłam.

Pchnąłem ją powoli w tył na poduszki. — Nie zostawiłaś mnie — odparłem spokojnie. — Nigdy mnie nie opuściłaś. Jej ręka odszukała moją i mocno ją ścisnęła. Jej głos przeszedł w szept. — Tak, w pewnym sensie to prawda. Nigdy cię nie opuściłam.

Potem zasnęła.

Odczekałem dłuższą chwilę, potem po cichu, żeby jej nie obudzić, wróciłem do swojego pokoju i zacząłem pakować plecak.

— *Jonathanie.*

— *Nie zwracaj nti głowy. Idź już, ojcie. Przecież nie żyjesz.*

— *Me zwracam ci głowy. Potrzebuję cię.*

— *Dla ciebie to już skończone, ojcie. Teraz już niczego i nikogo nie potrzebujesz.*

— *Kocham ją, Jonathanie.*

— *Wszystko ci się pokręciło, ojcie. Ona nie jest swoją matką.*

— *Jest tak samo swoją matką, jak ty jesteś mną.*

— *Me mogę ci pomóc, ojcie. Odejdź i pozwól mi prowadzić moje własne życie.*

Nagle przez głowę przemknęła mi myśl. — Czy ona jest twoją córką, ojcze?

— Nie. — W jego głosie dosłyszałem westchnienie. — Gdyby była, nie potrzebowałbym ciebie, żeby powiedzieć jej, co czuję.

— Ojcze, jej matka nie żyje. Dlaczego sam z nią nie porozmawiasz?

— Zmarły nie potrafi rozmawiać ze zmarłym. Tylko żywi mogą ze sobą rozmawiać.

— Rozmawiałeś z kimś, Jonathanie?

Stała w otwartych drzwiach łączących nasze pokoje. Nie odpowiedziałem. Weszła do pokoju. — Zdawało mi się, że słyszałam jakieś głosy.

— Nikogo tu nie ma — powiedziałem.

Spojrzała na leżący na łóżku, zapakowany do połowy plecak.

— Ale nie wyjeżdżasz?

Podniosłem plecak i wysypałem swoje rzeczy na łóżko. — Nie — powiedziałem. — Nie wyjeżdżam.

W jej głosie pojawiło się zaniepokojenie. — Co się wydarzyło pomiędzy moją matką i twoim ojcem?

— Nie wiem. Po prostu pewne rzeczy czuję. Ale coś przywiodło mnie tutaj, bo to jest ważne, żebym się dowiedział.

— Też to czuję — powiedziała. W jej oczach pojawił się nagle błysk zrozumienia. — Matka prowadziła dziennik. Może...

— To może być to, co chcemy wiedzieć — powiedziałem szybko. — Czy wiesz, gdzie on jest?

— Tak. To był dom mojej matki. Po jej śmierci wszystkie jej osobiste rzeczy zostały zapakowane i złożone w magazynie. Albumów nikt nigdy nie ruszał, bo leżały na najwyższej półce w bibliotece i znaleźliśmy je dopiero potem. Dotąd nie było sensu się tym przejmować.

— Czy możemy się dostać do tych rzeczy?

— Wszystko jest w magazynie w Miami. Możemy tam jutro pojechać.

Zacząłem się lepiej czuć. — Pięćdziesiąt pięć mil na godzinę. Uśmiechnęła się. — Pięćdziesiąt pięć, obiecuję.

Zawróciła do swojego pokoju. — Dobranoc, Jonathanie.

— Dobranoc, Christino. — powiedziałem. Patrzyłem, jak drzwi zamykają się za nią, potem rozebrałem się i wszedłem do łóżka. Poczułem zmęczenie ogarniające moje ciało i zapadłem w głęboki sen.

30 czerwca 1937

Philip Murray przyszedł dziś do szpitala odwiedzić Daniela. Po raz pierwszy w ciągu miesiąca, który tu spędził, przyszedł ktoś ze związku. Było to prawie tydzień po tym, jak lekarze powiedzieli Danielowi, że nigdy nie będzie chodził. Przyszło z nim dwóch mężczyzn, Panowie McDonald i Mussman. Siedziałam obok łóżka, więc pierwsza zobaczyłam ich, jak przechodzą przez salę za zasłony oddzielające pacjentów od siebie. Podniosłam się, kiedy zatrzymali się przy łóżku Daniela.

Daniel przedstawił nas i nastąpiła niezręczna cisza, kiedy usłyszeli, kim jestem, więc przeprosiłam i przeszłam na drugi koniec sali. Pozostawali tam przez jakieś piętnaście minut. Później wyszli, wracając w milczeniu przez salę, nie odwracając się ani razu, żeby na mnie spojrzeć. Wróciłam do Daniela.

Miał wyraz twarzy, jakiego nigdy przedtem u niego nie widziałam. Jakby skamieniały mu wszystkie mięśnie; tylko oczy żyły, żarząc się czarnym jak węgiel gniewem. Na pościeli przed nim leżały jakieś dokumenty, ale jego wielkie dłonie były zaciśnięte w pięści tak mocno, że myślałam, iż kłykcie wyrwą się przez napiętą, białą skórę. Po chwili podniósł jeden z dokumentów i podał mi go z trudnością, opanowując drżenie rąk.

To było na papierze firmowym Steelworkers Organizing Committee. Ze względu na jego poprzednie wielkie zasługi, zarząd postanowił nie zaakceptować jego rezygnacji, datowanej zanim został ranny. Zamiast tego przegłosowali, by wypłacić mu miesięczną odprawę i skierować na emeryturę z pensją w wysokości dwudziestu pięciu dolarów tygodniowo przez okres dwóch lat, liczonych od tego czasu. Dodatkowo biorą na siebie koszty szpitalne w wysokości przewyższającej koszty pokryte przez instytucje ubezpieczeniowe i życzą mu samych sukcesów w każdym jego przyszłym przedsięwzięciu. Było to podpisane przez Philipa Murraya.

Spojrzałam na niego. Nie miałam co powiedzieć.

— Strajk przegrał — powiedział. — Wiesz o tym. Skinęłam głową.

— Dziesięciu zabitych podczas Memorial Day w Chicago, mniej niż miesiąc później w Youngstown, gdzie było dwunastu zabitych, ponad stu ludzi okaleczonych i pobitych; a teraz wszystko to skończone. Oni odchodzą od tego, kiedy ludzie wracają do pracy jak zbite psy. Dostaniemy ich następnym razem. Tymczasem wycofali się i zgrywają się na silnych, a ludzie, którzy poszli za nich w szeregu, krwawili za nich i umierali, są tylko śmieciem do wyrzucenia jak skórka wyciśniętej cytryny, z której nie ma już żadnego pożytku.

Jego oczy zmieniły się z czarnych jak węgle na zimne jak lód. W głosie brzmiała pasja, jakiej nigdy wcześniej nie słyszałam.

— Myślą, że jestem skończony, że nie będę już chodzić, że nie będę działać. A to jest kolejna pomyłka, którą mogą zapisać na swoje konto. Tak samo jak strajk, którego winni byli nigdy nie rozpoczynać, bo wiedzieli, że nie mogą go wygrać.

Jego oczy wdarły się w moje. — Będę znowu chodził. A ty mi pomożesz.

Skinęłam głową.

— Pierwszą rzeczą, którą musisz zrobić,¹ to zabrać mnie z tego miejsca, gdzie jedynym słowem, jakie słyszysz jest „przykro mi”.

— Gdzie pojedziemy? — zapytałam. Nagle jego głos zmiekkł. — Do domu.

16 lipca 1937

Wysiedliśmy z pociągu w Fitchville. Zostawiłam go na peronie w wózku inwalidzkim, otoczonego walizami, podczas gdy ja poszłam do miasta i kupiłam Dodgea combi z 1935 roku, za dwieście dziewięćdziesiąt pięć dolarów. Potem pojechaliśmy bocznymi drogami w góry, do miejsca, które nazywał domem. To nie była już nawet rozwalona chata. Był to szerniały, wypalony wrak. Patrzył na to przez chwilę beznamiętnie, potem odwrócił się do mnie.

— Jutro rano pojedziesz z powrotem do miasta. Najmiesz czterech, największych jakich znajdziesz, czarnych za dolara dziennie i wyżywienie. Potem przejdź do domu towarowego i kup każdemu z nich miot, piłę, siekierę, trochę budulca i beczułkę tanich gwoździ.

Następnie kup tyle jedzenia, żeby utrzymać ich przez tydzień. Fasolę, boczek, kawę i cukier. Dla nas kup to, co chcesz.

Kiedy obejrzał się by spojrzeć na mnie, dostrzegł, wyraz moich oczu. — Nie przejmuj się ^- powiedział. — Wszystko będzie dobrze.

— Jesteś pewny, że chcesz to zrobić, Danielu? — spytałam. — Ciągle możemy skorzystać z propozycji wuja Toma. Właśnie parę dni temu wuj Tom zgodził się zapłacić za całą kurację, ale pod warunkiem, że Daniel podpisze porozumienie, na mocy którego już nigdy nie będzie pracował w ruchu związkowym.

Daniel odmówił. — Więcej żadnych układów z nikim. Ze związkami albo przeciwko nim. Chcę mieć możliwość wyboru. Jedyne człowiek, któremu ufam, to ja sam.

Zignorował moje pytanie. — Dziś w nocy będziemy spać w samochodzie. Jutro wprowadzimy się do domu, jak tylko robotnicy go uporządkują.

Wyciągnął się na tylnym siedzeniu jak tylko mógł wygodnie. Ja skorzystałam z przedniego siedzenia, bo mnie było łatwiej ułożyć nogi pod kierownicą. W nocy obudziłam się. Siedział na tylnym siedzeniu, oglądając dom. Kiedy mnie usłyszał, odwrócił się do mnie.

— Dobrze się czujesz? — spytałam. Skinął głową. — Czy zrobisz coś dla mnie?

— Oczywiście. Ale co?

— Czy myślisz, że dałabyś radę mi usiąść na twarzy?

— Tylko, jeśli później pozwolisz mi sobie obciągnąć.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu słyszałam, jak się śmieje. Wtedy zrozumiałam, że naprawdę wszystko będzie dobrze. Wyciągnął do mnie ręce. — Chodź tu, kochanie — powiedział. — Jesteśmy w domu.

28 sierpnia 1937

Doktor Pincus, ortopeda, skończył badanie. Całe popołudnie opukiwał, badał i sprawdzał. Obserwował, jak Daniel chodził o kulach, a następnie, jak na długim wybiegu pomiędzy równoległymi belkami sztywno przebiera! nogami, ale jednak nimi poruszał, opierając się na rękach. Potem znowu o kulach, z cegłą przywiązaną do obu butów, by zwiększyć ich wagę, tak żeby zrobienie każdego kroku wymagało większego wysiłku. W końcu badanie skończyło się,

Daniel wyciągnął się wymęczony, a Ulla zaczęła masować i ugniatać jego nogi od ud do palców.

Doktor wyszedł ze mną na dwór. — Nie mogę uwierzyć. Miesiąc temu powiedziałbym, że to, co właśnie zrobił, byłoby niemożliwe.

— Nie zna pan Daniela — powiedziałam.

— Ale wszystko, co robił, robił niewłaściwie. Niezgodnie z teorią odbudowy muskulatury, jaką my stosujemy.

— Może coś nie gra w pańskiej teorii — powiedziałam. Spojrzał na mnie. — Skąd Daniel wziął ten pomysł?

— Z dwóch książek, które zamówił przez pocztę. „Body Building” Bernarra MacFaddena i „Nie bądź pięćdziesięciokilogramowym mizerakiem” Charlesa Atlasa.

— A terapeutka? Skąd ona się wzięła?

— Pani Torgensen, która opiekuje się synem Daniela w Kalifornii, pracowała z nią w szpitalu i napisała nam o niej. W swoim kraju była specjalistką masażu ortopedycznego.

Doktor Pincus pokręcił głową. — Widziałem to, chociaż ciągle nie wiem, czy w to wierzę. Ale nie zamierzam się temu sprzeciwiać. To działa. Przy tym tempie w przyszłym miesiącu będzie chodził.

— To właśnie powiedział Daniel. Ma zamiar wyjść stąd przed końcem września.

Doktor Pincus skinął głową. — Teraz najlepiej chyba będzie, żebym przychodził tu co tydzień na kontrolę. Nie chciałbym, żeby się przeforsował i nastąpił nawrót choroby.

10 września 1937

Daniel odrzucił kule. Teraz chodzi, opierając się jedynie na dwóch laskach. Zaczyna nawet próbować chodzić bez nich, ale po paru krokach nogi rozjeżdżają się pod nim. Ulla podnosi go jak dziecko i strofuje, że próbuje poruszać się zbyt szybko. On uparcie potrząsa głową i zaczyna od nowa. Tym razem łapie go, zanim zdążył upaść. Potem znowu podnosi go jak dziecko, trzymając pod pachami, sadza na krześle i daje mu odpocząć. Nie wiem, które z nas było bardziej zdziwione, kiedy to zrobiła. Daniel czy ja. Jest dużą kobietą, mierzącą prawie sześć stóp wzrostu, potężnie zbudowaną, o szerokich biodrach i mocnych nogach.

Uklękła u jego stóp, rozwiązując mu buty .

— Rozepnij spodnie — rozkazała.

Podniósł na mnie wzrok. Roześmiałam się. — Lepiej zrób, co ci mówi, bo może sprawić ci lanie.

Odpiął pas i rozpiął spodnie. Wprawnie ściągnęła je z niego i wyciągając jego nogi na swoich kolanach, zaczęła je masować.

— *Sztuka polega na tym, żeby utrzymywać dobre krążenie, żeby mięśnie nie napięły się i nie zeszywniały.*

— *No jasne — powiedział, patrząc na mnie z zakłopotaniem. Roześmiałam się i weszłam do domu. Była już prawie pora, żebym*

zaczęła robić kolację. Gotowałyśmy z Ullą na zmianę. Dziś była moja kolej.

27 września 1937

Wydaje mi się, że chociaż nie przyznawałam się do tego, to od dnia, kiedy widziałam, jak ściąga mu spodnie, by rozmasować mu nogi, i zobaczyłam opuchliznę w jego kalesonach, podświadomie wiedziałam, że wali Ullę. Nie stawiałam temu czoła, aż nie natknęłam się na nich. Wróciłam z Fitchville, dokąd pojechałam zabrać doktora Pincusa na stację. Doktor nadal był zadziwiony postępami czynionymi przez Daniela. Nigdy przedtem czegoś takiego nie widział. Jakkolwiek chwiejnym krokiem, Daniel zaczął już robić krótkie przechadzki bez laski.

— *Ludzka siła woli — powiedział doktor Pincus w czasie drogi do miasta. — Nie sadzę, byśmy kiedykolwiek ją zrozumieli. Kości były połamane; nerwy, mięśnie i ścięgna porozrywane w obu nogach. Zgodnie z nauką nie ma możliwości, żeby kiedykolwiek zrobił to, co robi.*

Spojrzał na mnie błyszczącymi oczami. — Nigdy już w nic nie uwierzę. Nawet w dziecinne wierszyki. Humpty Dumpty może być z powrotem złożony. Tylko musi to zrobić sam.

Potem samochód zepsuł mi się w powrotnej drodze i ostatnie ćwierć mili musiałam iść pieszo. Leżeli nadzy na podłodze. Ona na plecach; jej masywne białe piersi sterczały jak bliźniacze góry; rozłożone, podciągnięte do brzucha, nogi trzymała rękami za kolana. On wisiał nad nią, oparty na rękach, z dłońmi rozpostartymi na podłodze i nogami wyciągniętymi za sobą. Jęczała z rozkoszy, gdy uderzał w nią raz za razem, aż osunął się w orgazmie, spoczywając na jej wdzięcznym ciele.

Pogłaskała go delikatnie, mówiąc jak do dziecka: — Było bardzo dobrze. Kiedy skończymy, będziesz miał nogi tak silne, jak kutasa.

Staralam się zamknąć cicho drzwi, zanim mogli mnie dostrzec, ale dosłownie w ostatniej chwili podniósł głowę. Zamknęłam drzwi i usiadłam na małym ganku. Za jakieś dziesięć minut wyszedł, wspierając się na swych laskach i opadł na krzesło obok mnie.

Przez dłuższą chwilę nie odzywaliśmy się. W końcu powiedział: — Pewnie zastanawiasz się, co robiliśmy?

— Wiem, co robiliście. Różniście się. Roześmiał się. — To prawda. Ale co jeszcze?

— A czym jeszcze mogło to być? — spytałam złośliwie. — Walenie to walenie.

— To część mojej rehabilitacji.

— No, na pewno — powiedziałam bez przekonania. — Ale nie miałeś złamanego kutasa, tylko nogi.

— To rodzaj pompek.

— Właśnie widziałam.

— Naprawdę. To sposób wywierania nacisku na nogi.

Nie mogłam już wytrzymać. Zaczęłam się śmiać. — Przyjemność była tylko przy okazji.

Uśmiechnął się szeroko. — Znasz mnie. Nigdy nie potrafiłem się oprzeć żadnemu kociakowi.

— To nie był kociak — powiedziałam. — To była ciężka robota. Nawet dla ciebie.

Roześmiał się i ujął moją rękę. Był już poważny. — Odeślę ją, jeśli chcesz.

— Nie — rzekłam. — Zamierzam tylko jedno zmienić.

— Co takiego?

— Jeśli musisz ćwiczyć, będziesz to robił ze mną. Byłam dla ciebie za dobra. Zawsze na tobie, żebyś się nie przemęczył. Teraz możesz już znowu pracować, a ja się rozciągnę wygodnie i będzie mi przyjemnie.

10 października 1937

Chodzi o jednej lasce, kiedy jest zmęczony. Ale chodzi. Wczoraj odwiozłam doktora Pincusa i Ullę do pociągu.

Doktor był nią tak zachwycony, że zabrał ją do Waszyngtonu, do pracy w swojej klinice.

Jeszcze nie wiedział o tym, ale ze względu na rodzaj fizycznej terapii, jaką była gotowa stosować jego pacjentom, będzie musiał zostać najbardziej wziętym ortopedą w kraju.

Kiedy wróciłam do chaty, Daniel siedział na ganku ze szklanką whisky w dłoni, paląc cygaro. Na stole obok niego stała butelka i druga szklanka. Nalał mi trochę. — Dokonaliśmy tego.

— Ty tego dokonałeś — powiedziałam, podnosząc szklankę w jego stronę. Stuknęliśmy się i wypiliśmy. — A co robimy teraz?

— Po pierwsze, wyjeżdżam do Kalifornii zobaczyć syna. Później muszę załatwić sobie pracę.

— Znowu u Murraya?

Potrząsnął głową, w oczach błysnął mu wściekły gniew. — Niech się odwali.

— U Lewisa?

— Nie, dopóki jest z nim Murray.

— Ciągle możesz porozmawiać z moim wujem.

— Wiesz dobrze, jak jest. Coś sobie znajdę. Może nawet założę własny związek.

— Własny związek? W której branży? Wydaje mi się, że są już wszędzie.

— Nie wszędzie — odparł. — Myślałem o tym, że członkowie związku potrzebują pewnego rodzaju ochrony przed własnymi przywódcami.

— To nie ma sensu — powiedziałam. — Związek w związku? Roześmiał się. — Kto wie? Mogłoby do tego dojść.

Kiedy widzę,

co robią przywódcy związku dla jego członków, zaczynam się zastanawiać, dla jakich właściwie korzyści to wszystko działa. Ale się nie spieszę. Jest na to czas. Muszę się jeszcze bardziej rozejrzeć i masę rzeczy nauczyć.

— A co ze mną? — spytałam. — Co ja mam robić, kiedy ty będziesz się tym wszystkim zajmował?

Ponownie nappełnił sobie szklankę. — Masz pracę u swojego wuja.

— Zostawiłam ją — powiedziałam. — Nie mogę teraz przyczoł-gać się do niego z powrotem. Przecież wiesz.

— No, cóż. W końcu nie potrzebujesz zarabiać pieniędzy. Masz własne.

— Nie odpowiadasz na moje pytanie i o tym wiesz. — Zaczynałam się złościć. — Nie mówię o pracy, tylko o nas.

Nie odpowiedział.

— Wiesz, że chcę wyjść za ciebie. Ciągle nie odpowiadał.

— Jestem w drugim miesiącu. Doktor Pincus to potwierdził. Szklanka pękła w jego dłoni. Odrzucił ją wściekle od siebie;

whisky i krew z jego palców ochlapały drewnianą poręcz. Powiedział zduszonym głosem: — Nie, do cholery. Tego mi nie zrobisz. Wszystkie jesteście takie same. Myślicie, że szparą przywiążecie mężczyznę do siebie. Tess mi to zrobiła i zniszczyła moje życie. Nie zamierzam pozwolić, żeby to się znowu stało.

Podniósł się i poszedł do drzwi. — Daj się wyskrobać, albo zrób co ci się żywnie podoba. To twoje dziecko, nie moje. Drzwi trzasnęły za nim i usłyszałam łomot, gdy potknął się i upadł. Otworzyłam drzwi i zobaczyłam go rozciągniętego na podłodze. Odwrócił głowę i wpatrywał się we mnie ze złością.

— Pieprz się! — powiedziałam i zamknęłam drzwi. Po raz pierwszy nie było nikogo, kto by mu pomógł, gdy upadł.
15 października 1937

Dziś usunęłam ciężę. Lekarz nie powiedział mi, czy to był chłopiec, czy dziewczynka. W Chicago pada. Nie mam wieści od Daniela. Nie wiem, czemu nie mogę przestać płakać. Lekarz powiedział, że przyjdzie dać mi zastrzyk, żebym mogła zasnąć.

Po tej dacie w dzienniku było jeszcze kilka wpisów. W następnym roku zaczęła nowy dziennik, ale z tego widocznie również zrezygnowała po kilku pierwszych wpisach. Nie było dziennika z późniejszych lat, nie było też więcej wzmianek o moim ojcu.

Christina spoglądała na czerwone wino w kieliszku.

— Ciekawa jestem, czy potem kiedykolwiek go jeszcze widziała?

— Nie sądzę. — Włożyłem dzienniki do skrzynki, którą przynieśliśmy z magazynu. — Kiedy twoi rodzice wzięli ślub?

— W czterdziestym dziewiątym. Po wojnie. Mój ojciec był pułkownikiem w sztabie Eisenhowera w Londynie. Spotkał matkę, gdy pracowała w zaopatrzeniu. Pobrali się, kiedy wrócili do Stanów. Urodziłam się rok później. A twoi?

— W pięćdziesiątym szóstym. Dziesięć lat po tym, jak ojciec założył CALL. Założenie związku, o którym mówił twojej matce,, zajęło mu prawie dziewięć lat.

— Co robił przez te dziewięć lat? — spytała.

— Naprawdę nie wiem— powiedziałem. — Ale wtedy nic o nim nie wiedziałem. Nigdy nie rozmawialiśmy ze sobą za dużo.

— Rozmawiasz z nim teraz — rzekła.

— Dlaczego tak mówisz?

— Czuję to. — Upiła trochę wina. — Czasem jesteś zupełnie inną osobą, ale kiedy patrzę na ciebie, w ogóle nie widzę ciebie, tylko kogoś innego.

Spojrzałem na zegarek. Było już po drugiej. — Chyba powinniśmy się trochę przespać.

— Nie chce mi się spać. Może zapalimy najpierw skręta? Wahalem się.

— Dosłownie parę machów. To mnie uspokoi.

— No, dobrze.

Wyszedłem na werandę, a ona poszła po czekoladowe paluszki. Była granatowa aksamitna noc, od oceanu wiała ciepła, słona bryza. Wyciągnąłem się na kanapie.

Usiadła na kanapie przy moich nogach. Zapaliłem czekoladowy pręcik, a ona popijała czerwone wino. Zaciągnąłem się parę razy, potem oddałem skręta Christinie. Zabrała się do niego ostro. Zaciągnęła się długo i głęboko, napełniając płuca i wstrzymując oddech, potem wolno wypuściła resztkę dymu.

Znowu zaciągnąłem się kilka razy i zaczęło mi się kręcić w głowie. Oddałem jej skręta. ^- Chyba mam dość.

Uśmiechnęła się. — Musisz się do tego przyzwyczaić.

— Nie wiem, czy byłoby mnie na to stać.

Roześmiała się i znowu zaciągnęła się czekoladowym paluszkiem. Spojrzała na mnie. — Gdzie stąd pojedziesz, Jonathanie?

Położyłem ramiona pod głowę i oparłem się na nich. — Myślałem, żeby jechać do domu. Ale teraz, nie wiem.

— Czy znalazłeś to, czego tu szukałeś?

— Nie wiem, czego szukam — powiedziałem. — To znaczy, jeśli w ogóle czegoś szukam.

— Twojego ojca— powiedziała.

— On nie żyje. Na to już za późno.

Znowu zaciągnęła się czekoladowym paluszkiem. — W końcu wiesz lepiej.

Wziąłem papierosa z jej palców. Teraz naprawdę zaprawiłem się na dobre. Nie czułem zupełnie głowy. Język zaczął mi się plątać.

— Więcej już o nim nie mówmy, dobrze?

— Dobrze. O czym więc porozmawiamy?

— O tym, jak to jest, gdy się jest bogatym?

— Nie wiem, jak się nie jest.

— A twój mąż, czy też był bogaty?

— Tak.

— I twój ojciec?

— Też.

— To urodziłaś się w czepku.

Pomyślała przez chwilę. — Chyba można tak powiedzieć.

— Dlaczego się rozwiodłaś?

— Naprawdę chcesz wiedzieć? Skinąłem głową. — Po to zapytałem.

— Czuł się winny, że jest bogaty. Ja nie. Roześmiałem się.

— To nic śmiesznego — powiedziała. — Nie wiedział, jak się odprężyć i nie umiał się cieszyć. Zawsze był spięty.

— Więc się rozeszłaś. Jak dawno temu?

— W zeszłym roku.

— Teraz ci lepiej?

Wzruszyła ramionami. — Częściowo. Przynajmniej on nie spogląda na mnie z góry, zarzucając mi, że nie pracuję ani nie robię nic dla społeczeństwa. Ja na to patrzę tak, że nie zabieram pracy komuś, kto jej potrzebuje.

— Z takim punktem widzenia nie można się spierać. — Znowu mocno zaciągnąłem się czekoladowym skrętem i oddałem go jej z powrotem. — W głowie mi się kręci. Nigdy nie miałem takiego szumu jak dziś.

— Dobrze się czujesz?

— Najlepiej, jak tylko można.

— Wiec się tym ciesz. — Pochyliła się i pocałowała mnie. Miała ciepłe usta. Przytuliłem ją mocno do siebie. Po chwili uniosła

głowę i spojrzała na mnie. — Chcę, żebyś został ze mną na jakiś czas, Jonathanie. Zostaniesz?

— Nie wiem, czy mogę.

— Jak długo tylko chcesz. Potrzebuję cię.

Zajrzałem głęboko w znajome oczy. — To prawie kazirodztwo. To mój ojciec ciebie pragnie, nie ja.

— Nie ma w tym nic złego. Jesteś swoim ojcem na tyle, na ile ja jestem moją matką. Powiedziałeś, że gramy dogrywkę. Wtedy nie wiedziałam, o co ci chodziło. Teraz wiem. Musimy dokończyć tę grę.

Nie odzywałem się.

— Czy byłeś kiedyś zakochany, Jonathanie? Myślałem przez chwilę. — Chyba nie.

— Ja też nie — powiedziała. — Ale wiem, że miłość gdzieś jest. Moja matka znalazła ją z twoim ojcem. Może my potrafimy ją razem znaleźć.

Tym razem całkiem zagłębiłem się w jej oczy. I nagle nie byłem już dłużej sobą. Otworzyłem ramiona i wpadła w nie, tuląc głowę do mej piersi. Wolno gładziłem jej długie, miękkie włosy.

— Chyba już ją znaleźliśmy, Christino. — Podniosłem jej twarz w swoją stronę. — Ale to nie jest nasza miłość. I nigdy nie będzie nasza. Wiesz o tym.

— Wiem — powiedziała miękko, a jej oczy napełniły się łzami. — Ale jak długo ją czujemy, nie ma znaczenia, czyja ona jest.

KSIĘGA TRZECIA

WTEDY

1

— Jesteś cholernym łobuzem, Big Dan.

Daniel roześmiał się swobodnie, ponownie napełniając swoją szklanę bourbonem ze stojącej przed nim butelki. Spojrzał na drugiego z siedzących naprzeciw niego mężczyzn. — A co ty o tym myślisz, Tony?

— To samo.

Daniel znowu się roześmiał. Wypił whisky jednym haustem i podniósł się. Górował nad stołem, na czoło opadała mu szopa stalowoszarych włosów.

— To chyba już koniec spotkania.

— Poczekaj chwilę — szybko powiedział pierwszy mężczyzna. — Ja tego nie powiedziałem. Siadaj. Możemy to omówić.

Daniel przyglądał mu się przez chwilę, potem kiwnął głową. Nieśpiesznie usiadł z powrotem na swoje miejsce i znowu nalał sobie szklaneczkę. — Dobrze, mów.

— Żądasz zbyt wiele — powiedział mężczyzna.

— Zbyt wiele czego? Pieniądzy? To nic w porównaniu z tym, co mogę zrobić dla was. Mogę zrobić z was szanowanych ludzi.

— Jesteśmy szanowani — powiedział z uporem mężczyzna. Daniel przygwoździł go spojrzeniem. — Ale na jak długo? Tak

długo, jak siedzicie w cieniu. Tylko się wychylicie, zaczną was ścigać. Widzę to bardzo wyraźnie. David Beck upadnie. Logicznie

rzecz biorąc, Jimmy, jesteś następnym przewodniczącym związku zawodowego transportowców. Ale czy zostaniesz nim? Powiedzmy, że nie spodoba się to Meany'emu? Nie możesz przeskoczyć z AFL do CIO, bo oni są teraz razem. Będziesz skończony, bo nie masz dokąd pójść. — Zwrócił się do drugiego mężczyzny. — To ciebie, Tony, też dotyczy. John L., kiedy ustąpi, nie zamierza mianować cię przewodniczącym UMW. Pierwszy w kolejce jest Tom Kennedy, bo dłużej się tam kręci. Ale możesz zostać jego zastępcą, a z takim facetem jak Kennedy, to nawet lepiej. Będziesz siedział bezpiecznie w cieniu, a kiedy Kennedy odejdzie, przyjdzie czas na twój ruch.

— Wszystko to przekalkulowałeś — odezwał się Jimmy Hoffa.

— Długo siedzę w tym interesie — odparł Daniel.

Tony Boyle roześmiał się. — Więc czemu nie jesteś bogaty?

— Nie spieszyłem się — powiedział Daniel z uśmiechem. — Czekałem na was, chłopaki, aż dorośniecie.

— Wiesz, że nie mogłem nakłonić Lewisa, żeby zgodził się na składkę dla CALL, dychę za członka.

— Wiem o tym — powiedział Daniel. — Ale jeśli chcą, to mogą się zgodzić poszczególne okręgi. Możesz się tym zająć. Wyjdzie na to samo.

— Starego szlag trafi — powiedział Tony. — Nie znosi twoich pomysłów, po tym, co o nim powiedziałeś.

— Czy to coś nowego? — zapytał z uśmiechem Daniel. — Beck, Meany, Reuther; żaden z nich ani trochę bardziej mnie nie lubi. Są członkami tego samego klubu. Przez lata chcieli się do mnie dobrać, ale ciągle się trzymam.

Boyle z podziwem pokręcił głową. — Nie wiem, jak to robisz. Nie masz tak dużo członków; czterdzieści, może pięćdziesiąt tysięcy.

Daniel uśmiechnął się. — Bliżej stu tysięcy. Ale liczby nie mają znaczenia. To są wszystko małe, ale niezależne związki, o które ci wielcy nigdy się nie troszczyli, bo za mało mogły im dać. Ale one składają się na coś takiego, czego nie ma nikt inny.

— Co to takiego? — spytał Hoffa.

— Równowaga siły. Nigdy nie mieliśmy żadnych kłopotów, żadnych skandali. Nikt nie nawiał z pieniędzmi.

— Bo nigdy nie było tyle, żeby można było je ukraść — roześmiał się Boyle.

— Być może — powiedział Daniel. — Ale fakt jest faktem. Społeczeństwo wierzy nam. Jesteśmy jedyną grupą pracowniczą przez nie aprobowaną, i na dowód tego mamy przeprowadzone badania. A ja jestem jej przedstawicielem.

— Ale transportowcy i tak nie zgodzą się na układ — powiedział Hoffa.

— Okręg 299 zgodzi się — rzekł Daniel. — To twój okręg i zrobią to, co im powiesz. Dwieście tysięcy członków to dosyć, żeby rozpocząć grę. Za jakiś czas włączą się wszyscy.

— Dobrze, więc wiemy, co ty z tego masz. A co z nami, co my z tego mamy?

— Pomoc i poradę — powiedział Daniel. — Obaj jesteście młodzi i ambitni. Mogę pomóc wam zrealizować wasze ambicje. Mogę uchronić was przed wszystkim poza wami samymi.

— Rozmawiasz z innymi związkami? — spytał Hoffa.

— Planuję — odpowiedział Daniel. — Wy dwaj jesteście pierwsi.

— Dlaczego my?

— Ponieważ obaj działacie w branżach istotnych dla egzystencji kraju.

Dwaj mężczyźni milczeli przez chwilę, następnie Boyle spojrział na Daniela. — Czy możemy się zastanowić? Daniel skinął głową. — Oczywiście.

— Co zrobisz, jeśli nie pójdziemy z tobą?

— Są inni ludzie w innych okręgach tego samego związku, tak samo młodzi i ambitni jak wy.

— To szantaż — powiedział Hoffa bez urazy.

— Zgadza się. — Daniel potakująco kiwnął głową.

— Dasz nam na to tydzień? — spytał Boyle.

— Macie tydzień — powiedział Daniel.

Uścisnęli sobie dłonie i wyszli. Daniel widział ich idących do samochodów, które po chwili odjechały. Spojrział wtedy na swoją szklanę, zastanawiając się, czy wiedzieli, jak bardzo był zdesperowany. Przez dziesięć lat walczył, by zbudować podstawę swojej siły, a w zeszłym roku wszystko to zostało zmiecione jednym pociągnięciem.

Zniszczyło ją połączenie się AFL-CIO. I teraz związki, które przedtem zwerbował, wycofywały się jeden po drugim.

W kasie zostało jeszcze tyle, żeby utrzymać się jakiś

miesiąc lub dwa, potem będzie po wszystkim. Ostatnie dwadzieścia lat stracone. Marzenia, nadzieje, ideały zdruzgotane bezpowrotnie.

Podniósł się ciężko. — Zapisz to na rachunek, Joe — powiedział do barmana, wychodząc. — I dodaj dychę dla siebie.

— Dzięki, Big Dan! — krzyknął za nim barman.

Zamrugał oczami, kiedy wyszedł na zalaną słonecznym światłem ulicę, poczekał chwilę, aż zmaleje ruch, i przeszedł na drugą stronę do dwupiętrowego biurowca. Spojrzał w górę na umocowane nad wejściem budynku aluminiowe litery: CALL. Były zakurzone i nieco już zniszczone. Zanotował w pamięci, żeby kazać dozorczy je wyczyścić. Wszedł do budynku, mijając biuro na parterze, po czym schodami z tyłu budynku, które wiodły wprost do jego własnego biura, udał się na górę.

Czekał na niego Daniel Jr. — Jak poszło, ojcze?

— Słuchali — powiedział, siadając za biurkiem.

— Myślisz, że na to pójda?

— Nie wiem. Nic już więcej nie wiem.

Wysunął szufladę biurka, wyciągnął cygaro i zapalił je.

— Są jakieś wiadomości ze szkoły?

Daniel Jr. uśmiechnął się. — Zostałem przyjęty na ekonomię w Harvardzie.

Daniel podniósł się. Omal nie zgniótł dłoni syna. — Gratulacje. Jestem z ciebie dumny.

— Cieszę się z tego — powiedział chłopiec. — Ale...

— Ale co?

— Nie muszę jechać, ojcze. — Zawahał się Junior. — Wiem, jak stoimy z pieniędzmi. Jestem wystarczająco dorosły, żeby iść do pracy.

— Pójdziesz do pracy — powiedział Daniel. — Kiedyś będziesz musiał przejąć to wszystko. Musisz być do tego przygotowany.

— Ale co, jeśli Hoffa i Boyle zawiodą?

— Znajdę sposób — rzekł Daniel. — Pojedziesz do szkoły i to jest twoja praca.

Zadzwoił telefon. — Odbierz Junior, muszę iść do toalety. Kiedy Daniel Wrócił do biura, głos Juniora zdradzał, jak bardzo jest przejęty, chociaż starał się tego nie okazywać.

— To był telefon z Białego Domu. Pan Adams.

— Sherman Adams. Junior skinął głową.

— Czego chciał?

— Szóstego września jesteś zaproszony na śniadanie do prezydenta. Chcą, żebyś oddzwonił i potwierdził, czy przyjedziesz.

— Czy wspomniał, kto jeszcze jest zaproszony? Junior pokręcił głową. — Nie pytałem.

Daniel podniósł słuchawkę i poprosił swoją sekretarkę, żeby zadzwoniła do Adamsa. Czekaając na połączenie, spojrzął na Juniora.

— Eisenhower musi zaczynać się niepokoić. Praktycznie każdy związek w AFL i CIO głosował na Stevensona. Połączono Adamsa.

— Sherman, co się dzieje? — spytał Daniel.

— Prezydentowi przyszło do głowy, że może warto by było, żebyśmy usiedli i porozmawiali.

— Kto jeszcze przyjeżdża?

— John. L. Lewis. Może Dave Beck.

— Nie zapraszaj Becka — powiedział Daniel. — Tam dzieją się różne rzeczy, które ujawnione, mogłyby okazać się dla was kłopotliwe.

— Czy możesz o nich mówić? — spytał asystent prezydenta.

— Nie przez telefon.

— Rozumiem. — Adams jakby zastanawiał się. — Czy będziesz mógł przyjechać?

— Przyjadę.

— To dobrze. Prezydent będzie zadowolony, kiedy mu to powiem.

— Przekaż mu najlepsze pozdrowienia — powiedział Daniel. — Zobaczymy się szóstego.

— O ósmej — rzekł Adams i rozłączył się.

Daniel spojrzął ponad biurkiem na syna. Uśmiechnął się.

— W Białym Domu chyba jeszcze nie słyszeli, że mamy kłopoty. — Spojrzął na papiery rozłożone na biurku. — Muszę zabrać się do pracy.

— Już mnie nie ma, ojciec — powiedział Junior. Podeszedł do drzwi i obejrzał się. — Będziesz dziś wieczorem na kolacji w domu?

— Jeszcze nie wiem — odparł Daniel. — Później zadzwonię do Mamie i dam jej znać.

Po wyjściu syna przez chwilę wpatrywał się w zamknięte drzwi, następnie z dolnej szuflady biurka wyciągnął butelkę whisky i pociągnął solidny łyk. Kiedy starannie zakręcił butelkę i odstawił ją do szuflady, sięgnął po telefon i poprosił o przekazanie pozostawionych mu informacji.

2

— Do końca miesiąca będziemy zjeżdżać w dół — powiedział Moses. — Jeżeli nie zdobędziemy skądś pieniędzy, to po nas.

Daniel podniósł wzrok na swojego zastępcę. — Myślałem, że starczy nam na przynajmniej dwa miesiące.

— Składki nie napływają. Widocznie nawet nie chce im się nas informować, że się wycofują.

Twarz Murzyna wyrażała niepokój. Byli przyjaciółmi przez ponad dwadzieścia lat i był pierwszym człowiekiem, któremu Daniel zaproponował wstąpienie do CALL. — Uważam, że powinniśmy zacząć wręczać naszym ludziom wypowiedzenia.

Daniel zastanowił się przez chwilę. — Nie możemy tego zrobić. Rozejdzie się wieść, że zamykamy firmę, i wtedy będzie naprawdę koniec.

— W takim razie, naprawdę nie wiem, co robić — powiedział Moses.

— Musimy wziąć pożyczkę.

Moses zaśmiał się sztucznie. — Kto nam pożyczy pieniądze? Nie przyjmą naszych Ust członkowskich jako gwarancji. Szczególnie, kiedy zobaczą rejestr składek za ostatni rok.

— Wiem, skąd możemy dostać pieniądze — powiedział Daniel. — Od Lansky'ego.

Murzyn milczał.

Daniel spojrział mu w oczy. — Nie podoba ci się to?

— A tobie? Wiesz, co to oznacza. Kiedy ich wpuścisz, nigdy nie wyjdą. Wiele razy słyszałem, jak to mówisz.

— Pewnie — powiedział gorzko Daniel. — I dokąd to nas zaprowadziło? Może już czas, żebyśmy spojrzeli prawdzie w oczy. Inni to zrobili. Nie widać, żeby coś im się stało.

— Nie jesteś nimi — powiedział Moses.

— Może już czas, żebym się zmienił — odparł Daniel zmęczonym głosem. — Cały świat może żyć w zgodzie, tylko ja nie.

Moses milczał.

— Nie stój tak, jak Mr Sprawiedliwy — odezwał się Daniel z niespodziewaną złością w głosie. — Nawet Bóg musiał ułożyć się i Szatanem, żeby podzielić życie pozagrobowe.

— Rozmawiamy o tym, co teraz — powiedział Moses. Daniel powiedział twardo i stanowczo: — Jeśli ci się nie podoba,

zawsze możesz odejść.

— Wiesz, że nie chcę tego zrobić. — W głosie Mosesa zabrzmiała nuta urazy.

— Przepraszam — powiedział pełen skruchy Daniel. — Nie to chciałem powiedzieć. Po prostu, jeśli zdołam doprowadzić do układu z Boylem i Hoffą, wygraliśmy. Tymczasem, w przyszłym tygodniu mam to spotkanie w Białym Domu. Ono nam nie zaszkodzi. Przynajmniej pokaże, że ciągle istniejemy i że prezydent wciąż nas poważa. Moses milczał przez chwilę. — Dobrze. Kiedy zamierzasz spotkać się z Lanskym?

— Jutro, jeśli to będzie możliwe. Mogę polecieć do Miami porannym samolotem i być tu z powrotem wieczorem. Była prawie szósta i zaczął zbierać się do wyjścia z biura, kiedy zadzwoniła sekretarka. — Jest tutaj panna Rourke. Nie mógł sobie przypomnieć. — Panna Rourke?

— Dzwoniła w zeszłym tygodniu. Rozmawiał pan z nią. Coś o jej ojcu, nie dostającym renty w swoim związku.

Prosił ją pan

o podanie szczegółów. Umówiłam ją na dzisiaj na szóstą.

Już pamiętał. Ojciec dziewczyny został przejechany przez traktor

i stracił władzę w jednej nodze. Teraz miał kłopoty z otrzymywaniem renty. — Dobrze — powiedział zmęczonym głosem. — Wpuść ją.

Drzwi otworzyły się i dziewczyna weszła do biura. Podniósł się z trudem. — Jestem Daniel Huggins.

Była bardzo młoda. Nie ma więcej niż dziewiętnaście lat, pomyślał/Miękkie, czarne włosy do ramion, błękitne oczy i jasna, irlandzka cera.

— Margaret Rourke — przedstawiła się, ściskając jego wyciągniętą rękę. Mówiła cichym i spokojnym głosem: — Dziękuję, że mnie pan przyjął.

Gestem wskazał jej krzesło po drugiej stronie biurka i usiadł.

— Po to tu jestem. Więc jaki ma pani problem? Otworzyła dużą kopertę, wyjęła z niej jakieś dokumenty i położyła je na biurku. — Opowiadałam panu o wypadku mojego ojca. Tu są wszystkie szczegóły, o które pan prosił. Podniósł dokumenty i szybko je przejrzał. Miała w zupełności rację. Wszystko tam było, od protokołu wypadkowego do karty składek członkowskich, wskazującej, że z nimi nie zalegał. Był tylko jeden szkopuł. Okręg, do którego należał, był bankrutem. Pieniądze, jakie miały być wpłacone na fundusz emerytalny, rozplynęły się wraz z przewodniczącym związku i skarbnikiem.

Spojrzał na dziewczynę, która przyglądała mu się uważnie.

— Jest pewien problem.

— Nie mają pieniędzy — powiedziała.

— No właśnie.

— Ale ojciec powiedział, że to pan ułożył im fundusz i nie mieli mieć możliwości dotknąć tych pieniędzy.

— Tak było ustalone—powiedział.—Ale okręg sam to zmienił.

— Jak mogą to zrobić? — spytała. — Ludzie, jeśli jesteście odpowiedzialni...

Przerwał jej. — Możemy im tylko doradzać. Nie możemy im niczego rozkazać. Nie mamy prawa. Ustalamy plan, który uważamy za bezpieczny i poprawny. Jeśli związek chce się do niego stosować, to dobrze. Jeśli nie...

— To nie jest uczciwe — powiedziała ze złością. — Ojciec powiedział, że związek zapłacił panu, żeby pan tego dopilnował. Pan musi za to odpowiadać.

— Nigdy nie płacili nam za zarządzanie funduszem. Robilibyśmy to, gdyby sobie tego życzyli, ale wszystko, czego chcieli, to naszego doradztwa.

Spojrzała na leżące na biurku dokumenty. — Więc one nie są nawet warte papieru, na którym je napisano.

Nie odzywał się.

Spojrzała na niego załzawionymi z żalu oczami, — To co my teraz zrobimy? Ojciec nie może pracować, a w domu jest jeszcze dwoje dzieci, młodszych ode mnie. Złożyliśmy nawet podanie o zasiłek, ale nie uwzględnili go, bo pracuję. A nie ma możliwości, żebyśmy wszyscy utrzymali się za te trzydzieści dolarów tygodniowo, jakie zarabiam.

— A związek? Czy pani ojciec pytał, czy nie mogliby mu znaleźć pracy dozorca w jakiejś fabryce?

— Nie ma tam nikogo, kto potrafi coś załatwić — powiedziała z goryczą. — Potrafili mi jedynie powiedzieć, że ciągle starają się dojść do tego, jak to się stało, że ich przewodniczący nawiał z pieniędzmi.

— Zobaczę, co mi się uda zrobić.

Ze złością wstała z krzesła. — Wszyscy jesteście tacy sami! Wspaniali, kiedy ściągacie składki, ale kiedy na was przychodzi kolej płacić, to was nie ma.

— To nieprawda — powiedział szybko. — Większość związków traktuje swoje obowiązki poważnie. To pech, że pani ojciec należał do takiego, którego przewodniczący był złodziejem.

— Wszyscy jesteście złodzieje — powiedziała. — I nie potrafi mnie pan przekonać, że jest inaczej.

Milczał przez chwilę. — Złosczenie się nic nie pomoże — odezwał się łagodnie. — Proszę usiąść, to spróbujemy coś wymyślić. Przyglądając mu się uważnie, powoli wróciła na krzesło.

— Czy naprawdę myśli pan, że może pan coś zrobić?

— Nie wiem. Ale możemy spróbować.

Sięgnął po telefon. — Zadzwońmy do paru miejsc.

Minęła prawie godzina, kiedy ostatni raz odłożył słuchawkę. Spojrzał na nią ponad biurkiem. — Przynajmniej coś ruszyliśmy. Teraz poczekamy i zobaczymy, co się stanie.

Napotkała jego wzrok. — Przepraszam, panie Huggins. Nie powinnam była tego wszystkiego mówić.

— Już dobrze. Rozumiem to. Miała pani dość powodów. Raptem poczuł się zmęczony. — Jeśli na początku przyszłego

tygodnia nie będzie pani miała ode mnie wiadomości, proszę zadzwonić.

Nagle zaniepokoiła się. — Dobrze się pan czuje, panie Huggins?

— Jestem po prostu zmęczony — |jo^iedział znużonym głosem. — Miałem ciężki dzień.

— Przepraszam. Pewnie ma pan wjele| takich problemów. Nie chciałam ich panu przysparzać, ale nie miałam już gdzie iść.

— Dobrze, Margaret — powiedział. Wyciągnął dolną szufladę biurka. — Nie przeszkadza ci, że się napiję? Pokręciła głową i obserwowała, jaki wyciąga butelkę i dwie szklanki. Nalał sobie trochę i spojrzął na nią. — Nie, dziękuję — powiedziała.

Przełknął whisky i zauważyła, że wracają mu kolory. Nalał sobie jeszcze raz. — Gdzie pracujesz?

— W hali maszyn w agencji mieszkaniowej — powiedziała. Wypił trochę. — To dobra praca? ?

— Dobra. Ciągłe pracuję na czas określony, ale dostałam ją. To pierwsza praca, jaką udało mi się zdobyć.

— Mieszkasz daleko od pracy?

— Dwie godziny autobusem. Ale to nie tak źle. Pracę kończę o czwartej i zwykle jestem w domu na czas, żeby przygotować kolację.

— A twoja matka?

— Nie żyje.

— Przykro mi. Może nie będę cię już zatrzymywał. I tak kolacja będzie bardzo późno.

— Nie będzie, poprosiłam sąsiadkę, żeby się tym zajęła. Wypił resztę whisky ze szklanki i schował butelkę do biurka.

Podniósł się. — Mam tu samochód. Mogę podrzucić cię na stację autobusową.

— Mogę się przejść. Następny autobus mam dopiero o dziewiątej. Spojrzął na zegarek. Było ledwie po siódmej. — Zjadłabyś ze mną kolację? Później zawiozę cię na autobus. Wahala się. — I tak już sprawiłam panu dosyć kłopotu.

— Nie bądź niemądra — powiedział z uśmiechem. — Nic nie planowałem. Tylko wczesną kolację i do łóżka. — Sięgnął po słuchawkę.

Zgłosiła się sekretarka. — Zadzwoń do Mamie do domu i powiedz jej, że zjem kolację w mieście.

Dostrzegł jej pytający wzrok. — Mamie to nasza kucharka. Kiwnęła głową bez słowa.

— Nie jestem żonatji,

— Wiem.

— Co jeszcze chcesz o mnie wiedzieć? Milczała.

— Możesz mi powiedzieć. Nie rozzłoszczę się.

Zawahała się, potem powiedziała: — Ojciec nie chciał, żebym się z panem widziała. Powiedział, że ma pan wiele kobiet. Roześmiał się. — Co jeszcze ci powiedział?

— Powiedział, że prawdopodobnie proponuje mi pan pójście na kolację.

— Miał rację. Właśnie dokładnie to zrobiłem. Czy powiedział coś jeszcze?

— Powiedział, że gdybym poszła z panem na kolację, powinnam uważać.

— No tak, jeszcze nie poszliśmy na kolację, więc na ten temat nic nie wiemy, prawda? — Uśmiechał się.

Po chwili też się uśmiechnęła. — Prawda.

— Masz więc możliwość to sprawdzić.

Gdy spojrzała mu w oczy, ciągle się uśmiechała. — Skorzystam z tej możliwości.

— Nie pójdziemy do żadnego wymyślnego miejsca — powiedział. — W restauracji po drugiej stronie ulicy mają świetne steki.

— To mi się podoba. — Podniosła się. — Czy jest tu damska toaleta?

— Za biurem sekretarki. W korytarzu, po prawej stronie. Patrzył za nią, jak wychodziła, potem usiadł i znowu wyciągnął

butelkę whisky. Szybko pociągnął łyka. Coś było w sposobie jej poruszania się. To był inny chód niż ten, gdy wchodziła. Wtedy wyglądała jak młoda dziewczyna. Nagle stała się prawdziwą kobietą.

3

Z małą walizką w ręku wszedł do budynku lotniska w Miami, pocąc się w letnim ubraniu. Dwóch młodzieńców ruszyło zdecydowanie w jego kierunku; wysoki blondyn i niski brunet, obaj ubrani w lekkie bawełniane ubrania. Niższy powiedział:

— Pan Huggins?

— Tak — odparł.

— Przed wyjściem czeka na nas samochód. Ma pan jakiś bagaż?

— Nie.

Niższy mężczyzna skinął głową. — Dobrze. Tędy proszę.

Szli tuż obok niego przez lotnisko, zatłoczone przez letnie grupy wycieczkowe. Na zewnątrz czekał na nich cadillac z pracującym silnikiem. Otworzyli przed nim drzwi. Blondyn usiadł obok niego, natomiast brunet z przodu, obok kierowcy.

— Będziemy na miejscu za piętnaście minut — oznajmił blondyn. Samochód powoli ruszył. — Miał pan przyjemny lot?

— Bardzo przyjemny — odparł Daniel.

— Za parę miesięcy będzie jeszcze lepiej. Przed sezonem zimowym spodziewają się wprowadzić nowe odrzutowce.

— Myślałem, że już je mają.

— Zaledwie kilka — odparł blondyn. — Do jesieni w rozkładzie będą same odrzutowce.

Daniel wyrzwał przez okno. Samochód jechał szybko w stronę grobli prowadzącej do Miami Beach. Ruch był raczej nieduży. Zatrzymali się na chwilę, by zapłacić za wjazd na autostradę, potem pojechali dalej, mijając małe wysepki w zatoce, oddzielającej stały ląd od plaży. Kiedy samochód zaczął zbliżać się do ostatnich paru wysepek, zwolnił, skręcając w końcu na groblę wiodącą na jedną z wysp.

Daniel zauważył dwóch umundurowanych strażników u podnóża podjazdu. Znali samochód, bo minął ich bez zwalniania. Przejeżdżali obok charakterystycznych dla Florydy, niskich domów, zielonych falistych trawników za przystrzyżonymi żywopłotami, wreszcie skręcili w prywatną drogę, kończącą się wysoką żelazną bramą, przed którą samochód zatrzymał się.

Z małej stróżówki wyszedł mężczyzna i przyjrzał się samochodowi. Po chwili wrócił do stróżówki i żelazna brama odsunęła się do tyłu. Potem zamknęła się za samochodem, który długim, krętym podjazdem pojechał w stronę niewidocznego z ulicy domu.

Obaj mężczyźni wysiedli z samochodu i czekali na Daniela.

— Chwileczkę, sir — powiedział uprzejmie wyższy z nich. — Musimy to zrobić.

Daniel w milczeniu skinął głową i wyciągnął ramiona, a ten sprawnie obszukał go. Wyprostował się. — Czy mógłbym obejrzeć pańską walizkę?

— Jest otwarta — powiedział Daniel i podał mu ją. Blondyn szybko przerzucił dokumenty i sprawdził boki, czy nie mają ukrytych schowków, potem oddał walizkę Danielowi. Grzecznie skinął głową. — Tędy, proszę.

W budynku działała klimatyzacja i panował chłód. Daniel podążył za młodzieńcami przez cały dom do pokoju o dwóch, sięgających od sufitu do podłogi, oknach, wychodzących na basen. Za nimi widział nad zatoką małą przystań, przy której przycumowano piękną kabinową łódź motorową.

— Pan L. zaraz tu będzie powiedział blondyn i gestem wskazał róg pokoju. — Bar jest tam. Proszę się obsłużyć.

— Dziękuję — powiedział Daniel. Mężczyźni opuścili pokój, a on podszedł do baru. Był wspaniale zaopatrzone we wszystkie trunki, jakich można sobie zażyczyć, dzbany z sokiem pomarańczowym i pomidorowym, wiaderka z lodem, plasterki cytryny, oliwki, szklistą cebulę, sosy Tabasco i Worcestershire. Daniel był zachwycony trunkami. Nie było otwartych butelek, każda z nich była zapieczętowana i pełna. Wziął butelkę Old Forrestera, zerwał pieczęć i nalał sobie, dodając z dzbana odrobinę wody. Upił łyk i podszedł do okna.

Widok z okna był piękny. Zmieszane z sobą odcienie błękitu nieba i wody, motorówki i wędrujące w różne strony żaglówki. Napił się jeszcze trochę. Dobra whisky. Z tyłu dobiegł go głos.

— Panie Huggins.

Stał tam Lansky, nieduży, przedwcześnie postarzały mężczyzna, którego blade oblicze przykrywała nieco florydzka opalenizna. Przez chwilę Daniel stał wstrząśnięty. Byli mniej więcej w tym samym wieku, ale Lansky wyglądał o wiele starzej.

Daniel wyciągnął rękę. — Panie Lansky.

Uścisk dłoni Lansky'ego był delikatny, ale mocny. Podszedł do baru i nalał sobie szklanekę soku pomarańczowego. Popijał go wolno i spoglądał na Daniela. — Florydzkie pomarańcze. Nie ma nic lepszego od nich. Co godzina wyciskają mi świeży sok.

Daniel pokiwał głową i podążył za nim w stronę kanapy, potem usiadł naprzeciwko niego. — Jak pan się czuje, panie Lansky?

— Lepiej, ale nie tak dobrze. — Poklepał się po piersi. — Stary dzwon nie jest już taki, jaki powinien być.

— Przeżyje pan nas wszystkich — rzekł Daniel.

Lansky uśmiechnął się blado. — Gdyby mi nie zawracali głowy, byłoby ze mną lepiej, ale oni ciągle mnie naciskają.

— To jedno z niebezpieczeństw sukcesu.

Lansky kiwnął głową i powiedział nadspodziewanie mocnym głosem: — Słyszałem, że ma pan poważne problemy.

— To prawda — przytaknął Daniel.

— Cztery lata temu mówiłem panu, że tak się stanie. Ostrzegałem pana, że jeśli AFL i CIO się połączą, wypadnie pań z gry.

— Ostrzegał pan.

— Powinien był pan mnie posłuchać. — Brzmiało to tak, jakby Lansky karmił krnąbrne dziecko.

Daniel nie odpowiedział.

— Nie ma sensu do tego wracać — powiedział Lansky. — Jak wygląda obecna sytuacja?

Daniel szybko wprowadził go w szczegóły. Kiedy skończył, Lansky ze zrozumieniem pokiwał głową. — Pański pomysł jest dobry, ale tak naprawdę Hoffa i Boyle nie potrzebują pana. Uczciwość nic dla nich nie znaczy. Obaj są ulicznymi zabijakami. Trzeba ich będzie trochę nakłonić, żeby zdecydowali się dołączyć do pana.

— Może wystarczyć jedno pańskie słowo—powiedział Daniel. Lansky kiwnął głową. — Być może. Ale ma pan inne problemy.

Nawet, jeśli do pana dołączą, skąd pan weźmie pieniądze? Same składki nie wystarczą panu na bilet.

— Jeśli zgodzą się na mój plan, dostaniemy w zarząd dużą część ich funduszu emerytalnego i ubezpieczeń.

— Nie przełożą tego panu w całości.

— Nie. Nie proponowałem tego. Tylko będziemy nim współ-zarządzać. Wtedy wystarczy dla każdego.

Lansky milczał przez chwilę. — A gdzie jest miejsce dla mnie?

Daniel zaczynał się czuć pewniej. Lansky doskonale wiedział, gdzie będzie miejsce dla niego. Miał pod kontrolą firmy ubezpieczeniowe, budowlane, banki. Daniel użył więc ostatecznego argumentu. — Jeżeli muszę to panu wyjaśniać, panie Lansky, to niepotrzebnie tu przyjeżdżałem.

Lansky milczał przez moment. — Mówią, że ma pan spotkanie w Białym Domu.

Daniel skinął głową. Zdaje się, że niewiele było rzeczy, o których Lansky nie słyszał. — Szóstego września, śniadanie u prezydenta.

— Rozmawiał pan z Adamsem? Daniel ponownie skinął głową.

Lansky powiedział z aprobatą. — To dobry kontakt. Niech się pan go trzyma.

— Tak zamierzam — powiedział Daniel.

Lansky na chwilę, zamilkł. — Eisenhower znowu wygra. Może być pan w świetnej sytuacji, jeśli dobrze to pan rozegra.

— Trzymam za niego kciuki.

Po raz pierwszy Lansky roześmiał się. Był to suchy chichot, prawie bez śladu uciechy. — Jest pan dość spokojny jak na człowieka na krawędzi katastrofy.

Daniel roześmiał się głośno i znowu nalał sobie whisky. Tym razem nie dodał wody. — W najgorszym razie skończę się.

Lansky spojrzał na niego. — Jak pan uważa, ile panu potrzeba?

— Dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. To pozwoli nam przetrwać rok, aż wszystko zacznie się układać.

— To dużo pieniędzy.

— To tanio, jeśli weźmie się pod uwagę pulę leżącą na stole. Fundusz emerytalny UMW na pewno wynosi więcej niż sześćdziesiąt milionów dolarów, a transportowcy nie mogą mieć dużo mniej. Dwadzieścia procent odsetek od tego może przynieść więcej niż dwa miliony rocznie.

Lansky zdecydował się. — Dobrze. Dostanie je pan.

— Dziękuję, panie Lansky.

— Proszę mi nie dziękować — powiedział spokojnie Lansky. — Proszę tylko pamiętać o zasadach. Jesteśmy partnerami. Pół na pół.

— To za dużo — powiedział Daniel. — Nie ma mowy, żebym wyprał tyle pieniędzy i mnie nie nakryli.

— A ile da pan radę?

— Dwadzieścia pięć procent.

— To niewiele.

— Być może. Ale to pańskie firmy będą robiły interesy. Będzie pan miał na wszystko duży wpływ.

Lansky zastanawiał się przez chwilę. — Ostro się pan wyklóca.

— Nie ostro — powiedział Daniel. — Praktycznie. Obaj mamy i tak wystarczająco dużo kłopotów. Nie musimy szukać sobie nowych.

— Zgoda — powiedział Lansky, przyciskając jednocześnie guzik z boku kanapy. Po chwili wysoki mężczyzna, który oczekiwał Daniela na lotnisku, wszedł do pokoju, niosąc czarną walizeczkę. Położył ją pomiędzy nimi na stoliku do kawy i wyszedł z pokoju. Lansky uczynił ruch ręką.

— Proszę otworzyć.

Daniel wcisnął przyciski i walizeczka otworzyła się szeroko. We wnętrzu leżały równo zapakowane rzędy banknotów, jeszcze owinięte banderolami bankowymi. Zerknął na Lansky'ego.

— Ćwierć miliona dolarów — rzekł niedbale Lansky. — Może pan przeliczyć.

— Wierzę panu na słowo — powiedział Daniel, zamykając walizkę. Wstał. — Miał pan je przygotowane, panie Lansky.

Lansky uśmiechnął się. — Musiałem mieć. Nigdy nie wiadomo, kiedy może nadarzyć się okazja.

4

Michael Rourke oderwał wzrok od niedzielnej gazety, gdy jego córka weszła do pokoju. Zauważył, że miała na sobie nową suknię i nałożyła świeży makijaż. — Wychodzisz wieczorem? — spytał.

Margaret skinęła głową. — Wszystko przygotowałam. Pieczeń jest w piecyku. Będzie gotowa przed szóstą.

Dzieciaki wiedzą, kiedy ją wyciągnąć.

Milczał przez chwilę. — Big Dan?

— Tak.

Odłożył gazetę. — Czytałaś, że w tym tygodniu spotkał się w Białym Domu z prezydentem?

— Mówił mi o tym.

— Widziałaś się z nim?

— W czwartek wieczorem. Pamiętasz, mówiłam ci, że idę na kolację do miasta.

— Wróciłaś do domu po północy. Nie mówiłaś mi, że idziesz z nim na kolację.
— Nie ma w tym nic złego, tato. To bardzo miły człowiek.
— Jest od ciebie starszy.
— Gdybyś z nim porozmawiała, to byś tak nie pomyślała. Tak się wszystkim interesuje.
— Nie podoba mi się to — powiedział ojciec. — Uważam, że za często przebywasz w jego towarzystwie. Powinnaś więcej spotykać się z chłopcami w swoim wieku.
— Tato, chłopcy w moim wieku nie interesują mnie. Są niedojrzali. I chcą od dziewczyny tylko jednego.
— A on nie chce?
— Jest prawdziwym dżentelmenem.
Pokręcił głową. — Mówił ci coś o pracy dla mnie?
— Tylko, że się tym zajmuje i spodziewa się wkrótce coś znaleźć.
— No pewnie — powiedział ironicznie.
Margaret spojrzała na ojca. — Nie wierzysz mu? Dlaczego miałby kłamać?
— Bo chce się z tobą przespać, tylko dlatego — powiedział z gorczyą Michael.
— Tato! — odezwała się ostro.
— Tylko mi nie tatuj. Wiesz równie dobrze jak ja, że tego chce. — Spojrzał na nią przenikliwie. — I, być może, ty też tego chcesz.
— Nie będę tego słuchać — powiedziała i zebrała się do wyjścia.
— Margaret! — zawołał za nią. Odwróciła się w progu. — Tak?
— Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało — powiedział przeproszająco. — Tylko, że ja się o ciebie martwię.
Mówiłem ci, jaką ma opinię. Alkohol i te wszystkie kobiety. Po prostu nie chcę, żebyś stała się jedynie jego następną kochanką. Nie chcę, żeby cię skrzywdził, dziecko.
— Nie jestem już dzieckiem, tato — powiedziała sztywno. — Sama potrafię martwić się o siebie.
Spoglądał na nią przez chwilę, potem podniósł gazetę. — Dobrze. Tylko pamiętaj, że cię ostrzegałem.

Drzwi zamknęły się za nią, a on zadumał się nad swoją bezsilnością. Gdyby tylko mógł być tak sprawny jak przed chorobą, to tak by nie było. Ale nic nie mógł poradzić. Cały ciężar spoczywał na jej ramionach— dom, pozostałe dzieci. Może miała rację. Nie była już dzieckiem. Nie miała na to czasu.

John L. Lewis siedział za potężnym biurkiem w swoim wyłożonym ciężkim dębowym drewnem gabinecie. Okna wychodziły na rządowe budynki z białego marmuru w centrum Waszyngtonu. Ubrany, jak zwykle, w gruby ciemny garnitur, koszulę ze sztywnym białym kołnierzykiem i krawat, uosabiał niewzruszoną, nie liczącą się z niczym potęgę władzy. Po obu stronach biurka siedziało jego dwóch głównych adiutantów — dobiegający siedemdziesiątki, siwy, o nienagannych manierach Tom Kennedy i Tony Boyle — młody, agresywny i energiczny. Daniel spojrzął na obu mężczyzn. Kennedy, typ myśliciela i taktyka, podchodzący do wszystkiego bardzo skrupulatnie; Boyle, rzutki, używający władzy i siły do zmiczenia z drogi przeciwników. A w środku siedział John. L., wart ich obu razem wziętych; miał wszystkie ich zalety, a ponadto aurę naturalnego przywódcy, nie znoszącego sprzeciwu.

Lewis mówił: — TVA jest największym kupującym węgla na świecie. Ze względu na niewyczerpany popyt z ich strony, napotykamy niezliczoną liczbę niezależnych kopalni, zaczynających działać bez porozumienia ze związkami i sprzedających węgla poniżej cen ustalonych przez kopalnie, w których działają związki. Efekt jest taki, że nie tylko kopalnie te sprzedają mniej węgla, ale ma to również wpływ na robotników; bez pracy zostają ci, którzy są członkami związku, a tworzą się miejsca pracy dla tych, którzy nimi nie są.

— Wyczerpaliśmy wszystkie racjonalne środki — ciągnął Lewis — żeby uzyskać pomoc rządową w rozwiązaniu tego problemu; nasze argumenty nie zostały wysłuchane. Sytuacja staje się coraz bardziej dramatyczna i jeśli nic się nie zmieni, grozi to całkowitym załamaniem struktury związku, którą tak pracowicie budowaliśmy przez lata. Jeśli pozwolimy, żeby sytuacja rozwinęła się, przewiduję, że za jakiś czas nasi członkowie postawią sobie pytanie, jakie korzyści daje im pozostawanie z nami. Kiedy to się

stanie, będzie to oznaczało koniec United Mine Workers w obecnej formie.

Kennedy milcząc, z powagą pokiwał głową. Boyle był bardziej zdecydowany. — Nie mamy wyboru. Musimy ich uderzyć, używając wszystkiego, czym dysponujemy.

Daniel spojrział na niego. — Przemoc nic nie dała w obwodach 46 i 47 okręgu 19, ani w obwodach od 48 do 52 okręgu 23. Jedynym efektem było zmuszenie do zamknięcia kopalni, które podpisały porozumienie ze związkiem, bo cena węgla nie wzrosła z przyczyn ekonomicznych. Nawet finansowy udział UMW w niektórych kopalniach nie uchronił ich przed bankructwem, przyczyniając się nie tylko do utraty członków przez związek, ale także pieniędzy i prestiżu. I ciągle nie wiemy, jaką odpowiedzialność sądy przypiszą związkowi w procesach o naprawienie szkód spowodowanych działalnością w ostatnich latach. Jeżeli zostanie orzeczona pełna odpowiedzialność związku, doprowadzi to do jego bankructwa i zakończenia działalności równie skutecznie, jakby wszyscy członkowie wypisali się jednego dnia.

Boyle był nastrojony bojowo. — Może masz lepszy pomysł? Co mamy robić? Położyć się i czekać, aż dyrekcje i te łamistrajkę założą nam jarzmo?

— Akurat teraz nie mam pomysłu — powiedział Daniel. — Ale wiem, czego nie możemy zrobić. To rok wyborów. Nie możemy sobie pozwolić, żeby zrobić cokolwiek, co zmusiłoby Eisenhowera do zajęcia stanowiska przeciwko nam, a zrobi to, jeśli będzie musiał, żeby zachować poparcie konserwatystów.

— Z tego, co mówisz wynika, że mamy czekać? — spytał Boyle.

— Właśnie — powiedział beznamiętnie Daniel.

— Więc po jaką cholerę miałbyś być nam potrzebny? — zapytał wściekły Boyle. — Prosiłmy cię, żebyś tu przyszedł i przedstawił nam odpowiedzi na pewne pytania.

— Przykro mi, że was rozczarowałem — odparł Daniel. — Nigdy nie mówiłem, że mam jakieś odpowiedzi. Ale masz rację. To wy prosiłście o spotkanie. Nie ja.

Podniósł się. — Panie Lewis, spotkanie z panem jest dla mnie zawsze zaszczytem.

John L. spojrział na niego groźnie. — Siadaj, Danielu. Nie powiedziałem, że spotkanie zostało skończone.

Począł, aż Daniel wróci na miejsce. — Podczas naszego spotkania z prezydentem odniosłem wrażenie, że ceni cię on niezwykle wysoko.

Daniel milczał.

— Uważam, że bardzo pomogłoby nam zdobycie wiarygodności w kręgach rządowych, o ile znaleźlibyśmy jakąś metodę współpracy. Myślę, że ogłoszenie podpisania porozumienia przez UMW i CALL w celu prowadzenia studiów ekonomicznych, obejmujących zakładanie nowych organizacji, planowanie funduszu emerytalnego, programy dotyczące zdrowia i opieki społecznej, pomogłoby przekonać prezydenta, że zajmujemy się poważnymi przedsięwzięciami.

Daniel spojrzał starcowi prosto w ooczy. — Pan ma na myśli stworzenie zasłony dymnej, za którą mógłby pan dalej prowadzić własną grę.

Lewis odchrząknął. — To dosyć brutalne postawienie sprawy.

— Ale to prawda.

Lewis spojrzał na swych towarzyszy, potem skinął głową. — Tak.

— Panie Lewis, pan zna moją reputację — powiedział Daniel. — Wszyscy wiedzą, że nie siedzę cicho, kiedy jestem mocno przekonany, że coś jest dobre dla członka związku.

— Wykorzystamy ją — rzekł Lewis. — Nie zapominaj, że ja także całe życie walczyłem o poprawę warunków życia robotników. Możemy różnić się co do metod i opinii, ale nie co do motywacji. A ostatecznie, prawo podjęcia decyzji musi pozostawać w rękach związku, który cię zatrudnia.

— Panie Lewis, dziękuję za umożliwienie mi tego. To dla mnie zaszczyt pomóc panu i UMW. — Daniel wyciągnął rękę. — Chce pan, żebyśmy kiedy zaczęli?

Lewis z uśmiechem uściśnął mu rękę. — Wczoraj. Szczegóły omówisz z Tonym i z Tomem.

Boyle wyszedł za nim do samochodu. — Będiesz pracować ze mną, wiesz o tym.

— Wiem.

— To był mój pomysł. John L. poszedł na to; hak, żyłka i zarzucenie. Starzeje się. Wszystko, czego teraz chce, to zachować czyste ręce.

— Pomogę mu w tym — powiedział Daniel. — Ale nie mogę ukrywać umów finansowych. Wprowadził związek w zbyt wiele rzeczy. National Bank w Waszyngtonie, kopalnie West Kentucky i Nashville kupione za pieniądze związku z funduszów: emerytalnego i ubezpieczeń społecznych. Wcześniej czy później rząd to odkryje, a kiedy to się stanie, będzie katastrofa. Musi więc myśleć nie tylko o finansowanych przez związek kampaniach organizacyjnych.

— Powiesz mi? — spytał Boyle.

— W swoim czasie — powiedział Daniel.

— Nie spodoba mi się to.

— Nic na to nie poradzę — odparł Daniel. — Prosił mnie, żeby mu pomóc. Spróbuję to zrobić. Powiedział mi też, że dalej będzie robił dokładnie to, co będzie chciał. Zrozumiałem, co chciał przez to powiedzieć.

— A to, o czym my rozmawialiśmy? To się nie zmieniło? Daniel spojrzął na niego. — Bez zmian. Będę pracował z tobą,

by dopilnować, że zostaniesz przewodniczącym. Ale od razu dam ci darmową radę. Nie jesteś Johnem L. i nigdy nie będziesz. To znaczy, że nie uciekniesz z dziewięćdziesięcioma procentami tego, co on robi. Kiedy umrze, zrobi się nieciekawie. Lepiej się pilnuj, żeby mieć wtedy czyste ręce.

— Zostaw to mnie — powiedział poufale Boyle. — Wiem, co mam robić. Nie można kierować tym związkiem, będąc przyjemniaczkiem.

— Nie spieram się — odparł Daniel. — To tylko przyjacielska rada.

— Po pierwsze chciałbym, byś wysłał ekipę do Middlesboro, żeby przywiozła nam raport o wszystkich nowych kopalniach i szybach, wyrastających w całej okolicy. Będziemy potrzebowali szacunkowej oceny wysokości produkcji i stanu zatrudnienia. Coś czuję, że jeśli szybko się do tego nie zabierzemy, sprzedaż dla TVA z kopalni kontrolowanych przez związki spadnie niemal do zera.

— Ja się tym zajmę — powiedział Daniel, wsiadając do samochodu. — To będzie wymagało trochę pieniędzy.

— Powiesz mi ile, a dostaniesz je następnego dnia rano — rzekł Boyle.

5

Kiedy zatrzymał auto przy krawężniku, czekała przed wejściem do budynku, w którym mieściło się jego biuro. Wsiadł z samochodu i podszedł do niej. — Czemu nie weszłaś do środka?

— Pana biuro było zamknięte, a wewnątrz nie było nikogo.

— Mogłaś poczekać w recepcji.

— Dziewczyna stamtąd właśnie wychodziła i powiedziała, że nie wiedzą, czy pan wróci.

— Przepraszam — powiedział po prostu, otworzył drzwi i przytrzymał je przed nią. Weszli schodami do biur na drugim piętrze. — Długo czekałaś?

— Od szóstej.

Zerknął na zegar ścienny. Było po siódmej. — Zatrzymali mnie na spotkaniu.

Wyjął z kieszeni klucz i otworzył drzwi. Weszła za nim do jego biura. Podszedł do biurka i wyciągnął butelkę whisky. Nalał sobie.

— Nic się nie stało, że poczekałam — powiedziała. — Wiedziałaś, że pan nie zapomni.

Przełknął whisky. — Mogłem zadzwonić.

— Nic się nie stało. Naprawdę.

Uśmiechnął się. — Wyglądasz dziś bardzo ładnie. Poczula, jak twarz zalewa jej fala ciepła. — Dziękuję.

— Wydaje mi się, że mam pracę dla twojego ojca, jeżeli go to interesuje. Będziemy tu teraz mieli coraz więcej pracy i przydałby się nam nocny dozorca, żeby przypilnował wszystkiego i odbierał telefony.

Uśmiechnęła się. — Będzie chyba bardzo zadowolony.

— Długi czas pracy. Od siódmej wieczór do siódmej rano.

— To mu nie będzie przeszkadzać.

— Przyjedź z nim w przyszłym tygodniu i skieruj do pana Brringtona. On się wszystkim zajmie.

— Dziękuję, panie Huggins.

Nalał sobie kolejną szklaneczkę. — Czy już nie czas, żebyś zaczęła mi mówić Daniel? Nagle zawstydzila się. — Jeśli pan chce.

— Chcę, Margaret.

— Dobrze, Danielu — niemal szepnęła.

— Tak lepiej — rzekł. — Mam parę telefonów do załatwienia. Spieszysz się na kolację?

Podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Odebrał Moses.

— Barrington. — Poza jego głosem słychać było okrzyki dzieci.

— Czy przeszkadzam ci w kolacji?

— Jeszcze nie — odparł Moses. — Przecież słyszysz, jak dzieciaki wrzeszczą.

— Nie zabiorę ci dużo czasu — powiedział Daniel. — Tylko pomyślałem, że dla odmiany chciałbyś usłyszeć jakieś dobre wieści.

W głos Mosesa zakradło się podniecenie. — Boyle przeszedł?

— Lepiej. John L. chce, żebyśmy coś dla niego zrobili. Moses nie mógł uwierzyć. — Żartujesz. Nie igraj ze mną, Danielu, bo moje serce tego nie wytrzyma.

Daniel roześmiał się. — Wszystko zgodne z prawem. Chce, żebyśmy podjęli bezstronne studia w całym terenie.

Zaczynamy badaniem okręgów Middlesboro i Kentucky. Będziesz musiał zebrać ekipę i zaraz jechać w teren.

— Będę potrzebował więcej ludzi — powiedział Moses.

— Więc ich zbierz. I weź tam z sobą Juniора jako swojego zastępcę. Chcę, żeby powąchał prochu.

— A co z Harvardem?

— Chwilowo będzie musiał go odpuścić. Ważniejsze jest, żeby zdobył prawdziwe doświadczenie. College może zacząć później. Kiedy uznasz, że złapał, o co chodzi, zostaw go tam i wracaj do biura.

— Dobrze, Big Dan. — Zniżył głos. — Miałeś telefon z Miami. Chce, żebyś zaraz do niego oddzwonił.

— Zajmę się tym.

Moses znowu odezwał się głośnie. — Gratulacje. To było jak wyciągnięcie królika z cylindra. Nie wiem, jak tego dokonałeś.

Daniel był zadowolony. — To tylko początek. Zobaczymy się z samego rana.

Odłożył słuchawkę i spojrzął ponad biurkiem. — Jeszcze jeden telefon i możemy iść.

— Nie spiesz mi się.

Podał międzymiastowej numer. Czekaając na połączenie, zasłonił słuchawkę dłonią. — Margaret, czy to nowa suknia?

Pokręciła głową.

— Jest bardzo ładna. Ale przecież ty też jesteś ładna. Spłonęła. —Dziękuję.

W słuchawce zadźwięczał głos. Podano tylko numer. — Siedem, sześć, trzy, trzy.

— Mówi Daniel Huggins.

— Chwileczkę, sir. — Coś trzasnęło na Unii. Zgłosił się Lansky. Przeszedł od razu do rzeczy. — Chcę, żeby wyświadczył mi pan przysługę.

— Proszę tylko powiedzieć — powiedział Daniel.

— Transportowcy będą mieli niedługo wybory w New Jersey. Chcę, żeby pan dopilnował, by wygrał je właściwy człowiek.

— Zrobię, co w mojej mocy — powiedział Daniel. — Jak się nazywa?

— Tony Pro.

Daniel milczał przez chwilę. Tony Pro; Anthony Provenanzo. Jeden z Rodziny.

— Nie wybiera pan łatwego kandydata — powiedział. — Pan wie, że Dave Beck jest przeciwko niemu.

— To pańskie zmartwienie — powiedział beznamyślnie Lansky. — Po prostu niech pan powie Hoffie, że jeśli Tony Pro zostanie przewodniczącym tego okręgu, nigdy nie będzie musiał się obawiać o transportowców na Wschodnim Wybrzeżu.

— Zaraz się do tego zabiorę — powiedział Daniel.

— I niech mnie pan o wszystkim informuje — Lansky wyłączył się.

Daniel wolno odłożył słuchawkę. Zaczął znowu wykręcać numer Mosesa, jednak rozmyślił się. To może poczekać do rana. Ale huśtawka. Jak nie było nic do roboty, to teraz jest za dużo. Nagle poczuł zmęczenie.

— Czy coś nie tak, Danielu? — spytała.

Spojrzał na nią. — Chyba jestem po prostu zmęczony. To był długi dzień.

— Nie musisz zabierać mnie na kolację. Jeśli wolisz jechać do domu i odpocząć, to mną się nie przejmuj.

— Mam pomysł — powiedział. — Dlaczego by nie pojechać do mnie? Poproszę Mamie, żeby przygotowała nam dobrą kolację, a potem możemy posiedzieć i pooglądać telewizję.

Znowu poczuła, że jej twarz zalewa rumieniec, ale oczy zdradzały, że ją to ucieszyło. — Jeśli tak uważasz.

Uśmiechnął się nagle i ten uśmiech odmłodził go. Podniósł słuchawkę i zadzwonił do domu. — Mamie, proszę o olbrzymie steki z wszelkimi dodatkami. Przywożę na kolację do domu śliczną dziewczynę.

To był mały dom, zupełnie nie taki, jakiego się spodziewała. W stylu Cape Cod, położony w okolicy, gdzie każdy dom na ulicy wyglądał niemal jak sąsiedni. Nie było podjazdów, więc zaparkował samochód na ulicy. Przeszli przez mały trawnik do frontowych drzwi.

Zanim do nich doszli, otworzyła je mocno zbudowana Murzynka. W uśmiechu pokazała białe zęby.

— Dobry wieczór, panie Dan.

^ — Mamie, to jest panna Rourke — powiedział Daniel, prowadząc ją do domu.

— Dobry wieczór, panno Rourke — przywitała się Mamie.

— Miło mi panią poznać, Mamie. — Uśmiechnęła się Margaret. — Mam nadzieję, że nie sprawiliśmy kłopotu.

— Ależ nie, panno Rourke. Jak się pracuje u pana Dana, człowiek musi przywyknąć do takich rzeczy. Nigdy nie mówi, z kim przyjdzie do domu. Proszę się rozgościć, a ja idę przygotować kplację.

Spojrzała na Dana. — Jeśli pan chce, ma pan czas wziąć prysznic i się przebrać.

— Dobrze, szefowo — powiedział Daniel i obrócił się do Margaret. — Wydaje się jej, że jest moją matką i prowadzi mnie za rękę.

Mamie udała gniew. — Ktoś tu musi rządzić. Teraz niech już pan idzie, a ja dopilnuję, żeby ta mała ślicznotka dobrze się tu czuła.

Margaret kiwnęła głową. — Idź. Dam sobie radę.

Poszedł schodami na górę, a Mamie zaprowadziła ją do salonu.

— Teraz proszę tu usiąść, a ja przyniosę co tylko pani zechce do picia.

— Niczego nie potrzebuję. Czy mogę w czymś pomóc?

Mamie uśmiechnęła się. — Wszystko gotowe. Proszę sobie odpocząć.

Ruszyła z pokoju, ale zatrzymała się i odwróciła. — Długo zna pani pana Dana?

Margaret pokręciła głową. — Niedługo, może dwa miesiące.

Mamie uśmiechnęła się szeroko. — Musi pani coś w sobie mieć. Nigdy jeszcze nie przyprowadził do domu żadnej ze swoich dziewczyn.

Margaret patrzyła za nią, jak wychodzi z pokoju. Z góry dobiegło ją trzaśnięcie drzwiami. Wolno rozejrzała się po pokoju. Meble były staromodne, ciężkie i ciemne. Krzesła i kanapa wypełniały małą powierzchnię podłogi. W rogu stało biurko z telefonem, a przy ścianie naprzeciw kanapy stał telewizor, a nad nim regały, wypełnione książkami, które wyglądały, jakby nigdy nie były czytane. Na ścianach wisiało kilka bliżej nie określonych płócien. I to wszystko.

Nagle uderzyła ją pewna myśl. Szybko rozejrzała się znowu po pokoju. Dziwne. Nigdzie w pokoju nie było niczyjego portretu lub fotografii. Po raz pierwszy znalazła się w domu, w którym nie było ani jednej fotografii. Jej własny mały dom był nimi wypełniony.

Usłyszała jego kroki na schodach i odwróciła się. Przebrał się w ciemne spodnie i sportową, rozpiętą pod szyją koszulę, spod której wyłaniał się gęsty materac włosów. Włosy miał ciągle mokre po kąpieli; uśmiechnął się szeroko, gdy dostrzegł jak się w niego wpatruje. — Czy coś się stało?

Wyglądał jakoś młodziej. Pokręciła głową. — Po raz pierwszy widzę cię bez garnituru i krawata.

— Zdejmuję je także do łóżka — powiedział. Zaczerwieniła się.

— Zobaczą, czy kolacja gotowa — rzekł. — Chcesz jeść tu, czy w kuchni?

— Jak ty chcesz.

— W kuchni — powiedział. — Zawsze tam jemy. Tak jest wygodniej.

Po kolacji wrócili do salonu. Włączył telewizor i postawił na stole przed sobą butelkę whisky. Nalał sobie.

Obserwowali, jak odbiornik nagrzewa się i na ekranie pojawił się jakiś teleturniej. Oglądała z zainteresowaniem. W domu nie

miała telewizora. On wydawał się znudzony, ale oglądał w milczeniu, zajmując się pracowicie butelką whisky. Później przez jakiś czas oglądali film, potem wiadomości o jedenastej. W czasie wieczoru nie wymienili pewnie więcej niż dziesięć słów, a na kanapie siedzieli w odpowiedniej odległości od siebie.

Na koniec podniósł się. — Robi się późno. Czas, żebym cię zawiózł na stację autobusową.

Podniosła na niego wzrok i nie ruszyła się.

— Nie słyszałaś, co mówiłem?

— Słyszałam.

— Wiec lepiej chodźmy.

Milcząc* wstała i podeszła do niego. — Danielu.

— Co takiego?

— Nie musiałam przychodzić tutaj tylko po to, żeby zjeść kolację.

Spojrzał na nią. — Mam dosyć lat, żeby być twoim ojcem.

— Ale nie jesteś moim ojcem.

— Słyszałaś te wszystkie opowiadania o mnie. Nawet twój ojciec cię ostrzegał.

— To prawda.

— Czy to dla ciebie nic nie znaczy? Skinęła głową. Owszem.

— Wiec lepiej pozwól mi zawieźć cię na stację autobusową, zanim zrobimy coś, czego oboje będziemy żałować.

Spoglądała na niego szeroko otwartymi oczami. — Czy nie chcesz mnie? Nie odpowiedział.

— Ja ciebie chcę. Pragnęłam cię od chwili, kiedy pierwszy raz weszłam do twojego biura.

— Nie podrywam dzieci — powiedział ochrypłym głosem.

— Powiem ci to samo, co powiedziałam swojemu ojcu. Nie jestem już dzieckiem.

Znowu milczał.

— Nie jestem dziewczicą, jeśli się tego boisz. Ale po raz pierwszy kogoś naprawdę pragnę.

Przyglądał się jej dłuższą chwilę, potem odwrócił się i odszedł na drugą stronę pokoju. — Zbieraj się — burknął. —

Zawiozę cię do domu. Chcę porozmawiać z twoim ojcem.

— Nie — powiedziała stanowczo. — Wszystko, co niasz powiedziec mojemu ojcu, mozesz powiedziec mnie.
— Ile masz lat?
Zawahala sie przez chwile. — Prawie siedemnaście.
— Wiec musze porozmawiac z twoim ojcem. Widzisz, chce sie z toba ozenic.

6

Deszcz przeszedł w deszcz ze śniegiem, który ściał lodem czarną powierzchnię drogi wiodącej do miasta. Daniel spojrzal na prowadzacego Mosea. — Gdzie jest Junior?
— Czeka na nas w pensjonacie Greena — odparł Moses, mrużąc oczy, by widziec cos poprzez pracujace na przedniej szybie wycieraczki.
— A inni?
— Sa z nim.
Daniel znowu zerknal na niego. Moses milczal. To nie bylo u niego normalne. Zwyczajnie nie przestawal mowic. Daniel wyjal z wewnetrznej kieszeni cygaro i zapalil je. — Jak myslisz, kiedy bedziesz mial gotowy raport?
— Mamy juz wszystko zebrane. Czekamy tylko zebyś ty to przejrzal i sprawdzil, zanim to wydrukujemy.
Daniel skinal glowa. To nie byl normalny tryb. Moses nigdy przedtem na niego nie czekal. — Jak sie spisal Junior?
— Dobrze. — Moses spojrzal na niego. — On ma cos z ciebie. Wali prosto do przodu.
— Ciesze sie, ze go zobacze — powiedzial Daniel. — Mam dla niego nowine. '
— Jesli taka, ze Margaret jest w ciazy, to chyba juz slyszal — powiedzial Moses.
— Ale ja dowiedzialem sie dopiero w zeszlym tygodniu. — W glোসie Daniela zabrzmialo zdziwienie.
— Jest w drugim miesiacu — rzekl Moses. — Gratulacje.
— Dziekuje — powiedzial kwaśno Daniel. — Wyglada na to, ze wszyscy wiedza. Czy oni maja mikrofony w mojej sypialni?

Moses uśmiechnął się szeroko. — Dobrze wiesz. Kobiety niczego nie potrafią zachować w tajemnicy.
— Cholera. — Daniel już wiedział. Mamie. Junior dzwonił do niej raz w tygodniu po instrukcje. Roześmiał się. —
Głowę daję, że byliście tak samo zdziwieni jak ja.
— Nie byliśmy zdziwieni. Tak naprawdę, to nie potrafiliśmy sobie wytłumaczyć, czemu zabiera ci to tyle czasu.
Przejechali obok stojącego przy drodze znaku:
WITAJCIE W JELLICO ludność 1200
— Jeszcze pięć minut — powiedział Moses, skręcając na główną ulicę. Jechali obok osiedli domów, skupionych po
obu stronach drogi. Przed nimi ukazały się światła centrum. Pomimo deszczu ze śniegiem ulice były zatłoczone
ludźmi, spacerującymi, oglądającymi wystawy sklepowe.
— Ruchliwe miasto — powiedział Daniel. — Wygląda na więcej niż tysiąc dwieście mieszkańców.
— Większość z nich nie jest stąd — stwierdził Moses. — Tu na ulicy jest niewielu miejscowych.
— A kim oni są?
— To górnicy.
— Nie wyglądają mi na górników — rzekł Daniel. — Są zbyt czyści. I przede wszystkim górnicy są zbyt zmęczeni,
żeby tak sobie spacerować.
Moses milczał.
— Gdzie pracują?
— Nie tutaj — powiedział Moses. — Są spoza miasta. Ale to na pewno górnicy. Wszyscy noszą legitymacje
związku.
Po minięciu centrum skręcił w lewo i zatrzymał samochód przed dużym budynkiem. — Jesteśmy na miejscu.
Daniel poczekał, aż Moses zamknie samochód, potem wszedł za nim do budynku. Junior czekał tuż za drzwiami.
— Ojczy — powiedział z uśmiechem.
Daniel uściśnął mu dłoń. Junior zmęzniał. Już nie wyglądał tak chłopięco jak trzy miesiące temu. — Jak się czujesz,
synu?
— Świetnie. A ty?
— Naprawdę dobrze.

— Chodźcie ze mną — powiedział Junior. — Wszyscy czekają w jadalni!

Przy stole czekało pięciu ludzi. Dwóch z nich Daniel znał. Pracowali w CALL. Jack Haney, młody adwokat, specjalista od prawa pracy, który pracował u nich od zeszłego roku, i asystent Mosesa, świetny analityk statystyczny, świeżo pozyskany z Wharton School of Finance. Daniel uścisnął ich dłonie, a Junior przedstawił pozostałych. Max Neal i Barry Leif, przysłani z centrali UMW w Middlesboro, i zastępca szeryfa Mike Carson, weteran UMW, Pod każdym względem była to czołówka ruchu UMW w Jellico.

Daniel zasiadł u szczytu stołu i rozejrzał się. Przeszedł od razu do rzeczy.

— Wszyscy wiecie, dlaczego tu jestem. John L. Lewis poprosił mnie o sprawozdanie z pewnych aspektów waszej organizacyjnej działalności w tym terenie, więc od razu się do tego zabierzmy. Pierwszym punktem porządku obrad jest „Kto ma whisky?”

Wszyscy roześmiali się. Zastępca szeryfa Carson, wyjmując butlę spod stołu, odparł:

— Big Dan, już myślałem, że nie zapytasz.

Nie wiadomo skąd pojawiły się szklanki. Napełnił jedną i podał ją Danielowi. — To domowy produkt. Najlepszy, jaki może być. Daniel spróbował. To był płynny ogień. Uśmiechnął się.

— Rzeczywiście, szeryfie. Nie próbowałem takiego bimbru od czasu, kiedy pomagałem memu tacie w jego destylarni.

— Dzięki, Big Dan. W twoich ustach to prawdziwy komplement. — Carson napełnił pozostałe szklanki. Podniósł swoją, wznosząc toast: — Witaj w domu, Big Dan.

Daniel skinął głową i wypił whisky. — Teraz wprowadźcie mnie we wszystko.

Jack Haney rozejrzał się po siedzących wokół stołu. — Czy pozwolicie, że przedstawię krótkie podsumowanie?

Nie było sprzeciwu. Spojrzał na rozłożony , na stole plik dokumentów. ,

— Głównym problemem są tutaj kopalnie Osborne'a. Są największe w okolicy i mają wiele szybów, a lewe firmy przewozowe nie trzymają się umów ze związkami i sprzedają węgiel do TV A taniej, niż mogą to robić kopalnie związkowe z dwóch powodów.

Po pierwsze, płaci mniej niż kopalnie mające porozumienie ze związkami. Po drugie, nie musi płacić składki czterdziestu centów od tony na fundusz zasiłkowy związku. Twierdzi, że gdyby to robił, nie mógłby przedstawić oferty TVA i zbankrutowałby. Za jego przykładem poszło jakieś trzydzieści do czterdziestu innych małych kopalni, działających w ten sam sposób. I to jest sedno sprawy.

— Macie jego dane? — spytał Daniel.

— Tak — odparł Moses.

Jego asystent podał mu komplet dokumentów. — Proszę.

— Zrobiliście wyliczenia? Moses skinął głową.

.— I co?

— W zasadzie ma rację. Tak jak działa, zbankrutowałby, gdyby płacił.

— Powiedziałaś: tak jak działa?

— Nie jest nowoczesny—rzekł Moses. — Ma wydajność około ośmiu ton na człowieka, podczas gdy kompletnie wyposażone kopalnie związkowe osiągają trzydzieści ton. Gdyby mógł zmienić maszyny, stać by go było na wyższe pensje i składki na fundusz zasiłkowy. Ale on twierdzi, że nie ma na to pieniędzy.

— A ma?

— Nie — powiedział Moses. — Przy tym sposobie wydobywania prawie nie ma zysku.

— A pozostali?

— Ciągną tak samo kiepsko jak on, albo jeszcze gorzej. — Odłożył dokumenty. — To są przeważnie rodzinne firmy.

— W końcowym efekcie wszyscy na tym tracimy — odezwał się Barry Leif. — Związkowe kopalnie nie mogą sprzedać po swoich cenach, więc w rezultacie zwalniają swoich pracowników, a inni ich zatrudniają. Mamy cztery wielkie kopalnie, zatrudniające ponad tysiąc członków związku, którym w każdej chwili grozi zamknięcie.

— Jadąc przez miasto.- zaczął Daniel — widziałem na ulicach wielu ludzi. Gzy to wszystko górnicy?

Leif skinął głową. I tu pracują?

— Nie — powiedział Max Neal. — To ochotnicy, których ściągnęliśmy z Middlesboro, żeby pomogli nam zrobić porządek z tym bałaganem.

— A jak chcecie to zrobić? — spytał Daniel.

— Ostro ich przyciśniemy. Albo się do nas przyłączą, albo ich zniszczymy.

Daniel rozejrzał się, a po chwili skinął głową. — Mam obraz sytuacji. Może jutro obwieźlibyście mnie, żebym mógł przyjrzeć się temu z bliska.

— O której?

— Zaraz po śniadaniu. Może być o ósmej?

Kiedy organizatorzy z UMW i zastępca szeryfa wyszli, Daniel rozejrzał się po pozostałych. — A teraz powiedzcie mi, o co chodzi?

Pierwszy odezwał się Moses. — Siedzimy na wulkanie, który zaraz wybuchnie. Wczoraj zaczęli zatrzymywać ciężarówki przyjeżdżające do miasta po węgiel. Tym, co nie zawrócili, szeryf wydawał upoważnienia do ładowania bez odpowiedniego sprzętu. Potem, przy wyjeździe z miasta, kierowcy byli wyciągani z ciężarówek, bici, a węgiel zrzucony. Teraz dowiedzieliśmy się, że Osborne wynajął uzbrojonych strażników do prowadzenia ciężarówek do granicy stanu. Carson powiada, że czeka na nich; zaprzysięga ponad setkę ochotników z UMW i wydaje pozwolenia na broń. Zamierzają wysadzić w powietrze kilka mniejszych kopalni i zorganizować lotne oddziały, żeby udały się do innych i nakłoniły ludzi do przystąpienia do związku. W niektórych z tych kopalni pracują ich właściciele; to górale, którzy nie zamierzają podporządkować się bez oporu. Są uzbrojeni i czekają. Te wszystkie posunięcia doprowadzą do rzezi.

Daniel obrócił się do Jacka Haneya. — Jak to wygląda od strony prawnej?

— Niedobrze — powiedział młody adwokat. — Zgodnie zobowiązującymi przepisami UMW odpowiada za wszystkie szkody, jakie spowoduje. Nawet jeśli uda im się na siłę wprowadzić związki do tych wszystkich kopalni, dalej będą zobowiązani do zapłaty wysokich odszkodowań. Mogą upłynąć lata, zanim sądy wydadzą wyroki, ale kiedy do tego dojdzie, może to zrujnować finanse UMW.

— Co z wyborami do NLRB?

— UMW nie chce ich. Nie należy do tego okręgu i wie, że przegra.

— A bezpośrednio negocjacje?

— Zerwane. Żadna ze stron nie wierzy drugiej.

— Macie pomysł na jakiś kompromis, żeby ich pogodzić? Na chwilę zapadła cisza. Wtedy odezwał się Junior: — Ja mam,

ale nie wiem, czy to jest wykonalne w praktyce. — Wiec posłuchajmy, synu.

— UMW sprowadził tu przynajmniej pięciuset ludzi, którzy nie płacą za siebie. Ich utrzymanie kosztuje UMW przynajmniej dwa i pół tysiąca dziennie. Uważam, że właściciele kopalni zgodziliby się płacić stawki równe związkowym, gdyby liczone od tonażu odpisy na fundusz zasiłkowy zostały obcięte.

— Lewis się na to nie zgodzi. To zaszkodziłoby innym jego interesom.

— Pozornie te czterdzieści centów nie musiałoby zostać zmienione. Powiedzmy, że płaciliby dziesięć centów po wydobyciu każdej tony, a na koniec każdego roku przyjmowaliby plan płatności do bilansu opartego na zrewidowanych zyskach. Gdyby nie starczało im zysku, przenosiliby płatność na przyszły rok. Jednocześnie związek wykazywałby należność na rzecz funduszu w wysokości czterdziestu centów od tony, przy czym nie zapłaconą część traktowałby jako wierzytelność. Po trzech latach, sądząc po obecnej produkcji tych kopalni, nawet jeśli związek nie uzyska tych pieniędzy, wyjdzie to taniej, niż utrzymywanie tutaj tych ludzi przez kolejne sześćdziesiąt dni, nie mówiąc już o odpowiedzialności, jaka może być wynikiem obecnej sytuacji.

Daniel spojrział na syna. Wolno pokiwał głową. Nie zdradził się, jaką poczuł dumę. Plan mógł mieć pewne usterki, ale to był krok we właściwą stronę. To był kompromis, pozwalający zachować twarz obu stronom. Więcej. To jego syn o tym pomyślał. Nikt inny. Jego syn. Rozejrzał się po siedzących przy stole. — Co o tym myślicie? — spytał. Moses odpowiedział w imieniu wszystkich. — To dobry pomysł. To może wyjść. Ale najpierw musisz sprzedać go Lewisowi.

— Ile mamy czasu?

— Niewiele. Najwyżej parę dni. Neal i Leif są gotowi do wszczęcia awantury.

— Można ich jakoś powstrzymać? Moses pokręcił głową. — W żaden sposób.

Daniel rtałał sobie whisky i szybko ją przełknął. — Jeśli to wybuchnie, czy jest jakiś sposób, żebyśmy mogli bronić i usprawiedliwiać stanowisko zajęte przez UMW? W końcu po to nas wynajęli.

Moses rozejrzył się po pozostałych. Znowu odezwał się w ich imieniu. — Nie wiem, jak moglibyśmy to zrobić.

Kiedy to wygląda źle z każdej strony, to nie możemy mówić, że dobrze.

Daniel był znużony. — Jeśli nie możemy tego zrobić, stracimy Lewisa i UMW. Wtedy znowu jesteśmy w punkcie wyjścia. Stracimy ich pieniądze i znowu jesteśmy bankrutami.

— Nie musimy nic robić, ojciec — powiedział Junior. — Musimy jedynie przygotować sprawozdanie. Zanim dostarczymy je Lewisowi, nie będzie już można nic zrobić. A my zrobiliśmy to, co do nas należało.

— Pozornie tak — powiedział Daniel. — Ale wszyscy dobrze wiemy, że nie działamy uczciwie.

— Ojciec, nikt od nas nie żąda, żebyśmy byli uczciwi. Daniel w milczeniu spoglądał na syna.

— Wydaje mi się, że teraz najważniejsza jest sprawa przetrwania. Może następnym razem będziemy mogli pozwolić sobie na uczciwość. Jeżeli w ogóle mamy nadzieję kimś być, musimy jeszcze działać, żeby tego dokonać.

Daniel pokręcił głową. — Ja tak nie postępuję. Jutro lecę do Waszyngtonu zobaczyć się z Lewisem.

— Ale po co, ojciec? Dlaczego nie pozwolisz nam po prostu dokończyć raportu i wtedy normalnie go zawieźć? Nie musisz wywoływać tam sensacji jak rycerz na białym koniu. Co masz nadzieję osiągnąć?

— Kiedy to się zacznie, ucierpi wielu ludzi po obu stronach. To zresztą nieważne. Może potrafimy temu zapobiec.

— To nie nasza wojna, ojciec — powiedział Junior. — Całe życie biłeś się w wojnach innych ludzi i dokąd cię to doprowadziło?

— Przykro mi synu — odparł Daniel. — Ale miałeś dobry pomysł. Jestem pewny, że kiedy Lewis dowie się, co się tu wyprawia, coś z tym zrobi.

Junior spojrział ojcu w oczy. — Dlaczego przypuszczasz, że on nie wie? Przecież to model stosowany we wszystkich działaniach UMW od 1944. Kopalnie Meadow Creek w Sparcie, Tennessee,

w 1948. Dynamit, przemoc i terror. Ta sama taktyka w Hopkins County, Kentucky, przeciwko West Kentucky Coal Company w 1949. Dysponuje listą długą jak twoje ramię. John L. Lewis to UMW i będzie nim aż do dnia, kiedy odejdzie na emeryturę lub umrze. A dlatego, że do brudnej roboty deleguje Tony'ego Boyle'a i jego pomocników, uważasz, że on naprawdę nie wie, co się dzieje?

— Możesz mieć rację, ale mimo to muszę to zrobić.

— Nie, ojczu. Nie postępujesz uczciwie. Ani wobec siebie, ani wobec ludzi, którzy stali przy tobie przez te wszystkie lata, poświęcając się sami, swoje rodziny i kariery w poszukiwaniu ideału, który w naszym społeczeństwie po prostu nie sprawdza się. Sam już zdawałeś sobie z tego sprawę, kiedy złożyłeś propozycję Boyle'owi i Hoffie, kiedy wziąłeś pieniądze od naszego przyjaciela z Florydy. Sam zawarłeś ten układ. Teraz nie możesz się z niego wycofać.

Daniel powiedział spokojnym głosem: — Łatwo ci mówić, synu. Być może masz rację. To nie nasza wojna, ale brałem w niej udział. Pośrodku przemocy, rannych i zmarłych leżących wokół mnie. Nie mogę dopuścić, żeby tak się stało, tak długo, jak długo jest jakaś szansa, żeby temu zapobiec.

Milczeli. Daniel rozejrzał się wokół. — To była sprawa osobista — powiedział. — Ciągłe mamy do wykonania pracę, jaką nam powierzono. Kiedy to się skończy, będziemy musieli dostarczyć UMW ocenę sytuacji, z której będzie wynikać, że musieli to wszystko zrobić.

Podniósł się. — Odwołajcie mój jutrzejszy wyjazd. Powiedzcie im, że pilnie wezwano mnie z powrotem. Może mógłbyś zawieźć mnie na lotnisko?— powiedział, obracając się w stronę syna.

Deszcz ze śniegiem przestał padać, ale jezdnia była śliska. Przez dłuższy czas obaj milczeli, dopiero gdy samochód zbliżał się do lotniska, Daniel zwrócił się do syna.

— Jestem z ciebie bardzo dumny, synu.

— Myślałem, że jesteś na mnie zły, ojczu. Nie chcę, żeby tak było, chcę żyć z tobą w zgodzie. Nawet jeśli się nie zgadzamy.

— Nie byłem zły. To, co powiedziałeś, to prawda. Ale ja jestem chyba staromodny. Pamiętam, jak to kiedyś było. Marzenia, jakie mieliśmy, kiedy byłem młody. Ale ty masz rację. To nie ten świat.

— To, ten sam świat, ojczu. Tylko sprawy załatwia się w inny sposób.

— Kiedy skończymy tę pracę, chcę, żebyś wrócił do college'u.

— Czy uważasz, że to naprawdę konieczne, ojcze? Mogę ci naprawdę pomóc.

— Junior, powiedziałeś, że to inny świat. Będziesz musiał nauczyć się o nim o wiele więcej niż ja się nauczyłem; Sięgnął po cygaro, ale schował je z powrotem do kieszeni.

— Nie ma sensu go zapalać. I tak każą mi je wyrzucić, kiedy wsiądę do samolotu.

Junior roześmiał się. Wjechali na drogę dojazdową do lotniska.

— Jak się czuje Margaret?

— Świetnie.

— Cieszy się, że będzie miała dziecko?

— Tak mi się wydaje — Daniel zerknął na niego. — A ty? Junior kiwnął głową. — Jeśli ty, to ja też.

— Ja tak. Margaret to dobra dziewczyna.

— Jest młoda, ojcze.

Daniel uśmiechnął się. — Chyba jest. Ale w głębi duszy ciągle jestem góralem. My żenimy się z młodymi dziewczynami. Junior milczał.

— Nie pochwalasz tego? ^

— Ojcze, masz pięćdziesiąt sześć lat. To nie o to chodzi, żebyś nie miał dziewczyn. Całe życie cię z nimi widywałem. Ja po prostu nie rozumiem dlaczego, i to wszystko.

— Być może dlatego, że przypominała mi dziewczyny, które znałem, kiedy byłem młody. Dziewczyny, które przedwcześnie dorastały i musiały zajmować się swoimi rodzinami.

Junior dalej milczał.

— A może po prostu dlatego, że ją kochałem, synu.

Junior zatrzymał samochód przed budynkiem dworca i spojrzął na Daniela. — To najlepszy powód ze wszystkich możliwych, ojcze. Nie potrzebujesz mieć lepszego.

Daniel wysiadł z samochodu. Nachylił się z powrotem do środka.

— Wiesz, synu, że ciebie też kocham.

Oczy Juniora były wilgotne. — I ja cię kocham, ojcze.

Obrócił się w łóżku i otworzył oczy. Margaret przyglądała mu się. Uśmiechnął się, przechylił nad poduszkami i pocałował ją.

— Coś ci się w nocy śniło.

— Nie wiem.

— Krzyczałeś przez sen — powiedziała. — Czy jesteś nieszczęśliwy?

Pokręcił głową. Wysunął nogi z łóżka. — Jak się czujesz?

— Dobrze. Dziecko się chyba ruszało.

Odwrócił się z powrotem do niej. — Trzeba było mnie obudzić.

— Nie byłam pewna. To dopiero piąty miesiąc.

— Ale to było możliwe. Szczególnie, jeżeli to chłopiec.

— Chcesz mieć chłopca? Pokiwał głową i wstał. — Tak.

— Ale masz już jednego syna—rzekła. — Czy nie jesteś z niego zadowolony?

— Nie. Tylko, że... —pomyślał przez chwilę. — Junior to tylko jedna moja strona. Ta praktyczna. Jest dobry i w tym, co robi, będzie w swoim czasie lepszy ode mnie.

— Więc o co ci chodzi?

— Chciałbym mieć syna, który czuje tak, jak ja. Który marzy o tym, co ja, kiedy byłem młody, który widzi piękno w ludziach i rzeczach wokół nich, dla którego życie nie musi stanowić serii logicznie wytłumaczalnych zdarzeń.

— Czy dziewczynka nie mogłaby odczuwać tego samego? Uśmiechnął się. — Myślę, że tak. Ale to będzie chłopiec.

— Czy będziesz niezadowolony, gdyby to była dziewczynka?

— Nie.

Milczała przez chwilę. — To będzie chłopiec. Wstała z łóżka i przyjrzała się sobie w lustrze. — Nie mam dużego brzucha, tylko piersi: Uśmiechnął się. — Są piękne.

— Podobają ci się duże piersi?

Roześmiał się. — Podobają mi się twoje piersi. Sięgnęła po szlafrok. — Pójdę na dół i zacznę przygotowywać śniadanie.

— Mamie się tym zajmie.

— Lubię przygotowywać ci śniadanie. Ona robi wszystko pozostałe.

Podszedł do niej i objął ją. — Nie wszystko.

— Mam nadzieję, że nie. — Pocałowała go w policzek. Wsunął ręce pod szlafrok, obejmując dłońmi jej piersi. Były sprężyste i ciężkie; poczuł twardniejące sutki i gorącą falę w swoich lędźwiach. — Chodź z powrotem do łóżka.

Uczuła, że płynie ku niemu. — Spóźnisz się do pracy.

Ściągnął jej z ramion szlafrok, odsłaniając mleczną biel piersi. Schylił się ku nim, oblizując językiem krąg zaczerwienionej aureoli. — Nie spóźnię się, jeżeli pozwolisz, żeby Mamie przygotowała śniadanie.

Dłonią odszukała go już przygotowanego i przesunęli się w stronę łóżka. Opadli na nie; nogami oplotła jego biodra i wprowadziła go do środka.

— Danielu — szeptała z przymkniętymi oczami. — Jak mi dobrze. Jak dobrze. Jak dobrze.

Kiedy weszła do kuchni, tylko Junior siedział przy stole.

— Dzień dobry, matko Maggie— powiedział z uśmiechem.

— Dzień dobry D.J. — powiedziała, podeszła do pieca i naląła sobie kubek kawy, po czym zbliżyła się do stołu i usiadła. — Czy twój ojciec pojechał do pracy?

Skinął głową. — Podrzucił Mamie na rynek. Upiła łyk kawy. — Wracasz do szkoły w poniedziałek? Roześmiał się.

— Jeśli można wam, zakochanym ptaszkom, zaufać, że dacie sobie radę sami.

— DJ. — zaprotestowała. Odkąd się spotkali, zaczęła go nazywać D.J., w skrócie od Daniel Junior. To brzmiało lepiej niż sam Junior. On zrewanżował się jej matką Maggie, ale oboje szczerze się lubili i wzajemnie szanowali za miłość każdego z nich do człowieka, który ich związał. — Nie spał zbyt dobrze ostatniej nocy.

D.J. spojrział na nią.

— Coś go niepokoi — powiedziała. — Od zeszłego tygodnia zaczął nosić rewolwer w kaburze pod pachą.

— Mówił ci coś?

Pokręciła głową. — Nie. Kiedy zapytałam, powiedział, że zawsze go nosił.

— To prawda. Pamiętam, że zawsze go widziałem, odkąd byłem dzieckiem.

— Co się dzieje, D.J? Nie jestem dzieckiem, bez względu na to, co on o tym myśli. Jestem jego żoną.

— Mnie też ojciec się nie zwierza. — Zastanowił się przez chwilę. — Narobił sobie sporo wrogów, którzy pojawili się jako sprzymierzeńcy UMW. po zamieszkach i kłopotach w Jellico parę miesięcy temu,

— Czy sądzisz, że groziliby mu?

D.J. pokręcił głową. — Nie przypuszczam. To rodzaj wojny, w jakiej bierze udział przez całe życie.

— Więc co to może być?

D.J. spojrział na nią. — Teraz mnie przestraszyłaś.

— Nie chciałam tego — powiedziała. W jej oczach pojawiły się łzy. — Uwielbiam go. Wiesz, że tak jest. Jest najwspanialszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znałam.

— Może to nic takiego — powiedział zakłopotany. — Zawsze nosił rewolwer. Może stwarzamy coś, co nie istnieje. Płakała teraz cicho i spokojnie. — Chcę mu pomóc. Chcę z nim porozmawiać, ale nie wiem jak. On wie tyle więcej ode mnie. Nie wiem, co powiedzieć.

Sięgnął ponad stołem i delikatnie poklepał jej rękę. — Tylko się rozluźnij, matko Maggie. Jeśli się za bardzo zdenerwujesz, to nie wyjdzie dziecku na zdrowie.

— Jesteś zupełnie jak twój ojciec — zaszlochała, ale ślad uśmiechu rozciągnął jej usta. — On by to samo powiedział. Może by to powiedział — zgodził się D.J. — Ale obawiam się, że nie jestem zupełnie taki, jak on. Chociaż chciałbym być.

Daniel zaparkował w alei za magazynem, wszedł rozchwianymi schodami z tyłu magazynu na górę i zapukał do żelaznych drzwi przeciwpożarowych. Trzy razy szybko, potem jeszcze raz.

Drzwi otworzyły się natychmiast. Stał w nich, przyglądając mu się, potężnie zbudowany mężczyzna. — Pan Huggins?

Daniel skinął głową.

— Tędy.

Daniel podążył za mężczyzną przez długie, opustoszałe magazyny, w których zbiornikach zbierał się tylko kurz, potem dalej schodami w drugim końcu budynku. Przeszedł kolejne stalowe drzwi i w końcu znaleźli się w biurze. Przy długim stole siedziało wielu mężczyzn i kobiet, sortujących kartki papieru. Nie podnieśli wzroku, kiedy dwaj mężczyźni przeszli obok nich do następnego pokoju. Tu również stał długi stół, a wokół niego i zebrani byli mężczyźni i kobiety. Tyle że przy tym stole nie sortowali kartek papieru, ale liczyli pieniądze. Banknoty i monety; monety wkładali do maszyny, która pakowała je w równe, podobne do bankowych, rulony. Nikt nie zwrócił na nich uwagi, gdy przechodzili do następnego pokoju.

Lansky siedział za biurkiem w skąpo umeblowanym pokoju o białych ścianach. Stało tu kilka krzeseł i kanapa w nieokreślonym stylu. W pokoju znajdowali się również dwaj ochroniarze, których Daniel spotkał, gdy odwiedził Lansky'ego na Florydzie. Na znak Lansky'ego opuścili pokój, zostawiając go samego z Danielem.

— Proszę przysunąć sobie krzesło — powiedział Lansky. Daniel siadł przed biurkiem. Nie odzywał się.

— Dobrze się pan spisał — zaczął Lansky; — Chyba po raz pierwszy członkowie związku dostali uczciwy udział w funduszach: ubezpieczeniowym i emerytalnym. Są tak przyzwyczajeni do tego, że urzędnicy ich nabierają, że zastanawiam się, czy w ogóle rozumieją, co pan dla nich robi.

Daniel ciągle milczał.

— My zresztą też nieźle się sprawiliśmy — powiedział Lansky. — Chociaż niektóre z firm ubezpieczeniowych skarżą mi się, że za bardzo się pan targuje.

— Niech narzekają — rzekł Daniel. — Jest dosyć, żeby nikt nie musiał kraść.

Lansky spojrział na niego. Wyglądał na zdziwionego. — Jest pan dziwnym człowiekiem, Big Dan. Widzę, że nie miał pan z tego nic poza ciężką pracą. Spłata pożyczki następuje w terminie, odsetki wpływają na konta funduszy związkowych; nie bierze pan nic poza normalną pensją, pańskie wydatki są minimalne. Gdzie jest pańska zapłata?

Daniel uśmiechnął się. Najwyraźniej Lansky sprawdził wszystko.

— Pieniądze to nie wszystko. Jestem idealistą. Lansky roześmiał się. — Idealista! Każdy lubi pieniądze.

— Nie powiedziałem, że nie lubię. Powiedziałem tylko, że nie są one wszystkim. Pan ma więcej pieniędzy, niż panu potrzeba, panie Lansky. Dlaczego ciągle pan pracuje?

Lansky spojrział na niego z namysłem. Nie odpowiedział.

— Dlaczego nie odejdzie pan na emeryturę i przez resztę życia po prostu nie cieszy się nim?

— To nie takie łatwe — powiedział Lansky. — Mam pewne zobowiązania.

— Pieniędźmi można je spłacić. To musi być coś / więcej. Z jednej rzeczy nie chce pan zrezygnować.

— I według pana, co to jest? — spytał Lansky.

— Władza — rzekł krótko Daniel.

Lansky przyglądał mu się przez moment. — I właśnie tego pan chce?

— Tak. Ale nie chcę za nią płacić kosztem ludzi, których mam reprezentować.

— Więc jak chce ją pan zdobyć?

— W prosty sposób. Układam się z szatanami.

— Czy to nie poderwie zaufania do pana?

— Nie. Pojmuję to tak, że ograniczam ich możliwości czynienia zła. Dzięki temu, co zrobiłem przez ostatnie sześć miesięcy, ponad sześćset tysięcy członków związku dostaje wyższy o dwadzieścia procent zasiłek z funduszów: emerytalnego i ubezpieczeniowego. A gdybym nie naciskał, UMW nigdy nie otworzyłoby w czerwcu tych dziesięciu szpitali w Wirginii i Kentucky.

— Ale czy to nie pomaga w umacnianiu potęgi szatanów?

— Nie jestem policjantem, panie Lansky. Nie wybierałem ich na te stanowiska. Członkowie związku mają zdecydować, kto ma ich reprezentować!

Daniel wyjął z kieszeni cygaro i włożył je do ust. Nie zapalił go, tylko mu się przyglądał.

— Panie Lansky, całe życie spędziłem w ruchu związkowym i widziałem wszelkie niesprawiedliwości. Po obu stronach. Doszedłem do wniosku, że nie potrafię naprawić tego z zewnątrz. Jediną metodą, żeby poprawić system, jest w nim pracować.

Lansky spoglądał na niego. — Nie będzie mi przeszkadzało, jeśli pan zapali.

Począł, aż Daniel zapali cygaro. — Wobec tego przypuszczam, że nie będzie pana interesować przepuszczenie przez konta waszych funduszy emerytalnych pięciu milionów dolarów, nawet gdyby miał pan dostać za to osobiście pięć procent prowizji?

— Mówi pan o tych pieniądzach? — Daniel kiwnął głową w stronę drzwi za sobą.

— Tak.

— To dobrze pan przypuszczał, panie Lansky.

Lansky milczał przez moment. — Ale nie miałby pan nic przeciwko współpracy z jakimś związkiem, nawet jeśli AFL-CIO miały wykluczyć go za korupcję.

— Mówimy o transportowcach, Bakery Workers, i przede wszystkim Laundry Workers?

— O nich. Także o Building and Maintenance Workers i ILA, jak również o innych. Mówię o około dwóch i pół miliona członków związków, którzy w najbliższych paru latach mogą szukać nowego domu.

— Tylko na takich warunkach, na jakich pracuję teraz. Nie mam zamiaru budować nowej organizacji związkowej opozycyjnej wobec AFL-CIO. Jak już mówiłem, moim celem jest zdobycie większych korzyści dla robotników poprzez pracę z wybranymi przez nich urzędnikami, a nie kontrolowanie ich.

Lansky uśmiechnął się. — Pamięta pan to opowiadanie *Diabeł i Daniel Webster!* Czy jest pan pewny, że nie nazywa się pan Daniel Webster Huggins?

Daniel roześmiał się. — Nie. Nazywam się Daniel Boone.

— A ja nie jestem diabłem — powiedział cicho Lansky. — Nie musi pan wybierać przede mną dusz pracowników.

— Miło mi to słyszeć, panie Lansky, bo zaczynałem się już niepokoić — odparł Daniel.

— Robi pan sobie wrogów, Big Dan. Niektórych z ludzi, którym pan najwięcej pomógł, zaczyna denerwować poparcie, jakie pan zdobywa w ich własnych związkach.

— Całe życie robiłem sobie wrogów, panie Lansky — powiedział Daniel. — Nauczyłem się z tym żyć.

— Ja też, Big Dan — rzekł cicho Lansky. — I, żeby pan przeżył, chciałbym panu zaproponować, żeby zastosował pan niektóre środki ostrożności, które ja stosuję.

Daniel milczał. To było przesłanie tego spotkania. Po chwili podniósł się. Doszły go już jakieś pogłoski, dlatego zaczął znowu nosić rewolwer. To dziwne, ale cieszył się, że pogróżki nie pochodziły od tego małego człowieczka naprzeciw niego. Poczuł, że jest mu on dziwnie bliski. Obaj byli swojego rodzaju wyrzutkami.

— Dziękuję, panie Lansky — powiedział. — Zrobię, co będę mógł.

Lansky uśmiechnął się i nacisnął przycisk na biurku. Mężczyźni wrócili do pokoju. Spotkanie było skończone.

8

— Dwieście tysięcy dolarów tygodniowo, a to tylko na początek — powiedział Hoffa. — I Dave Beck nie położy na tym swoich lepkich paluchów. Daniel siedział, przyglądając mu się w milczeniu.

— Chcę, żeby Central States założyły swój własny fundusz emerytalny, a wy mi pomożecie. Dlatego, chłopaki, wezwałem was tutaj.

Daniel zerknął na Mosesa i Jacka Haneya, którzy z nim przyjechali, potem na dwóch współpracowników Hoffy, Bobby'ego Holmesa i Harolda Gibbonsa. — Ale tak dokładnie, to czego od nas oczekujesz?

— Chcę, żebyście opracowali taki mądry system, który pozwoliłby nam zarządzać własnym funduszem dla dobra naszych członków.

— Kto ma prowadzić ten fundusz? — spytał Dan.

Hoffa był zdziwiony. — Ja. A uważasz, że komu innemu powierzyłbym tyle pieniędzy?

Daniel zachował powagę. — Możesz napotkać problemy. Może wyniknąć konflikt interesów, twojego i związku.

— Nie ma żadnego problemu — odezwał się Hoffa. — To, co dobre dla mnie, jest dobre dla związku.

— Nie będę się spierał — rzekł Daniel. — Ale może być trudno innych o tym przekonać.

— To twoje zadanie — powiedział Hoffa. — Więc, jak to robimy?

— Chcesz odpowiedzi teraz?

— Teraz, do cholery! — szczechnął Hoffa. — Zbieraliśmy te pieniądze przez prawie rok i ponad dziesięć milionów dolarów leży bezużytecznie w banku.

Daniel uśmiechnął się. — Pieniądze parzą ci dłonie, Jimmy. Po raz pierwszy Jimmy roześmiał się. — No pewnie. Przedłożono nam pewne propozycje i możemy zarobić kupę pieniędzy.

— Co to za propozycje?

— Dwaj moi starzy przyjaciele z Detroit mają szerokie wpływy w Vegas i możliwości wykorzystania kapitału. Płacą wysokie odsetki, bo banki robią im kłopoty.

Daniel kiwnął głową, pamiętając swoją rozmowę z Lanskim w zeszłym miesiącu. Teraz to wszystko miało sens. Powiązania małego człowieczka były rozległe i szerokie.

— To brzmi rozsądnie. Ale będziesz musiał zróżnicować portfel swoich inwestycji. Nie możesz wchodzić tylko w takie interesy. Jakie wyniki daje pakiet ubezpieczeniowy?

— Dobre — powiedział Jimmy. — Dali mojemu przyjacielowi wyłączne przedstawicielstwo, więc wszystko w porządku.

— Przyjemnie słyszeć — stwierdził Daniel. — Proponuję, żebyś dał nam wszystkie dostępne ci informacje, a my w ciągu tygodnia zjawimy się u ciebie z gotowym planem.

— Nie później? — rzekł Hoffa.

— Nie później.

Hoffa zwrócił się do Gibbonsa. — Przekaż mu papiery.

— Kopie wystarczą? — spytał Gibbons, spoglądając na Daniela. Nie chciałbym stracić oryginałów.

Gibbons wyszedł z pokoju. Hoffa pochylił się nad biurkiem.

— Czy możemy chwilę porozmawiać prywatnie?

Daniel skinął głową. Na dany znak, pozostali mężczyźni wyszli z pokoju. Poczekał, aż zamkną drzwi za sobą.

— Co cię męczy?

— Dave Beck — powiedział Hoffa. — To nie wygląda dobrze.

— To prawda — odparł Daniel.

- Jak myślisz, jak dużo czasu zabierze im, żeby go posadzili?
- Biorąc pod uwagę możliwe środki odwoławcze, jeszcze rok, może piętnaście miesięcy.
- Hoffa podniósł ołówek i bawił się nim przez chwilę. — Mówią, że może śpiewać, żeby dostać lżejszy wyrok.
- Nie sędzę — powiedział Daniel. — Wszystko, co na niego mają, to parę parszywych groszy podatku dochodowego. Nie mają nic, żeby go trzymać wiecznie. Jest zbyt sprytny, żeby sypać, bo wie, że wysypie swoją emeryturę i porozumienia wynikające z jego umowy o pracę ze związkiem transportowców.
- Więc powinienem być gotowy do ruchu na jesienne wybory w okręgu 57?
- Tak.
- Czy myślisz, że mi się uda?
- Uda ci się. Nie ma nikogo innego — powiedział Daniel. — Ale to również mógłbyś wiedzieć, o ile jeszcze tego nie wiesz. Jesteś następnym celem. Będą węszyć za tobą jak za gangsterami.
- Niech się odpieprzą — skwitował Hoffa. — Nic na mnie nie znajdą.
- Tak właśnie myślał Dave Beck. Znajdą sposób.
- Nie jestem idiotą. Płacę podatki.
- Jest teraz nagonka na transportowców. Polityczny atak na związek może wykorzystać strach społeczeństwa przed wpływem, jaki związek ma na naszą ekonomię. Prędzej czy później jakiś polityk zagra na tym. Było zbyt wiele oświadczeń szefów transportowców, że mogą unieruchomić kraj jednym strajkiem.
- Bo możemy — powiedział Hoffa.
- Zrób tak, i to będzie koniec związku — powiedział po prostu Daniel. — Wkroczy w to rząd i go przejmie.
- Wiem — odparł Hoffa, odkładając ołówek. — Jak myślisz, gdzie w tym wszystkim ustawia się Meany?
- Transportowcy nie mają szans tam, gdzie działa AFL-CIO. Tamci przyłączają się do ataku na korupcję, która wyszła na jaw w czasie śledztwa i procesu Dave'a Becka.
- Ale rząd tego nie udowodnił.
- Meany tego nie potrzebuje. Wszystko, czego mu potrzeba, to pretekstu, żeby cię zmieść.

— Boi się, żebyśmy nie wkroczyli na jego teren i nie przejęli go — powiedział Hoffa.

— Być może.

— Nie jestem tym zainteresowany. Może ty mógłbyś mu to powiedzieć.

— Powiem mu. Ale on nie będzie miał powodów, żeby mi wierzyć. Nie lubi mnie bardziej niż ciebie. — Daniel spojrzał na niego. — Jest jednak między nami wielka różnica. Mnie nie może nic zrobić. CALL nie jest związkiem; działa na usługach związku i jest grupą konsultacyjną, z której usług mogą korzystać wszystkie związki. A nawet wtedy nie prowadzimy polityki, my ją zalecamy. Każdy związek musi sam zdecydować o kursie, jaki przyjmie. I mogą z nas zrezygnować z każdego powodu i w każdej chwili.

— Słyszałem, że zapowiedział wielu związkom, że jeśli zatrudnią CALL, uzna to za naruszenie tajemnicy informacji AFL-CIO.

— Też o tym słyszałem — powiedział Daniel. — Ale nie mam dowodu. Poza tym to nie mój problem.

— Chyba nie — uśmiechnął się Hoffa. — Z tego, co słyszę, zwerbowałeś parę związków z całego kraju. Daniel skinął głową. — Może zaczynają dochodzić do przekonania, że dobrze wykonujemy naszą pracę.

— Jeśli zdecydujesz się budować jakąś inną krajową organizację związkową, możesz liczyć na transportowców.

— Dziękuję — rzekł Daniel. — Ale nie ma miejsca na dwie oddzielne organizacje. AFL i CIO doszły do takiego wniosku i połączyły się. Ja jestem zadowolony z tego, co jest.

Hoffa roześmiał się. — Big Dan, jesteś albo najbardziej sprytny, albo najbardziej tępą w całym ruchu związkowym. Daniel także się roześmiał. — Nie przyszło ci do głowy, że mogę być jednym i drugim?

Później, w drodze na lotnisko, Moses pochylił się w samochodzie do Daniela i powiedział cicho. — Wiesz, Hoffa okłamał nas.

— Odnośnie do czego?

— Powiedział, że ma odłożone około dziesięciu milionów dolarów. Jest tego więcej niż pięćdziesiąt milionów. Zapomniał też wspomnieć o innych większych okręgach, które kontroluje.

— Tak sobie wyobrażałem — rzekł Daniel.

Moses powiedział przyciszonym, niemal wystraszonego głosem:

— Za trzy lata będą mieli do gry ponad miliard dolarów.

— No i co?

— To znaczy, że kasa UMW będzie przy tym wyglądać jak narożny sklep spożywczy. Lewis będzie mógł mu buty wiązać.

— To nie nasza sprawa, ile mają pieniędzy — rzekł Daniel.

— Ale powinna być — powiedział Moses. — Chcą od nas, żebyśmy im powiedzieli, co z nimi zrobić.

— Nie, tego nie chcą — rzekł Daniel. — Proszą nas, żebyśmy polecili im jakiś sposób na zainwestowanie i ochronę tych pieniędzy w interesie swoich członków.

— Tak naprawdę, to chcą, żebyś dał im pozwolenie na kradzież.

— Tego ode mnie nie dostaną. Dostaną dokładnie to, o co proszą.

— Nie będziesz w stanie trzymać się z dala od tego — rzekł Moses. — Jeśli wpadną w tarapaty, przyjdą do ciebie, żebyś ich bronił.

— Nie mogę teraz się o to martwić — powiedział Daniel.

— Mimo wszystko byłoby lepiej, żebyśmy zaczęli o tym myśleć — rzekł posępnie Moses.

— Dobrze. Co, według ciebie, powinniśmy zrobić na początek?

— Central States płacą nam dziesięć centów od członka. Jeśli zdecydujemy się przejąć ich fundusz emerytalny, myślę, że winni nam płacić dodatkowe dziesięć centów.

— Nie rozumiem. Jak nam to pomoże w rozwiązaniu ich problemów?

— Będziemy musieli powiększyć personel. A to będzie kosztowało. Ktoś będzie musiał za to zapłacić.

Daniel spojrział na niego. — I myślisz, że oni powinni to zrobić?

Moses skinął głową. — To wydaje mi się jedynie uczciwe. Ich na to stać. Nas nie.

Daniel zastanowił się przez chwilę. — Zgadza się. Ujmij to jako część oferty, którą im przedłożymy.

— A jeśli się nie zgodzą?

— Tak czy inaczej mamy pracę. Czy mi się podoba, czy nie, umówiłem się z Jimmym Hoffą i zamierzam dotrzymać słowa.

9

Przez otwarte okno doszedł ich dźwięk klaksonu auta. Daniel podniósł wzrok znad porannej gazety. — Jest już samochód.

— Słyszałam — powiedziała Margaret. Dopił kawę. — Muszę jechać.

— Będiesz wieczorem na kolacji?

— Nie wiem. Mamy mnóstwo pracy. Nie powinienem był przyjmować tej dodatkowej pracy od transportowców. Doszło do tego, że opracowujemy i sprawdzamy wszystkie wnioski kredytowe, a wiele z nich musimy wysłać z naszymi uwagami na posiedzenie ich zarządu, które odbędzie się pojutrze.

— Przez ostatnie dziesięć dni tylko dwa razy byłeś na kolacji w domu — powiedziała.

Spojrzał na nią. — Nie było na to rady. Mam swoje obowiązki.

— Wobec mnie też masz obowiązki — rzekła.

Podniósł się. — Wiem o tym. Ale wiedziałaś, jaką mam pracę, zanim się pobraliśmy.

— Wtedy nie byłeś tak zajęty. Miałeś więcej czasu dla siebie i dla mnie.

— Byliśmy też na krawędzi bankructwa.

— A pieniądze coś pomogły?

— Przynajmniej płacimy nasze rachunki — powiedział. — A nowy dom, który budujemy w Scarsdale w Nowym Jorku, nie jest znowu tak skromny.

— Jest mi dobrze tutaj. Dlaczego musimy przenosić się do Nowego Jorku?

— Już ci to tłumaczyłem — rzekł cierpliwie. — Coraz bardziej angażujemy się w zarządzanie funduszami. W Nowym Jorku są pieniądze. Dlatego przenosimy nasze biura do centrum, blisko Wall Street.

Milczała, gdy nakładał marynarke.

— Odpręż się — powiedział. — Wszystko będzie dobrze. Ostatni miesiąc jest zawsze najgorszy. Kiedy urodzi się dziecko, poczujesz się lepiej.

Pokręciła głową. — Wyglądam tak okropnie.

Obszedł stół i pocałował ją. — Jesteś piękna.

— Już nie będę miała takiej figury jak przedtem. Roześmiał się. — Będiesz miała. O to się nie martw.

— Boję się, że spotkasz jakąś dziewczynę i ona mi cię zabierze. — Spojrzała mu w oczy.

— Nie ma mowy.

— To już ponad miesiąc — powiedziała. — Znam cię. Każdego ranka widzę, jak wyglądasz, kiedy się budzisz.

— Siusiu, zimny prysznic i załatwione — powiedział ze śmiechem.

— Ile razy w ciągu dnia musisz brać zimny prysznic? Pokręcił głową. — Co ja mam z tobą zrobić? Milczała.

— No już — powiedział. — Nie jest tak źle.

— Nie mogę już nawet brać cię do ust — powiedziała. — Cały czas zbiera mi się na wymioty.

— Jesteś niemądra.

Po jej policzkach zaczęły płynąć łzy. — Boję się. Wiem, że cię stracę.

Podniósł ją i pocałował, uważając, żeby nie przycisnąć jej brzucha. — Nie stracisz mnie.

Za oknem znowu zatrąbił klakson. — Jestem już spóźniony. Muszę jechać.

Poszła za nim do drzwi. — Co z kolacją?

— Postaram się być. Zadzwoń do ciebie po południu. Stała w progu i patrzyła, jak idzie ścieżką do auta. Szofer wysiadł i otworzył mu drzwi. Usiadł na tylnym siedzeniu. Poczekała, aż samochód skręci za rogiem na końcu ulicy, potem wróciła do domu.

Mamie wychodziła właśnie z kuchni z torbą na zakupy w ręku. — Wychodziłam akurat do sklepu. Czy mogę coś pani przynieść, pani Huggins?

— Nie — powiedziała Margaret. — Nic mi nie trzeba. Idę na górę do łóżka poleżeć trochę.

Przejechali zaledwie parę przecznic, kiedy George, kierowca, zerknął do tyłu na Daniela. — Panie Huggins, jedzie za nami jakiś samochód.

— Jesteś pewny? — spytał Daniel.

George rzucił okiem w tylne lusterko. — Absolutnie. Niebieski dodge. Dwóch ludzi na przednim siedzeniu.

Przyczepili się do mnie, kiedy wyjechałem rano z garażu.

Daniel wyjrzał przez tylną szybę. Za nimi panował spory ruch i nie zauważył auta. — Gdzie są?

— Jakieś siedem samochodów za nami — odparł George. Teraz i Daniel ich zobaczył. Samochód wyglądał zupełnie normalnie. Widział dwóch mężczyzn na przednim siedzeniu, ale nie mógł powiedzieć, jak wyglądali. —

Rozpoznałeś któregoś z nich?

George pokręcił głową. — Żadnego z nich przedtem nie widziałem.

— Czy przyjechałeś do mnie prosto z garażu?

— Nie, sir — odparł George. — Najpierw musiałem zabrać z hotelu pana Gibbonsa i zawieźć go do biura transportowców na spotkanie z panem Beckiem. Wysadziłem go, potem pojechałem po pana.

Daniel pokiwał głową. To był szofer i samochód transportowców. Zupełnie normalne, że najpierw zadbali o swoje sprawy. Hoffa załatwił, że w razie potrzeby Daniel miał samochód z szoferem do dyspozycji.

— Jak myślisz, co to za jedni?

— Nie wiem — powiedział George. — Może to gliny. Oni używają takich gratów jak ten.

— Wspomniałeś o tym panu Gibbonsowi?

— Nie, wtedy nie byłem jeszcze pewny. Upewniłem się dopiero, kiedy go wysadziłem, a oni dalej za mną jechali.

— Nosisz broń? — spytał Daniel.

— Nie, sir.

— Kto jeszcze wiedział, że mnie zabierasz dziś rano?

— Wszyscy — odparł George. — Zlecenia dla kierowców są wywieszane na tablicy poprzedniego wieczoru.

Daniel spojrzął do tyłu. Dodge jechał ciągle jakieś pięć samochodów za nimi. Obrócił się na siedzeniu.

— Przeskocz następne czerwone światła i skreć w prawo. Potem wjedź w pierwszą lepszą uliczkę. Zatrzymaj się tam i połóż się na przednim siedzeniu.

George zerknął do tyłu i zobaczył, że Daniel wyciąga rewolwer z kabury pod pachą. Zaszło mu w gardle. — Czy myśli pan, że będzie strzelanina?

Daniel sprawdził bębenek rewolweru. — Nie sędzę, ale dawno temu nauczyłem się nie ryzykować bez potrzeby.

Ręce George'a zacisnęły się kurczowo na kierownicy. Przejechali jeszcze trzy przecznice, zanim mógł wykorzystać okazję. Skoczył przez czerwone światła i ostro skrećił w prawo. Kiedy znowu skrećili w uliczkę, Daniel, wyglądający przez tylną szybę, nie dostrzegł niebieskiego samochodu. George zatrzymał samochód w połowie drogi do następnej ulicy i odwrócił się.

— Kładź się — powiedział ostro Daniel.

George zniknął, a Daniel spojrzął przez szybę na ulicę. Jakąś minutę później niebieski samochód przemknął obok uliczki.

— W porządku — rzekł Daniel. — Zbierajmy się stąd i zawieź mnie do mojego biura.

George skrećił koła, żeby wyjechać z uliczki, a Daniel schował rewolwer do kabury.

— Jezu! — powiedział George.

— Masz jakieś inne zlecenia po tym, jak mnie wyrzucisz?

— Powiedziano mi, żebym został z panem przez cały dzień.

— Nie. Wysadź mnie, a potem wracaj do garażu. Kiedy tylko tam dojedziesz, zadzwoń do mnie i daj mi znać, czy ciągle jeżdżą za tobą.

George zerknął w lusterko. — Znowu są za nami.

— Spodziewałem się ich — rzekł Daniel. — Chciałem się tylko upewnić, co robią.

W lusterku mignęła mu przestraszona twarz George'a. — Nie ma czego się bać — powiedział uspokajająco. — Teraz już wiedzą, że ich dostrześliśmy. Nie będą robić żadnych numerów.

Samochód zatrzymał się przed dwupiętrowym barakiem czynszowym, w którym mieściły się biura. Bez oglądania się za siebie Daniel wszedł do budynku i skierował się prosto do swojego biura. Był w połowie porannej poczty, kiedy zadzwonił telefon.

— Tu George, panie Huggins. Jestem w garażu. Nie jechali za mną.

— Dobrze, George. Dziękuję.

— Czy życzy pan sobie, żebym coś jeszcze zrobił?

— Nie, George. Zadzwoń, gdyby coś było. Jeszcze raz dziękuję. — Przycisnął guzik na swoim aparacie. Po chwili w biurze zjawili się Moses i Jack.

— Gdzieś tu na ulicy stoi zaparkowany niebieski dodge z dwoma mężczyznami w środku. Śledzili mnie dziś rano od wyjazdu z domu.

— Wiesz, kim są? — spytał z przejęciem Moses.

— Nie mam pojęcia. Niech ktoś spisze ich numery, a potem zobaczy, czy przez naszych przyjaciół w policji można sprawdzić, do kogo należy samochód.

— Sam tego dopilnuję — powiedział szybko Moses.

— Nie. Jeżeli mnie znają, to znają również ciebie. Poślij któregoś chłopaków z biura albo stenotypistę. Powiedz im, żeby nie rzucali się w oczy. Mają po prostu przejść obok i spisać numer. To wszystko.

— Dobrze — powiedział Moses i wyszedł z biura.

Daniel zwrócił się do Jacka. — Jakie mamy wyjście, gdyby pytano nas o sprawy któregoś z naszych klientów?

Jack spojrział na niego. — Jeżeli będą postępować zgodnie z procedurą i zażądają, żebyś zeznawał pod przysięgą, nie masz wyboru. Musisz odpowiadać na pytania.

Daniel milczał.

— Jeżeli o tym myślisz, to nie służy ci ochrona jak w stosunkach klient — adwokat, czy nawet lekarz — pacjent — dodał.

— A co z dokumentami, które zostały nam powierzone przez naszych zleceniodawców?

— Jeżeli dostaniesz wezwanie z sądu, będziesz musiał je wydać. Daniel kiwnął głową i zamyślony spoglądał na biurko.

— Lepiej zbierz wszystkie dokumenty, jakie tu mamy z zewnątrz i zorganizuj ich zwrot poszczególnym zainteresowanym związkom. Do wieczora w naszych aktach chcę mieć tylko nasze własne dokumenty.

— Sprawiasz nam poważny kłopot — powiedział Jack. — Wiele z nich potrzebujemy do pracy.

Nic mnie to nie obchodzi — rzekł Daniel. — Nie zamierzam być tylnym wejściem dla żadnego sukinsyna, który chce dostać któregoś z naszych klientów. Wynieście stąd wszystkie te akta. Jutro zaczniemy organizować do konkretnych zadań małe ekipy, które będą pracować w biurach klientów. To może być trochę niewygodne, ale wykonamy tę pracę.

— To będzie również kosztować — powiedział Jack. Daniel spojrział na niego. — Czy możesz mi powiedzieć, co nie kosztuje?

Do biura wrócił Moses. — Wiemy do kogo należy samochód. Nie musieliśmy dzwonić na policję. Mają to napisane na tablicach rejestracyjnych. General Services of America rządu Stanów Zjednoczonych.

Daniel podniósł na niego wzrok. — Czy znasz kogoś w General Services, kto powie nam, do którego departamentu należy ten samochód?

— Myślę, że tak — odparł Moses. Podniósł słuchawkę i szybko wykręcił numer. Rozmawiał przez telefon spokojnym głosem, potem zakrył słuchawkę dłonią. — Sprawdza to dla nas.

Po chwili powiedział: — Dziękuję — i odłożył słuchawkę.

— Samochód został wypisany na komisję McClellana <— oznajmił. Pełna jej nazwa brzmiała: Senacka Komisja Specjalna do

Badania Nieprawidłowości w Sferze Pracy i Zarządzania.

— Dobrze — rzekł Daniel. — Przynajmniej wiemy, z kim mamy do czynienia. Ich interesują tylko dwa związki: United Auto Workers i Związek Transportowców. A ponieważ nie podpisaliśmy umowy z UAW, musimy założyć, że interesują się nami w związku z transportowcami.

Spojrział na Jacka. — Dopilnuj, żeby akta Teamsters zniknęły stąd w pierwszej kolejności.

10

— Jesteśmy głupcami — powiedział Daniel, odsuwając od siebie szczegółowo opracowany raport.

— Co się stało? — spytał niespokojnie Moses.

— Nic — odparł Daniel. — Po prostu siedzieliśmy na złotej

i o tym nie wiedzieliśmy. Tutaj zalecamy inwestycje funduszowi emerytalnemu transportowców, a sami w tym kierunku nic nie robimy.

— A co możemy zrobić? — spytał Jack.

— Możemy założyć własny fundusz — rzekł Daniel.

— Nie mamy tyle pieniędzy — powiedział Moses.

— Możemy je zdobyć. — Daniel zapalił następne cygaro i wydmuchnął pod sufit chmurę dymu. — Fundusz wzajemnej pomocy. Może do niego przystąpić każdy członek związku indywidualnie, a także całe okręgi. Są setki małych, niezależnych związków lokalnych, które nie mają dosyć pieniędzy, żeby samodzielnie wejść do gry, więc skorzystają z możliwości przyłączenia się do nas.

— Mimo to potrzebujemy pieniędzy, żeby w ogóle zacząć — rzekł Jack. — Na początek pewnie jakieś dziesięć do piętnastu milionów dolarów.

— Tyle mogę zdobyć — stwierdził z przekonaniem Daniel. — Z łatwością wyciągnę je od transportowców i z UMW. I co więcej, to będzie dla nich dobre pociągnięcie ze względów reklamowych. Niektóre z ich inwestycji, mimo że mogą być dochodowe, zaczynają trochę śmierdzieć. To mogłoby lekko przewietrzyć im powietrze.

— To bardzo interesujące — powiedział ostrożnie Jack.

— Nie wiem — rzekł ostrożnie Moses. — To może zupełnie zmienić charakter naszej operacji. Przesuwamy się z pozycji doradcy na pozycję zarządzającego.

— Nie widzę w tym nic złego — odezwał się Daniel. — To jest spójne z naszym celem, by zapewnić lepsze gwarancje członkom związku.

— To może być trudne — powiedział Moses. — W ogóle się nie znamy na prowadzeniu takiego funduszu.

— Zatrudnimy specjalistów. Nie ma na świecie maklera giełdowego, który nie skorzystałby z okazji, żeby wejść w taki interes jak ten. Mamy dziś ponad trzy miliony członków w zrzeszonych z nami związkach. Tylko sto dolarów od każdego członka daje nam trzysta milionów dolarów na inwestycje. Nie trzeba być ekspertem, żeby wiedzieć, że jeśli inwestuje się tylko w pewne akcje, przeciętnie zarobi się na tym osiem procent. Daje to dwadzieścia cztery miliony rocznie i jeśli nasze wynagrodzenie za zarządzanie wyniesie tylko połowę normalnie stosowanego, będziemy zarabiać trzy miliony dolarów rocznie.

— To prawie dwa razy tyle, ile teraz zbieramy składek członkowskich — powiedział Moses. — I nie musimy biegać wkoło z kapeluszem w rękę.

— Zaczynacie chwytac pomysł — rzekł Daniel. Podniósł raport z biurka. — Jack, od razu się do tego zabieraj. Chcę wiedzieć wszystko o tym, co nam jest potrzebne do rozpoczęcia interesu.

— Dobrze.

— Załatw w wydziale statystyki — zwrócił się do Mosesa — żeby sporządzili listę członków każdego ze stowarzyszonych związków. Nazwiska i adresy domowe.

— Będziemy musieli zebrać je od związków — rzekł Moses. — Właśnie teraz nadsyłają nam dane dotyczące poszczególnych członków.

— Więc ściągnij je.

— Ale co ja im powiem? — spytał Moses. — Wiesz, jak są przewrażliwieni na punkcie podawania nazwisk swoich członków.

— Powiedz im, że robimy opracowanie na temat warunków życiowych członków, cokolwiek. Po prostu wymyśl coś, ale zdobądź tę informację.

— Dobrze.

Obaj mężczyźni wstali. Jack wskazał na sprawozdanie. — Chcesz, żebym wysłał to Hoffie?

— Nie — powiedział Daniel. — Chyba doręcę mu to sam.

— Masz jakiś plan. — Hoffa spojrzał na niego przenikliwie. — Inaczej nie przyjeżdżałbyś sam, żeby to przywieźć.

— To prawda — powiedział Daniel. — Poza naszymi poradami w tej teczce, proponuję ci zainwestowanie piętnastu milionów dolarów w uruchamianym przez nas funduszu wzajemnej pomocy.

Hoffa przyjrzał mu się. — Skąd przyszło ci do głowy, że dam ci pieniądze na uruchomienie twojego funduszu, kiedy możemy uruchomić nasz własny?

— Ze względu na świetną reklamę. — Daniel uśmiechnął się. — To pokaże, że wasze zainteresowanie ludźmi pracy przekracza granice wyznaczone przepisami. Że dbacie nie tylko o dobro transportowców, ale również członków całego związku.

— Co to za interes? — spytał Hoffa.

Teraz Daniel roześmiał się. — Chcesz dowiedzieć się czegoś o efektach? Hoffa kiwnął głową. — No, jeszcze jak. — Przez ostatnie dwa tygodnie byłem śledzony przez agentów komisji McClellana. Nasi przyjaciele z Capitolu powiedzieli mi, że powodem, dla którego mnie obserwują, jest to, że chcą się dobrać do ciebie i myślą, że nasze stowarzyszenie doprowadzi ich do czegoś, co będą mogli użyć przeciwko tobie. Już niedługo wkroczą tu któregoś dnia, żeby przejrzeć twoje księgi.

— Czego, do cholery, szukają?

— Nie wiem. I odnoszę wrażenie, że oni też nie wiedzą. Po prostu wydaje im się, że przy takiej ilości przepływających tu pieniędzy, musi dziać się coś nielegalnego.

— W moich aktach nic nie znajdują.

— W moich też nie — powiedział Daniel. — Dwa tygodnie temu odesłałem ci każdy świstek papieru, jaki od was otrzymałem.

— Jak to się stało, że nikt mi o tym nie powiedział?

— Nie wiem. Wszystko odesłałem Gibbonsowi. Hoffa sięgnął po słuchawkę. — Ściągnę tu Gibbonsa.

— To może poczekać — powiedział Daniel. — Teraz to nie jest takie ważne. Lepiej zrób to, co ja. Skontaktuj się ze swoim wydziałem prawnym i dowiedz się dokładnie, jakie masz prawa, kiedy do ciebie przyjdą.

Hoffa spojrzał na niego. Pokiwał głową. — Tak... Daniel milczał.

— Kto jeszcze wkłada pieniądze do tego funduszu?

— UMW wchodzi z pięcioma milionami. — To czemu ja mam wrzucać piętnaście?

— Bo jesteś trzy razy tak bogaty jak oni.

Hoffa roześmiał się. — Wykładasz kawę na ławę, Big Dan. Otworzył sprawozdanie i przejrzał je. — Dlaczego uważasz, że będzie to lepsza inwestycja od tych, które zalecasz?

— Nie wiem, czy będzie lepsza. Wiem tylko, że będzie bezpieczniejsza. Tutaj każde posunięcie wiąże się z pewną spekulacją. Możesz zarobić dużo pieniędzy albo je stracić. My trzymamy się pewnych akcji. Żadnych cudów — po prostu stały, równy wzrost. Może nie zarobisz takich kolosalnych pieniędzy, ale na pewno nie stracisz.

— Czy uzyskamy jakieś względy, jeżeli szybko się zdecydujemy?

— Będiesz mógł mieć swojego człowieka w komisji inwestycyjnej.

Hoffa roześmiał się. — Dużo mi to pomoże. Mam takich dupków w swojej komisji i ciągle każdą decyzję muszę podejmować sam.

Rozparł się wygodnie na krześle. — Za piętnaście milionów musimy dostać jakieś specjalne przywileje.

Daniel potrząsnął głową. — Właśnie tego chcę uniknąć. To ma być fundusz publiczny. Nie chcę, żeby politycy mogli zmienić go w kolejną polityczną piłkę. Chcemy go poprowadzić zgodnie z regulaminem.

— Dobrze, Big Dan — powiedział Hoffa. — Będziemy trzymać się regulaminu.

— Pięć milionów dolarów. — Lewis zamyślił się. Spojrzał na swoich współpracowników. — Co o tym myślisz, Tom?

. Kennedy kiwnął głową. — To daje dobre możliwości.

— Tony? — spytał Lewis.

— To chyba może zadziałać, tak jak mówi Big Dan. Umożliwia wszystkim członkom związku wejście za grosze na amerykański rynek i jest dla nas dobrą reklamą, że bierzemy w tym udział.

— Pięć milionów dolarów to dużo pieniędzy — powiedział Lewis.

Daniel milczał. Biorąc pod uwagę, że Lewis kupił dla UMW bank Washington DC, którego aktywa wynosiły obecnie ponad dwieście milionów dolarów, i że lokaty gotówkowe UMW w tym banku przekraczały już pięćdziesiąt milionów dolarów, staruszek trochę biadolił,

Lewis pochylił się nad biurkiem. — Panie Huggins, ile pieniędzy zebrał już pan na to przedsięwzięcie?

Daniel uśmiechnął się. — Jeśli da mi pan pięć, będę miał dwadzieścia milionów dolarów na początek.

— A jeśli nie dam?

— Nic — powiedział beznamiętnie Daniel.

— Skąd pan bierze te pozostałe piętnaście?

Od transportowców. W głosie Lewisa zabrzmiało niedowierzanie. — Od Dave'a Becka?

— Nie, sir. Od Central States Jimmy'ego Hoffy.

— Więc jeśli ja nie dam panu pieniędzy, Hoffa też nie da?

— Nie, sir. W żaden sposób nie obwarował swojej inwestycji. Tylko, że jeśli pan nie wejdzie, ja nie wezmę jego pieniędzy.

— Dlaczego?

— Potrzebne mi jest szersze oparcie w ruchu związkowym niż tylko jeden związek. Chcę zacząć coś, co przeniknie wszelkie granice między związkami. Coś, co mogłoby dać korzyści i możliwości wszystkim członkom bez względu na to, do jakiego związku należą.

John L. Lewis przyjrzał mu się. — To brzmi idealistycznie.

— Być może, sir. Ale w ideałach nie ma nic złego. Gdyby ich nie było, górnicy ciągle tkwiliby tam, gdzie byli, gdy po raz pierwszy zszedłem do kopalni czterdzieści pięć lat temu.

Lewis wolno pokiwał głową. — To prawda. Czasem zapominamy o walce, która wszystko to umożliwiła. Walka, która nigdy się nie skończy i na zawsze będzie wymagała naszej gotowości.

Zwrócił się do Toma Kennedy'ego. — Tom, opracuj porozumienie z panem Hugginsem. Według mnie, rozpoczyna on bardzo konstruktywny krok dla ruchu robotniczego w Ameryce.

11

— Kluczem do sukcesu lub upadku funduszu będą indywidualni inwestorzy. Jeśli ich zabraknie, narazimy się na zarzut, że jesteśmy jeszcze jedną odnogą ruchu wielkich związków, chcących zmonopolizować pieniądze z ich kas — powiedział chłodno Jack Ha-ney. — To sprawi również, że Wall Street inaczej na nas spojrzy. Na razie nie są za bardzo zadowoleni z naszego planu.

— Pieprzyć ich — powiedział Daniel.' — Kogo to w ogóle obchodzi, co oni myślą?

— Nie możesz tak mówić — odparł Jack. — Bez ich pomocy

szybko znajdziemy się w ślepych zaułku. Muszą nas zaprosić do swojego klubu; za same pieniądze nie kupisz wejścia do niego.

Daniel milczał przez moment. — Potrzebujemy wsparcia finansowego transportowców i UMW, bez niego nie możemy zaczynać.

— Wiedzą o tym i nie są temu przeciwni — powiedział Jack. — Ale po prostu uważają, że na początku fundusz powinien mieć szersze oparcie. Byliby zadowoleni, gdybyśmy mieli chociaż pięćdziesiąt tysięcy akcjonariuszy z minimalnymi inwestycjami.

— To zajmie jakiś czas, żeby ich pozyskać — rzekł Daniel. — Zanim dostaniemy listy członków, wyślemy im prospekty, otrzymamy odpowiedzi i w końcu sprzedamy akcje, minie przynajmniej sześć do dziesięciu miesięcy. Nie chcę czekać tak długo.

— Nie znam żadnego sposobu, żeby to przyspieszyć — rzekł Jack.

Moses, który aż dotąd milczał, powiedział: — Wiem, jak to można zrobić. — Następnie zwrócił się do Jacka: — Nie było cię tu, kiedy Big Dan wędrował po kraju, rekrutując członków CALL, kiedy zaczynaliśmy. To najlepszy sprzedawca na świecie. Oni go tam kochają. Jest jednym z nich.

Daniel spojrzał na niego. — Nie wiem. To jest coś innego.

— To to samo, Big Dan — rzekł Moses. — Musisz wyjechać tam, gdzie leży twoja siła. Pokaż się im, to pójda za tobą.

— To też zajmie dużo czasu — powiedział Daniel.

— Mogę wszystko zorganizować. Objedziesz cały kraj w dwa miesiące — rzekł Moses. — Ciągłe wszędzie mamy wielu przyjaciół. I jeśli okrasimy to propozycją płatnej akcjami, dziesięć procentowej prowizji dla urzędników i szefów okręgów pod warunkiem, że zapiszą swoje związki, nie możemy przegrać.

Daniel zastanowił się przez chwilę. — Jak długo zajęłoby ci uruchomienie tego programu?

— Mogę puścić cię w drogę już w przyszłym tygodniu — rzekł Moses. — Za dwa miesiące będziesz z powrotem ze wszystkimi akcjonariuszami, których potrzebujemy, tak żeby każdy był zadowolony.

- Muszę tu być najpóźniej w połowie przyszłego miesiąca — stwierdził Daniel. — Margaret spodziewa się wtedy dziecka.

— Możemy stosownie do tego opracować nasz terminarz — powiedział Moses. — To zależy od ciebie.
Daniel spojrzął na Jacka. — Czy mamy jakieś inne wyjście? Jack pokręcił głową. — Nie widzę innego sposobu.
Daniel pomyślał chwilę, w końcu zgodził się.
— Dobrze. Zaczynaj działać. Ale pamiętaj. Środkowy tydzień przyszłego miesiąca zostaw wolny.
Spojrzał na zegarek. Było po siódmej. — Lepiej już pójść. Obiecałem Margaret, że nie spóźnię się na kolację.
Kiedy zszedł po schodach, w holu biurowca czekało na niego dwóch mężczyzn. W jednym z nich rozpoznał ochroniarza Lans-ky'ego, wysokiego blondyna, którego pierwszy raz spotkał na lotnisku w Miami.
— Panie Huggins — powiedział uprzejmie blondyn. — Szef chciałby się z panem widzieć.
— Świetnie — rzekł Daniel. — Poproście go, żeby zadzwonił do mnie do domu. Umówimy się na spotkanie.
— Chce się z panem widzieć teraz — upierał się blondyn.
— Jestem już spóźniony na kolację — powiedział Daniel. — Żona na mnie czeka.
— Szef też. — Padła dyplomatyczna odpowiedź. Daniel spojrzął na niego. — Będzie musiał poczekać.
— Nie będzie musiał.
Daniel spojrzął w dół i w kieszeni mężczyzny dostrzegł zarys wycelowanego rewolweru. Roześmiał się.
— Chyba nie.
— Mamy tu samochód. — Drugi mężczyzna poprowadził ich do czarnej limuzyny, zaparkowanej i przed budynkiem. Blondyn trzymał się z boku Daniela. Za kierownicą siedział szofer. Obaj mężczyźni wsiedli z Danielem na tylne siedzenie. Samochód włączył się do ruchu.
Daniel spojrzął przez tylną szybę i zobaczył, że niebieski dodge sedan rusza za nimi. — Pan L. nie będzie zbyt zadowolony, że przyprawiacie mu pod drzwi federalnych.
— O czym pan mówi? — spytał blondyn.
— Proszę obejrzeć się do tyłu — rzekł Daniel. — Niebieski dodge sedan z rządowymi tablicami. FBI. Jeżdżą za mną od paru tygodni.

Blondyn spojrzał na niego, potem na szofera, — Zgub ich.

— Tego bym jednak nie robił — powiedział Daniel. — Mają już wasze numery rejestracyjne. W chwili, kiedy stracą was z oczu, ogłoszą alarm.

Blondyn wyglądał na zmartwionego.

---Najlepiej, gdyby poszedł pan do telefonu i dał znać panu

Lansky'emu, co się dzieje — rzekł Daniel.

— Dobrze, poczekaj — powiedział szybko blondyn. — Zatrzymaj się przy drogerii za rogiem.

Wysiadł, kiedy samochód zatrzymał się. — Poczekajcie tu z nim — powiedział do mężczyzny siedzącego obok Daniela i wszedł do sklepu.

Kiedy pojawił się z powrotem, spojrzał zakłopotany na Daniela. — Pan Lansky powiedział, żebyśmy zawieźli pana do domu.

— Tak jest o wiele mądrzej — stwierdził Daniel, gdy samochód znowu włączył się do ruchu.

— Powiedział, że zadzwoni do pana dziś wieczorem.

— Będę w domu — powiedział Daniel. — Nigdzie się nie ruszam. Po piętnastu minutach samochód zatrzymał się przed domem

Daniela. Daniel wysiadł i odwrócił się do blondyna.

— Dziękuję za podwiezienie.

Blondyn nie odezwał się i spojrzał na niego spode łba. Daniel uśmiechnął się. Zdawało się, że nie wykonał ruchu, ale nagle w jego dłoni pojawił się rewolwer, który wepchnął blondynowi prosto w twarz.

— Gdy następnym razem przyjedziesz po mnie, lepiej od razu zacznij strzelać — powiedział cicho, nie przestając się uśmiechać. — Bo kiedy tylko cię zobaczę, rozwalę ci łeb. Przekaż to ode mnie panu Lansky'emu.

Rewolwer zniknął z jego ręki. Daniel zatrzaskał drzwi, odwrócił się i poszedł ścieżką do drzwi wejściowych. Zanim zdążył wejść do środka, samochód odjechał.

Gdy siedli do kolacji, zadzwonił telefon. Odebrała Mamie.

— Dzwoni do pana pan Miami.

Daniel podniósł na nią wzrok. — Powiedz mu, że właśnie siadam do kolacji, więc żeby zadzwonił za godzinę.

Margaret spojrzała na niego. — Kto to jest pan Miami? Daniel odkroił kawałek steku. — Lansky.

— Dlaczego nie używa swojego prawdziwego nazwiska? Daniel wzruszył ramionami.

— Czego chce?

Daniel popatrzył na nią. — Swojego udziału:

— Nie rozumiem.

— Prawdopodobnie dowiedział się już, że uruchamiamy fundusz — wyjaśnił. — Uważa, że ma prawo do jego części.

— A ma?

— Nie.

— Więc sprawa załatwiona. Po prostu mu to powiedz. Daniel opanował się, żeby się nie uśmiechnąć. — Nie jest najłatwiejszym człowiekiem na świecie, któremu mówi się nie;

Margaret milczała przez chwilę. — Danielu, nie masz żadnych kłopotów, prawda?

— Nie.

— Czytałam o tym panu Lanskym w gazetach — powiedziała. — To gangster, prawda?

— Tak mówią.

— Więc dlaczego robisz z nim interesy?

— Ja postępuję zgodnie z prawem. A co robi on, to nie moja sprawa.

— Na twoim miejscu nie robiłabym z nim więcej żadnych interesów — powiedziała.

Uśmiechnął się do niej. — Nie mam zamiaru. — Dokończył stek i odsunął od siebie talerz. — To było świetne.

Podniosła się ciężko. — Idź do salonu i odpocznij sobie, a ja przyniosę ci kawę.

Schyliła się nad nim i zabrała jego talerz. Delikatnie poklepała ją po brzuchu. — To już niedługo.

— Doktor powiedział, że osiem tygodni.

— Uważasz na wagę? — spytał.

— W ostatnim miesiącu nie przytyłam ani uncji.

— To dobrze — rzekł. Podszedł do kredensu i wyjął butelkę bourbona i szklanę. — Przynieś z sobą trochę zimnej wody — powiedział i poszedł do salonu.

Siadł na krześle z na poły opróżnioną szklanką whisky w rękę; kawę postawił przed sobą na małym stoliku. — W przyszłym tygodniu zaczynam serię spotkań po kraju.

Zdziwiła się. — A to co znowu?

— Muszę sprzedać akcje funduszu różnym związkom i okręgom.

— Czy musisz to robić właśnie ty? Nie może Moses albo Jack?

— Ja muszę — powiedział. — Jestem jedynym, za którym pójda.

— Jak długo cię nie będzie?

— Będę wyjeżdżał i wracał. Opracowuję terminarz tak, żeby być tu w czasie porodu.

Nagle rozzłościła się. — To naprawdę miło z twojej strony.

— Co cię gryzie? — spytał. — Powiedziałem ci, że będę tutaj w czasie porodu.

— A co mam robić, kiedy będziesz w trasie na tych wszystkich spotkaniach? Siedzieć tu i czekać, obejmując brzuch rękami?

— To jest praca — powiedział ostro. — Przestań zachowywać się jak dziecko.

— Może mam siedemnaście lat, ale nie zachowuję się jak dziecko — powiedziała zranionym głosem. — Zachowuję się jak kobieta, która ma urodzić dziecko i chce, żeby jej mąż był przy niej.

Przez chwilę przyglądał się jej bez słowa. Niemal już o tym zapomniał. Siedemnaście lat. On miał prawie pięćdziesiąt sześć. Była między nimi duża rozpiętość wieku i być może nigdy nie będzie okazji, by zbudować pomost w czasie. Dotknął jej ręki.

— Przepraszam, Margaret — powiedział łagodnie. — Nie robiłbym tego, gdyby był ktoś inny, kto mógłby to zrobić za mnie. Ale to jest moja praca.

Zadzwonił telefon. Margaret cofnęła rękę. — To twój przyjaciel, pan Miami Lansky Gangster, kimkolwiek by zresztą, do cholery, był — powiedziała zimno. — Lepiej odbierz. Nie ma tu nikogo innego, żeby z nim porozmawiał.

12

Lansky mówił ostrożnie. — Czy pamięta pan, gdzie się ostatnio spotkaliśmy? — Tak.

— Czy myśli pan, że może pan tam dotrzeć tak, żeby pana nie śledzili?

— Mogę spróbować. Jeśli nie będę mógł ich zgubić, nie przyjadę.

— Muszę się z panem widzieć — powiedział Lansky.

— Długo pan tam będzie?

— Dwie godziny.

— Dobrze.

— Jeśli pan nie da rady, proszę zadzwonić do mnie jutro na Florydę. Proszę dzwonić z automatu.

— Dobrze.

Daniel odłożył słuchawkę i wrócił do salonu. — Muszę wyjść — powiedział.

Margaret spojrzała na niego. — Boję się.

— Nie bój się — rzekł. — To tylko interesy.

Podszedł do okna i wyjrzał. Na dworze było już ciemno, ale niebieski sedan ciągle tam stał, zaparkowany w świetle ulicznych lamp. Tego nie rozumiał. Widocznie chcieli, żeby wiedział, że go obserwują, inaczej zadaliby sobie trud i zaparkowali w miejscu, w którym nie mógłby ich dostrzec. Najpewniej chcieli go nastraszyć.

Telefon znowu zadzwonił. To był Hoffa z Detroit. — Dobrze się domyślałeś. Miałem dziś pierwszą wizytę komisji McClellana.

— Czego chcieli?

— Chcieli dostać się do moich akt. Wyrzuciłem ich. Nic na mnie nie mają.

— Kto to był?

— Jakiś dzieciak nazwiskiem Bob Kennedy, który mówi, że jest głównym doradcą komisji. Zupełny głupek. Miał ze sobą dwóch kompanów. — Hoffa przerwał na chwilę. — Ciągłe siedzą ci na ogonie?

— Zaparkowali tuż pod moim domem — powiedział Daniel. — W odsłoniętym miejscu, tak że ich widzę.

— I co o tym sądzisz?

— Myszkują. Nie wiedzą, czego szukają. Mają nadzieję, że zrobimy coś, z czego będą mogli zrobić sprawę.

— Skorzystałem z twojej rady i rozmawiałem z moim adwokatem. Mówi mi, żebym się trzymał i nie dawał im niczego, zanim nie przyjdą z nakazem. A nawet wtedy ma jakieś sposoby, żeby im utrudniać życie.

Daniel zastanowił się przez chwilę. — Wydaje mi się, że mój pomysł wspólnego funduszu jest teraz nawet ważniejszy niż

przedtem. To będzie czysta operacja, której nikt nie będzie mógł niczego zarzucić. Jawna i uczciwa.

— Z Florydy dochodzą nas wieści, że to nie będzie takie czyste. Chcą w to wejść i jeśli z nimi nie porozmawiasz, zupełnie ich olejesz.

— Nie jest tak źle — powiedział Daniel. — Załatwię to z nimi. — Oni grają ostro — rzekł Hoffa.

— A my nie? — roześmiał się Daniel.

Hoffa też się roześmiał. — Gdybyś potrzebował pomocy, to krzycz.

— Jeśli będę potrzebował pomocy, będzie za późno, żeby krzyczeć — powiedział Daniel.

— Ale uważaj — rzekł Hoffa. — Powodzenia.

— Dzięki. — Daniel odłożył słuchawkę. Postąpił przez chwilę przy telefonie, potem zadzwonił do Mosesa do domu.

— Przyrowadź tu swój samochód, zaparkuj go na ulicy za moim domem i poczekaj tam na mnie.

— Co się dzieje?

— Nic strasznego. Po prostu muszę się stąd wydostać tak, żeby moje psy gończe nie pojechały za mną.

— Będę za piętnaście minut.

Daniel wrócił do salonu. Margaret siedziała na kanapie.

— Za jakieś piętnaście minut przyjeżdża po mnie Moses. Wyjdę tylnymi drzwiami i przez podwórze sąsiadów na ulicę za nami.

— Dlaczego nie możesz wyjść frontowymi drzwiami?

— Dlatego, że przed domem są jacyś ludzie z Senackiej Komisji Pracy. Śledzą mnie już od tygodni, a nie chcę, żeby wiedzieli, dokąd jadę.

Milczała patrząc, jak nalewa sobie kolejną whisky. Poczekwała aż wypił. — Dlaczego przedtem nie powiedziałeś mi o tych ludziach?

— Nie chciałem cię martwić. Poza tym to nie takie ważne.

— Nie takie ważne? Czy tylko chcesz, żebym tak myślała? Bo nie jest ważne, że cały czas nosisz przy sobie broń.

Spodziewasz się, że co będę myślała? Odchodzę od zmysłów, wyobrażając sobie, że grozi ci jakieś niebezpieczeństwo, o którym nic nie wiem.

— Zawsze nosiłem broń.

— D.J. tak mi powiedział, ale myślałam, że po to, żebym się lepiej poczuła.

— To prawda. To zresztą raczej przyzwyczajenie niż cokolwiek innego.

Znowu napelnił sobie szklanke. — Dawno temu uprowadzono mnie, pobito i trzymano uwięzionego przez trzy dni, potem wyrzucono na opuszczonej autostradzie w środku lodowej zamieci. Przysiągłem, że nigdy nie pozwolę, żeby znowu mi się to przytrafiło.

— Czy jedziesz spotkać się z Lanskim? Kiwnął głową.

— Czy to niebezpieczne?

— Nie. Po prostu mamy pewną sprawę do omówienia.

— Jak długo będziesz?

Spojrzał na zegarek. Była prawie dziesiąta. — Niedługo. Będę z powrotem przed północą. Zadzwoń, jeśli zobaczę, że to potrwa dłużej.

— Nie położę się spać, dopóki nie przyjedziesz. Uśmiechnął się, pochylił i pocałował ją w policzek. — Nie martw się, Margaret. Nic mi się nie stanie.

Moses wjechał samochodem na parking za magazynem. — Chcesz, żebym z tobą poszedł?

Daniel pokręcił głową. — Nie. Poczekaj tu na mnie w samochodzie.

Wszedł schodami na górę i zapukał do żelaznych drzwi. Drzwi otworzyły się i ten sam człowiek, który wpuścił go przedtem, skinął mu głową. Daniel wszedł za nim do środka.

Było dokładnie tak samo jak ostatnim razem. Stoły do liczenia były znowu zajęte i nikt nie podniósł głowy, kiedy przechodzili przez pokoje do biura. Tak jak przedtem, Lansky siedział za biurkiem.

Jasnowłosy ochroniarz stanął przed Danielem, kiedy ten ruszył do przodu. — Masz broń? — spytał zimnym głosem.

— Nie, nie noszę broni, kiedy odwiedzam przyjaciół — rzekł Daniel.

Ochroniarz spojrział przez ramię na Lansky'ego.

— Jeśli mówi, że nie ma broni — powiedział cicho Lansky — to znaczy, że nie ma broni.

Ochroniarz skinął głową, potem błyskawicznie odwrócił się i mocno wbił prawą pięść w brzuch Daniela. Daniel zgiął się wpół, walcząc z bólem i ogarniającą go falą nudności. Pozostał zgięty, zmuszając się do powolnego oddechu, aż mdłości ustąpiły, potem wyprostował się.

Lansky lekko się uśmiechał. — Mój chłopak nie lubi, jak ktoś przystawia mu rewolwer do głowy.

— Nie mam mu tego za złe — rzekł Daniel. Ruszył, jak gdyby zamierzał przejść obok ochroniarza do biurka. Ten odwrócił się i nie zobaczył już potężnej pięści Daniela, prującej w górę niemal z poziomu podłogi. Daniel poczuł wstrząs przeszywający mu ramię, gdy staroświeckim podbródkowym trafił w brodę ochroniarza, wyrzucając go w powietrze. Ochroniarz spadł na róg biurka, zatoczył się do tyłu, aż zatrzymał się na ścianie, po której zsunął się na podłogę. Miał wybitą szczękę, połamane zęby wbite w dolną wargę, krew ciekła mu z nosa i ust, oczy miał zamglone i nieprzytomne.

Daniel przyjrzał mu się chwilę, potem odwrócił się do Lansky'ego i odezwał się, jak gdyby nic się nie stało.

— Też nie lubię, jak straszy się mnie rewolwerem.

Lansky rzucił mu krótkie spojrzenie, potem zerknął na ochroniarza. Skinął na dwóch pozostałych mężczyzn znajdujących się w pokoju. — Lepiej zabierzcie go stąd i umyjcie.

— Na pana miejscu zabrałbym go do lekarza — powiedział Daniel. — Pański chłopak ma szklaną szczękę.

Poczułem, że pęka przynajmniej w trzech miejscach.

Ruszył w stronę krzesła. — Pozwoli pan, że siądę?

Lansky w milczeniu wskazał mu ręką krzesło. Nie odzywali się, dopóki nie zostali sami w pokoju i nie usłyszeli trzaśnięcia zamykanych drzwi.

— Ale po co to wszystko było? — spytał Daniel.

— Przepraszam — powiedział Lansky. — Ale wie pan, jak to jest. Musiałem pozwolić mu udowodnić.

Daniel pokręcił głową. — I co on udowodnił? Nic.

— Udowodnił, że nie nadaje się do pracy — rzekł Lansky. — Nie potrzebuję ochroniarza ze szklaną szczęką.

Daniel roześmiał się, ale odezwał się już poważnym głosem: — Tó tyle żartów i zabawy! Chciał pan widzieć się ze mną.

Lansky od razu przeszedł do rzeczy. — Chodzi mi o fundusz. Moja duma została zraniona. Nie poprosił mnie pan, żebym się w to włączył.

— To prawda.

— Chcę w to wejść.

— To nie jest część naszego porozumienia — powiedział Daniel.

— Nie powiedziałem, że jest — odparł Lansky. — Powiedziałem tylko, że chcę w to wejść.

— Więc proszę pozwolić mi sobie wyjaśnić, panie Lansky. Powodem, dla którego nie prosiłem pana o wejście do funduszu, jest to, że nie chcę w nim pana. Jest to przedsięwzięcie, które ma pozostać czyste.

— Jest pan naiwny. Szuka pan sobie kłopotów. Możemy pana zdmuchnąć ot, tak. — Strzelił palcami.

Daniel uśmiechnął się. — Wtedy nic pan nie będzie miał. Ani funduszu, ani interesu, jaki już robimy.

— Ma pan żonę w ciąży i syna w szkole — rzekł Lansky.

— A co pan ma, panie Lansky? — spytał łagodnie Daniel. — Życie, jakie pan prowadzi w mroku, otoczony przez szklane szczęki, chroniące pana przed zdmuchnięciem? Czy nie zastanawia się pan, że zawsze, ilekroć przychodzi do pana domu rzeźnik czy sklepikarz, elektryk lub pracownik poczty czy kto inny zaopatrujący pański dom, jest to człowiek, który nosi znaczek związku? Jest ich dwadzieścia milionów. I jeśli powiem tylko słowo, nie ma żadnego sposobu, żeby pan im uszedł, chyba że zdąży pan umrzeć śmiercią naturalną.

Lansky spoglądał na niego bez słowa. Daniel podniósł się. W końcu Lansky odezwał się: — Nie jestem w tym sam. Muszę to wyjaśnić swoim wspólnikom.

Daniel spojrział na niego. — Pan mówi w języku jidysz, prawda?

Lansky skinął głową.

— Wiele lat temu, kiedy chodziłem do szkoły związkowej w Nowym Jorku, podchwyciłem kilka słów, które naprawdę to wszystko tłumaczą. Proszę powiedzieć swoim wspólnikom, że jestem *shabbes goy*. Że jestem jedynym człowiekiem, który może pomóc, by ruch robotniczy pozostał szanowany i uznawany przez opinię społeczną za słuszny. I żeby nie igrali z nim, bo jeśli to zrobią, bardzo łatwo mogą zabić kure, która znosi złote jajka.

— Nie wiem, czy dadzą się przekonać.

— Jeżeli nie, obu nam będzie przykro — powiedział Daniel. Lansky zamyślony, podniósł na niego wzrok. W końcu uśmiech

powoli rozjaśnił mu twarz. — Czy jest pan pewien, że nie nazywa się pan Daniel Webster?

13

Daniel zabrał się do sprawozdań piętrzących się przed nim na biurku. Przejrzał je szybko i ogarnęło go uczucie rozpacz. W końcu odłożył je i mocno uderzył ręką o biurko.

— To nie wychodzi. Niech to szlag trafi.

Moses i Jack spojrzeli na niego. Milczeli. D.J. oparł się o ścianę, przyglądając się ojcu. Był koniec czerwca i do jesieni nie miał już zajęć.

— Przez ostatnie dziesięć dni przejechałem cztery tysiące mil, rozmawiałem z piętnastoma różnymi związkami, do których należy osiem czy dziewięć tysięcy ludzi, i wszystko, co uzyskaliśmy, to parszywe pięćset siedemdziesiąt podpisów. Co mam zrobić, by ci idioci zrozumieli, że to jest najlepsza okazja, jaka im się w życiu trafiła? Jedyne raz w życiu mają szansę uczciwie zarobić.

Moses pocieszył go. — To stare powiedzenie, że nikt nie jest prorokiem we własnym kraju, musi być prawdziwe.

— Nie ma ratunku — powiedział Daniel. Potrzebujemy przynajmniej osiemdziesiąt do stu tysięcy podpisów.

— Trzeba ich mocniej przycisnąć — rzekł Jack. — Musisz obiecać im złote góry.

— To nie w moim stylu. Nie jestem oszustem. — Odgryzł czubek kolejnego cygara. — Gdzie jadę teraz?

— To duże spotkanie — rzekł Jack. — W Detroit. Spodziewamy się piętnastu tysięcy ludzi. Poza transportowcami, Reuther obiecał nam solidny tłum z United Auto Workers. To jest tak duże spotkanie, że będzie nawet stacja telewizyjna i transmisja radiowa.

Daniel żuł przez chwilę cygaro. — Może lepiej odwołajmy je. Nie bardzo mi się podoba, żeby cały kraj patrzył, jak spadam na cztery łapy.

— Ojciec. — D.J. podszedł do biurka. — Mam pomysł, ale nie wiem, czy to zadziała.

— Posłuchajmy. Teraz jestem już skłonny słuchać wszystkiego.

— Może nie będzie można zastosować tego w praktyce — powiedział D.J.. — Ale jeden z kursów, który właśnie skończyłem, był o kredytach i kupowaniu na raty. Wiecie, samochody, urzędnicy, meble do domu, tego typu rzeczy.

Daniel nagle zainteresował się. — Mów dalej.

— Płaci się jakąś sumę z góry, potem jakąś tygodniowo lub miesięcznie, aż wszystko zostanie spłacone. W chwili gdy zostaje podpisana umowa, sprzedawca dyskontuje ją w banku i od razu dostaje pieniądze. A kupujący ma swój towar.

— To niezupełnie to samo — powiedział Daniel.

— Być może. Ale w naszym wypadku akcja funduszu jest naszym towarem. I wiecie równie dobrze jak ja, że przeciętny człowiek dwa razy zastanowi się, zanim wyda sto dolarów za jednym zamachem, ale dwa dolary tygodniowo, to nie wygląda tak źle.

Jack powiedział szybko: — Uważam, że to dobra propozycja.

— Nie jesteśmy odpowiednio do tego zorganizowani — zawyrokował Daniel.

— Damy sobie radę — powiedział Moses. — Mogą płacić raty bezpośrednio swoim związkom, które będą nam je przysyłać co miesiąc.

— Oczywiście. — Jack kiwnął głową. — A jeśli napiszemy odpowiednio umowę kupna, jestem pewny, że znajdziemy bank, który ją zdyskontuje.

Daniel w końcu zapalił cygaro. Rozmyślając, kiwał głową. To naprawdę mogło się udać. — Mam taki bank. UMW jest głównym aktuariuszem w National Bank of Washington. Jestem pewny, że John L. Lewis nakłoni Barneya Coltona, który mu ten bank prowadzi, żeby dał nam pieniądze.

Spojrzał na D.J. — Miałeś bardzo dobry pomysł, synu.

D.J. zaczerwienił się. — Ojciec, jeszcze nie wiadomo. To może nie wyjść.

— Musimy zrobić tak, żeby wyszło — powiedział Daniel. Obrócił się do Jacka. — Jak to się stało, że ludzie z telewizji i radia przeprowadzają transmisję z tego spotkania?

— Wydaje im się, że to interesująca historia. Po raz pierwszy w ogóle członkowie związków uruchamiają wspólny fundusz, żeby zainwestować swoje pieniądze w kapitalizm.

Daniel spojrzął na niego i nagle uśmiechnął się. Jego głos znowu przepełniony był pewnością siebie. — To musi się udać. Wszystko zaczyna się układać. Nie wiedzą o tym, ale dadzą nam możliwość zorganizowania całego kraju.

— Jesteś zdenerwowany — powiedziała Margaret, patrząc, jak pakuje małą walizkę, którą zabierał do Detroit.

Odetchnął głęboko. — Jeśli to się nie uda, musimy porzucić cały pomysł i będziemy znowu dokładnie w tym miejscu, z którego wyszliśmy.

— Czy naprawdę jest tak źle? — spytała. — Przecież dajemy sobie radę.

Odwrócił się do niej. — Nie rozumiesz. W ruchu związkowym jest tak, że jeżeli się zatrzymasz, to najlepiej od razu zwolnić się z pracy, bo wszystko, co możesz wtedy zrobić, to cofać się.

— Jest wystarczająco dużo pieniędzy ze stałych opłat, prawda? Możemy za to wygodnie żyć.

— Teraz tak — powiedział. — Ale myślisz, że jak długo to potrwa? Wcześniej czy później praca, którą wykonujemy teraz dla związków, skończy się. Więc jeżeli nie spowodujemy, żeby inni się do nas przyłączyli, wylatujemy z interesu. To błędne koło, w którym sukces rodzi się z sukcesu. W chwili, kiedy nasi ludzie zaczną zdawać sobie sprawę, że nie przyciągamy nowych członków, zaczną się zastanawiać, do czego jesteśmy im potrzebni. Kiedy o tym pomyślą, będzie po nas.

Milczała, gdy zamykał walizkę. — Danielu, czy to jest dla ciebie takie ważne?

— Tak. Całe życie marzyłem, by robić coś ważnego w ruchu związkowym, a gdy próbowałem, za każdym razem kończyłem z twarzą w gównie. Przyczyną była polityka. Potrzebny był mi jako baza lokalny związek, ale nigdy nie pozwolili mi go mieć, bo myślałem po swoim i bali się, że nie będę kopał piłki razem z nimi; Teraz jest szansa, żeby im się pokazać i zmusić ich, żeby mnie słuchali. W jedynym języku, jaki znają. Władzy i pieniędzy.

Podniósł walizkę, a ona zeszła za nim na dół. Zostawił bagaż w holu i wszedł do salonu. Wyjął z kredensu butelkę i nalał sobie whisky.

— Czy skończyłeś już swoje przemówienie? — spytała.

— Nie. Jeszcze nad nim popracuję. Skończę je przed wygłoszeniem mowy jutro po południu.

— Szkoda, że z tobą nie jadę.

— Też bym chciał, żebyś jechała. — Upił trochę whisky. — Ale nie będziemy musieli długo czekać. Tylko dwa tygodnie.

— To jak wieczność.

Uśmiechnął się. — Miną szybciej, niż ci się wydaje. Odstawił szklanekę. — Wiesz, gdzie mnie znaleźć, gdybyś mnie potrzebowała?

Skinęła głową. — Koło telefonu mam zapisany numer do hotelu.

— Zadzwoń i dam ci znać, jak nam idzie.

— Będę oglądać cię w telewizji — powiedziała. — Jack mówił mi, że w wieczornych wiadomościach dadzą urywki z twojego przemówienia.

— Mam nadzieję, że to dobrze wypadnie. Telewizja sprawia ludziom dziwne psikusy.

— Dasz sobie radę.

— Mówisz tak, bo jesteś stronnicza—powiedział z uśmiechem.

— Być może. Ale mimo to dobrze ci pójdzie. Już teraz martwię się tym, jak adorują cię kobiety. Po tym wystąpieniu będę musiała martwić się podwójnie.

Roześmiał się. — Nie podwajaj swoich trosk, podwajaj przyjemności.

Roześmiała się razem z nim. — Nie mogę się doczekać. Czuję się jak dziewica. Kiedy już po wszystkim będziemy się kochać pierwszy raz, to chyba będę miała jeden orgazm za drugim i nie będę w stanie ich powstrzymać.

— Obiecanki, obiecanki. Zapamiętam to.

— Danielu.

Spojrzał na nią. Nagle jej głos stał się poważny.

— Nawet, jeśli się nie uda, to nie jest takie ważne. Ciągle mamy siebie. Nie potrzeba mi wiele.

Pocałował ją w policzek. — Wiem o tym, kochanie. To jeden z powodów, dla których cię kocham.
Uśmiechnęła się łagodnie. — Miło mi to słyszeć. Niedawno jeszcze myślałam, że jedyne, o co ci chodzi, to moje piękne ciało.
— To też — roześmiał się. Z zewnątrz doleciał dźwięk klaksonu. — Jest już samochód. Muszę się zbierać.
Poszła za nim do drzwi, skąd zabrał swoją walizkę. — Przekaż ode mnie pozdrowienia D.J. i pozostałym.
— Dobrze. — Spojrzał na nią. — Jeszcze coś zapomniałem ci powiedzieć, że jeśli będzie ci coś potrzebne, Jack Haney zostaje w mieście. Nie wahaj się do niego zadzwonić. Będzie w domu albo w biurze.
— Myślałam, że jedzie z tobą.
— W ostatniej chwili musieliśmy zmienić nasze plany. Czekają na nowe umowy kupna, które mają nadejść z drukarni, żeby je sprawdzić i dostać nam na czas przed spotkaniem.
— Więc będą z tobą tylko D.J. i Moses?
— Nikogo więcej stąd nie potrzebuję. Hoffa oddał mi do dyspozycji część swojego personelu.
Pochylił się i pocałował ją w policzek. — Uważaj na siebie. Wrócę pojutrze.
— Powodzenia. — Pocałowała go. — I trzymaj się z dala od złych kobiet. Kocham cię.
— Też cię kocham — powiedział ze śmiechem.
Stała w progu i przyglądała się, jak wsiada do samochodu. Wychylił się przez okno i pomachał do niej ręką. Ona też mu pokiwała i samochód ruszył. Patrzyła za nim, aż skręcił za rogiem i zniknął jej z oczu. Zadzwonił telefon.
Zamknęła drzwi i weszła do środka.
To był Jack Haney. — Jest jeszcze Big Dan?
— Właśnie wyjechał.
— Dobrze, zadzwonię do niego, kiedy przyjedzie do Detroit.
— Czy są jakieś problemy?
— Nie. Po prostu chciałem z nim uzgodnić pewne sformułowania kontraktu. — Zawahał się. — Będziesz jutro w domu?
— Tak.
— Zadzwonię do ciebie, żeby zobaczyć, jak się czujesz. Big Dan prosił mnie, żebym się tobą zaopiekował.

— Mówił mi — powiedziała. Teraz ona się zawahała. — Słuchaj, jeśli jutro nic nie robisz, wpadnij do mnie, zjemy razem kolację i będziemy mogli razem oglądać go w telewizji.

— Nie chciałbym sprawiać ci kłopotu.

— To żaden kłopot. Mamie zajmie się wszystkim. A ja nie będę czuła się tak samotna, jak zawsze, kiedy go nie ma.

— Dobrze — rzekł. — Jutro jeszcze się z tobą skontaktuję, żeby zobaczyć, czy się nie rozmyśliłaś.

— Nie rozmyślę się.

Znowu się zawahał. — Dobrze. O której mam przyjść?

— Może być o siódmej?

— Będę. Dzięki.

Odłożyła słuchawkę i poszła na górę do sypialni. Powoli zdjęła sukienkę i wzięła szlafrok. W przelocie ujrzała się w lustrze. Miała taki duży brzuch. Nie była pewna, ale chyba zaczął się lekko obniżyć. Wsunęła się w szlafrok i poszła do łóżka.

Oparła się o poduszki. Cieszyła się, że zaprosiła Jacka na kolację. W ogóle po raz pierwszy rozmawiała z nim bez towarzystwa wielu osób wkoło. Wydawał się przyjemnym młodzieńcem, może trochę nieśmiałym, ale to pewnie dlatego, że była żoną szefa. Ale zawsze był dla niej bardzo miły i uprzejmy. Nie tak jak wielu innych, którzy dawali jej do zrozumienia, że uważali ją po prostu za sprytną młodą dziewczynę, która wykorzystała swoją młodość i seks, żeby złapać Daniela w pułapkę małżeństwa.

Odetchnęła głęboko. Do cholery z nimi. Kiedy dziecko się urodzi, pokaże im wszystkim, jak bardzo się mylili.

14

Daniel stał z boku sceny na końcu sali kongresowej. W powietrzu czuło się nacisk tłumu wypełniającego salę. UAW i Związek Transportowców wykonali dobrą robotę. Teraz wszystko zależało od niego. Jeśli nie potrafi przekonać ich do nowej koncepcji zakupu, będzie to jego porażką.

Spojrzał na trzymane w ręku notatki. Były zapisane dużymi literami na średniej wielkości kartach. Każda z nich odnosiła się

do jakiegoś zagadnienia. Bezpieczeństwo. Oszczędności na cele emerytalne. Powiększanie kapitału. Dodatkowy dochód bieżący. Same zalety plus przystępnie przedstawiony plan spłaty dwóch dolarów tygodniowo.

Wszystko tam było. Jeśli mu się nie powiedzie, nie będzie mógł nikogo o to obwiniać. Przegrana będzie jego i tylko jego. Zaczerpnął głęboko tchu.

Przez ostatnie pół godziny różni mówcy przedstawiali i wyjaśniali zebranym zasady funkcjonowania funduszu.

Ostatni z przemawiających był szefem jednego z okręgów UAW. Poprzez głośniki jego głos docierał do Daniela.

— A teraz, żebyście dowiedzieli się więcej o tej wielkiej dla nas wszystkich okazji uczestniczenia we wzroście i rosnącym bogactwie naszego kraju, przedstawiam wam człowieka, którego geniusz wymyślił ten plan, człowieka, którego oddanie związkom przez całe życie znane jest każdemu, człowieka, którego z dumą nazywam swoim przyjacielem; przewodniczący Confederated Alliance of Living Labor, Big Dan Huggins.

Daniel wszedł na scenę. Mówca, z szerokim uśmiechem na twarzy, podszedł do niego. Uścisnęli sobie ręce i tamten szepnął: — Bierz ich, Big Dan. Rozmiękczyliśmy ci ich.

Daniel uśmiechnął się i wszedł na mównicę. Położył przed sobą kartki z przemówieniem. Podniósł rękę, pomachał nią i uśmiechnął się do oklaskującej go publiczności. Nagle wyciągnął przed siebie nieruchomą dłoń; oklaski z wolna umilkły i w sali zrobiło się cicho.

Daniel stał przez chwilę w milczeniu, mierząc oczami publiczność. Dobra połowa ludzi była jeszcze w ubraniach roboczych. Prawdopodobnie przyszli prosto ze zmiany. Pozostali mężczyźni mieli na sobie tylko koszule. Na zewnątrz było ponad osiemdziesiąt stopni i zauważył zaledwie parę marynarek. Pomiędzy pierwszym rzędem a sceną zaczęli zajmować stanowiska kamerzyści telewizyjni.

Daniel jeszcze raz rozejrzał się po zgromadzonych. Robotnicy. Niemal czuł i dotykał każdego z nich. Dorastał z nimi, jadł, pił i spał z nimi. Czuł się jednocześnie nimi wszystkimi i każdym z nich z osobna.

Spojrzał na kartki z przemówieniem. Coś tu było nie tak. Był takim samym człowiekiem jak ci siedzący na widowni; nie był

agentem ubezpieczeniowym. Nieważne, jak słuszna była idea, ci ludzie nie przyszli tu słuchać opowiadań sprzedawcy. Przyszli tu spotkać się z nim. Przyszli tu, by odświeżyć wiarę w pracę i związek. Przyszli tu, żeby usłyszeć, jak powie jedno: że ciągle go obchodzą.

Wolno podniósł z mównicy kartki z przemówieniem i wyciągnął je tak, żeby publiczność mogła je widzieć.

— Bracia! Przyjaciele! Te kartki, które trzymam w ręce, zawierają mowę, którą miałem wygłosić. Miałem powiedzieć wam, jak ważne jest dla każdego z was przystąpienie do nas. Miałem powiedzieć wam, ile dzięki temu zarobicie pieniędzy, i o wygodach, które wam one zapewnią. — Przerwał na chwilę.— Ale zmieniłem zamiar. Nie wygłoszę tego przemówienia. Inni potrafią to zrobić dużo lepiej ode mnie. Poza tym, każdy z was, wchodząc tu, dostał kartkę papieru, na której napisano wszystko, co musicie o tym wiedzieć. W takim razie tego przemówienia w ogóle nie wygłoszę. ,

Otworzył dłoń i pozwolił kartkom upaść na podłogę. Przyglądał się im przez chwilę, potem znowu spojrzął na publiczność.

— Ten krótki czas, który mamy dla siebie, jest zbyt ważny, żeby go na to tracić. Zamiast tego chcę wam powiedzieć o czymś, co wydaje mi się o wiele ważniejsze, o czymś tak ważnym, że oddziałują na nasze życia każdego dnia — o czymś, co nazywam wyzwaniem rzuconym przez demokrację.

Przerwał i rozejrzał się po twarzach. Już ich miał. Zaczął mówić bardzo wolno i precyzyjnie.

— Człowiek rodzi się, pracuje, umiera. Później nie zostaje już nic... Takie jest życie każdego z nas, urodzonego do życia w społeczeństwie tych, którzy pracują. Akceptujemy to. Bo jest to tradycyjny porządek, który istniał zawsze. Ale dawno temu, pewnego dnia zebrała się grupa ludzi, by ustanowić zasady czegoś, co nazwali demokracją, w której wszyscy ludzie będą sobie równi. Pod względem możliwości i bez względu na kolor skóry. I właśnie te zasady stały się przedmiotem wyzwania rzuconego przez demokrację. Bo zawsze łatwiej jest określić ideał niż go osiągnąć.

— Osiągnięcie go — ciągnął — staje się walką, i jest to nasza walka. Ponieważ jesteśmy ludźmi pracy, jesteśmy ludźmi, którzy muszą podjąć to wyzwanie i sprawić, by demokracja istniała.

Przerwał i znowu wolno rozejrzał się po widowni.

—Bracia, podjęliśmy to wyzwanie. Założyliśmy związki, by pomóc sobie w stworzeniu lepszych warunków życiowych. Musimy dalej usprawniać nasze związki i zakładać następne, żeby pomóc tym, którzy ich potrzebują. Ale w tym wyzwaniu jest coś więcej niż samo prowadzenie ruchu związkowego. Prawdziwym wyzwaniem jest życie. Zaslugujemy na więcej niż narodziny, pracę i śmierć. Zaslugujemy na więcej niż bycie niczym. Bo świat, w którym żyjemy, jest również naszym światem. I każdy z nas musi swoim działaniem zostawić na nim ślad. Tak, żeby każdy z tutaj zebranych został zapamiętany na zawsze, a nie zapomniany.

Sięgnął po stojącą na mównicy szklanę wody. Cisza panująca w sali sprawiła, że przez chwilę pomyślał, że nie rozumieją tego, co próbował im powiedzieć. Ale zaraz po sali przetoczyły się oklaski i wiedział, że dotarł do nich. Podniósł rękę i oklaski umilkły.

— Jesteśmy walczącymi wojownikami. Musimy wyznaczać reguły demokracji, jak również się do nich stosować. Bo tylko szukając naszych celów w nas samych, będziemy mogli pomóc innym w osiągnięciu ich celów. Znowu rozległy się oklaski. Podniósł rękę.

— I właśnie to musimy robić. Troszczyć się o innych, tak jak troszczymy się o siebie.

Stał na podium ponad godzinę. Mówił o minionej młodości, utraconych marzeniach i zaufaniu, potem przedstawił im swoją wizję przyszłości. Marzenia o świecie, które mogą zrealizować oni i tylko oni, bo są to również ich marzenia. I powiedział, że jedynym sposobem, żeby to się stało, jest podjęcie wyzwania. Bo jeśli nie podejmą tego wyzwania, włożą w cudze ręce odpowiedzialność za swoje życia i za jakiś czas cofną się, aż wszystkie obecne zdobycze zostaną bezpowrotnie stracone.

Kiedy skończył, wszyscy milczeli. Odwrócił się i ruszył z podium. Nagle za nim rozległ się ryk. Oklaski.

Publiczność zaczęła skandować: — Big Dan! Big Dan! Big Dan!

Z powrotem obrócił się więc w ich stronę. Widzieli, jak łzy cieką, mu po policzkach. Nie mógł już prawie mówić.

— Dziękuję.

Kiedy wszedł za kulisy, panowała tam dziwna cisza. Żadnego normalnego ściskania dłoni czy entuzjastycznego poklepywania po plecach. Zamiast tego była obcość, jakby wyczekiwanie wśród

ludzi, którzy tuż przed jego wystąpieniem wylewnie przepowiadali, że tylko tutaj łatwo zbierze podpisy warte pół miliona dolarów. Mógł wyczytać to w ich twarzach. Spieprzył to.

Nawet Moses i D.J. dziwnie milczeli w drodze powrotnej do wielkiego apartamentu, który zarezerwowali w hotelu na pospółkaniowe przyjęcie przedstawicieli miejscowych związków, którzy współpracowali przy opracowywaniu planów. W milczeniu pojechali na górę windą. Otworzyli drzwi do pustego apartamentu.

Daniel stanął pośrodku wielkiego salonu i przyglądał się efektowi przygotowań, jakie poczynił na przyjęcie: wielki bufet, stoły zastawione kanapkami dla tych, którzy będą głodni.

Odwrócił się do Mosesa. — Chyba lepiej będzie, gdybyś polecił służbie hotelowej zabrać to wszystko z powrotem. Zaraz zacznę się pakować. Nie ma sensu dalej tu siedzieć. Pójdę zobaczyć, czy wieczorem mam jakiś samolot do domu.

Moses w milczeniu skinął głową.

— Ty, D.J., lepiej zacznij zbierać dokumenty. Nie musisz ich rozdzielać, tylko wrzuć je do skrzyni i zostaw tutaj. Nie wygląda na to, żebyśmy ich teraz potrzebowali.

— Tak, ojcze.

Gdy wszedł do swojej sypialni, zadzwonił telefon. Zamknął za sobą drzwi, żeby go nie słyszeć. Podeszedł do łóżka i ciężko usiadł. Do cholery, dlaczego to zrobił? Miał już wszystko w ręku i to wyrzucił. I wszystko na nic. Jedyne po to, żeby im powiedzieć, co naprawdę czuje, coś, co zapomną, zanim usiądą wieczorem do kolacji. Jak, do cholery, mógł być tak zaślepiony własną wizją, że udało mu się sobie wmówić, że to, co mówił, było naprawdę ważne? Ideały to miłe słowa, ale ludzi już nie wzruszały, bo tak naprawdę ludzie nie wierzyli w nie. Władza i pieniądze były jedyną wiarą, która ich poruszała.

Drzwi do sypialni otworzyły się i Moses wsadził głowę do pokoju. — Prezydent chce z tobą rozmawiać — powiedział przyciszonym głosem.

— Prezydent? — zapytał osłupiały Daniel.

— Prezydent Stanów Zjednoczonych — powiedział Moses. Daniel rzucił mu krótkie spojrzenie, potem odwrócił się i podniósł słuchawkę telefonu stojącego przy łóżku. — Halo. Odezwał się kobiecy głos. — Pan Huggins?

— Tak.

— Chwileczkę, łączę pana z prezydentem.

W słuchawce coś trzasnęło, potem rozległ się znajomy głos Eisenhowera.

— Panie Huggins, zadzwoniłem, żeby pogratulować pańskiej wspaniałej mowy. Właśnie widziałem to w telewizji.

— Dziękuję, panie prezydencie.

— To było wspaniałe przypomnienie wszystkich podstawowych prawd, które uczyniły Amerykę wielką.

Przedstawienie ideałów, wśród których wszyscy dorastaliśmy, ideałów, które daleko wykraczają poza granice świata pracy, bo poruszają serca wszystkich Amerykanów, którzy kochają swój kraj i rodaków. Chcę, żeby pan wiedział, że w swojej mowie przemawiał pan nie tylko w imieniu wszystkich Amerykanów, mówił pan również za mnie. To było przemówienie, z którego, gdybym je wygłosił, czułbym się dumny.

— Dziękuję, panie prezydencie.

— Jeszcze raz gratulacje, panie Huggins.

Połączenie przerwano. Daniel podniósł wzrok i w progu zobaczył Mosesa i D.J.

— Prezydentowi podobało się — powiedział zdziwionym głosem.

Nagle niemal równocześnie rozdzwoniły się wszystkie telefony w apartamencie, a do pokoju zaczęli wlewać się ludzie.

Bóle zaczęły się gdzieś w połowie jego przemówienia. Siedzieli w salonie, oglądając go na ekranie telewizyjnym.

Chwilę po tym, gdy Daniel zaczął przemawiać, Jack spojrzał na nią zdziwiony.

— To nie jest przemówienie, które przygotowaliśmy. Czy mówił ci, że zamierza je zmienić?

Pokręciła głową. — Nic nie mówił mi o żadnym przemówieniu. Nie wiedziałabym, czy to jest to, czy inne.

Parę minut później nadszedł pierwszy skurcz. Ból przeszył ją jak nóż. Starła się go opanować. Czuła się dziwnie zakłopotana, pozwalając Jackowi obserwować to. Odetchnęła głęboko i ból przeszedł..

Dwie minuty później pojawił się kolejny skurcz. Tym razem

mocniejszy. Mimowolnie odetchnęła gwałtownie i zgięła się wpół na krześle.

Jack odwrócił się do niej. — Dobrze się czujesz?

Czuła pot spływający po twarzy. — Chyba zaczynam rodzić. Zadzwoń po doktora, jego numer jest koło telefonu.

Jack podniósł się. — Mamie! — zawołał.

Murzynka pojawiła się w drzwiach. — Zdaje się, że pani Huggins zaczyna rodzić. Zostań tu z nią, a ja zadzwonię po doktora i dowiem się, co każe nam robić.

W apartamencie hotelowym było teraz jak w domu wariatów. Nie wiedział, skąd wzięli się ci wszyscy ludzie. Ale byli tu i tryskali zadowoleniem. Według ostatnich obliczeń podpisano umowy na ponad milion dolarów, a ciągle jeszcze Uczono.

— Ty przebiegły lisie — powiedział do Daniela mówca, który go przedstawiał publiczności. — PozwoUleś, żebyśmy wszyscy myśleli, że zwariowałeś, a ty cały czas wiedziałeś, co robisz.

Podszedł do niego Moses, trzymając pełną garść telegramów.

— Napływają telegramy i dzwonią telefony z całego kraju. Każdy chce z tobą rozmawiać. Od Dave'a Dubinsky'ego z Nowego Jorku, który chce wynająć dla ciebie Madison Square Garden, żeby porozmawiać z ILGWU, i proponuje usługi ich banku do twojej dyspozycji, do Harry'ego Bridgesa, który chce, żebyś przemawiał do robotników portowych w San Francisco. Nawet George Meany przysłał telegram z gratulacjami i obietnicą pomocy w osiągnięciu wszystkich naszych wspólnych celów i ideałów.

Nagle Daniel poczuł zmęczenie. Zaczął przedzierać się przez zatłoczony salon do swojej sypialni. Przeszedł obok jakiegoś uradowanego, pijanego człowieka, który klepnął go po ramieniu — Big Dan. Gdybyś chciał, mógłbyś zostać następnym prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Wślizgnął się do swojego pokoju i zamknął drzwi. Podszedł do łóżka i usiadł. Potrzebował paru chwil odpoczynku. Wydarzyło się zbyt wiele. Wzloty i upadki wyczerpały go. Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł D.J.

— Dobrze się czujesz, ojcze?

— Jestem po prostu zmęczony, synu.

— To był wspaniały pomysł, ojciec — powiedział D.J. — Instynktownie wiedziałeś, jak ich kupić. Wydaje mi się, że żaden z nas w ogóle nie rozumiał, co robisz. ,

Daniel spojrział na syna. I dalej nie rozumieją. Nawet D.J. myślał, że sprzedanie akcji było świetnym planem. Nie odezwał się. Zadzwoił telefon przy łóżku. Dał znak D.J., żeby go odebrał.

— To do ciebie, ojciec. Jack Haney.

Daniel wziął słuchawkę do ręki. — Tak, Jack?

— Margaret rodzi. Właśnie zawiozłem ją do County. Jest teraz na sali zabiegowej.

— Dobrze się czuje?

— Jej lekarz mówi, że po prostu świetnie. Wszystko przebiega normalnie. W każdej chwili powinna urodzić.

Poczekaj chwilę.

Daniel słyszał rozmawiających ludzi, potem znowu odezwał się Jack. — Danielu , to chłopiec — mówił podnieconym głosem.— Sześć funtów i cztery uncje. Gratulacje.

Daniel odetchnął głęboko. — Zaraz wyjeżdżam. Powiedz Margaret, że zobaczę się z nią wieczorem.

Odłożył słuchawkę i spojrział na D.J. — Masz brata.

D.J. uśmiechnął się szeroko. — Gratuluję. — Chwycił dłoń ojca i uścisnął ją. — Naprawdę się cieszę. Naprawdę.

— Zawołaj Moseś — powiedział Daniel. — Chcę mu powiedzieć, że zaraz wracam. Wy dwaj zostaniecie tu i wszystkiego dopilnujecie do końca.

Moses i D.J. wrócili do pokoju w chwili, gdy Daniel zamykał walizkę. — Wyślizgnę się przez wyjście z sypialni — rzekł Daniel. — Nikt nawet nie zauważy.

Moses kiwnął głową, uśmiechając się szeroko. — Gratuluję, Danielu.

Wskazał na walizkę. — Nie musisz jej zabierać. Przywieziemy ją jutro.

— Dobry pomysł — powiedział Daniel i podszedł do drzwi prowadzących na korytarz. — Wezmę taksówkę na lotnisko.

Wyszli za nim. Przed głównym wejściem do apartamentu stało jakichś dziesięciu czy dwunastu ludzi. — Ciągłe przychodzą. — rzekł Moses. — Lepiej przejdź do wind po drugiej stronie.

Daniel zerknął na tłum, skinął głową i ruszył. Przed oczami mignął mu obrazek. Obrócił się gwałtownie. Jedną ręką sięgnął do

płaszcz po rewolwer, druga mocno pchnął Mosesa do tyłu, w otwarte drzwi. Moses wpadł na D.J. i obaj potoczyli się do pokoju, akurat gdy rozległ się pierwszy strzał.

Daniel poczuł uderzenie w splot słoneczny, ale przed oczami ciągle wyraźnie widział blondyna. Usiłował sięgnąć po swój rewolwer. Drugi strzał powalił go na kolana. Wyciągnął już rewolwer i trzymał go obiema rękami. Zebrał wszystkie siły, żeby pociągnąć za spust. Obraz blondyna eksplodował masą krwi i kości, potem zniknął, gdy Daniela trafiła kolejna kula, rzucając nieprzytomnego do tyłu, na podłogę.

— *Umieram, mój synu. A ty właśnie się rodzisz. Nigdy cię nie zobaczę i nigdy się nie poznamy.*

— *Tym razem nie umrzesz, ojcze. Właśnie zjawilem się z przyszłości, a ty ciągle tam żyjesz.*

— *Zostawię ci swoje marzenia, synu.*

— *Poczekam na nie, ojcze. Ale będziesz musiał wskazać mi drogę.*

Przebił się przez mgłę bólu. Czuł ręce kładące go na nosze. Otworzył oczy w chwili, gdy je podnosili, i ujrzał D.J. i Mosesa pochylających się nad nim z niepokojem. Zdołał słabo się uśmiechnąć. — Głupio się czuję. Powinienem być coś takiego przewidzieć.

— Spokojnie, ojcze — powiedział D.J. — Nic ci nie będzie. Lekarz mówił, że żadna z ran nie jest groźna.

— Wiem — rzekł słabym głosem Daniel. — Już mi to powiedział twój mały braciszek.

TERAZ

Świeże październikowe powietrze, zaczerpnięte głęboko w płuca, orzeźwiło mnie. Wszystkie wzgórza Zachodniej Wirginii wokół nas były pokryte czerwienią, złotem i pomarańczowym brązem opadłych już liści. Te, które pozostały, tańczyły nerwowo na gałęziach drzew. Wspięliśmy się na wierzchołek wzgórza. — Tutaj — powiedziałem.

Christina zjechała z autostrady na zewnętrzny pas jezdni. Spojrzała na mnie. — Jesteś pewny, że chcesz to zrobić? — Tak. Obiecałem sobie, że tu wrócę, zanim pojedę do domu. — Sięgnąłem na tylne siedzenie i podniosłem śpiwór. Wsiadając z auta, powiedziałem: — Posadziłem kwiaty.

— Jutro o ósmej rano zabiorę cię stąd — zapowiedziała. — Nie spóźnij się. Obiecałeś matce, że zdążysz na ślub. Matka i Jack mieli się pobrać w naszym domu jutro wieczorem. Dokonać tej ceremonii przyjeżdżał sędzia Paul Gitlin, u którego Jack kiedyś aplikował.

— Nie spóźnię się — powiedziałem, wsuwając ramiona w śpiwór.

— Masz wszystko, czego potrzebujesz? — spytała. Uśmiechnąłem się. — Mam szczoteczkę do zębów. Christino, to tylko jedna noc.

Poczekalem, aż biały rolls zginie za grzbietem wzgórza, wtedy przeszedłem autostradę i płot, i zszedłem z nasypu. Nocleg miała

zarezerwowany w motelu po drugiej stronie Fitchville. Tym razem nie musiałem szukać ścieżki. Znałem drogę. Dojście do małego cmentarza na szczycie pagórka zajęło mi mniej niż godzinę. Betty May zrobiła, jak obiecała. Kwiaty były równo zasadzone wzdłuż brzegów cmentarza i pomiędzy grobami; ich czerwień, żółć, błękit i purpura uśmiechały się do mnie. Postąpiłem tam dłuższą chwilę. Cmentarzyk nie wyglądał już na opuszczony i zapomniany. Spojrzałem w dół zbocza. Nagie łodygi kukurydzy tańczyły poruszane południowym wiatrem. Z niskiego komina wiała się cienka wstęga dymu, a przed domem stała wiecznie zakurzona furgonetka.

Kiedy to obserwowałem, z domu wyszedł Jeb Stuart i rozglądając się, stanął na frontowych schodach. Spojrzał na pagórek, dostrzegł mnie i zmrużył oczy przed słońcem. Pomachałem mu ręką. Poznał mnie, jego twarz pojaśniała w uśmiechu i też mi pomachał. Ruszyłem w dół wzgórza, a on otworzył drzwi.

Jego głos doszedł do mnie z wiatrem. — Betty May! Jonathan wrócił!

Stała za nim w progu, machała rękami i uśmiechała się. Wyglądała jakoś inaczej, ale dopiero kiedy podszedłem bliżej, zorientowałem się dlaczego. Była szczuplejsza niż kiedy wyjeżdżałem; zniknął jej wielki brzuch.

Jeb Stuart zszedł ze schodów i entuzjastycznie potrząsał moją ręką. — Jak się masz, Jonathanie, jak się masz?

Uśmiechnąłem się do niego. — Naprawdę, miło mi cię widzieć, Jeb.

— Spodziewaliśmy się ciebie każdego dnia — powiedział. — Myślałem, że może o nas zapomniałeś.

— Wykluczone. — Spojrzałem na stojącą za nim Betty May. — Gratulacje. Czy będę mógł ucałować śliczną mamę?

— No jasne — powiedział.

Wszedłem po schodach i pocałowałem Betty May w policzki.

— Wyglądasz pięknie. Czy ona też jest taka piękna jak ty? Betty May splonęła. — Skąd wiesz, że to dziewczynka?

— Wiem. Ale nie odpowiedziałas mi na pytanie.

— No pewnie, że jest — rzekł Jeb. — To wykapana mama. Chodź i sam zobacz.

Wszedłem za nim do chaty. Teraz był to już więcej niż mały domek. Na oknach wisiały perkalowe zasłony, drewniane meble były oczyszczone i pomalowane. Miejsce, gdzie spali, oddzielała od reszty domu zwieszająca się od sufitu do podłogi kotara, a na stole i drewnianych komodach stały nowe olejowe lampy sztormowe.

Betty May odsunęła kotarę. — Oto ona — powiedziała z dumą.

Niemowlę leżało w staromodnym łóżeczku, wyciętym przez nich samych z połowy baryłki po whisky. Pomalowano je na biało i na obu końcach wsparto na deseczkach dwa na cztery cale. Pochyliłem się nad łóżeczkiem. Jej drobna czerwona twarzyczka była pomarszczona jak u małpki, rączki zaciśnięte w małe piąstki, a niemal białe włosy sprawiały, że wydawała się łysa.

— No pewnie, że jest śliczna — powiedziałem. — Ile ma?

— Teraz sześć tygodni — rzekła Betty May. — Urodziła się w dniu, kiedy skończyliśmy żniwa.

— Zupełnie jakby wiedziała, żeby nie rodzić się, zanim Betty May nie skończy pomagać mi w pracy — powiedział Jeb Stuart.

— Nazwaliście ją już jakoś? — spytałem.

— Zastanawialiśmy się, ale jeszcze nie zdecydowaliśmy. Chcemy zawieźć ją do Fitchville i ochrzcić jak należy — rzekła Betty May. — Na razie nazywamy ją Mała.

Uśmiechnąłem się. — Całkiem ładnie. Przywiozłem jej prezent.

Podszedłem z powrotem do drzwi i rozwinąłem śpiwór. W środku było pudełko, które Christina kupiła mi w sklepie na Worth Avenue. Podałem pudełko Betty May.

— Nie musiałeś tego robić — powiedziała Betty May.

— Otwórz je.

Ostrożnie rozwinęła pudełko z papieru. — Ten papier jest tak ładny, że go sobie schowam — powiedziała nieśmiało i uniosła pokrywę. W środku znajdowała się kompletna wyprawka — sukienka, kapelusz, skarpetki, buciki, pościel, koc i poduszka; wszystko różowe.

Betty May spojrzała na mnie, potem znowu na wyprawkę. — To jest takie piękne. Nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałam.

— To dla niej, żebyś ubrała ją do chrztu — powiedziałem. Jeb Stuart stał, nie odzywając się. Teraz dotknął mojego ramienia, więc odwróciłem się w jego stronę.

— Betty May i ja nie potrafimy zbyt ładnie mówić, ale chcemy, Jonathanie, żebyś wiedział, że jesteśmy ci bardzo wdzięczni.

— To prawda, Jonathanie — rzekła Betty May.

W tym momencie z łóżeczka dobiegł płacz. Betty May odwróciła się szybko. — To pora karmienia. Ona jest jak budzik.

Gdy poszła do łóżeczka, wyszedłem za Jebem na zewnątrz. Siedliśmy na stopniach. — Wszystko idzie dobrze? — spytałem.

— Po prostu świetnie — powiedział. — Zbiory były naprawdę dobre. Ściągnąłem tylko z zacieru surowy alkohol i zlałem go do beczek. Teraz tam, na górze, starzeje się pierwszorzędny bimber w trzydziestu drewnianych baryłkach. Już teraz mogę go sprzedać po setce za baryłkę. Jeśli go przetrzymam do wiosny, może dostanę dwa razy tyle, albo i więcej.

— Więc co zrobisz?

— Myślałem, że sprzedam może dziesięć baryłek. Za to przetrwamy zimę, a na wiosnę sprzedam resztę.

— To ma sens — powiedziałem. Wyjąłem paczkę papierosów, poczęstowałem go i obaj zapaliliśmy.

— Słyszałeś coś więcej od szeryfa?

Pokręcił głową. — Ani słowa. Myślałem, że może kiedyś się pojawi, ale nie pokazał się.

— Czy cofnęli oskarżenie, tak jak obiecał?

— Chyba tak. Ale teraz to nie ma znaczenia. Moja była żona wystarała się o rozwód i wyszła za jakiegoś sklepikarza.

Więc myślę, że kiedy pojedziemy do Fitchville, żeby ochrzcić dziecko, możemy wziąć z Betty May normalny ślub.

— Wszystko dobrze się składa, prawda? — powiedziałem z uśmiechem.

— Tak... — rzekł. — Ale nic z tego by nie wyszło, gdyby cię nie było, gdy pojawił się szeryf.

— Teraz już jest po wszystkim — powiedziałem.

— Planujesz zostać trochę? — spytał.

— Tylko przez noc. Wcześniej rano wyjeżdżam. Jutro wieczorem muszę być w domu.

— Może będziesz mógł wrócić na chrzciny. Ja i Betty May bylibyśmy naprawdę dumni, gdybyś został ojcem chrzestym Małej.

Coś nagle ścisnęło mnie w gardle. — Byłbym zaszczycony. Podaj mi tylko dzień, to przyjadę.

Betty May wyszła z drzwi za nami. — Za pół godziny będzie gotowa kolacja.

— To świetnie. — Jeb Stuart podniósł się. — Chcesz rzucić okiem na destylarnię?

Kiwnąłem głową. Podążyliśmy niemal niewidzialną ścieżką przez mały las. Było tam tak, jak to zapamiętałem.

Tylko jedna rzecz była inna. Pod sągami drewna stały równo ułożone drewniane baryłki. Jeb Stuart starannie okrył je brezentem.

— Nie chcę, żeby drewno się zamoczyło — wyjaśnił. Podeszedłem do małego strumyka, zaczerpnąłem garść wody i ochlapałem nią twarz. Woda była zimna i słodka.

— W przyszłym roku, kiedy będę miał pieniądze, chcę skierować tę wodę rurami do chaty — powiedział Jeb.

— To świetny pomysł.

— Podeszedłem z powrotem do destylarni. Zaczynało już szarzeć. W otwartej małej szopce za destylarnią zobaczyłem wbudowane w ścianę półki.

— Mój dziadek trzymał tam broń na najwyższej półce.

Jeb Stuart spojrzał na mnie zaskoczony. — Skąd o tym wiesz?

Wzruszyłem ramionami. — Po prostu wiem.

Podeszedł do szopy i sięgnął na najwyższą półkę. — Ja też tak robię — powiedział. — Ale on nigdy nie miał takiej broni.

Przyjrzałem się automatycznemu karabinowi z załadowanym magazynkiem. — Gdzie dostałeś taki karabin?

— Mój przyjaciel był w Wietnamie. Kupiłem to z czterema magazynkami za dziesięć dolarów. W każdym magazynku jest trzydzieści kul.

Opuścił broń i błyskawicznie odwrócił się. — Trrach... Jedno naciśnięcie spustu i można przeciąć człowieka na pół. Nie odezwałem się.

— Żaden złodziej nie dostanie tej whisky — powiedział. Poczulem dreszcze. — Wracajmy.

— Dobrze. — Odłożył broń na półkę i ruszyliśmy w dół wzgórza. Na kolację był gotowany kalafior z włoszczyzną i fasolą.

Zakończyły ją gorące kukurydziane bułki i gorąca czarna kawa.

Betty May tłumaczyła się. — Naprawdę przepraszam, że nie miałam dla ciebie nic lepszego na kolację, ale od czasu, gdy urodziła się Mała, nie byliśmy w Fitchville.

— Nie ma o czym mówić. Kolacja była naprawdę świetna. Podniosłem śpiwór. — Chyba teraz trochę się prześpię. Wcześniej rano muszę być z powrotem na autostradzie.

— Nie musisz iść na pole — rzekł Jeb Stuart. — Mamy teraz zasłonę i możesz spać tutaj, na podłodze.

— Ale, dobrze... — powiedziałem.

— Żadne dobrze — rzekła stanowczo Betty May. — Lato już się skończyło i ziemia jest zimna i mokra. Przeziębisz się na śmierć.

— Słyszałeś, co powiedziała dama. — Uśmiechnął się Jeb Stuart. — Rozkładaj swój śpiwór na podłodze tam, przy piecu, gdzie jest ciepło.

Dopóki nie wślizgnąłem się do śpiwora i nie ogarnęło mnie ciepło bijące z pieca, nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo byłem zmęczony. Zamknąłem oczy i zanim zdałem sobie z tego sprawę, zasnąłem.

Poczułem czyjąś rękę na ramieniu i otworzyłem oczy. Koło mnie klęczał Jeb. Ledwie go widziałem w szarej poświacie tuż przed świtem. Położył palec na ustach, żebym był cicho. Usiadłem, nagle zupełnie już przebudzony.

— Na drodze, jakąś milę stąd, stoi półciężarówka i pięciu ludzi — szepnął.

— Co to za jedni?

— Nie wiem. To mogą być agenci ścigający handlarzy alkoholem albo złodzieje. Po prostu usłyszałem jakieś dziwne dźwięki i poszedłem sprawdzić, co się dzieje.

— Co oni tam robią?

— Teraz nic. Wydaje się, że po prostu stoją i czekają na kogoś.

— Myślisz, że na szeryfa?

— Być może. Wolę się nie przekonywać. Wszyscy idziemy na górę do destylarni. Poza nami nikt nie wie, gdzie jest. Wypelzłem ze śpiwora i włożyłem buty. Spałem w ubraniu. Po drugiej stronie pokoju Betty May opatulą niemowlę w jakieś koce.

Obróciła się do nas i powiedziała spokojnie: — Dziecko jest gotowe.

Jeb kiwnął głową. — Wyjdziemy przez okno z tyłu. Nie ma

sensu ryzykować, jeżeli postawili kogoś, żeby obserwował frontowe drzwi.

Przeszliśmy przez pokój do okna. Jeb ostrożnie je otworzył.

— Wychodź pierwszy — powiedział do mnie. — Betty May poda ci małą.

Wyszedłem przez okno. Przeniknął mnie chłód poranka. Odwróciłem się i Betty May podała mi dziecko.

Chwilę potem stała koło mnie. Gdy odbierała ode mnie niemowlę, przez okno wyszedł Jeb.

— Schylcie głowy — szepnął Jeb. Sięgnął z powrotem do okna i wyciągnął swoją długą strzelbę myśliwską. —

Obejdziemy pole, a potem pójdziemy w górę wzgórza. Chodźcie za mną.

Zgięci w pół zaczęliśmy biec za polem kukurydzy. Osiągnęliśmy skraj lasu w chwili, gdy szary brzask przebił się przez powłokę nieba, a na wschodzie pojawił się pierwszy różowy promień słońca.

Ruszyliśmy ścieżką. Zobaczyłem, że Betty May ciężko oddycha, więc wyciągnąłem ręce po dziecko. Pokręciła zawzięcie głową i szła dalej pod górę.

Jeb stanął i odwrócił się do mnie. — Idźcie dalej. Ja wrócę kawałek i zatrę trochę ślady. Nie chcę, żeby nas wytropili.

Kiwnąłem głową. Zszedł w dół wzgórza, a my poszliśmy na górę do destylarni. Przy skrywających ją gęstych krzakach Betty May opadła na kolana. — Przejdź pierwszy przez krzaki. Ja podam ci dziecko.

Przeszedłem przez krzaki i odwróciłem się. Włożyła mi niemowlę na ręce, potem sama przeszła. Niemal natychmiast odebrała dziecko i weszliśmy pod nawis skalny naprzeciwko półek. Usiadła, kołysząc dziecko w ramionach.

— Dobrze się czujesz? — spytałem. Skinęła głową. — Zupełnie dobrze. Dziękuję.

Była tak spokojna i uprzejma, jak gdyby nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego. Nagle dziecko cicho zapłakało.

Szybko zareagowała, rozpinając bluzkę. — Jest głodna, biedactwo. Chce piersi na śniadanie.

Patrzyłem, jak niemowlę zaciska usteczka wokół zaczerwionego, obrzmiałego sutka. Mała zaczęła ssać, mlaskać i cmokać. Poczulem, że łzy napływają mi do oczu i odwróciłem się. Wstałem i głęboko zaczerpnąłem powietrza.

Piękno zupełnie nie pasowało do tego poranka.

W krzakach coś zaszeleściło i wyszedł z nich Jeb. Stał na chwilę, spoglądając na Betty May i Małą, potem sięgnął na najwyższą półkę i ściągnął z niej automatyczny karabin, który pokazywał mi wczoraj. Odłączył magazynek, sprawdził go, potem ponownie dołączył do karabinu. Spojrzał na mnie. — To szeryf.

— Jesteś pewny? — spytałem.

Kiwnął głową. — Widziałem jego prywatny samochód. Nie jest tu służbowo.

— Skąd wiesz?

— Nie jest w mundurze. I gdyby miał z sobą agentów, mieliby kilofy i siekiery. Przyjechał tu po bimber.

Sięgnął w górę na półkę, zdjął pozostałe trzy magazynki z nabojami i wsadził je do kieszeni koszuli.

— Wiedziałem, że jest zbyt pięknie, żeby się nie skończyło

— rzekł gorzko.

— Może nas nie znajdzie.

— Znajdzie — rzekł beznamiętnie. — Przyjechał przygotowany na wszystko. Przywiózł z sobą psy. Kiedy to zobaczyłem, nawet nie zwracałem sobie głowy zacieraniem śladów.

Spojrzałem na Betty May. Ciagle karmiła dziecko, najwyraźniej nieobecna myślami przy naszej rozmowie.

Odwróciłem się znowu w stronę Jeba. — Co oni teraz robią?

— Kiedy ruszyłem' z powrotem, szli drogą w stronę domu

— powiedział.

— Może zszedłbym na dół i porozmawiał z nimi?

— Zabiją cię. Wszyscy mają broń i przyszli tu po te czterdzieści procent, a nie na rozmowy.

— Więc dlaczego po prostu im tego nie oddasz? — spytałem. — To nie jest tyle warte, żeby tracić za to życie.

Spojrzał mi w oczy. — Nie znasz ich, Jonathanie — powiedział łagodnie. — Jeśli zabiorą bimber, nie mogą sobie pozwolić na pozostawienie przy życiu kogoś, kto może wskazać ich palcem.

W górach rozległ się głos szeryfa mówiącego przez tubę. Jeb odwrócił się i zaczął nasłuchiwać.

— Jeb Stuart, tu szeryf. Wyjdź z domu z rękami na głowie, a nic się nie stanie tobie i Betty May.

Jeb z powrotem obrócił się do nas. — Zajmie im dziesięć minut, żeby przekonać się, że nas tam nie ma. Wtedy spuści psy. Zabierz

Betty May i dziecko, i przejdź drugą stroną wzgórza na autostradę. Ja zostanę tutaj i ich zatrzymam. | Betty May teraz już słuchała. — Jeb, idę z tobą. †

— Zrobisz to, co ci mówię, kobieto — powiedział surowo.

— Nie możesz mnie do tego zmusić — powiedziała z uporem. — Miejsce kobiety jest przy mężczyźnie, bez względu na wszystko.

Po wzgórzach znówu rozległ się głos tuby.

— Jeb, masz dwie minuty na wyjście; potem zabierzemy się za? ciebie.

— Nie ośmielą się. Muszą blefować. Wiedzą, że w środku jest dziecko.

— O niczym nie wiedzą — rzekł Jeb Stuart. — Po porodzie nie byliśmy jeszcze w mieście i nie jest zarejestrowana w magistracie. Poza nami nikt o niej nie wie. Dla nich ona w ogóle się nie urodziła. — Zawahał się przez chwilę. — A gdyby nawet wiedzieli, nie zrobiłoby to im żadnej różnicy.

— Masz ostanią szansę, Jeb — zagrzmiała tuba. — Czas się skończył.

Chwilę potem po lesie rozległ się trzask strzałów, potem głośnie okrzyki i przeklinanie mężczyzn, znowu strzały i zapadła cisza.

Jeb Stuart odwrócił się do nas. — Teraz już wiedzą, że dom jest pusty, i spuszcza psy.

Wiedział dokładnie, co zrobią. Nagle z podmuchem wiatru dotarło do nas szczekanie i ujadanie psów. Ich głosy zaczęły zbliżać się do wzgórza. Jeb Stuart spojrzał na żonę.

— Dobrze, Betty May. Jeśli nie chcesz, żeby te sukinsyny zamordowały twoje dziecko, lepiej wynoś się stąd.

Z uporem potrząsnęła głową.

— Dlaczego wszyscy się stąd nie wyniesiemy? — zaproponowałem. — Pieprzyć ich. Niech sobie wezmą. To tylko whisky.

Jeb Stuart spojrzał mi w oczy. — Zabraliby nie tylko moją whisky, ale także mój honor. Jeśli mężczyzna nie walczy o swoją własność, nie jest nic wart.

Ujadanie psów było słychać już całkiem blisko, a do naszych uszu docierały wyraźne głosy mężczyzn wspinających się zarośniętą ścieżką. Byli już chyba bardzo blisko, kiedy wszystko ucichło. Przez moment panowała cisza. Potem tuba ryknęła tuż obok nas.

— Znaleźliśmy cię, Jeb. Nie masz żadnych szans. Jest tu pięciu ludzi, więc zejźdź na dół z podniesionymi rękami i wszystko załatwimy ugodowo. Nikomu nic się nie stanie.

Jeb Stuart milczał.

W tubie znowu rozległ się głos szeryfa. — Jestem ugodowym człowiekiem, Jeb. Dogadamy się.

Jeb Stuart przyłożył złożone dłonie do ust. — Jak mamy się dogadać, szeryfie?

— Dwadzieścia pięć dolarów za baryłkę tego bimbru i rozstajemy się jak przyjaciele.

— Nie ma mowy — odkrzyknął Jeb Stuart. — Przyjaźni tak tanio się nie kupuje.

— Trzydzieści dolarów za baryłkę — powiedział szeryf. — Tylko dlatego, że nie chcę, żeby coś się stało Betty May.

— Nie ma mowy! — krzyknął Jeb Stuart.

— Zejźdź na dół, to wszystko obgadamy — powiedział szeryf. — Ty chodź na górę bez broni, to porozmawiamy! — krzyknął

Jeb Stuart.

Na moment zapanowała cisza, potem szeryf odpowiedział: — Pokaż się, już idę.

— Zaczynij podchodzić, to się pokażę — odparł Jeb Stuart.

— Idę! — krzyknął szeryf.

— I o to chodzi. — Jeb Stuart odwrócił się do nas. — A teraz, Betty May, uciekaj stąd razem z dzieckiem.

Betty May rzuciła mu krótkie spojrzenie, potem odwróciła się i wcinęła mi dziecko w ramiona. — Jonathan ją zabierze, ja zostaję z tobą.

Z ziemi, tam, gdzie Jeb ją zostawił, żeby wziąć karabin, podniosła strzelbę myśliwska.

Spoglądałem na niego przez chwilę. Kiwnął ciężko głową. — To nie twoja wojna, Jonathanie. Weź dziecko i uciekaj.

Nie poruszyłem się.

— *Rób, co ci każe, synu. Właśnie po to wróciłeś. Po dziecko, którego nie splodziłeś.*

Głos szeryfa zdawał się dochodzić niemal z miejsca, gdzie staliśmy. — Jestem tu, Jeb. Pokaż się.

Jeb Stuart podniósł z ziemi długą suchą gałąź. Wyciągając ją przed siebie tak daleko, jak tylko mógł, poruszał krzaki około metra od miejsca, w którym stał. Poranne powietrze jęknęło, gdy morderczy ogień karabinowy poszarpał krzaki w miejscu, w którym myśleli, że się pokaże.

— Wy sukinsyny! — zawył, padając na brzuch, i wysunął lufę karabinka przez znajdujące się przed nim krzaki. Pociągnął za spust. Karabin zakaszłał krótkimi gwałtownymi seriami.

— 'HurraaL. — krzyknął. — Rozwaliłem skurwysynów na tysiąc kawałków.

Nagle zobaczył mnie. — Zjeżdżaj stąd. Niech to szlag! Wyobrażasz sobie, że chcę, żeby moje dziecko zginęło? Wszystko to odbyło się w mgnieniu oka. Bez zbędnego słowa zacząłem biec ścieżką w górę, za destylarnię, przyciskając do piersi dziecko. Ponownie zaczęli strzelać i kule trafiły destylarnię tuż za mną. Usłyszałem, że karabin automatyczny znowu zaczyna strzelać. Biegłem dalej, nie oglądając się za siebie; oddech rozdzierał mi piersi. Dostaliśmy się właśnie na grzbiet wzgórza, gdy nastąpiła eksplozja.

Odwróciłem się akurat w porę, żeby zobaczyć wzbijającą się w niebo kulę ognia, a za nią chmurę dymu, potem jeszcze jeden wybuch i wzbijającą się w górę, wirującą ognistą kulę. Przyglądałem się temu z otwartymi ustami. Mówił, że miała czterdzieści procent. Wystarczyła jedna iskra.

Przypadłem do ziemi, z trudem łapiąc oddech. Było już po wszystkim. Zginęli. Nikt nie mógł przeżyć takiej eksplozji. Zsunąłem róg koca z twarzy małej. Spała spokojnie, mleko z piersi matki ciągle rozgrzewało jej mały brzusek. Poczulem, że oczy gwałtownie wzbierają mi łzami, pochyliłem się i pocałowałem drobne czoło małej.

— Wszystko będzie dobrze, Danielle — powiedziałem, przykrywając ją ponownie. — Jedziesz ze mną do domu. Potem podniosłem się i zszedłem z boczem do autostrady, gdzie w białym odkrytym rollsie czekała Christina. Była czwarta po południu i ulica przed moim domem, gdy na nią wjechałem, była zatłoczona zaparkowanymi samochodami. Przejechałem koło domu, wokół całego bloku i wjechałem na

podjazd przy domu Anny, stojącym zaraz za moim. Zgasilem silnik i zerknąłem na siedzącą obok Christine. Danielle spała w małej kołysce samochodowej, leżącej na jej kolanach. Obok niej leżała butelka napełniona specyfikiem, który zapisał nam aptekarz w czasie postoju, który zrobiliśmy rano w centrum handlowym w Wirginii. Jeszcze dwie pełne butelki znajdowały się w przenośnym termosie, utrzymującym ciepło. Otworzyłem drzwiczki i wysiadłem z auta, gdy z werandy za domem zeszła na podjazd Anna.

Stała, przyglądając mi się. — Wiedziałam, że przyjedziesz tędy. Czekałam na ciebie.

— Gdzie twoi starzy? — spytałem.

— Są u ciebie — odparła. Podeszła do mnie i przytuliła się. Pocałowaliśmy się. — Tęskniłam za tobą.

Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek wrócisz.

— Przecież dobrze wiedziałaś — powiedziałem. Znowu mnie pocałowała. — Tak.

— Chodź — powiedziałem, prowadząc ją do samochodu, z którego wysiadła Christina. — Anno, to jest Christina.

Jej matka była bardzo bliską przyjaciółką mojego ojca. Christina, to jest Anna, moja ulubiona przyjaciółka.

Chyba od razu poczuły do siebie sympatię. Najpierw dotknęły się rękami, potem, pchnięte impulsem, pocałowały się. — Czy on dobrze się czuje? — spytała Anna.

— Świetnie. — Uśmiechnęła się Christina.

— Anno, zobacz. — Uniosłem koci zobaczyła śpiące niemowlę. — To jest Danielle.

Anna otworzyła szeroko oczy. — Czyje to dziecko? Skąd przyjechało?

— Teraz chyba moje. Pamiętasz jego rodziców Jeba Stuarta i Betty May?

Skinęła głową. — Tak. Gdzie oni są?

Ciężko mi było o tym mówić. To było zbyt niedawno. — Nie żyją. Patrzyła zdziwiona. W jej oczach dostrzegłem więcej pytań.

— Wyjaśnię to później. Tymczasem zastanawiałem się, czy mogłabyś przechować ją u siebie, zanim nie skończy się wesele. Jeżeli nie muszę, nie chciałbym zepsuć matce tego dnia.

— Oczywiście. — Odwróciła się do Christiny. — Zabierzemy ją do mojego pokoju.

Spojrzała na mnie. — A ty idź już lepiej do siebie. Teraz odchodzą już tam pewnie od zmysłów. Wesele ma się rozpocząć każdej chwili, a twoja matka powiedziała wszystkim, że obiecałeś jej przyjechać.

Jak zwykle przeszedłem przez płot. Kiedy wszedłem na werandę z tyłu domu, obejrzałem się. Szły z dzieckiem do domu. Otworzyłem drzwi do kuchni i wszedłem do środka.

Mamie odwróciła się od pieca. Przez chwilę myślałem, że zemdleje; zbladła i zrobiła się szara. Potem podbiegła i przycisnęła mnie do swego obfitego biustu. — Jonathanie, moje dziecko. Przyjechałeś do domu. Dorosły i wielki mężczyzna jak twój tata.

Ucałowałem ją, na pół się śmiejąc, na pół płacząc. — Nie wiem o co to całe zamieszanie. Czyż nie powiedziałem, że przyjadę do domu?

— Twoja matka bardzo się ucieszy. Idę po nią.

— Nie. Najpierw pójdę na górę i umyję się. Nie chcę jej wystraszyć.

— Wyprasowałam ci twoje niebieskie ubranie — powiedziała Mamie.

Wszedłem na górę tylnymi schodami i udało mi się wejść do środka bezszelestnie. Z dołu dochodził szum rozmów i brzęk kieliszków. Poszedłem prosto do łazienki, ogoliłem się i wykąpałem. Po niecałych dziesięciu minutach już się ubierałem. Obejrzałem się w lustrze. Mamie miała rację. Jak nigdy przedtem stawałem się coraz bardziej podobny do ojca. Starannie zawiązałem węzeł krawata, włożyłem marynarkę, przeszedłem przez korytarz do pokoju matki i zapukałem do drzwi.

Ze środka dobiegł mnie głos matki. — Kto tam?

— Twój syn — powiedziałem.

Ślub odbył się dokładnie o piątej. Do siódmej wszyscy goście odjechali i zostali tylko członkowie rodziny i najbliżsi przyjaciele. Mój brat Daniel z żoną Sally, Moses Barrington, sędzia Gitlin z żoną Zeldą i Forbesowie, rodzice Anny. Daniel spojrzał na Mosesa. — Jesteś pewny, że damy sobie radę bez niego przez trzy tygodnie? Zdaje się, że w przyszłym tygodniu mamy poważny proces w sądzie.

Moses też zażartował. — Może masz rację. Musimy to przemyśleć. Jack uśmiechnął się szeroko. — Dajcie spokój, chłopaki. Podniosłem się. — Za chwilę wracam.

Wyszedłem z pokoju, tylnymi drzwiami z domu i przeskoczyłem płot. Wszedłem do domu Anny i poszedłem na górę, do jej pokoju.

Mała leżała na łóżku, szczebiocząc radośnie. Anna spojrzała na mnie. — Ona jest naprawdę piękna.

Christina uśmiechnęła się. — Właśnie rozmawialiśmy, że możesz nie dostać jej z powrotem.

— Nie ma mowy — powiedziałem. — Owińcie ją. Idziemy do mojego domu.

Anna trzymała dziecko, a ja ostrożnie wycofałem samochód z podjazdu i objechałem ulicę do mojego domu.

Weszliśmy na frontowy ganek i zadzwoniliśmy.

Matka otworzyła drzwi i stanęła zdziwiona. Spojrzała na Danielle w moich ramionach, potem na mnie. Po raz pierwszy w życiu zaniemówiła. Wniosłem małą do pokoju i wszyscy oszaleli. Pytania padały ze wszystkich stron. W końcu sędzia Gitlin wszystkich uspokoił.

Lubiłem go. Pod pewnymi względami przypominał mi ojca. Zawsze nosił z sobą własną butelkę whisky. W przypadku ojca to był bourbon, podczas gdy napojem sędziego była szkocka. I tak jak ojciec, czasami zapominał się i pociągał prosto z butelki, zamiast nalewać whisky do szklanki, a jego żona Zelda krzyczała na niego tak jak moja matka krzyczała na ojca.

— Uspokójcie się. Niech chłopak sam opowie całą historię — powiedział, przyglądając w zamyśleniu swoją stalowoszarą, starannie przystrzyżoną Van Dyke'owską brodę. — Tylko wiesz, ja się rumienię — dodał.

— A co to ma do rzeczy? — spytała zaczepnie Zelda.

— Nic. Ale pomyślałem, że to jest interesujące. — Uśmiechnął się do mnie. Wiedziałem, co robi. Zbijał wszystkich z pantafyku. — No to już, Jonathanie.

Oddałem Danielle matce. Szczebotała coś do niej radośnie.

— W samochodzie mamy śliniaki, gdyby ich potrzebowała powiedziałem.

— Nic jej nie trzeba — odparła matka, spoglądając w twarz Danielle. — Ma takie piękne niebieskie oczy.

Sędzia Gitlin uśmiechnął się do mnie. Wiedział, co robię.

— Nie spiesz się, Jonathanie. Zaczynaj od początku. Rozejrzałem się po pokoju. Starannie dobieierałem słowa. Nie chciałem zranić niczyich uczuć.

— To wszystko zaczęło się na pogrzebie ojca. Ile każdy z nas naprawdę o nim wiedział? Każdy z nas widział go jakoś innym. Bo każdy widział na swój sposób tylko to, co chciał w nim widzieć. I wszyscy mieliśmy rację. Był tym, kim go widzieliśmy. Ale był kimś jeszcze, kimś więcej niż widział to ktokolwiek z nas. Był sobą.

Musiałem długo mówić. Zacząłem od tego ranka, kiedy złapaliśmy z Anną ciężarówkę na US 1, a skończyłem na tym, co wydarzyło się dziś rano. Kiedy skończyłem, zegar w foyer wybił dziesiątą.

Rozejrzałem się po wszystkich. — Nie dali dziecku imienia, więc nazwałem ją Danielle, po ojcu. Chcę ją teraz zatrzymać. Nie ma nikogo innego, żadnej rodziny. Nie ma nawet metryki urodzenia. Jeb Stuart w ogóle nie pojechał do Fitchville, by zarejestrować jej narodziny. Zamierzali zrobić to, kiedy jechaliby do miasta ją ochrzcić. Ale tak się nie stało.

Sędzia Gitlin pokiwał zamyślony głową i pociągnął z butelki łyk szkockiej. Tym razem Zelda nie krzyczała na niego.

— To nie takie proste, jak to przedstawiasz, Jonathanie — rzekł spokojnie. — Po pierwsze, sam nie jesteś pełnoletni i żaden sąd w tym kraju nie odda ci pod opiekę niemowlęcia.

— Dlaczego nie? — spytałem. — Jedyne, co muszę zrobić, to wpisać w metryce, że jestem ojcem.

— Nie możesz tego zrobić — powiedział sędzia. — Jest tu wiele problemów prawnych do rozwiązania. Muszą być przeprowadzone poszukiwania możliwych krewnych lub rodziny. Potem, jeśli są jacyś krewni, należy uzyskać ich zgodę, a jeśli nie ma, zostanie pod kuratelą państwa aż do czasu wydania postanowienia co do jej dalszych losów.

— To głupie — powiedziałem. — Co może mnie powstrzymać, żebym po prostu uciekł z nią?

— Wiesz dobrze, Jonathanie — spojrzał na mnie z namysłem. — Ale może jest sposób, żeby pozostawała blisko ciebie i nie było tylu problemów. Chociaż to wymaga pomocy Jacka i twojej matki.

— Jaki to sposób? — spytałem.

— Gdyby zechcieli ją adoptować, mógłbym znaleźć sposób, żeby wszystko przyspieszyć — Przerwał na moment. — Ale to jest decyzja, którą musieliby podjąć sami. Z tym nie możemy ich ponaglać.

Odwróciłem się do matki, Patrzyła na Danielle i płakała. Jack podszedł i ukląkł obok niej. Spojrzał jej w twarz, potem na Danielle, potem na matkę.

Odchrząknął. — Zawsze chciałem mieć małą dziewczynkę.

Było jeszcze jedno zadanie do wykonania. W następnym miesiącu, dwa dni przed Dniem Dziękczynienia, mój brat Daniel i ja zabraliśmy ojca do domu. Pierwszy zimowy chłód zmroził ziemię i kiedy grób był rozkopywany, zaprowadziłem Daniela na wzgórze, gdzie kiedyś stała destylarnia.

Pozostała tam teraz tylko czarna dziura w ziemi i masa pogiętych rur, spalonych, czarnych, wtopionych w ziemię. Postąłem tam chwilę, potem odwróciłem się. Zdawało się, jakbym był tu zaledwie wczoraj, ale wczoraj to była wieczność.

Zeszliśmy na dół do chaty. Już się rozpadała. Zasłony, z których Betty May była tak dumna, wisiały w strzępach, a nowa farba złuszczyła się i opadała z drewna. Większość okien była wybita i zimne powietrze dmuchało do pokoju. Daniel spojrzał na mnie. — Więc to tu wszystko się zaczęło. Nigdy o tym nie wiedziałem.

— Nikt nie wiedział — rzekłem. — I ja bym nie wiedział, gdyby mi nie pokazał. To tu zacząłem pojmować jego dobroć i jak naprawdę go kochałem.

Weszliśmy z powrotem na cmentarzyk na pagórku. Grób był prawie gotowy. Na koniec dwaj grabarze wyszli z niego i ułożyli dwie deski, dwa na cztery cale, w poprzek otwartego grobu. Na deskach położyli mocne brezentowe pasy, potem zeszli ze wzgórza na dół, gdzie czekał karawan.

Obserwowaliśmy, jak dołączył do nich szofer i jego pomocnik, i zdjęli trumnę z karawanu. Powoli, ostrożnie wspięli się na pagórek. Kiedy przechodzili obok nas, żeby umieścić trumnę na deskach, widziałem, że pomimo zimna pot ściekał po ich twarzach.

Potem zrobili krok do tyłu, każdy z nich ujął koniec brezentowego pasa, i spojrzeli na nas wyczekująco. Odwróciłem się do Daniela: Razem uzgodniliśmy, że nie chcemy pastora. Skinął głową. Jeden z mężczyzn pociągnął pasy, lekko unosząc trumnę. Odkopnąłem jedną z desek na bok; Daniel kopnął drugą. Mężczyźni powoli opuścili trumnę do grobu. Kiedy osiadła na dnie, poluzowali brezentowe pasy i wyciągnęli je. Daniel i ja schyliliśmy się, każdy z nas podniósł garść ziemi i wrzucił ją do grobu na wierzch trumny. Dwóch mężczyzn zaczęło szybko zasypywać ziemię. Na początku dudniła głucho o drewno, ale stopniowo dźwięk był coraz bardziej stłumiony. Wreszcie skończyli, kilkoma ostatnimi uderzeniami łopat uklepali ziemię i zeszli ze wzgórza, zostawiając obu nas samych.

Daniel spojrział na mnie. Skinąłem głową. Odwrócił się ponownie w stronę grobu. Mówił ochryłym i niskim głosem:

Leży tu, gdzie zawsze chciał być, Żeglarz jest w domu, powróciwszy z mórz, I myśliwy w domu, kiedy zszedł już ze wzgórz.

Obejrzałem się i zobaczyłem łzy ciekące po policzkach Daniela. Chwyciłem rękę brata i uściśnąłem ją mocno. — Jeśli będziesz chciał, usłyszysz go. Zabrzmiało to jak szept na wietrze.

— *Dziękuję wam, synowie.*